

Jerzy Hubert Baranowski

# WSPOMNIENIA

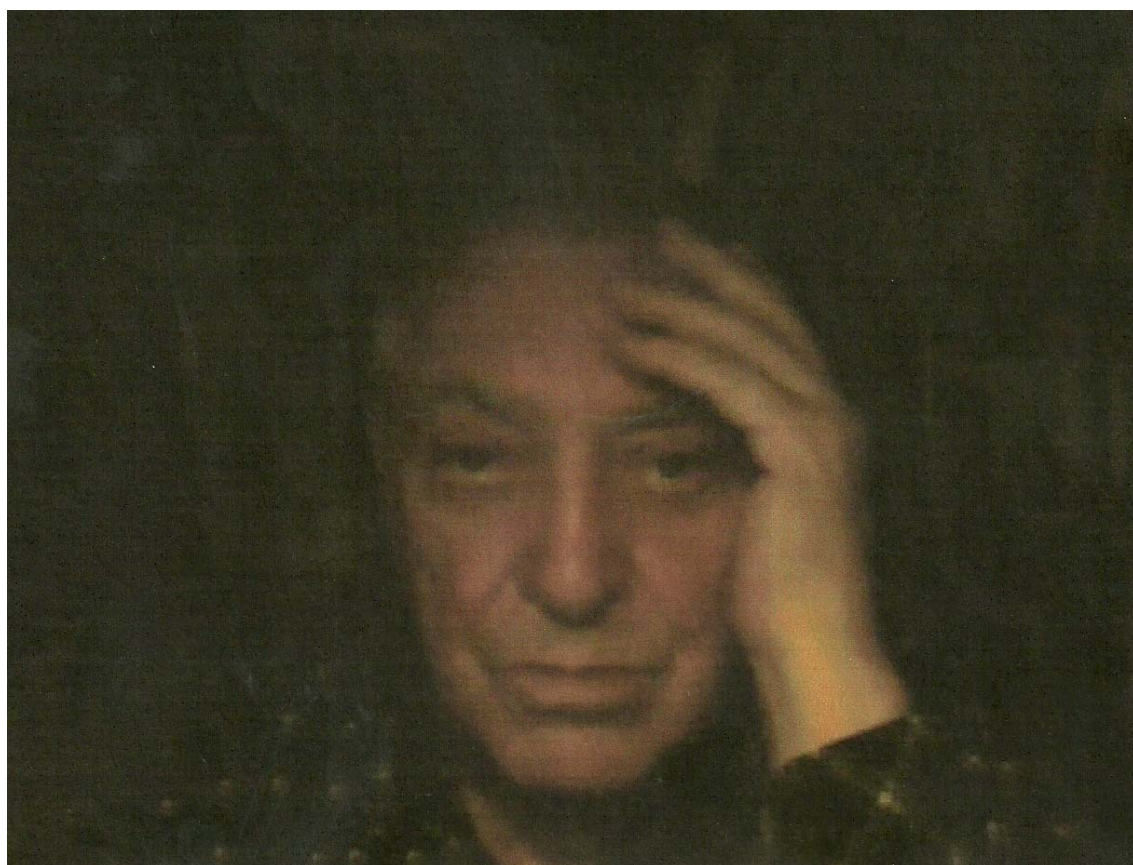
*byle o czym*



**Jerzy Hubert Baranowski**

# **WSPOMNIENIA**

*byle o czym*



**Wydawnictwo JHB**

Jerzy Hubert Baranowski  
WSPOMNIENIA *BYLE O CZYM*  
Warszawa 2019

Wydawnictwo: JHB (Jerzy Hubert Baranowski, j.baranowski@elka.pw.edu.pl)

Projekt okładki: JHB.  
DTP: Jerzy Hubert Baranowski

©® Jerzy Hubert Baranowski

Pejzaże na okładce: © JHB

Pejzaż1 JACHCICE 1957

Pejzaż2 CZEKARZEWICE 2004

Notka wydawcy:

Cała zawartość niniejszego wydania, wraz z rysunkami i zdjęciami jest zastrzeżona.

Kopiowanie i reprodukcja niniejszej pracy w całości lub części jest bez zezwolenia  
Wydawnictwa zabronione.

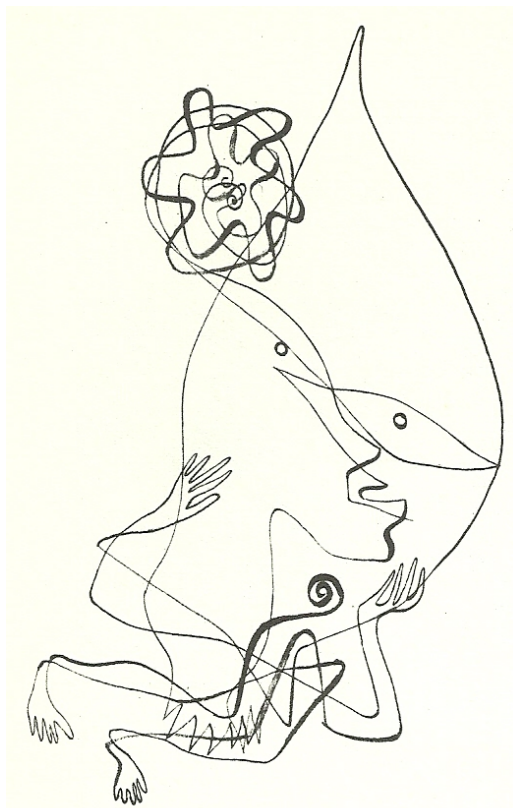
**ISBN 978-83-934379-3-1**



## **Zawartość WSPOMNIENÍ *byle o czym* (treść pagin)**

- Część 1** Krótka radość dzieciństwa. Kto ja jestem, skąd pochodzę. Mierwiny, Kleck, Nieśwież, Stołpce, Rudnia Nalibocka. Chotów. Wojna, Sowietci 17.IX1939. Kupujemy Podlase.  
7 - 50
- Część 2** Niedostatek, głód. Przyjaciele, lektury. Sowiecka szkoła. Wywózki. Niemcy 22.VI1941. Morderstwa, grabieże, partyzantka Puszczy Nalibockiej. Iwieniec, Legiony AK.  
51 - 105
- Część 3** Ze Stołpców, przez Baranowicze, Kobryń, Brześć, Warszawę, Poznań, Toruń, Lublin, do Zaklikowa i Ireny. Z Gimnazjum w Zaklikowie - do Liceum w Warszawie.  
106 - 135
- Część 4** Liceum Telekomunikacyjne. Politechnika Warszawska.  
136 - 177
- Część 5** Nela i Erazm Samotyhowie, „*sztuka widzenia Sztuki*”. Edukacja poza Politechniczną.  
178 - 227
- Część 6** Dorota, Rodzina, Znajomi i Przyjaciele. Żeglarstwo i Myślistwo. Wydarzenia pominięte w relacji z życia w Politechnice Warszawskiej w części 4.  
228 - 304

*W każdej części występuje osobna numeracja stron, jednak w spisie pagin jest podana również numeracja bieżąca, nie ujawniona w tekście.*



LE NAIN A LA ROSE. 1927.

*Collection Rosengart, Lucerne.*

**Paul Klee**

## **Początek**

**Zaklików, 1 września 2013 r.**

Początki są zawsze trudne, bo nie wiadomo, co, dla kogo – i jak pisać. Kiedy zacząć. Jednak wiadomo, dlaczego zaczynam. Bo napierają na mnie moi przyjaciele i znajomi, co prawda - chyba tylko dla zasady i dlatego, że to nic ich nie kosztuje, a może jednak czegoś dowiedzą się jeszcze więcej, niż z mojego bieżącego potoku wspomnień. W mojej ocenie, wspomnień dla mnie bardzo przalnych, a dla nich jakby ciekawych.

Nie mam trudności z pisaniem podręczników dla studentów, z dziedziny Elektroniki. Niemal fabrykuję je taśmowo, co nie znaczy, że są z góry sztywno zaplanowane, i że są byle jakie. Nie są byle jakie, rozkoszuję się ich pisaniem, i są tego całkiem dobre rezultaty. Owszem, są planowane, ale z reguły plan jest zmieniany, bo w toku pisania co rusz przychodzą nowe pomysły, i te ciekawe powodują rozszerzenie rozdziałów o nowe podrozdziały, przykłady analiz i obliczeń. Oczywiście, dalej idące zapędy ku rozszerzaniu muszą być hamowane ograniczoną objętością podręcznika, a i możliwością percepcji co bardziej zawiłanych kwestii. Jednak na ogół te granice dają się, w uzgodnieniu z wydawcą, rozsądnie poszerzyć. Piszę – „dają się” – a powinienem napisać „dawały się”. Bo, na przykład, czołowe dla mnie Wydawnictwa Naukowo Techniczne (WNT) na przełomie wieków XX/XXI przestały dość nagle istnieć. Pozostały po nich Gmach na Mazowieckiej 2/4 sprzedano bodaj za grosze dziwnym kombinatorom, w atmosferze skandalu korupcyjnego, a pozostałe nakłady książek, i prawa do ich wznawiania, po prostu ”rozdrapały” jakieś nowe spółki wydawnicze, powstałe na gruzach wielu wydawnictw. Bo podobnie zanikły wtedy inne poważne Wydawnictwa, jak PWN, czy Wydawnictwa Rolnicze i Leśne. Powstałe po nich mnożące się spółki wydawnicze rządzą się dziś już innymi prawami, niekoniecznie sprzyjając rozwojowi dyscyplin naukowych. Zanikł prawie zupełnie mecenat Państwa w dziedzinie wydawnictw, ze szkodą dla społeczeństwa i autorów.

Dlaczego o tym piszę, i to na samym początku? Bo te sprawy są dla mnie bolesne, bo nie mam gdzie wydawać swoich książek, dotychczasowych i perspektywicznych. Chociaż akurat, w końcu życia i będąc na emeryturze, już raczej nie odczuwam pilnego osobistego przymusu (zwanego ładnie imperatywem) pisania dla studentów. A jednak moje podręczniki, zarówno te napisane samodzielnie, jak i te napisane z mojej inicjatywy i przy moim współautorstwie, bądź z mojej inspiracji, bywają jeszcze dostrzegane i cenione. Czemu się trochę dziwię, bo życie podręcznika w dziedzinie zmieniających się szybko idei i technologii zawsze było krótkie.

Zanim napiszę (na pewno napiszę) o swoich obecnych kłopotach autorskich i wydawniczych związanych z nową książką opracowaną w ubocznym nurcie wieloletnich zainteresowań hobbystycznych, chcę – może za chwilę przywołać te niektóre książki, które już w dzieciństwie mnie kształtowały, a i później, nawet obecnie - też. Jednak zanim to zrobię, i zanim ta pierwsza strona zostanie napisana, zanim upłyną godziny 1 września roku 2013, być może „roku pamiętnego”, pragnę powrócić jeszcze do początkowego pytania – dlaczego piszę, dlaczego dziś. Więc wyjawiam, że właśnie dzisiejsza data sama w sobie, a i po przez magiczne skojarzenia z inną datą dnia pierwszego września innego roku „pamiętnego” objawiła mi potrzebę rozpoczęcia pisania wspomnień bez zwłoki, właśnie dziś. Jakie by one, te wspomnienia, nie były.

Na podjęcie decyzji nie bez wpływu jest powszechne od kilku dni oczekiwanie, że III Wojna Światowa może rozpocząć się właśnie na przełomie sierpnia i września, i to w piątek, sobotę lub w niedzielę – gdy giełdy śpią, a razem z giełdami śpią nastroje społeczne. To niby dlatego tak ma być, by po obudzeniu się w poniedziałek ludzkość już zdążyła oswoić się z biegiem wypadków i zaakceptować to, co by się wydarzyło. To się może oczywiście zdarzyć, ta

wojna, gdy jeszcze piszę te słowa, jeszcze w interwale czasu pierwszego września. Mam jednak nadzieję, że wojna nie wybuchnie w ogóle, a moją nadzieję utrwalają napływające doniesienia. Mogę więc już powrócić do wspomnień, choćby o tych książkach, które zapamiętałem, w których zaczarowanym kręgu wspomnień pozostaję.

### **Znowu początek... i znowu Zaklików, wrzesień, ale dziś 30 września 2014 r.**

Nic nie napisałem w ciągu roku, a to co zostało napisane przed rokiem, uznałem że jest płaskie, suche i wymuszone, tylko po to by coś napisać, by czymś zapoczątkować. Na tej zasadzie, na oczekiwaniu, że gdy coś się napisze, to muza zaraz nadleci i obdarzy twórczą aurą. Zresztą, nie jeden raz tak było, właściwie zawsze tak było. Ale teraz – jednak nie. Mimo wszystko, z tego, co napisałem, coś zostało i zostanie. Niestety – została część niedobra, przecucie złych losów, kraju i całego świata. W ciągu roku utrwaliła się, skonkretyzowała obawa zagrożenia ze Wschodu. Przed rokiem dopiero przeczuwana, a teraz bardzo realna, potwierdzona licznymi przypadkami interwencji zbrojnej.

Zagrożenie ze Wschodu, ciężące nad moim krajem od przeszło 500 lat, objawiające się przesuwaniem granic i zaborem połaci ziem co kilka pokoleń, bardzo znacząco w sensie destrukcyjnym wpłynęło na rozwój Narodu i Państwa. Które znowu przestało istnieć. Przestały istnieć lub zostały przesiedlone całe środowiska, miasta i osady wiejskie, zniszczone lub zdewastowane budowle i pomniki kultury narodowej, domy, majątki i dwory rodzinne będące siedliskiem tradycji narodowych. W przypadku mojej rodziny straty były szczególnie dotkliwe, bo dorobek i sama rodzina uległa na Kresach Wschodnich niemal całkowitej dezintegracji. W dwóch fazach – najpierw na Wołyniu w czasie rewolucji 1917 roku, zwanej Wielką i Październikową, czyli tuż po I Wojnie Światowej, a następnie w czasie II Wojny Światowej. Zaborcy germańscy mieli w tym również straszliwy udział, po zagarnięciu Warszawy i jej zniszczeniu w 1944 roku.

Piszę to w dniu końcowym września, w 70 rocznicę wyjścia ocalałych warszawiaków z Miasta poddanego systematycznemu niszczeniu, dom po domu, ulica po ulicy, biblioteka po bibliotece, szpital po szpitalu, po masowych zabójstwach – po rzezi ludności Woli.

Będąc w Nowogródku, widziałem i miałem świadomość podobnej eliminacji najbardziej wartościowych elit społeczeństwa polskiego na tamtych terenach, rozpoczęte już we wrześniu 1939 r., bezpośrednio od pierwszych dni po wkroczeniu sowieckich wojsk. Zaczęło się wkrótce masowe wywożenie polskich rodzin na Wschód, przeprowadzone nagle i bardzo brutalnie, w nie ogrzewanych wagonach towarowych, szczególnie nasilone w mroźnych dniach przełomu pierwszej i drugiej dekady lutego 1940 r. Wiele zbrodni z tego okresu ujawniono dopiero po latach. Należą do nich mord w Lesie Katyńskim, aresztowania i zabójstwa w Wilnie i Lwowie, rozpoczęte przez zaborców wschodnich, kontynuowane po 1941 r. przez równie nieludzkich zaborców z Zachodu. Z niewyobrażalną zagładą Narodu Żydowskiego.

### **3 października 2014 r.**

Podejmuję wątek wstępnego zastanawiania się nad sposobem zrelacjonowania moich własnych przeżyć, z całego życia mojego, i losów mojej rodziny. Czynię to dwa dni po expose Pani Ewy Kopacz, lekarza-pediatry, która podjęła się utworzyć Rząd i sterować rozwojem Rzeczypospolitej po ustąpieniu Pana Donalda Tuska, który został powołany na urząd Prezydenta Unii Europejskiej. To niezwykle wydarzenie wtapia się w nasze dzieje na zasadzie ponownego dźwignia się Narodu po klęsce w 1939 r. Ponownego, bo to pierwsze rozpoczęło się w 1918 r. Było rezultatem utworzenia Legionów Polskich przez Józefa Piłsudskiego i konsekwencją znacznego osłabienia dwóch zaborczych mocarstw – Rosji i Niemiec, oraz niemal całkowitego rozpadu trzeciego – Austrii. Te wydarzenia są wprawdzie młodszemu i średniemu pokoleniu Polaków mało znane i wydają się bardzo odległe, ale nie zamierzam relacjonować tego okresu historii, gdyż obecnie publikuje się o nim dużo

wspomnień. Ponadto – wydarzenia z lat bieżących dzieją się tak szybko, że wydają się przesłaniać nawet dzieje Narodu i Państwa z lat tuż po II Wojnie Światowej. Ważne, i może nawet najważniejsze były zmiany terytorialne Państwa – utrata ponad 40% terytorium na Wschodzie, utrata wielu miast – w tym Wilna, Lwowa, Nowogródka, Brześcia i Baranowicz, oraz przesunięcie granicy na Zachód, na linię Odry, połączone jednak z uzyskaniem szerokiego, bardzo przecież ważnego dostępu do Bałtyku, od Gdańska do Szczecina. Zasadniczym problemem tuż po Wojnie było zagospodarowanie terenów na Zachodzie, nazwanych Ziemią Odzyskaną. Wymagało to przeprowadzenie wysiedlenia Niemców, zgodnie z postanowieniami zwycięskich Aliantów, jak i przesiedlenia części Polaków z terenów wschodnich zajętych przez ZSRR – co nazywano eufemistycznie repatriacją.

Miałem od początku zamiar te wielkie zmiany terytorialne pokazać na szkicach map, w koniecznym uproszczeniu, przedstawiających również dawniejsze zmniejszanie się Państwa. Zamierzałem przede wszystkim pokazać, gdzie są te wszystkie kraje – jak Podole, Polesie, Wołyń, Inflanty, Ukraina, Wileńszczyzna, Dzikie Pola - które przez kilkadziesiąt lat należały do zgodnego związku dumnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Kraje te, o ogromnej łącznej powierzchni, należące do Rzeczypospolitej przez podległość Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, miały granice niestabilne, zakreślane podbojami i traktami rozejmowymi, zwykle już od momentu zawarcia nie przestrzegany ściśle. Największy obszar zajmowały po Bitwie Grunwaldzkiej, po podbojach Wielkiego Księcia Litewskiego Witolda, który prowadził dość niezależną politykę zagraniczną, na kierunku Zachodnim wobec Krzyżaków – jeszcze nie całkiem pokonanych, oraz na kierunku wschodnim wobec Złotej Ordy. Wiadomo, że Witold nie był zwolennikiem połączenia Litwy z Polską, w pewnym okresie próbował nawet porozumieć się z Krzyżakami. Rozważał możliwość objęcia po Złotej Ordzie Księstwa Moskiewskiego, obok innych Księstw Ruskich, nad którymi sprawował już zwierzchność. Chciał w tym celu wzmocnić potencjał Litwy przez przyciągnięcie osadników tatarskich, których doceniał i obdarzał zaufaniem, zapewniając pełną swobodę religijną. Rozmieszczał Tatarów głównie na granicy z Państwem Krzyżackim, ale też w specjalnych wsiach o charakterze osad wojskowych, koło ważnych miast – Wilna, Grodna, Trok. Tatarzy garnęli się do osadnictwa na Litwie, zwłaszcza gdy zyskali uznanie, nawet w całej Rzeczypospolitej, przez udział w Bitwie Grunwaldzkiej. Warunki osadnictwa były dla nich korzystne. A przez wdzięczność i uznanie, imię Witolda było wypowiadane w ich modłach, jako imię władcy surowego, ale sprawiedliwego i energicznego. Jednak ostrożny Witold nie wprowadził osadnictwa Tatarów na południu, ze względu na możliwe przejścia świeżych osadników na stronę ordyńców, wciąż jeszcze najeżdżających tereny południowe.

Dostrzegając rozkład założonego przez Tamerlana Imperium Mongolskiego i głównego w nim chanatu Kipczackiego, oraz przewidując rychły upadek Złotej Ordy, Witold sprzymierzył się z chanem Krymu Tochtamyszem, który po zwycięstwie pod Kałą nad chanem Mamajem (1380 r.) i po zdobyciu Moskwy (1382 r.) stał się głównym pretendentem do objęcia władzy w Złotej Ordzie. Byli jednak i inni pretendenci, w tym chan Temur Kutługa. Wśród Tatarów od dawna już trwała w najlepsze wojna domowa o władzę. Za obietnicę pomocy, Witold uzyskał od Tochtamysza duże obszary z dostępem do Morza Czarnego.

Przewidując rozprawę wojenną, Witold i Tochtamysz zgromadzili pod Żytomierzem duże, 38 tysięczne wojsko, które następnie przepławili przez Dniepr. Ta przeprawa okazała się zgubna w skutkach, gdyż wobec dużej liczebności wojsk, nie liczonego się w ogóle z możliwą klęską i nie zapewniono drogi odwrotu przez wody Dniepru.

Do walnego starcia pretendentów doszło nad rzeką Worskłą, lewym dopływem Dniepru. Bitwa nad Worskłą (1399 r.) była pod względem liczby ofiar największą w średniowieczu w tej części Europy. Wojska Witolda, w których oprócz hufca Wileńskiego były hufce Ruskie - Połocki, Riaziański, Briański, posiłki Mołdawskie, Krzyżackie i Polskie, oraz Tatarzy Tochtamysza – doznały straszliwej klęski. Przyczyną było zarówno złe rozmieszczenie wojsk





Bitwa nad Worskłą, oznaczająca kres dążeń Witolda do objęcia tronu moskiewskiego i oderwania Litwy od Polski, nie zaszkodziła innym jego staraniom. Pograżeni swoimi sporami Tatarzy pozwolili Witoldowi zachować zajęte obszary, z dostępem do Morza Czarnego.

Więc, chociaż wieloletnie marzenia Witolda o zdominowaniu przez Wielkie Księstwo Litewskie wszystkim krajów ruskich – nie wyłączając najważniejszego z nich Księstwa Moskiewskiego – załamały się, Rzeczpospolita jako całość państwa zyskała, a Polacy od tej pory przyzwyczaili się twierdzić, że Polska jest krajem „od morza do morza”. To propagandowe hasło przetrwało do naszych czasów.

Przedstawienie dziejów, choćby w największym skrócie - tych utraconych w późniejszych już czasach jeszcze innych krain, oraz ich okazanie na mapach, wydało mi się konieczne, wobec występujących zaników pamięci historycznej. A również dlatego, że sam pochodzę z terenów zwanych zbiorczo Kresami Wschodnimi.

Ród Ojca od wielu pokoleń miał sporą posiadłość ziemską w części Wołynia zwanej czasem Polesiem Wołyńskim, w osiedlu Żerew blisko Owrucza, na północnym brzegu rzeki o tej samej nazwie - Żerew.

Osiedle Żerew jest odległe o około 100 km od leżącego nad Prypecią historycznego miasta Czarnobyl. Kiedyś w Czarnobylu była twierdza, obsadzona wojskiem Rzeczypospolitej, teraz jednak Czarnobyl jest głównie znany w świecie z katastrofy, jaka wydarzyła się w elektrowni atomowej z reaktorami chłodzonymi wodami Prypeci. Wody Żerewa toczące się ku Wschodowi nie zasilają Prypeci bezpośrednio, gdyż po drodze Żerew łączy się z rzeką Noryń, dopływem Dniepro-Prypeci. Osiedle Żerew znajduje się tuż za granicą wyznaczonej „zony”, strefy niebezpiecznego promieniowania po katastrofie elektrowni.



*Nizinny Żerew na niektórych odcinkach przebiega przez przełomy, jak i inne rzeki Wołynia.*

Wracając do tematu - ziemiański ród Dębickich mojej Matki wywodzi się z Żytomierza, miasta leżącego około 120 km na południe od Owrucza. Ziemie te w XIX wieku również administracyjnie należały do Gubernii Wołyńskiej (wcześniej nazywanej Żytomierską, a również - Kijowską).

Obyczaje, nastroje i stosunki panujące na tych ziemiach po ich zajęciu przez Rosję są opisane w książce „Owruczanin”, „powieści historycznej z 1812 roku”. Autorem tej wyjątkowej pozycji jest Michał Czajkowski herbu Jastrzębiec, urodzony w 1804 r. w Hałczyńcu pod Żytomierzem. Czajkowski po ukończeniu szkoły w Berdyczowie w całości poświęcił się idei walki o niepodległość, pod hasłem zbratania narodów polskiego i ukraińskiego. W Powstaniu Listopadowym dowodził znacznym oddziałem kozackim. Po upadku powstania przystał do obozu Księcia Adama Czartoryskiego. Stał się wysokiej rangi agentem Czartoryskiego wykorzystywanym w zabiegach dyplomatycznych i intrygach organizacyjnych w obszarach południowych, głównie w Turcji. Z upoważnienia i za pieniądze Księcia wykupił w Turcji w 1841 r. teren pod budowę wsi, nazwanej najpierw na cześć Księcia Adampolem, w nowszych

czasach przemianowanej na Polonezköy. Miała służyć jako schronienie dla polskich powstańców i uciekinierów z wojska rosyjskiego. Przedłużając swą misję, wstąpił w 1850 r. na służbę wojskową do sułtana, co wymagało przejścia na islam.



Ludwika Śniadecka  
(1802 Wilno-1850 Stambuł)

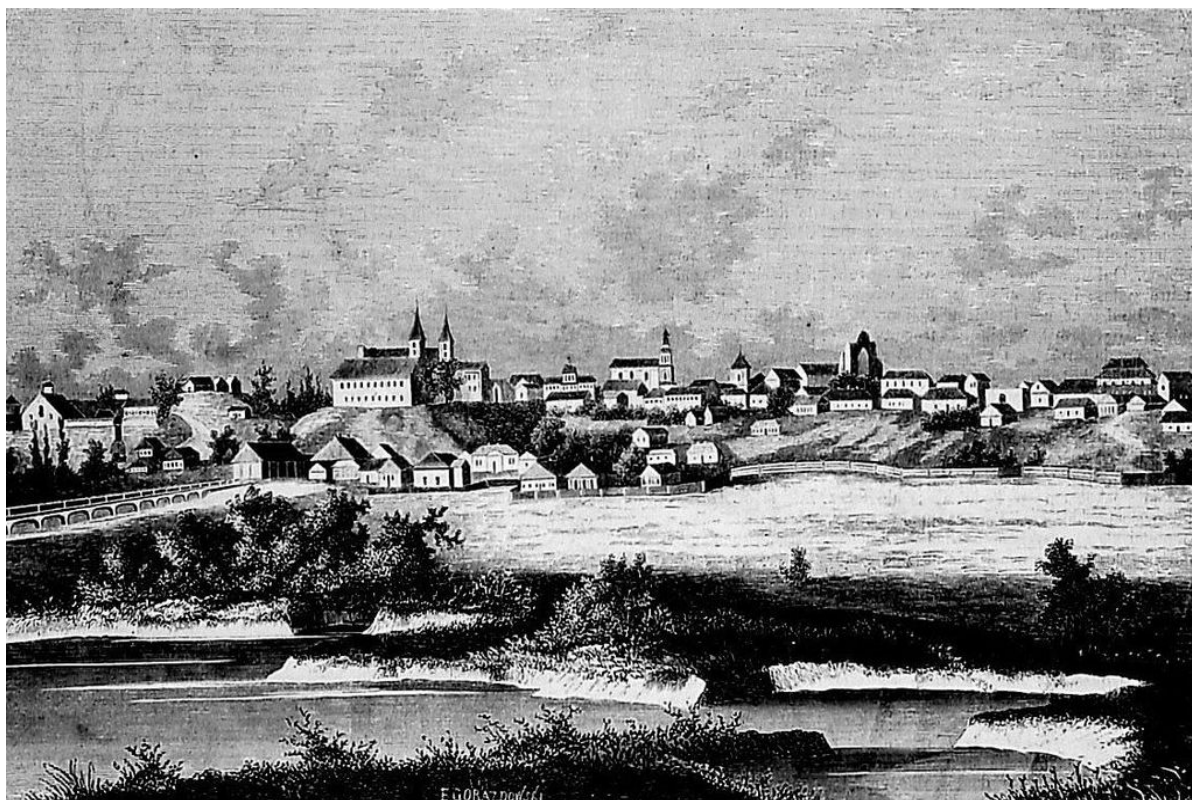
Michał Czajkowski (1804-  
1886)  
(*Mehmed Sadyk effendi*)

Jego pierwszą żoną była Ludwika Śniadecka, córka Jędrzeja Śniadeckiego, wybitnego profesora chemii i fizjologii na Uniwersytecie Wileńskim, którego brat Jan, matematyk i astronom, był rektorem. Działalność obu braci wykraczała znacznie poza ich nominalne dziedziny naukowe, między innymi Śniadecy mają wielkie zasługi w kształtowaniu polskiego języka literackiego i naukowej terminologii. Śniadecka, znana w świecie literackim pięknosc o silnym charakterze, nieco męskiego typu, wyłamując się z rodzinnych tradycji patriotycznych, kochała się w Rymkim-Korsakowie, synu carskiego zarządcy Litwy. Z kolei w Ludwice kochał się – długie lata i bez wzajemności, młodociany Juliusz Słowacki, który utrwalił jej postać w swojej poezji. Po śmierci Korsakowa w walkach na Kaukazie ekscentryczna Śniadecka usiłowała odnaleźć jego grób. Na jakiś czas znikła z widoku, aż do poznania Michała Czajkowskiego, pisarza przejawiającego żywy temperament mieszkańców Podola, Wołynia i kozackiego Naddnieprza. Ludwika włączyła się energicznie w działalność Czajkowskiego, zwłaszcza związaną z Adampolem, gdzie też po śmierci została pochowana. Czajkowski – noszący już wtedy wysokiej rangi tytuł *Mehmed Sadyk effendi*, zorganizował w Turcji z docierających tam Polaków i Rusinów kilka formacji wojskowych, znanych pod nazwą Legion Polski, które wzięły udział w wojnie Krymskiej w 1855 r., i którymi dowodził do przejścia na emeryturę w 1872 r. Był patriotą i idealistą, pasjonatem idei odrodzenia Rzeczypospolitej, początkowo pod wpływem idei mesjanizmu zapoczątkowanej przez Adama Mickiewicza. W swoich kilkunastu powieściach zajmuje się żarliwie jednością polskich i ukraińskich aspiracji wolnościowych. W jednej z nich, graniczącej z mistycyzmem, powołał do życia postać wieszczącego proroka – Wernyhorę. Utrwalona w Weselu przez Wyspiańskiego, na stałe weszła do panteonu postaci narodowych.

Z czasem zniechęcony niepowodzeniem Czajkowski zajął się rozważaniem idei panslawizmu. Amnestiowany przez cara, osiadł we wsi Borki, zakupionej za podarowane przez cara pieniądze. Zakończył życie strzałem z pistoletu w 1886 r.

Problemami Wołynia i Podola, zarówno kulturalnymi, jak i związanymi ze współżyciem chłopów i szlachty, zajmował się z wielkim zaangażowaniem nasz największy pisarz historyczny Józef Ignacy Kraszewski (1812-1887), dzierżawca i właściciel ziemski na Wołyniu, przez pewien czas kurator szkolny i kierownik teatru w Żytomierzu, a również wydawca własnego czasopisma literackiego „Atheneum” w Wilnie. W pewnych powieściach typu „chłopskiego” ujawniał ogromną przepaść między ziemiaństwem a chłopstwem. Swym patriotycznym, a przy tym ostro antyfeudalnym piarstwem zwrócił uwagę zarówno władz rosyjskich, jak i Bismarcka – został z Imperium Rosyjskiego wydany, a w Prusach, gdy osiadł w Dreźnie, skazany na 3 lata twierdzy. Odsiedział wprawdzie tylko kilkanaście miesięcy, ale ścigały go niepowodzenia – gdy ze zrujnowanym zdrowiem osiadł we Włoszech, utracił cały majątek w wyniku trzęsienia ziemi. Umarł w Genewie.





*Panorama Owruć nad rzeką Noryń (1864, Tygodnik Ilustrowany)*

Owruć jest jednym z najstarszych miast we wschodniej Europie, wykopaliska dowodzą istnienia na jego terenie osiedli przed kilku tysiącami lat. W latopisie „*Powieści minionych lat*” (946 r.) jest wymieniony pod nazwą Wruczaj. W 977 r. w bratobójczej bitwie pod Owrućem został zabity Książę Oleg Światosław, przez brata Jarosława. Inny brat, Książę Włodzimierz Wielki, uczcił pamięć zabitego wystawieniem w Owruću cerkwi. Najpierw była to budowla drewniana, w dalszych latach zbudowano wielką cerkiew murowaną. Owruć był w dziejach kilkakrotnie niszczone przez Mongołów i Litwinów.

Przez ród Wiśniowieckich Owruć należał do Korony (w latach 1569-1655). Domniemywa się, że Książę Jeremi Wiśniowiecki urodził się w Owruću, i że tu miał swój pierwszy pogrzeb.

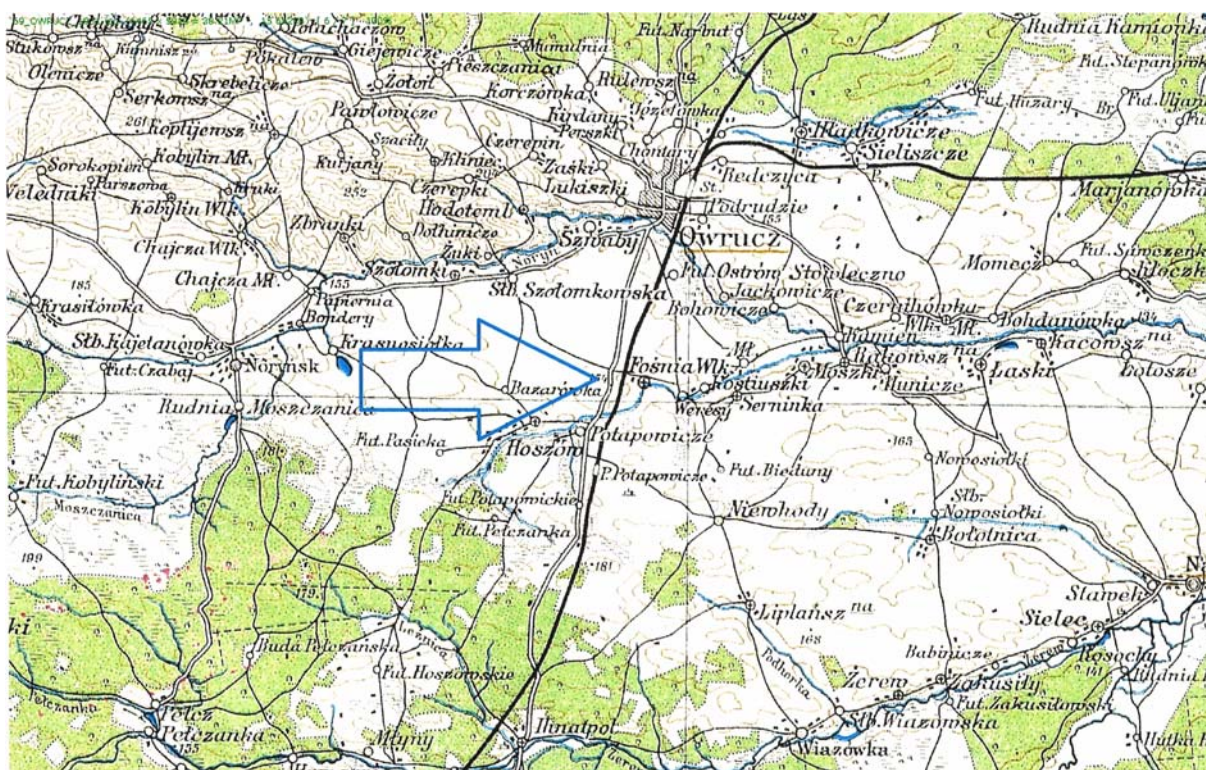
W czasie wyprawy Kijowskiej 11 lipca 1920 r. oddział polskiej kawalerii dowodzony przez płk. J. Bułat-Balachowicza brawurowo zdobył Owruć. Wyzwolił więźniów z lochów CzK, przejął zdobytą broń (armaty i 30 KM), jednak wkrótce wobec kontr-ofensywy wycofał się.

W bliskim sąsiedztwie, na południe od Owruća znajdował się majątek Fośnia Wielka (i osiedle o tej samej nazwie, położone na płaskim, dogodnym do uprawy terenie, z żyzną ziemią). Nazwa Fośnia jest pisana różnie – jako Feśnia, Fóśnia, Chwośnia

W Fośni Wielkiej urodził się w drugiej połowie XIX wieku wybitny polski rzeźbiarz Antoni Madeyski, twórca m.in. dwóch królewskich sarkofagów na Wawelu. Jego działalność, powiązania z moją Rodziną, oraz z Aleksandrem Gierymskim – przedstawię później.

W Fośni Wielkiej przyszedł też na świat mój Ojciec i jego Rodzeństwo. Jednak mój Dziad Feliks Baranowski gospodarzył i czuł się najlepiej w Żerewie, odległym tylko o ok. 19 km od Owruća i 14 km od Fośni. Mój Dziad miał i drugie imię – Paschalis, nawet w tych dawnych czasach rzadko już nadawane. Zamieszczona niżej współczesna mapa okolic Owruća z XX wieku ujawnia gęstą sieć dróg i linie kolejowe łączące liczne osiedla. Następna mapa reprezentuje wcześniejszy stan okolic, z rzadszą siecią dróg i mniejszą liczbą osiedli.

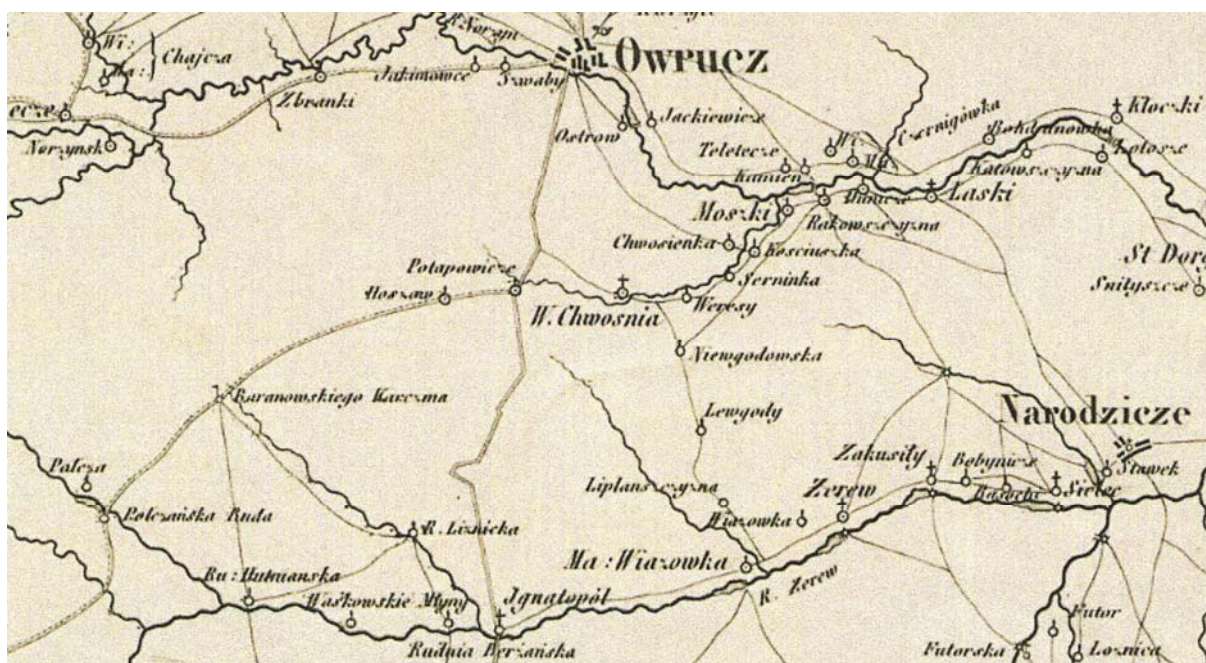




Okolice Owruća, z zaznaczeniem Fośni Wielkiej, Żerewa, biegu rzeki Żerew i innych rzek łączących się z przepływającą przez Owruć rzeką Noryń. Rzeki łączą się we wschodnich okolicach miasta Narodycze (zaznaczonego szcztkowo na prawej krawędzi mapy).

Współrzędne GPS Owruća: 51°19'21"N 28°48'54"E.

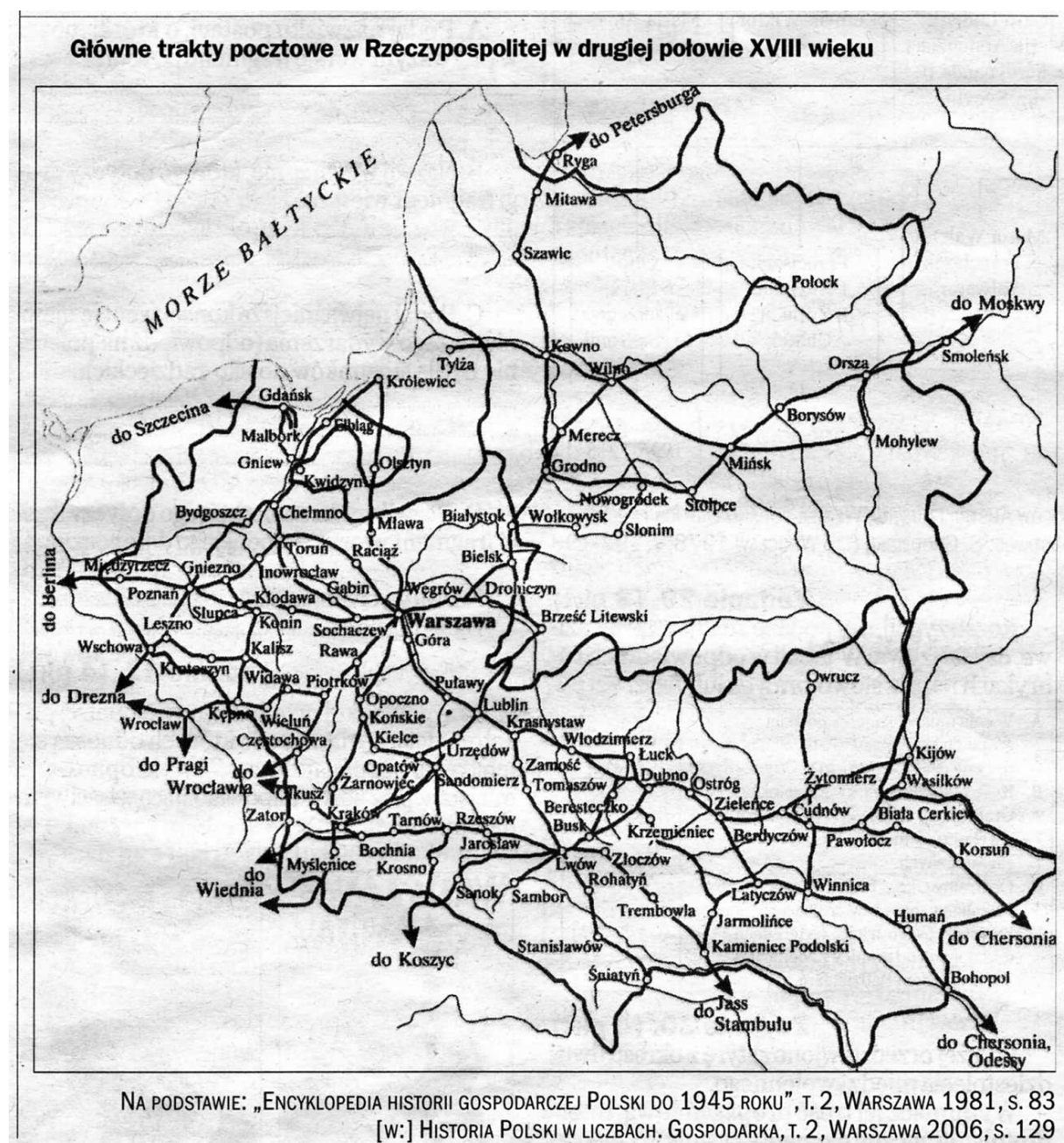
Tę Mapę zawdzięcam Łukaszowi Kukierowi, wnukowi mojej koleżanki Marii Zakościelnej z Zaklikowskiego Gimnazjum.



Okolice Owruća na przełomie XVIII/XIX wieków(wg mapy z Bibl. Cyfrowej Uniwersytetu Wrocławskiego). Rozległe błotniste obszary, brak i zły stan grobli oraz mostów, utrudniały gospodarzenie i komunikowanie między osiedlami. W tych czasach zamieszczano na mapach pomocne w podróży informacje, nawet o pojedynczych karczmach przydrożnych.

Znajdź, Czytelniku, na Mapie Karczmę Baranowskiego, przyjazną Podróżnym, i mocą wyobraźni ocal od zapomnienia.





**21 grudnia 2014 r.**

Mam zasadnicze trudności z pisaniem wspomnień, bowiem nigdy nie byłem na Podolu, ani na Wołyniu. Problemem głównym jest to, że chociaż czuję się silnie związany z tym stronami, jednak niewiele wiem o moich przodkach, zarówno o Ojcu, jak i o Matce, o innych bliskich i mniej bliskich krewnych i powinowatych. O niektórych zdarzeniach i postaciach, w tym o moich Rodzicach, dowiadywałem się stopniowo, w toku różnych sprzyjających okoliczności i rozmów. O pewnych, bardzo emocjonalnie ważnych, dowiedziałem się całkiem niedawno, w połowie września tego roku. Dzięki nim wznowiłem po przeszło roku pisanie, bo chociaż chciałem zaniechać, to jednak wobec nowej wiedzy zaniechać pisania nie wypadało. Głównie ze względu na poczucie powinności względem bliskich, zwłaszcza zaś względem mojej Ciotki, Marii Pigłowskiej, zasłużonej dla Rzeczypospolitej. Ale o tym na dalszych stronach, tymczasem zaś oznajmiam, że moja opowieść wspomnieniowa raczej nie będzie w porządku chronologicznym, zwanym też linearnym. Bo moje życie, ściślej, dowiadywanie się o tym i owym, było nie-linearne. To życie, czyli Byt, nie obfitowało jednak w jakieś super

ekscytujące wydarzenia, więc gdyby nie owe nazwane wyżej poczucie powinności, może honoru, to może zaniechał bym pisania – tłumacząc się przed sobą i innymi - a to zmęczeniem, osłabieniem woli i wzroku, a to marnością bieżących wydarzeń tego świata, niegodnych wspomnienia. Jednak dziś poczułem wolę walki, czyli pisania – tak to bywa. Będę jednak pisał coś w rodzaju układanki, poza trybem chronologicznym. Konstrukcja będzie oparta początkowo na wspomnianiu problemów z dzieciństwa, młodości, a i z późniejszych lat, ze szczególnym uwzględnieniem ważnych dla mnie osób. Oraz tego, co robiłem w swoim życiu, tak zwanym zawodowym, z pewną pychą nazywanym rozwojem naukowym. Nie jest to zamierzenie zbyt ambitne, ale wynik może będzie strawny.

Na wszelki wypadek zamierzam na początku, już zaraz, zamieścić mój skrótowy życiorys, napisany przed trzema laty w trybie nieco żartobliwym, na użytek tych, którzy chcieliby coś o mnie już i to zaraz wiedzieć, bez czytania nużącej, mało interesującej całości. Dla mnie zamieszczenie takiego wstępnego życiorysu to też ulga, bo mogę dalsze części wspomnień konstruować bardziej niefrasobliwie.

Powyższy fragment jest nieprzypadkowo zamieszczony pod data 21 grudnia 2014 r. Od lat odczuwam magię niektórych liczb, zwłaszcza numeracja lat robi na mnie wrażenie. 2014 rok kojarzy się fatalistycznie – co dla mnie oczywiste – z rokiem 1914. Inne daty też. Zaś 21 – to przecież magiczna liczba z karcianej gry w „oczko” – niechybnie kabalistyczna. Więc miało dla mnie znaczenie, miała pewną moc decyzja wznowienia pisania wspomnień jeszcze przed końcem 2014 roku, i to w dniu oznaczonym numerem 21. Zatem – Hosanna!

#### **24-29 grudnia 2014 roku**

Minęło już 5 dni Świąt. Od lat nie lubię tzw. Godów, i ta niechęć z latami potęguje się, a zaczęła się chyba w 1939 roku. Gody, to okres od mniej więcej Św. Mikołaja, po Trzech Króli – informacja dla tych, co nie znają dawnych lat, nazw, zwyczajów i zimowych kuligów. Już w 1939 roku nie było Św. Mikołaja, według rozporządzenia świeżych, a szybko działających władz, w szkołach z urządzaniem choinki trzeba było poczekać. Niedługo, bo do Nowego Roku, a przy choince Świętego zastępował Dziadek Mróz. Choinka musiała być wyjątkowo duża, bo teraz trzeba było oprócz klejonych z papieru łańcuchów, wycinanych sylwetek aniołów z doklejanymi skrzydłami i sukienkami z marszczonego kolorowego papieru, zmieścić na niej samoloty bojowe – tymczasem z drewna, ale z dużymi skrzydłami. Jabłuszka owszem były, były też gwiazdki, ale i gwiazdy, duże, pięcioramienne, ładne – bo czerwone. Świeczek jednak nie było, nawet i elektrycznych – jeszcze nie ta epoka, elektryczność miała dopiero nastąpić. Niczego się nie śpiewało, bo nowych pieśni jeszcze nie poznano. Było to we wsi Chotów, położonej między Iwieńcem, Nalibokami, Derewnem i Rubieżewiczami. W tej dużej wsi przetrwaliśmy całą wojnę, początkowo w nowej pięknej szkole, zbudowanej w 1937 roku i na początku noszącej nazwę Józefa Piłsudskiego. Nowa szkoła była nie całkiem wykończona, ale już w styczniu 1943 r. została doszczętnie spalona, na rozkaz z Moskwy, by nie mógł stanąć w niej wróg. Była sytuacja, zwana tu albo wojną – albo wyzwoleniem, a gdzieindziej zwyczajnie okupacją. Pod Stalingradem dogorywała wtedy armia Paulusa, zapatrzona pożądliwie w Wołgę. Jednak decydowały Syberyjskie Bataliony i Generał Mróz – tegoroczna zima była wyjątkowo ostra, wymarzły całkowicie na ogromnym obszarze wszystkie drzewa owocowe. Ważyły się szale wojny – nawet do Chotowa docierały o niej wieści, bo były nocne zrzuty ulotek. A zresztą, przez wieś niemal codziennie na furach, bądź saniach, przemieszczały się potężne, dobrze zorientowane oddziały partyzanckie z ogromnej Puszczy Nalibockiej. Radia nie było, za to nocami przez roziskrzony śniegi dolatywało od lasów wycie wilków. Trzeba było i jednak można było przetrwać. Pamiętam, na Wigilię mieliśmy ziemniaki gotowane w łupinach, mieliśmy do nich jeszcze sól, taką kuchenną, gruboziarnistą, była też kasza - i to na mleku. Chleb był prawie zawsze. Inni rozkoszowali się wtedy samogonem, bo zapoczątkowało się powszechne konstruowanie

domowej aparatury destylacyjnej, z różnych naczyń i rurek wyciąganych z machin wojennych porzuconych na pobojuwiskach. Dobre były rurki mosiężne, używano jednak i żelaznych. Poznane wówczas samolotowe aluminium właściwie do niczego nie nadawało się poza wykłapywaniem blaszanych kubków. Próbowano jeszcze z blach aluminiowych wyrabiać grzebienie, początkowo uważano je za bardzo przydatne do wyczesywania wszy. Zwykły sposób, polegający na myciu włosów w nafcie, z braku nafty nie mógł być stosowany. Mydła w Chotowie raczej nigdy w nadmiarze nie było i przed wojną, do prania używano ługu otrzymywanego w obfitości z popiołów. Stał zwykle w cebrzykach tuż przy domu, lub w poddaszu szopy, czy chlewika. Ten pożyteczny płyn był ważny również przy wyprawianiu płótna, i różnych tkanin, w szerokim świecie nazywanych samodziałami. A tu – innych się prawie po wsiach nie nosiło, miejskiego typu bawełniane bluzki, koszule i spódnice dziewczyny dostawały raczej dopiero w bliskiej perspektywie dojrzewania do zamążpójścia.

Moja niechęć do okresu Godów z upływem czasu wzmaga się. U kresu życia nie dostrzegam dawniejszego dostojeństwa, radosnego i czasem nawet tęsknego oczekiwania Godów, zwanego Adwentem. Widzę za to natrętne zbędne wydatki, zagłuszanie międzyludzkich uczuć nadmiernie i tandetnie wygłaszanymi życzeniami, spotkaniami opłatkowymi, uroczystościami, widzę panoszenie się reklam we wszelkiej ich postaci. Pomijam obżarstwo i pijaństwo, bo to było zawsze. Oczywiście, są i dobre strony – zainteresowanie sportami zimowymi, zwłaszcza skokami narciarskimi, ale jednak czynne uprawianie narciarstwa, choćby biegowego, jest wciąż rzadkie. Pojawiły się jednak możliwości niezbyt kosztownych wyjazdów na narty, na Słowację, lub w Dolomity.

W Gody media bombardują złymi wiadomościami – pożarami, samobójstwami i zabójstwami - nawet przypadkami zadżgania osób bliskich, członków rodziny, wyczynami nożowników w Krakowie, nawet przypadkami utonięć i zamarznięcia. Dzisiejsze wiadomości poranne podają wyjątkowo dużą liczbę wypadków na drogach – aż 35 ofiar śmiertelnych w ciągu 5 dni świątecznych. Ich dzisiejszą „okrasą” jest ujęcie w Pyzdrach 26 letniego kierowcy bez prawa jazdy, z zawartością 2,5 promila alkoholu we krwi. Wjechał Mercedesem w pobliskich Ratajach na chodnik, w grupę 3 osób, ze śmiertelnym skutkiem dla jednej. Przeczytałem o tym z samego rana. Przypomniało mi się, że w swojej książce, z racji poruszania problemów Balistyki wzmiankowałem o Pyzdrach, – jak to w 1383 r. Wielkopolanie oblegający miasto Pyzdry użyli działa do sforsowania bramy miejskiej – też była ofiara śmiertelna. Kamienny pocisk przebił wrota i zabił stojącego na ulicy plebana, Mikołaja z Bechowa, o czym wiadomo z kroniki Janka z Czarnkowa, duchownego, archidiakona gnieźnieńskiego i podkanclerza Kazimierza Wielkiego.

Dziś jest 29 grudnia 2014 roku. Czytam od rana również inne ciekawe informacje – na przykład, o nagonce agresywnych ”wierzących” na Krzysztofa Zanussiego, reżysera zawsze poruszającego w swoich filmach problemy moralne. Widocznie „poruszył” w nowym filmie nie całkiem według wierzeń „wiernych”. Dalej czytam o znalezieniu niby śladów po zaginionym w Święta samolocie, już drugim zaginionym w tym roku airbusie pasażerskich linii malezyjskich (a właściwie trzecim). Pozostały jeszcze 3 dni do końca tego roku, do rozpoczęcia Nowego 2015 roku. Zastanawiam się, ile jeszcze wypadków, w tym roku jeszcze, się wydarzy? Będą przecież – Sylwester i powroty „zakopianką”.

Moje wspomnienia i rozważania o dawniejszych czasach przeplatają się jakoś z rozważaniami o bieżących wydarzeniach. Wspomnienia przekształcają się w rodzaj dziennika, przez datowanie. Nie było to zamierzone, a wynikło z poszukiwania formy wspomnień. Rozważałem różne warianty, bez przekonania, ale gdy się już zaczęło pisać – to trzeba jednak było pisać, nie zaniechać. Nie sądzę, by ta obecna forma się utrzymała, ale może to i dobrze, że tak się zaczęło, bo obecne wydarzenia konfrontowane z dawnymi, dają przez zestawienie taki pogłębiony relief – bo ja wiem. Potem może nie będzie się chciało przywoływać wydarzeń bardzo zamierzchłych – ale teraz różne dawne wspomina się z pożytkiem. Później

może te dawniejsze będą już zbyt bliskie teraźniejszości – bo ja wiem. Te dawniejsze mogą być ciekawe, a przecież umykają. Od dwóch dni zaczynam je zapisywać w oddzielnym notesie. Powinienem też zapisywać sny, a raczej wrażenia po snach, których mam dużo. Te świadectwa ujawniającej się podświadomości bywają zastanawiające.

Odnutowuję wczorajsze zreperowanie mojego ulubionego (a jak pożytecznego!), kalkulatora ręcznego HP 21, zakupionego przed 40 laty z zachomikowanych funduszy mojego Zespołu. Niedawno ocalił go od zagłady Grzegorz Janik, utalentowany i uczynny informatyk z Zaklikowa. Moja wczorajsza interwencja polegała tylko na sklejeniu obudowy zasilacza, była ryzykowna i trwała 6 intensywnych godzin nocnych, bo aż do 5,50 nad ranem. Udało się.

### **30-31 grudnia 2014 roku**

Już pierwsze 4 godziny przedostatniej doby 2015 roku. Co się może jeszcze w tym roku wydarzyć? Co trzeba będzie zaprotokołować? Podano, że wykryto ślady paliwa w miejscu prawdopodobnej katastrofy i zatonięcia malezyjskiego samolotu koło Sumatry. Donoszą też, że minister Ławrow przedstawił możliwość rozwiązania problemu Ukraińskiego, warunkując tę możliwość nie wtrącaniem się czynników zagranicznych. Ciekawa, zagadkowa forma propozycji. Czy właśnie to będą te najciekawsze wieści końca Roku. Ja zapewne odnotuję całkowity brak choćby śladów chęci porozumienia się Doroty ze mną. Jednak niewiele wiem, kurtyna jest nadal szczelna i zasłania również wnuczki. A przecież były w ciągu tych 30 lat momenty porozumiewania się, nawet poprzez Andy, tak wysokie i położone tak daleko, bo przecież na kontynencie południowo amerykańskim. Ale są też inne siły, może diabelskie, i one tu zapewne mącą, działają.

Do zamknięcia tego wycinka, do końca 2014 roku, jest jednak jeszcze półtora dnia, jeszcze wszystko może się zdarzyć. Nigdy nie można tracić nadziei, ona – jak wiadomo – umiera ostatnia. Jednak następny odcinek, to będzie ta zapowiedziana wstawka, czyli życiorys niby żartobliwy. Może skorygowany, a może taki, jaki był.

Minęła pierwsza godzina ostatniego dnia 2014 roku. Wydarzenia biegą swoim trybem. Są wyławiane i identyfikowane liczne ciała ofiar z katastrofy malezyjskiego airbusu, na płytkich wodach między Jawą i Borneo. Nie odszukano nastolatków zaginionych na bagnach Liwca. Sprowadzono szczęśliwie kilku ceprów, zaginionych i wymarznionych w Beskidach, w doliny. Sąd w Argentynie uznał orangutanicę Sandrę za „osobę nie będącą człowiekiem”, i wydał wyrok, że jako **osoba** nie może być więziona w ZOO. I tylko tymczasem tyle, jeżeli nie liczyć zgonów znanych osób, zgonów naturalnych, nazywanych nie wiedzieć czemu tragediami.

Nic poza końcem 2014 r. nie dzieje się, zatem dołączam zapowiadany „życiorys żartobliwy”.

Jerzy Hubert Baranowski – życiorys z perspektywy Wiosny 2012, również 2014

Życiorys ma być krótki i raczej taki „po łebkach”, na  $\frac{3}{4}$  strony – tak radził przyjaciel zza Oceanu. Teraz nie ma miejsca na prywatność - naiwniaka zwierającego się zbyt szczegółowo czytelnicza gawiedź niemiłosiernie obedrze ze skóry. Święta prawda, i sama prawda - jak pisał Profesor Ks. Józef Tischner, ale pomyślałem sobie, że może to mój ostatni życiorys, że może tylko on zostanie, więc coś więcej, niż nic – napisać trzeba. Bo teraz jest tak, że jeżeli kogoś nie ma w Internecie, to jakby go w ogóle nie było. Mnie to akurat nie grozi, bo jestem wymieniany – mam nadzieję, że jeszcze jestem – w gronie profesorów Politechniki Warszawskiej, wśród innych Elektroników.

Jednak do rzeczy: pochodzę ze Wschodu, czyli - jak to się do niedawna mówiło, zza Bugu. Nazwa wyszła z użycia, a ci, co tak orzekali, chyba nie wiedzieli, że można pochodzić z dużo dalszych okolic, np. z nad Prypeci i Dniepru, z Owruca co to koło

Czarnobyła jest, nawet z nad sławnej rzeki Kury w Gruzji. Ale to w poprzednim pokoleniu. Ba ja zdecydowałem się przyjść na świat w Nowogródzkim, koło Klecka, co to leży pod Nieświeżem, nad rzeką Łań, piękną, ale głęboką i błotnistą, co miało znaczenie. Po pierwsze, gdy w parę lat po urodzeniu (1930) uczyłem się w rzece pływać, mało się nie utopiłem. Natomiast trochę wcześniej, bo w 1508 r., potopiło się w niej mnóstwo Tatarów, gdy uderzyły w nich wojska polsko-litewskie pod wodzą Michała Glinńskiego. Potomkowie pojmanych Tatarów, osadzonych w różnych stronach, stali się dobrymi obywatelami Rzeczypospolitej. Oddech Wschodu, historii i wydarzeń kresowych - czułem na sobie zawsze, nadal go czuję, również przez nazwy okolic i miejscowości. W pobliżu miejsca urodzenia była wieś Mickiewiczze, mieszkalem też w samym sercu Puszczy Nalibockiej, później w Stołpcach i w okolicach Iwienca. Matka – absolwentka Gimnazjum Żytomierskiego, uciekinierka wraz z wojskami Piłsudskiego wracającymi z wyprawy Kijowskiej w 1920 r., była w kolejnych Kresowych miejscowościach angażowana jako nauczycielka. Ojciec, prawnik po studiach w Petersburgu praktykujący w Tyflisie (obecnie Tbilisi), z pomocą Gruzinów uniknął w 1918 r. najgorszego, i przedarł się do Polski. Z rodzinnego Żerewa położonego nad rzeką o tej samej nazwie (Żerew, dopływ Dniepro-Prypeci, tuż przy Czarnobyli), ze swego pierwszego małżeństwa ocalił i wywiózł do Warszawy pod opiekę swojej Siostry, kierowniczkii Biblioteki Miejskiej na Piusa, tylko najmłodszą córkę Sławę. Nie poznałem nigdy moich dziadków ze strony Matki i Ojca, zaginęli w odmętach wydarzeń 1917 r. Jestem owocem późnego małżeństwa Ojca, starszego już Pana, z moją dzielną Matką. Po śmierci Ojca (1935 r.) przenieśliśmy się po Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, zawsze blisko granicy, zawsze w spletanym kłębowisku problemów narodowych. Czuąc oddech pogranicza, przemysłnictwa, Rosji i ZSRR. Po paru latach miałem Ojczyrna, nauczyciela, kolegę Matki, przyzwoitego człowieka, fascynującego się szkołą, zakładaniem świetlic i nade wszystko radiem. Otrzymałem też drugą siostrę – Marię. Dziwna była sytuacja rodzinna – moje dwie siostry nie były przecież spokrewnione i nawet nigdy się nie poznały. A sam byłem pod urokiem legendy o moim Ojcu, pieczołowicie przekazywanej mi przez Matkę. Niestety, tylko ustnie, bo wszelkie dokumenty odnoszące się do spraw rodzinnych, oraz fotografie, Matka spaliła natychmiast w piecu w dniu wkroczenia sowieckich wojsk we wrześniu 1939 r. Matczyrna znajomość wydarzeń „rewolucyjnych”, jakie działy się w latach 1917-20 w Tyflisie, Odessie, Kijowie i Żytomierzu, pomogła nam uniknąć losu wielu Polaków, wywiezionych na Wschód, głównie do Kazachstanu. Zdołaliśmy przeżyć Wojnę Światową na Kresach bez strat, chociaż z licznymi przygodami – jedną z nich było podpalenie mroźną zimową nocą pięknej drewnianej nowej szkoły im. Józefa Piłsudskiego w której mieszkaliśmy, akurat o północy, gdy zasnęliśmy. Spłonęły sprzęty, szafy biblioteczne, ale nie całkiem. Zamieszkaliśmy w oborze.

Pomijam wydarzenia wojenne, skomplikowane boleśnie na Kresach. Udało się, repatriowaliśmy się w 1945 r. ze stacji Stołpce w kierunku na Zachód. Dowiedzieliśmy się, że w Warszawie Rodzina poniosła straty, w Powstaniu Siostra Ojca zginęła, Sława zaginęła wywieziona do Niemiec. Matka zarządziła, by nie osiedlać się nigdzie indziej, tylko w okolicach Zaklikowa, bo w pobliskim Potoku Wielkim zostawiła w 1920 r. swoją młodszą siostrę, pod opieką proboszcza Ks. Włodzimierza Grzędzińskiego, naszego powinowatego. W Zaklikowie ukończyłem Gimnazjum, i postąpiłem do Liceum Telekomunikacyjnego w Warszawie przy Nowogrodzkiej, gdzie Dyrektorem był nieodżałowanej pamięci Inż. Henryk Kowalski. A później – po epizodycznym zatrudnieniu w WAT wstąpiłem na Politechnikę Warszawską. W toku studiów zostałem zatrudniony na etacie asystenta. Dotrwałem

na Wydziale Elektroniki „do końca”, na emeryturę przeszedłem w 2000 r. jako profesor zwyczajny, wieloletni Kierownik Zakładu Układów i Systemów Elektronicznych. Kto zechce poznać moją działalność zawodowo-naukową, zwłaszcza fascynacje szybkimi półprzewodnikowymi układami impulsowymi i ich modelowaniem komputerowym, może sięgnąć np. do zamieszczonego w Elektronice 8/2009 autobiograficznego tekstu „Moje Układy Elektroniczne, czyli - od Stołpców po Warszawę” (str. 98-203). Tu powiem tylko skrótowo, że przypadło mi zaszczytne współuczestniczenie w zespole autorskim realizującym pionierskie dzieło wdrożenia do nauki i techniki na skalę krajową nowoczesnych elementów – tranzystorów, układów półprzewodnikowych i układów scalonych.

Zajęcia w Politechnice były absorbujące, nie pozwalały na wiele, rekreacyjnie zajmowałem się jednak wędkowaniem, żeglowaniem, czasem malowałem. Zainteresowania myślistwem i balistyką przyszły późno. Pamiętam, że kiedyś goszcząc u myśliwych przy wieczornym ognisku i przy winie, nad leśnym cichym jeziorem, przy namiotach, zadałem zniecierpliwionemu pytanie: jak długo opadałby śrut wystrzelony pionowo w górę? Nie umiano mi odpowiedzieć, więc musiałem sobie sam ten problem przeanalizować i obliczyć. Krąg zagadnień balistycznych rozszerzał się i co raz bardziej intrygował, no i zostałem przez to wciągnięty do myślistwa. Dostrzegłem, że balistyką w odniesieniu do myślistwa nikt się u nas nie zajmuje, że w krajowej literaturze myśliwskiej są braki. Dostrzegłem również zbieżność niektórych programów komputerowych używanych w Elektronice i w Balistyce. Dlatego zastosowałem się do zasady głoszonej przez znakomitego Michała Faraday’a: jeżeli czegoś nie wiesz, napisz o tym książkę. I tak powstały dwie moje hobbystyczne, ale i naukowe książki: **Broń i balistyka myśliwska** (1994), oraz **Elementy Balistyki – dla dociekliwych, i nie tylko dla myśliwych** (2012, 2014). Może ktoś je dostrzeże, przeczyta?

Dodatkowe informacje, żebym nie zapomniał.

Ulica Piusa XI – to teraz głównie ulica Piękna, ale część tej ulicy powstała z przedłużenia części dawnej ulicy Koszykowej, która - gdyby ją wykreślić wg dawnych planów Warszawy - szła na ukos przez obecny plac Konstytucji. Jej pozostałość w linii kandelabrowej po przejściu przez bramę nazywa się więc nadal zgodnie z tradycją ulicą Koszykową. Można odszukać tam budynek dawnej Biblioteki Miejskiej, której jedną z sekcji kierowała Maria Pigłowska, dla mnie – Ciocia Marynia. Grób Ciotki dostrzegłem na Cmentarzu na Powązkach, niedaleko grobu Rodziców Basi (jeżeli to Jej grób).

Moja siostra Sława, też bibliotekarka – w czasie okupacji (może dopiero w Powstaniu) – zawarła małżeństwo, i nazywała się Sława Rudnicka. Po obozowych przejściach osiadła jako bibliotekarka w Gdyni. I tam zmarła.

### 1 stycznia 2015 roku

Od kilkunastu godzin spędzam czas na spaniu, w długich haustach, co się korzystnie objawia zmniejszeniem (ale nie całkowitym zanikiem) szumu i szczekliwych trzasków w głowie. Jednak wstawałem, by przymusowo napić się herbaty zleconej przez pokładowego lekarza, no i zajrzeć do Internetu – czy aby nie ma jakichś sygnałów. Nie było, nie było – więc, parafrazując Mickiewicza z pod stepów Akermanskich, rzekłem sobie: „*jedźmy, nikt nie woła*”. I pojechałem, co znaczy, że ogoliłem się, wystawiłem na balkon butelkę wina mołdawskiego, by się ochłodziło, oblokłem odświętne szaty – i już była północ i Sylwester, a z nim 2014 rok kończył się. Więc jeszcze zdążyłem przygotować i zapalić świece w lichtarzach (jedna przewróciła się i czernią gasnącego knota splamiła obrus, nasz najlepszy, jaki Basia położyła na stole). Już było 10 minut spóźnienia, więc szybko zapaliłem pęk ogni bengalskich, machając z balkonu ku sąsiadom z bloku naprzeciwko, którzy czynili to samo, ale oni zaczęli wcześniej. Na naszym 7 piętrze wiał niezły wiatr (jesteśmy na rogu domu), gwarantujący wzmożenie przeziębienia, więc Basia szybko wyciągnęła mnie z balkonu, złożyliśmy sobie gorące a „cywilne” życzenia, z lampkami zimnego wina, niezupełnie



stosownie pojadając bigos (ja – raczej za dużo). Jeszcze zająłem się wysłaniem Romom (Roma i Darek Szymański) obiecanych fotografii z Mamotów, dokumentujących niezwykle dokonania tamtejszego proboszcza ks. Kazimierza Pińciurka (wysłałem je też za Ocean). To była duża przesyłka (106 MB) i trzeba było zachodu, by ją przepchać. I wypadało już, nie bacząc na TV (Basia oglądała) jechać dalej, śpiesząc się tak, jakby się brodziło po stepach Akermanskich, podążając do ogrodów Bakczysaraju (to chyba na Krymie – stosowne przypomnienie). To znaczy – zacząłem pisać o 4.35 to, co teraz piszę, a teraz jest już punkt 6ta. Pisałem beztrąsko, bo tak najlepiej, na luzie, ale pewną decyzję trzeba było podjąć, bo należało jednak pisać znowu jakby od początku, więc problem – zacząć od siebie, czy od Rodziców, jakby wypadało. Otóż, zacznę od siebie, a do tego – tak się zagłębię w dawne czasy, że raczej już nie będę odwoływał się do chwili pisania i datował – wcale, albo rzadko.

## Dzieciństwo i Rodzice



Diecezja Pińska  
Parafia *Płaskowice*  
L. *79* WYCIĄG

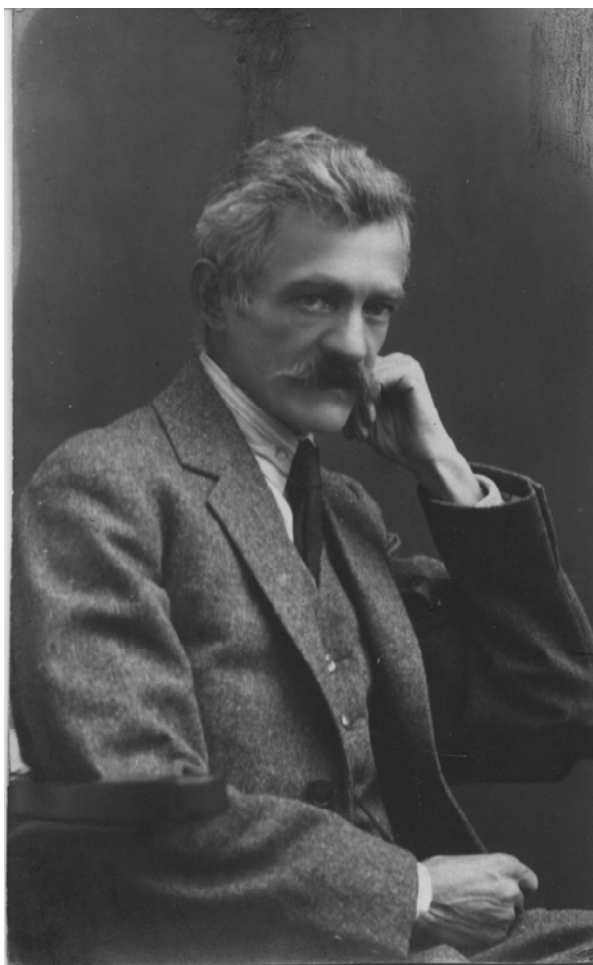
z metrykalnej księgi chrztów r.-katolickiego kościoła parafialnego  
w *Płaskowicach* pow. *nieświeżski* woj. *nowogródzki*  
z roku *1931* pod L. *44*

Imię i nazwisko ochrzczonego	<i>Jęży - Hubert Baranowski</i>	
Dzień, miesiąc i rok urodzenia	<i>9 lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego (1930) roku</i>	
Miejsce urodzenia	<i>Mierwiny Duże</i>	
Rodziców ochrzczonego:	ojca	matki
Imię	<i>Jęży</i>	<i>Jamna</i>
Nazwisko	<i>Baranowski</i>	<i>Brzobka</i> <i>Baranowska</i>
Dzień, miesiąc i rok chrztu	<i>20 lipca 1931 roku</i>	
Miejsce chrztu	<i>Płaskowice</i>	
Imię i nazwisko kapłana, który udzielił chrztu	<i>Ms. Bolesł. Małeck.</i>	
Imię i nazwisko świadczących	<i>Stanisław Okieńczycki</i> <i>Jadwiga Rudnicka</i>	
Adnotacje w myśl kan. 1103,		
<i>Ms. Bolesł. Małeck.</i>		

Z oryginałem zgodne.  
Wydano w *Płaskowicach*  
dn. *5 listopada* 19*31* r.  
*Ms. Bolesł. Małeck.*  
Probosc. *Płaskowice*

To ja w wieku 6 lat, a to metryka mojego chrztu, po roku od urodzenia

Niewątpliwie urodziłem się 9 lipca 1930 roku, o czym zaświadcza metryka wystawiona przez Księdza Bolesława Małeckiego, proboszcza Parafii Płaskowickiej. Pewne wątpliwości mogłaby budzić opóźniona o ponad rok data chrztu, ale że Płaskowice były dość odległe, a ja urodziłem się w czepku, więc zapewne Matka uznała, że jakiś czas w dobrym zdrowiu wytrzymam i przy chrzcie z wody. No i wytrzymałem, tylko że w czasie aktu chrzczenia coś podobno miałem przeciwko mokrej wodzie i gorzkiej soli. Miejscem urodzenia, jak zapisano, była wieś Mierwiny Duże (zwane też Wielkimi - nie mylić z Małymi, bo można oberwać, w Małych była zadzierzysta szlachecka familia Kiernożyckich). Gmina Hrycewicze (teraz raczej Grycewicze). Województwo Nowogródzkie, powiat Nieświeżski, najbliższe miasteczko Kleck – wszystko w ordynacji Radziwiłłów. Współrzędne GPS: 52°57'26.1"N 26°42'31.8"E.



*Mój Ojciec, Jerzy Baranowski*



*Moja Matka, Janina z Dębickich*

W trakcie poszukiwań archiwalnych udało się ostatnio ustalić liczne fakty dotyczące mojej rodziny, niektóre z nich są wymienione niżej, w stylu naśladującym dawny język urzędowy.

Dnia 29 maja 1873 roku w Owruckim rzymsko-katolickim kościele parafialnym ziemianin i szlachcic Powiatu Owruckiego FELIKS PASCHALIS BARANOWSKI, kawaler lat 24, syn ziemian i szlachciców PIOTRA i MARII ze Steckich prawowitych małżonków BARANOWSKICH, zawarł związek małżeński z EMILIĄ BAJKOWSKĄ, panną lat 21, córką Franciszka i Julii z Leparskich prawowitych małżonków Bajkowskich.

Z tego związku małżeńskiego urodziły się dzieci:

21 lutego 1874 roku HELENA MARIA;  
22 lutego 1875 roku JADWIGA JULIA;  
7 września 1876 roku PIOTR;  
20 marca 1878 roku JERZY.

Feliks Baranowski, syn Piotra, przed rewolucją bolszewicką w Rosji posiadał majątek we wsi Żerew w Powiecie Owruckim Guberni Wołyńskiej o łącznej powierzchni 614 ha. *Tadeusz Epsztejn. Polska własność ziemska na Ukrainie w 1890 r., Warszawa 2008, s. 434-435.* W dniu 10 sierpnia 1887 roku Dekretem Rządzącego Senatu Imperium Rosyjskiego pod nr 3250 Feliks Paschalis Baranowski, syn Piotra, wnuk Nestora a prawnuk Józefa, został zatwierdzony w przywileju szlacheckim Imperium Rosyjskiego z zapisaniem do Ksiąg Szlachty Guberni Wołyńskiej. *Список дворян Волынской Губернии, Житомир 1906, с. 238-239.* Ten sam *Список дворян* informuje, że w 1847 roku dnia 24 lipca Heroldia rosyjska swoim Dekretem pod nr 11420 uznała w godności szlacheckiej Piotra – czyli ojca Feliksa i Zygmunta – braci rodzonych Baranowskich, synów Nestora, wnuków Józefa a prawnuków Eliasza Baranowskich.

Pierwsza legitymizacja Baranowskich na Wołyniu miała miejsce w 1802 roku, kiedy to urodzony pan Nestor Baranowski – dziadek Feliksa Paschalisa Baranowskiego, tego czasu regent ziemski Powiatu Żytomierskiego, złożył w imieniu swoim i innych Baranowskich dokumenty potwierdzające rodowitość szlachecką. Finał pomyślny został osiągnięty w dniu 29 listopada 1802 roku, kiedy to orzeczeniem Wołyńskiego Szlacheckiego Zgromadzenia Deputowanych imię Nestora Baranowskiego herbu Łódzia, i innych przedstawicieli rodu, uznano w godności szlacheckiej z zapisaniem do części szóstej Ksiąg Starożytnej Szlachty Guberni Wołyńskiej pod nr 653. *Oleg Chorowiec. Herbarz szlachty wołyńskiej, Radom 2012, t. I s. 25-26.* Z wywodu rodowitości szlacheckiej sporządzonego przez Wołyńską Szlachecką Deputację wynika, że Nestor Baranowski miał czworo braci rodzonych: Daniela, Romana, Maksymiliana i Stefana, wszyscy zaś są urodzonych Józefa i Anastazji z Moszkowskich Baranowskich – synami, Eliasza i Magdaleny z Zagórskich Baranowskich – wnukami, Józefa i Ewdokii z Niewmierzyckich Baranowskich – prawnukami, Aleksandra Baranowskiego – praprawnukami, Jewsieja Baranowskiego – prapraprawnukami, i Tomasza Baranowskiego – nadprapraprawnukami.

Majątek we wsi Żerew znajdował się we własności Baranowskich co najmniej od połowy XIX wieku i przed rewolucją bolszewicką w Rosji 1917 r., w tym majątku mieszkała rodzina Baranowskich, należąca do parafii rzymsko-katolickiej Narodycze.

Właśnie w tym majątku w dniu 19 sierpnia 1910 roku została ochrzczona SŁAWA Baranowska – córka dziedzicznego szlachcica JERZEGO i ALEKSANDRY HALINY z Chorzelskich, prawowitych małżonków BARANOWSKICH, która urodziła się w dniu 29 lipca 1909 roku w Tyflisie.

Wykaz sporządzono na podstawie odnalezionych oryginalnych dokumentów rodziny Baranowskich, oraz następujących źródeł archiwalnych, poza wymienionymi wyżej:

1802. Wywód rodowitości szlacheckiej domu urodzonych Baranowskich, rękopis w języku polskim, stron 9.  
1845. Wykaz właścicieli we wsi Żerew Powiatu Owruckiego Guberni Wołyńskiej, rękopis w języku rosyjskim.

Z wymienionego wyżej dokumentu rękopiśmienniczego „Wywód rodowitości szlacheckiej domu urodzonych Baranowskich”, sporządzonego w 1802 r., wynika bezspornie, że urodzony Tomasz Baranowski miał założoną sprawę sądową w 1596 r. za panowania Króla Zygmunta III Wazy, i tę właśnie datę przyjęto za podstawę uznania rodowitości szlacheckiej domu Baranowskich herbu Łódzia, oraz wpisania Baranowskich do księgi 6, przeznaczonej dla szlachty najbardziej „starożytnych” rodów Imperium Rosyjskiego.

Wykazy gubernialne szlachty zaczęto prowadzić w podziale na 6 ksiąg od 1785 r., za panowania Imperatricy Katarzyny II zwanej Wielką (pierwotnie Sophie Friederika Augusta zu Anhalt-Zerbst, księżniczka ze Szczecina).

Należy wyraźnie przypomnieć, że brak dowodów na zaliczenie do szlachty rosyjskiej wprawdzie nie odbierał szlachectwa polskiego, ale w granicach Imperium prowadził nieuchronnie do deklasacji, i powodował wiele problemów – do nie najmniejszych należał podleganie poborowi do wojska. Co mogło oznaczać 25 lat służby w warunkach degradacji moralnej i wynarodowienia.

Ze względu na całkowite zniszczenie dokumentów, podobnych poszukiwań archiwalnych nie mogłem podjąć wobec rodu Dębickich mojej Matki Janiny Dębickiej, pochodzącego z Żytomierza, gdzie mój Dziad „po kądzieli” ziemianin Jakub Dębicki gospodarzył z Żoną Olimpią, moją Babką. Dodam, że nigdy nie poznałem Obojga moich Dziadków, zginęli w odmętach rewolucyjnych wydarzeń – by wyrazić to najkrócej.

Z mojej metryki chrztu wynika, że mój Ojciec zawarł powtórny związek małżeński i doczekał się urodzenia syna, czyli mnie, w dość późnym wieku, mając 52 lata. Od mojej siostry Sławy z poprzedniego małżeństwa Ojca byłem więc młodszy o okragłe 20 lat.

Najwcześniejsze dzieciństwo spędziłem w domu wynajętym od gospodarza w Mierwinach. Pamiętam ten dom, o podłużnej konstrukcji, ustawiony w poprzek względem ulicy. Podwórko to była jakby dróżka, po jej drugiej stronie znajdowała się szopa z narzędziami absorbującymi moją uwagę. Do tego stopnia, że kiedyś wróciłem do domu z krwawiącą górną częścią wargi, nieco ściętej strugiem, zwanym wtedy heblem. Przerażona Matka orzekła, że zapewne nie będę mieć lewej części wąsów, a jeżeli będą, to chyba nie takie, jakie ma Tata. Pamiętam też drugie zdarzenie – stojący na wozie gospodarz, na samym końcu wozu – upadł na ziemię jak długi, gdy konie same ruszyły. Matka natychmiast zajęła się mocno poturbowanym, chyba nawet chwilowo nieprzytomnym gospodarzem, aplikując w kroplach posiadaną w apteczce



Arnikę – środek według opowieści stosowany zawsze w takich przypadkach przez Babcię Olimpię w Żytomierzu.

Wkrótce zamieszkaliśmy w innym domu, nowym lub świeżo wyremontowanym, jakoś lepiej zorientowanym względem ulicy i Słońca, bo wydawało się, że zawsze jest lato i wewnątrz było promiennie. Od ulicy był ładnie ogrodzony i nieco oddalony, bo przed wejściem był kwiecisty klomb. Matka ściany domu przyozdabiała dywanami nabywanymi od częstych tu przygodnych handlarzy. Dywany, kilimy – były pasją mojej Matki, zresztą częstą w szlacheckich domach na Wschodzie. Matka sama też projektowała i wytwarzała mniejsze kilimy, nazywane najczęściej „łowickimi” (gdy były tkane w kolorowe paski). W tym celu w nieskończoność nabywała, dobierała - zarówno farby, jak odpowiednią do farbowania przędzę wełnianą. Pasją Matki były też konfitury, gotowane w specjalnych miedzianych naczyniach dobrze ocynowanych – co było ważne, kupowanych jak i patelnie u wędrujących Cyganów.

Ten okres wczesnego dzieciństwa zapamiętałem jako najszcześniejszy, najbardziej promienny w moim życiu. Jako już dorastającemu „młodzieńcowi” Matka zamówiła u miejscowego szewca wspaniałe buty z cholewkami i podkutymi obcasami. Gdy je otrzymałem, po przymierzeniu postawiłem przy łóżku i ze szczęścia długo starałem się nie zasnąć.

Ale były też i mniej szczęśliwe wydarzenia. Pewnego dnia przedostało się na podwórko stado gęsi, a prowadzący je gęsior z miejsca zaatakował mnie, sycząc i machając ogromnymi skrzydłami. Zdołałem uciec do domu, ale Matko długo nie mogła pojąć, co się stało, gdyż wykrztuszałem tylko „Gę, gę, gęsior, sior”. W rezultacie przez kilka lat jąkałem się, ale nie tak strasznie, a jąkanie ustało całkowicie, gdy zacząłem umieć czytać i czytałem na głos.

Natomiast mniej egzotycznie, i zupełnie niegodnie zakończyła się moja pierwsza wizyta w szkole, mieszczącej się w wynajętym pomieszczeniu, gdzie miała prowadzić lekcje moja Mama. Tak mi to zaimponowało i tak rozochociło, że od razu pokazałem, co potrafię. Wlażłem z nogami na szkolne ławki i zacząłem po nich biegać. Otrzymałem bezzwłocznie lekcję edukacji – upadek i rozbity, okropnie krwawiący nos. Ale edukacja nie poszła w las – w późniejszych czasach też, bywało, biegałem po ławkach, ale bardziej umiejętnie. No i wiedziałem już, że w zasadzie szkoły należy unikać.

Moje prawdziwie szczęśliwe lata niedługo trwały. Mój Ojciec zmarł w czasie epidemii grypy w 1935 r., miałem wtedy 5 lat.

*Śmierć Ojca poprzedził mój dziwny sen, dobrze zapamiętany, gdyż często go przypominam. Opowiem go w skrócie tylko. Jego najważniejszą częścią była wizyta w Niebie, u Boga Ojca i u Matki Boskiej. Przybyłem tam i mi otworzono, by prosić o zdrowie dla mojego chorego Ojca. Nie odpowiedziano mi wprost, ale Matka Boska podeszła do okna, gdzie stały kwiaty, wzięła z wazonu 3 róże i wręczając je mnie – powiedziała: zanieś je swojemu Ojcu.*

Obudziłem się w środku nocy w ekstazie, klęczałem na posłaniu, klaskałem w dłonie, co obudziło Oboje Rodziców. Zapalili lampę, a gdy opowiedziałem sen, Ojciec z powagą rzekł do Matki: Janko, ja wkrótce umrę, a te 3 różyczki to 3 modlitwy Zdrowaś Mario. Matka mi później powiedziała, że Ojciec wcześniej kiedyś oznajmił, że umrze dopiero wtedy, gdy umrze „towarzysz Wiktor”.

Więc to był sen proroczy: towarzysz Wiktor z PPS (późniejszy Marszałek Polski) zmarł 12 maja, zaś mój Ojciec zmarł 5 czerwca 1935 roku.

Byłem przy agonii Ojca, zarykując się pod stołem z płaczu – ale nie byłem na Jego pogrzebie, gdyż ktoś doradził Matce, by nie zabierała mnie na cmentarz. Nigdy tego Matce nie wybaczyłem. Teraz nawet nie wiem, gdzie Ojciec jest pochowany, upłynęło dużo lat, grób był ziemny, zapewne nie przetrwał długo, a i my niedługo potem opuściliśmy Mierwiny – na zawsze. Ja teraz mam możliwość zajrzenia w te okolice przez Internet, i korzystam z tego, oglądam Mierwiny, meandrujący bieg rzeki Łań, jej brzegi i okoliczne łąki, Nieśwież, Kleck, oraz pomnik wzniesiony dla uczczenia 500-lecia zwycięskiej bitwy z Tatarami pod Kleckiem.

### **Co mi zostało po Ojcu?**

Niewiele pamiętam, właściwie prawie nic z osobistych relacji, byłem na to za mały. Zostały mi przekazane przez Matkę liczne, ale niezbyt szczegółowe informacje, na przykład, że Ojciec blisko kontaktował się z Janem Bułhakiem, a nawet się z nim według słów Matki przyjaźnił. I że zamierzał otworzyć, a z fragmentu zachowanego listu wynika, że otworzył swój własny zakład fotograficzny, z którego zapewne po powrocie do Kraju z Gruzji, wobec utracenia dotychczasowych dochodów, być może zamierzał się utrzymywać. Ojciec był tylko o dwa lata młodszy od Jana Bułhaka. Kontakt mógł być względnie łatwy, gdyż rozgałęziona rodzina Bułhaków miała w Nowogródzkim przez lata liczne posiadłości, do niej należały ziemie wsi Ostaszyn i owej wspomnianej wcześniej pobliskiej wsi Mickiewiczze nad lewym dopływem rzeki Łań. Ojciec, namiętny fotograf pejzaży z okolic Nieświeża i Klecka, za mojej pamięci już nie fotografował. Coraz bardziej zapadał na zdrowiu, nie pomagały lekarstwa sprowadzane przez Matkę z renomowanych aptek. Choć młodszy, zmarł 15 lat wcześniej od Jana Bułhaka. Zaś Bułhak, na przekór poniesionych w czasie wojny dużych strat w zbiorach fotografii w Wilnie, po wojnie był aktywny, aż do 1950 r. fotografował Warszawę w ruinach. Co w ogóle wiem o Ojcu, to głównie z opowiadań Matki, częściowo z późniejszych relacji Sławy. Ojciec po studiach prawniczych w Petersburgu musiał pełnić urzędnicze obowiązki w Tyflisie, alternatywą dla każdego szlachcica była przepisana prawem służba wojskowa.

Ojciec mimo ziemiańskiego pochodzenia miał opinię „demokraty”, wcale nierzadką wśród współczesnej inteligencji tak polskiej, jak i rosyjskiej. Dziwne, ale był zwolennikiem zarówno Piłsudskiego, jak i Paderewskiego, osobowości uważanych przez niektórych za wzajemnie przeciwstawne. Dla mnie zarówno to stało się z czasem wiadome i zrozumiałe, jak i upodobanie do literatury rosyjskiej. Ojciec ubolewał, że nie będę znał języka rosyjskiego i literatury rosyjskiej. Jakże się mylił, poznałem, chociaż nie tylko z dobrych stron. Uważam, że jak na tamte czasy Ojciec mój, charakteryzowany w towarzystwie niekoniecznie pozytywnie jako „demokrata”, był bliski poglądami do lewicy socjalistycznej, i krańcowo odległy od częstych u ziemiaństwa poglądów szlagońskich. Chyba jestem taki sam.

Po Ojcu miałem grubą książkę (pamiętam jej czerwone okładki) Edwarda Abramowskiego. Gdy już umiałem czytać ze zrozumieniem, czytałem ją z wypiekami, zwłaszcza traktat „Zmowa powszechna przeciw rządowi”. Książkę Ojciec otrzymał w nagrodę, po konkursie na godło Spółdzielczości – wygrało Jego godło, przedstawiające dwie dłonie w solidarnym uścisku nad płomieniem kaganka. Książka nie zachowała się, ale traktat Abramowskiego zapamiętałem. Z czasem, wiele lat po śmierci Abramowskiego, poznałem jego przyjaciół.

Co mi się jeszcze zachowało? Portfel z miękkiej skóry, fajeczka i góralskiego typu papierosnica wysadzana paciorkami. Nie zachował się wspaniały aparat fotograficzny na klisze szklane, szwajcarskiej firmy Compur, o nazwie Contessa Nettel, z podwójnym wyciągiem miecha i obiektywem typu Aplanat. Został ukradziony wraz z kompletnym wyposażeniem laboratoryjnym potrzebnym do robienia zdjęć w terenie, wywoływania klisz, i razem z kliszami – gdy w 1945 roku przez dwa miesiące koczowaliśmy pod gołym niebem w pobliżu rampy kolejowej w Stołpcach, czekając na podstawienie wagonów mających nas „repatriować” do Kraju.

### **Przyjazd Sławy, wojaże Matki ze mną po krewnych**

Zaraz po śmierci Ojca odwiedziła nas Sława, moja Siostra, wtedy ujrzałem Ją pierwszy raz, a Ona mnie. Miała 25 lat, była więc dorosła, nosiła blond warkocz. Wtedy nie wiedziałem, że była niechętna nowemu małżeństwu Ojca. Pamiętam, poszliśmy razem na spacer, daleko na łąki i w pola. Sława zrywała niedojrzałe jeszcze kłosa żyta, rozcierała je w dłoni i podawała mi zielonkawę ziarnka. Było ciepło i bardzo sympatycznie. Ale gdy wróciliśmy, Matka nie była całkiem zadowolona z owego spożywania ziarna z dłoni Sławy, i już wtedy wiedziałem, dlaczego. Sława była słabego zdrowia, miała kłopoty z płucami, a moja Matka sama miała

kiedyś początki gruźlicy i bała się tej choroby. Wprawdzie kuracja w słynnym Sanatorium Nauczycielskim w Zakopanem pomogła, ale lęk pozostał. Ale i ja w wieku 18 lat też zapadłem na gruźlicę, chyba z niedożywienia, a jak się wykaraskałem, opowiem później. Sława była krótko, może tylko jeden dzień, lub dwa – i wróciła do Warszawy.



*Zdjęcia Sławy – jako Baranowskiej, z przed 1939 r. w Warszawie, i jako Rudnickiej, po Powstaniu Warszawskim i bardzo ciężko chorej po powrocie z obozów w Bawarii w 1946 r. w Gdyni (obozy: Breslau, Wilhelmshagen, Erfurt, Arnstadt bei Weimar, komando Buchenwald)*

To lato obfitowało w odwiedziny i podróże. Opowiem o nich, chociaż nie pamiętam, w jakiej odbywały się kolejności. Może najpierw pojechaliśmy do folwarku nazywanego w rodzinie Miłkowszczyzną (na mapie gminy Hrycewicze nosi nazwę Hłaskowszczyzna, to było niezbyt daleko od Mierwin). To była, jak teraz wiem, posiadłość Ciotki, przekazana Czarnockim.



*Fragment mapy Gminy Hrycewicze opracowanej w 1938 r. przez Wojskowy Instytut Geogr. Droga prowadząca do folwarku Hłaskowszczyzna nad rzeką Łań jest oddalona o 3 km od Mierwin Wielkich. Droga prowadząca przez Mierwiny Wielkie ku Północy (do Klecka) przecina w odległości 2 km szosę do Słucka, na tym fragmencie mapy nie uwidocznioną.*



Wanda Czarnocka była siostrzenicą Ojca, starszą córką mojej Ciotki, Marii Pigłowskiej – więc moją cioteczną Siostrą. Dopiero teraz, po wielu latach, uświadomiłem sobie te związki bardziej wyraźnie.



Maria Pigłowska z  
Baranowskich (1876-1942)  
Kawaler Orderu Virtuti Militari  
za zasługi w Wojnie 1920 roku.

Nadanie Orderu nr 7614  
Dekretem 13391 z 17.V 1922 r.  
wydanym przez Naczelnego  
Wodza.

Fotografia z kopii kwestionariusza z  
Centralnego Archiwum Wojskowego  
(przysłanego mi 18.03.2015).

W Hłaskowszczyźnie-Miłkowszczyźnie był duży dwór, otoczony ogromnymi drzewami. Drewniany, a może murowany, wyglądał jednak na bardzo stary. Może dlatego, że cały, łącznie z dachem, gankiem i kolumnkami przy ganku, był zarośnięty gęsto bluszczem - czy winoroślą. Czym właściwie - na tym ja, malec, wtedy nie znałem się. Ale poznałem się natychmiast na pobliskich alejach z krzaków malin, dużych krzaków, dla mnie wysokich niby las, bo rozpiętych na tyczkach. No i było używanie, i rozmowy, w których jako dziecko nie uczestniczyłem i których nie rozumiałem. Ciotki wtedy w Hłaskowszczyźnie nie było.

Mimo obfitości malin i ogólnie dobrego przyjęcia, miałem też dość przykre doznania, i to nie dlatego, że byliśmy wprowadzeni zaproszeni – ja z Matką - jako krewni, choć może jako nieco „ubodzy krewni”, ale z całkiem innego powodu. Otóż, był tam chłopiec wyraźnie ode mnie starszy (może o 10 lat), któremu dano mnie pod opiekę, jednocześnie przedstawiając mnie - ze śmiechem - jako jego wujka. Zbyszek – bo takie miał imię – nie był wcale zachwycony tym, że jego wujem jest jakiś malec, no i przez cały czas dawał mi to odczuć, po cichu naigrawając się ze mnie wśród tych krzaków malin. Tak było do końca pobytu, więcej nigdy nie spotkaliśmy się. Pamiętałem ten pobyt w zamożnym majątku, ale dopiero po latach, teraz – we wrześniu 2014 roku, po otrzymaniu kopii akt mojej Ciotki, zrozumiałem, jak to mogło się stać, że rzeczywiście byłem wujem Zbyszka. On mógł być synem Wandy Czarnockiej, córki Ciotki, a że Ciotka Pigłowska była starsza o 4 lata od Jerzego, swego brata a mego Ojca, zaś Ojciec zawarł drugie małżeństwo z dużym, bo 20-letnim opóźnieniem, nastąpiło „tąpnięcie” pokoleniowe, widocznie wystarczające, bym został wujem Zbyszka, wnuka Ciotki. Może mógłbym domagać się szczególnego szanowania, całowania „wujka” w rękę, a co najmniej w ramię? Jak to w zwyczaju bywało dawniej.

Następna podróż to były odwiedziny u siostry mojej Mamy, Ciotki Heleny Dębickiej. Gdy uciekały obie z Żytomierza z wycofującymi się oddziałami polskiego wojska, moja Matka, już dorosła osoba, absolwentka Gimnazjum Żytomierskiego, zostawiła swoją nieporadną młodszą siostrę Helenę pod opiekę naszego dalekiego powinowatego, Księdza Włodzimierza Grzędzińskiego. Było to być może jeszcze w Dubience, ale teraz jechaliśmy odwiedzić Ciotkę do Potoka Wielkiego, koło Zaklikowa, gdzie przebywała przez całą wojnę i po wojnie, aż do śmierci księdza Grzędzińskiego w 1947 roku.

Ciotka Helena, niby życiowo nieporadna, tak się wyspecjalizowała w prowadzeniu rozległego gospodarstwa parafialnego, że później z powodzeniem prowadziła sprawy zaopatrzeniowo-

aprowizacyjne w kilku kolejnych Państwowych Domach Dziecka, jakie powstały po wojnie. Przyjęła nas z zadowoleniem, oprowadzając po pięknej oranżerii, pokazywała zaprowadzone inspekty i różne uprawy ogrodnicze. Jednak pamiętam niewiele ponad to, że panoszyłem się po grządkach z ogórkami i truskawkami, oraz zastanawiałem się nad „bardziej racjonalnym” wykorzystaniem gumowych uszczelek do weków, na przykład przy sporządzaniu proc.



*Ciotka Helena Dębicka*



*Dawna plebania w Potoku Wielkim  
Fotografię wykonałem w 2012 r.*



*Ks. Włodzimierz Grzędziński  
Epitafium w murze ogrodzenia kościelnego*



Wtedy to właśnie dowiedziałem się w toku rozmów, jak to było naprawdę w 1920 r., gdy obie siostry uciekały z Żytomierza, pod skrzydłami samolotu, jak mi opowiadała – śmiejąc się - moja Mama. Samolot był uszkodzony i jechał na lorze kolejowej.

Jak wiem, Matka po rozdzieleniu się z siostrą z właściwą sobie zaradnością zdecydowała się już wtedy uzupełnić studia w zakresie pedagogiki, i podjąć pracę w zawodzie nauczycielki wiejskiej, poszukiwanym na Kresach i nawet nieźle płatnym, ale dla Niej nie łatwym, choćby dlatego, że była całkiem sama. Później, już jako praktykująca nauczycielka, miała początki gruźlicy, ale pokonała szybko chorobę i wróciła do zawodu. A niedługo potem spotkała na swej drodze mego Ojca. Związek z Nim, starszym już panem, chociaż nie bardzo długi, był dla Matki bardzo ważny.

Pobyty u Ciotki Piłgowskiej zapamiętałem zupełnie inaczej, niż wszystkie inne. Ciocia Marynia przyjęła nas bardzo ciepło, bardzo serdecznie – i zajęła się przede wszystkim mną, co odczułem bardzo wyraźnie. Przede wszystkim zaraz rozebrała i wsadziła do wanny. Była to moja pierwsza w życiu kąpiel w wannie, dotychczas kąpano mnie w cebrzyku, lub w nieszkie – drewnianych naczyniach, wtedy na wsiach kresowych pospolitych i występujących w różnych rozmiarach, zależnie od przeznaczenia – a teraz chyba wszędzie zastąpionych plastikowymi miednicami. Nowością była dla mnie nie tylko olśniewająca biała wanna, ale również błyszczące niklowe kurki, z wodą ciepłą i z wodą zimną, regulowane, wystające ze ścian pokrytych kafelkami. Dziwiło samo istnienie łazienki, jako osobnego pomieszczenia do kąpieli, zalewanego strumieniem intensywnego światła elektrycznego z sufitu. Zastosowanie elektryczności do oświetlenia zamiast nafty poznałem wprawdzie wcześniej przy innych okazjach, ale dopiero w Warszawie i dopiero u Ciotki w pełni doceniłem jego wspaniałość. Jednak, mimo tego cywilizacyjnego przepychu, najbardziej utkwiło mi w pamięci wiszące na sznurku mydło z wtopioną na powierzchni kolorową sylwetką Myszkę Miki – to było coś naprawdę wspaniałego, bo za samą kąpielą, choćby w najcudowniejszej wannie, nie przepadałem. W następnych dniach byłem razem z Matką oprowadzany po Warszawie, poznawałem urok dużego miasta, jednak w tym wieku nie mogłem dostatecznie zrozumieć i docenić różne cywilizacyjne urządzenia, nie występujące na Kresach. Nawet to, że przyjechaliśmy pociągiem, pozostawało jeszcze poza strefą mojej świadomości. Ale zapamiętałem Pałac Saski i Grób Nieznanego Żołnierza. Oczywiście, odwiedziliśmy krewnych, po raz pierwszy byliśmy u Ciotki Pauliny Medyńskiej, siostry ciotecznej Matki, której mąż – Wujek Janek – był oficerem w Sztabie Generalnym, a we wczesnej młodości



żołnierzem Legionów. I chyba miał Order Virtuti Militari. Być może to wtedy zarysowała się koncepcja, by z czasem, i raczej wcześniej, oddać mnie do Korpusu Kadetów. Ta koncepcja kilkakrotnie powracała, jednak jakoś mnie nie pociągała, i wtedy, i później.

Matka miała jeszcze jedną siostrę cioteczną, Józefinę Burską, starszą siostrę rodzoną Ciotki Pauliny. Mieszkała w Ameryce, była śpiewaczką operową znaną jako Ina Bours. Występowała w Metropolitan Opera w Chicago, śpiewała ze sławnym Szalapinem. Matka pamiętała jej ostatni pobyt w Odessie i Żytomierzu, opowiadała, że miała piękny i silny głos. Matka i Ciotka Paulina często wymieniały listy z Ciotką Józefiną, która interesowała się naszym życiem. Ja Ciotce Józefinie Burskiej zawdzięczam wiele, bo gdy zapadłem na gruźlicę, zdobyła się na zakupienie i przysłanie 30 gramów streptomycyny, leku nowego, drogiego i praktycznie jeszcze w Europie niedostępnego. Był to wtedy jedyny lek umożliwiający skuteczne zwalczenie gruźlicy we wczesnym stadium, przyjmowało się go w zastrzykach.



*Józefina Burska, Primadonna Metropolitan Opera w Chicago, występowała na afiszach jako Ina Bours, oraz jako Bourskaja*

Z pobytu w Warszawie, który był jak złoty sen, zapamiętałem i często przypominam sobie pewne krótkie, a intensywne w doznaniach zdarzenie. Dostałem wtedy różne zabawki, wśród nich było podłużne pudełko z metalowymi elementami umożliwiającymi składanie różnych konstrukcji. Później nieraz spotykałem takie zestawy o nazwie „Młody konstruktor”. To był dla mnie podarek chyba nieco przedwczesny, nic mi nie wychodziło. Ale gdy pewnego dnia, rano, siedząc w kucki na balkonie podejmowałem nową próbę złożenia czego kolwiek, jedna podłużna blaszka wymknęła mi się z rąk i poleciała w dół, na asfaltowe zamknięte podwórko tej kamienicy, chyba 3-piętrowej. Nikogo na podwórku wprawdzie nie było, ale ja, zupełnie tu nowy i nie obeznany z możliwością odzyskania straty, po prostu zdrętwiałem z rozpacz.

Jednak po chwili dostrzegłem wychodzącego z jakiejś komórki na dole starszego człowieka, z wąsami, w roboczym fartuchu i z węzem w rękę, zwanym na ogół „szlauchem”, z którego zaczął polewać podwórko wodą, może czyszcząc je, a może chłodząc, przewidując tego dnia straszny upał. To pogłębiło moją rozpacz, ale właśnie wtedy zdarzył się cud. Człowiek, a był to dozorca, nagle przestał lać wodę, schylił się i podniósłszy z ziemi mój utracony element blaszany, zaczął go rozpatrywać. I nagle spojrzał w górę, ujrzał mnie skulonego na balkonie, zatrzymał wzrok i uśmiechnął się. Byłem zatem uratowany, a to spotkanie spojrzeń zapamiętałem na całe życie. Takie wydarzenia pamięta się z wdzięcznością.

Te wszystkie spotkania były możliwe, ze względu na pracę Matki, tylko w czasie wakacji 1935 roku. Szeroki świat w ich wyniku dowiedział się naocznie o moim istnieniu i być może zaczął mnie uwzględniać, a Matka kłopotać się, co ma być dalej. Na razie wróciliśmy do Mierwin, ale bieg czasu, dotychczas beztroski, wyraźnie przyspieszył i byłem tego świadomy.

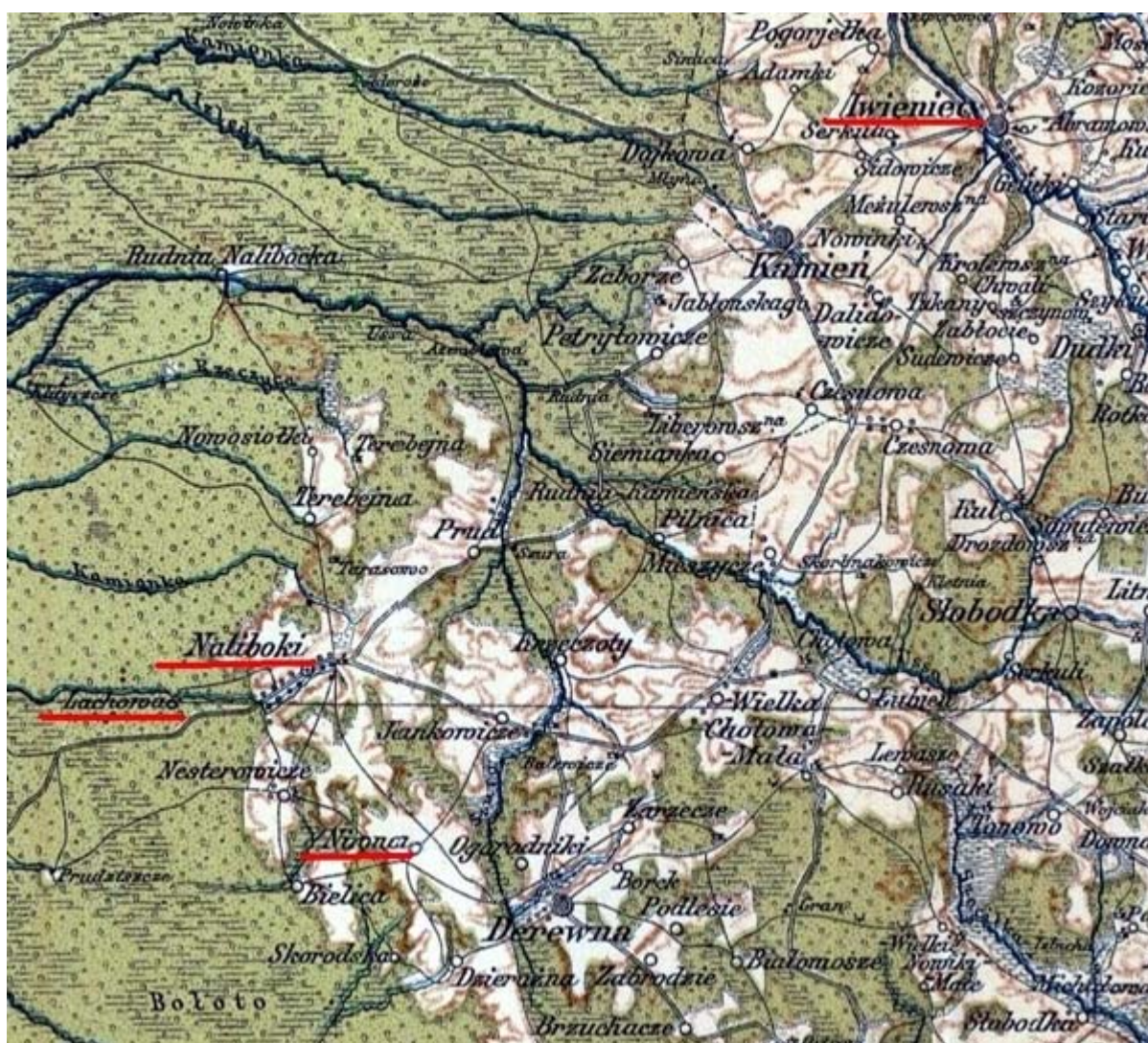
### **Postanowienie generalne – mam Ojczyma**

Zapewne spotkania z krewnymi wzmogły u Matki świadomość, że Mierwiny nie są dla niej najlepszym miejscem bytowania, choćby tylko ze względu na dorastającego syna. Spotykała się wprawdzie ze współczującą sympatią i z ludzką życzliwością, na przykład przynoszono nam różne podarunki – najbardziej zapamiętałem z nich duże i tłuste miętusy z Łani, oraz kilkakrotnie ofiarowane leśne poziomki od nieznanego mi myśliwego, który przyniósł też kiedyś upolowanego dużego czarnego ptaka, z jaskrawo czerwonym grzebieniem – był to chyba głuszc. Z ciekawością oglądałem pierwszy raz widzianą myśliwską strzelbę i błyszczące ostro nowością mosiężne denka nabojów śrutowych, wystających z ładownicy na skórzanym pasie. Jednak Matkę po kończących się przecież wakacjach czekała praca w szkole. Była to szkoła o kilku klasach rozmieszczonych w wynajętych domach wiejskich, jak to było wtedy na Kresach częste. Lekcje prowadziła Matka i jeszcze jeden nauczyciel, Pan Bronisław Sieńko. Był absolwentem Seminarium Nauczycielskiego otworzonego gościnnie tuż po wojnie światowej w Nieświeżu, w pałacu Księcia Radziwiłła, wielkiego patrioty. Syn Księcia, adiutant Józefa Piłsudskiego, jak wiadomo, poległ na froncie wschodnim.

Pana Bronisława Sieńkę znałem dobrze, bo często kontaktował się z Matką w sprawach szkolnych. Był przystojnym mężczyzną, wyraźnie młodszym od mojej mamy, i bardzo zaangażowanym nauczycielem. Miał zapał i dar inicjowaniu różnych akcji społecznych, na przykład – tworzenia świetlic, poprawiania i porządkowania stanu dróg, powoływania spółdzielni. Był urodzonym nauczycielem, znalazł się wśród tych nielicznych elewów Seminarium Nieświeżskiego, którzy pod koniec szkoły odmówili wstąpienia do szkoły podoficerskiej, gdy cały ich rocznik powołano na obowiązkowe szkolenia wojskowe. Dla mnie był interesujący raczej z innych powodów – był miłośnikiem radia, umiał też zbudować i zbudował aparat radiowy. Był to inny i lepszy aparat, niż nasz domowy odbiornik oparty na detektorze z kryształkiem galeny, mający wprawdzie wzmacniacz o nazwie Amplitron - zaopatrzony w dużą zakrzywioną tubę głośnikową, ale trudny do nastawienia odbioru i mający tylko jeden zakres fal. Odbiornik Pana Sieńki miał zewnętrznie umieszczone trzy lampy żarzone z akumulatora - mocno świejące, zasilane z baterii anodowej, i miał dwa, a może nawet trzy zakresy fal z dogodną regulacją. Mnie to imponowało, jak również bardzo wysokie dwie tyczki wystawione jako maszty dla specjalnej linki antenowej z białymi porcelanowymi izolatorami na końcach. Pan Sieńko pochodził z Nowosiółek, był pierwszym wykształconym inteligentem z tej szlacheckiej wsi i, jak sądzę, bardzo mu zależało na uwypukleniu tego awansu. Ubierał się z elegancją wyróżniającą go z otoczenia, do jazdy na rowerze nosił spodnie angielskie z pumpami. Wszystko było sensowne i w dobrym gatunku, nie bardzo mnie też dziwiło, że coraz częściej zapraszał nas oboje, a to do siebie, a to na wycieczki nad Łań, gdzie pływał, a i Mama próbowała pływać, acz z wyraźną niechęcią. I ja próbowałem, chociaż pewnego razu łyknąłem za dużo wody, co mocno mnie przestraszyło.



Opisuję to wszystko dość szczegółowo, bo z czasem Pan Sieńko stał się moim opiekunem jako Ojczym. Nie stało się to nagle, decyzja została podjęta po jakichś dwóch latach. Kulminacyjnym momentem była rozmowa, na jaką zostałem specjalnie zaproszony, bo Mama uwarunkowała zgodę na małżeństwo od mojego ustosunkowania się. Pamiętam, było ciepło, końcowe godziny słonecznego dnia, „oni” siedzieli na kanapce, ja naprzeciwko na stołeczku. Nie protestowałem, zgodziłem się, tylko na ostatnie pytanie, jak wolę nazywać Opiekuna, per „Ojciec”, czy per „Pan”, bez wahania wybrałem tę drugą formę, zresztą, używaną dotychczas. I to zostało, z pewną ulgą po obu „stronach”, przyjęte jako normalne. To było jeszcze w Mierwinach, ale już bardzo niedługo oboje znaleźli się razem ze mną w Rudni Nalibockiej, gdzie objęli prowadzenie miejscowej szkoły, w samym sercu Puszczy Nalibockiej, słynnej z rozległych bagien. Płyną tu i w okolicy liczne rzeki, Niemen i owe dwie złowrogie Berezyny. Przeprawa przez jedną z nich stała się aktem końcowym klęski armii Napoleona w odwrocie z Rosji. Przez Rudnię płynie rzeka Usa, zbierająca liczne dopływy, rzekę Szurę i inne rzeki płynące koło Nalibok, gdzie w późniejszych latach rozegrały się głośne akcje pacyfikacyjne.



Mapa najważniejszych południowo-wschodnich części Puszczy i jej okolic, z miastami: Naliboki, Iwieniec, Kamień, Derewno, i z dużą wsią Chotów (oznaczoną w dwóch częściach, jako Wielka i Mała Chotowa), gdzie przebyliśmy całą wojnę. Osobny napis Chotowa koło wsi Łubień odnosi się do zespołu stawów rybnych na Usie oraz budynków dawnego wzorowego majątku Ministra Rolnictwa hr. Niezabitowskiego.

Te dramatyczne wydarzenia związane z bytowaniem w czasie wojny w okolicach Puszczy Nalibockiej, gdy z kolei po Rudni Nalibockiej zamieszkaliśmy w Chotowie, opiszę później.

Ostatnie dwa miesiące wakacji przed przenosinami spędziłem jednak w Stołpcach, gdzie byłem puszczonej niemal samopas, prawie bez dozoru, w rozkosznym miejscu, bo na skraju miasta tuż nad Niemnem, gdzie była przystań kursującego regularnie po Niemnie statku pasażerskiego i było wiele atrakcji. Pamiętam zwłaszcza rybne targowisko, z dużymi sumami i szczupakami, poławianymi zarówno w Niemnie, jak i przywożonymi łodziami z dalekich nawet okolic. Na drugim brzegu Niemna była wypożyczalnia kajaków i Ojczym kilka razy zaprosił mnie na przejażdżkę kajakiem po rzece. On się wtedy w Stołpcach zastanawiał, czy nie lepiej by było zostać w pobliskim Świerżeniu, gdzie akurat w szkole były dwa wolne miejsca dla nauczycieli. Bo Stołpce kusily, były żywym, pięknym miastem.

Muszę wyjaśnić, że chociaż Stołpce były miastem granicznym, to odprawa paszportowa pociągu na trasie do ZSRR odbywała się w punkcie kontrolnym gdzie indziej, właśnie w Świerżeniu, przed przejechaniem pociągu przez most kolejowy na Niemnie. To było bardzo blisko Stołpców, może 3 kilometry, ale niektórych pasażerów to zatrzymywanie pociągu tuż przy rzece, dla dokonania odprawy, mogło przyprawiać o wstrząs nerwowy. Bowiem obsługa sowieckiego pociągu składała się wyłącznie z dobranych agentów policji politycznej, i oni przy przekraczaniu granicy zawsze zaznaczali, że właśnie wjeżdża się z kraju „pańskiego” i „faszystowskiego”, do kraju „swobodnego oddechu”, jak się śpiewało w piosence. Kto nie wie, niech sobie poczyta w niezapomnianej książce Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”, obowiązkowego kompendium ideologicznego dla początkujących ambitnych komunardów.

Pasażerami pociągów przekraczających granicę bywali bardzo często lewicujący zachodni intelektualiści poszukujący „prawdy” o Kraju Rad, ale i szpiedzy - też poszukujący prawdy, ale w innym sensie. Bywali też złaknieni mocnych wrażeń biznesmeni o grubych portfelach, często z żonami.

Z niespełna rocznego pobytu w Rudni wyniosłem pamięć o rosyjskich zaśnieżonych nabożach wygrzebanych z piachu w rozwalonej ziemiance pozostałej po Wojnie Światowej.

I o wyteżonej, bardzo ryzykownej walce z lodem młodych odważnych mieszkańców Rudni, pragnących ocalić drewniany most, bardzo już przechylony pod naporem spiętrzonego zatoru lodowego na Usie. Mostu ocalić się nie dało. W konsekwencji, chociaż nikt w czasie tej akcji ratowania mostu nie utopił się, ja dostałem od Matki burę i zakaz zbliżania się do rzeki.

Najmilszym wspomnieniem z Rudni były spędzone tam dobrze i bogato Święta Bożego Narodzenia, przy nowym odbiorniku radiowym produkcji Wileńskiej firmy Elektrit (pisze ciepło o tej dobrze wtedy rozwijającej się firmie Gdański pisarz Huelle, ale niewłaściwie wymienia nazwę – widocznie nie ma osobistych doświadczeń z użytkowania jej doskonałych produktów). A ja mam w domu odbiornik firmy Elektrit, i to jest ten sam typ aparatu z 1936 roku, nabytego i fachowo zainstalowanego przez Ojczyma w grudniu 1937 roku. Jest to jednak inny egzemplarz, bo pierwotny musiał być oddany Niemcom pod grozą kary śmierci. Ten obecny został przeze mnie przerobiony na lampy sieciowe (słynne RV12P2000). Jest w doskonałym stanie, z nienaruszonymi zębem czasu gałkami, i skalą z nazwami zagranicznych i krajowych stacji, z których najważniejsze były pobliskie Baranowicze i Lwów. Wprawdzie są one w większości już nieczynne, a stacje działające w systemie modulacji amplitudowej są teraz w ogóle źle odbierane, i przegrywają ze stacjami o nowszym systemie z modulacją częstotliwości - ze względu na znaczną wrażliwość na zakłócenia, ale zawsze włączenie tego odbiornika sprawia mi przyjemność, przypominając pobyt w Puszczy, na kresach cywilizacji.

### **CHOTÓW. Początki, wprowadzenie się, dorastanie.**

Gdzieś tak z początkiem 1938 roku przenieśliśmy się z Rudni Nalibockiej do wsi Chotów, była to przeprawa stosunkowo niedaleka w porównaniu z przenosinami z Mierwin do Rudni. Chotów jest dużą wsią, w całości zamieszkałą przez katolików, mówiących biegle po polsku,



ale na co dzień rozmawiających po białorusku. Ja zresztą też częściej mówiłem, już chyba nawet i w domu, po białorusku – a raczej nie zdawałem sobie sprawy, w jakim języku mówię. Rosyjskiego raczej powszechnie tu nie używano, inne języki zaś nie wchodziły w grę. Żydzi w Chotowie nie osiedlili się, chociaż pamiętam, że była jedna taka próba. Jednak Żydzi byli znani. Przynajmniej raz w tygodniu przejeżdżała przez wieś fura, zatrzymująca się co kilka domów, dla wymiennej sprzedaży nici, igieł, guzików, tasiemek i wstążek, pierścionków, mydełek – za jaja i żywe kury. A w czwartki również za ryby, głównie duże szczupaki, złowione w stawach bądź w Usie. Jednak ryby kupowane były nie zawsze, i tylko na zasadzie umówionych wcześniej cichych spotkań z niby tajemniczymi, ale ogólnie znanymi dostawcami ryb, łowionych najczęściej chyba nielegalnie i nocą, przy zastosowaniu ości. Chotowianie modlili się wyłącznie po polsku, i podobnie do mieszkańców sąsiednich wsi, uczęszczali do jedynej w okolicy Kościoła Katolickiego położonego na wzniesieniu terenu w pobliżu majątku Chotów, ale całkiem osobno, bez widocznego powiązania z majątkiem, odległym może o jakieś 600 m. Kościół był nowy, murowany miał plebanię z ogrodem, z tyłu był cmentarz. Od Chotowa był odległym o 3 km, szło się drogą dość męcząco, bo po piachu i częściowo pod górę. Piszę o tym dość szczegółowo, bo kościół, ważny sam w sobie, był też ważny jako miejsce gromadzenia się ludzi z kilku wsi. Innego kościoła, i świątyni innego wyznania, w bliskiej okolicy nie było. Przy Chotowie na zboczu porośniętym gęstym lasem był tylko bardzo stary cmentarz, już z dawna nie wykorzystywany. Drogą na dole zbocza wygodniej mi było wtedy właśnie chodzić do kościoła, bo się drogę skracało, a las był pełen śpiewających ptaków. Wieczorem raczej wtedy nie chodziłem, a później – tylko bardzo szybko. Jednak bywało, że i wieczorami wracałem z kościoła po nabożeństwach majowych, nauczaniu katechizmu i lekcjach służenia do Mszy Świętej. Bo Mama bardzo chciała, bym służył do mszy, i nawet się wstępnie nauczyłem. Ale ministrantem byłem krótko, kiedyś bowiem klęcząc na stopniach ołtarza pod wpływem upału i duchoty prawie zemdlałem. Od upadku i potłuczenia wybawił mnie klęczący obok zakrystian, chwytając mocno za komżę i ubranie. Po tym wydarzeniu już nie było mowy o służeniu do mszy. A ja i wtedy, i później, miałem silne uczucie powinności religijnej i modlenia się. Jeszcze się wzmoгло w czasie wojny.



Chotów. Kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego. Stan obecny, wg Internetu. Są widoczne zarówno duże zniszczenia wojenne, zwłaszcza ubytki w murach, których wcześniej (w 1945 r.) jednak nie było, jak i pieczołowita odbudowa ścian i podpór, dobra w końcowym efekcie mimo użyciu skąpych środków. Widoczne są przyzwoite pokrycia dachowe i rynny, bardzo ważne w tym klimacie. Pamiętam dobrze rozetę w ścianie frontowej nad wejściem romańskiego typu, natomiast zupełnie nie przypomina mi się przysadzista kolumnienka podpierająca narożne wejście, wzbogacająca wygląd całości bryły kościoła. Zapewne była.

Kościół wybudowano w 1931 r. staraniem p. Zofii Niezabitowskiej i Parafian.

Nie potrafiłem nigdy do końca zrozumieć, jakiej narodowości byli mieszkańcy Chotowa i okolic – za wyjątkiem dość odległej wsi o nazwie Litwa, zamieszkałej przez prawosławnych starowierców, bardzo różniących się wyglądem i zwyczajami od mieszkańców innych wsi. W Chotowie z początku nikt nie deklarował narodowości, to nie było ważne, nie było potrzebne, wszyscy byli katolicy i „tutejsi”. Jednak z czasem pod naciskiem władzy sowieckiej, a jeszcze

bardziej Niemców, dużo korzystniej było wobec władz określić się Białorusinem, i to zdecydowanie. Ale nie bardzo można było uzasadnić narodowość brzmieniem nazwiska – na przykład kilkanaście rodzin nosiło nazwisko Pożoga, byli Sobolewscy, Wiśniewscy, Łomako, Suszko, Poźniak, Śliż, Wierzbiccy. Była też rodzina Dzierżyńskich, zamożna, mieszkająca na chutorze poza Chotowem, bardzo blisko spokrewniona ze sławnym Feliksem. Z dwoma młodymi Dzierżyńskimi – o przezwisku „Dzieżka”, chodziłem do szkoły, gdy już ją zbudowano. Szkoła była w Chotowie zawsze, ale miała być nowa, i gdy sprowadziliśmy się do Chotowa, to ta nowa szkoła, wprawdzie drewniana, ale duża i na potężnej podmurówce cementowej, z obszernymi schodami i tarasem - dopiero się budowała. Z czasem mieliśmy w niej mieszkać, ale tymczasowo zamieszkaliśmy u gospodarzy, najpierw u Poźniaka, który obok rolnictwa zajmował się też bednarką, wyrobem kół i struganiem dachówek. Chodziłem patrzeć, jak pracuje, choć był małowówny i trochę stronił od kontaktu z „pańskim” dzieckiem, ale nie był nieprzyjazny. Wkrótce przenieśliśmy się do innego domu, świeżo wybudowanego dla siebie przez zamożnego gospodarza o nazwisku Łomako. Wynajął nowy dom chwilowo nam, bo jego stary dom był jeszcze całkiem wygodny i był wystarczająco duży dla niego i dorosłych już dwóch synów. To właśnie oni byli głównymi dostarczycielami szczupaków na żydowskie stoły, byli chyba z przejeżdżającym handlarzem na stałe umówieni. Bywałem u nich często, rozmawiałem o sprzecie i sposobach połowu, chodziłem nawet z nimi nad rzekę i nad stawy – ale tylko w dzień. Nigdy, mimo obietnic, nie zabrali mnie na swoje tajemnicze nocne połowy z ościeniem, jak wiem - przy świetle pęku łuczywa na dziobie łodzi. Łowili też raki, ale na połów raków nie reflektowałem, tylko obserwowałem wyciąganie raków, gołą ręką, z ich głębokich nor pod obwisłym brzegiem rzeki, lub sznurem z głębi wody, gdy się już zwabiły na przynętę przywiązaną do siatki rozpiętej na drucianej obręczy. Przynętą była zwykle obdarta ze skóry żaba.

W 1938 roku otrzymałem drugą siostrę, Marię. Marysia mieszka teraz w Lublinie, ma własne mieszkanie i cieszy się z osiągnięć syna. Dariusz Dziki, bo tak się nazywa, jest Profesorem Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, jest szczęśliwym mężem Urszuli i ojcem dwóch wspaniałych córek. Ale w Chotowie na to się wcale nie zanosilo, a melodyjne dźwięki Marysi, według mnie stale domagającej się czegoś, a zwłaszcza pożywienia, nie usposabiały mnie do przebywania w domu. Ale nie tylko dlatego przebywałem zwykle poza domem – ciągnęło mnie – na przykład – rozległe gospodarstwo Łomaków, przyroda, a nawet pomysłowe pułapki i zapadnie na tchórze i kuny, zakładane w obejściach gospodarskich przez obu synów gospodarza, bardzo utalentowanych w łowiectwie. A ja próbowałem być utalentowanym w podglądaniu pszczoł i trzmieli. Zwłaszcza do trzmieli, pożytecznych owadów, latających statecznie i nie kłujących, poczułem wielką sympatię. Dla rozpoznanej na polu gromadki trzmieli zbudowałem z kory domek-ul. Na nic to się zdało, chociaż i później coś podobnego czyniłem, nawet przed dwoma laty w Zaklikowie. Nie mogę pojąć, dlaczego trzmiele, takie gospodarne, pod koniec lata tak łatwo giną – zostaje na zimę tylko królowa i zlepione jakby skórzane woreczki z zebrany miodem. Prowadziłem też rozmowy z moim gospodarzem, Panem Łomako. Rozmowy, rzekłbym teraz, natury politycznej. Dziwne jest też, że ja, przecież małolat, zorientowałem się już wtedy, że ma sympatie pro-bolszewickie.

W Chotowie chyba tylko on miał takie sympatie. A ja nie miałem, bo ja byłem jeszcze wtedy pogrążony w „Przypadkach Robinsona Crusoe”, na samym początku osławiania takich lektur.

### **Szkoła, Sobolewscy, pastuchy i takie tam dyrdymały, a później Wells**

Ze mną matka miała kłopot, bo ja już przed rokiem, jako nie pojony makiem do dobrego spania, powinienem chodzić do szkoły. Nawet czasem chodziłem, tylko wybierałem klasy, bywałem na przemian to w pierwszej, to w drugiej, zaglądałem też do trzeciej. Ja już wtedy umiałem nieźle czytać, ale mi się nie bardzo chciało. Przeglądałem tylko z zainteresowaniem broszury o samolotach RWD, o budowie modeli samolotów – latających, na gumę, o maskach

gazowych, i takie z radami higienicznymi, np. o pozbywaniu się świerzb i wszy. Szkoła w tym czasie musiała też być forpocztą w kwestiach zdrowia i higieny, teraz chyba też musi. Jak i ja, „państwo nauczycielstwo” też musieli chodzić do szkoły, w odróżnieniu ode mnie nawet codziennie. A że wynajęte na szkołę pomieszczenia były daleko od domu Pana Łomako, przenieśliśmy się do domu Sobolewskich, wprawdzie mniej wygodnego, ale położonego bliżej. Dom Sobolewskich był też prawie nowy, ale był chyba już od początku zaniedbany. Położenie domu - trochę jakby na pagórku, uwypuklało go tak, jakby był na scenie teatralnej. To wrażenie potęgował wąwozowaty w tym miejscu przebieg ulicy. Nie było ogrodzenia, poza płotkiem przy małym ogródku kwiatowym. Była stara niby stodoła, oraz coś w rodzaju podwórkowego spichlerza, czyli świronka, może pochodzącego jeszcze z czasów wojen napoleońskich. I to wszystko razem robiło wrażenie takie, że czytając Mickiewicza, zawsze mimowolnie umieszczam w wyobraźni akcję Zajazdu właśnie w podwórzu Sobolewskich, mimo uświadamianej ogromnej przecież różnicy w wielkości i zagospodarowaniu obejścia.

Głową Domu była starsza już Pani Sobolewska, ale raczej tylko formalnie. Rzucało się w oczy, że nie mogła opanować całości, zarówno gospodarczo, jak i pod względem atmosfery i obyczajów domowych. Problemem głównym była córka i jej nieustający romans z bliskim sąsiadem Leopoldem - z za płotu, gdyby płot był. Owocem romansu były dwie malutkie istoty, dwie dziewczynki, poczęte zapewne w odstępie krótszym od roku, tak niewiele się różniły. Były bardzo zaniedbane, podobnie była zaniedbana w stroju i uczesaniu ich rodzicielka, zawsze znerwicowana. Widoczne było, że spodziewa się trzeciego dziecka. I było powszechną tajemnicą, że Leopold ani myśli się żenić.

Leopold mieszkał z matką w bardzo starym, częściowo już zapadającym się w ziemię domu. W jego części udzielił mieszkania pewnej parze starszusków i nawet chyba opiekował się nimi, chociaż nie widać było, by prowadził jakieś rozsądne gospodarstwo. Ja początkowo często bywałem u starszusków, bo tam zaraz po wejściu otwierał się inny, ciekawszy świat. Świat pełen kolorów, figurek, zabawek ruchomych i nieruchomych, piętrzących się w ich ciasnym pomieszczeniu, z małą kuchenką, we wszystkich kątach, aż pod sufit. Wymyślał i sporządzał te wspaniałości Pan Mateusz, inwalida bodaj z wojny rosyjsko-japońskiej. Unikał chodzenia, ale jego umysł i ręce były ciągle w ruchu. Czegoż tam nie było – pasące się jelenie, bociany zanurzające co chwila dzioby w szklance wody, drwale ciągle piłujący drzewo. Szczytowym osiągnięciem Pana Mateusza była duża kolistą platforma uruchamiana korbką. Przy jej zgrzytliwym kręceniu wyjeżdżały karety, wyskakiwali jeźdźcy wymachujący szablami, ptaki trzepotały skrzydłami – a nad całym tym światem przesunęło się niebo z chmurami.

Pani Mateuszowa odwiedzała czasem moją Mamę, niekiedy coś przynosiła – poziomki, kawał pięknie wysuszonego sera z ziołami – i nigdy nie wychodziła z niczym. Oni później przenieśli się na odległy chutor, może do rodziny. Wkrótce doszły wieści o zgonie Pana Mateusza. Była już wtedy wojna.

Sobolewscy mieli w domu zasadniczo również „frakcję” męską, mocno rozproszoną w swoich męskich zajęciach, i mało znaczącą w bieżących domowych sprawach.

Pani Sobolewska miała trzech synów, najstarszym był Wincenty, zatrudniony w Policji Państwowej, ale tego nie jestem pewien. Bo gdy go migawkowo widziałem, jeszcze w 1939r., był bodaj w zielonym mundurze wojskowym. Był postacią dość tajemniczą, rzadko bywał w domu w Chotowie. Prawie na pewno to on wyłożył pieniądze na budowę tego domu. Po wkroczeniu Armii Czerwonej był intensywnie poszukiwany, ale ukrywał się i czekistom nie udało się go ująć. Średni Sobolewski, Franciszek, miał gdy go poznałem około 17 lat, interesował się książkami i chętnie mi je pożyczał. Najczęściej jednak kontaktowałem się z najmłodszym Sobolewskim, nazywanym po prostu Mańkiem, o rok lub dwa lata starszym ode mnie. To był „straszny łobuziak”, ale lubiłem go i liczyłem się z nim, bo tylko Maniek biegał szybciej ode mnie (w tej klasie wieku...) – a szybkie bieganie było przecież takie ważne.

Kiedy, będąc już pod zdecydowanym naciskiem „nauczycieli”, zacząłem wreszcie uczęszczać do szkoły, byłem bardzo rozżalony i rozdwojony w uczuciach. Bo był wrzesień, zagony po zbiorach zostały właśnie rozgrodzone, zatem krowy mogły być puszczane samopas, wreszcie mogły sobie swobodnie paść się na szerokiej przestrzeni wszędzie, nie było obawy, że wejdą w szkodę. Dla moich wiejskich przyjaciół, chwilowo pastuchów – istny raj. Mogli spokojnie zbierać się, rozpalać ognisko i wsadzać do jego gorącego popiołu ziemniaki, by je upieczone zjadać ceremonialnie, pogadując, jak dorośli. Snuły się i łączyły dymy ogniska i papierosowe. A tu – szkoła i obowiązkowa nauka tabliczki mnożenia i innych zbędnych mądrości.

W roku szkolnym 1938/39 byłem w klasie drugiej, prowadzonej przez Ojczyma, co miało znaczenie, bo wymagał zdyscyplinowania. Wtedy w szkole można było jak nic dostać karę w postaci mocnego pokręcenia za ucho, albo nawet w postaci „łapy”, to jest uderzenia linijką w dłoń, podstawianą przez karanego ucznia do uderzenia. Dostawało się „łapę” zwykle w dłoń lewą, bo dłoń mogła spuchnąć i utrudniać pisanie nawet i przez dwa tygodnie, a do pisania potrzebna jest przecież najczęściej dłoń prawa. Dostawało się jednak czasem w obie dłonie, a starsze klasy miały karę „łapy” wykonywaną ciężkim drewnianym piórnikiem. Wszystko to obecnie wydaje się być niepojęte, a przecież od starszych słyszałem, że kiedyś typową karą mogło być bicie paskiem po gołym tyłku.

Nudziłem się w drugiej klasie, nie miałem co robić i byłem ogólnie nieszczęśliwy przez odłączenie od koleżków, zabawiających się pieczeniem ziemniaków, chociaż powinni być w szkole. Ale pewnego razu dostrzegłem kątem oka, jak mój nieco starszy (o 3 lata) kolega Loniek Śliż idzie gdzieś z klasy na korytarz, w widocznym porozumieniu z moim Ojczymem. Zaciekawiony, poszedłem za nimi, i tak narodziło się odkrycie, że na korytarzu stoi szafa biblioteczna pełna książek i że Loniek prawie codziennie wymienia książki, i że ja też tak mogę. Pierwszą wypożyczoną książką była „Kichuś majstra Lepigliny” Janiny Porazińskiej – urocza, ale następne były coraz poważniejsze. Chwyciłem haczyk, już niedługo czytałem „Pamiętnik szympanasy Kaśki”, „Historię żółtej cizemki”, „Bitwę pod Raszynem”, „Nad dalekim cichym fiordem” – no i wszystkie te dobrze znane pozycje młodzieżowej literatury, z przygodami Robinsona Crusoe łącznie, które poznałem i chłonałem w kilku bardzo odmiennych wersjach. Bardzo dziwną była rosyjska, bo o kobiecie-Robinsonie, drukowana jeszcze według starej rosyjskiej pisowni: „Prikłuczenija Eleny Robinson”. Oczywiście, nie wszystko rozumiałem, a do niektórych książek wracałem wielokrotnie, nawet po wielu latach. Do takich odczytywanych na nowo, wieloznacznych, należy na przykład otrzymana od Ciotki Pigłowskiej książka „O dwóch takich, co ukradli Księżyc” – akurat gdy została świeżo wydana, a i teraz lubię sięgać po pełnego goryczy „Króla Maciusia Pierwszego”, i do „Wspomnień niebieskiego mundurka”.

Odkryłem wreszcie, że są ciekawsze książki i to we własnym domu. Stało się to dużo później, bo dopiero po dwóch latach zacząłem czytać, z niejakim już, a właściwie z pełnym zrozumieniem „Historię Świata” Wellsa. Wtedy (był już 1940 r.) nie wiedziałem, że H.G.Wells jest słynny, ale ta książka, wspaniale komunikacyjna, wręcz mnie olśniła. Zakupił ją dużo wcześniej dla siebie mój Ojczym (i chwała Mu za to), ale chyba jej nie czytał, bo zapewne wolał studiować samouczek języka niemieckiego „1000 słów po niemiecku”. Samouczek był wydany w postaci zgrabnych zeszytów, z dowcipnymi rozmówkami i rubasznymi rysunkami-karykaturami, ułatwiającymi przyswajanie języka.

Przed kilku laty nabyłem na nowo „Historię Świata” Wellsa, ale jest to bardzo kiepskie, wręcz szmatławce wydanie w serii BN tej znakomitej książki, bez fotografii i map, chociaż w znakomitym przekładzie Jana Parandowskiego z 1922 roku. Podobnie pozytywne, ale jednak mniej intensywne doznania miałem przy lekturze traktatów Edwarda Abramowskiego.



Pożyczałem książki i od innych rodzin, od Sobolewskich i od Suszków w Chotowie, ale były to książki takie „zwykłe”. Zacząłem pochłaniać – już wtedy - masę najróżniejszych książek, niekiedy bardzo dziwnej proveniencji, i w coraz szybszym tempie. Najdziwniejsze i bardzo przyjemne było przeczytanie „Gargantua i Pantagruel”, dlatego dziwne, bo w białoruskim, znakomitym moim zdaniem, przekładzie. Któremu nie dorównywał – tak uważam, znacznie później poznany przekład polski (chyba Boya) tej wstrząsającej groteski. Dziwne było i to, że arcydzieło Rabelais odkryłem w transporcie propagandowych książek sowieckich, jakimi później, już po inwazji Armii Czerwonej, obficie zaczęto zasilać szkołę w Chotowie.

Narastający urok książek przyczynił się do zmniejszenia żalu z utracenia idyllicznego uroku pasterskich ognisk. Ale poczucie idylli i tak by chyba zanikło, wobec wydarzeń, jakie zapoczątkowały się w 1939 roku, roku fatalnym, w którym wybuchła Wojna Światowa. Teraz wiem, że Wojna była od pewnego czasu oczekiwana i przygotowywano się do niej, może nawet licząc się z tym, że zacznie się dużo wcześniej. Jednak nie przewidywano aż tak szybkiej utraty niepodległości, i takich zmian, jakie nastąpiły bezpośrednio po wkroczeniu sowieckich wojsk na terytorium Państwa Polskiego, ani tych, jakie po Wojnie dokonywały się w całym Kraju w ciągu kilku dekad, w następstwie wprowadzania systemu politycznego ściśle, służalczo i bezmyślnie wzorowanego na modelu sowieckim, przy sterowaniu z Moskwy. Nie wyobrażano też sobie zmniejszenia terytorium Państwa, aż o 40 %, w wyniku aneksji Wołynia, Polesia, Podola i innych ziem, ani kulturalnej i fizycznej eliminacji z tych ziem żywiołu polskiego.

Ale ja tu nie piszę ogólnej historii Polski. Zajmuję się tylko przypominaniem biegu różnych lokalnych spraw i poszczególnych wydarzeń widzianych bezpośrednio moimi oczami, bądź zasłyszanych od innych, a opowiedzianych w sposób wiarygodny. Jestem bowiem przekonany, że wiele z zapamiętanych wydarzeń występowało również w innych Kresowych osiedlach i w przypadku innych osób, podobnie, nawet w drobnych szczegółach. Zdaję jednak sobie sprawę i z tego, że jako dorosły – nie mogę, nie powinienem relacjonować – opowiadać różnych historii, wydarzeń - wyłącznie ukazując ich strony negatywne, bądź pozytywne. Gdyż historia „kołem się toczy” i zaliczanie wydarzeń do „negatywów”, bądź „pozytywów” może być nie tylko kontrowersyjne, lecz i wątpliwe etycznie. Niektóre wstrząsy, zwłaszcza społeczne, są widocznie nieuniknione. Ale nie chcę pogłębiać tego kierunku myślenia. Czynili to od wieków wielcy myśliciele, na przykład Immanuel Kant, na przykład w „krytyce praktycznego rozumu”.

### **Co się działo w 1939 roku, i później**

Otóż, nie wszystko pamiętam dobrze, co się działo, to znaczy raczej – w jakiej kolejności się działo, chociaż główne wydarzenia z tego roku pamiętam wyraziście.

Najpierw w marcu został powołany do wojska Ojczym. Pojechał w pięknym gabardynowym płaszczu, czyli z fasonem, chociaż nie był oficerem – był starszym strzelcem z cenzusem. Dodanie urzędowo koniecznego zwrotu - „z cenzusem” oznaczało, że miał wykształcenie, nie bardzo wśród szeregowych wojskowych powszechne. Miało to chronić powołanych do służby „inteligentów” przed szykanami ze strony osobników nazywanych w wojsku pospolicie „zupakami” – i czasem chroniło, a niekiedy właśnie raczej pobudzało do drobnych szykan, niby dozwolonych w majestacie służbowych procedur.

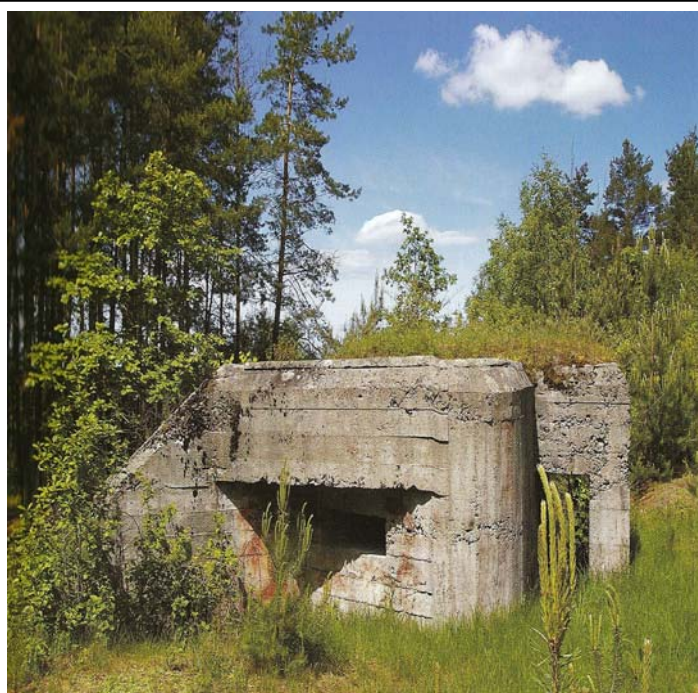
Sądzi się, że Inteligenci nie byli w żadnej armii Świata popularni – zwykle żartuje się, że za mało piją. No, może w Legionach było lepiej, ale ci z Legionów Piłsudskiego nieźle pociągając, do ataku też szli gęsto, więc to chyba raczej dlatego mieli lepszą opinię.

Kiedy Ojczym przybył później korzystając z krótkiego urlopu, przebrany ponownie w swoje cywilne ubranie, piękny płaszcz był wybrudzony i miał połę rozprutą od bagnetu. Więc wrócił do wojska po tym urlopie w innym, byle jakim już ubraniu. Na szczęście, wrócił za trzy miesiące ponownie, bo było już jakby po wojnie. Był wygłodzony, przygnębiony, ale zdrowy.

Odbył kampanię wrześniową, uczestniczył w bitwach pod Mławą. Była tam linia polskich bunkrów, jednak nie oparły się one niemieckim atakom z Prus Wschodnich. Jednostka w której służył Ojczym została wtedy wycofana do Warszawy, dla wspomagania obrony przeciwlotniczej, i właśnie w Warszawie dostał się do niemieckiej niewoli.



*Mój Ojczym, Ojciec Marysi  
Bronisław Sieńko, 1939 rok*



*Polski dwustrzelnicowy lekki schron bojowy  
na lewym skraju pozycji w linii Mława,  
w pobliżu pozostałości okopów, wrzesień 1939 r.*

A my w Chotowie we wrześniu również przeszliśmy w „międzyczasie” pod „opiekę” obcego wojska - sowieckiego. Pamiętam ten ponury dzień 17 września 1939 roku, kiedy to się stało. Dzień IV rozbioru Polski, dokonanego zgodnie z tajnym porozumieniem z 23 sierpnia 1939 roku między Hitlerem a Stalinem, zwanym obecnie Paktem Ribbentrop-Mołotow. Pamiętam długie kolumny czerwonoarmistów, długie ich płaszcze szarego koloru, zwane szynelami, dziwne czapki „budionnówki” – takie ze szpicem, i bardzo długie karabiny z osadzonymi na nich bagnetami typu kłującego, też bardzo długimi. Ta ogromna szara masa piechoty szła szybko, konnych było mało, były jednak wozy i były pancerniki. Szli nietypowo, ornym polem poza wsią, gdzie drogi nie było, ale gdy przeszli, droga już była wydeptana.

Oglądałem to przejście wcześniej rano, nie pamiętam, kto mnie obudził, zaraz się zerwałem, ubrałem się i pobiegłem. Dorosłych oglądających było mało, a ci co przyszli, byli milczący i przestraszeni. To był pochmurny zimny poranek, było mgliście i padał lekki deszcz. Zaraz też wróciłem do Sobolewskich. Tuż przed domem dogoniły mnie i przetoczyły się ulicą wsi dwa czołgi. Z zamkniętymi lukami, groźne, nikt ich nie oczekiwał i nie witał. Te dwa sowieckie czołgi to były w ogóle pierwsze czołgi, jakie widziałem.

W domu u Sobolewskich po kilku godzinach byłem świadkiem wizyty czterech jakby „kamandirów” – czyli oficerów, może komisarzy lub czekistów, a może czołgistów, ale tego rozpoznać nie można było, gdyż byli w jednakowych czarnych skórzanych kurtkach, z takiej bardzo gładkiej skóry. No i sowieci – jak wiadomo, jeszcze wtedy nie nosili „pagonów”, czyli epoletów. Stałem z boku i niezbyt dobrze słyszałem ich rozmowę z obu Paniami Sobolewskimi, bo tylko one były w domu. Wyłowiłem tylko zwrot: ”gdy wy tańczyliście

tanga, my robiliśmy tanki”. Oni jednak przyszli wcale nie dla propagowania idei sowieckiego państwa – wkrótce się okazało, że oni przybyli, by zakupić dla siebie „sała”, czyli słoninę. Nie od razu to zrozumiano, ale gdy pokojowy cel wizyty został ujawniony, mniej już przestraszone obie Sobolewskie zakrzętnęły się wokół zdobycia „sała”. Położono poleć słoniny na gazecie, przybysze zasiedli przy stole i od razu przystąpili do konsumpcji. Oczywiście, zapłacili, był tylko problem ceny, a również padło pytanie, czy nie można kupić trochę więcej. Byli bardzo grzeczni, ale i niezwykle skupieni, cała transakcja odbyła się bez jakiegokolwiek uśmiechu. Była wśród nich, jak się okazało, kobieta. Chyba nawet dowodziła. Powrót Ojczyzna nastąpił w wyniku niemiecko-rosyjskiego porozumienia, przewidującego wymianę jeńców według miejsca zamieszkania, co wymagało otrzymania odpowiedniego pisma. Więc wrócił z jednorazowej wartości przepustką sporządzoną w dwóch językach, zaświadczejacą, że jej okaziciel powraca do ojczystego kraju leżacego na Wschód od Wisły. Była żółtego koloru.

Niemal natychmiast po powrocie Ojczyzna został zaproszony do tworzonego w Chotowie „sielsowietu”, rodzaju urzędu gminnego – ale również placówki politycznej. Czegoś takiego Chotów (teraz Chatawa) wcześniej nie miał. Organizował sielsowiet nieznany mi osobnik, żwawy choć gruby, o nieprzyjemnej twarzy ze złamanym nosem. Zaczęłam go widywać jeżdżacego na dużym motocyklu, raczej wolno, rozglądajacego się z dziwnym, jakby triumfującym wyrazem twarzy. Wkrótce wyjaśniono nam, że to powrócił znany tu, ale przed laty zaginiony działacz komunistyczny - i że on chyba też dobrze jeszcze pamięta tutejszych i orientuje się w tutejszych sprawach. Matka się trochę zaniepokoiła, ale była na wszystko przygotowana, pamiętała, co się działo przed laty w Żytomierzu i Odessie. Dokumenty rodzinne Matka spaliła już wcześniej. Wiedzieliśmy, że jesteśmy trochę jak w pułapce. Sytuacja nie tylko w Kraju, ale w całej Europie była taka, jakby Świat zastygł w oczekiwaniu na rozwój jeszcze gorszych zdarzeń. Chociaż tak jeszcze niedawno wysłuchiwalismy wieści budzających otuchę, radiowych komunikatów, choćby o Westerplatte, że ono się jeszcze broni. Szansą było to, że było dość spokojnie, nic się bardzo strasznego w Chotowie nie działo, poza przyjazdem kilku rodzin ze Słoniama i Lidy, jakby uciekających przed jakimś zagrożeniem. Ich przyjazd oznaczał dla mnie początkowo tylko zwiększenie możliwości pożyczania nowych książek. Jednak zdarzył się i jeden przypadek sam w sobie groźny – napadnięto nocą i zamordowano mieszkającą na chutorze pewną panią, wdowę po generale carskim, o której ja nawet słyszałem, że ma złote carskie ruble. Zastanawiano się, czy te ruble istotnie miała.

Nas tu prawie nikt nie znał bliżej, bo nas wcześniej tu nie było, nie mieliśmy posiadłości, a i większych pieniędzy kuszących do rabunku, funkcjonowalismy jako typowa, niemal „proletariacka” nauczycielska rodzina. Jednak niepokój odczuwalismy, głównie Matka, ale nawet i mnie on się udzielał. Nieustalona sytuacja jednak powoli się wyjaśniała, to znaczy – nabierała, mówiac poetycko, korzystniejszych barw. Jak wspomniałem, niemal bezpośrednio po powrocie z niewoli Ojczyzna został zaproszony do sielsowietu na rozmowę. Poszedł z niepokojem, wrócił w lepszym nastroju.

Oznajmiono mu, że władza radziecka chce szybko wznowić zajęcia szkolne na terenach przez nią wyzwolonych, by młodzież mogła uczyć się w swoim ojczystym, oczywiście białoruskim języku. I że jako urodzony na tych ziemiach, i nie będący ani oficerem, ani skażonym klasowo obszarnikiem, jest uważany wraz ze znajacą język rosyjski żoną (czyli moją Matką), za osobę właściwą do tymczasowego pokierowania szkołą. Przy tym władzy radzieckiej zależy, by przerwane zajęcia wznowione zostały już w nowej szkole, której budowa, jak władzy wiadomo, już się prawie zakończyła, a ludowa władza radziecka we wszystkim pomoże - dostarczy zeszyty, podręczniki i inne książki, których nie trzeba będzie kupować, jak było za czasów polskiej władzy.

Dalej jednak zostało oznajmione, że te postanowienia sielsowietu są tymczasowe i wymagają jeszcze zatwierdzającej decyzji innych szczebli władzy, dopiero organizujacej się w Iwieńcu.

Jednak uspokajająco dodano, że nie czekając na tę decyzję, możemy już teraz wprowadzić się do mieszkania nauczycielskiego przy szkole. To ostatnie było dla nas, tułających się przecież ciągle od mieszkania do mieszkania, może w obecnej sytuacji najważniejsze.

Matkę te wiadomości częściowo uspokoiły, nawet się ucieszyła. Miała przecież dwoje dzieci, a Marysia miała niecałe dwa lata. Już od roku Matka szykowała się do wprowadzenia się do mieszkania przy szkole, obszernego, chociaż zaprojektowanego niezbyt praktycznie jak na warunki wiejskie, bo bez wody, bez łazienki i odprowadzania ścieków, i – co najgorsze, bez porządnego pieca kuchennego, była tylko mała kuchenka z dwoma fajerkami.

Matka wykazała się inwencją i gdy Ojczym był na wojnie, jakoś namówiła majstrów budujących szkołę do postawienia pieca podobnego do wiejskich pieców służących na wsi do pieczenia chleba, gotowania strawy dla ludzi i kartofli dla świń, no i oczywiście do wylegiwania się na piecu. Wkrótce taki piec, jednak znacznie mniejszy od wiejskich, stanął, przednią częścią mieszcząc się w kuchni, tylną zaś w pokoju zwanym „dużym”. Bardzo się przydał, chociaż nie spełniał w pełni nadziei, bo wobec małej powierzchni wylegiwać na nim mogłem tylko ja, a i to - zachowując daleko idącą ostrożność. Był cały pokryty miodowej barwy kafelkami, ładnymi, ale śliskimi, więc łatwo było ześliznąć się i spaść z pieca.

Na tym właśnie piecu przeczytałem na leżąc „Historię Świata” Wellsa. Z wysokości pieca zawzięcie dyskutowałem z dorosłymi różne kwestie filozoficzne – jeżeli chcieli, a nie zawsze chcieli. No, bo dorośli bywają nudni, chociaż zdarzają się i ciekawi dorośli.

Wbrew obawom, uruchomienie zajęć szkolnych poszło łatwo. Dla mnie tylko na początku pewnym problemem było przyswojenie nowego alfabetu i pisanie białoruskimi „bukwami”, bo przecież sam język znałem. Wkrótce na piecu czytywałem Rabelais po białorusku, bo tylko taki jego przekład mi się akurat zdarzył. Znacznie trudniej mi szło z tekstami rosyjskimi, nie lubiłem ich. Ale po rosyjsku były tylko „Istoria Rossii”, i „Prikłuczenija Oliviera Twista”, oraz „Elena Robinson”, prywatnie pożyczona księga, z dawną pisownią.

Najtrudniej było z Bożym Narodzeniem, Nowym Rokiem i Choinkami – nie można już było kupić kolorowego papieru do lepienia łańcuchów, ani anielskich główek i anielskich włosów – właściwie prawie niczego takiego już nie można było kupić. Ale można było „dostać” landrynki, bo do szkoły na „Nowyj God” poza transportami książek przychodziły całkiem duże skrzynie skawalonych landrynek. Rąbało się je siekierą – przy herbacie zastępowały cukier, według nowej metody „na prikusku”. Czego to się wtedy nie nauczyło!

Niezmiennie było czytanie książek, oczywiście jedynie interesujące były książki polskie, głównie z biblioteki szkolnej, w której dominowały książki stare, nawet wydane jeszcze przez Macierz Szkolną w zaborze austriackim. Tymczasem, jeżeli dobrze pamiętam, jeszcze nie dochodziło do całkowitego rugowania z bibliotek szkolnych książek polskich, ale pewne wytyczne już do szkół przysyłano. Nie słuchało się wcale radia, chociaż Ojczym, przecież fanatyk radia, jeszcze przed wojną zakupił do szkoły nowy odbiornik, superheterodynowy.

Mieliśmy więc teraz dwa odbiorniki radiowe, nasz i szkolny – ale trzymaliśmy je oba nieco ukryte w domu – tak na wszelki przypadek. W Chotowie dotychczas nie było odbiornika radiowego. Pamiętam, że Ojczym sprowadzając się do Chotowa miał plany rozwinięcia akcji oświatowej, opartej właśnie na wykorzystaniu radia, oraz istniejącego samotnego budynku, dawnej świetlicy Strzelca. Zaczął nawet te plany realizować, ale po wkroczeniu Sowietów, w wyporządkowanym budynku sielsowiet urządził klub, rodzaj świetlicy, z gazetami i materiałami agitacyjnymi, jeszcze bez radia. W tymże klubie odbyło się niby głosowanie, za dołączeniem terenu Zachodniej Białorusi do ZSRR, w którym chyba nikt nie uczestniczył, bo dopiero z gazet dowiedzieliśmy się, po pewnym czasie, że w ogóle było. Ale wtedy już otwarcie pisano, że nastąpiła pełna akceptacja „wyzwolenia Zachodniej Białorusi” przez ludność, a termin „wyzwolenie” szybko i na stałe wszedł do kłamliwego użytku w propagandowym żargonie.

Ulubione stacje już nie nadawały. Boże Narodzenie bez „Wesołej Lwowskiej Fali”, bez Szczepcia i Tońcia - było smutne. I bardzo smutna, w istocie bezsensowna, była Choinka



zarządzona obowiązkowo na Nowy Rok, z wyraźnym zakazem jakichkolwiek atrybutów świadczących o przynależności religijnej i do narodowości polskiej.

Wszystko stało się smutne i niebezpieczne. Ojczym zaś często był wzywany do sielsowietu, by pomagać czytać i rozumieć zarządzenia, nadchodzące zwykle nocą, nad ranem – i które musiały być natychmiast realizowane. Taka praktyka odgórnego centralnego sterowania wszystkimi sprawami w trybie natychmiastowej realizacji, jak wiadomo, była zasadniczą, stałą cechą sowieckiego reżimu – Stalin pracował nocą. Czekanie na wezwanie do stawienia się w sielsowiecie, natychmiastowego, niezależnie od pory dnia, było wyczerpujące nerwowo, a i fizycznie, bo do sielsowietu trzeba było iść przez prawie cały Chotów. Telefonu nie było.

Jedyną dodatnią stroną wezwań do sielsowietu było pewne przenikanie informacji, choćby szczątków informacji - co do zamierzeń władz. Między innymi uświadomiliśmy sobie, że postępowanie władz względem nauczycielstwa było łagodniejsze, niż wobec innych grup inteligentnych, ze względu na to, że większość nauczycieli należała do ZNP (Związku Nauczycielstwa Polskiego), a ta organizacja była uważana za lewicową. Jak później stało się wiadomo, wszystko za sprawą Wandy Wasilewskiej, która najpierw doprowadziła do zatargu ZNP z Rządem Polskim, a wobec zaognienia sporu - uciekła do ZSRR. Względnie łagodny kurs Sowietów nauczyciele zawdzięczali więc być może wstawiennictwu Wasilewskiej u Stalina. Mogę tylko dodać, że wśród książek przysyłanych do szkoły znalazłem dwie rosyjskie autorstwa Wasilewskiej, bardzo kiepskie, nachalnie propagandowe. Kanwą jednej z nich, jak pamiętam, był historyczny opis przedzieranie się na Wschód uciekiniera z „faszystowskiej” Polski, nocą, brodzącego i podtapiającego się w bagnach, ale ocalałego - gdy pokazały się promienie wschodzącego Słońca (i dla małego było niewątpliwe, że to światło od Stalina).

Trudno mi relacjonować przebieg zdarzeń w końcu 1939 roku, w następnym 1940, i nawet w początkach 1941 roku – bo ich nie rozumiałem. Na wsi niby nic się nie działo, wiedzieliśmy wprawdzie o wywożeniu niektórych polskich rodzin na Wschód, w warunkach trudnej zimy 1940 roku, ale to były wiadomości nadchodzące z większych miast, rzadkie i niepewne wobec braku łączności. Wydawały się też nieprawdopodobne, dopiero po latach ujawnił się w pełni tragizm polskich rodzin wywożonych mroźną zimą w stepy Azji Środkowej.

W Chotowie natomiast coraz bardziej dziwiło i zastanawiało, że coraz częściej latały samoloty, przy tym – co wcześniej było rzadkością - że latały całymi stadami. Były to samoloty wielosilnikowe, ciężkie, przy ich przelocie wydawało się, że ziemia drży. Jednak we wsi było spokojnie, tylko koni prawie nie było, bo wdrożono roboty w trybie „szarwarku” – chłopskie podwozy musiały wozić różne materiały budowlane, nawet piasek – gdyż dla tych dużych samolotów pośpiesznie budowano lotniska. Teraz wiadomo, że szykowano się do dalszego biegu wojny, której tu jakby chwilowo nie było. Na Zachodzie trwała przecież nadal, jak wiadomo, *„la drole de guerre”* – po naszymu „dziwna wojna”, tu więc Stalin spokojnie przygotowywał dalszy skok, podciągając garnizony i awiację ku nowym granicom. I również wiem, dlaczego rządy w Rodzinie przejęła wtedy Matka – po prostu była bardziej świadoma i czujna, szykowała się na przetrwanie, z dziećmi i z Mężem, który przecież też poznał skutki działań wojennych. A Matka pamiętała, co się za rządów bolszewickich działo w Odessie i Żytomierzu. I nie była spokojna, nawet wtedy, gdy już Oboje pomyślnie przeszli zapowiadzaną wcześniej „lustrację” owych wyższych władz szkolnych w Iwieńcu, i zaczęli otrzymywać pensje nauczycielskie.

Naturalnie, wypłacano im oczywiście pensje już w rublach. Z zadziwieniem przyglądałem się nowym szeleszczącym banknotom o nieznanych nominałach 3 rubli. Siła nabywcza rubli nie była znana, bo sklepów nie było. Nie wiadomo też było, jaką wartość mają polskie banknoty, jeszcze będące w lokalnym obiegu, w Chotowie chętnie przyjmowane. Do tej pory jednak nie wiem, dlaczego zupełnie znikły dawne banknoty carskie, które widywałem w Chotowie, było ich dużo i były nawet takie o dużych nominałach, 500 rublowe nie były rzadkością. Ja z kolegami grywałem o nie w karty, „w durnia”.

Działania Rodziców – obejmę tą nazwą Matkę z Ojczymem – szły w kierunku zapewnienia naturalnej zdolności aprowizacyjnej, w przewidywaniu nadejścia trudniejszych czasów. Podstawa działań była ziemia przydzielona dla szkoły już w początku jej budowy, nadająca się do uprawy, gdyż prawie na pewno jeszcze całkiem niedawno stały na niej zabudowania gospodarcze, i ziemia była ciągle uprawiana. Ziemia była w dwóch prawie identycznych kawałkach kwadratowych, rozmieszczonych symetrycznie względem ulicy, prawie w samym środku Chotowa. Północna część mieściła szkołę, wraz z licznymi stosami belek i desek, i małą szopę, zwaną Drewutnią. Było ogrodzona prawie w całości sztachetami, a że sztachet nie starczyło, pozostałą część ogrodzono inaczej, ale też solidnie, przez przybicie poziomych desek do słupów wkopanych wcześniej w przewidywaniu ogrodzenia w całości sztachetami. Piszę o tym szczegółowo, bo to stało się ważne dla naszej egzystencji wojennej. Na tym „szkolnym” terenie była już wykopana studnia, u drzwi części mieszkalnej, ale w kołowrót i daszek ochronny, ważne ze względu na klimat, studnię zaopatrzone trochę później. Innego ujęcia nie było, początkowo po wodę trzeba było chodzić z wiadrem do sąsiadów, Czujków i Łomaków, po obu stronach działki szkolnej. Byli zawsze bardzo uczynni, co podkreślam.

Była też początkowo sadzawka, z której budujący czerpali wodę, ale Matka kazała ją zasypać. Po budowie został też duży prostokątny i głęboki dół z dobrym gaszonym wapnem. Tego wapna pozostało dużo, było użyteczne, również w tym znaczeniu, że stało się cenną „monetą wymienną” w późniejszych transakcjach z potrzebującymi wapna Chotowianami. Dla niepoznaki, dla zapobiegnięcia wyschnięciu, a i ze względów bezpieczeństwa, wapno zostało posypane z wierzchu ziemią, a dół przykryty starannie deskami.

„Rolnicza” część ziemi, usytuowana po drugiej stronie ulicy, była tylko częściowo ogrodzona, naturalnymi zaroślami dzikich śliwek i drutem kolczastym przybitym byle jak do zwykłych kołków. Kawałek tej parceli był łąką, bardzo przyjemną, urzekająco kwitnącą, szkoda - że niezbyt dużą. Prowadziła do łąki bujnie zarośnięta miedza, zakończona dużym, nieco płaskawym czarnym kamieniem, wrośniętym w ziemię. Miał on dla mnie znaczenie, bo właśnie wokół tego kamienia lubili gromadzić się moi znajomi pastuchowie, jesienią przy nim rozpalaliśmy ognisko i piekli ziemniaki – a również cebulę, i wszystko, co się dało.

O najważniejszym jeszcze nie powiedziałem – w centrum rolniczej działki było sanktuarium Matki, też działka, ale mała, ściśle i wysoko ogrodzona, dla utajnienia, co tam było. A był kolorowy klomb, a wokół niego dróżki oddzielające grządki: z sałatą, marchwią, cebulą i czosnkiem, z ogórkami, dyniami, pomidorami – no i – co najważniejsze – z nieznanymi tam truskawkami. Były i inne rośliny, ale ja już nie pamiętam, jakie. Wszystkie one niesłychanie bujnie rosły, dzięki troskliwemu pielęgnowaniu i podlewaniu. No – gorzej, bo jakoś nierówno rosły i dojrzewały pomidory. Przypominam, że wbrew początkowym obawom Matki, włamywania do ogródka były rzadkie, raczej tylko z ciekawości. Ten wspniany ogródek w pewnej mierze zaspokajał tęsknoty Matki do posiadania i uprawiania kawałka ziemi.

Mówiono, że działka ma 2 hektary – ja myślę, że to dotyczy tylko części rolniczej, łącznie to może było i 4 ha – to dużo.

Rozmyślenia Rodziców bardzo szybko przeszły w decyzje. Jeszcze jesienią 39 roku działka rolnicza została zorana, zabronowana i na jej części posiano żyto. Na wiosnę posiano len i koniczynę, później zaś seradellę jako poplon. We właściwym terminie posadzono ziemniaki. Wszystko te czynności zawdzięczamy wydatnej pomocy i radom mieszkańców, rodzicom dzieci szkolnych. Ale najbardziej ważnym stało się postawienie w rogu działki szkolnej stodoły, skojarzonej z oborą, oraz zakupienie krowy. Oba te zakupy były bardzo trafne, można od razu wyprzedzająco powiedzieć, że generalnie przesądziły o powodzeniu zamiaru aprowizacyjnego usamodzielnienia się. A do tego – były piękne „same w sobie”. Stodoła złączona z oborą była budynkiem miniaturowym - w porównaniu z typowymi stodołami i oborami, i była prawie nowa – jej drewno ledwo zdążyło lekko zbrązowieć. Została bowiem zakupiona z rozbiórki, najwyraźniej należała wcześniej do kogoś, kto może nawet nie

prowadził działalności rolniczej. Była niezwykle starannie wykonana, dzięki lekkiej, doskonałej konstrukcji bardzo szybko i bez usterek ją złożono, wczesną wiosną 1940 roku. Miała dwuskrzydłowe wrota, przez które można było wjechać furą. A niedługo została wyposażona w typowe klepisko. Podobne superlatywy dotyczą oceny krowy, pięknej młodej holenderki, przybysza z Puszczy Nalibockiej, z ładnie ukształtowanymi rogami. W przypadku krowy, która miała – lub jej nadaliśmy imię *Podłasa* (imię to, zrozumiałe raczej tylko dla ludzi z Kresów, oznacza „Przymilna”), wyprzedzając powiem, mieliśmy jednak pewne kłopoty – no, problemy. A raczej ona z nami miała, z samotnym pobytem u nas. To była krowa z puszczańskiego stada, tęskniła do niego i próbowała od nas uciekać. Czuła się opuszczona i dobrze się stało, że działka szkolna była dobrze ogrodzona. Choć i to nie pomagało. Więc szybko doszliśmy do wniosku, że tymczasem nie może być wypuszczana na zewnątrz, i że póki co, dobrze by było uwiązać na jej rogach mocny a długi powróż, łatwy dla uchwycenia. Nosila go długo, bo ja sobie z nią nie bardzo radziłem, taka była silna i krnąbrna. O jednym poważnym incydencie ze mną i Podłasą w rolach głównych – opowiem później.

Jakby tego było mało, Matka zaczęła hodować kury, a na jesieni – zakupiła parę rozkosznych prosiaczków – jeden był biały, drugi czarny. Bardzo inteligentnych, wesołych - ich wyczyny można było obserwować godzinami.

Cała ta działalność „rolnicza” tylko na początku była rodzajem zabawy. Wkrótce okazała się koniecznością wkładu pracy, systematycznej, codziennej. Ziemiaki trzeba było posadzić, w miarę ich wzrostu - okopywać, krowę doić dwa razy dziennie, poić zwierzęta i dbać o pożywienie – niczego nie wolno było zaniedbać. Na szczęście, pomagali nam sąsiedzi (szczególnie zaprzyjaźnione sąsiadki). Matka nigdy nie nauczyła się doić, jak i ja.

Ojciec uczestniczył bardzo czynnie we wszystkich tych przedsięwzięciach, chociaż miał na głowie szkołę i czasem sielsowiet. Miał też swoje – nazwijmy to *hobby*: budowę schronów ziemnych. Pierwszą ziemiankę wybudował niemal bezpośrednio po powrocie z niewoli. Był to schron wykopany w dalekim kącie od szkoły, w glebie piaszczystej – bo piasek, jak mi tłumaczył, dobrze zatrzymuje kule. Ale, że osychający piasek łatwo się osypuje, ściany musiały być wyłożone deskami, o które było łatwo, pozostało ich bowiem dużo po budowie szkoły. Ja gorliwie pomagałem. Górę schronu wyłożyliśmy podwójną warstwą grubych sosnowych belek, kładzionych na krzyż. Po przysypaniu grubo ziemią, mogły, jak Ojciec twierdził, wytrzymać nawet uderzenie granatów. Ojciec nie był jednak chyba z tego schronu zadowolony, bo wkrótce zaczął kopać drugi, tym razem jakby zamaskowany, bo pod Drewnutnią, z wąskim wejściem od zewnątrz. Ale mnie ten pierwszy podobał się, wpadało tam bezpośrednio światło słoneczne, było miło i cicho, często tam ukrywałem się, czytałem siedząc bezpośrednio na nieco mokrawym piasku, co się jednak wkrótce zemściło. Bo gdy już objąłem ten schron w posiadanie, z ufnością zakopałem w jego piaszczystej podłodze moje ulubione książki, by je ochronić. Wśród „ulubionych” była ta białoruska z Rabelais. I ona właśnie najbardziej ucierpiała od zakopania w wilgotnym piasku. Bo, gdy na szczęście już wkrótce książki z powrotem wydobyłem, okładki Rabelais zdążyły częściowo spleśnieć od piaskowej wilgoci. Tak to bywa. A Ojciec później wykopał schron trzeci, jeszcze bardziej ukryty, bo w stodole, no i duży – bo był przeznaczony dla ukrycia krowy. I ten się naprawdę przydał – ale o tym opowiem później.

W tym czasie (w 1940 roku) ukończyłem 3 klasę i na jesieni miałem postąpić do 4 klasy. Wiosnę i lato miałem niby „wolne” – ale musiałem dopilnować inteligentnej Podłasy – sądzę, że i ona mnie obserwowała, bo gdy tylko się oddalałem, włąziła zaraz w owies, który też został zasiany, i to na moją klęskę w obrębie działki szkolnej, zasadniczo nie „rolniczej”, jednak wiosną zasianej. A oddalać się czasem musiałem, na przykład dla narwania, czyli zebrania dobrego zielska na działce „rolniczej”, w dużej ilości dla dokarmienia krowy, czego Ojczym domagał się – moim zdaniem, zbyt bezwzględnie. Często jednak leżałem na kocu, na brzuchu, w słońcu, a popatrując na krowę – czytałem. Co czytam, sprawdzała czasem Matka,

podchodziła i dyskretnie zaglądała – a widząc, że na przykład leży przede mną sowiecka świeżo nadesłana do szkoły wielkoformatowa książka z kolorową fotografią na okładce typu „dzieciątko Lenin”, chociaż zadziwiona, jednak uspokojona - odchodziła. Ja wtedy mogłem już spokojnie kontynuować czytanie „Quo Vadis”, książki ze wszech miar interesującej, a przez moją Mamę – nie wiedzieć czemu – uważanej za wysoce niestosowną dla 10-letniego chłopca, przyszłego jej zdaniem ministranta. Takie były czasy i zasady, ja to rozumiałem.

Sytuacja naszej Rodziny była wtedy taka, że głodu wprawdzie tu nigdy nie zazналиśmy, ale warunki aprowizacji stopniowo się pogarszały. Bo już nie było sklepiku, gdzie wcześniej można było zawsze kupić śledzie, i prawie zawsze kielbasę krakowską oraz boczek, za którymi ja wprawdzie nie przepadałem, woląc domowe potrawy mięsne – ale teraz mięso, nabywane i wcześniej tylko okazjonalnie od gospodarzy z racji świniobicia, stawało się trudno dostępne. Pieniądze – wszelkie pieniądze – straciły wartość, skoro sklepów nie było. Matka zaprzestała co tygodniowych wycieczek wynajętą furmanką do Derewna, gdzie poprzez zaprzyjaźnioną Żydówkę mogła wcześniej nabyć wszystko, co chciała – ale teraz te możliwości ustały. Przechodziliśmy na odżywianie niemal wyłącznie wegetariańskie, z bardzo mocnym oparciem się na mleku. Samego mleka wystarczało dla całej naszej 4-osobowej rodziny, nawet niekiedy zasilaliśmy mlekiem od naszej krowy innych potrzebujących, ale jednak nie było go tyle, by można było jeszcze wyrabiać sery i robić masło. Nasza Podłasa stała się podstawą naszego wyżywienia, była istną fabryką mleka, o wydajności dużo większej od wydajności tutejszych krów wiejskich rasy czerwonej. Ale były problemy z jej wyżywieniem – działka szkolna o powierzchni częściowo zdewastowanej, zajętej przez boisko szkolne, zabudowę, sęgi drzewa, z dołami po budowie – nie mogła zapewnić należytej ilości trawy, podstawy żywienia krowy. Nie chcieliśmy jednak puścić Podłasę na wypas do wiejskiego stada – tam zmarniałaby, a może uciekła. Trzeba było więc zadbać dla niej o dodatkowe pożywienie, i z tym był problem, zwłaszcza na początku, gdyż z części „rolniczej” działki jeszcze plonów nie było. Ojczym kategorycznie zażądał, z akceptacją Matki, bym zajął się codzienną dostawą zielska dla krowy, w należytej ilości i jakości. Było to polecenie zrozumiałe, lecz ten obowiązek stał się dla mnie oczywiście dręczący, mniej czasu miałem dla siebie i nie spotykałem się tak często z koleżkami.

Jak wtedy wyglądałem, widać na fotografii zrobionej przez wędrownego fotografa.



*Moja postać w całej okazałości, chyba sfotografowana latem 1939 roku, jeszcze przed wkroczeniem sowieckich wojsk. Był, co pamiętam, straszny upał, ale Matka „dla przyzwoitości” kazała mi się ubrać, naciągnąć pończochy – może zimowe, buciki, i nałożyła własną kurtkę z bujnym kołnierzem. Mimo zabiegów maskujących widać, że miała - jak na mnie – za długie rękawy. Ale w berecie z Orłem, też chyba nie swoim, w postawie na „baczność”, wyglądałem dziarsko. Dla podkreślenia powagi, do ręki dano mi matczyną nauczycielską teczkę – musiałem jednak podkurczyć rękę, bo inaczej sięgałaby ziemi.*

*Zdjęcie litościwie wykonano w cieniu, na tle ściany jakiegoś chlewika w obejściu Leopolda.*



Szczęśliwie jednak właśnie wtedy nawiązałem bliskie kontakty z sąsiadującymi Czujkami, a głównie z Jurkiem Czujko, chłopcem w moim wieku, ale większym i dużo silniejszym, mimo pewnego kalectwa. Miał stopy obu nóg zdeformowane od urodzenia, były zakręcone do środka, więc Jurka chodził dotykając ziemi jakby wierzchnią stroną stóp. Biegał jednak całkiem szybko, migając kulistym obuwiem splecionym ze sznurków. Nie pamiętam, by chodził do szkoły, ale czasem coś psociliśmy razem. W „siłowaniu się” Jurka bez trudu mnie pokonywał, obalał – ale przewagi nie nadużywał.

Tu przypomnę, jak pewnego razu wczesnym wieczorem poszedłem do Czujków z zapaloną latarką, ale nie elektryczną, lecz sporządzoną tradycyjnie z szybek z klisz fotograficznych, z drzwiczkami i świeczką wewnątrz. Nie szedłem zwykłą drogą przez dziurę w płocie, lecz na całej długości obszedłem płot i zbliżałem się do domu Czujków z daleka, od strony pól, powoli, by marnie paląca się świeczka nie zagasła. Jak się okazało, moje zbliżanie się – a było widoczne tylko słabe i do tego jakby błędzące w zapadającym zmroku światelko o zmiennej intensywności - wywołało pewien niepokój i nawet popłoch u Czujków, skupionych w oknie, obserwujących dziwne zjawisko i zastanawiających się, co to może być. Mieli na to czas, bo ja szedłem powoli, ostrożnie, by się nie potknąć o jakąś kępę trawy i nie przewrócić. Nie wychodzili na zewnątrz, bo najbardziej przekonywające było podejrzenie, że chwiejny płomyk wynika, jak zwykle, z przepalania się złota, a do wyjścia kusi – też jak zwykle – diabeł. Gdy podszedłem tak blisko, że wszystko się wyjaśniło, wcale się nie roześmieli, ich twarze jeszcze wyrażały napięcie.

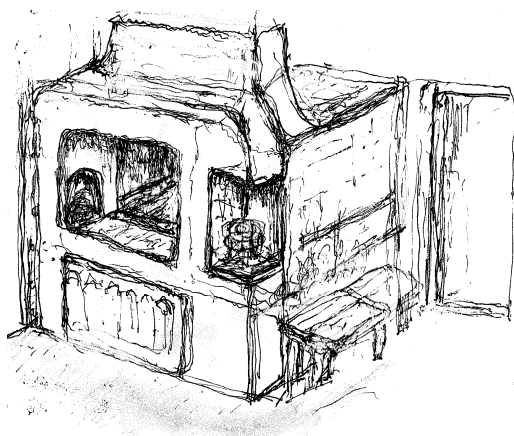
Oczywiście, wiadomo, że o zmroku wszystko jest inne niż w dzień, i że działa „Zły”.

Moja wieczorna wizyta u Czujków nie miała na celu nic innego, jak tylko pochwalenie się osiągniętymi rezultatami nad stworzeniem czegoś zastępczego w stosunku do latarek elektrycznych, wówczas nieużytecznych z braku możliwości zakupu „baterijek”. Wynikała również z chęci stworzenia w ogóle oświetlenia zastępczego w stosunku do lamp naftowych. Bo i z zakupami nafty, jak zresztą z zakupieniem czegokolwiek, zaczęły być trudności. U nas wprawdzie nafta jeszcze była, bo korzystaliśmy z zapasów szkolnych, ale ze względu na możliwość wywołania pożaru, jaki niechybnie wywołałoby wywrócenie lampy naftowej, rodzice kategorycznie zabraniali mi długiego wieczornego czytania przy nafcie, nawet przy stole. A ja przecież chciałem czytać nawet leżąc na wysokim śliskim piecu! W końcu dopiąłem swego – rodzice zgodzili się na nocne czytanie, nawet na piecu, przy miniaturowych lampkach wykonanych z blaszanych pokrywek po kremach, wypełnionych woskiem, zaopatrzonych w dorobione knoty. Przy nich przeczytałem do końca Wellsa, właśnie na piecu. Te płaskie małe lampki były oczywiście znacznie bezpieczniejsze od lamp naftowych, ale że kopały, po nastaniu wiosny i wydłużeniu dnia, i one zostały zabronione. Z oświetlenia opartego na lampkach z woskiem korzystałem jednak często i potem, bo jakoś nie było kłopotów z woskiem, pszczelarzem był przeciętnie co trzeci gospodarz

Oprócz fabrykowania lampek i latarek opartych na zastosowaniu wosku jako paliwa, zajmowałem się też stworzeniem oświetlenia prawdziwie elektrycznego. Chciałem wykorzystać pozostałe liczne żarówki z latarek ręcznych, martwych bez baterii. Tu jednak na przeszkodzie stanęła trudność, a właściwie brak możliwości ładowania akumulatorów. Już wkrótce okazało się zresztą, że te akumulatory od radia są nie tylko wyczerpane, ale i zepsute, przez przydługie przechowywanie bez okresowego ładowania. Uzyskanie oświetlenia elektrycznego było jednak kuszące – zastanawiałem się nad możliwością zrobienia własnego ogniwa elektrycznego. Po przeczytaniu podręcznika Fizyki (Karstena i Kleibera, z 1906 r., do użytku szkół średnich żeńskich, wyd. M.Arcta), uznałem za najbardziej dla mnie stosowne ogniwo Leclanchè oparte na elektrodzie cynkowej, lub ogniwo Meidingera z elektrodą z miedzi. Brakowało mi jednak do zbudowania tych ogniw zarówno głębszej wiedzy, jak i różnych odczynników, więc mimo osiągnięcia pewnych rezultatów, z żalem przestałem

zajmować się domowym oświetleniem elektrycznym przy zastosowaniu ogniów. Niewątpliwie poznałem jednak sporo z tajemnic elektryczności, wydawało mi się wtedy nawet, że z Elektrotechniki wiem więcej od swojego Ojczyma. A z Matematyki – to na pewno.

Muszę wyjaśnić, jak sprawa oświetlenia wyglądała w typowych domach wiejskich. Do pracy w gospodarce wstawało się zwykle bardzo wcześnie, więc i na spoczynek udawano się na ogół już z samego wieczora. Nie czytano wiele, lub wcale, i naftowe oświetlenie nie bardzo było potrzebne. Ale lampy naftowe jako takie w każdym domu były. Kolację gotowano i spożywano z reguły równo z zachodem słońca, ewentualnie korzystając ze światła dogasającego małego narożnego kominka, w miarę potrzeby doświetlając łuczywem. Podstawą ogrzewania, a i oświetlenia był przedstawiony niżej piec kuchenny, a zwłaszcza jego naroże pełniące funkcję pomocniczego ogniska, na którym w saganu gotowało się na trójnogu ziemniaki, zacierkę – lub inną strawę na skromną kolację dla rodziny. Kominiek był ekonomiczny pod względem zużycia podkładanych drewnienek, przy suchych szczapkach dawał wesoły jasny ogień, no i oczywiście – nie dymił, bo dym ochoczo wchodził do głównego komina. Jeżeli trzeba było posiedzieć przy ogniu dłużej, na przykład w porze jesiennej gdy schodziły się towarzysko dziewczyny do przedzenia i pogaduszek, czasem z chłopcami, zamiast szybko spalających się sosnowych drewnienek dorzucało się raczej wolno i nawet nie tak jasno palące się szczapki narąbane ze smolnych korzeni sosen. Zapas takich drobnych szczapek zawsze leżał na piecu. Susząc się, te kawałeczki korzeni wydzielały przyjemny zapach żywicy. Przy kominku można było przysiąść, by pogrzać się, a i poczytać. Na samym piecu, tuż za kominem, kwitło osobne życie – figle dzieciarni, opowiadanie różnych historii, bajek. Na przeziębienie dobrze było na piecu wygrzać się, i wyspać wśród żywicznego zapachu.



Piec chlebowy z narożnym kominkiem, jaki zapamiętałem z domu sąsiadów Czujków w Chotowie. Tylne części pieca wchodziła przez ścianę do pokoju gościnnego, z podłogą drewnianą. Przednia część była w zasadniczej sporej kuchennej izbie, z podłogą z dobrze ubitej gliny, gdzie działo się „wszystko”. Widoczna jest „jamka” w lewej stronie wejścia pieca. Na dole – lekkie drzwiczki do komory z kurami. Przy piecu – mocna ława. Obok – żelazny trójnik do gotowania stawy w kominku.

Część główna pieca była przeznaczona do gotowania saganów z ziemniakami dla świń, porannego pieczenia blinów i gotowania posiłków na obiad dla rodziny, no i oczywiście do pieczenia chleba i świątecznego ciasta. W części wejściowej pieca była „jamka” – mała niszka, zwykle z lewej strony, do „przechowywania” ognia – żarzących się węgielków przysypanych popiołem. W dole pieca były przewiewne drzwiczki przymykające sporą zwykle komorę dla chronienia kur w porze zimowej.

Oczywiście, w bogatszych domach szlacheckich mogło być inaczej, w dobrych czasach korzystano ze światła bogato zdobionych lamp z kolorowymi kloszami, zwieszających się nad stołem.

Jednakże, niezależnie od zamożności, na wsi wyjście wieczorem lub nocą na zewnątrz ze źródłem światła o otwartym płomieniu było nie do pomyślenia. Do tego zakazu stosowano się i przyzwyczajano od dziecka. Nawet wewnątrz domu i tylko chwilowe wyjście z zapalonym łuczywem, na przykład z kuchni do sionki, czy do przylegającej komórki, po garnek mleka, czy słoik ogórków, było możliwe tylko dla dorosłej osoby – gospodyni lub gospodarza, a i

wtedy wychodząca osoba była niespokojnie odprowadzana wzrokiem przez pozostałych. Tak objawiało się ostre *tabu ognia*, zrozumiałe wobec drewnianej, gęstej zabudowy.

Lampy naftowe, najczęściej typu stajennego, były w każdym gospodarstwie, ale używane je tylko w szczególnych sytuacjach, gdy cieleła się krowa, lub przychodził na świat źrebak.

W tych czasach na wsi nie używano zapalek, ogień „przechowywano”, zagrzebując umiejętnie żarzące się węgle w popiele. W razie skrajnej konieczności „pożyczano” ogień od sąsiadów, a najczęściej korzystano z krzesiwa, krzemienia i hubki – nawet ja miałem taki zestaw i umiałem skrzesać ogień, nawet gdy popadywał deszcz.

Jeszcze muszę zawrócić we wspomnieniach, na krótko, by powiedzieć, co się stało z majątkiem Chotów, wzorowym gospodarstwie Ministra hr.Niezabitowskiego, z liczным stadem rasowego bydła dostrzegany z daleka ze stopni szkoły. A to się stało, co zwykle przy nagłych zmianach granic, i w toku rewolucji. W Chotowie wypadki były jakby odpowiedzią na słynne komunistyczne wezwanie: „grab nagrablynnoje”.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich, a może kilka godzin wcześniej, właściciele – najwidoczniej ostrzeżeni - opuścili Pałac, a majątek błyskawicznie zaczął być grabiony – chyba głównie przez służbę dworską, ale i okoliczną ludność, która wcześniej ruszyła ogałacać wnętrza pałacu, stajni, obór, oraz otwierać śluzy licznych stawów z hodowanymi karpami.

Nie mam dokładnych relacji, bo wykonawcy jakby się wstydzili swoich czynów. Jednak i dla nas skutki grabieży stały się widoczne – najpierw pojawiły się wszędzie niesłychane ilości karp, wylawianych z rzek po spuszczeniu wody ze stawów. Hodowlane lustrzane karpie w bieżącej wodzie nie umieją pływać, więc łatwo były wylawiane – ale i tak większość spłynęła z wodą rzeki Usy i zginęła. Obfitość karp trwała tylko kilka dni, bo ryby łatwo się psują.

Dla mnie widoczne stało się pojawienie nowych książek, z pieczęciami pałacowego księgozbioru hr.Niezabitowskiego. Widywałem te książki w kilku szlacheckich domach w Chotowie, w większości nie różniły się tytułami od książek z biblioteki szkolnej, może tylko były mniej ubrudzone, mniej zniszczone, i miały lepsze okładki. Widziałem te książki, i wypożyczałem je nawet od nieco starszej koleżanki – ładnej i delikatnej Magdaleny, córki pewnej bardzo przystojnej, wysokiej i zawsze smutnej Pani, chyba wdowy. Mimo skromnego mieszkania i ubogiego wyglądu, one nie rabowały książek w pałacu w Chotowie, raczej się nimi zaopiekowały. U Magdaleny z początku konsultowałem się w podstawach ortografii.

W niektórych domach, takich należących do „towarzystwa”, z czasem po rabunku pałacu Panie zaczęły wymieniać się informacjami rzekomo wyczytanymi w pozostawionych pamiętnikach piękniejszej części mieszkańców pałacu, zapisanymi w pamiętnikach podobno po francusku, dla utajnienia ich intymnej treści. Wiem, że Matka w tym nie uczestniczyła.

W majątku Chotów była gorzelnia, z której systematycznie wywożono kadzie spirytusu do dalszej rektyfikacji. Podczas rabunku tłum dostał się do spirytusu, przez zwykle rozbicie spustowego kranu. Wylewający się spirytus był wynoszony w wiadrach, niecierpliwi pili na miejscu. Strumień alkoholu był tak intensywny, że – podobno – rzeka spirytusowa zaczęła przelewać się przez próg obmurowania cysterny, i wtedy spirytus się zapalił. Ci, co nie umknęli, spalili się w niebieskim płomieniu, widocznym z daleka, nawet we wsi Chotów.

Później, za trzy lata, sowieccy partyzanci spalili pałac w majątku Chotów, a dla kompletu – w nocy podpalili i szkołę we wsi Chotów, razem z nami śpiącymi w środku.

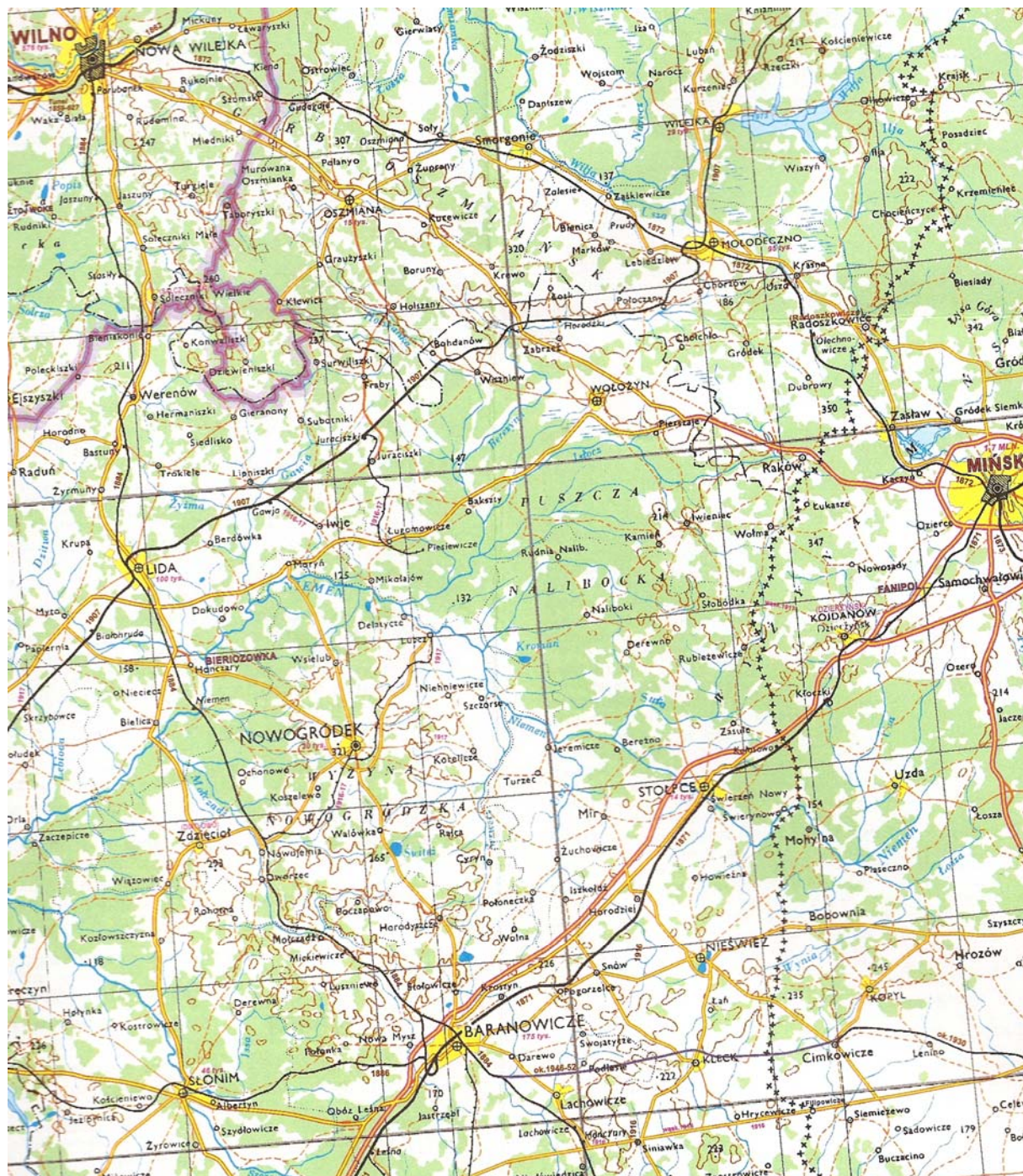
Władza radziecka zniszczony majątek próbowała restaurować, i chyba tego dokonała, ale dopiero po wojnie. Bo pierwsze próby odtworzenia choćby części produkcji rolniczej, podjęte jeszcze w 1940 roku, spęły na niczym. Gdyż niemal od razu zepsuł się traktor, sprowadzony do orki jakby dla demonstracji prowadzenia prac w nowym stylu socjalistycznym, bez koni. Obwiniony o sabotaż jedyny tam traktorzysta podobno trafił do łagru.

Tymczasem my na zimę 1940-41 roku zakupiliśmy - nawet tanio - pyszne siano dla Podłasej.



### Uzupełnienie – przemieszczenie się z Mierwin do Rudni Nalibockiej 26.03.2015

Już po napisaniu części wspomnień zdałem sobie sprawę z pominięcia etapu przemieszczenia się z Mierwin do Chotowa pod Iwieńcem, poprzez Rudnię Nalibocką. Pomiąłem ten etap dlatego, że w mojej pamięci przesłonił go niemal w całości pobyt miesięczny – może i dłuższy – w Stołpcach. O którym pisałem. Zmieniłem zdanie, spojrzawszy na przygotowany wcześniej wycinek mapy – bo podróż była dość kłopotliwa i długa, nawet jak na ówczesne warunki i czasy.



*Droga prowadziła na północ, od Mierwin w gminie Hrycewice, poprzez Kleck, Nieśwież, Stołpce, Naliboki, do Rudni – właściwie na całej długości wzdłuż granicy Państwa, w części początkowej wzdłuż rzeki Łań, dopływie Prypeci, kiedyś dzikiej i błotnistej, płynącej przez rozległe łąki i lasy, obecnie – jak wiem – skanalizowanej.*



Drogi, na współczesnych mapach zaznaczone jako przyzwoite, wtedy były wprawdzie przejezdne, ale na wielu odcinkach raczej tylko dla transportu wozami konnymi o suchej porze roku.

Jednak pisząc te uwagi, powołuję się nie tylko na swoją pamięć, lecz i na refleksje Józefa Ignacego Kraszewskiego z nie tak bardzo odległych lat pierwszej połowy XIX wieku, przedstawionych w książce „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy”: „Cóż, Kraj lasu, piasku, błota, równin; lud ubogi, Żydzi brudni, obdarci i obdzierający; mosty drżące i pogruchotane, groble, po których jadąc trzeba zębami dzwonić ze strachu, żeby się wszystkie kości nie rozsypały, lasy smutne sosnowe, sosny raczej rachityczne, garbate, kulawe, na drogach pełno korzeni, brody niezmierzone, piaski nieprzejechane, czasem krzyż na rozstaju, stara cerkiewka podparta na kulach, mogiłki z domkami na grobowcach przypominającymi pogańskie czasy, itd., itd. A wioski? Chaty do połowy w ziemi, lud chudy i do połowy nagi, żółty – tak się w dymie uwędził, dzieci z włosami rozczochranymi, psy nawet chude i najeżone – doprawdy, nic ciekawego”.

Kraszewski jechał na Litwę przez te okolice, jego wrażenia, ukształtowane zapewne głównie pod wpływem Polesia, Pińska - nie wydają się być mocno przesadzone w charakterystyce i innych dzielnic Kresowych. Na tych terenach przez dziesięciolecia niewiele się zmieniało. A wojny, przemieszczanie się dużych mas wojsk i zniszczenia w obu wojnach światowych – na dużych obszarach cofały rozwój kulturalny i cywilizacyjny, często bardziej, niż o wiek. Na terenach wokół Puszczy Nalibockiej, do której zmierzaliśmy, znikło kilkadziesiąt osiedli. Podobnie było w innych miejscach, dowódcy wojsk z Zachodu, a i ze Wschodu, uważali te tereny za dzikie, za niczyje, gdzie można było działać bez skrupułów etycznych. Bez skrupułów działały formacje niemieckie w myśl zbrodniczej ideologii Hitlera, podobne rozkazy wydawał Jeżow organom NKWD i KGB realizującym decyzje Stalina, wydawane skrycie. Na wielu fotografiach, jak na tych niżej, postać Jeżowa została usunięta, dla zatarcia śladów świadczących o tym, kto był najwyższym decydem.



W późniejszych publikacjach z fotografii Stalina spacerującego nadbrzeżnym bulwarem w towarzystwie Mołotowa, Woroszyłowa, oraz Jeżowa, postać Jeżowa, nazywanego „krwawym karłem”, została usunięta.

Te działania „kulturalne”, „cywilizacyjne”, o charakterze ludobójczych czystek etnicznych, były nie do przewidzenia, może nawet nie do pomyślenia w czasach Kraszewskiego, zajmującego się przecież aktywnie upośledzeniem stanu chłopskiego w Europie.

Zahamowania i uwstecznienia cywilizacyjne trwały latami, wszędzie. Co zresztą mówić o uwsteczniach, skoro w wielu wsiach mieszkańcy zostali wybici "jak wszy", zupełnie tak, jak to czyniono w prehistorycznych czasach biblijnych. Nawet w miejscowościach leżących bardziej na Zachodzie, niemal w centrum Polski, w Lubelszczyźnie, widzę i teraz jeszcze, przejazdem, co pozostało z kilku wsi o wspólnej nazwie Łązek. Ich nie ma, na ich terenie porósł las. Zaś w kwitnącej teraz wsi Szczecyn, wg relacji mego przyjaciela Mariana Oszusta,

jeszcze w połowie lat 50-tych XX wieku dymyły wystające z ziemi blaszane rury, świadczące, że tu jednak w ziemiankach bytują jacyś ludzie. Im bliżej granicy, im bardziej na Wschód – tym było gorzej. Mam świadectwo bliskiej mi osoby, że jako lekarka-stażystka w Pogotowiu świadczyła w 1951 r. pomoc w okolicach Siemiatycz mieszkańcowi kurnej chaty – takiej z otwartą powalą dla ulatywania dymu z paleniska. Po II Wojnie Światowej w wielu miejscach zmieniło się w stosunku do wspomnień Kraszewskiego o tyle, że znikli Żydzi.

Ja z całej podróży zapamiętałem ważny szczegół, z pierwszej nocy podróżowania na trzech wozach, wiozących nas i rzeczy. Gdy w czasie ulewnej burzy zaczęły się zasadnicze trudności poruszania się po rozmięklej drodze, przytulono nas nad ranem w żydowskiej karczmie – było to gdzieś w okolicach Klecka, może w samym Klecku. Pamiętam, przyjął nas gościnnie stary, wysoki Żyd, z dużą brodą. Głodnych i gruntownie przemoczonych, w trybie ratunku troskliwie nakarmił i pośpieszył przygotować nam posłanie. Po dziś dzień pamiętam wyborny smak wędzonych śledzi, jakoś specjalnie dla nas dodatkowo podgrzanych.



**Kleck 1928 - Rynek (dziś Pl.Majakowskiego)**

Jak wyglądała ta stara karczma – nie pamiętam, może podobnie do tej na fotografii niżej?



*Karczma proboszczowska z końca XVIII wieku, w Kobylinie pod Tykocinem na Podlasiu, fotografia Teofila Pycza z pierwszych lat XX wieku.*

Zapozyczenie z książki:  
Polska karczma, Bohdan Baranowski, Wrocław 1979  
Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo

Może to zapożyczenie będzie mi wybaczone?

Następny nocleg i całodobowy pobyt Matka zarządziła już w „porządnym” hotelu, może w Nieświeżu, a może właśnie dopiero w Stołpcach, gdzie na wakacje wynajęła mieszkanie, na przedmieściu, tuż nad Niemnem. Dalszej podróży do Rudni Nalibockiej - zupełnie nie pomnę.

## **Lata 1940 – 1945**

### **I znowu jakby początek – od 1940 roku**

**25 stycznia 2015 r.**

Zaczynam pisać drugą część moich wspomnień, pierwszą zakończyłem kilka dni temu, sądząc, że to już ostateczna, dobra wersja. Jednak nie – i ja, i inni zauważyli usterki. Poprawianie, uzupełnianie zakończyłem przed kilku godzinami. Jestem zdecydowany już niczego nie poprawiać, chociaż już snują się myśli o potrzebie włączenia do pierwszej części kilku fotografii wspominanych przyjaznych, powinowatych osób? Rozważę te powinności później. Teraz powinienem pospieszyć się, bo jednak czas biegnie, mogę nie zdążyć. I znowu, jak 1 września 2013 roku, gdy zaczynałem, słysząc odgłosy wojny, i też na Ukrainie. Teraz to już prawdziwa wojna, jak donoszą, nie *hybrydowa*, chociaż nadal nie wiadomo, co to określenie znaczy. Wiadomo jedno – że giną ludzie. Wczoraj w Mariupolu od nowoczesnych pocisków-rakiet GRAD, kaliber 122 mm, zginęło co najmniej 30 osób, ponad 100 osób jest rannych. Pani Federica Mogherini, szefowa dyplomacji Unii Europejskiej, znana wcześniej jako sympatyk Rosji - zwołuje naradę ministrów krajów członkowskich, na czwartek. Co ta narada przyniesie, jakie Unia podejmie decyzje? Bieg wydarzeń eskaluje, jest „rozwojowy”, jak się mówi w innych przypadkach. Czy Europa zostanie zepchnięta do Atlantyku? Wczoraj przypomniałem Basi „Scytów” Błoka – ten utwór z przed wieku, z niepokojącym mottem Sołowiowa, bardzo długi – zawiera jednak w ostatniej zwrotce akcenty niby optymistyczne. Przytoczę te linijki z 1918 roku:

*O stary świecie! Wiedz, ostatni raz  
Na jasne bratnich uczt igrzyska,  
Na ucztę pracy i pokoju – was  
Przyzywa lira barbarzyńska.*

Czy można dowierzać poecie? Tyle było w ubiegłym wieku okazji, były i Igrzyska, ale uczty przypominały raczej uczty kanibalów. Cóż, to też ludzie. Z planety Ziemia.

**26 i 27 stycznia 2015 r.**

Uzupełniono: zginęło w Mariupolu 35 osób, doliczona się rannych 95. Z podsłuchanych rozmów prorosyjskich artylerzystów wynika, że pomylili się w celowaniu o 0,5 kilometra, bo chcieli ostrzelać posterunek ukraiński. Rozmawiający uznali, że „nasza pomyłka nie szkodzi, prędzej wszyscy uciekną”.

Putin przemawiający w Muzeum Żydowskim w Moskwie stwierdził, że jest przeciw „nowemu pisaniu Historii” – że to nie jest etyczne. To w związku z nie zaproszeniem go - „osobistym” - na obchody rocznicy wyzwolenia Auschwitz, i stwierdzeniem Schetyny, że Obóz był wyzwalany przez Ukraińców z 1 Frontu Ukraińskiego. Rzecz w tym, że zarówno Schetyna, jak i Putin, mają rację. Ich wypowiedzi – to polityczna gra Obozem, dla doraźnych celów politycznych, w związku z Ukrainą. Ta gra eskaluje się - Parlament Ukraiński uznał właśnie Rosję za Agresora. A Prezydent Poroszenko został zaproszony na obchody do Auschwitz, i chce prowadzić wojnę z Rosją. Ale Ukraińcy mają 230 tysięcy żołnierzy, Rosja zaś 800 tysięcy, i ma czołgi już na Ukrainie.

Generał Philips Braddlove oświadczył, że wojska NATO w Europie, których jest dowódcą, rozważają rozmieszczenie jednej, lub kilku brygad pancernych na wschodzie Europy. Obok

jego wypowiedzi zamieszczono informację, że Rosjanie zademonstrowali możliwość przerzucenia do Kaliningradu 9 tysięcy żołnierzy w ciągu 24 godzin. Tymczasem siły tzw. „szpicy” NATO liczą obecnie 4 tysięcy, lecz żołnierze ci *tymczasem* są głównie rozmieszczeni w swoich macierzystych krajach.

Czy Putin odważy się na próbę zepchnięcia Europy do Atlantyku? Czy zechce być nowym Attylą, Czyngis-Chanem? Aleksander Kwaśniewski uważa, że Putin ma młodą żonę i małe dzieci, i że to powstrzyma Putina przed wywołaniem III Wojny Światowej – ta świeża opinia Kwaśniewskiego była ostatnio kilkakrotnie cytowana. Ja z Basią - z rzadką jednogłównością - uważamy, że te „uwarunkowania” mogą raczej pobudzać Putina do „wiekopomnych” działań. Niewiadomo tylko, jaki może być końcowy efekt zmagania mocarstw. Kto skorzysta. Tu znowu przypominają mi się „Scytowie” Błoka, i motto zaczerpnięte u Sołowiewa. Zamieszczam je, razem z pierwszą zwrotką „Scytów”.

### SCYTOWIE

Panmongolizm! Choć nazwa ta brzmi dziwnie,  
Jednak mi głaszcze mile ucho.

W. Sołowiew

*Miliony – was. Nas – mrowie, mrowie, mrowie.*

*Spróbujcie, zmierzcie się wy z nami!*

*Tak, my – Azjaci! My – dzicy Scytowie*

*Z pożądanymi skośnymi oczami!*

30 stycznia 1918 /przeł. M.Jastrun/

Poeci, nawet romantyczni symboliści, czasem wypowiadają wstrząsające proroctwa, warto przystanąć, posłuchać, zastanowić się - może skorygować kroki. Różewicz też tak powiedział, nie tak dawno:

Słyszycie? Czasem wisi coś – na jednym włosku wisi. Tym głosem dziś poety głos.

Słyszycie? Ktoś tam słyszy.

**28 stycznia 2015 r.**

Media donoszą, że w rejon Donbasu siły prorosyjskie przewidująco sprowadziły mobilne krematoria.

Ja jednak muszę wrócić do pisania swojej „historii”, mówi się – „do swoich baranów”, a bardziej prosto – do krowy Podłasej, dla której – jak napisałem, nabyliśmy na zimę pyszne, wonne siano...

### **O zimie 1940-41, ale również o uświadamianiu sobie wcześniejszych zdarzeń, jeszcze z 1939 r. – a nawet znacznie dawniejszych**

Lato 1940 roku zeszło mi spokojnie, zasiląłem zielskiem – dobrym zielskiem krowę – co nie było łatwe, pomagałem sadzić i okopywać ziemniaki, chodziłem do Matczynego ogródka na piękne truskawki, pogryzałem marchewkę i rzodkiewki – wszędzie też nosiłem wodę ze studni. Wody do podlewania zawsze było za mało. Nosiłem wodę zwykłym wiadrzem, takim dużym, z ocynkowanej blachy. Ocierało mi nogi, stale miałem zdartą – a i pokrwawioną skórę na wysokości górnej krawędzi wiadra. Ale miałem i inne podobne problemy – chodziłem latem prawie zawsze boso i często rozcinałem nogi na szkle. Jednak wszelkie rozcięcia po zajodynowaniu szybko się goiły. Mimo rozlicznych dokuczliwych zajęć znajdowałem jednak czas i dla siebie. Poczytywałem różne książki, oczekiwałem na zajęcia – już w 4 klasie, ale o tym już pisałem. Teraz natomiast muszę napisać o tym, co czytałem, i jakie były tego skutki. Otóż, nastąpiła istna eksplozja czytania, a i eksplozja świadomości – chociaż może to zabrzmieć zbyt patetycznie. Już nie czytałem Robinsona Crusoe. Zawarte tam receptury na



pokonywanie trudności, na radzenie sobie „dla przeżycia”, sprawdzone przeze mnie drogą początkowego naśladowania, okazały być skrajnie niepraktyczne, naiwne, wymyślone z za biurka – chociaż w późniejszych latach zdarzyło mi się przeczytać w miarę rzeczowe relacje z przygód Alexandra Selkirka, pierwowzoru do wszelkich „Robinsonów”. Podobnie, choć trochę później, odstąpiłem od „W pustyni i w puszczy” – może dlatego później, że jednak u Sienkiewicza były wymienione różne miejscowości, szlak wędrówki Stasia i Nel w poprzek łąd afrykańskiego, no i – jasno było widać, jaki może być użytek nawet z małokalibrowego, jednostrzałowego sztuczerka, i z samego prochu. Przeczytałem wtedy w całości Trylogię, ale jakoś tak nie w kolejności tomów, bo wypożyczaną od Sobolewskich – bo w domu, ani nawet w bibliotece szkolnej, jej nie było. Może dlatego, że to była szkoła tylko 4-klasowa, chociaż w bliskiej perspektywie miała się stać 7-klasową. Za to dojrzałem w domu inne ciekawe książki. Jednak poza traktatami Edwarda Abramowskiego zapamiętałem tylko dwie – przeczytaną – tak „od dechy do dechy”, i to kilkakrotnie – ową już wspomnianą „Historię świata” H.G.Wellsa, oraz 2-tomowy znakomity „Ilustrowany słownik języka polskiego” Michała Arcta, wydany w 1929 r. przez zasłużone dla narodowej kultury „Wydawnictwo M.Arcta w Warszawie”. Było to już wydanie 3-cie, pierwsze ukazało się w 1916 roku.

„Historia świata” miała zasadnicze znaczenie w porządkowaniu mojego widzenia dziejów ludzkości, już na samym początku, jeszcze przed rozpoczęciem czytania jakichkolwiek podręczników Historii. Te późniejsze podręczniki odczytywałem „przez pryzmat” nadany lekturą Wellsa, zwykle dostrzegając błahości i głupstwa podnoszone do rangi wydarzeń wielkiej wagi – chociaż, przyznaję teraz, takie moje nastawienie było może czasem przesadne. To moje wyznanie może jednak świadczyć o potędze oddziaływania wizji autora, wizji związanej z talentem dydaktycznym (uwaga do wykorzystania przez dydaktyków i agitatorów wszelkich maści).

Pewne oceny dziejów przedstawione przez Wellsa zapamiętałem na zawsze. Całkiem niedawno, gdy po 70 latach zakupiłem egzemplarz „Historii”, w tandetnym wydaniu BN, nie dowierając, że ta tak brzydko wyglądająca książka jest tą samą, którą pochłaniałem przed laty – zajrzałem dla sprawdzenia autentyczności na strony, gdzie miało się znajdować oświadczenie, że myśl o komunizmie była dla chłopów rosyjskiego tak daleka, jak myśl o lataniu dla wielorybów. Znalazłem to zdanie. Ale nie znalazłem ani fotografii Lenina, ani wizerunku Jezusa – w dawnym wydaniu były, zaskakująco umieszczone po obu stronach tej samej kartki. Ciągłe urzeka wspaniały przekład Jana Parandowskiego.

Znaczenie „słownika ilustrowanego” było inne. Nie było w domu żadnej encyklopedii, a widocznie miałem takie „zapotrzebowanie”, bo wertowałem strony „Słownika” na wszelkie możliwe sposoby, często leżąc na podłodze, na brzuchu. Taki miałem obyczaj, zresztą – od wczesności wertowałem tak – na przykład – gazety i mapy. Z tym, że najpierw gazety, ale głównie oczekiwano ode mnie wtedy, bym mógł wskazać, w grupie osób, że jest tam Józef Piłsudski. Nie było to trudne, bo Marszałek najczęściej siedział w fotelu, wsparty na szabli, i „każdy głupi” mógł go wskazać, bez czytania. Ja jednak czytałem, chociaż raczej tylko tytuły. Ale gdy zająłem się podrózkami trans-afrykańskimi, podążając śladami Stasia i Nel, na słoniach z Kali – musiałem odczytywać napisy na mapie, nawet te obco brzmiące. Mapy musiały leżeć na podłodze, bo to były duże ściennie mapy zabrane na lato ze szkoły. Ciekawe – była mapa Europy, mapa Azji, mapy kontynentów Ameryki – a chyba nie było mapy Polski. Najbardziej przydatna okazała się jednak nie mapa Afryki, uboga w szczegóły, lecz mapa Azji, z Syberią, Ałtajem, Himalajami, Hindukuszem, miastami i portami Północy, Dalekiego – i Bliskiego Wschodu. Pozostaje to w związku z kilkoma (może kilkunastoma) fascynującymi książkami, opisującymi ucieczki Polaków osadzonych na Syberii, oraz – całkiem niedawne koleje kilku dużych Polskich ugrupowań zbrojnych uformowanych na terenie Rosji przy końcu Wojny, przebijających się do Kraju, wybijającego się na Niepodległość. W ich dziejach wymieniano nazwy takich miast, jak Murmańsk, Charbin, Irkuck, Tyflis. Los tak zdarzył, że ja sam już

niedługo wylądowałem (miałem chwilowy postój pociągu) w Warszawie na słynnej rampie „Syberia” (jej już dawno nie ma), na której zakończył swoją bojową epopeję legendarny zespół polskich oddziałów wojskowych sformowanych ok. 1918 r. przez gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego (dowodzonych również krótko przez gen. Józefa Hallera). Oddziały te nazywano Batalionem Murmańskim, a żołnierzy po prostu „Murmańczykami”. Batalion ewakuowano w kilku transportach drogą morską do Polski. Po Defiladzie w Warszawie przed Marszałkiem (wraz z maszerującą niedźwiedzicą-maskotką Baśką) Batalion Murmański został włączony w skład 64 Grudziądzkiego Pułku Piechoty jako Batalion 3, i wziął udział w walkach 1920 r.



*Apel polskiego Batalionu z Murmańska, oraz odznaczenie polskich żołnierzy za zasługi bojowe przez oficera brytyjskiego, Archangielsk 1919 r.*

Latem 1940 roku tak się jakoś stało, że zacząłem rozumieć pewne zjawiska, pewne wiadomości, które poprzednio nie docierały do mnie, mimo że były groźne, były – jak to teraz wiem – zapowiedziami rychłej wojny. Myślę, że i dorośli nie zdawali sobie w pełni sprawy, że będzie wojna, że będzie dalszy jej ciąg. Że będą się działy rzeczy straszne. Mam na myśli dorosłych w skali Europy – no bo wojna właściwie już się zaczęła, co prawda, Francja, Anglia były już w stanie wojny z Niemcami – ale to wyglądało na wojnę na niby. Bo przecież nic specjalnie złego nie działo się – poza rozbiorem Polski, a ta sprawa była dla niektórych społeczeństw europejskich do zniesienia – w końcu Państwo Polskie było niepodległe – zdobyło się na Niepodległość - tylko na niecałe 20 lat, a w poprzednich 120 latach go nie było i było dobrze, kurorty funkcjonowały, handel szedł. I według tych niektórych *dorosłych* tak dalej mogłoby być.

Z pomiędzy dorosłych miałem bliski kontakt oczywiście tylko z Rodzicami. W warunkach sowieckich byliśmy w Chotowie jak w izolowanej izbie. Oni jednak dostrzegali groźne objawy – nie przypadkiem Ojciec zaczął kopać nowy, trzeci już schron, nie bez powodu zatroszczyli się o zapewnienie podstaw aprowizacji we własnym zakresie. I jakby przywarli do ziemi, na podobieństwo zagrożonego zająca.

Wypisuję to wszystko z pewnym trudem, bo przecież byłem wtedy niespełna 10-letnim chłopcem, a nagle doznałem olśnienia, a raczej – łaski zrozumienia, na skalę mojego umysłu. Wszystko za sprawą książek i gazet, które nieustannie napływały do szkoły, nawet w czasie wakacji. Zacząłem czytać te obce mi (w zasadzie) gazety i książki, i odkrywałem sens różnych wiadomości, sączonych skąpo ale stale, według zasad dobrej propagandy. Nie wszystko rozumiałem, całość tych wiadomości w szczegółach ujawniała się stopniowo, po latach w Internecie, ale zasadniczy sens ujawnił mi się właśnie w połowie 1940 roku. Wtedy zacząłem czytać gazetę „Pionierskaja prawda”, wydanie rosyjskie, i nieidentyczne z nią wydanie białoruskie „Pionierskaja prauđa”, oraz kolorowy magazyn „Murziłka” dla dzieci,

będący czymś w rodzaju komiksu, ale z bardzo silną indoktrynacją. Te pisma przychodziły do szkoły i były pieczołowicie odkładane na uporządkowane stosy, by Kierownik szkoły mógł się wykazać przed ewentualną inspekcją, że te pisma są, i że się je „szanuje”.

### 1 lutego 2015 r.

Jutro, czyli już za chwilę, będzie wielkie święto – to dzień Matki Boskiej Gromnicznej, przedstawianej przez postać kroczącą wśród zawiei śnieżnej z zapaloną gromnicą, w towarzystwie wilków. Kiedyś na Kresach uważano, że dzień Gromnicznej wyznacza połowę zimy i szczyt mrozów. Dziś w Warszawie było piękne Słońce, niebieskie niebo i dodatnie temperatury. Dziś podano, że konferencja czterech prezydentów europejskich państw nie osiągnęła żadnego porozumienia w kwestii zaprzestania walk na Ukrainie. Dziś media donoszą, że wojna może trwać nawet 30 lat. To „Dziś”, a jakie będzie „Jutro”? Wracam do relacji z 1940 roku.

Gazety przychodzące do szkoły oglądałem i wcześniej, ale niezbyt starannie, i dopiero gdy zacząłem je oglądać i czytać po kolei, zrozumiałem, że poza wydarzeniami z września 1939 r. dotyczącymi bezpośrednio nas, zaszły całkiem niedawno, mimo pozornego spokoju, jeszcze inne poważne wydarzenia mające charakter wojenny. Zacząłem rozumieć różne rosyjskie zwroty stosowane dla określenia starć i bitew na Dalekim Wschodzie, na terenach nazywanych kiedyś Mandżurią, poznałem nazwy - Jezioro Chasan, rzeka Chałchyn-Goł. Poznałem podobne określenia stosowane przy pisaniu o starciach na granicy ZSRR z Finlandią. Te starcia, zwane później „wojną fińską”, szczególnie jednostronnie, bardzo obraźliwie w stosunku do Finów walczących w obronie swego kraju, nazywanych bez pardonu „faszystami”, były przedstawiane w Murzilce. To prymitywne pisemko służyło wyłącznie do kształtowania od dziecka rosyjskiego szowinizmu. Niektóre zwroty były celowo tak ukształtowane, by ukryć ogromne straty ponoszone przez Armię Czerwoną, i ukryć nieudolność dowódców. A przecież w latach 1937-38 poprzez rozstrzeliwania samobójczo przerzedzono znacznie kadre dowódczą ZSRR – na wszystkich szczeblach dowodzenia.

W rozbudzeniu mojej świadomości pomogły mi przysyłane do szkoły rosyjskie atlasy geograficzne, zadowalająco dobrze wydane, chociaż nie zawsze można było odnaleźć w nich nazwy miejsc, gdzie zachodziły ważne wydarzenia. Tu muszę wtrącić uwagę, że w polskich szkołach szczebla podstawowego atlasy nie były używane, były tylko mapy ściennie. Atlasy były zresztą zawsze drogie, a w domu mieliśmy tylko jeden stary atlas niemiecki.

Wracam do tematu głównego - zasady wychowania sowieckiego pomagała też pojąć powieść Arkadego Gajdara „Timur i jego kamanda” (*Timur i jego drużyna*). Napisana z talentem, była rozpowszechniana najpierw w odcinkach. Uzmysławiała wychowanie młodzieży jako żołnierzy ZSRR, wykonawców rozkazów w duchu bezwzględnej posłuszeństwa w ramach „kolektywu”. Gotowych walczyć z każdym, kogo tylko władza wskaże jako „wroga”. Wróg był jeszcze niedo-określony, ale w książce ojciec tytułowego Timura, uosabiający szczytową emanację sowieckiego frontowego oficera, po odwiedzeniu syna w krótkiej przerwie w działaniach wojennych, zdąży właśnie znów do swego wojskowego pociągu kierującego się z Dalekiego Wschodu na Zachód. Zapewne do Polski, bowiem wydanie powieści, w końcowej wersji skorygowanej pod wpływem władz, zsynchronizowano z początkiem września 1939 r. Książka Gajdara i książka Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”, na długie lata weszły do podstawowego kanonu książek służących kształceniu młodocianych umysłów na specyficzny wzór nazywany teraz „*homo sovieticus*”. Arkadiusz Gajdar zginął w 1941 r. pod Moskwą.

Opis wojen i starć, jakie się wydarzyły, zacznę od zatargu na Dalekim Wschodzie, znanym jako Bitwa nad Chałchyn-Goł. Szczegóły charakteryzujące ten zatarg obecnie są dostępne w Internecie (choć wydarzenia są nadal przedstawiane niezbyt jasno), więc w skrócie podam tylko niektóre daty i istotę zatargu. Od wieków tereny nazywane czasem Mandżurią były

uważane za sporne, rościły do nich od dawna pretensje Rosja i Chiny, a później i Japonia, pod której protektorem powstało marionetkowe Państwo Mandżukuo. Granice na tych terenach nigdy nie były dobrze określone. W 1938 r. ZSRR podjął próbę zajęcia pewnych obszarów, przy tym między innymi celami chodziło również o odciążenie armii Czang Kaj Szeka atakowanej przez Japończyków. Oddziały Samodzielnej Armii Dalekowschodniej dowodzone przez Marszałka Wasyla K. Bluchera początkowo odniosły sukces, zajmując przygraniczne jezioro Chasan (bardzo małe, tylko 2,23 km<sup>2</sup>). Jednak, gdy 9 lipca nastąpiło zajęcie wzgórz Zaoziernaja i Biezymiennaja, Japończycy przeszli do zdecydowanego kontrataku. Armia Dalekowschodnia została pokonana, ponosząc duże straty w ludziach i sprzęcie. W Moskwie za szczególnie dotkliwą uznana utratę czołgów, w bagnistym terenie (były to przestarzałe czołgi T-26). W wyniku porozumienia, 11 sierpnia 1938 r. walki ustały. Marszałek Blucher po odwołaniu został 9 listopada zakatowany na śmierć w więzieniu w Lefortowie.

W 1939 r. wynikł jednak nowy zatarg graniczny, gdy 11 maja pułk kawalerii Mongolskiej Republiki Ludowej przekroczył o 20 km rzekę Chałchyn Goł, zamierzając, jak zwykle, wypasać konie na łąkach należących ich zdaniem do Mongolii. Gdy kawalerzyści zostali przepędzeni przez Japończyków, Mongolia poprosiła o wsparcie bratni Związek Radziecki. Stalin przychylił się do ich prośby i wyznaczył na dowódcę Zabajkalskiego Rejonu Wojskowego Komdiwa Georgija Żukowa, udzielając mu nieograniczonych pełnomocnictw. Żukow miał trudną sytuację, starał się więc o posiłki, w ludziach, czołgach nowego typu, lotnictwie. O to nie było łatwo, choćby dlatego, że do najbliższej bazy wsparcia było 650 km, a drogi w istocie były bezdrożami. Japońscy dowódcy 6 Armii Kwantuńskiej ochraniającej Mandżukuo o tych trudnościach dobrze wiedzieli, a w oparciu o uprzednie wydarzenia sądzili, że są w stanie łatwo pokonać słabe i jak zwykle złe, ich zdaniem, dowodzone oddziały Armii Czerwonej. Dlatego pochopnie, nawet wbrew oczekiwanym odmiennym decyzjom centralnych władz w Tokio, przyspieszyli planowane działania ofensywne.

Żukow okazał się bardzo twardym dowódcą. Według pewnych relacji, za nieudolność i brak dyscypliny w ciągu 2 miesięcy wydał 600 wyroków śmierci, głównie dla poprzedniej obsady urzędniczo-wojskowej. Przeprowadził działania maskujące, mające mylnie informować Japończyków o przejściu do obrony, doczekał się posiłków i w szeregu bitew, korzystając już również z czołgów nowej generacji T-32, przy wsparciu lotnictwa, domagając się od żołnierzy ataków całą masą na wprost, w krótkim okresie od 20 lipca do 11 sierpnia pokonał Armię Kwantuńską i doprowadził do niemal całkowitego jej zniszczenia. Sporadyczne walki trwały do 15 września 1939 r., w tym dniu zostało w Moskwie podpisane porozumienie o rozejmie. Stalin bowiem, wobec inwazji na Polskę, zaplanowanej do rozpoczęcia następnego dnia, przystał wreszcie na proponowane przez Japonię warunki zawieszenia broni.



*Mapa terenów nazywanych ongiś Mandżurią, oraz widok granicznej rzeki Chałchyn-Goł*





*Komdiw Georgij Zuków i mongolski przywódca Chorlogijn Czojbalsan, obok - Czerwonoarmiści oglądający zdobyty japoński czołg typu 95 Ha-Go*



*Czołg T-26, już od połowy lat 30-tych stopniowo wycofywany z produkcji, oraz – wersje czołgów T-32, prototypowe względem przygotowywanej produkcji czołgu T-34*

Straty poniesione w wojnie nad Chałchyn-Goń były duże. W Armii Czerwonej według danych oficjalnych straciło życie 7974 żołnierzy, 15 251 było rannych. Według szacunków sowieckich straty japońskie były kilkakrotnie większe.

Zrelacjonowałem najważniejsze wydarzenia wojenne nad Chałchyn-Goń dlatego, że zdaniem wielu historyków miały one istotny wpływ na przebieg II Wojny Światowej. Antony Beevor, autor książki „II Wojna Światowa”, uważa, że przebieg wojny „dodał skrzydeł” chińskiej armii Czang Kaj Szeka, która walczyła z oddziałami Japońskimi w Mandżurii, i od tej pory poczyniała o wiele śmielej. Jednak za najważniejszy rezultat uważa utracenie wpływów frakcji zwolenników wojny lądowej z ZSRR w japońskim sztabie generalnym. Japonia w 1939 r. rozważała poważnie plany inwazji na tereny na Dalekim Wschodzie, w synchronizacji z oczekiwanymi działaniami armii niemieckiej, już wtedy przewidując klęskę Armii Czerwonej, co miało nastąpić w przybliżeniu w 1941 r. Te plany wprawdzie nie zostały nigdy całkowicie zaniechane, ale tymczasem ekspansja Japonii skierowała się na południe, ku koloniom francuskim, brytyjskim, holenderskim – i oczywiście ku flocie USA, co objawiło się atakiem na Pearl Harbour. A. Beevor uważa, że odstąpienie Japonii od współdziałania z Wehrmachtem miało zasadniczy wpływ na końcowy rezultat II Wojny Światowej.

O wojnie „fińskiej”, zwanej też „zimową”, mam mniej do powiedzenia, bo jest lepiej u nas znana, a ponadto – na początku 1940 r. jeszcze trwała. Zaczęła się od ultimatum wystosowanego przez Moskwę do Finlandii 5 października 1939 r., w którym wysunięto żądania terytorialne, w tym zwłaszcza przesunięcia granicy o 20-25 km, oraz demontażu linii obronnych schronów, zwanej *Linia Mannerheima*. Tu należy zauważyć, że granica z Finlandią przebiegała zaledwie w odległości 32 km od Leningradu, byłej stolicy Imperium Rosyjskiego, a jednocześnie portu i ważnego ośrodka przemysłu metalowego.

Podobne ultimatum wystosowano do Litwy, Łotwy i Estonii, i te państwa ugięły się przed wysuniętymi żądaniem, stając się w niedługiej przyszłości satelickimi republikami ZSRR. Samo wysunięcie żądań było konsekwencją zawartego porozumienia zwanego paktem Ribbentrop-Mołotow.

Ponieważ Finowie odmówili, rozpoczęły się działania wojenne, zapoczątkowane prowokacyjnym ostrzelaniem rosyjskiej wioski przez artylerię Armii Czerwonej, po którym nastąpiło kłamliwe oskarżenie o ten zbrodniczy czyn Armii Fińskiej. Walki toczyły się ze zmiennym szczęściem, Finowie bronili się dzielnie i bardzo umiejętnie. Oczywiście, musieli ulec wobec ogromnej przewagi sił po stronie ZSRR, który wystawił już na początku 450 tys. żołnierzy i mógł sprowadzać uzupełnienia, podczas gdy Finowie mogli wystawić najwyżej 300 tys., z czego tylko 34 tys. w stałej służbie. Straty ludzkie po obu stronach były duże, jednak znacznie mniejsze po stronie fińskiej. Dokładne liczby poległych nie są znane, podawane zaś są mało wiarygodne. Ocenia się straty Finów na ok. 68 tys. (23 tys. zabitych, 45 tys. rannych), natomiast straty po stronie przeciwnej na ok. 1 073 tys. (273 tys. zabitych, 800 tys. rannych) – niewątpliwie te olbrzymie straty wynikły ze złego dowodzenia, będącego skutkiem czystek przeprowadzonych w kadrze dowódczej ZSRR w latach wcześniejszych. Liczbę strat 1 miliona żołnierzy potwierdził w późniejszych latach Nikita Chruszczow, w przystępie szczerości. Bieg późniejszej wojny wykazał, że zdobyte na Finlandii i oddane ZSRR tereny nie miały znaczenia militarnego, że wojna fińska była rezultatem mrzonek Stalina o mocarstwowości – które jednak były przekuwane w rzeczywistość. Wystarczy powiedzieć, że w styczniu 1940 r. ZSRR miał ok. 15 tys. czołgów, ich liczba przekraczała liczbę czołgów wszystkich państw świata, łącznie z Niemcami. Ocenia się, że w ciągu 3,6 miesięcy fińskiej wojny ZSRR stracił ponad 1000 czołgów T-26. Przy tej okazji przypominę, że dokonując inwazji we wrześniu 1939 r. skierowano na Polskę łącznie 1675 czołgów T-26 (w pasie Frontu Białoruskiego 878, a w pasie Frontu Ukraińskiego 797).

Pokój podpisano 12 marca – Finlandia zachowała niepodległość, ale musiała odstąpić Przesmyk Karelski, port Wyborg, i wybrane obszary z cennymi kopalinami, ogółem straty terytorialne wyniosły 35 tys. km<sup>2</sup> – były dwukrotnie większe, niż utracone w walkach.

Wskutek groźby interwencji francusko-brytyjskiej, oraz rysującej się możliwości odwrócenia sojuszy i utworzenia koalicji anty-radzieckiej, do której mogłyby przystąpić wtedy nawet Niemcy, ZSRR dążył do możliwie szybkiego zakończenia konfliktu, nawet ustępując z niektórych nader wygórowanych żądań. Może dlatego waleczni Finowie zachowali jednak niepodległość. Międzynarodowy rozgłos i protesty spowodowały zresztą, że ZSRR został wówczas wykluczony z Ligi Narodów. Ale Liga Narodów, poroniony twór Woodrowa Wilsona, całkowicie bezsilny – od samego powstania, nic nie znaczył.

Oczywiście, te wszystkie sprawy i uwarunkowania stały się mi bardziej znane dużo później. Jednak już latem 1940 roku dostrzegałem zasadniczą sprzeczność między wyidealizowaną propagandowo postawą chłopca i jego ojca-oficera z książki Gajdara „*Timur i jego drużyna*”, a faktycznymi postawami ludzi typu „*homo sovieticus*”.

**10 lutego 2015 r.**

Minęły 2 tygodnie, niby nie tak dużo, jednak sporo. I sporo się wydarzyło. 6-tego Jerzy Buzek miał wykład w Sali Rycerskiej Zamku Królewskiego, z okazji doktoratu, *honoris causa*, nadanego mu przez Uniwersytet Medyczny. Nawet słuchałem, mimo sporej odległości i wad

sluchu. Mówił długo, temat był ten sam, jaki wyświetlono z rana w formie wywiadu w Internecie. A że powiedział, że musiał wstać bardzo rano by zdążyć, to później zapytałem, gdzie był i jak wcześniej „wstawał”. W Ankarze i o 4 rano – więc już nie pytałem, w jakiej strefie czasu, bo szykował się już, tzn. przebierał z pelerynki czerwonej – do uroczystego obiadu. Po nim odbierał medal „Zasłużony dla Uniwersytetu” Andrzej Dobrzański – bo Andrzej przyjechał kilka dni przedtem i właściwie to od niego powinienem zacząć – tym bardziej, że – przemawiając, ni z gruszki ni z pietruszki wśród zaproszonych gości-przyjaciół wymienił Basię i mnie – nawet najpierw – ale taki Andrzej jest, rozśmiesza, ożywia – na poważnie, i to mu się udaje. Jutro wraca z Janet do domu, ale samolot ma wcześniej, musi wstać już o 3 – więc nawet wcześniej od Buzka. Z Andrzejem jestem rzeczywiście zaprzyjaźniony, z profesorem Buzkiem – jeszcze nie.

Trzeba wrócić do głównego nurtu mojego pisania. Mimo przerwy, dwóch tygodni – niewiele się zmieniło, więc mogę włączyć się łatwo „do nurtu”, nawet nawiązując do wydarzeń wcześniejszych zachowam „ciągłość” – bo przecież pamiętam żądania „korytarza” do Prus Wschodnich, walki na Westerplatte, „wyzwolenie” Białorusi. Co do nazwy „Białoruś” – mam okazję pochwalić się wiedzą, że Nowogródczyzna, Chotów, Puszcza Nalibocka – to właściwie Czarna Ruś – ale kto to teraz pamięta, że takie kraje, takie ich nazwy były – a jeszcze co najmniej Ruś Czerwona. Teraz nawet neguje się istnienie Ukrainy, jako państwa – wg Putina Ukraina to „terytorium”, oczywiście do zdobycia, bo „niczyje”. Przypominam sobie, że zbliżone poglądy wygłaszał mój, i nie tylko „mój ulubiony” pisarz Michał Bułhakow – bodaj w „Białej Gwardii”, oznajmił, że język ukraiński nie istnieje. A przecież urodził się i pisał długo w Kijowie. Więc nawiązując do nurtu wspomnień o walkach z Finami o Przesmyk Karelski, nie mogę nie zauważyć domaganie się, już nawet drażenia podobnego „przesmyku”, czy „korytarza” do Krymu przez Mariupol. Jutro, czyli w środę, ma być nowe spotkanie w Mińsku – kanclerz Merkel, prezydent Holland mają spotkać się z prezydentem Putinem. Atmosfera bez nadziei na porozumienie, nawet Gazeta Wyborcza zawczasu wybiła tytuł: „Za pokój ma zapłacić Ukraina”, co oznacza nadzieję, że na zapłatę wystarczą zdobyte „terytoria”. Nadzieja złudna, bo już kilka dni temu ogłoszono, że dla Putina linią demarkacyjną może być granica Polska. Nie określono – która, może na Odrze i Nysie Łużyckiej? Czy przewiduje się też ponowne przebijanie korytarza do Prus Wschodnich – tym razem od Wschodu?

Wracam wspomnieniami do roku 1940. Lato tego roku było dla nas spokojne, wypełnione zagospodarowywaniem się, oswojeniem się z posiadania krowy, dwóch prosiaków i kur. Wokół Chotowianie byli zajęci rolnictwem i bardzo dokuczliwym obowiązkiem wywożenia długich bierwion – sosen ścinanych w lasach, spławianych później rzeką. Ten obowiązek był chyba o wielu dokuczliwszy, niż płacenie podatków za czasów „polskich”. Nazywało się to potocznie „Kubo-metrami”, czyli metrami sześciennymi drewna. Liczba kubometrów wyznaczonych do wywiezienia z lasu była wysoka. Stawało się co raz bardziej oczywiste, że to dlatego, że Chotowianie nie chcieli zaakceptować tej formy organizacji wsi, która nazywa się „kołchozem”. Ciągłe wywożenie długich bierwion, chłopskimi dość lekkimi wozami nie przystosowanymi do takiego transportu, ulegającymi awariom, było prawdziwym nieszczęściem, zwłaszcza jesienią, gdy drogi stawały się błotniste i były coraz bardziej rozjeżdżone. A również zimą. Obowiązek wywożenia kubometrów nałożono również na księdza proboszcza, jako na „obywatela” – bo posiadał konie – ale nie znam sprawy bliżej. Problem transportu, szerzej – wszelkiej podróży i poruszania się – wiązał się z praktyczną niemożnością zakupu obuwia, jakiegokolwiek. Chłop przy swoich pracach chodzi często boso, lub w łapciach, plecionych często z lipowego łyka. Myślę, że łyko było darte z różnych drzew, niekoniecznie z lip. Zdarte łyko było moczzone, na podobieństwo garbowania skór było poddawane różnym tajemniczym procesom zmieniającym zarówno właściwości, jak i wygląd wiązek łyka. I chyba rzadko kto wiedział, z jakiego drzewa kupuje łyko. Bo wyrobem i sprzedażą łyka oraz gotowych łapci zajmowano się w wyspecjalizowanych, odległych wsiach

puszczańskich. W wyznaczone dni roku przyjeżdżały fury z wiązkami łyka, było łyka dużo i było ono tanie, istniała też forma handlu wymiennego. Z wiązek łyka – bardziej twardego dla dorosłych, miękkiego i o wąskich paskach dla młodzieży i kobiet – wypłatało się łapcie, najczęściej już we własnym zakresie. Kupowano jednak i gotowe łapcie, często zgrabne jakby to były czółenka. Łapcie miały szereg bocznych uszek, dla długiego sznurka. To był zwykle specjalną techniką skręcony sznurek, stopniowo zwężający się ku końcom, którymi owijało się nogę od stopy do  $\frac{3}{4}$  łydki – nie zaciskając mocno. Chyba podobnie, jak góralskie kierpce. Oczywiście, stopy i łydka były owijane onuckami. Łapcie łykowe od spodu było podszywane czymś twardszym i trwalszym – najczęściej jakąś grubszą tkaniną złożoną w kilka warstw, albo – na przykład – warstwą gumy. O gumę było łatwo nieco później, gdy z rozbitych pojazdów wojskowych pozyskiwano opony, i nauczono się je rozwarstwiać. Ale łapcie łatwo nasiąkały wilgocią, ciągle więc były suszone. Zimą stosowano onuce cieplejsze, niektórzy dla zapobiegnięcia przemarzania nóg już zawczasu, ale dopiero tuż przed wyjściem z domu, wierzchnie onuce lekko nawilżali, po czym zamrażali i takimi owijali łapcie, obciskając sznurami. To był jeden ze sposobów na zapobieżenie odmrożeniom, bo przy pewnej troskliwości wewnętrzne onuczki mogły być zachowane względnie suche. Ale to wszystko wymagało perfekcyjnej staranności, oczywiście, do tego przyuczało się od dziecka.

Matka ze mną, to znaczy z obuwiem dla mnie, miała kłopoty, bo potrzebowałem ciągle nowego, wyrastałem. Jednak jakoś się zdarzyło, że w majątku Chotów otworzono jednak w końcu sklep, jedyny w okolicy. Nie był to sklep zwyczajny, bo – po pierwsze, był w mocno zakratowanym budynku, i jeżeli coś w nim sprzedawano, to wyłącznie przez te kraty, bez otwierania drzwi. Po drugie – za drzwiami czekał zwykle tłum, większy, gdy już wiadomo było, że towar jest, że jednak „przywieźli”. Tłum był podniecony, zniecierpliwiony, więc zawsze lekko agresywny. Między innymi dlatego, że nie wiadomo było, co mianowicie „przywieźli”, więc w czekającym tłumie wszyscy nasłuchiwali tych kilku osób niby lepiej poinformowanych. I komentowano wiadomości. Ale w zasadzie było mało istotne, co „przywieźli”, wykupywano wszystko „jak leci”, później dokonywała się wymiana między szczęśliwcami. Którym coś udało się kupić. Termin dostawy towaru i jego rodzaj, ilość – były nieprzewidywalne. Ten sklep był nazywany nieznanym tu wcześniej słowem „kooperatywa”, oderwanym od swego rodowodu.

No i się zdarzyło, że Matka jakimś sposobem zakupiła jednak dla mnie buciki, chociaż nie wiem, czy w kooperatywie. Była niesłychanie zadowolona, ja mniej, bo były za duże, a ponadto dlatego, że po kilku dniach noszenia – z przerwami, bo było lato – po prostu poszły w strzępy. Po obejrzeniu okazała się, że te buty są zrobione z czegoś imitującego niby skórę, niby tekturę. Ogromna dla nas nowość, nauczka. Strata pieniężna jednak niewielka, sowieckie towary były raczej tanie – jeżeli były.

Później Matka jakimś sposobem dotarła jednak do tej kooperatywy (były sposoby), i zakupiła buty nieco lepsze. Jak i poprzednie, były wykonane fabrycznie, co było nowością, jak i samo zastosowanie skóry świńskiej, o dziwnej fakturze powierzchni jakby drobno dziurkowanej. Wtedy też otrzymałem równie dziwne ubranie – długie czarne spodnie „w kant”, i coś jakby marynarkę. Czegoś podobnego nie miałem jeszcze, ubranie raziło mnie „dorosłością” i byle jakością. Wkrótce okazało się, że wykonane je z materiału w rodzaju jakby miękkiej flaneli. Spodnie nie trzymały kantów, marynarka – też szybko zatraciła fason. Mnie nie podobało się i to, że dziwnie upodobiłem się w tym ubraniu do wzorowych „pionierów” z Pionierskiej Prawdy.

Jeszcze później, chyba już w 1943 r., nosiłem drewniane chodaki, nawet miałem jedne takie ulepszone, ze skórzaną cholewką. Poszukując możliwych rozwiązań, Matka postanowiła zbadać, czy jednak nie mógłbym chodzić, jak i inni, w łapciach. Zamówiła uplecenie łapci. Były nowiutkie i śliczne, z plecionkami-sznurkami do przewlekania przez boczne uszka. No i ja, posłuszny syn, mimo wewnętrznego buntu, widząc konieczność, próbowałem.



Rzeczywiście, chodzić w łapciach mógłbym, ale biegać w łapciach – to raczej już nie. Przy pierwszej próbie rozłożyłem się jak długi, bo do łapci trzeba przyzwyczajać się od wczesnego dzieciństwa, by rozstawiać szeroko nogę od nogi. Ja do tego nie byłem przyzwyczajony, a że wszędzie poruszałem się biegiem, zaś łapcie mają z boków te swoje uszka znacznie je poszerzające, więc zahaczanie stopy o stopę w biegu o uszka było nieuchronne, jak i upadek. Matka przyglądała się moim próbom, i jakoś łatwo z forsowania łapci dla mnie zrezygnowała.

**O czym piszę z największym trudem, dlatego skrótowo 11 Lutego 2015 r.**

### **Deportacje ludności polskiej: lata 1940-41, oraz wcześniejsze, w latach 1937-38**

Dopasowywanie się do pół-rolniczych zajęć nie sprzyjało nasłuchiowaniu wieści z bardziej szerokiego świata, zresztą, nie wrosliśmy w społeczność Chotowa jeszcze tak bardzo, by jakiegokolwiek nowiny były akurat przynoszone do nas. A i tych nowin prawie nie było, a jeżeli były, to nie były ekscytujące dla Chotowa, w końcu - dość odosobnionej wsi. Wspomniałem wcześniej, że z niektórych miast, z Lidy i Słonima, sprowadziło się kilka rodzin mających tu krewnych, jakby przestraszonych zmianami – i to było niemal wszystko. Chyba niektórzy przybysze zaczęli wtedy zamykać się w rozmowach, może woleli jednak milczeć, a zresztą – ja przecież nie byłem dla dorosłych poważnym rozmówcą. Pewne wieści o wywożeniu polskich rodzin dotarły jednak stosunkowo wcześniej. Dotyczyły brutalnej akcji deportacji przeprowadzonej przy mrozie sięgającym  $-40^{\circ}\text{C}$ , w noc z 9 na 10 lutego 1940 r. Lutowa fala deportacji objęła głównie kolonistów i osadników, którzy kupili lub mieli nadaną ziemię za walkę o niepodległość, oraz pracowników służby leśnej, leśniczych i gajowych. Objęła – jak od niedawna wiadomo – około 140 tys. osób, które zostały wywiezione w głąb ZSRR. Była to pierwsza fala wywózek, po niej nastąpiły: wywózka druga, przeprowadzona w nocy z 13 na 14 kwietnia, obejmująca 61 tys. osób (głównie rodzin aresztowanych wcześniej oficerów i policjantów), wywózka trzecia, przeprowadzona w czerwcu i lipcu, obejmująca ok. 80 tys. osób (dominowali Żydzi i osoby nie akceptujące przyjęcia obywatelstwa ZSRR), oraz fala wywózki czwartej, przeprowadzona już według innych kryteriów, w maju i czerwcu 1941 r., czyli częściowo już w czasie działań wojennych po ataku Niemiec na ZSRR. Uważa się, że z ziem polskich deportowano wtedy ok. 40 tys. osób (wg danych NKWD Polacy stanowili ok. 65 %, Żydzi – ponad 20 %, Białorusini i Ukraińcy - po ok. 6-7 %). Wieści o kolejnych deportacjach, poza pierwszą falą, do Chotowa nie docierały, a wymienione wyżej liczby deportowanych podałem wg szacunków współczesnych. Może te dane są niepewne, jednak nie mogłem ich pominąć. Te obliczenia uwzględniają zresztą jedynie deportacje dokonane z ziem należących do Państwa Polskiego w 1939 r., i nie uwzględniają deportacji Polaków w latach 1937-38, w wyniku represji po zarzuceniu planu ustanowienia autonomicznych obszarów administrowanych przez Polaków w granicach dawnej guberni Żytomierskiej. Represjonowano już wtedy niemal wszystkich Polaków pozostałych w granicach ZSRR po Traktacie Ryskim. Ich liczbę można ocenić na 782,3 tys., według Spisu Ludności z 1926 r.

W tym roku utworzono najpierw polski rejon autonomiczny na Wołyniu, nazywany „Marchlewszczyzną”, następnie powołano w 1932 r. drugi podobny rejon autonomiczny na Białorusi, nazywany „Dzierżyńszczyzną”. Zastosowane nazwy anonsowały cele polityczne – bowiem przewidywano, że z obu autonomicznych rejonów uda się utworzyć Polską Republikę wchodzącą w skład ZSRR. To się zupełnie nie udało, Polacy skutecznie opierali się wprowadzeniu kołchozów i wykazywali przywiązanie do katolicyzmu. Oba „polskie” rejonu autonomiczne więc zlikwidowano, a NKWD zaczęło stosować represje wobec ogółu Polaków w ZSRR. W 1937 r. deportowano ok. 139 tys. Polaków, w tym ok. 100 tys. do Kazachstanu. Te dane nie uwzględniają zmarłych ze względu na złe warunki w czasie transportu, osób rozstrzelanych na podstawie wyroków sądowych, ani zastrzelonych bez wyroków sądowych.

**Katyń.** Zbrodnią **Katyń** nazywa się zbiorczo mord dokonany, według dostępnych danych, na 21857 osobach, głównie na oficerach zgromadzonych w 1939 r. w obozach w Kozielsku,

Ostaszkowie i Starobielsku. Ustalono miejsca dokonania zbrodni, które ukrywano przez 50 lat, zatajając nawet sam fakt dokonania zbrodni, stosując fałszerstwa, między innymi forsując uporczywie pogląd, że zbrodni dokonali Niemcy. Miejsc zamordowania 7305 osób do tej pory nie ustalono. Decyzja zamordowania zatrzymanych została w Moskwie podjęta bardzo wcześnie, 5 marca 1940 roku, na wniosek szefa NKWD Ławrentija Berii. Rozstrzeliwania zaczęły się 15 marca, zakończyły 20 maja 1940 roku. Jest znana lista nagrodzonych rozkazem NKWD nr 001365 z 26 października 1940 r. „za pomyślne wykonanie zadań specjalnych”. Masakry uniknęło 395 osób z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, z nieznanых powodów. Rozstrzelania uniknął też Profesor Stefan Swianiewicz (1899-1997). Zawrócono go już w Katyniu, tuż przed egzekucją, skazano na 8 lat łagru w Komi, ale już wkrótce udało się go stamtąd wydobyć. Po przedostaniu się do Anglii złożył w 1944 roku obszernie zeznania.

Informacje o przeprowadzonych deportacjach przedstawiały się do opinii publicznej z trudnością, bo były i nadal są - umiejętnie zatajane. Dotyczy to szczególnie Zbrodni Katyńskiej, której gorliwie, z uporem zaprzeczano na najwyższych szczeblach.

### 12 Lutego 2015 r.

Komunikują, że w Mińsku po kilkunastu godzinach nocnych obrad wypracowano formułę porozumienia przewidującą zawieszenie broni w Donbasie, w nocy z 14 na 15 lutego. Tymczasem Rosjanie w środku tych obrad wprowadzili na Ukrainę dodatkowo 50 czołgów, 40 wyrzutni rakietowych Grad, Smiersz, Uragan, i tyleż transporterów opancerzonych.

*Media donoszą również, że:*



*Aleksander Doba (68) podróżnikiem 2015 roku ( National Geographic). Przepłynął Atlantyk na kajaku, dystans 12 000 km (Lizbona – Florida) pokonał w ciągu 6 miesięcy.*

Wracam do problemów zimy 1940-41 roku. Problemów właściwie nie było – nasze zasiewy zboża dały dobre rezultaty, powiązane w snopy znalazły się w stodole, przywiezione przez sąsiada – było tego żyta niewiele, dwie średniej wielkości fary. Trochę zebraliśmy też owsa. Nie bardzo wiedzieliśmy, co ze snopami zrobić. Ale wiedziały myszy – co się niedługo okazało. Duża część snopów została przez myszy pocięta. Myszy było mnóstwo – odsłaniały się całe roje mysich niemowląt po odgarnięciu górnych snopków. To była dla nas nauka, i nie poszła ona w las – zaopatrzyliśmy się w dwa cepy i ocalałą resztę wymłóciliśmy – ja też ćwiczyłem młócenie „na tempa” – szło mi jednak niezdarnie. Podpatrywałem, jak to się młóci w sąsiednich stodołach, ale sąsiedzi się ze mną śmieli – bo do młócenia to trzeba „chłopa”, a ja jeszcze byłem „szkrab”. W następnym roku szło mi lepiej - trochę.

Młócenie to jeszcze nic – ocalałą od myszy i omłócone snopy trzeba było wykorzystać na siewkę dla krowy. I tu wysiadałem generalnie, bo rżnięcie słomy na siewkę to już jednak ciężka praca. Ale w końcu nie potrzeba było tej siewki dużo, tylko dla jednej przecież krowy. No i mieszało się siewkę z żyta z siewką z owsa, a cięcie bardziej miękkiej słomy z owsa jest łatwiejsze. Cięcie słomy (czyli, konkretniej – rżnięcie siewki) to jest w ogóle niezbyt

bezpieczna sprawa. Można łatwo pozbawić się palców u rąk, lub nawet całej dłoni, gdy się „wkręci” w podajnik. To na pewno nie jest zajęcie dla roztargnionych, i szczególnie – nie dla dzieci. Przy pracy na maszynach rolniczych zdarzają się i większe kalectwa, zwłaszcza gdy maszyny są uruchamiane napędem konnym, zwanym potocznie kieratem. Ja się od wypadku jakoś uchronilem – cóż, wrodzona inteligencja. Ta inteligencja, niby wrodzona, skłaniała mnie do podpatrywania samej zasady działania maszyn, nie tylko zresztą sieczkarni, ale – na przykład – wialni. Co do sieczkarni - własnej nie mieliśmy, korzystaliśmy z uprzejmości sąsiadów – były różne systemy. Kłopotliwa była konieczność donoszenia snopów, i ewentualnie siana – bo i siano było cięte i dodawane do sieczki, dla wzbogacenia smaku, dla dogodzenia Podlasej, a i w oczekiwaniu zwiększenia mleczności. Sieczkę zazwyczaj parzyło się, to znaczy - polewało się wrzątkiem, dla zmiękczenia słomy. Jednak najbardziej miłym dodatkiem (oczekiwanym przez Podlasę) były ziemniaki, czasem buraki, naturalnie pocięte, bo całe mogły spowodować zadławienie. Dla krów ziemniaków się nie gotowało, tylko dla prosiaków. Największą rozkosz Podlasej sprawiało sypnięcie szczypty soli, ale zakupienie soli w końcowym etapie wojny było skrajnie trudne. Poza podstawową sieczką, podawało się siano, koniczynę, lub seradełę – co się tam w stodole na zimę zgromadziło.

Ziemniaki nam obrodziły, było ich zawsze dostatecznie dużo, ale te pierwsze posadzone zostały na zbyt dobrej ziemi, wybujały, i bulwy ziemniaczane były nienaturalnie duże i jakoś nieprzyjemnie powykręcane, czasem zarobaczone. W następnym roku zastosowaliśmy płodozmian, to znaczy posadziliśmy ziemniaki na innym zagonie, chociaż też nawożonym – ale istotne było to, że na tym zagonie poprzednio ziemniaki nie były posadzone.

Gdy tak to wszystko opisuję, może się wydawać, że zacząłem rozkoszować się rolnictwem. Nic podobnego, to była ciężka praca, ponad moje siły. Lubilem tylko siał, szerokim rozmachem ręki, z zaciśniętym w garści ziarnem nabieranym z zawieszanej na piersi płachty, ziarnem powoli z ręki popuszczanym dla uzyskanie siania jednostajnego. Lubilem też rośliny, wszystkie, ale szczególnie koniczynę i len. O lnie jeszcze nie napisałem – zasiał go nam jakiś uczynny sąsiad, chyba własnym ziarnem i chyba bez wyraźnej naszej świadomości, po co. Bo co ma robić nauczyciel na wsi z lnem? A jednak, poza ładnymi kwiatami, nasiona lnu nas syciły olejem, było go wcale dużo. Bo po omlóceniu snopków lnu zebraliśmy brązowe błyszczące podłużne ziarna i tak jak wszyscy, wycisnęliśmy z nich olej, zwany lnianym, w olejarni, która zupełnie niespodziewanie, a tak korzystnie objawiła się w Chotowie w tych trudnych czasach. Łodygi lnu oddaliśmy sąsiadowi który len zasiał, potem obserwowałem kolejne procesy przerabiania ich na płótno – więc wiem, „jak to ze lnem bywa”. Jeżeli piszę o lnie i oleju lnianym, to koniecznie powinienem też choćby wspomnieć o kapuście. Kapustę też mieliśmy zasadzoną, dużo, i kisiliśmy ją w beczkach – dwóch tylko. Tu powiem, że to nie prawda, że kapustę ubija się gołymi stopami – nigdy tego nie widziałem, a ci co to lansują, nigdy kapusty nie kisili. Ja w zasadzie też osobiście nie, ale uczestniczyłem i patrzyłem, co i jak się dodaje. To zresztą wszyscy wiedzą, nawet i to, że różne zioła, marchewkę, jabłka i smaki. Ważne jest staranne poszatkowanie kapusty i dobre jej ubicie, ale obie te czynności robiły osoby lepiej do tego przygotowane, właściciele szatkownicy wędrującej po wsi, angażowani przez Matkę. Ta kresowa kapusta, gdy dojrzała, smakowała niezwykle. Lubilem zjadać kiszoną kapustę polaną lekko olejem, właśnie lnianym, dlatego opisuję tu len razem z kapustą. Mógł być też olej z konopi, bardziej jasny, nawet czasami smakował mi z kapustą bardziej, niż lniany. Teraz są oleje jadalne jakieś inne, może i lepsze, ale jednak inne.

To jesienne sycenie się zbiorami z pól, z ogrodów – będące domeną poetów, głównie dziewiętnastowiecznych, trwa dość długo, i nastrocza wiele przyjemności. Czas płynie wolno, ale pracy jest dużo, zwłaszcza kobiety i dorastające dziewczyny mają wiele do zrobienia. Zanim przyjdzie zima i mrozy trzeba przede wszystkim zrobić wszystko, co można zrobić ze lnem, by sztywną wiązkę badyli, jaką na początku przedstawia sobą snopek lnu pozbawiony

kulek nasienników, przekształcić w miękkie czyściutkie pasma kądzieli, które służą jako materiał do przedzenia nici. A te – w dalszych procesach – poprzez tkanie na krosnach, przekształcają się w płótno – też lniane, oczywiście. Więc te początkowo sztywne wiązki badyli długo moczy się, w specjalnie wykopanych w ziemi dołach, by zapoczątkować proces oddzielanie pasm włókien od części zdrewniałych. Dalej następuje proces intensywnego suszenia w podwyższonej temperaturze, po nim - kolejne procesy łamania i wykruszania części zdrewniałych, zwanych paździerzami. W końcu wyczesuje się użyteczne włókna, na kolejnych jakby grzebieniach – wyczesywarkach, aż uzyskuje się pasma kądzieli, przydatne do przedzenia. Wtedy utrudzone i ubrudzone paździerzami dziewczyny przekształcają same w urocze, pracowite prząsniczki. Zasiadają przy kołowrotekach, ale może tylko przy prząsnicy i wrzecionie. Bo posiadanie i korzystanie z kołowrotka – to już był wyższy stopień mechanizacji, chociaż od dawna znany, zwłaszcza w domach szlacheckich. Przedzenie to wielka sztuka, graniczy z ekwilibristyką. Zwłaszcza gdy korzysta się tylko z wrzeciona, które puszczane w ruch obrotowy, furcząc oddala się na sporą czasem odległość od prząsniczki, a kręcąc się i utrzymując na nici wciąż w pozycji pionowej jak bąk, wlecze za sobą, skręca i nawija tę nić, ciągle kształtowaną umiejętnie palcami prząsniczki tuż przy kądzieli.

Gdy już len przerobi się na przędzę i jest jej już dostatecznie dużo, a dni po Nowym Roku wydłużają się i jest coraz więcej światła, gdzieś po 3 Królach wyciąga się z komór i zestawia krosna. Prząsniczki przekształcają się w pomysłowe tkaczki. Często chodziłem po chałupach i widziałem te wszystkie procesy, zbieranie się wieczorne prząsniczek i „wszystkich”, na rozmowy, komentowanie niezwykłych zdarzeń, opowiadanie niestworzonych historii, bajek – po czym wracałem do domu, gdzie była inna atmosfera, gdzie zasiadałem, na przykład, do kolejnego czytania Wellsa. Lekcji właściwie nie odrabiałem, to było mało ważne, poza geografią i matematyką – pojmowaną wtedy i nauczaną raczej pod nudną postacią umiejętności „rachowania”. Zimą 1940-41 byłem już w 4 klasie.

Z perspektywy wysokiego poziomu 4 klasy (poziomu najwyższego, 5 klasy jeszcze nie było) dostrzegałem zasadnicze różnice między podręcznikami sowieckimi, a polskimi – wtedy dla mnie jeszcze dostępnymi, ale już nielegalnymi. Podręczniki sowieckie były wprawdzie istotnie ukierunkowane na poszerzanie horyzontów myślowych, ale wyraźnie z motywacji wytyczonej propagowaniem idei libertyńskich zawłaszczonych w szczególności, wybiórczy sposób przez bolszewizm. Przy eliminacji innych sposobów interpretowania rzeczywistości. Może wyrażam swoje wrażenia niezbyt precyzyjnie, ale takie one były, a w późniejszych latach jeszcze się pogłębiły. O podręcznikach polskich nie powiem wiele – bo zapamiętałem tylko jeden, o tytule „Mówią wieki”, przeznaczony dla Gimnazjów, będący czymś pośrednim między podręcznikiem historii, a wypisami z literatury polskiej, gruby, bardzo ładnie wydany. Zapamiętałem go dobrze, bardzo ciepło, wyróżniał się powagą na tle wielu „książeczek” poświęconych zbyt gorliwemu propagowaniu patriotyzmu. Moje uwagi o podręcznikach krystalizują się jednak głównie na postrzeganiu różnic między podręcznikami służącymi nauczaniu matematyki, oczywiście na poziomie podstawowym. Niedobrze oceniam podręczniki polskie, znacznie lepiej rosyjskie. To bardzo dziwne, że Polska z kwitnącą Szkołą Matematyczną Lwowsko-Warszawską miała podręczniki poświęcone głównie umiejętności przeliczania różnych miar gruntów ziemskich, oraz podobnych rachunkowych analiz cen i zakupów książek, kajetów, ołówków i kredek, piłek – oczywiście obliczeń przydatnych, ale raczej na poziomie gospodyń domowych i właścicieli małych sklepików. Rosyjskie podręczniki tej wady – nadmiernego przywiązania do zajmowania się „przyziemnymi miarami” gruntów - nie miały, dość szybko były w nich wprowadzane zadania wymagające pomysłowości, np. prowadzące do rozwiązywania zadań według sposobu nazywanego podziałem „na części”, co było wstępem do rozwiązywania przy zastosowaniu równań, chociaż zapisu algebraicznego równań nie było, i ta metoda mi się podobała. Podobała mi się różnorodność zadań, niektóre miały formę jakby zagadek. Dziwiło mnie natomiast rosyjskie



nazewnictwo figur i brył geometrycznych, takie archaiczne i niezręczne, np. prostokąt nosi nazwę „parallelogram”, zaś prostopadłościan to po rosyjsku „parallelepiped”. Te nazwy mnie raziły, nawet śmieszyły, przyzwyczaiłem się bowiem do eleganckiego i bardzo prostego polskiego nazewnictwa matematycznego zapoczątkowanego przez Jana Śniadeckiego. Z nauczaniem matematyki obecnie jest u nas nadal źle, tak młodzież jak i dorośli unikają ujęć matematycznych. Ale czy można nabyć przekonania do matematyki, skoro zachęca się do niej słowami, że „nie jest trudna”, zamiast – że „jest fascynująca” – jak ściany skalne Alp?

Zima 1940-41 była dość mroźna, ale przede wszystkim – była na Kresach bardzo śnieżna. Nawaliło tyle śniegu, że ulica w Chotowie stała się nieprzejezdna. Saniami jeździło się więc prawie całą zimę poza stodołami, już polem, gdzie śniegu też było dużo, ale był rozłożony równomiernie, nie tworzyły się takie zasy, jak na ulicy. Największe zasy powstały przy szkole, niewątpliwie przyczynił się do tego płot z gęsto nabitymi sztachetami. Po dalszych opadach i utwardzeniu śniegu zasy przy szkole zamieniły się w rodzaj śnieżnego góro-tworu, miejscami – wybrzuszonego ponad sztachety. Nam, uczniom, zasy sprawiły frajdę – całą prawie zimę zjeżdżało się na nartach prosto z ulicy na dziedziniec szkolny, dopóki można było - ponad sztachetami. Na nartach jeździli prawie wszyscy, narty były potrzebne zwłaszcza tym przybywającym z chutorów. Ja mieszkalem w szkole, dobrze opalanej, i w zasadzie nie potrzebowałem nart, ale od początku chciałem brać udział w zabawie. Nart nie miałem, ale narty mieli Rodzice, i nie używali. Więc próbowałem jeździć na nartach Matki – były to zwykłe narty, wprawdzie jesionowe – więc bardzo elastyczne, ale ich okucia, niezmiernie proste w stosunku do obecnie używanych, zupełnie nie pasowały ani do moich stóp, ani do obuwia. No i te „dorosłe” narty dla mnie były o wiele za długie. Poradziłem sobie – wykorzystałem takie krótkie cienkie deseczki pozostałe po budowie i zrobiłem sobie sam z nich narty, wprawdzie nie elastyczne, bo to były deszczułki sosnowe, ale że były krótkie, to elastyczność nie była ważna. Dorobiłem też wiązania, i tylko jedno się nie udało – wygięcie czubów nart. Wiedziałem, że drewno wygina się na parze i czyniłem wszelkie wysiłki, by drewno przed wyginaniem zaparzyć – po części nawet te czuby nart wygięły się, ale tylko po części – bo to były deseczki sosnowe, nie poddające się gięciu. Później, gdy już zacząłem jeździć, pod wpływem mrozu i śniegu te czuby z powrotem odgięły się, ale nie całkiem, i „jakoś było”. Inni mieli znacznie lepsze narty, ale były i takie gorsze, podobne do moich. Było wesoło, tylko nart nie wolno było wnosić do szkoły. Na przerwach wybiegało się na zewnątrz, obrzucało się „śnieżkami”, zresztą – przy każdej okazji. Trzeba było jednak szybko wracać, do szkoły lub do domu, gdzie było ciepło. Na dworze mróz był taki, że ręce – gdy były bez rękawic – bieleły, i później, gdy się je przykładano do kaflowego pieca – długo wychodził z palców szczypiący ból – każdy go zna.

W szkole zajęcia jak zwykle, jak zwykle niespodziewanie przyszły roztopy. Jeszcze śnieg leżał całymi płatami, a chłopaki już wykręcili świdrami otwory w brzozech, wstawili drewniane cewniki i zaczęło się zbierać do podstawionych dzbanków sok – to najlepsza pora. Lubię pić sok z brzozy, chociaż to straszne, tak kaleczyć drzewa. Brzóz dużo, i tak jak ludźmi, nikt się płaczem brzóz nie przejmuje. Wiosną wcześniej wypuszcza się krowy. Trawy jeszcze nie ma, ale już można krowy oporządzać. Łatwo odrywają się boczne zaschnięte zabrudzenia – bo zimowa sierść już odchodzi, całymi płatami. Niektórzy z sierści krowiej robią piłki – przykładają wosk do krowiego boku i turlają. Przy turlaniu przylega coraz więcej sierści, i może być utoczona całkiem spora kula. To nie jest dobra piłka, nie bardzo odskakuje, ale można nią grać w dwa ognie. Gumowe piłki są lepsze – ale skąd je wziąć?

Starsi mają inne zajęcia, wypuszczają krowy, by z obory wyrzucić ściółkę – to bardzo ciężka praca, do tego - w powietrzu pełno „zdrowego” zapachu. Toteż usuwany nawóz trzeba od razu wywozić na pole – ale to też trudne, gdy pola są jeszcze rozmiękłe. Staram się pomagać Ojcu, nawet macham ofiarnie widłami, ale trudno udźwignąć więcej, niż kilka razy takie ciężkie, mokre i zbrylone warstwy nawozu. Trzeba je najpierw wyrwać widłami, co jest

szczególnie trudne, bo są jakby uzbrojone długimi pasmami słomy, a do tego udeptane. No i należy je wynieść, naszymi nosilkami, na pole, pod kartofle. Ciężko jest, ale trzeba, chociaż serce się tłucze z przeciążenia, a nogi ślizgają się na nawozie. My i tak mamy nieźle, bo nasz rolniczy kawałek pola jest tuż za drogą, to tylko jakieś 150-200 metrów. Tylko i aż tyle ...

Niewiadomo kiedy pojawiła się trawa, była wiosna i zaczęły się upały, niemal lato. W szkole przeprowadzono akcję szczepienia dzieci przeciw ospie. Dzięki interwencji matki uniknąłem dość nieprzyjemnego w skutkach głębszego nacięcia ramienia. Po płytkim zadrapaniu nie miałem później tego charakterystycznego dla szczepienia śladu blizny. Ale wcześniej, jeszcze zimą, przeszedłem szczepienia przeciw tyfusowi, zorganizowane dla całej okolicy na dalekim chutorze. Te były dość bolesne i jak wszyscy, musiałem je odchorować.

Przed końcem szkoły Ojciec w porozumieniu z nauczycielem szkoły w Łubniu, Panem Zajcewem, zorganizował zawody szkolne. Chyba tylko dla porównania rezultatów nauczania, w zakresie sprawności rachunkowej, i tylko dla klasy trzeciej – bo w Łubniu czwartej klasy jeszcze nie było. Pan Zajcew był synem naszej znajomej Rosjanki, starszej Pani, z wyglądu – ze stylu ubierania się i wysławiania – wdowy. Z dużej rosyjskiej rodziny osiadłej od lat w Chotowie, bardzo zaradnej. To ona urządziła tę bardzo w Chotowie potrzebną olejarnię.

Nasza szkoła dość sromotnie przegrała zawody. Pan Zajcew okazał się być dobrym nauczycielem rachunków. Wcześniej pomagał swojej matce prowadzić sklepik – gdy jeszcze sklepik był, ale właściwie nie wiadomo, czym się zajmował, i rzadko się go widywało. Nie wiadomo też, dlaczego objawił się nagle jako nauczyciel. Może tylko na rok, bo później zniknął i jego matka się zastanawiała, nawet jakby zamartwiała – nie wiem, czy prawdziwie – że nie wie, gdzie syn jest. A ja miałem swoje domysły. Bo w udostępnionych mi, pozostawionych na strychu jego rosyjskich książkach wykryłem różne takie jak na Chotów bardzo niezwykle, a dla mnie interesujące - o obróbce metali skrawaniem, nowoczesnym, szybkościowym, o specjalnych stopach metali przydatnych na noże tokarskie, oraz podręczniki objaśniające konstrukcje i użytkowanie broni palnej, wojskowej. Jakoś mi się więc wydało, że on był tak dobry w tej dziedzinie, że może – jako rosyjski patriota - po kryjomu i to od razu został lejtnantem Czerwonej Armii. Ale może mi ktoś to podpowiedział? Takich tajemnic wszędzie było pełno, a na Kresach chyba najwięcej.

Tajemnica Zajcewa nurtowała mnie już od początku, gdy usiadłem grzecznie u boku mojej Mamy, która przyszła ze mną z wizytą do Pani Zajcew. Właściwie nie jestem pewien, czy nosiła to samo nazwisko, co syn. Bo chociaż z głębokiej czerni ubioru wynikało, że chyba jest wdową i jest w żałobie, to jednak przypuszczałem, że teraz jest być może żoną znanego mi członka tej rozgałęzionej rodziny rosyjskiej. Niemłodego, z dużą broda, wyglądającego poważnie i bardzo po męsku. Więc siedziałem skromnie u boku mamy na stołeczku, i popatrywałem na dwa duże obrazy zawieszone na przeciwległej ścianie. Nie można było nie patrzeć na nie, tak były zawieszone, dokładnie na przeciwko. Były religijne, bardzo prawosławne, i chyba całkiem świeżo odnowione lub namalowane, chociaż w starodawnym cerkiewnym stylu. Widniały na nich otwarte groby, szkielety i czaszki, przerażeni bliskim końcem ascetyczni - żywi jeszcze ludzie, łopata wbita w świeżo wydobyty kopczyk ziemi, i wszelkie rekwiizyty służące nadania ekspresji twierdzenia, że wszystko jest marnością, bo tak oto kończy się życie. To były takie kiepskie popłuczyny po Bosch. Wtedy malarstwa Boscha jeszcze nie znałem, po prostu doznawałem uczucia jakiegoś fałszu, czy nadmiernej egzaltacji. Z nazwiskiem Zajcew mam po dziś kłopot. Nosił je np. nagrodzony kat z Katynia. Z kolei wydaje mi się, że całkiem niedawno widziałem je w spisie poległych polskich żołnierzy – ze szczególnym zaznaczeniem, że był Rosjaninem. Z drugiej strony, nosił je szef Świsłowskiego urzędu NKWD, zgładzony za wyjątkowe okrucieństwo w 1945 r. razem z podwładnymi.

Jakoś przed końcem roku szkolnego, w maju – a może już w czerwcu 1941 r., rodzice pojechali do Iwieńca, chyba dla uzgodnienia spraw związanych z planami powołania 5 klasy,

bo w perspektywie szkoła miała się przekształcać w „diesiatiletkę”. Pojechali z samego rana, wrócili dość późno. Ja pozostałem sam na sam z całym dobytkiem żywym i martwym, zajęć szkolnych nie było, no i właśnie w tym dniu zaszły dramatyczne wydarzenia, zapamiętane na zawsze. Bo Podłasa pokazała wtedy, co chce i co potrafi. Od dawna próbowała wyłamać sztachety u płotu po stronie sąsiadów Czujków, zawsze w tym samym miejscu. Widocznie podpatrzyła i zapamiętała, że to w tym właśnie miejscu kiedyś wychodziłem do Czujków, odchylając obluźowane sztachety. Co kilka dni atakowała to miejsce płotu, i tylko to, chociaż mogła próbować wyłamać płot w każdym innym miejscu. Ja oczywiście znałem ten jej upór, i nawet specjalnie wzmocniłem płot dodatkowymi gwoździami – ale widziałem, że Podłasa nie porzuciła zamiarów wydostania się poza obręb kwadratu ogrodzonej działki szkolnej. Czuwałem i udawało mi się już w zarodku udaremniać próby wyłamania sztachet. Czasem przy użyciu kija, ale najbardziej pomocny był mocny i długi powróż, zawiązany na stałe na rogach naszej krnąbrnej krowy. Powróż miał kilka węzłów ułatwiających trzymanie go w rękę i przez to poskromienie nawet bardzo silnej krowy. Było to dość łatwe, gdy ciągnęło się za powróż w bok, bo wtedy odchylało się szyję krowy skośnie względem ruchu jej tułowia, i następowało zaburzenie ruchu. Było jednak o wiele trudniejsze, gdy się próbowało powstrzymać ruch Podłasej w ostatniej chwili, gdy się już rozpędziła. Bo ciągnięcie powroza - w takiej sytuacji już do tyłu, nie powodowało bocznego odchylenia głowy i szyi. Ponadto, samo utrzymanie szybko ciągniętego powroza stawiało się trudne, gdy krowa już była w pędzie, bo szybko ciągnięty powróż mimo zawiązanych na nim węzłów wyslizgiwał z ręki. Gdyby to była ręka dorosłego mężczyzny – ale próbował utrzymać powróż 10-letni chłopiec. Bo Podłasa, gdy tylko się odchyliłem do innych spraw – byłem przecież w tym dniu sam, wyłamała płot i od razu popędziła w pole. Ja to wyłamanie zauważyłem, i gdy podbiegłem, zdążyłem chwycić powróż jeszcze wtedy, gdy był dopiero przewlekany przez sztachety. Trzymając się powroza, usiłowałem biec równo z szarżującą Podłasą, a że biegałem szybko, przez długi czas mi się to udawało. Nie mogłem jednak zmienić kierunku biegu, do tego trzeba by było biec jeszcze szybciej, ale nawet wtedy zapewne nie mógłbym opanować rozhukanej krowy i skierować ją z powrotem do szkolnej działki. Podłasa była triumfująca, od razu też ukierunkowała się na Puszcę Nalibocką, jakby miała w sobie kompas. A moje siły się wyczerpywały, w pewnej chwili potknąłem się i przewróciłem, ale powroza nie puściłem. Byłem ciągnięty na powrozie przez pola, potem przez trakt do Derewna, potem znowu przez pola – w kierunku Krzeczotów, wsi na skraju Puszczy. W czasie tego biegu i włączenia na brzuchu narastała obawa, że nie dam rady, że Podłasa, nasza żywicielka, ucieknie do Puszczy i będzie stracona, bo Puszcza jest nieprzebyta. Na głośne rozpaczanie nie zdobyłem się, ani na płacz – postanowiłem, mimo odczuwanej jednak wewnętrznej rozpacz, nie dać się – ale nie wiedziałem jak. Bo zresztą w pewnej chwili zabrakło mi sił, nie utrzymałem się przy powrozie, wypuściłem go z rąk. Jednak wciąż jeszcze podążałem za krową.

Ale i krowa widocznie nieco osłabła. Gdy – ciągle w biegu – zbliżyliśmy się do pierwszej zagrody Krzeczotów, inteligenta a zawzięta Podłasa popełniła błąd, strategiczny. Zatrzymała się przy studni i zaczęła pić wodę, z przystudziennego koryta. Ten moment wykorzystałem bez namysłu – dopadłem powroza i szybko go oplątałem na paliku przy studni. Byłem szczęśliwy, byłem jednak mocno zmęczony i poturbowany, właściwie – prawie nieprzytomny. Gospodarzowi, który wyszedł nie rozumiejąc, co się dzieje, jak mogłem wyjaśnić pobyt u niego, i chyba obiecał krowę przetrzymać w swojej oborze do jutra. Zresztą, co się od tego momentu zdarzyło, to ja już nic nie pamiętam - chyba nic specjalnego wobec skali dotychczasowych doznań. Słońce już zachodziło, powietrze od strony Puszczy ciemniało. Odbylem powrotny marsz do Chotowa – to było coś ze 4 km. Gdy wróciłem, dumny ale nieludsko zmęczony, obdarty i poraniony, wyjaśniłem Rodzicom co się działo i od razu zasnąłem. Gdy się obudziłem, następnego dnia, Podłasa już była u nas, jakby nigdy nic.

Incydent z krową pogłębił świadomość, jak bardzo nasza egzystencja zmieniła się. Stała się w ciągu roku niemal całkowicie zależna od podjętej działalności rolniczej na działce szkolnej, i od pomocy miejscowej społeczności. Rodzice dostawali wprawdzie pensje nauczycielskie, ale nie wystarczały one na utrzymanie, bo prawie nic nie można było za nie nabyć. Można też było spodziewać się dalszych niekorzystnych zmian, na przykład uzupełnienia, lub nawet całkowitej wymiany personelu nauczycielskiego w Chotowie, co oznaczałoby również pozbawienia nas zarówno mieszkania, jak i możliwości korzystania z przyszkolnej działki. Matka próbowała już wtedy rozwinać i wykorzystać swoje umiejętności krawieckie. Posiadała maszynę do szycia, napędzaną ręcznie, korbką. Dobrze działała, mimo częstych moich inspekcji w jej tajemniczy mechanizm. Czasem tylko brakowało nici, igieł, a i tkanin. Były z matczynego krawiectwa pewne korzyści, jednak nieduże, głównie w zakresie wewnętrznych potrzeb. Maszyna do szycia przetrwała wojnę, zakończyła żywot po wielu latach, dopiero w Brzeżnicy Bychawskiej – gdy inspekcje w jej zardzewiałym już nieco mechanizmie zaczął przeprowadzać już inny, najmłodszy wtedy członek męski rodziny. Lepiej szło wróżenie – matka lubiła i umiała wróżyć. I ja lubiłem patrzeć, jak wieczorem w kręgu światła od lampy rozkłada karty, dla siebie. Czasem namawiałem, by powróżyła dla mnie – ale albo od razu odmawiała, albo wychodziło z kart, że nie powinienem chodzić nad rzekę, czy gdzie indziej, na przykład na ślizgawkę. Takie oczywiste nabieranie kończyło się moim burzliwym protestem. Moje zainteresowanie wróżeniem z kart, dziwnymi rozmowami jakie zwykle ono wzbudza – było dość trwałe. Mimo zainteresowania, jednak nie nauczyłem się wróżenia, zresztą matka nie namawiała. Matka miała dużą wyobraźnię i fantazję, bardzo potrzebne przy konstruowaniu wniosków wynikających z kart. Wróżenie było interesujące od tej właśnie strony, ale ja w gruncie rzeczy byłem racjonalistą. Wiedziałem zresztą, że formułowania nadmiernie drastycznych wniosków, jakie wynikałyby „niezbicie” z układu kart – Matka unikała. Była wojna, dużo nieszczęść, zawsze czegoś oczekiwano od losu – i wróżenie oraz towarzyszące rozmowy, były formą terapii, przynosiły często ulgę. Matka nie afiszowała się z umiejętnością wróżenia z kart – jakoś ta wiedza rozpowszechniła się sama. Nieliczną klientelę Matki stanowiły kobiety z sąsiedztwa, młode dziewczyny – na ogół starały się przynosić coś w podarunku – na przykład kilka jajek, ser, osełkę masła, grzyby. Matka niczego nie domagała się, bo i tak korzystaliśmy aż nader często z rad i sąsiedzkiej pomocy.

Incydent z krową, trudny ale tak pomyślnie zakończony, mógłbym uważać za swoistą Conradowską „smugę cienia”. Takich „smug cienia” miałem jednak w życiu sporo, żadna nie była decydująca – i ta też, ale właśnie tę pierwszą najbardziej zapamiętałem. Może jednak wyznaczała przejście z dzieciństwa w młodość, może tylko w trudniejsze czasy. Bo właśnie nastąpiła znowu zmiana – 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na ZSRR. Od tej daty Rosjanie liczą rozpoczęcie II Wojny Światowej – a przecież rozpoczęła się wcześniej, od zbójckiej napaści Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku, ukartowanej przez Hitlera i Stalina w pakcie Ribbentrop-Mołotow. Stalin chciał przedłużyć i urozmaicić rozpoczętą grę, budował pośpiesznie lotniska nad linią nowej granicy, szykując się z kolei do napaści na „sojusznika”. Hitler w tej rozgrywce wyprzedził Stalina, i rozpoczął działania wojenne tuż przed ukończeniem lotnisk.

**18 lutego 2015 r.**

Mimo uzgodnionego – niby uzgodnionego - w Mińsku rozejmu, walki na Wschodzie trwają. Dziś na Woli w poczekalni gabinetu stomatologicznego oglądałem widoki zniszczonego całkowicie miasta ukraińskiego Debalcewe, i odwrót żołnierzy, pozostałych rozbitków z okrażenia. Nie podano, ilu z okrażenia nie wyszło. Pokazany wycofywany sprzęt – jeżeli był wycofywany – był złomem.

Dziś podano również, że Szwecja i Finlandia zawarły sojusz obronny. Jutro ma przybyć do Warszawy Premier węgierski Viktor Orban. Wczoraj goszcząc u siebie Putina, nowego swego



przyjaciela, wygłosił zdanie: „Dobre stosunki z Rosją są nie tylko w interesie Węgier, lecz całej Unii”. To oznacza szczyt schizofrenii – jeden z krajów Unii nakładającej na Rosję sankcje – jednocześnie chce z Rosją robić interesy. Zdaje się, że Grecja też.

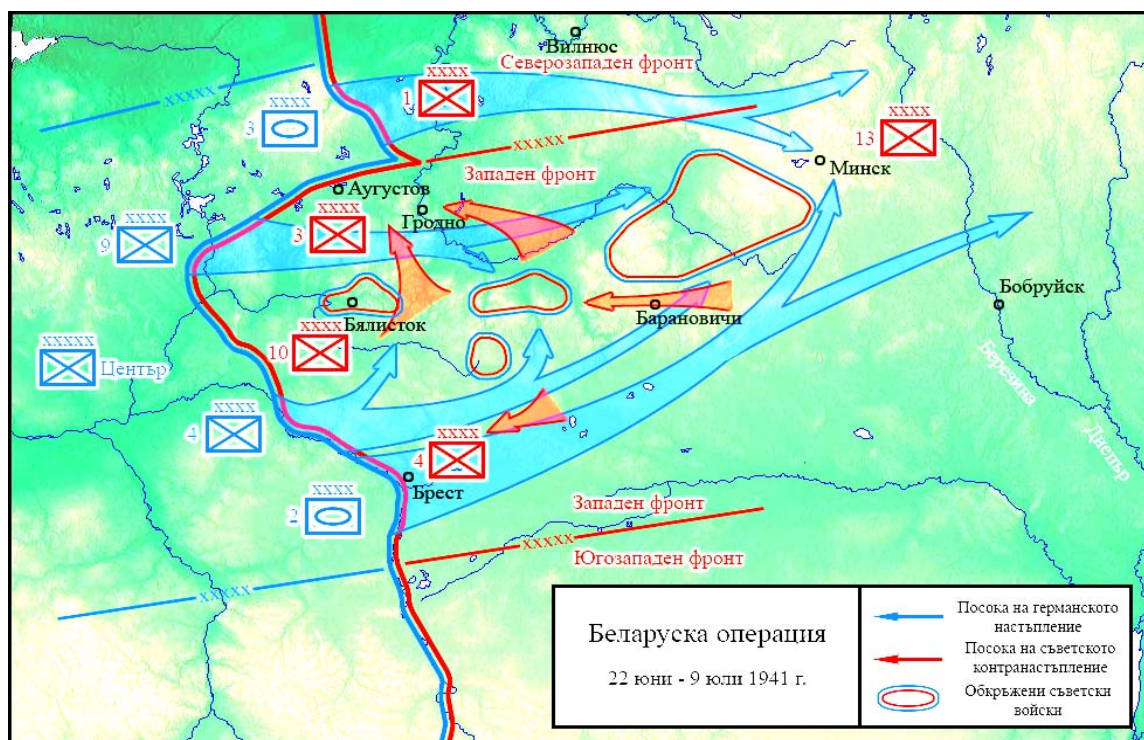
### **Wydarzenia – od czerwca 1941 do czerwca 1943**

O napaści Niemiec na ZSRR dowiedzieliśmy się chyba dopiero na drugi dzień, i to nie wcześniej rano – radia przecież nie słuchaliśmy, chociaż w dyspozycji były dwa odbiorniki – jeden nasz własny, i jeden szkolny. Ojciec może i słuchałby, ale nie miał czasu. Była i inna przyczyna – potrzeba okresowego ładowania akumulatorów służących do żarzenia lamp, oraz konieczność wymiany baterii anodowej. To pierwsze mogło być do pewnego czasu zaspokajane przez wizytę w młynie w Mieszcach, i tak Ojciec czynił, ale potrzebny był do tego każdorazowo wyjazd dwukrotny. Teraz nasze możliwości wyjazdowe skurczyły się. Można było wprawdzie użyć roweru, ale z różnych względów stało się to ryzykowne. Pewnego razu ktoś niby zaufany pożyczył solidny rower Ojca, skończyło się to rozbiciem roweru na sośnie, i potrzebą dość poważnej reperacji przy lutowaniu ramy na mosiądz. Więc Ojciec przestał afiszować się posiadaniem roweru, zaczął go oszczędzać, bo i zakupienie gum rowerowych, a nawet kleju do dętek, było wtedy nie do pomyślenia. Co się tyczy baterii anodowej, tu się Ojcu nawet udało. Pojawiła się w kooperatywie bateria anodowa sowieckiej produkcji, chyba jedyna. Nikt jej nie chciał, bo przecież radia w Chotowie nie było. Ojciec ją nabył, wydziwiając tylko, że taka ogromna i taka ciężka, i że dlatego chyba nie będzie dobra. A było odwrotnie, to była bardzo wydajna bateria. Bo zamiast typowych dla polskich baterii małych cylindrycznych ogniów typu Leclanché, identycznych ze stosowanymi w płaskich baterijkach do latarek ręcznych, miała taką samą liczbę ogniów o przekroju kwadratowym, przy tym dużych – więc zapewniających dużą wydajność i zasilanie anodowe lamp co najmniej na rok, lub nawet na dwa lata. Ale po krótkiej próbie Ojciec orzekł, jak się okazało - pochopnie, że zakupiona bateria zgodnie z przypuszczeniami istotnie jest kiepska, do użytku nie nadaje się. Jednak jej nie wyrzucił, zachował. Później się okazało, że w użytkowaniu baterii kryła się pewna tajemnica. Ale o tym za chwilę.

Gdy dowiedzieliśmy się od sąsiadów o wojnie niemiecko-sowieckiej – oceniam, że nastąpiło to mimo opóźnienia dość szybko - początkowo niczego, żadnych zmian nie dostrzegaliśmy. Ale już nazajutrz widać było na trakcie od Derewna, przebiegającym jakieś 400 m od szkoły, nieco skośnie względem linii ulicy, długą linię ludzi, wyłącznie pieszych, nie uporządkowaną, przerywaną, z miejscami zagęszczeń. Trakt przebiegał na terenie nieco podwyższonym, więc od strony ulicy i szkoły sylwetki były pod wieczór bardzo ostro zarysowane na tle nieba, jakby to zostało zaplanowane przez reżysera. To byli żołnierze sowieccy, może nie pobita – lecz rozbita armia. Ludzie nie szli, lecz raczej powoli się wlekli, zmęczeni przejściem wielu kilometrów. Nie widać było karabinów, nazajutrz doniesiono, że dużo karabinów leży porzuconych w zbożu, w krzakach. Nikt do tych ludzi, poruszających się uporczywie, choć wolno, bez widocznego dowództwa, w polu mojego widzenia, nie podchodził. Ponieważ trakt od Derewna w środku Chotowa łączył się z drogą prowadzącą przez Mieszyce do Iwieńca, dalej do Mińska – zapewne po drodze ci ludzie przystawali, by napić się wody, posilić się mlekiem i chlebem, i czym ich tam miłosierni mogli ich poczęstować – tak sądzę.

Rozbita armia, to byli przecież ludzie, zwykle po ludzku zgłodniaли, wymęczeni, oczekujący ludzkiej też pomocy. Tak chyba było na każdej wojnie. Wypatrywali końca wędrówki, chociaż jako żołnierze nie mogli być pewni dobrego potraktowania nawet przez swoich, porzucili przecież broń. Nie wiedzieli, a ja dopiero później dowiedziałem się, że ich los był wtedy w dużej mierze już przesądzony. Kleszcze niemieckie, w postaci dwóch zagonów pancernych dowodzonych przez Guderiana i Hotha, wyprzedzając ruchy armii Pawłowa, zamknęły się już 27 czerwca w odległości ok. 75 km na wschód od Mińska. To strategiczne miasto zostało zajęte 29 czerwca, czyli niesłychanie szybko, już po tygodniu od rozpoczęcia

działań wojennych. 9 lipca niektóre niemieckie oddziały pancerne były już w połowie odległości do Moskwy. Ich ruch wstrzymało jednak na tydzień zarządzenie Hitlera, który uważał, że piechota nie nadąży za czołgami. Germańscy pancerniacy nie mogli tego zrozumieć, tracili przecież szansę na wykorzystanie impetu najazdu.



*Orientacyjny szkic kierunków działań wojennych w okresie 22 czerwca – 9 lipca 1941 r.*

Armia Pawłowa to były w rzeczywistości 4 armie liczące łącznie 672 tysiące żołnierzy, 2200 czołgów, 1200 samolotów. Tę armadę, rozłożoną w pasie o szerokości 450 km, nazwano Frontem Zachodnim i 21 czerwca przekazano pod dowództwo Dmitrijowi Pawłowowi, świeżo awansowanemu na stopień generała armii. Pawłow nie miał żadnego doświadczenia w dowodzeniu większymi jednostkami, a z krótkiego uczestnictwa w wojnie domowej w Hiszpanii wyniósł przeświadczenie o nie przydatności jednostek pancernych w działaniach ofensywnych. Obejmował dowództwo Frontem Zachodnim nie mając wiedzy o stanie wojsk i przygotowań po obu stronach linii demarkacyjnej. Stan niewiedzy pogłębiły niemieckie działania dezorientacyjne i dywersyjne. 22 czerwca Niemcy dysponowali przewagą liczbową, na linii demarkacyjnej mieli 4,3 mln. żołnierzy, wobec 3,3 mln żołnierzy ZSRR. Większą liczbą czołgów dysponował ZSRR – miał na linii zachodniej 4522 czołgi, gdy Niemcy przeszło dwa razy mniej – tylko 1936 czołgów, lecz lepiej wyposażonych, zwłaszcza w armaty i przyrządy celownicze. Wojska ZSRR, zwłaszcza pancerne, prawie nie miały łączności radiowej. Niemcy spodziewali się uderzenia wojsk ZSRR, i to właśnie na odcinku wybrzuszenia linii demarkacyjnej między Augustowem a Brześciem, gdyż wcześniej przy uzgadnianiu jej przebiegu zauważyli nalegania sowieckie na utworzenie tego workowatego wybrzuszenia naprzeciwko Białegostoku, Baranowicz i Mińska. Zatem Niemcy już wtedy spodziewali się, że ZSRR właśnie tam umieści większość wojska i materiału wojennego, i że to wszystko będzie łatwe do rozgromienia i zagarnięcia poprzez pancerne uderzenia oskrzydłujące. Była to zresztą najlepsza droga do uderzenia ku Moskwie.

W wyniku zaskoczenia armia Pawłowa została zamknięta w „kotle” – temu zamknięciu sprzyjała koncentracja masy wojsk tuż przy wytyczonej linii demarkacyjnej, w wąskim pasie o szerokości od 20 km do 80 km. Podobnie były skoncentrowane blisko granicy zapasy paliw pędnych i amunicja. Zapasy umieszczono głównie „na kołach”, przygotowane do szybkiego

transportu wobec planowanego „skoku na Zachód”. Dużą część amunicji bezsensownie skierowano na magazyn do twierdzy w Brześciu. Niemcy w szczególności znali rozmieszczenie wojsk i zapasów paliwa oraz amunicji, w rezultacie już po pierwszych szybkich natarciach armia Pawłowa została armią pieszą, prawie bez czołgów, pozbawioną dostępu do paliw i amunicji. Samoloty zostały zniszczone na lotniskach. Armia praktycznie przestała istnieć, jej pozostałości były „likwidowane” w kilku kotłach, największy nazywano „nowogródzkim” lub „mińskim”, inny „białostockim”. Operację nazwano „Bitwą mińsko-białostocką”. W jej wyniku w niewoli znalazło się około 300 tys. jeńców, z tej liczby około 2/3 zmarło w obozach rozmieszczonych w Mińsku i okolicach, z braku wyżywienia i złych warunków sanitarnych. Generał Dmitrij Pawłow po odwołaniu do Moskwy został jako jedyny z wyższych dowódców oskarżony o spowodowanie klęski przez nieudolność, i został 22 lipca rozstrzelany. Czytałem niedawno, że na zarządzenie skupienia wojsk tuż przy granicy należała generalicja ZSRR, w tym niedawny zwycięzca z nad Chałchin Goł Georgij Żukow. Nie wiem, czy tak istotnie było.

Początkowo Niemcy wypuszczali z obozów część jeńców do wsi, skąd pochodzili. Spotkałem taką grupę skrajnie wynędzniałych, wyniszczonych, półprzytomnych – ledwo idących ludzi. Zatrzymali się na noc u Czujków. Jeden z tej grupy zmarł w nocy, zapewne zjadł więcej, niż wolno gdy się jest w stanie skrajnego wygłodzenia. Ale niektórzy jeńcy, zwłaszcza ci jeszcze wcześniej wypuszczeni do wsi, którzy nawet do obozu jenieckiego nie zostali skierowani – takich też widywałem, mieli się całkiem dobrze. Byli użyteczni w gospodarce, często bardzo cenieni gdy ujawniali umiejętności rzemieślnicze. Jednak wkrótce – ale chyba dopiero z początkiem 1942 r. - zaczęto ich odwoływać, gdyż zaczęła się tworzyć partyzantka.

Tu powrócę do odłożonego wątku radia i zakupionej do niego baterii anodowej. Otóż, mniej więcej na trzeci dzień po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, gdy na trakcie z Derewna trwał nieprzerwanie exodus wycofujących się żołnierzy, na dziedzińcu szkoły pojawiła się grupa uzbrojonych sowietów, może 7 osób, w tym jedna kobieta, utykająca, bo była ranna, co zauważyłem, lub mi powiedziano. Ona też dźwigała karabin, a raczej karabinek, bo miał krótką lufę, zwano takie karabinami kawaleryjskimi. Wszyscy mieli taką samą broń, przy karabinkach były też bagnety, typowe rosyjskie, ale typu składanego wzdłuż lufy, co raczej było rzadkie. I zauważyłem, że wszystkie te karabinki były nie tylko identyczne, lecz i bardzo nowe, dlatego wyglądały i zgrabnie, i ładnie. Chyba świeżo wydano je z magazynu. Ja takie rzeczy zauważam w pierwszej kolejności, co chyba normalne. Było słoneczne przedpołudnie, broń w osadzie z jasnego drewna wyglądała pięknie. Ludzie też wyglądali dobrze, dość szczupli, o inteligentnych twarzach. W wieku ok. 40 lat, ubrani jednakowo w letnie mundury, ale takie uszyte bardziej starannie, niż dla zwykłych wojskowych. Od razu pomyślałem, że mogą to być oficerowie, może sztabowi, bo formułowali zdania starannie, krótko i rzeczowo, bez gadulstwa. Może to byli jednak NKWDziści? W nie swoich mundurach? Ich też cechuje pewna kultura mowy, chociaż często przesadnie staranna. Podeszedłem do tej niespodziewanej grupy, gdy już była zaangażowana w rozmowę z Ojcem. Rozmawiał z Ojcem jeden z nich, inni przysłuchiwali się w milczeniu, z pewnym dystansem. Dowiedziałem się, że chcą posłuchać radia. Ojciec stwierdził, że radio jest, ale nie jest zainstalowane, akumulator słaby, a najgorzej jest z baterią anodową, bo ona jest bardzo słaba. Jednak w końcu wyniósł im to radio szkolne, ustawił na stoliku przed szkołą – bo nie chcieli wejść do środka, a gdy wszyscy popijali wodę przyniesioną przeze mnie z naszej studni, główny rozmówca usiadł przy radiu i z widoczną wprawą zaczął dostrajać się do odbioru stacji – mimo braku fachowej anteny. Ale to był nowoczesny odbiornik Telefunken, dość czuły, odbierał fale radiowe bez anteny, na byle drucie. Nasz rozmówca po oświadczeniu, że interesują go wiadomości z Moskwy o postępach Niemców w Grecji, przeszukiwał jednak na skali wszystkie stacje, jakie się dało. W pewnym momencie oświadczył, że my nie umiemy używać tej baterii anodowej, bo ona jest dobra, tylko do sprzedaży jest dostarczana w stanie półsuchym i na początku trzeba do jej

ogniów dolać wody, a najlepiej słabego roztworu soli. Przez małe gumowe koreczki przy każdym ogniwie. Miał rację – istnienia tych koreczków w ogóle nie zauważyliśmy.

Przybysze posłuchali radia, chyba nie wiele się z niego dowiedzieli, i nie zwłócząc – poszli dalej. Widziałem, chociaż raczej domyślałem się, że oni nie chcą mieszać się, iść razem z tym częściowo już zdemoralizowanym tłumem żołnierskim, chociaż sami byli zapewne tak samo pozbawieni informacji, jak i inni. Przypuszczam, że to byli jacyś oficerowie, może taka komunistyczna elita? Ciekawe, jakie myśli krążyły wówczas w głowie generała Andreja Własowa. Teraz wiem, że on walczył wtedy nieco bardziej na południe, jeszcze przeciwko Niemcom, najpierw w obronie Lwowa, później Kijowa, następnie na przedpolach Moskwy. Wyróżniał się, był u Stalina, dwukrotnie otrzymał order Lenina, dowodził 2 Armią. Gdy dostał się do niewoli, podjął kolaborację z Niemcami, utworzył z jeńców armię do walki z bolszewizmem. W 1945 r. Amerykanie przekazali go Moskwie. Z wyroku sądu, za zdradę, został stracony przez powieszenie (powieszony na strunie fortepianowej, tak jak wieszano przeciwników Hitlera, by tak łatwo nie umierali).

### 22 lutego 2015 r.

Przyszła mi do głowy myśl, by zdać choćby w streszczeniu, co myśmy wiedzieli w Chotowie o tym, co się działo na arenie międzynarodowej po wybuchu wojny w 1939 roku. Otóż, poza wiadomością o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Wielką Brytanię i Francję 3 września, właściwie nie wiedzieliśmy nic. Polskie Radio zamilkło, Ojca jeszcze nie było, odbiornik radiowy nawet po wprowadzeniu się do szkoły nie został zainstalowany, gazety sowieckie pisały skapo i tylko to, „co trzeba”. Oczywiście, wiedzieliśmy jednak, że na początku żadnych działań wojennych nie było, wiadomo też było, że trzeba przetrwać, przeżyć. Przez gazety przesiąkały wprawdzie niektóre wieści, na przykład o niemieckich ekscesach antysemitycznych, ale skapo, jakby je tuszowano. Więc to, co niżej napiszę, podaję już tylko dla naszkicowania choćby niektórych wydarzeń, jakie się wtedy działy w dalszej okolicy i na świecie, o których jednak nic nie wiedzieliśmy - na tle wydarzeń bieżących w Chotowie.

Otóż, wiosną 1940 roku, właśnie wtedy, gdy rozpoczęły się i trwały rozstrzeliwania w Katyniu, o których nic nie wiedzieliśmy, Niemcy 10 maja najechały Francję, poprzez Holandię, Luksemburg i Belgię, omijając linie Maginota. 20 maja opór Francuzów został przełamany, nastąpił generalny odwrót pobitych oddziałów, w nieładzie. Oddziały alianckie zdążyły jednak, choć ze znacznymi stratami, ewakuować się do Anglii, przez Dunkierkę. 14 czerwca Niemcy zajmują Paryż. Wcześniej, 10 czerwca również Włochy wypowiadają wojnę Francji. 16 czerwca na czele rządu francuskiego staje Philips Petain. W wyniku rokowań Francja zostaje podzielona na część południową ze stolicą w Vichy, gdzie władzę ma sprawować (z pewnymi ograniczeniami) Petain, i na część północną okupowaną przez Niemców. Taki rozwój wojny był całkowitym zaskoczeniem, zwłaszcza dla strategów z francuskiego sztabu generalnego, starych generałów, którzy planowali wojnę pozycyjną o przebiegu identycznym z przebiegiem I Wojny Światowej. Mimo posiadania armii licznie dorównującej armii niemieckiej, Francja tę fazę wojny przegrała z kretesem, gdyż zarządzili starzy generałowie nie przewidujący ofensywnego zastosowania broni pancерnej. Francja była opóźniona w rozwoju techniki wojennej w ogóle, na przykład nawet dla dowództwa nie przewidziano łączności radiowej, meldunki i rozkazy miały być wysyłane „jak zwykle”, przez kurierów rowerowych. Honor Francuzów miała w przyszłości uratować organizacja „Wolnych Francuzów”, zawiązana przez generała Charles de Gaulle’a w Londynie. O tych, i dalszych wydarzeniach, dowiedzieliśmy się właściwie dopiero po wojnie.

Powracam do wydarzeń z końca czerwca 1941r. Tymczasem w Chotowie, mimo widocznej klęski wojsk ZSRR, niemieckich żołnierzy przez pewien czas - nawet dość długi, jeszcze nie widzieliśmy. Jednak dość szybko poznaliśmy wprowadzone przez niemieckie władze liczne



zarządzenia. Objawiły się w postaci kolorowych obwieszczeń, nalepionych na ściany domów na skrzyżowaniu dróg w Chotowie. Nie orientuję się, kto je nalepiał. Każdy nakaz, czy zakaz, kończył się groźbą kary, i wyłącznie kary śmierci – za brak subordynacji i podporządkowania się. Obok obwieszczeń były nalepiane plakaty propagandowe sławiące chwałę niemieckiej broni. Nie wiem, kto je nalepiał. Wkrótce jednak stało się wiadome, że zostało powołane w Iwieńcu Starostwo podporządkowane władzy niemieckiej w Mińsku, sprawowanej na terenie „Okregu Generalnego Białoruś” przez gauleitera Wilhelma Kube w imieniu Adolfa Hitlera. Na teren „Okregu Generalnego Ukraina” został podobnie powołany gauleiter Erich Koch.

Obaj gauleiterzy mieli identyczne uprawnienia, lecz Kube, w odróżnieniu od Kocha, miał nieco inne nastawienia co do sposobu prowadzenia polityki na terenie Białorusi, bowiem – co później stało się wiadome – dążył do pozyskania przychylności mieszkańców zarządzanych przez siebie terenów. Kube chciał pobudzić uczucia narodowe Białorusinów, być może liczył na utworzenie w przyszłości jakiejś formy białoruskiej państwowości pod egidą Niemiec. Pod rządami Kube zaczęto w Mińsku wydawać białoruskie nacjonalistyczne pisma i broszury, planowano też rozwinięcie szkolnictwa w języku białoruskim. Ponadto, Kube chciał zapobiec planowanej degradacji ekonomicznej zarządzanych terenów, dlatego nawet sprzeciwiał się, przynajmniej na początku, eksterminacji Żydów. Poczynania Kube nie znajdowały uznania ani w Berlinie, ani u lokalnych władz Policji, Gestapo i SS, formalnie mu podległych, lecz w praktyce zarządzanych centralnie i nastawionych na sprawowanie władzy wyłącznie w trybie represji.

W Chotowie i okolicy wejście Niemców objawiło się już w lipcu 1941 r. powołaniem – niby samorządnym – formacji zwanej Samoobroną. Do Samoobrony przystąpili ludzie kierujący się różnymi przesłankami. Często w ten sposób ujawniały się naturalne chęci młodych mężczyzn do jakiejś formy legalnego posiadania broni, przeżycia przygód i sprawowania władzy, obrony przed rabusiami i maruderami. Sądzę jednak, że główną rolę odegrały ujawniające się załączki organizacji patriotycznych, na terenie powiatu Iwieńca przede wszystkim Polskich, ale i Białoruskich też. Nie wiem, gdzie członkowie Samoobrony zbierali się – wydaje się, że na początku była to organizacja oparta jakby tylko na luźnym porozumieniu, sąsiedzko-towarzyskim, ale może się myłę. Może mieli punkt zebrań w Pałacu hr. Niezabitowskiego, może też próbowali utworzyć tam lokalny urząd administracyjny Niemcy. Tak sądzą, gdyż kiedyś po wyjściu z kościoła zaszedłem – to przecież blisko – na dziedziniec przy Pałacu. Ujrzałem z daleka zwisające z dachu wzdłuż kolumn Pałacu czerwone taśmy ze swastykami, zwykle wywieszali je triumfalnie Niemcy jako symbol swej państwowości. Więc może tam byli jednak wtedy jacyś Niemcy? By reaktywować to duże, wzorowe do niedawna gospodarstwo?

W tym roku (a z większym nasileniem w następnym) zaczęły dochodzić wieści o tajemniczych zabójstwach, zniknięciach różnych osób.

Pewnego razu, już mocno pod wieczór, przez Chotów, przejechała ciężarówka, co samo w sobie było wydarzeniem niezwykłym. Przejechała powoli, tak wolno, że mimo oddalenia i zapadającego mroku zdążyłem zauważyć stojących w skrzyni załadunkowej ludzi, niektórzy wydali mi się jakby znajomi. Później mówiono, że ciężarówką przewożono zbieranych we wsi i okolicy aktywistów uczestniczących w zakładaniu sielsowietu w Chotowie. Żaden z tych ludzi nie wrócił do Chotowa.

W Derewnie zastrzelono kilku (może czterech) członków Samoobrony, przy stole w czasie obiadu. Plotka głosiła, że zastrzelił ich przez uchylone drzwi – pojedynczymi strzałami ze zwykłego karabinu - miejscowy leśniczy Tarataj, niedawno przybyły ze Słonima. Nie znałem go, chociaż chyba przyszedł do szkoły, by zapisać dzieci. Obie jego córki uczęszczały do szkoły w Chotowie, jedna była w tej samej klasie co ja. Po wydarzeniu cała rodzina zniknęła. Mówiono po cichu, że był komunistą, ale w istocie niczego pewnego o nim nie wiedzano, przedtem plotkowano tylko, że córki jak na miejscowe obyczaje zbyt kuso się ubierają.

Wśród zabitych był Bolesław Soczyński. Znałem nieźle rodzinę Soczyńskich, bo ich willa stała osobno przy końcu drogi do kościoła i czasem tam zachodziłem. Soczyńscy byli uważani za zamożnych, przed wojną prowadzili w Słonimiu firmę autobusową. Wtedy chodziłem często do kościoła, bo uczyłem się ministrantury, a ponadto byłem pogrążony w rozważaniach nad duszami cierpiącymi w Czyśćcu, i modliłem się za nie. Na drugi dzień po zabójstwie w Derewnie poszedłem do Soczyńskich. Akurat zabitego przywieziono z Derewna i ułożono w domu na zaimprovizowanym katafalku. Wyciekało dużo krwi, to było potężne chłopisko, dwukrotnie zmieniano podstawioną miednicę. Widziałem, stojąc z kilkunastoma innymi w drzwiach dużego pokoju, gdzie był ustawiony katafalk, jak Ojciec Bolesława z kamienną twarzą zabrał się do zmiany przemokniętej krwią marynarki na ciele syna. Jednym gwałtownym ruchem rozdarł wyciągniętą z szafy nową marynarkę na dwie części, i wciągnął je na ciało Syna. To był pierwszy zabity, jakiego widziałem. Wiedziałem dużo o jego życiu, niekoniecznie przyzwoitym, narzekały na niego okoliczne dziewczyny. Zacząłem modlić się za jego duszę, każdego wieczoru. W późniejszych czasach – ale już niedługo, miałem powody częstsze modlić się za innych znajomych, takich, którzy utracili życie w sposób podobnie gwałtowny.

Ojciec przypominał sobie, że wśród nakazów zagrożonych karą śmierci był nakaz oddania władzom posiadanych odbiorników radiowych. W Chotowie dotyczyło to tylko nas. Ojciec zapakował starannie, i zaniósł gdzie trzeba było, tylko jeden odbiornik, ten zakupiony dla szkoły, uważając, że to wystarczy. Ten szkolny odbiornik, jako nowy, jeszcze nie był zarejestrowany na pocztę. Ojciec uważał, że nasz własny odbiornik, ten firmy Elektrit, który był na pocztę zarejestrowany, uda się w ukryciu na strychu szkoły przechować. Jednak po pewnym czasie, po namyśle zmienił zdanie, ale to już było grubo po nakazanym terminie zwrotu odbiorników. Postanowił tedy rozebrać odbiornik na części i przechować w osobnych częściach. Rozbieraliśmy ze smutkiem odbiornik Elektrit razem – dużo wtedy się nauczyłem, poznałem, z czego się radio składa. Były to jednak wiadomości powierzchowne, Ojciec wielu spraw nie umiał wytłumaczyć, i ja to dostrzegałem. A sam pomysł przechowywania radia w częściach nie był mądry, mógł być groźny w skutkach. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że nie tylko Niemcy, ale i późniejsi partyzanci sowieccy mogli nas posądzić o szpiegostwo i bez namysłu rozstrzelać. Byliśmy przecież w Chotowie bardzo widoczni, jakby na świeczniku.

Jakoś się stało, że Samoobronę jednolicie umundurowano, przeniesiono do Iwieńca i próbowano nazywać Policją Białoruską. Tej pejoratywnej nazwy u nas jednak nie używano, może nawet z początku była i nieznana, gdyż w Iwieńcu początkowo w ok. 80 % w Samoobronie byli Polacy, należący w konspiracji do AK. Jestem pewien, że Iwienieccy Polacy nie zamierzali kolaborować z Niemcami, ich celem było odtworzenie na naszym terenie polskiej organizacji wojskowej, własnej i podporządkowanej ZWZ, a z czasem AK. To się jednak nie bardzo im udawało, mimo wywołania w Iwieńcu powstania w 1943 r. Opowiem nieco później, co wiem – co chyba wszyscy powinniśmy wiedzieć o historii pewnych wydarzeń, w swym tragicznym biegu zakończonych klęską w walce z Niemcami pod Jaktorowem w 1944 r.

Obecnie jednak wznowię – na krótko – i tylko wątek próby przekształcania Iwienieckiej Samoobrony w typową formację Białoruskiej Policji, bowiem wiąże się on ściśle z zagładą ludności żydowskiej. Bo głównie do realizacji tego celu, obok zadań pełnienia funkcji policyjnych i wartowniczych pod ścisłym nadzorem i dowództwem niemieckim, nawet pod komendami wydawanymi przez Niemców i w języku niemieckim, takie skrajnie nacjonalistyczne lokalne formacje wszędzie były powoływane.

Białoruska Policja nie ma dobrej opinii, jej tworzenie zapoczątkowało się jeszcze przed rozpoczęciem konfliktu niemiecko-sowieckiego, na polskich wschodnich terenach

okupowanych przez Niemcy. Była rozwijana na bazie Białoruskiego Plutonu Szturmowego powstałego wcześniej z inspiracji Abwehry. Główną osobą, wokół której tworzone kolaborującą z Niemcami Policję Białoruską, stał się białoruski działacz Franciszek Kuszal, w przeszłości kapitan Wojska Polskiego, przez niemieckie władze awansowany do stopnia majora.

Główne i największe na okupowanych terenach ZSRR getto żydowskie, założone w Mińsku już w lipcu 1941 r., zostało ostatecznie zlikwidowane w październiku 1943 r., mimo podjęcia produkcji na potrzeby armii niemieckiej. Do getta, liczącego na początku 100 tys. osób, dowożono, podobno wbrew gauleiterowi Kube, ludność żydowską z dalekich okolic, nawet z Hamburga (wg niepewnych ocen, od 25 tys. do 80 tys. osób). Getto doświadczyło kilkunastu pogromów, największe były w listopadzie 1941 r. W lipcu 1942 r. w Mińskim getcie było już tylko 10 tys. Żydów zarejestrowanych jako osoby pracujące.

Chociaż nie można powiedzieć, że Białoruska Policja była główną sprawczynią likwidacji gett żydowskich na terenie Białorusi, to jednak wiadomo, że likwidację Mińskiego getta, przez rozstrzeliwanie na miejscu, przeprowadziła niemiecka służba bezpieczeństwa wykorzystując 26 Pułk Policji z Białegostoku oraz osławiony 13 Białoruski Batalion, który zaczęto formować w grudniu 1942 r. W połowie 1943 r. Batalion osiągnął liczebność 400 ludzi, a 1000 pod koniec tego roku. Został podzielony na dwie kompanie, którymi dowodzili ppor. Mazur i ppor. Orsicz. Oficerem propagandowym był por. Czebotarewicz. Komendy wydawano w języku białoruskim, lecz całością Batalionu dowodzili wyłącznie Niemcy, z asystą majora Kuszala. W maju 1943 r. 13 Białoruski Batalion wziął udział w akcjach przeciw partyzantom, odznaczył się i został inkorporowany do niemieckiej służby bezpieczeństwa, określanej skrótem SD. W październiku 1943 r. wraz z 26 Pułkiem Policji z Białegostoku przeprowadził akcję ostatecznej likwidacji getta w Mińsku.

W późniejszym czasie, po kolejnym wycofaniu w 1944 r. do Augustowa i Ciechanowa, określany Białoruskim Batalionem SS i włączony do ROA, uczestniczył w tłumieniu Powstania w Warszawie. Jednak w owym czasie liczebność Batalionu już znacznie zmalała, w wyniku około 150 dezercji. W początkowym okresie dowódca jednej kompanii por. Mazur, niezgodny z Niemcami w kwestii dowodzenia, został odwołany do Berlina na szkolenie. Widocznie w gmachu SD pozbawiono go złudzeń, zapewne i życia, bo zniknął – na zawsze.

Skoro już tak wybiegłem w relacjach do przodu, to wypada zaznaczyć, że wspomniany gauleiter Wilhelm Kube został zgładzony w nocy z 22 na 23 września 1943 r., w Mińsku, wybuchem miny podłożonej w jego łóżku. Podano, że zamachu dokonali agenci Moskwy, lecz plotki uporczywie głosiły, że zamachu dokonał niemiecki aparat wojskowo-policyjny, będący w konflikcie z Kube na tle jego dążeń do pobudzenia nacjonalizmu białoruskiego.

Nie znającym Historii przypominam, że oddalony tylko o 75 km Mińsk nie znajdował się w granicach Państwa Polskiego. Będąc blisko, w 1939 r. znaleźliśmy się w granicach ZSRR.

#### **Niedziela, 1 marca 2015 r.**

Przedwczoraj, 27 lutego, zastrzelono w Moskwie Borisa Niemcowa, byłego wicepremiera z czasów jeszcze Jelcyna. Przeciwnika od lat Putina i jego polityki wojennej, zwolennika zmian demokratycznych. Zastrzelono go tuż po 23, blisko Kremla, na Moskwoieckim Spuskie. Znam ten most, gdy byłem w hotelu Rossija – to też blisko – prawie naprzeciwko Kremla – ale w bok, to przez ten most chodziłem zwiedzać Galerię Trietiakową. Niemcow był znany, co więcej – był lubiany, zbierają się tłumy z kwiatami, z fotografiami, napisami, ze łzami zapalają lampki żałobne. Pogrzeb we wtorek. Putin przekazał kondolencje Matce Niemcowa. Strzelano sześć razy, dostał w plecy cztery pociski. Był z przyjaciółką, ukraińską modelką Anną Duricką, która czekała na umówione spotkanie godzinę w znanym magazynie GUM.

Pora opowiedzieć o tym, co się działo w Chotowie i u nas w rodzinie w końcu 1941 roku, z nadejściem zimy i 1942 roku. Nastąpiły trudniejsze czasy, bo w Chotowie – jak i gdzie

indziej, szkoła nie została otwarta, chociaż początkowo władze białoruskie, w rzeczywistości okupacyjne niemieckie, przekazywały jakieś plany, gazetki i broszury. Nie otwarcie szkoły, jakiegokolwiek, wynikało z załamywania się koncepcji Kube powołania rządu białoruskiego choćby marionetkowego, z niepowodzeń wojennych i – zwłaszcza – z narastania partyzantki. Przejściowa niepewność trwała krótko. Rodzice nie otrzymywali pensji nauczycielskich, wiedzieliśmy więc, że musimy dać sobie radę sami. I dawaliśmy radę, już byliśmy wdrożeni do korzystania z dobrodziejstw naszej rolniczej działalności. Podobnie było w całym Chotowie, który wprawdzie musiał złożyć wyznaczona daninę w postaci dostawy do Iwieńca określonych produktów żywnościowych, ale – jak się wydaje - tymczasem nie było to dla wsi bardzo dotkliwe. Zwłaszcza, że wystąpiły pewne zjawiska, same w sobie niekorzystne, ale w pewnym sensie kompensujące wcześniejsze niemożności zakupu jakichkolwiek towarów użytkowych w sklepach. Wieś, chyba wszystkie wsie po „polskiej” stronie granicy, zostały już na jesieni, a później zimą, „najebrane” masowo przez mieszkańców drugiej strony granicy. Była niedaleko. Tam występowały wszystkie trudności, jakie mogły wynikać z nagłego upadku gospodarki kołchozowej, czyli niemożności zbierania plonów rolnych i uprawiania ziemi w czasie wojny. Ani koni, ani traktorów już nie mieli, nie stała już za rolnictwem żadna organizacja społeczna, ani ta państwowa, wymuszająca dotychczas każdą formę działalności w postaci kolektywnej. Ci ludzie, często głodujący, przywozili ze sobą wszystkie rzeczy jakie tylko mogli, by je wymienić na żywność, przede wszystkim na słoninę, ale również na alkohol. Z tej strony istniał popyt głównie na sól, oraz na tkaniny, buty i ubiory. Orientacyjnie, za kilogram soli płacono kilogramem słoniny, obie strony były zadowolone. Ten rodzaj „wymiany” nie trwał długo, istotne były trudności komunikacyjne, ponadto - zaczęły się mnożyć wiadomości o rabunkowych najazdach „kołchoźników”.

My mieszkający w szkole nie uczestniczyliśmy w „wymianie” towarowej. Mieliśmy jednak podobne problemy, trzeba było utrzymać się na powierzchni życia korzystając z naszych dotychczasowych możliwości. Nie było skrajnie źle, tylko trudno. Na przykład zdarzyło się, że na Wigilię podstawowym daniem były ziemniaki w mundurkach, oraz mleko. Zimą nie mieliśmy już zapewnionych dla szkoły przez sielsowiet dostaw drewna opałowego, bo już sielsowietu nie było. Ale potrzeby były – więc razem z Ojcem piłowaliśmy kłoc drewna, najczęściej surowego. Od tamtych czasów wolę kłoc drewna rąbać siekierą, nawet gdy są duże i sękaty, niż piłować piłą ręczną. Piłowanie drewna bardziej mnie męczyło, niż rżnięcie sieczki. Nie byłem cherlawy – ale miałem tylko 11½ lat. A chciałem dorównać, ciągnąc piłę, Ojczymowi stojącemu z drugiej strony – piłowaliśmy zwykłą piłą dwuosobową, która w surowych pniach łatwo się zakleszczała. Ząbki powinno się odpowiednio „nastawiać”, czyli - rozszerzać przy ostrzeniu piły – a my tego nie potrafiliśmy dobrze zrobić, to trzeba „umieć”.

W tym czasie nie mieliśmy już pary prosiaczków, które wyrosły na całkiem spore sztuki. Bo trzeba było z nimi zrobić to, co zwykle ludzie robią, i to zrobić w trybie przyspieszonym, za radą lokalnego weterynarza, który je obejrzał. Zdradzały początki jakiejś choroby, trzeba było się spieszyć. Łzy się otarło, trudno – nie patrzyłem.

Zima przeszła, wszystko działo się w trybie niby już ustalonym w poprzednim roku. Jednak zauważyłem – chociaż teraz rzadziej chodziłem po chałupach - że już nie ma znanych mi, rozmieszczonych we wsi jeńców, dotychczas wygrzewających się na piecach. A któregoś wieczoru, jakoś tak na początku lata, przy dopiero zapadającym mroku dostrzegłem grupę kilkunastu ludzi przeciągającą łąkami, niby jakiś oddział. Bo właśnie po zimie 1941/42 zaczynała się partyzantka. Słyszało się też sporo, i to wcześniej, o bandach rabunkowych.

**Piątek, 6 marca 2015 r.**

Prawie tydzień nie piszę. Odbył się pogrzeb Borysa Niemcowa – tłumy, naręcza kwiatów. Wczoraj Putin stwierdził w rozmowie z Premierem Włoch, że już na Ukrainie nie giną ludzie. Z CBW (Centr. Biblioteka Wojskowa) otrzymałem wyciąg ze Słownika Biograficznego dotyczący Marii Piłowskiej, z Jej fotografią, oraz dwustronicowy tekst z Działu Urzędowego



Dziennika Personalnego Nr.1 z 4 stycznia 1923 r., z postanowieniem Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza nadania Jej Orderu Krzyża Virtuti Militari V klasy (srebrnego) o numerze 7614 za wojnę 1920 roku. To mi już w zasadzie wystarcza do wszczęcia starań o odtworzenie pierwotnej wersji tablicy honorowej w hollu Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy. Napisałem więc i wysłałem dwa pisma do Dyrekcji Biblioteki (jedno zwykłą drogą pocztową za pokwitowaniem). Jeszcze trzeba zwrócić się do CAW (Centr. Archiwum Wojskowe) o przysłanie kopii oficjalnej wersji uzasadnienia wniosku o nadanie Orderu VM, i jeszcze do podobnego Archiwum Pomorskiej AK oraz Wojskowej Służby Kobiet, o kopie dokumentów dotyczących służby Marii Pigłowskiej.

Wczoraj składaliśmy życzenia, telefonicznie, Andrzejowi Dobrzańskiemu, bo wyznał że ze smutkiem pociąga Martini, z okazji 86 rocznicy urodzin. Też pociągnęliśmy Stocka z tej okazji. Basia w drodze z Ewą na konsultacje w sprawie naświetlania. Jest dziś okropna mgła. *W nocy, nad ranem, z dziwnego aparatu z talerzową anteną telefonowałem do Doroty, na Księżyc. Bo Ona właśnie wybrała się tam samotnie. W rozmowie stwierdziła, że czuje się dobrze, i że widzi kwiaty, dziwnie rozkwitnięte tuż nad powierzchnią, nie tak jak u nas na Ziemi. I że dziwne są też ptaki. Zaniepokoiłem się, ale spokojnym głosem poradziłem, by podejmowała kolejne decyzje racjonalnie i by już niedługo, gdy wszystko załatwi, wracała już spokojnie na Ziemię. Bo to, że jest pierwszym Człowiekiem samotnie przybyłym na Księżyc, samo w sobie jest ogromnym wyczynem. Po czym, mocno zaniepokojony, raptownie obudziłem się. W innym przypadku – opowiem w skrócie – dźwigałem ogromną belkę na ramionach, chcąc dogonić kolumnę wozów konnych na leśnej drodze – co się nie udało. Gdy się obudziłem, bardzo mnie bolały plecy i zwłaszcza kręgosłup – przespałem więc cały dzień.* Mając takie sensacyjne wydarzenia, przypadki, trudno mi jeszcze coś innego opisywać.

#### **Piątek, 13 marca 2015 r.**

Znowu tydzień nie pisałem. Dolegliwości, między innymi – opuchnięcia nóg, od siedzenie i nie chodzenia. Krwinki w moczu, ból brzucha. Niechęć do czegokolwiek, chęć do spania. A jednak napisałem i wysłałem listy do CAW i do Archiwum Pomorskiej AK i Służby Wojskowej Kobiet (placówka fundacji Generała Elżbiety Zawackiej, jedynej kobiety wśród Cichociemnych). I właśnie już otrzymałem z Torunia kopie dokumentów do wniosku o VM. Wprawdzie niektóre to ręcznie pisane brudnopisy, ale to oryginały, w pełni czytelne.

#### **Środa, 18 marca 2015 r.**

Przysły porządnie skserowane dokumenty z CAW, w teczce z emblematem Archiwum. Nareszcie mam fotografię Ciotki, jest na pierwszej stronie kwestionariusza. Zamieszczam ją niżej, przeniósłem też do części pierwszej wspomnień, by była w gronie rodzinnych zdjęć.



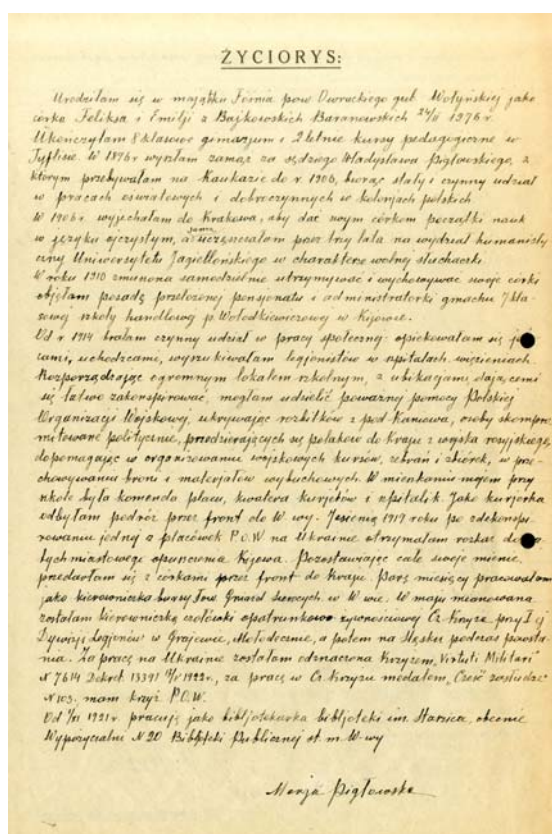
Maria Pigłowska z  
Baranowskich (1876-1942)  
Kawaler Orderu Virtuti Militari  
za zasługi w Wojnie 1920 roku.

Nadanie Orderu nr 7614  
Dekretem 13391 z 17.V 1922 r.  
wydanym przez Naczelnego  
Wodza.

Fotografia z kwestionariusza CAW  
(przysłanego 18.03.2015).

Dowiedziałem się z dokumentów, że Ciotka Pigłowska przenosząc trzykrotnie przez linię frontu meldunki forsowała Stochód brodząc po pas w tej rzece, rozlanej szeroko, na 500 m, jeden raz z córką Wandą, też kurierką. Wanda za swoje wyczyny w POW otrzymała trzykrotnie Krzyż Walecznych. Młodsza Zofia też była kurierką, na zasięg lokalny. Obie, Wanda i Zosia, były formalnie-metrykalnie moimi siostrami ciotecznymi, tylko urodziły się o 30 lat wcześniej.

Przedstawiam niżej własnoręczny życiorys Ciotki Maryni, napisany w związku ze staraniami o pracę w dziedzinie Bibliotekarstwa, po epizodach Wojny 1920 roku, oraz nadesłane z CAW informacje o udziale w III Powstaniu Śląskim, gdy kierowała czołowąką opatrunkowo-zaopatrzeniową 1 Dywizji Piechoty Legionów. Dokumenty te, a mam też inne, można łatwo odczytać przy zastosowaniu powiększenia.



PIGŁOWSKA Maria z d. BARANOWSKA (1876?-?), członkini KN III POW w Kijowie, kurierka do ND WP w Warszawie, uczestniczka wojny polsko-bolszewickiej w czołowej opatrunkowo-żywnościowej 1 Dywizji Piechoty Legionów, następnie III powstania śląskiego, po wojnie bibliotekarka

Maria Baranowska urodziła się 24 II 1876 w rodzinnym majątku Fuśnia, pow. Owruc w Wołyniu w rodzinie Feliksa i Emilii Baranowskich (według niektórych źródeł to matka była z d. Baranowska). Ukończyła państwowe gimnazjum, następnie w 1896 kurs pedagogiczny. Wyszła za mąż za Pigłowskiego (imię nieznane) i przez dziewięć lat przebywała na Kaukazie, uczestnicząc w pracach społeczno-oświatowych polskich organizacji dobroczynnych. Tam urodziła córki Wandę i Zofię. Po śmierci męża zamieszkała w 1910 w Kijowie, prowadząc internat Żeńskiej Szkoły Handlowej Włodkiewiczowej. Działała także w Związku Osadników.

Po wybuchu I wojny światowej Maria zaangażowała się w działalność niepodległościową w Kijowie. Zajmowała się dostarczaniem żywności i ubrań jeńcom Polakom, pomagając im również w organizowaniu ucieczek. Zimą 1915-1916 lokal internatu i znajdujące się w nim mieszkanie Marii zostały oddane na usługi KN III POW - odbywał się tu kurs wywiadowczy, podoficerski i radiotelegraficzny. Maria udzielała także schronienia członkom POW. W ramach POW ukończyła kurs podoficerski. Po bitwie pod Kaniowem w maju 1918 i rozbrojeniu II Korpusu Polskiego gen. J. Hallera rozciągała opiekę nad legionistami, wspierając ich materialnie i udzielając im schronienia. Pensjonat jej stał się konspiracyjną kwaterą POW, znajdowała się tu komenda placu, etap kurierów, skład broni i amunicji. W listopadzie 1918 Maria rozwoziła rozkazy mobilizacyjne płk. L. Lisa-Kuli, Komendanta Naczelnego KN III POW Kijów. Prowadziła akcję wśród polskiego społeczeństwa, zdobywając pieniądze na działalność POW. I. Ziemiański tak o niej napisał: Nie zwalając na niebezpieczeństwo [...] przechowyje w swoim domu broń, amunicję, aparaty telegraficzne, radiostację. Podczas odprawy, do mieszkania wtargnęli agenci Czecha, celem dokonania rewizji. Ob. P. [...] zamyka na klucz pokój, gdzie odbywa się odprawa i oświadcza agentom, że w domu jest dziecko chore na tyfus [...] Czerwonoarmieści szybko odchodzą, zostawiając zaświadczenie o dokonaniu rewizji i niezalezieniu niczego podejrzanego. Przy późniejszych rewizjach ob. P. zaskania się otrzymanym zaświadczeniem. W kwietniu 1919 po „wysypie” KN III POW kwatera w mieszkaniu Marii została zlikwidowana, a ona sama, „spalona” w Kijowie, zgłosiła się do pracy kurierskiej i w czerwcu oraz sierpniu 1919 odbyła trzy wyprawy do ND WP w Warszawie, przekraczając front polsko-bolszewicki pod Kofkami w rozlewie rzeki Stochód. We wrześniu 1919 przeniosła się do Fuśni na Wołyniu, a stamtąd ponownie wyjechała do Warszawy w chłopskim przebraniu. W czasie wojny polsko-bolszewickiej kierowała czołowąką opatrunkowo-żywnościową przy 1 Dywizji Piechoty Legionów. Brała też udział w III powstaniu śląskim.

Maria Pigłowska Dekretem Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza z 17 V 1922 (Adj. Gen. L. 13391) została odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Wirtuti Militari z nr. Krzyża 7614. Nadanie zostało opublikowane w Dz. Pers. MSWojsk. Nr 1 z dn. 4 I 1923. We wniosku odznaczonym z 6 VII 1921 czytamy: Ob. Pigłowska Maria [...] była jedną z najczynniejszych naszych członkiń. Zawsze świeciła przykładem męstwa, hartu ducha i całkowitego poświęcenia się sprawie [...] Dzięki działalności swej w POW traciła całe swe mienie i swojej rodziny, które jej skorfakowano. Później została także odznaczona Brązowym Medalem Polskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża oraz [Krzyżem] N[iepodległości] z M[iejscami] (1935).



Jedyna zachowana w aktach Biblioteki m. Warszawy fotografia mojej Ciotki Marii Pigłowskiej. Inne fotografie zostały w widoczny sposób z akt usunięte, może ze względów konspiracyjnych. Odwrócona postać Ciotki jest widoczna w głębi wypożyczalni książek, twarzy nie widać. Informację o zachowaniu akt Ciotki Maryni przekazał mi Pan Piotr Marcinkowski, bibliotekarz z Biblioteki na Koszykowej, za pośrednictwem Pani Beaty Niewiadomskiej z Antykwariatu Troszkiewiczów. Odszukaniem i skopiowaniem tych akt zajęła się ofiarnie Pani Wioletta Guzek z Archiwum Biblioteki. Tym bardzo Szanownym Osobom serdecznie dziękuję.

Niestety, nie zdobyłem się na poszukiwanie informacji o innych krewnych mojej rodziny – zbyt późno i niespodziewanie, choć przecież szczęśliwie, otworzyły się tylko możliwości uzyskania kopii dokumentów Ciotki Maryni Pigłowskiej, ocalałych w Archiwum Biblioteki Miejskiej przy ul. Koszykowej. Dysponuję jednak nie podpisanym listem kondolencyjnym, w którym określono rok zgonu Ciotki (1942). Nie wiem, czy jest prawdziwy.

#### **Czwartek, 2 kwietnia 2015 r.**

Dziś pamiętna rocznica zgonu Jana Pawła II. To już 10 lat minęła! A ile się zmieniło. A co się wcale nie zmieniło, lub mało, chociaż powinno. W mediach popisują się różni mądrale. Popisują się na ogół odważnie „krytycyzmem”. Na przykład teolog i były jezuita Stanisław Obirek wygłasza: „nie znajduję w pismach Jana Pawła II oryginalnych myśli”.

Trzy dni temu ogłoszono wyrok sądu wobec Mariusza Kamińskiego, b. szefa CBA – 3 lata bezwzględnego więzienia za nadużycie władzy w aferze „odrobniania” gruntów, zakończonej śmiercią samobójczą Leppera. Dla podwładnych Kamińskiego – wyroki podobne. To istotna nowość w naszym sądownictwie, dotychczas takie afery „przedawniały się”, a jest ich sporo.

#### **Wszystkie nasze grzechy...**

#### **Wielki Piątek, 3 kwietnia 2015 r.**

Doniosły media, że Ekscelencja biskup pomocniczy Archidiecezji Warszawskiej Piotr Jarecki powraca do pełnienia obowiązków duszpasterskich, po dwuletnim zawieszeniu, związanym z uderzeniem w latarnię na ul. Bolesć w Warszawie 20 października 2012 r. ok. godziny 14, gdy prowadził samochód mając w organizmie ponad 2,6 ‰ alkoholu. Decyzję ogłosił Kardynał Kazimierz Nycz, powołując się na komunikat Nuncjusza Apostolskiego Celestino Migliore.

Piosenkarka Natalia Arnal, która prowadząc samochód uderzyła w bok Mercedesa BOR z Prezydentem RP, za co została sędownie ukarana mandatem 600 zł, czuje się skrzywdzona, co oznajmia w liście otwartym skierowanym do Prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Spływają nowe doniesienia o zatrzymaniach wielu osób, w związku z aferami w parabankowych instytucjach działających szereg lat bez rzetelnego nadzoru Państwa, oraz o oszacowaniu poniesionych strat klientów tych instytucji: w aferze Amber Gold – 851 mln. zł, w aferze w spółdzielczym systemie oszczędnościowo-kredytowym SKOK im. Św. Jana z Kąt – ponad 3,2 mld. zł. Systemowi SKOK prezesował Senator Grzegorz Bierecki. Pieniądze przeciekły do prywatnej spółki Senatorskiej i kieszeni kilku innych sprytnych biznesmenów.

Wracam do wydarzeń w Chotowie, do 1942 roku. Sporo nie pisałem, trudno zacząć – na przyszłość nauczka, by nie przerywać rozpamiętywania, pisanie. Traci się nie tylko poczucie ciągłości, lecz i wrażliwość, potrzebną przy odtwarzaniu wstecz klimatu biegu dawnych rzeczy. Wrażliwość jest szczególnie potrzebna przy rekonstruowaniu pamięci wydarzeń dziejących się szybko i zwykle nakładających się na siebie, a dlatego niepewnie zapamiętywanych. Właśnie taki okres mam do opisanie – od zimy 1941/42 do zimy 1942/43, a następnie do lata 1944 r. Kolejne 1945 r. będzie prościej wspominać, to powrót do Kraju.

Właściwie zimę 1941/42 to już wcześniej opisałem – grzejących się na wiejskich piecach jeńców, szczęśliwych że nie trafili do obozu jenieckiego. W których najpóźniej po kilku tygodniach by zmarli. Ci, którym udało się zostać we wsi – znikli. Odnajdywali się stopniowo w oddziałach partyzanckich, lub w bandach rabunkowych. Raczej nie przenikali na wschód, bo tam było głodno. Ostoją partyzantki – wszelakiej – była Puszcza Nalibocka, z zaopatrzeniem z okolicznych wsi.

My (to znaczy nasza rodzina) zwróciliśmy się całkowicie ku zagospodarowaniu naszej działki szkolnej, bo przecież mimo początkowych zapowiedzi otwarcia szkoły narodowo-białoruskiej, żadnej szkoły nie otwarto. I - zresztą - nie można by było otworzyć, ze względu na rosnące nasycenie partyzantką sowiecką. Wszystko się zmieniło, i zmieniało się nadal w



jednym kierunku. Wiosną i latem 1942 r. zapoczątkował się i utrwał co raz bardziej następujący układ sił – w terenie rządziła bezwzględnie rosnącą w siłę partyzantka, początkowo wyłącznie sowiecka, natomiast w Iwieńcu usadowili się Niemcy, wzmocnieni siłami Policji Białoruskiej, i z czasem Łotyszami w niemieckich mundurach. Niemcy zdawali sobie bowiem sprawę z tego, że ta część Policji która została zwербowana w Iwieńcu i okolicach, składa się niemal wyłącznie z etnicznych Polaków, którzy mimo anty-sowieckiego nastawienia może nie zechcą uczestniczyć w typowych niemieckich represyjnych akcjach policyjnych. Dlatego ściągano do Iwieńca również bardziej pewnych policjantów zwербowanych na terenach północno-wschodnich, daleko poza granicami Polski z 1939 r. Te posiłki nie były duże, szacuje się je na ok. 200 osób. Zresztą, początkowo na większe akcje typu policyjnego nie zanosilo się, w okolicy było jeszcze dość spokojnie. Niemcom jednak zależało na utrzymaniu w Iwieńcu garnizonu dostatecznie silnego ze względu na ochronę organizowanego ośrodka szpitalno-rehabilitacyjnego dla lotników. Dlatego mieli w Iwieńcu również silną radiostację, zapewniającą możliwość szybkiego wezwania dodatkowych posiłków z nieodległego Mińska.

W 1942 r. równowaga sił objawiała się głównie ściąganiem zarządzanych przez Niemców pewnych kontyngentów aprowizacyjnych, z dostawą bezpośrednio do Iwieńca, oraz równoległą rekwizycją przeprowadzaną przez oddziały partyzanckie – na razie nieliczne, i w Chotowie jeszcze nie często widywane. Partyzantka bowiem w 1942 r. dopiero się organizowała, dopiero zaczęto tworzyć tabory, więc zabierano przede wszystkim konie z wozami, w zimie sanie, oczywiście wypełnione produktami żywnościowymi, ale również narzędziami potrzebnymi do budowania ziemianek w lasach, oraz sprzętem, ubraniami i wszelakimi rzeczami niezbędnymi do mieszkania. Wkrótce znaczną część zabieranych dóbr zaczęto wywozić przez niedaleką linię dawnej granicy Państwa na tereny kolchozowe, o marnej i przedtem, a teraz całkowicie nieefektywnej działalności rolniczej. Rekwizycję przeprowadzały również grupy partyzantki żydowskiej, zorientowanej głównie na biologiczne przetrwanie. Wszystkie te rekwizycje były w istocie bezwzględnym rabunkiem, z katastroficznymi perspektywami. Bowiem w rezultacie narastającego braku koni uprawianie ziemi stawało się coraz trudniejsze. Bezwzględny zabór koni, produktów rolnych, bydła i trzody chlewnej spowodował widmo głodu, na tych terenach nie doznawanego realnie od kilkudziesięciu lat. Przy tym rekwizycje ciągle rosły, bo partyzantka ciągle powiększała się. Ocenia się, że w samej Puszczy Nalibockiej liczebność oddziałów partyzanckich wzrosła z 10 tys. w 1942 r., do 20 tysięcy w 1943 r. Sądzę, że mogło być ich znacznie więcej, przez sam Chotów w 1943 r. przejeżdżały niemal codziennie – czasem stacjonowały - tabory o liczebności ponad 700-800 osób.

Ale były i takie małe grupy, raczej typowo rabunkowe, drapieżne, o liczebności np. do 30-50 osób – te rabowały wszystko, co tylko miało jakąkolwiek wartość wymienną.

Nasza sytuacja w Chotowie była szczególna – nawiedzający nas „ludzie z bronią” dość szybko orientowali się, że u nas – „nauczycieli” - zdobyć można niewiele, bo prowadzimy gospodarkę na granicy egzystencji. Więc odosobnioną nieco szkołę i nasze w niej mieszkanie nawiedzali rzadko, raczej tylko dla inspekcji, kto w niej mieszka. Lecz i po takiej „inspekcji” zdarzało się zauważyć, że czegoś w domu brakuje – pierwszym łupem stała się skórzana kurtka Ojczyrna, nie taka znowu porządna, innym razem zabrakło poduszki. Ja przemysłnie zawsze miałem schowane obie nasze siekiery i piłę, oraz łopaty – te zabierano od razu. Naszym dręczącym problemem była Podłasa, bo krów zaczynało we wsi brakować. Niemcy zawsze domagali się dostawy cieląt, partyzanci zabierali przede wszystkim krowy i świnie. Ale tym czasem nasza Podłasa była w odosobnionej, nie rzucającej się w oczy oborze, nie wyróżniającej się z pomiędzy dużych stert poszarzałych desek i belek pozostałych po budowie szkoły. A na teren otwarty była wyprowadzana tylko w nocy.

Mieliśmy jednak i przykłady „honorowej” elegancji, wtedy, gdy odwiedzali nas dowódcy oddziałów partyzanckich. Ci nie zajmowali się osobiście rabowaniem, chociaż rekwizycja dokonywała się oczywiście z ich wiedzą i na ich polecenie. Pamiętam odwiedzinę późną jesienią 1942 r. dużego oddziału, którego część, w tym dowódca, weszli nie tylko na teren szkoły, lecz i do wnętrza. Zastanawiali się chyba, jakie części budynku i wyposażenia mogą być wykorzystane przy budowie ziemianek i innych schronisk w Puszczy. Stało na tym, że jednak tylko blacha z dachu i blaszane rynny. Niezwłocznie kilkanaście osób sprowadziło drabiny i przystąpiło do zrywania ocynkowanej blachy z części dachu, i do odbijania rynien – wszystkich rynien, z pominięciem jednak dwóch, które były przy naszej mieszkalnej części budynku. Rynny odbijano pospiesznie, byle jak – uderzeniami karabinowych kolb, nie troszcząc się o uszkodzenia – ani rynien, ani kolb. Gdy przyglądaliśmy się tym rujnującym działaniom ze smutkiem, w pewnej chwili zaczął się do nas zbliżać dowódca, w towarzystwie dwóch podkomendnych – kierujący się najwyraźniej do mojej mamy. Niósł na wyciągniętych rękach ułożony poziomo zwój czarnego materiału. Było to żorżeta, piękny materiał, zakupiony jeszcze przed wojną, przeznaczony przez Matkę na uszycie eleganckiej sukni. Nawet ja nie wiedziałem, że Matka dla ochrony przed rabunkiem, ukryła go wewnątrz pieca w pustej szkole. A partyzanci właśnie go przed chwilą w czasie inspekcji szkoły znaleźli. Materiał odnosił uroczyście Matce sam dowódca, upewniając się, że to jej własność i trochę zawstydzając, że go w ogóle schowała – bo przecież wiadomo, że partyzanci „nie rabują”. Matka rzeczywiście nieco się zawstydziła i pięknie podziękowała. Na tym się cała rzecz skończyła – tymczasem, bo niedługo Matka „podarowała” tę żorżetę zamożnej znajomej szlachciance z Chotowa, otrzymując w zamian też „podarunek” – kilka worków maki.

Przy końcu jesieni 1942 r. – może już nawet zimą, bo było bardzo zimno – a może to było dopiero wczesną wiosną 1943 r. – tak się zdarzyło, że do Chotowa zawitała pewnego dnia karna ekspedycja, zapewne z Iwieńca. Pojawili się niespodziewanie. Ja akurat byłem u sąsiadów Czujków i byłem sam na gospodarstwie, bo Rodziców i Marysi nie było w domu, krowa i reszta inwentarza (czyli kury) były na mojej głowie. Przestraszyłem się, wyobraziłem sobie, że jeżeli przyjdą do naszego domu i kontrolując nie zastaną nikogo z listy mieszkańców przypisanych do tego domu, to mogą być kłopoty, z karą śmierci włącznie. Bo takie były nakazy. Więc wybiegłem, wręcz wyskoczyłem z łomotem z sieni domu Czujków – i od razu dostałem się pod lufy karabinów trzech konnych stojących przed bramą, zaskoczonych moim nagłym i głośnym pojawieniem się. Nie strzelili jednak, jakoś szybko podniosłem ręce i wytłumaczyłem, bardziej chyba na migi, że podążam do swego domu. Nie wiem, czy w ogóle coś zrozumieli, i kto to był – ale nie strzelili. A ja pobiegłem do domu, i przez okno wychodzące na ulicę dojrzałem pożar. Palił się odległy o 1,5 km chutor, który trochę znałem, bo tam byłem szczepiony na tyfus, i tamtejsze dzieci uczęszczały do szkoły. Później, jeszcze tego samego dnia dowiedziałem się, że mieszkańcy chutoru zostali zabici, za przechowywanie rodziny żydowskiej – której wszyscy członkowie zostali zabici, a może nawet żywcem spaleni. Zapewne stało się to w wyniku donosu, ale nie było wiadome, kto był donosicielem. Ja jednak jeszcze nie wiedząc wiele co się dzieje, a ochłonawszy nieco, z ciekawości wyruszyłem ulicą na centralne miejsce w Chotowie, skrzyżowanie kilku dróg - z Derewna, od Nalibok do majątku Chotów, do Iwieńca przez Mieszyce. W zasadzie było niby spokojnie, zaledwie kilkadziesiąt postaci w niemieckich mundurach, z bronią, chociaż w pozycjach niekoniecznie bojowych. Ale były jednak rozstawione karabiny maszynowe, lekkiej konstrukcji, przy każdym leżało dwóch żołnierzy – ci to byli wyraźnie Niemcy. Inni nie wyglądali na Niemców – pamiętam, że mieli odrażające i bardzo zaczerwienione twarze. Niektórzy odżywiali się, zapamiętałem wypijanie surowych jajek bezpośrednio z dziurawionej skorupki. Byłem blisko nich, i nawet dość blisko dwóch karabinów maszynowych – bo podziwiałem ich konstrukcję, lekką i silną, dobre podparcie składanym trójnogiem. Teraz wiem, że to była nowa generacja karabinów maszynowych serii MG42 –



uniwersalnych, mogących zastąpić nawet stacjonarne ciężkie karabiny maszynowe, ponieważ możliwa była szybka wymiana luf i ich chłodzenie. Grzanie się luf karabinów maszynowych przy strzałach długimi seriami było bowiem poważnym problemem. W dawnych karabinach systemu Maxima lufy nagrzewały się wolniej, bo były grube i stosowano chłodnice wodne. Jednak przy ciągłym strzelaniu trzeba było często zmieniać wodę w chłodnicy, co wymagało dostępu do jakiegoś źródła, lub – jak żartowano, przynajmniej do żołnierskich pęcherzy.

Tak się dziwnie złożyło, że 2 lata później, prawie w tym samym miejscu na ulicy w Chotowie podniosłem z ziemi dwa zamki z MG42. Miały niezwykle lśniąca powierzchnię, bo dla łatwego ślizgu w komorze zamkowej były nie tylko starannie wykonane, wyoblone, lecz i pięknie wypolerowane. Były kompletne, z rolkami, zapewne w pełni sprawne. Wyrzucili je Niemcy ze szpitalnego wozu, gdy byli w odwrocie. Tak się na wojnie zdarza. Wtedy miałem skrzętnie schowane w domu dwa karabiny Mosina, porzucone przed laty przez innych, typu bandyckiego - ze skróconą lufą. Brakowało mi do nich oryginalnej amunicji. Przy końcu Wojny dużo było amunicji niemieckiej, a rosyjskiej – wtedy już prawie wcale nie było. My – chłopaki – zużyliśmy ją wcześniej na różne wymyślne, a może raczej bezmyślne strzelania, zaś starsi albo ją z rozmysłem starannie ukryli, albo zniszczyli. Systematyczne poszukiwania amunicji przeprowadzała moja Mama – wykrytą u mnie amunicję wyrzucała do głębokiego dołu kloaczego na terenie szkoły. Szczególnie mi było żal pięknej metalowej taśmy nasadzonej przemiennie nabojami z pociskami pancernymi i zapalającymi, mieszczącej się po zwinięciu w specjalnie zamykanym blaszanym pudełku z zatrzaskiem.

Zabaw, pomysłów strzelniczych było wiele, ale nie będę ich opisywał. Wspomnę tylko, że nie mając jeszcze owych bandyckich Mosinów, chciałem skonstruować sobie strzelbę i dokonałem tego. Na szczęście nie próbowałem z tej „broni” strzelać. Mimo zastosowania grubej gumy do napędzania iglicy i do zamykania od tyłu naboju, przy strzale zapewne nastąpiłoby rozerwanie naboju i odrzucenie jego szczątków, prosto w moje oczy. Widocznie nie byłem aż taki głupi, mimo 12 lat.

Wypadków było sporo, chociaż raczej drobnych, skaleczenie, najwyżej urwanie jednego, dwóch palców. Jeden śmiertelny zdarzył się, gdy syn schodzący ze strychu na wezwanie swojej matki, będąc na drabinie trzymał w ręku odbezpieczony granat. Bo wypadła zatyczka.

Wracając do rekwizycji – z początku godzono się z nią, jak z każdym złem towarzyszącym wojnie. Początkowo zresztą wymagania były niezbyt duże, a później, na przykład przy wypalaniu wsi wokół Puszczy Nalibockiej, miały charakter jakby wykupu Chotowa przed spalaniem. Jednak opór i niezadowolenie narastały, zwłaszcza wobec rekwizycji dokonywanych przez mniejsze grupy, niby partyzanckie, ale które podejrzewano, że są to grupy rabunkowe. Opór narastał zawsze wobec rekwizycji nie uzgodnionych ze starostą – taka funkcja, starosty zastępującego dawnego sołtysa, została przez władze niemieckie wprowadzona na samym początku, w 1941 r. Duże oddziały partyzanckie również na ogół, jakoś początkowo godziły się z taką reprezentacją społeczności poprzez starostę, bo to było wygodne i mniej narażało na kompromitowanie dowódców wobec lamentujących kobiet wiejskich. Jednak władze partyzanckie podejrzewały starostów o nawiązywanie stosunków z władzami niemieckimi w Iwieńcu, mówiąc bardziej prosto - o szpiegostwo. To była wtedy funkcja wymuszona, brzemienna w tragiczne skutki. Można było oczekiwać, że partyzanci już wkrótce usuną wszelkich funkcjonariuszy administracyjnych mianowanych przez władze niemieckie. I właśnie zimą 1942/43 r. gdy jak zwykle mocno podpity starosta Chotowa wracał wieczorem z kolejnego pobytu w Iwieńcu, po krótkiej indagacji, został przez napotkanych partyzantów zastrzelony na jednym z podwórek. Leżał tam całą mroźną noc, ku przerażeniu gospodarzy. Przypadkowo ujrzałem go nazajutrz rano, gdy bladym świtem byłem przy studni dla nabrania wody, by napoić Podłasę. Starostę wieźli na ręcznych długich sankach. Leżał na wznak, z utrwaloną zamarznięciem, wyciągniętą ku górze ręką, jakby przewrócony posąg,

przyprószone śniegiem, w patetycznym geście wzywał pomsty. Ale nie był to człowiek świetlanej pamięci, tyle, że o zmarłym nie powinno się mówić źle, albo powinno się milczeć. Wydaje się też pewne, że na końcowych obrzeżach Chotowa, gdzie były już tylko pojedyncze chałupy, bardzo narażone na napady rabunkowe – bo te chałupy były już właściwie w lesie, doszło do oporu zbrojnego, zapewne z użyciem broni palnej. Idąc latem z koleżkami na jagody, napotkałem zaraz na skraju lasu na szczątki ludzkie – były to wprawdzie już tylko szkielety, ale dość świeże, bo niezupełnie rozczłonkowane, i nie całkiem objedzone przez lisy, może wilki i psy. Były też szczątki odzieży, oraz zwoje kolorowej włóczki, nasuwające przypuszczenie, że w tej grupie były i kobiety – może nawet dzieci. Moi towarzysze byli chyba lepiej i wcześniej zorientowani, i chyba już oswojeni z tym widokiem – zachowywali się wobec tych ludzkich resztek raczej zupełnie bezceremonialnie. Bo to chyba byli zabici Żydzi z jakiegoś oddziału aprowizacyjnego – ale ja strwożony nie dopytywałem, chociaż można było domyślać się, że oni wiedzą chyba więcej. Wróciłem do domu.

Teraz nie jestem pewien, czy to zdarzenie – znalezienie na skraju lasu ludzkich szkieletów – dotyczy roku 1943. Bardziej, lub równie prawdopodobny wydaje się być 1944 rok. Bo byłoby to już po wypadkach w Nalibokach, które zostały spalone przy udziale żydowskiej grupy Tewje Bielskiego. Ale, z drugiej strony, Naliboki były po raz pierwszy napadnięte właśnie na początku 1943 roku. I podobne zbrodnie na tle rabunkowej rekwizycji zdarzyły się w tym czasie i w innych osiedlach Nowogródzczyzny. Zbrodnie dokonane w 1943 r. w Nalibokach i okolicznych wsiach są jednak najbardziej znane.

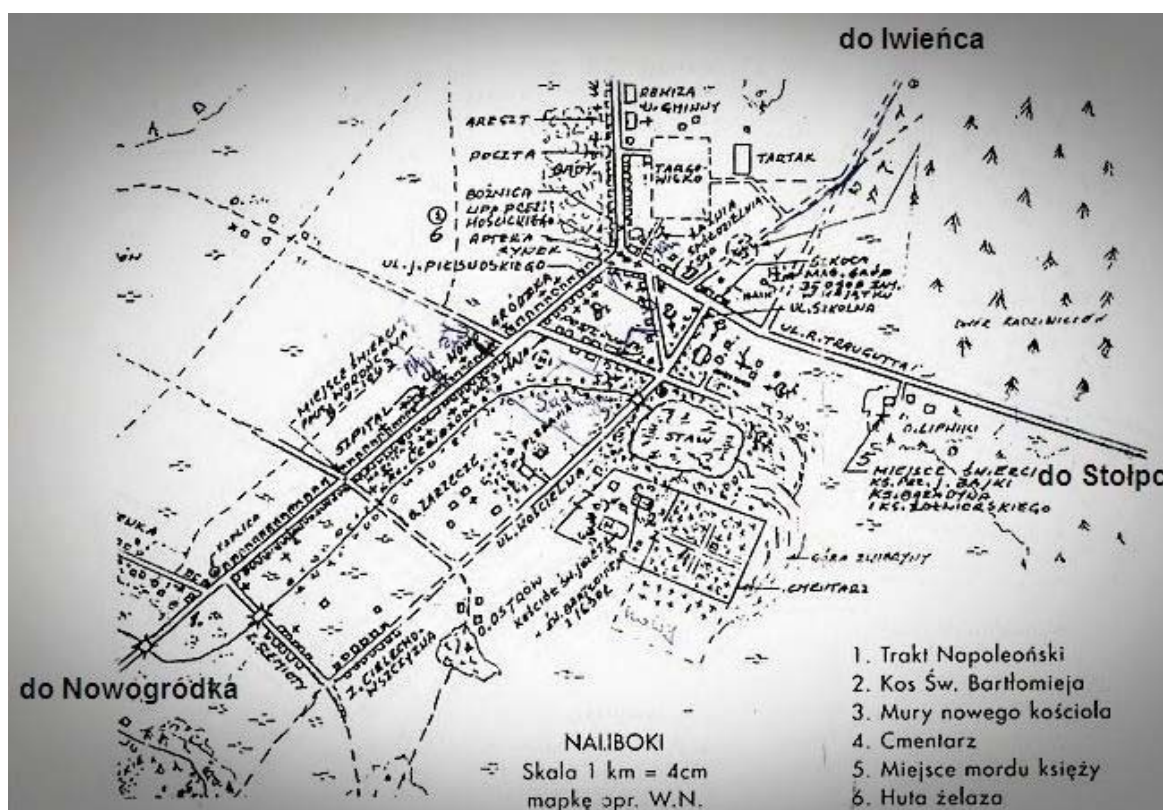
Ci, co piszą o Nalibokach, nie zawsze orientują się, że były co najmniej dwa niszczące najechania Naliboków, i że oprócz doznania dwóch dużych najazdów, ta puszczańska osada była ustawicznie plądrowana przez zbrojne oddziały leśne i przemieszczające się regularne oddziały wojskowe, oraz przez chroniących się w niej zwyczajnych dezertów.

Naliboki, historyczna Radziwiłłowska wieś, a właściwie miasteczko, były jakby bramą wjazdową do Puszczy Nalibockiej, chociaż nie leżały w samym środku Puszczy. Jej centrum wyznaczało raczej położenie Rudni Nalibockiej. Główny maszyn leśny Puszczy, z jej nieprzejezdnymi bagnami i rozlewiskami rzek, to tereny leżące na Północ od Naliboków.



Widok Naliboków od strony południowej (ze zbiorów Dymitra Gurniewiczza, *Radzima*)

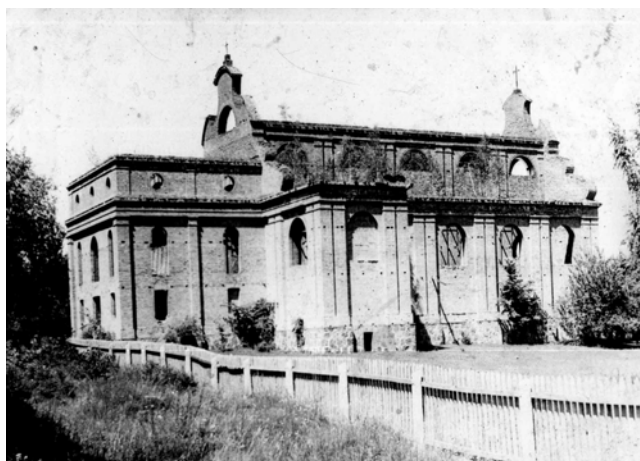
W okolicy i na Południe od Naliboków były i rozległe polany, względnie suche, nadające się do uprawiania rolnictwa. Do Chotowa było 10 km, do Iwieńca ok. 22 km, drogą przez Chotów. Na planie Naliboków ujawniały się trzy długie główne ulice, zbiegające się centralnie przy placu z dużym Kościołem pw. Św. Józefa. W Nalibokach była również Synagoga, gdyż wśród około 3000 (w 1939 r.) mieszkańców, głównie Polaków i Białorusinów wyznania katolickiego, byli i Żydzi (ok.200). Podstawowym zajęciem żytych ze sobą od wielu pokoleń mieszkańców były roboty leśne, rolnictwo, prace rzemieślnicze, handel, liczna była grupa zatrudnionych w gospodarce, administracji i ochronie terenów leśnych. Mieszkańcy Naliboków byli dość zamożni.



Plan Naliboków z przed wojny, odtworzony z pamięci



Modlitwy przy pomniku ku czci poległych



Kościół w Nalibokach, kilka lat po zniszczeniach



Podstawą zbrodniczych zdarzeń w Nalibokach i w okolicach Puszczy Nalibockiej były głównie trudności zaopatrywania się w żywność zwiększających się oddziałów partyzanckich, liczących w 1944 r. ponad 20 tys. osób, ale również dążenie do podporządkowania wszelkich oddziałów zbrojnych centralnemu dowództwu sowieckiemu. Partyzantką sowiecką rządził generał Wasilij „Płaton” Czernyszow, otrzymujący regularnie wytyczne, oraz posiłki ludzkie i materiałowe drogą lotniczą bezpośrednio z Moskwy. Tej supremacji nie podporządkowywała się początkowo zbrojna grupa Żydów, którzy nie poszli do gett. Przywódcą tej grupy stał się pochodzący z Nowogródzyny charyzmatyczny Tewje Bielski (ur. w 1906 r.). Tewje po odbyciu kampanii wrześniowej w Wojsku Polskim w stopniu kaprała, najpierw objął sklep z materiałami tekstylnymi, w 1939 r. został komisarzem, ale w 1941 r. oddał się całkowicie sprawie uchronienia rodziny i bliskich przed eksterminacją. Po pewnym czasie wraz z braćmi Zus, Asael, i nastoletnim Aaronem, zorganizował w Puszczy obóz typu „na przetrwanie”, na wzór samodzielnego małego miasteczka. Nazywał go „Jeruzalem”, przewidując, że doczeka w nim końca wojny. Problemem stały się aprowizacja i liczebność uciekinierów – powiększająca się z początkowych ok. 150 do ok. 1200 osób w 1944 r. Problemem było również to, że celem Tewje - niekwestionowanego przywódcy „Jeruzalem” – nie była walka, lecz przetrwanie. Ten pierwszy problem oznaczał dokonywanie rekwizycji we wsiach, drugi mógł być – i został częściowo załatwiony - poprzez „dogadanie się” z „Płatonem”. Bo generał Czernyszow, chcący początkowo zlikwidować niezbyt posłuszne „Jeruzalem”, np. przez zwykłe włączenie i rozproszenie członków zasobnego obozu do oddzielnych oddziałów „bojowych”, widząc słabe uzbrojenie Żydów, dostrzegł jednocześnie większą wartość w wykorzystaniu dobrej organizacji obozu żydowskiego jako partyzanckiego zaplecza – miał on aptekę, szpital, załączki kuźni i rusznikarni, fryzjera, czapnika, pracownię szewskie i krawieckie, garbarnię, piekarnię, wytwórnię wędlin, i nawet pędził samogon.



Niedatowane zdjęcie z archiwum Yad Vashem. Pozują „partyzanci Bielskiego” i anonimowy czerwonoarmista – może politruk? Aaron Bielski kłęczy w środku, ma 16 albo 17 lat

Płaton osiągnął swoje cele – co tydzień samolot przywozący amunicję, nowych politruków, ulotki, gazety i inne materiały propagandowe, wracając zabierał słoninę, wędliny, i samogon. Zaś oddział Tewje Bielskiego zobowiązał się do prowadzenia akcji rekwizycji żywności, oraz do uczestnictwa w akcjach karnych ukierunkowanych na likwidację wiejskiej Samoobrony.

Pierwszą i chyba największą taką akcją był atak sowieckich partyzantów na oporne Naliboki, przeprowadzony nad ranem 8 maja 1943 r. z udziałem grupy partyzantów żydowskich, w której uczestniczyły – bodaj najliczniej – młode kobiety. Atak rozpoczął się ostrzałem z karabinów maszynowych, pociski przebijały ściany na wskroś, najczęściej nad śpiącymi jeszcze mieszkańcami. Wybiegających zabijano, pojedynczo i grupowo, poszukując członków samoobrony. W strzelaniu i zabijaniu wyróżniały się zaciekleścią kobiety, które zapewne dopiero co nauczyły się strzelać. Zabudowania podpalano, wyprowadzano i zabierano inwentarz żywy. Z domów zabierano wszystko – odzież, buty, żywność. Spalono kościół z dokumentacją parafialną, szkołę, budynek gminy, pocztę i remizę strażacką.

W meldunkach do dowództwa przedstawiono atak jako wybitny sukces, zakończony rozbiciem garnizonu niemieckiego, wymieniając 250 zabitych „faszystów”, zdobycie dużej ilości broni i amunicji, uprowadzenie 100 krów i 78 koni.

W rzeczywistości zabito 128 osób, głównie mężczyzn, lecz wśród ofiar były trzy kobiety, kilkunastoletni chłopcy i dziesięcioletnie dziecko. Niemców w Nalibokach nie było.

Kilka dni po napaści do mojej Matki przysła mieszkanka Chotowa, której członek rodziny zginął w Nalibokach. Ona była tam, w Nalibokach, i właśnie wróciła, nie mogła go rozpoznać wśród zwłok, a chciała godnie obmyć i pochować. Była roztrzęsiona. Matka ją uspokoiła, poradziła pomodlić się do Św. Antoniego, i pójść jeszcze raz. Co i uczyniła.

Relacje opublikowane ze zdarzeń, w tym relacje świadków i prowadzących śledztwo Prokuratorów, są liczne. I są w szczegółach wstrząsające. Zresztą, relacje samych sprawców podobnych zdarzeń w innych miejscowościach, bywają bardzo zbieżne w swej zasadniczej ocenie z tymi dotyczącymi Naliboków. Te relacje – wspomnienia „ocalonych” uczestników tych wydarzeń, są publikowane w kraju i zagranicą, głównie w Izraelu, USA i Australii, gdzie się schronili. Niektóre z tych publikacji są wymienione w dodatku o nazwie duży format (DF) do numeru 23/782 Gazety Wyborczej z 16.VI.2008 r. Cytuję – w tłumaczeniu z angielskiego za GW, jak ocaleni Chaim Lazar i Edward Tubin opisują na przykładzie wsi Koniuchy, co się działo, gdy wioska odmawiała wydania kontrybucji. Wtedy ...”partyzanci wrzucili granaty na dachy, a w domach wystrzeliły płomienie. Chłopi wybiegali i biegli drogą. Partyzanci gonili ich strzelając do mężczyzn, kobiet i dzieci”.

„Nie było różnicy, kogo złapali. Kobietę jedną, uciekała w las ku cmentarzowi, kamieniem zabili w głowę, była w ciąży, i chłopak był, nie miał nawet dwa latka. Zabili ją, a on został żywy. Przynieśli słomę, rzucili na nią, zapalili. Temu chłopczykowi nogi poopalało – paluszki mu odpadły”.

Takich relacji – spisanych i wydanych drukiem - było wiele. Opisywały też okrucieństwa popełniane przez Polaków broniących zapasów jedzenia. Wszędzie była bezwzględna walka o przetrwanie, wydzieranie innym żywności, nawet wtedy, gdy można było nią się podzielić.

Znane są też oświadczenia samych partyzantów, że nigdy tyle i tak dobrze nie jedli, co w Puszczy. A przecież okoliczne wsie wtedy głodowały. Było prawie tak, jak na Ukrainie w latach 30-tych, latach „dużego głodu”, po ukraińsku „hołodomoru”. Bo sowieckie widzenie wsi było takie: ”na wsi co godzina rodzi się kapitalizm”. A kapitalizm trzeba było bezwzględnie zwalczać – w myśl zasady „grab nagrabennoje”.

Ja w tym czasie może nie głodowałem całkowicie, ale pamiętam, że siadywałem na stołku i marzyłem – żeby coś zjeść mięsnego. W tym dniu, kiedy idąc rano na jagody, napotkałem w lesie nie całkowicie obgryzione przez lisy szkielety, nie mógłbym, wydawało się po powrocie do domu, nic zjeść. A jednak pod wieczór uzbierałem szczawiu, i młodych jeszcze pokrzyw, i ugotowałem zupę szczawiovą. Zabieliłem mocno mlekiem, taką gęstą śmietanową warstwą – i zjadłem. I pamiętam to, nawet często przypominam.

Wydarzenia w Nalibokach zapoczątkowały serię pogromów w innych miejscowościach wokół Puszczy Nalibockiej, wyniszczanych doszczętnie zwłaszcza zaborem koni i krów, będących podstawą gospodarki wiejskiej. Poza żywym inwentarzem, rabowano i inne dobra,



a wszelki opór był łamany bezwzględnie, ludziom z bronią palną nie sposób było się sprzeciwić bez grozy śmierci, a co najmniej spalenia zabudowań.

W 1943 roku zaszły jednak i inne wydarzenia, które jeszcze bardziej skomplikowały sytuację ludności na tym terenie, a nawet na znacznie większym obszarze. I które doprowadziły w niedalekiej przyszłości do degradacji elementów polskości na Kresach Wschodnich, oraz do masowych wyjazdów na Zachód – co oznaczało w praktyce realizację zaboru ziemi Kresów według paktu Ribbentrop-Mołotow. Przy akceptacji naszych sojuszników z Zachodu, którzy w Teheranie dogadali się ze Stalinem, nawet nie informując Rządu Polskiego. Zrelacjonuję niżej, co się dostrzegało z perspektywy Chotowa, bo my tu nie wiedzieliśmy nawet o mordzie w Katyniu, co jest dziwne. Bo dzięki kontaktom z Niemcami, i przysyłanymi z Zachodu Cichociemnymi, zbrodnia Katyńska powinna być znana i powinna wpływać na podejmowane decyzje, może nawet zapobiegać rozwojowi zdarzeń w pewnych kierunkach. A jednak na tym terenie nie zapobiegła, tak jak nie zapobiegła decyzji powstania w Warszawie w 1944 r.

Na naszych terenach 3 czerwca 1943 r. władze AK podjęły oczekiwaną decyzję o powołaniu jawnej polskiej siły zbrojnej, czyli partyzantki, w obwodzie Stołpeckim „Słup”. Dotychczas cele narodowe AK realizowała w konspiracji, licząc na tych Polaków, którzy zdobyli broń już w połowie 1941 r., przy tworzeniu „samoobrony”, którą Niemcy chcieli przekształcić w typową policję, co się w przypadku Iwienieckich Polaków nie udało.

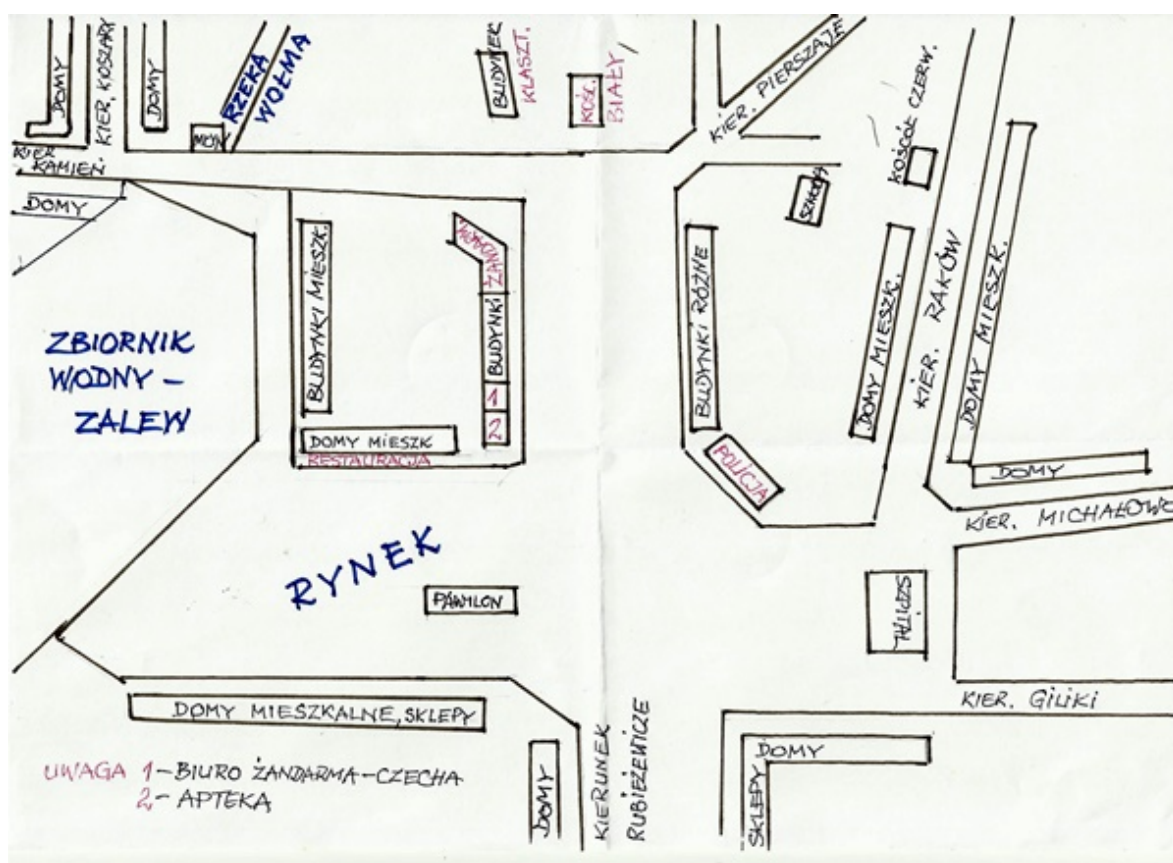
Polski Oddział Partyzancki im. T.Kościuszki zorganizował ppor. Kasper Miłaszewski „Lewald”, po długich konsultacjach z silną już liczebnie partyzantką sowiecką. Liczył początkowo tylko 44 żołnierzy, ale po dwóch tygodniach już 150. W konspiracji do AK należeli niemal wszyscy Polacy w Iwieńcu, a do Oddziału przystąpili zwłaszcza ci, którzy niebacznie zgłosili się do Samoobrony i chcieli wyzwolić się z pod niemieckiego dowództwa.

19 czerwca 1943 r. w Iwieńcu wybuchło dokładnie zaplanowane powstanie, sygnałem było bicie dzwonów o 12 w kościele pw. Św. Michała. Po 18 godzinnej walce Polski Oddział Partyzancki działając w porozumieniu z konspiratorami z Samoobrony rozbił, choć nie całkowicie, silny garnizon niemiecki. Zdobyto broń, dużo amunicji, oraz wyposażenie umożliwiające znaczną rozbudowę Oddziału, który przekształcił się w trój-kompanijny batalion o liczebności 554 partyzantów (tę informację pozyskałem dopiero teraz, z opracowania „Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie AK”). Oczywiście, to zgrupowanie zamierzało schronić się i obozować w Puszczy Nalibockiej, a że droga wiodła przez Chotów, już wkrótce gościliśmy „Legionistów” - bo tak ich zaczęto nazywać - w Chotowie, z którego zresztą wiele ich pochodziło.



Iwieniec nad Wołmą. Kościół i klasztor franciszkański z początku XVIII w., stan obecny, oraz parada z 1931 r.: żołnierskie „prezentuj broń” przed Procesją na Święto Bożego Ciała.

Niżej – plan centrum miasta Iwieńca w latach 1941-1943, aktualny w dniu Powstania.



Wozy taborowe Legionistów pojawiły się na krótko i dość nagle, dla mnie to nawet bardzo niespodziewanie i nagle, bo tym późnym czerwcowym popołudniem akurat wpółleżałem na piecu i czytałem „co zawsze” – Wellsa. Piec był wprawdzie zimny, ale akurat tam wpadało Słońce i właśnie na piecu dogodnie się czytało. I nagle z pewnym łomotem otwały się drzwi od korytarza i Ojciec wprowadził Legionistę – młodego, ale rosnącego żołnierza, w kompletnym - na ile się znam - przedwojennym umundurowaniu żołnierskim, z różnymi dodatkami, ale przede wszystkim - z zawieszonym karabinem maszynowym. Byłem zszokowany samym widokiem autentycznego polskiego żołnierza, więc nie zlażiłem z pieca. Zresztą - od razu zrozumiałem, że oni obaj bardzo się śpieszyli, a również to, że rozradowany Ojciec traktuje przybysza niby zdobycz wojenną i koniecznie chce go czymś naprędce ugościć, poczęstować. Śledziłem wykonywane ruchy i wyszło mi, że chyba chce poczęstować po żołniersku, wódką. Ale nie znajdując kieliszków wyciągnął szklanki. Wódka, czyli samogon, stała od miesięcy gotowa do spożycia, na etażerze, w butelce zwanej „ćwiartką”. Mieliliśmy i większą butelkę, może nawet dwie, bo Ojciec zimą wszedł w komitywę z sąsiadem, który go namówił do zrobienia interesu na samogonie, na zasadzie wykorzystania naszej przyszkolonej szopy, zwanej dREWUTnią, do której nikt nie zaglądał, bo wyglądała nawet z daleka na pustą - co było w tym interesie zaletą. Pędzenie samogonu wymagało ukrycia i pory zimowej, ze względu na łatwe chłodzenie alembika śniegiem lub lodem.

Nasz przybysz tuż po wejściu stanął nieruchomo w pozycji niemal na baczność, jak słup, widać było, że pojmuję wrażenie jakie zrobił. Ale chcąc już wyjść, jednak z uprzejmości śledził krzątanie się Ojca - a ja z pieca patrzyłem na niego. To był młody chłopak, zapewne nie miał 20 lat. Może nawet nigdy jeszcze nie pił wódki, chociaż to mało prawdopodobne, bo nawet ja próbowałem smaku samogonu, i to z tej właśnie butelki, przy użyciu łyżeczki, uzupełniając później nikły ubytek wodą.

W każdym razie, zachował się prawidłowo. Gdy Ojciec podał mu szklanę nalaną po „falbany”, wyprężył się, trzasnął obcasami, i po mocnym, a zdecydowanym wygłoszeniu słów „Bóg i Ojczyzna”, wypił zawartość jak należy - jednym haustem. Dalszy ciąg tej libacji wyglądał tak – nasz przybysz jakby się złamał w sobie, prawie upadł opierając się o piec, aż zagrzechotał o kafle talerzowy magazynek wiszącego na nim karabinu maszynowego typu Diegtiarew. Po prostu zatkało go od silnego alkoholu, łapał oddech. Ojciec na szczęście pospieszył z pomocą, podał kromkę świeżego chleba – jedyną zakąskę, jaką dysponował. Wiadomo, że wacanie chleba pomaga w takich sytuacjach. Zdumiony nie przewidzianymi skutkami swego nadmiernie serdecznego poczęstunku, doprowadził z moją pomocą swego gościa, a i niejako wojennego kolegę, do taboru, który po odpoczynku akurat ruszał. Jeżeli zdążali do Puszczy, to wybrali boczną i dalszą drogę, akurat tę, przy której widziałem ludzkie szczątki. Może to było i roztropne, bo gdyby jechali na wprost, przez pola i przez Krzeczoty, mogłaby ich wypatrzyć i ostrzelać „rama”, dość częsty tu samolot wywiadowczy.

Po tym spotkaniu, powróciłem do marzeń – ja przecież też chciałem być w partyzantce. Nawet miałem broń – porzucony rosyjski bagnet znaleziony w 1941 r. w przydrożnych krzakach. Oprawiłem go na tyczce – takiej bardzo mocnej, bo z grabiny, używanej na cepy. Już niedługo później trafiła mi się okazja skombinowania i palnej broni, tych dwóch obrzynów systemu Mosina. Były bez łoża. Zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że raczej muszę jednak jeszcze poprzestać na marzeniach. Ale bieg wypadków skłaniał też i do innej oceny sytuacji, nawet w skali Świata – że i dorośli działają często jakby w halucynnych marzeniach niektórych jednostek. Z młodzieńczych marzeń Aleksandra Macedońskiego wykwitło – i wkrótce rozpadło – wielkie imperium, od Nilu do Indu. Został Pergamon i Biblioteka Aleksandryjska. Co zostanie z marzeń Stalina, Roosvelta, Churchilla, którzy właśnie zabierali się w Teheranie do wytyczania losów Świata, na przekór marzeniom Hitlera. O czym my w Chotowie nawet nie wiedzieliśmy. Takie myśli rodziły się pod wpływem lektury „Historii świata” Wellsa, na kaflowym piecu w Chotowie.

Jakby w odpowiedzi na decyzję AK o powołaniu w Stołpeckim polskiego oddziału partyzanckiego, władze sowieckie 22 czerwca 1943 r. podjęły decyzję zwalczania wszystkich polskich organizacji, i szczególnie oddziałów zbrojnych, **wszelkimi możliwymi metodami**. Ta decyzja była sprzeczna z podpisanym 30 lipca 1941 r. układem Sikorski-Majski, który przewidywał anulowanie traktatów sowiecko-niemieckich dotyczących zmiany granic Polski. Ale teraz sytuacja była już inna – stosunki z Rządem Sikorskiego w Londynie zostały zerwane, wojska ZSRR przechodziły z obrony do ofensywy, po Stalingradzie szykowano się do rozstrzygającej bitwy, na dużym terenie zwanym „Łukiem Kurskim”. Ta bitwa zgromadziła pancernych, rozpoczęta 5 lipca, trwała do 12 sierpnia 1943, przesądziła o klęsce Niemiec. W bitwie wykazały zalety nowe wersje czołgów sowieckich. Z armatami kalibru 85 mm i precyzyjnymi optycznymi przyrządami celowniczymi nowego typu, jakościowo niemal dorównujące najlepszym niemieckim czołgom i armatom samobieżnym, a ilościowo, czyli liczbami miesięcznej produkcji, znacznie je przewyższające. Straty były wprawdzie wciąż jeszcze duże, ale to właśnie wtedy Stalin pod adresem przemysłu zbrojeniowego, krytykowanego dotąd za niską jakość produkowanych czołgów, wygłosił uspokajającą swą słynną opinię, że „ilość jest jednak w pewnym sensie jakością”.

Realizacja sowieckiej decyzji o likwidowaniu polskich organizacji tymczasem jednak na terenie Puszczy odwlekła się, gdyż Niemcy rozpoczęli swoją operację „Hermann” (13 lipca-8 sierpień 1943), nastawioną na całkowite zduszenie partyzantki w Puszczy Nalibockiej. Jednak mimo ściągnięcia 2 dywizji, wzmocnionych siłami policyjnymi, operacja likwidacji partyzantki na terenie rozległym, zarośniętym i bagnistym, bardzo trudnym do penetracji, w całości nie udała się. Oczywiście partyzantka sowiecka poniosła duże straty, a polska została prawie rozbita, ale wkrótce po akcji „Hermann” aktywność partyzantów znacząco wzrosła, a ich oddziały w końcu 1943 r. podwoiły się, osiągając liczebność 20-30 tys.

W Chotowie akcja „Hermann” zaczęła się od najeżdżania na teren szkoły wielu samochodów ciężarowych z żołnierzami niemieckimi, oraz z jakimiś oddziałami inaczej umundurowanymi, może to byli Łotysze. Bardzo szybko spędzono tu wszystkich mieszkańców wsi, ustawiając rodzinami, ze starszymi na przodzie. Zaczęło się sprawdzanie list, robiono to sprawnie, chociaż i mało skrupulatnie, przy tym bez krzyków. Całością akcji dowodził oficer niemiecki, może major. On się szybko zorientował, że Ojczyzna zna niemiecki, no i zatrzymał go przy sobie, natomiast mamę, mnie i siostrę odesłał do domu, kurtuazyjnie zwalniając z obowiązku stania w szeregu. Wszystko to miało na celu, jak się okazało, wyselekcjonowanie młodych osób do wyjazdu na roboty do Niemiec. Najpierw ogłoszono zaciąg ochotniczy, ale gdy zgłosiły się tylko dwie osoby, oficer wraz z pomocnikami wybrał aż kilkadziesiąt osób, które zostały od razu oddzielone. Ja temu przyglądałem się już z okna, i trochę jakby z góry, bo nasze mieszkanie, jak i cała szkoła, były na dość wysokiej podmurówce, i tuż za plecami żołnierzy. W tym czasie uruchomiona została kuchnia polowa, ale obiad wydano żołnierzom i tym wyselekcjonowanym do wyjazdu trochę później – nam też do domu przyniesiono porcję grochówki z paskami boczku. Ale wtedy już mieszkańców rozpuszczono do domów, a żołnierze rozjeżdżali się po kwaterach. Jak dotychczas, wszystkie wydarzenia, poza zaborem ludzi na wyjazd, odpowiadały – mniej więcej - dobrym praktykom żołnierskim. W zasadzie mieszkańcy nie protestowali wobec selekcji do wyjazdu, bo raczej spodzielali się czegoś znacznie gorszego. Zwłaszcza w przypadku protestów. Na drugi dzień cała ekipa opuściła Chotów, zabierając osoby wyselekcjonowane, i wszyscy nieco odetchnęli – ale nie na długo. Przez kilka tygodni trwożyły Chotów dymy, a nawet widoki pożarów – to paliły się osiedla związane blisko z Puszczą. Te dalekie, których łuny widziało się tylko nocą, i te bliższe, których płomienie można było dostrzec i w dzień. Dymy snuły się wolno, wszędzie. Była w tym okresie piękna, sucha i prawie bezwietrzna pogoda, nie przepędzał ich wiatr. Zastanawialiśmy się w Chotowie, kiedy przyjdzie i na nas pora, bo podobno wypalanie wsi rozszerzało się strefowo jakby okręgami wokół Puszczy. Otóż, wypalanie zatrzymało się tuż przed Chotowem. Zamiast spalenia, nałożono na Chotów olbrzymią kontrybucję – dostawę wielu krów i cieląt, wielotysięcznej liczby jaj. Wieś skrupulatnie spełniła te żądania, nawet jakby radośnie, że uniknęła najgorszego. Liczono spalone wsie – powiadano, że było ich 60, ale jeżeli nie uwzględniano spalonych odosobnionych małych osad, doliczano się tylko 37. Te oceny nie mogły być dokładne, bo nikt nie orientował się wtedy należycie, bez oficjalnych informacji, i bez map.

W akcji pacyfikacyjnej „Hermann” spaleni uległy również Naliboki, tym razem zniszczenie tej osady było gruntowne. I jak w innych miejscowościach, było połączone z poważnymi stratami wśród ludności, w wyniku wywózek do Niemiec, oraz rozstrzeliwań.

Jak się okazało, w czasie akcji „Hermann” (zwanej też blokadą), zatrzymanym młodym mężczyznom – tylko takich wybierano - proponowano wstąpienie do oddziałów pomocniczych, typu policyjnego. Nie wiem, ilu się zgodziło, ale wiadomo, że zgodził się Witold Soczyński, być może, sądząc z późniejszych wydarzeń, w porozumieniu ze swoją Matką. Ona po stracie starszego syna, Bolesława, zabitego przed dwoma laty w Derewnie, prawdopodobnie chciała mieć jedyne już syna w pobliżu. Wydaje się, że planowała jego ucieczkę i może namówiła do niej w czasie odwiedzin, już w koszarach, dwa tygodnie później. Tragicznie to się skończyło, bo gdy Witek po ucieczce wyłaniał się z lasu, ujrzał już tylko dopalające się zgłiszcza domu. Starsi Soczyńscy zostali zabici, ocalała tylko młodsza siostra i dziadkowie, a z zabudowań tylko stara kuźnia po przeciwległej stronie drogi.

Spraw tyczących losów Polskiego Oddziału Partyzanckiego w Puszczy Nalibockiej, zwanego potocznie i z wielkim upodobaniem „Legionami”, a bardziej uroczyście nazywanego też Zgrupowaniem Stołpecko-Nalibockim AK, nie chcę tu omawiać szczegółowo, gdyż są one skomplikowane i jeszcze teraz są przedmiotem badań historyków, formułujących niekiedy odmienne opinie. Mogę tylko stwierdzić, że ten świeżo sformowany, niezbyt doświadczony



Oddział został w akcji „Hermann” rozbity i rozproszony, a gdy po akcji zaczął się odtwarzać, został poddany silnej presji partyzantki sowieckiej, realizującej tajne wytyczne sowieckiego kierownictwa nakazującego likwidację wszelkich polskich organizacji na terenie Białorusi, a zwłaszcza polskich oddziałów zbrojnych, nawet drogą podstępu, i nawet zalecając rozstrzeliwania opornych, byle były tajne, bez rozgłosu.

Polacy pragnęli jednak wnieść swój wkład do walki z Niemcami, wiedząc że są na swojej ziemi i jej bronić jako części Ojczyzny, wierząc przy tym, że utrzymane zostaną granice przedwojenne Polski. Niestety, nie znali treści porozumień i ustaleń sojuszniczych, które już zapadły. I nie wiedzieli o mordzie Katyńskim, który Niemcy ujawnili już w kwietniu 1943 r. rozkopywaniem grobów i powołaniem komisji badawczej. Polacy chcieli współpracować z partyzantką sowiecką, która jednak już w tym czasie otrzymała inne, tajne wytyczne.

W rezultacie sprzecznych interesów, między partyzantką sowiecką a już częściowo odbudowanym Oddziałem, którego liczebność sięgnęła ok. 400 osób, rozpoczęły się prowokowane starcia. W Oddziale wyróżniał się aktywnością szwadron kawalerii pod dowództwem chorążego Zdzisława Nurkiewicza „Noc”, który przeprowadzał długie rajdy rozpoznawcze, i często stykał się z partyzantką sowiecką dokonującą rabunkowych rekwizycji, wbrew wspólnym sowiecko-polskim umowom o zachowaniu określonego pasa wokół Puszczy Nalibockiej, na którym nie powinno się dokonywać rekwizycji ze względu na krańcowe zubożenie ludności.

Oddział pozostawał pod dowództwem por. Kaspra „Lewady”, ale wkrótce dowodzenie przejął ppor. Cichociemny Adolf Pilch „Góra” (później „Dolina”). Przejął, bo musiał przejąć, gdy sowieckie władze partyzanckie podstępnie napadły na obóz polski, rozstrzelując część kadry dowódczej i sprzeciwiających się rozbrojeniu żołnierzy. Stało się to 1 grudnia 1943 r., gdy na zaproszenie polscy oficerowie udawali się na naradę do obozu sowieckiego. W drodze ich okrążono, rozbrojono i aresztowano. Kilku oficerów rozstrzelano w Puszczy zaraz po rozbrojeniu, a 5-ciu z dowódcą majorem W. Pelką wywieziono samolotem do więzienia w Moskwie. Najmłodszy stopniem Cichociemny ppor. A. Pilch (pierwszą gwiazdkę otrzymał dopiero w Kraju po wylądowaniu ze spadochronem) nie wybierał się na naradę i zdołał z dużą grupą żołnierzy wymknąć się z okrążonego obozu, unikając aresztowania, jak i chor. Noc, który był wtedy ze swoim szwadronem na dalekim patrolu.

O bezwzględności sowieckiego generała Ponomarenki (późniejszego ambasadora ZSRR w Polsce) świadczy fragment jego rozkazu likwidacji Polskiego Oddziału Partyzanckiego:

*”... jeżeli podczas rozbrajania legionści będą stawiać opór, należy użyć siły, aż do rozstrzelania. W przypadku użycia broni przez polskich legionistów „partyzantów” – rozstrzeliwać na miejscu...”*

W archiwum białoruskim historycy znaleźli (ANRB, f. 3602, ppor. 1, d. 1, k. 122) list pochwalny gen. Czernyszowa wystosowany do „Dubowa” (Sidoruk Grigorij), dowódcy brygady im. Stalina w Puszczy Nalibockiej, która wykonywała 1.12.1943 r. rozkaz rozbrojenia polskiego oddziału:

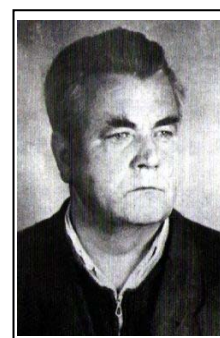
*„Tow. „Dubow”. Operację przeprowadziliście doskonale. To bardzo dobrze...wziąć Polaków i trzymać ich grupami (na razie bez broni)... Część należy zwerbować i puścić do domu. Łajdaków, szczególnie policjantów, ziemian, osadników, strzelać, ale po cichu, żeby nikt nie wiedział...”*

Ścisłe tajny rozkaz likwidacji Polskiego Oddziału Partyzanckiego 1.12.1943 r. odebrano sowieckiemu oficerowi, który (podobno) został za to przez swoje dowództwo rozstrzelany.

„Góra” okazał się pod każdym względem świetnym dowódcą, dobrze rozumiał się z miejscowymi Polakami, chociaż był Ślązakiem (urodził się w Wiśle, w 1906 r., był wyznania ewangelicko-augsburskiego). Przeprowadził wiele sprawnych akcji bojowych, razem z



dynamicznym chorążym „Noc”. Oczywiście, wdał się w walkę z partyzantką sowiecką, z której chciał wydobyć jak najwięcej swoich wcielonych do niej przymusowo żołnierzy. Wielu istotnie uciekło z powrotem do Oddziału, chociaż uciekinierów i ich rodziny usiłowano karać krwawo. Góra miał uznanie, Oddział powiększył się wkrótce do ponad 500 żołnierzy. Jednak samotna walka osaczonego oddziału, przy utracie obozu i malejącego zapasu amunicji, nie mogła trwać wśród mroźnej zimy 1943/44 długo, zwłaszcza, że partyzantka sowiecka urządziła przemysłne zasadzki. Pamiętam dobrze, jak częste były potyczki, jak często w Chotowie po nocach pełnych strzałów robiono trumny, by pochować zabitych rabusiów. Skutek był taki, że liczba napadów rabunkowych w Chotowie i okolicach gwałtownie się wtedy zmniejszyła, i tak już było do końca wojny na tym terenie w czerwcu 1944 r.



Konny patrol partyzancki, postrach łupieżczych grup. Zima 1943 r. Na fotografiach obok u góry: ppor-mjr Adolf Pilch, „Góra”, „Dolina”, Dowódca Zgrupowania Stołpecko -Nalibockiego AK; u dołu: chorąży Zdzisław Nurkiewicz, „Noc”, dowódca szwadronu (w czasie pobytu w więzieniu).

Nie chcę dalej omawiać skomplikowanych spraw i zwłaszcza istoty porozumienia, jakie z lokalnym komendantem posterunku żandarmerii w Iwieńcu zawarł „Góra”, za zgodą lokalnych władz AK. Ani fascynującego przeprowadzania się Oddziału do centralnej Polski. Są zrelacjonowane w wielu publikacjach, z których kilka – najważniejszych - wymieniam niżej.

Adolf Pilch: *Partyzanci trzech puszczy*. EDITIONS SPOTKANIA, 1992

Paweł Kosowicz: *W Puszczy Nalibockiej*. Tygodnik Powszechny, 1978, nr 40

Józef Jan Kuźmiński: *Z Iwieńca i Stołpców do Białegostoku*

Kazimierz Krajewski: *Na straconych pozycjach*

Dla naszej rodziny te wszystkie przeprawy i starcia sowiecko-polskie nabierały nowego wymiaru. Już wkrótce obudziliśmy się w środku nocy, w płonącej szkole. Był początek mroźnego stycznia 1944 r. Obudziliśmy się pod wpływem łomotu w drzwi, które prawie zostały wyłamane przez tłum Chotowian, którzy na rozkaz sowieckich partyzantów przynieśli snopki słomy i obłożyli nimi szkołę, od strony naszego mieszkania. Może tylko dlatego, że tam podmurówka - chociaż wysoka, była jednak najniższa i ustawione „sztorcem” na ziemi

snopki sięgały drewnianej ściany, więc ściana łatwo by się od nich zapaliła. No i je podpalili, nie bacząc na okrzyki Chotowian, że to jest ich szkoła, i że w środku są ludzie. Ale gdy, prawie natychmiast po zapaleniu, partyzanci odeszli, zaczęto do nas stukać i włamywać się, duży tłum ruszył ratować nas i nasz dobytek. Czyniono to sprawnie, na skrzącym się od mrozu śniegu rosła górka z naszych rzeczy, mnóstwo książek – ale tylko te, które były u nas w mieszkaniu. Jednak kilku książek nie mogłem się potem doliczyć, wśród nich „Historii świata” Wellsa i tomu „Ilustrowanego Słownika” M.Arcta. Może się spaliły wtedy, a może trochę później... bo nawet twardego papieru z książek używano w Chotowie do skręcania papierosów – gazety były niedostępne. Wkrótce trzeba było całą tę górę ocalonych rzeczy odnieść dalej, bo pod wpływem wiatru płomienie wydłużyły się poziomo w naszym kierunku i trzeba było z dobytkiem uciekać. Nie wszystko udało się wynieść, zostały chyba dwa stoły, szafa mamy i moja mała szafka z cennymi – tylko dla mnie – kolekcjami, ale bez nabożów, które przed Mamą ukrywałem w stodole. Wszyscy ratujący nas pomogli przenieść rzeczy dalej od rozwijającego się pożaru, bo buchał żar. W końcu umieszczone nasz dobytek na klepisku stodoły. Poczym znowu wszyscy – razem z nami – skupili się przy płomieniach, ogień przyciąga. Jednak już przed świtaniem tak się „dobrze” nie paliło, choć od rozgrzanych niepalących się murowanych części – od pieców, podmurówki - biło długo gorąco. Nad pogorzeliskiem kołysała się, pod wpływem wiatru, olbrzymia płachta opadłej nisko blachy dachowej, jakby jeszcze chcącej otulić pogorzelisko i niedopalone pojedyncze belki, błyskające iskrami jak żagwie. Ta blacha nie była w pełni zniszczona i całkiem dobrze nadawała się do wyrobu różnych rzeczy – jak na przykład, wiader i baniek na mleko. Co nam objaśniono już następnego dnia, gdy zjawili się amatorzy na tę niby spaloną blachę – jednak jeszcze trochę wstydliwi w swym pożądaniu, pytający – co wolno zabrać. Ale zawstydzenie trwało niedługo.

My od razu zostaliśmy zaproszeni do sąsiadów, do Czujków i Mama z Marysią od razu tam do nich poszła, ja z Ojcem jednak dopiero gdy już dobrze rozedniało. Widząc amatorów blachy, nie bardzo spalonej, postanowiliśmy i my coś z tej wielkiej blaszanej płachty uszczknąć, bo to może być potrzebne, i może da się wymienić ją na coś, np. dać komuś, kto by nam zorał pole (ale koni już wokół nie było !). Może jednak już wtedy rodziły się i inne myśli. Przecież nie mieliśmy gdzie mieszkać! I może już wtedy powstał plan zamieszkania w oborze, przecież porządnie zrobionej, tylko, oczywiście, teraz pełnej nawozu. Te myśli i plany wkrótce zaczęły wydawać się w pełni realne, również dlatego, że życzliwi ludzie zaczęli podsuwać rozmaite warianty ich realizacji, a nawet oferty pomocy. Potrzeba była nagląca. U Czujków, dokąd nas zaproszono, było strasznie ciasno, bo oni już przedtem przyjęli połowę rodziny pogorzelców z okolic Naliboków. Połowę, bo tylko młodego szewca, ale z warsztatem szewskim. Jego żona z małym dzieckiem miała być przyjęta, ale z jakichś względów tymczasem nie została przyjęta, a teraz wobec pilnej potrzeby przyjęto nas.

Z przyjęciem tego szewca, jeszcze przed nami, wiązały się pewne plany Czujków, rodziców Jurki, i plany samego Jurki. On był przecież, jak już wspomniałem, od urodzenia kaleką, miał powykręcane stopy, więc chciał przyjąć szewca – właśnie tego, bo się z nim zaprzyjaźnił - do domu. Miałby okazję nauczyć się szewstwa i osiągnąć zawód. Ja zresztą tego sprawnego szewca też polubiłem i przed tym pożarem dlatego często bywałem u Czujków, obserwując sprawnie przybijanie zelówek do reperowanych butów. Ale teraz jeszcze i my u Czujków zamieszkaliśmy, znakomicie zagęszczając przestrzeń i mnożąc zapachy. Ale to pomieszkiwanie, bardzo kłopotliwe, niedługo trwało. Bo jakoś zaczął się realizować plan przekształcenia obory. Krowa Podłasa została wyprowadzona – bardzo cichaczem - do obory Czujków, nawóz, czyli gnój, został wyrzucony i wyniesiony na pole. Więcej żywego dobytku nie było. Po oczyszczeniu ścian i wygładzeniu krzywizny belek skutem (czy Czytelnik wie, co to skut? Niech zajrzy do Mickiewicza), trzeba już było tylko zrobić podłogę i sufit, ściany wygładzić glinianą masą i je pobielić, wstawić okno (jedno, ale spore), no i postawić, co

naturalne, piec oraz komin. Drzwi to się tylko trochę zreperowało, bo drzwi do obory były dobre, mocne. Wchodziło się od razu z podwórza, więc w perspektywie mógłby być zrobiony daszek nad wejściem.

Sam się dziwiłem, że tak szybko te prace zostały wykonane, ale to dlatego, że były prowadzone równolegle. Mój wkład, jak oceniam, był też duży – bo to ja wymyśliłem rodzaj palisady z desek, i praktycznie sam ją wykonałem. Wkopałem słupy z belek – pełno ich było, jak i desek, które przybiłem poziomo i pionowo. Cel był taki – palisada miała zasłaniać widok okna od ulicy, i zasłaniać od wiatru. Do przybijania desek nauczyłem się wyrabiać gwoździe z rozkręcanego drutu kolczastego, umiejętnie prostowanego. Drut kolczasty umiałem rozkręcać sprawniej niż Ojciec, i lepiej też wbijałem te gwoździe. Inna rzecz, że deski były dość miękkie, ale nie tylko dlatego, że były sosnowe, ale że długo już leżały na placu, w stosach pozostawionych przez budowniczych szkoły. Z budowy szkoły pozostało też wapno, przechowane w dole, a co do kafli na piec – przecież można było je mieć łatwo z „odzysku”, z pieców spalonej szkoły, tuż obok. Więc gdy nastała wiosna, wprowadziliśmy się do nowego, choć niewykończonego „mieszkania-obory” z zadowoleniem, tym większym, że mieliśmy na miejscu oczekującego nas naszego szarego kota. On bowiem nie poszedł za nami do Czujków – o, nie – koty tak nie robią. Poszedł do stodoły, gdzie zresztą miał pełne wyżywienie z polowań. A mleko też miał, bo Ojciec zabrał Podłasę od Czujków i umieścił ją jakoś w tym wykopanym dwa lata temu schronie. Bo obawiał się, że partyzanci odkryją, że w oborze Czujków jest jednak jakaś „nadliczbowa” krowa – nadliczbowa, bo jedyna.

Nie wiem do dziś, czy Ojciec kopiąc przed dwoma laty wielki dół w rogu stodoły myślał już wtedy o schronie dla krowy, ale wiem, że Podłasa w tej sporej ziemiance najwyraźniej dobrze się czuła. Ojciec dbał o nią, poił, dostawała dobre siano. Siano było dużo, zostało ułożone wysoko, tuż nad jej schronem tak, że otwór wejściowy – a raczej był to otwór do karmienia – był dobrze zamaskowany zwisającym sianem. Podłasa szybko przyzwyczaiła się do karmienia przez ten prawie poziomy otwór i na każde skrzypnięcie drzwi stodoły podchodziła do niego.

Z podchodzeniem Podłasy do otworu w oczekiwaniu na siano wiąże się przygoda, zdarzenie niby z perspektywy obecnej zabawne, ale wtedy wcale nie było nam wesoło, przynajmniej z początku. Bo mogliśmy przy mniej korzystnym układzie zdarzeń utracić krowę, tak długo przez nas skutecznie chronioną.

Było to tuż przed tak zwanym wyzwoleniem, ale wcale jeszcze na wyzwolenie się nie zanosilo. Buszowała we wsi partyzantka sowiecka poszukująca żywności, a przeciwdziałania oddziałów polskich stacjonujących koło Iwieńca, skuteczne jesienią i zimą – zwłaszcza w grudniu, teraz jakby się zmniejszyły. U nas partyzanci nie mieli czego szukać, rzadziej niż do innych zachodzili, a teraz odstraszała ich spalona szkoła, i odległość – ulicę od naszej stodoły z mieszkaniem-oborą dzieliła długość placu, może 150 m. No i sam „obiekt” wyglądał dziwnie, był trudny do zidentyfikowania – po to zresztą postawiłem tę niby palisadę, by kryła nieco okno. No i tego pewnego dnia, kiedy we wsi partyzanci „zaopatrywali się w prowiant”, zauważyliśmy jednego człowieka z bronią, najwyraźniej partyzanta który „odbił się” od oddziału i ruszył na samotne poszukiwania. Zmierzał niespiesznie prosto do nas. Zaczął rozglądać się, wszedł na krótko do mieszkania, dowiedział się, że my – to uboga rodzina nauczycielska, czyli proletariat, ale w końcu ni z tego ni z owego zapragnął zwiedzić też stodołę. Tu już nieco zdrętwieliśmy z wrażenia. Zapewniliśmy, że w stodole też „nic nie ma”, ale on, będąc na klepisku, przerzucił nagle nogi przez barierkę i w taki sposób wszedł – nie wiedząc po co, do sąsiedku z ładnie ułożonym sianem. My nic - aż do chwili, gdy nagle zapadł się jak pod ziemię – bo wpadł do Podłasej, prosto na jej wystawione rogi, z tym swoim karabinem maszynowym systemu Diegtiarew. Oczywiście krzyknął, ale nie mógł wydobyć głosu, tak jak i my przerażeni, próbujący go od razu wyciągnąć – a nie poderżnąć gardło, jak mu się mogło wydawać. No i gdy go wyciągnęliśmy, już nie krzyczał, choć drżał i był – jak to się mówi - „wstrząśnięty”. A my rzuciliśmy się wyjaśnić, co się zdarzyło, i zwłaszcza to, że ta

krowa to nasz skarb, nasze ocalenie. A Ojciec, niewiele myśląc, a widząc, że niespodziewany przybysz jakby zastanawiał się, co robić dalej – pobiegł do mieszkania i przyniósł butelkę wódki – tego samogonu, co już występował w tych wspomnieniach – ale tym razem była to pełna półlitrowa butelka. I wręczył ją nosicielowi RKM-u systemu Diegtiarew, a on, nasz teraz w perspektywie dobroczyńca, przyjął butelkę, zapewniając, że nic nikomu o krowie nie powie. Popatrzył takim „inteligentnym” spojrzeniem – bo to zapewne był inteligent wtrącony w tryby wojny – i poszedł sobie, znowu niespiesznie, co chwila poprawiając Diegtiarewa. Nie byliśmy pewni jego obietnic – ale dotrzymał słowa, nikt po krowę nie przyszedł.

Po wstępnym urządzeniu mieszkania i dokończeniu palisady, wymyśliłem i wykonałem też „tajemny”, skryty otwór w suficie, tuż nad piecem, na którym sypiałem. Umożliwiał szybkie przejście górą, z pieca, z mieszkania do stodoły. Szybkie „tam i z powrotem”, ale raczej tylko dla mnie. Późnym wieczorem przechodziłem górą do stodoły i ryglowałem jej wrota od wewnątrz, zakładając mocny drąg. To na wypadek, gdyby ktoś chciał pod osłoną nocy uprowadzić Podłasę. Wtedy wszystko było możliwe, niektórzy przecież wiedzieli, że mamy krowę. Były różne przypadki napaści i zwykłych kradzieży. Zdarzały się i zabójstwa.

Jeszcze przed naszą wyprowadzką od Czujków, gdy jeszcze nie zeszły śniegi, ten młody szewc, przyjaciel i wielka nadzieja Jurki Czujko na zostanie szewcem, został zastrzelony. Podobno w czasie wyprawy do Naliboków, by wydobyć z pieca swojego spalonego domu pozostawione garnki. Jego żona narzekała na brak naczyń, skarżyła się, że nie ma w czym gotować. Straszną rozpacz Jej i Jurki pamiętam.

Po dziś dzień rozpamiętuję różne fragmenty swego życiorysu i historii rodziny. Szczególnie intryguje mnie podpalenia Szkoły w Chotowie, wraz z nami śpiącymi wewnątrz. Zapewne był to skutek rozkazu Ponomarenki, wydanego w myśl nakazu Stalina, by niszczyć wszystkie obiekty jakie mogłyby być wykorzystane do stworzenia punktów oporu dla wroga. Bo tej samej nocy spalono również Pałac w majątku Chotów, należący przed Wojną do Niezabitowskich. Ale czy i nas chciano „zniszczyć”, przez spalenie? Czy uważano nas za element wrogi? Przecież mogli nas rozstrzelać – może nie byli zdecydowani?

W kontekście tego problemu przypomina się mi wizyta, jaką w grudniu 1943 r., niemal w apogeum zaciekłych starć Legionistów z partyzantką sowiecką, złożył nam, jeszcze przecież w szkole, dowódca sowieckiego oddziału, człowiek inteligentny, i jak z rozmowy wynikało – rozumny (mieliśmy „szczęście” do spotkań z „takimi”). Otóż, on nas chyba badał, ostrożnie, kto my w istocie jesteśmy – tak mi się przynajmniej wydawało. Pamiętam, że tak się też złożyło, że tego dnia, może dwie godziny wcześniej, zawitał do nas jakiś nieznajomy, ubrany ciepło, ale wyraźnie z miejska. Bardzo rozmowny, wręcz gadatliwy, mówił głównie po rosyjsku. Komplementował Mamę, niezbyt stosownie określając Ją jako „istinno russkoju damoj” – Matka roztropnie nie okazywała jednak niezadowolenia, dla mnie bardzo wyraźnego. Ojcu, gdy dowiedział się, że władza niemieckim, zostawił niemiecką gazetę pełną doniesień o germańskich sukcesach. Nie pytaliśmy, kto zacz – sam objaśnił obecność w Chotowie chęcią zakupu jajek (o tej porze roku, w grudniu?). Jegomość poszedł sobie, ale gazetę zostawił – co było niekorzystne, a w skutkach mogło być niebezpieczne, bo dostrzegł ją właśnie ten dowódca, który też chyba znał niemiecki. I chyba musiał coś o tym – o pozostawionej gazecie i odwiedzinach nieznajomego – pomyśleć. Zaraz zresztą wydał rozkaz gonienia tego nieznajomego, na drodze do Iwieńca.

Zastanawiam się, czy ta rozmowa, nie zakończona wtedy żadną jawną dla nas konkluzją, nie miała wpływu na spalenie Szkoły? A może mogła zakończyć się zupełnie inaczej i groźnie, gdybyśmy trafili na dowódcę mniej rozumnego, a bardziej „decyzyjnego”?

W połowie czerwca zostaliśmy wyzwoleni – piszę to poważnie, bez cudzysłowu. Kilka wieczorów przed tym obserwowaliśmy dalekie bombardowanie. Wychodziliśmy na zewnątrz, patrzyliśmy w stronę Mińska – nasze twarze rozświetlały flary zawieszane jakby nieruchomo



nad Mińskiem. Mimo wielu zastrzeżeń, wszyscy się cieszyli, partyzanci znikli, i wiadomo było, że będzie otwarta szkoła, tylko budynku im. Józefa Piłsudskiego już nie było.

Cieszenie się „wolnością” było krótkie – władze sowieckie ogłosiły pobór do wojska, uważając naturalnie wszystkich tutejszych za swych obywateli. Wystosowały wezwania, zapewne wg list sporządzonych jeszcze w 1939 r., termin był krótki, No i cała chmara młodych poszła do wyznaczonych punktów rekrutacyjnych. Poszli ławą, podpici, śpiewający jakieś tradycyjne pieśni rekrutów powoływanych do armii carskiej, z przed dziesięcioleci. Poszli i prawie zaraz wrócili, bo pobór był nie przygotowany organizacyjnie. Było to samo w sobie deprymujące i demoralizujące, więc, gdy zaczęto jeszcze rozważać przynależność państwową polską, po ogłoszeniu ponownego poboru – wielu się już nie zgłosiło, sądząc, że wszystko utonie w chaosie, zwłaszcza wobec bliskiego już końca wojny. Teraz wiem, a wtedy tylko się domyślałem, że w rozległych lasach tworzą załóżki nowej polskiej partyzantki, albo raczej coś na kształt ruchu oporu. Nastąpiły sowieckie represje, bardzo ostre. Pewnego jesienno-ranka, jak pamiętam, bardzo pochmurnego, oddziały NKWD otoczyły Chotów i zaczęły przeczesywać chutory i okoliczne lasy. Słychać było liczne strzały. Strwożeni, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Już pod wieczór tego samego dnia zaczęto wyprowadzać pod konwojem zatrzymanych w lesie, rannych i pobitych, podkływanych bagnietami, z rękoma związanymi bestialsko drutem kolczastym. Nieznana była liczba zabitych w lesie - bo się niektórzy nie poddawali. Ja wiedziałem, że wśród ujętych jest nasz sąsiad Łomako. Jego siostry – Maria i Filomena - czasem, za dobrych jeszcze czasów, pracowały w szkole, a i u nas w domu pomagały w sprzątaniu, praniu i w kuchni. Los sąsiada i innych ujętych aż do naszego wyjazdu w 1945 r. nie został wyjaśniony, chociaż twierdzono, chyba bezpodstawnie, że są w więzieniu w Baranowiczach. Nie udało się tego potwierdzić, mimo kilkukrotnych kłopotliwych wyjazdów sióstr do odległych Baranowicz.

W tym czasie wznowiono już zajęcia szkolne, w tych samych dawnych pomieszczeniach wynajmowanych przed 1939 r. Przysłano trzech nowych nauczycieli. My już nastawiliśmy się od dawna do wyjazdu, ale tymczasem znalazłem się w 5 klasie – do której aspirowałem już rok wcześniej. Przed nami zarysowała się dziwna możliwość – wyjazdu z Polski do Polski.

#### **Niedziela, 12 kwietnia 2015 r.**

Na Świecie rozważane są sposoby – przeciwstawienia się na wszelkie sposoby ekspansji Rosji. Co nie nowe. Niemcy przewidują renowację 100 czołgów – to też nie nowe.

W Kraju coraz bardziej politycy obrzucają się „zarzutami” – to jednak jest pewna nowość, gdyż dotychczas tylko obrzucali się błotem, smoleńskim, z którego część podobno przylegała. Była nauczycielka Dudy „zdradza” – bo teraz się nie mówi, lecz zdradza – tajemnice wychowawczo-edukacyjne dziecięcego prymusa Dudy, obecnie kandydata na Prezydenta RP. Jako nauczyciel uważam, choć nie lubię Dudy, że Pani Profesor narusza nauczycielską etykę.

#### **Poniedziałek, ale 20 kwietnia 2015 r.**

Jedni wybierają się do Moskwy, by 9 maja świętować 70-lecie zwycięstwa ZSRR nad Niemcami w II Wojnie Światowej, a inni – nie, nawet Łukaszenko nie jedzie, będzie jednak 8 maja. Pani Merkel zaś będzie dzień później. A my – nie, my na Westerplatte. Niejaki Comey, ober-szef szpiegów i dywersantów, wymierzył nam wczoraj w imieniu USA policzek. Ten arogancki ignorant oskarżył nas dumnie o współ udział w Holokauście, przemawiając na jakimś jublu w Waszyngtonie. Niewątpliwie naszpikowany informacjami znerwicowanych Izraelitów, byłych Żydów z Polski. Chyba wzmacni, uzasadni to antysemityzm, i to bardzo.

Oni, ci „Oni”, przy wsparciu KK i JPII uwierzyli, że naprawdę są narodem wybranym.

Trudno mi będzie pisać, bo mój komputer mimo reperacji nie chce odbijać różnych znaków, np. 5 , n – a i innych też. Schody ruchome przy Dworcu Centralnym w Warszawie – też nie działają. Państwo Polskie, jego działanie i przyszłość – to tylko teoria i mrzonki? Jak to

określił lapidarnie pewien Sienkiewicz (nie Henryk, Bartłomiej), nawet to nagrał – *c..j, dupa i kamieni kupa*. Może i tak. Samokrytycznie to powiedział, bo był wtedy ministrem RP. Bardziej ostro, niż Piłsudski się wypowiadał o Polakach, tyle, że Piłsudski nie samokrytycznie i bez nadmiaru wulgaryzmów. On wierzył w siebie i w Polskę.

Wracam do ubiegłych lat. Co zdecydowało o tej podróży „z Polski do Polski”, zresztą, nie najgorszej, bo była możliwość dalszych wyjazdów. Otóż, my w Chotowie nie wiedzieliśmy nic, ale za nas pracowała „Wielka Trójka”: Stalin, Roosevelt, Churchill.



Teheran (28.11-1.12, 1943)



Jałta-Krym, pałac Potockich (10-11.02, 1945)

„Trójka” konferowała trzykrotnie, dwie pierwsze - bardzo krótko. Za każdym razem decyzje zasadnicze podejmowano pod dyktando Stalina, który szantażował rozmówców. Wobec perspektywy zawarcia pokoju i odnowienia sojuszu z Hitlerem, uzyskiwał kolejno, stopniowo, co chciał – głównie akceptację planowanych przesunięć granic ku Zachodowi. W Teheranie chodziło w zasadzie niby tylko o podział stref operacji – Polska oczywiście znalazła się w strefie działań Armii Czerwonej, ale przy okazji ustalone jej wschodnią granicę na linii Curzona. To niezwłocznie znalazło odzwierciedlenie w decyzjach rugowania wszelkich polskich organizacji z terenów wschodnich. W Jałcie natomiast postanowiono w sprawie Polski już dużo więcej, bo utworzenie Rządu Jedności Narodowej, z dwóch polskich rządów - jednego istniejącego w Londynie, i drugiego świeżo powołanego w Lublinie pod egidą ZSRR. Dominacji i planom Stalina sprzeciwiał się na obu konferencjach Churchill, ale mało skutecznie, gdyż plany Stalina bezkrytycznie popierał Roosevelt. Stalin zresztą wysuwał chwytliwy argument ustalenia granic Polski zapewniających szeroki dostępu do Bałtyku, i postulat włączenie Prus Wschodnich oraz Gdańska, dotychczas funkcjonującego jako Wolnego Miasta, czyli w zasadzie niezależnej enklawy. Już wtedy rysowała się koncepcja ustalenia zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej, jednak zostało to postanowione dopiero na konferencji w Poczdamie (17.7-2.8.1945), na której zamiast zmarłego Roosevelta występował Harry Truman, a Churchilla zastąpił Clement Attlee. Ta konferencja, zwołana po Wojnie dla wytyczenia zasad współpracy zwycięskich Mocarstw na terenie Niemiec, podjęła również decyzję o masowych przesiedleniach Polaków i Niemców. Jej decyzje dla Polski oznaczały utratę Kresów Wschodnich. W Europie zapoczątkowały okres nazywany „zapadnięciem żelaznej kurtyny”, a później okresem „zimnej wojny”. Te określenia powstały dla wyrażenia trudności kontaktowania się „Zachodu” ze „Wschodem”, wobec zupełnie odmiennych tendencji ustrojowych. A dla Polaków oznaczały coraz większe utrudnienia wyjazdowe, wobec zamykania się granic. W Chotowie wiele polskich rodzin mimo wielopokoleniowego zasiedzenia, chciało wyjechać, jednak podejmowano decyzje wyjazdowe niechętnie, z trudem, w tajemnicy, i w miarę uzyskiwanych wiadomości, jak należy i gdzie można załatwiać potrzebne do tego „papiery”. Oczywiście, wielu było żał pozostawiać gospodarstwa, kiedyś przecież kwitnące. Z drugiej strony, straszło widmo gospodarki kołchozowej. Sądzę, że nasza rodzina jako pierwsza zdecydowała się na wyjazd i zarejestrowała się gdzie trzeba już z początkiem roku 1945 r., ale musieliśmy jeszcze kilka

miesiące czekać na końcowe papiery „repatriacyjne”. Tymczasem rodzice prowadzili szkołę, ja byłem w nowo utworzonej klasie 5 i trzeba było czekać na wyjazd również dlatego, by wyjechać po ukończeniu zajęć szkolnych, co było ważne zarówno dla Rodziców, uczących w szkole, jak i dla mnie - „ucznia” tej szkoły. A w szkole, jak nigdy przed wojną, było wyjątkowo dużo uczniów. Może dlatego, że przy upadłej gospodarce rolniczej zapotrzebowanie na pracę dzieci było nikłe – nie było przecież krów do pasienia. A może wysoka frekwencja wynikała z rosnącego ogólnego szacunku dla nauki w szkole? Znak czasu? Zajęcia szkolne obok moich Rodziców prowadziło teraz troje dodatkowych nauczycieli. Jedną „siłą nauczycielską” była matematyczka, wesola dziewczyna, absolwentka Mińskiej Szkoły Pedagogicznej, zawsze bardzo przyjaźnie uśmiechnięta. I znała się na matematyce, co u dziewczyn teraz bywa częstsze, niż u chłopaków, a wtedy – raczej nie. Umiała też wszystko przekonująco wytłumaczyć, była dobrą nauczycielką. Miała korzenie polskie, zaprzyjaźniła się z moją Matką i lubiły rozmawiać, w mieszanym slangu białorusko-polsko-rosyjskim. Ona do nas przyjechała na czołgu, jednym z pierwszych jakie nas „wyzwoliły” w czerwcu. Dowodził czołgiem jej mąż. Ona zdecydowała się zostać w Chotowie, gdy się okazało, że będzie matką. No i została, bardzo łatwo załatwiła papiery potrzebne do tego, by być nauczycielką. Była zadowolona, jeszcze przed naszym wyjazdem urodziła syna. Popłakała się trochę, ale niedługo, gdyśmy wyjeżdżali. Też by chciała.

Drugą nową „siłą nauczycielską” był młodzian o nie sprecyzowanych predyspozycjach i kwalifikacjach nauczycielskich, przystojny, smukły brunet. Był tego typu mężczyzną, rodzaju w Chotowie dotychczas nieznanego, po którego przejściu dziewczyny – niektóre - zatrzymują się, patrzą w ślad i wzdychają. On tu chyba znalazł się w ucieczce przed jakimś poborem, może na wykarmienie, może zresztą dlatego, że właśnie wymarzyły go sobie dziewczyny i taki musiał być. On swoje przeznaczenie znał.

Trzecim nauczycielem był autentyczny spadochroniarz, teraz się mówi raczej - komandos. On nie chciał chyba być nauczycielem, a w każdym bądź razie nie takim, jak inni, chociaż nie widać było, by od dziewcząt stronił. Zjawił się u nas, bo go w pewnym sensie wyrzucili z wojska, bo był w tak wielu akcjach bojowych i tyle razy był ranny, że już „nie nadawał się”. Uosobienie *homo sovieticus* typu wojennego – on by tylko przestawał z mężczyznami, i albo by się przyjaźnił, albo walczył z nimi. Chciał z nas zrobić sprawnych żołnierzy przydatnych Armii Czerwonej, i to raz, dwa, albo i szybciej. W niedługim czasie pobudował różne takie ćwiczebne drabinki, urządzenia do wspinania się, karuzele do kręcenia tak szybkiego, by po zejściu z nich długo jeszcze nie można było od nich odejść i podążać linią prostą, tak się w głowach kręciło (a w żołądku – co się robiło, la boga). Były i *kaczeli*, czyli ogromne huśtawki, urządzenia do podciągania się – wielokrotnego i ściśle według instrukcji. A kto nie wykonywał ćwiczeń dużo, lub robił je niezupełnie według zasad ćwiczeń komandosów – to wkrótce tego żałował. Bo Saszka bywał strasznie porywczy, i często taki ktoś niezdarny żałował, że się urodził. Nasza Podlaska za to była niewzruszona, chociaż Saszka zabrał jej większość szkolnego placu na różne bariery i tory przeszkód. Na swoje „placki” miała kawałek odgradzony. I Saszka tam nie wchodził, też miał zasady, i nie lubił, by mu coś do butów się przylepiało. Ten psychopatyczny rodzaj nauczyciela nosił piękną nazwę *wojenruk*.

Mimo powojennego upośledzenia, był politycznie bezlitośnie aktywny. Gdy na jednej z tańczących wieczorynek dowiedział się od niedyskretnych koleśków, że na sali jest ktoś uchylający się od służby w Czerwonej Armii, dał pokaz akcji *homo sovieticus*. Fińskim nożem wyjętym z miękkiej cholewki komandoskich butów dwukrotnym przebicciem mięśni dwugłowych obu ramion obezwładnił delikwenta i zażądał pomocy przy natychmiastowym jego transporcie na posterunek. To się nie wszystkim podobało, ale zrobiło wrażenie. Stało się wiadome, że przyszedł nowe czasy, nowa władza. Wielu ta nowa silna władza przyciągnęła.

Po zimowych ćwiczeniach z wojenrukiem mam po dziś dzień ślady. Zarządził w mroźny dzień kilkugodzinny bieg na nartach, z atrapami karabinów na plecach mocowanych na dwa

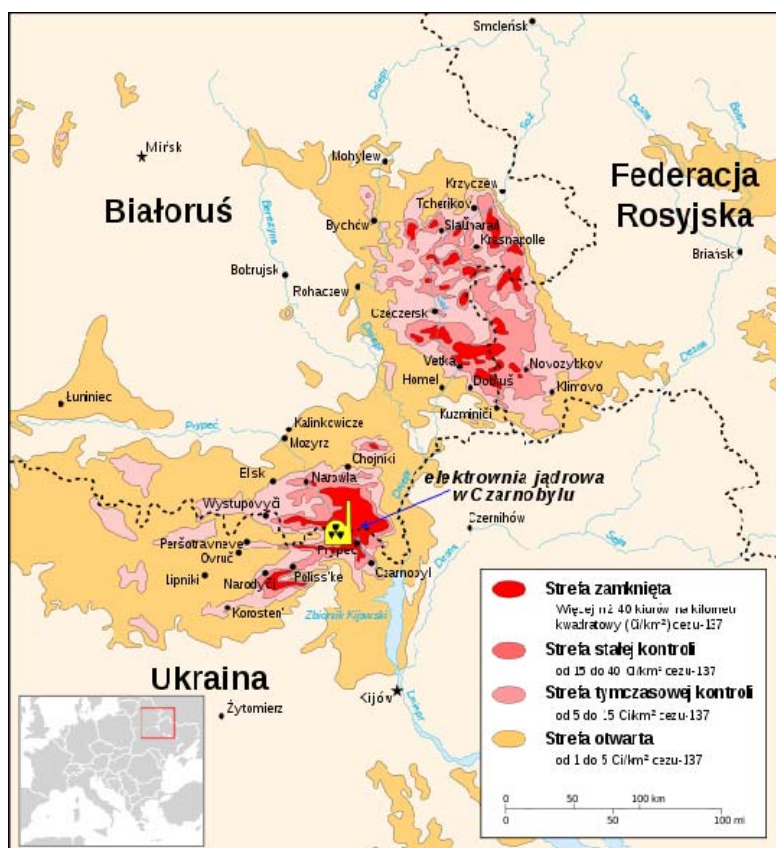
pasy. Bieg na marnych nartach, w obuwiu i ubraniu gorzej niż marnych, bez rękawic, mógł spowodować - i spowodował – częściowe odmrożenie palców rąk i nóg, oraz pięt. Gdy po ćwiczeniach prawie nieprzytomny ze zmęczenia wpadłem na nartach na podwórze Suszków, początkowo nie mogłem odgiąć dłoni od kijków. Polano mi dłonie wodą, na szczęście – choć nieświadomie – wodą zimną, od której na palcach utworzyły się od razu lodowe skorupy. Ale to mi podobno uratowało palce rąk. Jednak kilka miesięcy trwało leczenie sino-czarnych pięt i palców nóg. A do dziś przy każdej dłuższej zimnej kąpieli bieleją mi palce rąk i tracę w nich czucie. Lecz - czyż nie piękne są zimowe sporty wojenne? Te dwuboje widziane w TV?

#### Sobota, 25 kwietnia 2015 r.

Dwa dni po imieninach. Nie obchodzonych już od lat, tylko sąsiedzi Pawłowscy (on Jurek) o dwa piętra niżej, przychodzą na chwilę, lub my do nich. Ale dziś - nie, same kłopoty, Basia ma temperaturę i jakiś wysięk typu sepsy. Dwa tygodnie temu zmarł znajomy, Marek, na sepsę od zęba. Bardzo szybko – dwa dni przed tym jeszcze naprawiał samochód Elżbiecie. Są i miłe wiadomości – listy od Chotowian, zadowolonych w różnych miejscach, głównie na Pomorzu. Sam ich wywołałem, gdy zauważyłem, że ktoś poszukuje rodziny, lub chociażby kontaktów z członkami rodziny Pożoga. Ci, co napisali, to już drugie pokolenie. Chotów znają chyba już tylko z moich wspomnień, tych właśnie, które piszę – bo im wysłałem i rozpowszechniły się. Czytają i piszą wyłącznie kobiety, stają się pisarzem dla kobiet.

#### Czwartek, 28 kwietnia 2015 r.

Przerwa w pisaniu, choroba w domu, niesprawność komputera, zamówiona nowa klawiatura. Wczoraj znalazłem mapkę – bardzo dobrą - ukazującą strefy promieniowania po katastrofie w Czarnobylskiej elektrowni atomowej (26 kwietnia 1986 r.).



Strefy radiacji po katastrofie w CzAES wg danych z 1996 r. Granice takich stref określa się używając przyrządów do pomiaru intensywności promieniowania wyskalowanych albo w dawnych jednostkach Curie, albo w nowych *Siewiertach*. Niestety, nie mogłem znaleźć przekonującego przeliczenia między obu systemami, ciągle jest to uzgadnianie. Dla mnie bardziej istotne jest spostrzeżenie, że strefy radiacji układają się w stronę Owrucza poziomymi języko-podobnymi pasmami, wzdłuż dolin rzek Noryń i Żerew. I chociaż są to strefy o niższym poziomie radiacji, to mój wcześniej wyrażony pogląd, że Owruca i Żerew są poza zasięgiem oddziaływania promieniowania z Czarnobyla, może nie jest w pełni słuszny. Widać też, że np. nieodległy Żytomierz jest poza strefą szkodliwą. Ale też wyraźnie widać występowanie podwyższonego promieniowania w bardzo niby dalekich miejscach, np. na terenach Polesia wokół Lunińca, po obu brzegach Prypeci, oraz w okolicach odległych o ok. 75-125 km na Zachód od Mińska – czyli tam, gdzie leży Iwieniec, Chotów i tereny Puszczy Nalibockiej, i jeszcze dalej, w dorzeczu Niemna, Dźwiny, aż po Nowogródek.



### Niedziela, 3 maja 2015 r.

Cóż, trzeba opisać, co się zaczęło dziać po „wyzwoleniu” w czerwcu 1944 r. aż do wyjazdu w 1945 r., a i po wyjeździe. Tymczasem chciałbym jednak zakończyć opis pobytu w Chotowie, dotrzeć do wyjazdu do Stołpców, ściślej, na stację kolejową, by oczekiwać na podstawienie wagonów, co miało nastąpić w terminie nieokreślonym. Pisaniu sprzyja wymiana klawiatury w komputerze – jest dobra, tylko może nieco za głośna przy naciskaniu klawiszy.

Muszę we wspomnieniach cofnąć się nieco, do lata 1944 r.

Gdy w czerwcu zostaliśmy wyzwoleni, zaczęliśmy proces wyzwalać zauważać przez pojawienie się flar oświetlających bombardowany Mińsk, odległy o 75 km. Po kilku dniach z nagle pojawiły się czołgi i nieznane wcześniej rodzaje samochodów nazywanych obecnie opancerzonymi transporterami. Pojawiły się w środku Chotowa, od strony majątku Chotów i wsi Łubień, chociaż raczej spodziewaliśmy się ich przybycia od strony Iwieńca. Żadnych walk nie było, żołnierze byli młodzi, nie zmęczeni, rozradowani – tak jak i ludzie, jacy się wokół nich zgromadzili. Żołnierze nie byli głodni, nawet częstowali konserwami – była to zapewne osławiona „swinaja tuszonka”, amerykańska – tak jak i te samochody, na których przybyli. Chętnie pili mleko, ale dopraszali się tylko *luku*, czyli cebuli. Akurat nie była to najlepsza pora roku na zbiór cebuli. Byli dwa dni, naopowiadali historyjek wojennych – zapamiętałem jedną o rozjeżdżanych czołgami *Giermańcach*, oporządzili się i pojechali dalej. Została żona jednego z lejtnantów, pochodząca z Mińska absolwentka tamtejszego Instytutu Pedagogicznego – bardzo sympatyczna, dobra nauczycielka matematyki. W czasie ich pobytu zdarzył się nieszczęśliwy wypadek – jeden z żołnierzy przy czyszczeniu broni postrzelił śmiertelnie siedmioletniego malca, który był obok i przyglądał się. Znałem i lubiłem tego chłopca, często przez podwórko jego domu przechodziłem i zagadywałem. Był jedynakiem.

Niemców ujrzelśmy kilka dni później. Pewnego dnia, gdy na odgłos wystrzałów wyrzależem na ulicę, zobaczyłem na łąkach dwóch żołnierzy niemieckich, bez broni, z podkasanymi rękawami, oddalających się na ukos od wsi w pole, zupełnie nie zważających na to, że są ostrzeliwani. Strzelał do nich przez płot najpierw jeden, potem – z tego samego karabinu – drugi niezbyt mi znany młodzieniec z Chotowa. Strzelali niezdarnie, Niemcy się oddalili. Bodaj następnego dnia na podwórku Śliża widziałem 4 żołnierzy niemieckich, siedzących rzędem na ławce pod płotem. Byli umorusani, najwyraźniej nieludzko zmęczeni i głodni. Dano im coś do zjedzenia i wodę do picia. Pojmał ich i przyprowadził pod lufą swej pepeszy dorodnie wyglądający kawalerzysta, prawdopodobnie jeden z tych partyzantów z Puszczy, jacy widocznie po przejściu frontu pozostali, by wylapywać uciekających Niemców. Uciekinierów było dużo, jak można było sądzić po liczbie ścieżek wydeptanych w zbożu. Kawalerzysta, wyglądający kontrastowo na „dobrze odżywionego atletę” w porównaniu ze swoimi jeńcami, nie krępując się i bez obawy o bezpieczeństwo, w bliskiej obecności jeńców odnawiał zapas naboju w magazynku pepeszy. Niedługo wsiadł na swego – też dobrze wyglądającego konia - i poprowadził jeńców pod lufą pepeszy gdzieś dalej.

Bardziej dramatycznie przebiegało przejęcie niemieckiego szpitala polowego, którego obecność w lesie przy końcu Chotowa ujawniła się znacznie później, może nawet dopiero po dwóch tygodniach od przejścia frontu. Ten szpital, ulokowany na dużych wojskowych wozach konnych o wysokich kołach, pełen ciężko rannych, nie mógł już działać normalnie, a zwłaszcza poruszać się dalej. Prawdopodobnie część stałej obsługi go opuściła, a ranni byli dogorywający. Ze stosu pozostawionych podartych dokumentów wynikało, że wśród pacjentów byli piloci i SS-mani. Ci dobrze wiedzieli, że nie mogą liczyć na dobre traktowanie, gdy dostaną się do niewoli, dlatego starali się zniszczyć dokumenty i odpruć naszywki mundurów. Nie wszyscy potrafili to zrobić. Obecność szpitala w pobliżu Chotowa była przez jakiś czas zatajana, gdyż pobliscy mieszkańcy starali się przejąć jego wyposażenie, a zwłaszcza pozyskać konie – których we wsi już prawie nie było. Te konie szpitalne – to były ciężkie konie rasy belgijskiej, może i niezbyt przydatne do typowych prac rolnych,

zwłaszcza do oborywania ziemniaków, gdzie potrzebne są konie lekkie i smukłe – ale jednak te duże konie były dobre, przyzwyczajone do ciężkiej pracy.

Obecności szpitala nie dało się zataić, i pewnego dnia kilku kawalerzystów – zbliżonych w typie do wcześniej opisanego – spowodowało powolny wyjazd niemieckich wozów szpitalnych z lasu, i przejazd przez Chotów. Ja dopiero wtedy dowiedziałem się o tym szpitalu, i doganiając go, zacząłem towarzyszyć przejazdowi. Początkowo starałem się ominąć, wyprzedzić cały konwój, idąc poboczem, trochę przez pole, ale zawróciłem z pola, gdy napotkałem zwłoki, jedne, a chwilę później drugie - leżące w koniczynie. I w ogóle zawróciłem, bo z wnętrza tych wozów – o wysokich burtach – dobiegały jęki rannych, odgłosy umierania. Zawracając, schyliłem się przy jednym z wozów i podniosłem błyszczące zawiniątko – były to owe wspomniane wcześniej zamki MG42.

Później, gdy starałem się dowiedzieć, co się stało z tym niemieckim szpitalem, zapytywani ludzie stawali się dziwnie milkliwi. Ktoś mi jednak wskazał wymownym gestem nędzny zagajnik koło starego cmentarza, na zboczu pagórka, przy drodze jaką chodziłem do kościoła. Kiedyś przechodząc, ale nie podchodząc bliżej, widziałem płacheć ziemi niedbale skopany. Dziwne – ten przycmentarny płacheć ziemi z kępkami rachitycznych drzewek widuję i dziś jeszcze, z góry, bardzo wyraźnie, przez Internet.

### **Reperuję rowery. Kończę 5 klasę. Opuszczamy Chotów. Wyczekiwanie w Stołpcach.**

Co ja, co moja Rodzina robiła, nad czym się zastanawiała w 1944 roku?

Przygotowywaliśmy się do otwarcia szkoły, z 5 klasą dotychczas nie istniejącą w Chotowie, z perspektywa powoływania co rok dalszych klas. W pomieszczeniach wiejskich, bo przecież budynek szkoły został spalony, stał się tylko miejscem do odzyskiwania blachy, kafli i cegieł. Rodzice otrzymywali już pensje, ale powiększenie „ciała nauczycielskiego” o trzy nowe etaty, w perspektywie o dalsze – nie wróżyło nam utrzymania tego samego statusu, co poprzednio. Rodzice mogli otrzymać wymówienie, jako dawni „polscy nauczyciele”, lub propozycje innej pracy, i gdzie indziej. Należałoby przyjąć obywatelstwo ZSRR. Domyślam się, że istotna była też coraz bardziej dominująca rola w szkole *wojenruka* Saszki, który kreował się na jej dyrektora, wychowawcę młodzieży typu *homo sovieticus*. Wydaje się, że kiełkowała już wtedy myśl o wyjeździe, ale możliwości wyjazdowe pojawiły się dopiero w początkach następnego roku. I jestem pewien, że możliwości wyjazdowe były rozważane w wielu polskich rodzinach, zwłaszcza tych o wyraźnym zaangażowaniu patriotycznym. I to mimo zakorzenienia na tej ziemi od wielu pokoleń. Jednak te problemy były rozważane tylko w kręgach rodzinnych, ich przedwczesne ujawnienie, zwłaszcza w skali masowej, mogło zaszkodzić planom realizacji. Dopiero później, już na stacji w Stołpcach, ze zdumieniem dostrzegaliśmy, wśród pośpiesznie docierających do pociągu wyjeżdżających, naszych znajomych, o których wcześniej nie sądziliśmy, że zechcą wyjechać do Polski, w jej nowe granice.

Ja oczywiście szykowałem się do 5 klasy, ale to żadnego wysiłku nie wymagało, dopiero później nieco przesiedziałem fałdów by opanować *stricte* rosyjską pisownię i gramatykę, tę samą, która dla poprzednich pokoleń Polaków „woniała dziegiem”.

Bezpośrednio po przejściu frontu, gdy już można było liczyć, że jakaś władza się ustaliła, wyciągnąłem za zgodą Ojczyrna nasze oba schowane starannie rowery. Przed wojną były pięknie zakonserwowane, były same w sobie obiektem podziwu i pożądania znajomych. Ja przed wojną nie miałem roweru i nie próbowałem jeździć na Matczynej damce – a teraz – jakoś zachciało się nauczyć jeździć na rowerze. Dla odmiany, Rodzice po Wojnie zupełnie zatracili chęć jeżdżenia na rowerach, i wyszło tak, że jedynie ja chciałem je uruchomić. Wkrótce okazało się, że nie jest to łatwe, i może się nie udać. Nie dlatego, że trochę tu i ówdzie zardzewiały, ani że myszy nadgryzły siodełka, że osie – zwłaszcza mechanizmy tylnych osi rowerów – nie dawały się przekreślić, nawet nie dlatego, że tłoczki pompek tak

wyszły, że nie pompowały powietrza. Najbardziej istotna trudność – właściwie jedyna, i wydawało się, że nie możliwa do pokonania – wynikała ze sparciałości dętek i tych gumowych rurek naciąganych na metalowe wentyle. Ani dętek, ani delikatnych rurek wentyli od dawna nie można było nabyć. A jednak udało się – z kilku starych dętek wycinałem kawałki jeszcze nadające się do użytkowania i sklejałem je, tworząc nowe dętki. Nie miałem wprawdzie kleju do klejenia gum, ale miałem stare sandały na podeszwie ze „słoniny”. Kawałeczki starej podeszwy po rozpuszczeniu w benzynie dawały całkiem dobry klej. I w końcu udało mi się uruchomić jeden rower, a nawet oba - ale nie na długo. Bo te stare dętki jednak naprawdę były bardzo sparciałe i nie można było ich w nieskończoność odnawiać. A jednak dzięki uporowi naprawiłem rower Ojczyma i nauczyłem się na nim jeździć.

Moje jazdy na rowerze zwróciły uwagę *wojenruka* – on ni stąd ni zowąd zaproponował wspólne użytkowanie roweru – co by oznaczało przekazanie mu tego pojazdu. Zgodnie ze znaną zasadą komunizmu – co twoje, to i moje. Tu się wykazał stanowczością Ojczym – po prostu odmówił. *Wojenruk* specjalnie nie napierał – to był w gruncie rzeczy dość przyzwoity i nie głupi człowiek – tylko całkowicie podporządkowany sprawom wojny, i zarówno psychicznie jak fizycznie w mechanizmach wojny ukształtowany, częściowo zniszczony.

W praktyce zajmowałem się jeszcze kończeniem palisady, do czego potrzebne były gwoździe. Wyrabiałem je z drutu uzyskiwanego z rozwinięcia drutu kolczastego. Wprawiałem się w nadawaniu odpowiedniej sztywności kawałkom drutu, przez odpowiednie ich wyklepywanie, oraz w zaostrażaniu końca przewidywanego do wbijania w drewno – dzięki temu te niby gwoździe wbijałem bez ich przedwczesnego zgięcia się. Inne moje prace, to hodowla królików, która na nic się jednak nie zdała, bo króle – chociaż wyrosły dorodnie - uciekły i wolały bytować poza klatką, w stosach drewna, a złapać nigdy się nie dały. Największe i zupełnie dobre wyniki miałem z wyrabiania naczyń domowych, z blachy z pokrycia dachu szkoły, nadpalonej w jej pożarze. Miałem problemy tylko ze zrobieniem dużego wiadra o prawidłowym kształcie odwróconego ściętego stożka, ściślej – z należyтым usztywnieniem górnej krawędzi takiego wiadra. Blaszane wiadra fabryczne sztywność górnej krawędzi zawdzięczają odpowiednim przetłoczeniom bocznym i wywinięciu górnej krawędzi – a ja tego zrobić nie potrafiłem. Ale wyklepywane przeze mnie cylindryczne naczynia, typu bańki na mleko, sprawowały się bardzo dobrze.

Do wyjazdu do Polski szykowałem się z koszem zawierającym aparat fotograficzny Ojca, szklane klisze, i różne akcesoria. Były tam cyrkle i inne przyrządy, w tym grafiony do kreślenia.

Zabierałem też oba Mosinowskie obrzyny, nie wiedzieć po co. Miałem nóż, śrubokręt i dobre krzesiwo – noszone wraz z hubką i krzemieniem w pudełeczku.

Rodzice zabierali oczywiście Podlase. O tym, co się zabierało, zdecydowaliśmy jednak bezpośrednio przed wyjazdem, w połowie 1945 roku. Nie wiem, kiedy i jak Rodzice zapisali się na wyjazd. Szykowaliśmy się na wyjazd tuż po zakończeniu zajęć szkolnych, czyli z końcem czerwca, więc znacznie wcześniej, niż inni, którzy planowali wyjazd po zebraniu plonów z pól, czyli po żniwach. Nasza decyzja wczesnego wyjazdu uwzględniała i wyprzedzała możliwe ruchy kadrowe w szkołach, które mogły być ogłoszone po zakończeniu roku szkolnego, i które mogłyby skomplikować naszą sytuację.

Muszę tu na koniec zamieścić uwagę, adresowaną częściowo do tych Chotowian – oraz ich Potomków, którzy zdecydowali się w tym czasie wyjechać z rodzinnych stron, i którzy być może wyjechali transportem repatriacyjnym ze Stołpców razem z nami. Otóż, więzi między Chotowianami po wypadkach z zimy 1942/43 bardzo się rozluźniły, obieg informacji prawie ustał. Szczególnie moja rodzina odczuwała izolację informatyczną, zrozumiałą, gdyż nie byliśmy rodowitymi mieszkańcami, ani gospodarzami – przybyliśmy tuż przed Wojną. Z kolei, wypadki wojenne tak się potoczyły i tak zakończyły, że wielu Chotowian, zwłaszcza

młodych – znalazło się wkrótce w odrębnych, czasem nawet wrogich organizacjach wojskowych i politycznych. Wielu z nich zginęło, niektórzy w niewyjaśnionych okolicznościach. Dlatego nie można było w końcowych miesiącach, nawet w całym roku przedwyjazdowym – swobodnie komunikować się i beztrudno dowiadywać, gdzie kto jest, dlaczego zniknął, czy rodzina wyjeżdża. Z tych samych powodów i moja rodzina nie nagłaśniała swoich planów, nie będąc pewna ich realizacji. Losy Chotowian, oddzielnych osób i ich Rodzin, zaprzatają nadal moją wyobraźnię i myśli.

Wyjazd z Chotowa nastąpił dość zniechęca, w końcu czerwca. Rodzice woleli wyjechać bez pożegnań, czasy i nastroje były nie po temu, by zawiadamiać o wyjeździe – zresztą, niektóre zaprzyjaźnione osoby, ba całe – rodziny – jakby znikły. Rodzice załatwili dwie, może trzy furmanki – bo już trochę koni we wsi było. Zapłatą za transport do Stołpców były pozostawione do zebrania plony z przyszkolnej działki, zboże i ziemniaki, oraz dwa duże zwoje nowej ocynkowanej blachy na dachy, jakie pozostały po budowie szkoły. Przechowywaliśmy skrycie tę pięknie lśniąca blachę w stodole pod słomą, wiedząc, że to był zawsze łakomy kąsek dla chcących się budować. Teraz wprowadzie chętnych do wznoszenia nowych domów nie było wielu, bo mężczyźni ze wsi wymiotła wojna, zostali powołani do wojska, a ponadto – wieś czekała kolektywizacja, czyli kolchoz. Blacha jednak była wartością sama w sobie, a ponadto – innych możliwości zapłacenia za furmanki nie mieliśmy. I blachy zabrać nie mogliśmy, była zresztą pozostawioną własnością społeczną – chociaż takimi „głupstwami”, taką interpretacją państwowej własności „pozostawionej” nikt się wtedy nie przejmował. Zostawialiśmy „wszystko”, nawet dużo wapna gaszonego, znakomicie przechowanego w głębokim i obszernym dole pod przykryciem z desek.

Sądzę zresztą, że nam by pomogli dobrzy znajomi Chotowianie i bez rekompensaty.

Wyjazd nastąpił przy końcu pięknego słonecznego dnia. Tak się zdarzyło, że godzinę przed wyruszeniem, biegnąc na bosaka przez pokryte słomą deski w stodole, wpadłem prawą stopą na wykrecony nietypowo ku górze kolec ciesielskiego haka – i przewróciłem się na bok, mając stopę nadzianą na ten gruby hak. Który nie przebił się przez stopę na wskroś, chociaż skóra na wierzchu stopy się uniosła. Jakoś po cichu opatrzyłem stopę, włożyłem trzewiki i ubranie – nie pamiętam, jak to się stało, że miałem wtedy jakieś obuwie o miękkiej podeszwie. No i wyruszyliśmy w całonocną podróż, 35 km, w większości pieszo przy wozach. Pochmurnym rankiem wyładowano nas na rampę kolejową w Stołpcach – jedną z wielu, ale to była ta właściwa, z której później odjechaliśmy po podstawieniu wagonów, półtora lub dwa miesiące później. Zasnąłem na stosie rzeczy, a gdy obudziłem się, był już pełny dzień, ale było zimno, zanosilo się na deszcz. Rampa – każdy wie, co to rampa kolejowa - miała rozpięty na żelaznych słupach dach blaszany, to znaczy – kiedyś miała. To, co zostało, to były strzepy blachy, poskręcane i posiekane odłamkami pocisków artylerii przeciwlotniczej, broniącej dworca i warsztatów naprawczych taboru kolejowego, z których Stołpce słynęły. Dworzec, o dziwo – właściwie cały, majaczył kilkaset metrów dalej. Ja byłem na tej pustej rampie sam, ale przez brukowaną ulicę widziałem rodziców, ugađujących się przy domku po przeciwległej stronie – w odległości może 70 m, z kimś, kto wyglądał na gospodynię, mieszkankę i właścicielkę tego domku. Takich domków, z ogródkami, słonecznikami i drzewkami, widziałem więcej, bo to było typowe osiedle kolejarskie. Wyniki tego porozumienia były znakomite – bo uzyskaliśmy dostęp do ściany tego małego domku, gdzie mogliśmy złożyć nasze rzeczy, improwizując nad nimi daszek. Wprowadzie nie zabezpieczał przed dużym deszczem, ale jakąś opiekę dawał, można było umościć się na rzeczach i spać.

Najważniejsze było to, że z rekomendacji gospodyni nasza Podłasa została dołączona do prywatnego stada krów, gdzie pasła się w stadzie ku swemu i naszemu zadowoleniu. Było dojona, otrzymywaliśmy umówioną część mleka, pozostała była zapłatą za opiekę i pastwisko. Mleka wystarczało dla nas i dla gospodyni. Ta gospodyni wywiązała się ze



wszystkich zobowiązań – najwyraźniej była przyzwyczajona do świadczenia różnych usług podróżującym – tak często czynią mieszkający przy dużych stacjach. Gospodyni raczej wolała, byśmy z wnętrza tego skromnego domu nie korzystali, ale Mama i Marysia tam nocowały, i mogliśmy tam zawsze coś ugotować. Nasze potrzeby były zresztą skromne, a moje potrzeby aprowizacyjne - prawie żadne. Gospodyni miała córkę, zatrudnioną przy Dworcu. Córka miała męża Rosjanina - wykwalifikowanego maszynistę parowozu, który czasem, ale bardzo rzadko wpadał na krótki sen, jedną noc. Widziałem go może dwa, lub trzy razy. Ja wtedy całym dniami byłem poza „domem”, nie miałem przecież tych wszystkich obowiązków „gospodarskich”, jakimi byłem obciążony w Chotowie. Próbowałem zwiedzać miasto, odświeżając w pamięci pobyt latem 1937 r. Ale miasto zmieniło się, a ja też byłem inny – właśnie ukończyłem 15 lat, dopiero co była Wojna, i miałem inną wrażliwość. Kiedyś poznawałem Stołpcę od strony Niemna, jego urokliwej przystani pasażerskiej i sportowej, targowiska rybnego, teraz - od strony Dworca i wół rozbitych zakładów kolejowych, oraz przelatujących co chwila transportów wojskowych, przeładowanych ludźmi i sprzętem.

Oczywiście wpadałem do „domu” by coś zjeść, jakąś zacierkę, wypić mleko i tyle. Można było od czasu do czasu dostać z przydziału – nie wiem, na jakiej zasadzie – chleb razowy, około ćwierć kilograma. Ale to był bardzo marny chleb, rzadki jak gąbka – więcej było w nim wilgoci, niż stałych składników. Zjadało się taką porcję za jednym zamachem. Ja się głównie odżywiałem korzystając z kuchni przy Dworcu, gdzie można było dostać purée ziemniaczane, polane czymś przypominającym sos, ale zupełnie dobre w smaku. Kucharze głodnym ludziom oczekującym w kolejce nakładali purée dużą chochlą i raczej obficie. W zasadzie trzeba było mieć na to przydziałową kartkę - ale często-gęsto nakładano ziemniaki i bez kartki, lub ignorując ten dokument. Osobne kartki i na lepsze rzeczy mieli rosyjscy oficerowie, bardzo godni, w mundurach pełnych złotych orderów, w czapkach szerokich jak rzeszoto, z wiszącymi u boku żonami w bransoletach, w futrach, z rozwyrzonymi dziećmi ubranymi w takie same ubrania – „toczka w toczkę” – jak i rodzice, tylko mniejsze. Tych oficerów, w paradnych mundurach, przypominających pruskich feldmarszałków z XVIII wieku, było zwykle na Dworcu wiele. Oni teraz z rodzinami zamieszkali jakby na stałe w Stołpcach. Zajmowali - co widziałem, wygodne wille byłych żydowskich kupców i domy polskich urzędników, a na Dworcu dla wygody tylko się stołowali. Duże transporty zwykłych żołnierzy frontowych, wracających po wojnie z Niemiec, ze zdobycznymi rowerami, raczej w Stołpcach się nie zatrzymywały.

Przydziałowe kartki zawsze miałem, oczywiście, w zasadzie nielegalnie. Kombinował je mój świeżo poznany przyjaciel, mój równolatek – może o rok młodszy. On je „znajdował” – bo rosyjscy żołnierze, czy oficerowie niższych szarż – gdy dostawali kłęb takich różnej wartości kartek przydziałowych, to te „gorsze” po prostu wyrzucali, tuż za progiem Dworca, zatrzymując te „lepsze”. Więc z wyżywieniem w Stołpcach nie miałem większych kłopotów. Mając dużo wolnego czasu, penetrowałem z ciekawości – nawet samotnie - rozległe torowiska przy Zakładach Naprawczych. Były zawałone rozbitymi parowozami i postrzelanymi wagonami pasażerskimi. Coś zawsze usiłowałem odkręcić, ale wkrótce mi się to znudziło, zwłaszcza, że do wnętrza kilku spalonych czołgów, jakie też tam były, nie mogłem się dostać. Miałem też i dalsze, oraz dłuższe wypadki – próbowałem – już daleko za miastem, zdetonować znajdowane miny i niewybuchy, wsadzając je do ogniska. To się na szczęście nigdy nie udało – trotyl wytopiał się i spokojnie bez wybuchu spalał.

Wszedłem wtedy też w komitewę z pewnym jegomościem, jak się okazało, urzędnikiem z jakiejś dość odległej miejscowości (ale chyba nie z Iwieńca), przysłanym do odbioru trzech wagonów soli, przeznaczonych dla tej miejscowości. Ta sól - cała góra soli – została wysypana na tej naszej rampie, a właściwie poza rampą, bezpośrednio na koślawy bruk ulicy. Samochód ciężarowy, który przywiózł jegomością, zabrał trochę tej soli (może nawet pół tony? Może tonę?) i odjechał. Mój znajomy czekał na dalsze wozy, czekał i czekał, na drugi

dzień też, na trzeci, i przez wiele dni. Mógł zachorować, mógł zwariować – ale samochodów wciąż nie było. Ja go czasami zastępowałem, gdy odchodził – by gdzieś zatelefonować, a może za swoją potrzebą. W zamian wziąłem sporą torbę soli. Tymczasem sól się trochę rozmywała pod wpływem deszczów, robiło się też jej od deszczu wagowo więcej, bo wsiąkała woda. Jegomość nie zwariował, pojął wreszcie, co pojmuje większość urzędników – że zrzędzeniem losu stał się jakby właścicielem kopalni soli. Zaczarowanej, bo mimo sprzedaży soli nie ubywało. Bo on zaczął tę sól sprzedawać, wkrótce też zmienił swoją kurtkę na znacznie lepszą. A wyzywając los, zbierając nawet siusiał do tej soli, bo już odchodzić na bok mu się nie chciało. Ta sytuacja, jakby z opowieści Kafki, trwała ze trzy tygodnie, może nawet dłużej – bo gdy zaczęły wreszcie przyjeżdżać pojedyncze samochody – proceder oszukańczego odbioru soli był przedłużany. Każdy kierowca ważył sól po swojemu, każdy „wychodził na swoje” i wszystko się zgadzało. A „teren” otrzymywał sól, której od dawna tu rozpaczliwie brakowało.

Gdy bywałem na dalekich wypadach, tych właśnie z wytapianiem trotylu, widziałem z reguły duże stada krów rasy holenderskiej, pędzone z Zachodu na Wschód, zapewne z Niemiec.

Kiedyś dostrzegłem przeloty samolotów – mignęły szybko nad ziemią jak błyskawice, i lśniły jak błyskawice. To były zupełnie innego typu samoloty, niż te widziane w 1940 r. hałaśliwe wielomotorowe bombowce, poruszające się ociężale, bez aerodynamicznego wdzięku.

Przy końcu sierpnia zaczęli przy rampie, naszej rampie – pojawiać się jacyś ludzie, wyglądający na szykujących się do wyjazdu, tak jak i my. Może i byli wśród nich ludzie z Chotowa, ale nie potrafiliśmy ich rozpoznać. Staliśmy się czujni – co pozwoliło nam zauważyć, że nie wiadomo kiedy zginęły nam pewne rzeczy – w tym całe wyposażenie laboratorium fotograficznego mego Ojca, zawarte w koszu uplecionym na kształt kufra. Nie dopilnowałem.

Gdy bez uprzedzenia podstawiona pod rampę wagony i wezwano do ich obsadzenia w ramach repatriacji do Polski, raptem pojawił się tłum ludzi, zwierząt – koni i krów, moc sprzętu, całe wozy. Wyglądało na to, że wszyscy się nie zmieszczą, były też inne kłopoty - niektóre zwierzęta nie chciały wejść i opierały się. Do tego kilka osób – w tym z Chotowa – popędziło „co koń wyskoczy” do członków rodzin pozostałych jeszcze w domach rodzinnych – maruderów przewidujących dalszą zwłokę w podstawieniu wagonów. Zdaje się, że się udało ich zawiadomić i sprowadzić, bo widziałem na drugi dzień powracające znowu galopem konie, zaprzęgnięte tylko do przodków wozów. Jak oni mogli tak przybyć, utrzymać równowagę stojąc w zasadzie tylko na jedynej, przedniej osi wozu, w pędzie – to wymagało umiejętności szczególnych, niemal akrobatycznych. Prawie wszyscy wtedy już „na twardo” umiejscowili się w wagonach, obawiając się przybycia i zajęcia miejsca przez kogoś innego, a nieznanego. Nasza Podłasa weszła bez kłopotów i zajęła razem z nami pół wagonu – wagon był duży. Nasz miał naprzeciw odsuwanych drzwi piecyk, z pionową rurą wyprowadzoną na dach. Później z drugiej połowy wagonu ktoś się wyniósł i z czasem mieliśmy cały wagon dla siebie, ale to nastąpiło dużo później. Tymczasem w wagonach było tłocznie, chociaż nastrój był podniosły. Jechać mieliśmy przecież na Zachód, a nie na Wschód.

**Lata 1945 – 1948, i nieco późniejsze,  
czyli ze Stołpców, przez Zaklików - do Warszawy**

**I znowu jakby początek – od sierpnia 1945 roku**

**9 maja, 2015 r.**

Dziś znamienity dzień – jutro wybory Prezydenta Polski. Obecnie jest nim Bronisław Komorowski i pewne znaki wskazują, że znowu zostanie wybrany. Nie tak bardzo dawno, bo w latach 80-tych, gościliśmy go u nas, przy naszym stole, razem z mecenasem Dubois. Bo jedna z Ciotek przyszłego Prezydenta, zatrzymana przez SB, była w więzieniu. Druga mieszkała w tym samym domu, co my, przy ulicy Bełskiej. Spotkanie u nas było Solidarnościowe, organizowała je z innymi Basia. Mój udział był znikomy, raczej żaden, wymieniliśmy tylko uwagi o myślistwie, a raczej o perspektywach odzyskania, czyli zwrotu broni oddanej do depozytu w Milicji Obywatelskiej w dniu ogłoszenia Stanu Wojennego w Polsce. Mój rozmówca oceniał swoje szanse jako bliskie zera. A mnie już wtedy broń zwrócono, na Komendzie MO przy Madalińskiego. Zwracał mi broń ktoś taki wyglądający niedołęgowato, w wojskowym zielonym dreluchu, za dużym jak na niego o dwa, może trzy numery. Napisał skośnie na moim podaniu: „szeregowy członek Solidarności”. Zdziwiłem się wtedy głośno, że w pokoju, do którego mnie zaraz wprowadził, zostało tak mało broni myśliwskiej. On na to, że już prawie cała broń została zwrócona. Na moje pytanie, co będzie z tą pozostałą, odparł, że pójdzie do piwnicy. Ja na to, że w piwnicy jest wilgotno, i broń może zardzewieć. On spojrzał na mnie ze zrozumieniem, i powiedział tyle: „no, właśnie”. Rozmowa o broni się skończyła, gdy wszyscy zwołani na zebranie wreszcie się zeszli i zaczęli rozważać problem, jak działać by uwolnić Ciotkę z więzienia.

**10 maja wieczorem, 2015 r.**

No i już wiadomo, że będzie II tura wyborów, w sondażach najlepiej wypadli Duda i Komorowski. Te wyniki nie są sensacją, a raczej to, że frekwencja była niska, ok. 50 %. Ale ja powinienem wrócić do Stołpców, do wspomnień z sierpnia 1945 r.

***... i nagle ospale ruszyła maszyna po szynach ze stali, i biegu przyspiesza, i gna  
co raz prędzej ...***

Właśnie tak było. Wczesnym rankiem, zimnym. Jak to w sierpniu bywa, ale zapowiadającym słoneczny dzień – i był słoneczny, cichutko odczuliśmy trącenie wagonów. To oznaczało podłączenie lokomotywy do naszego transportu. Piszę o tym, podkreślając łagodność dołączenia, bo później nigdy chyba podłączenie parowozu nie było tak łagodne, przeciwnie, prawie zawsze następowało z takim uderzeniem i łomotem, jakby chodziło o wypróbowanie odporności buforów łączących kolejne wagony. Ale to dołączenie dobrze nas usposobiło, jazda się zaczęła, czekaliśmy przecież na jej rozpoczęcie. Tymczasem jednak cały skład pociągu był dopiero wyprowadzany ze stacji, więc nie była to jeszcze podróż, a jazda manewrowa. Ale i podróż wkrótce się zaczęła, i wkrótce się ujawniło, co się może zdarzyć w podróży. Zdarzyło się zepsucie parowozu, na samym początku, jeszcze w obrębie torów stacyjnych, tuż przed końcowymi zwrotnicami. Gdy zestaw zatrzymał się i hiobowa wieść o popsuciu lokomotywy rozprzestrzeniła się wzdłuż wagonów, podniosły początkowo nastrój upadł, zaczęły się rozważania, co z naszym transportem będzie. Niektórzy wyszli z wagonów i poszli w stronę lokomotywy – poszedłem i ja. Zobaczyłem obrazek taki: na dwóch bocznie

przystawionych do lokomotywy drewnianych stołkach leży jakaś lśniąca podłużna część maszyny parowej, przy niej siedzi maszynista i spokojnie paląc papierosa, jednocześnie zagaduje do stojącej obok dziewczyny, mocno okutanej, z czerwoną chorągiewką w ręku. Była to stacyjna dyżurna, mająca władzę nad ustawieniem zwrotnic wyjazdowych. Ubrana w watowane spodnie, okutana – nie wyglądała atrakcyjnie, i właśnie to było przedmiotem drwiących uwag maszynisty. Usłyszałem z całej rozmowy tylko uwagę, że on jedzie do Polski, a tam są takie dziewczyny, jak powiedział ”gibkije, tonkije” – i coś tam jeszcze dodał. Niczego więcej ani ja, ani nikt nie dowiedział się, wróciliśmy do wagonów, czekaliśmy - zaczęło prażyć Słońce. I, o dziwo – powoli zaczęliśmy, jechać, pędzić – zupełnie tak, jak u Tuwima. Widocznie maszynista nadrabiał opóźnienia, bo – mimo jeszcze jednego krótkiego postoju - wieczorem stanęliśmy w Baranowiczach. Dobrze napisałem, że „stanęliśmy” – bo ta cała podróż repatriacyjna, od początku do końca, była wypełniona częstymi postojami, i martwieniem się, jak długo postoiemy, i kiedy wyruszymy dalej. Do granicy w Brześciu było blisko, ale pierwszeństwo miały transporty wojskowe. My musieliśmy czekać. Ale czekając, rozglądaliśmy się ciekawie – bo było na co patrzeć. Zwłaszcza wieczorem, nocami – bo staliśmy dwie, może trzy doby. Nasz pociąg był jakoś tak usytuowany, że na teren stacji kolejowej patrzyliśmy nieco z góry. Stacja była wypełniona tłumami ludzi, było wiele ognisk, były rozmowy i śpiewy, różnojęzyczne, panowała ogólna wesołość – bo to byli przeważnie młodzi ludzie, w tym dużo dziewcząt – powracających z przymusowych robót w Niemczech. Wszyscy mieli bagaże, wszyscy czekali na możliwość załadowania się do jakiegoś pociągu, jedni wyjeżdżali, inni przyjeżdżali, panowała wciąż atmosfera zbiorowej radości z końca wojny – ale i atmosfera niejasnego dalszego biegu życia, po wojnie. Przejżdżały ciągle transporty powracających z Niemiec żołnierzy – ci też wieźli bagaże, najczęściej „zdobyczne” rowery, widać je było na dachach wagonów razem z ich szczęśliwymi posiadaczami. Taki już był stały widok transportów wojskowych z Zachodu, ale były też transporty gospodarcze, platformy wiozące jakieś maszyny, i wagony zamknięte – nie wiadomo co wiozące, z wartownikami.

Gdy później oglądałem różne filmy przedstawiające sceny z końca Wojny, powroty obozowych więźniów, wydarzenia na dworcach kolejowych, przypominałem sobie to wielkie obozowisko które widziałem w Baranowiczach, nocne światła i dymy ogromnych ognisk, i kłębiące się wokół nich tłumy. Te widoki były godne pędzla Goyi, Gericault.

W Baranowiczach nasz transport zaczął śpiewać polskie pieśni. Najpierw nieśmiało, w nielicznym gronie – jakby to był początkowy przypominający trening. Zaczęły śpiewać dziewczęta, potem już prawie wszyscy, spontanicznie i głośno. Przeważały pieśni kresowe, bardzo dawne, nawet dla mnie mało znane. A jednej, to w ogóle nie słyszałem przedtem, a właśnie ona była śpiewana najczęściej i zwykle na początku. Miała powtarzającą się zwrotkę:

*Marsz, marsz Polonia, marsz dzielny Narodzie,  
odpoczniemy po swej pracy w Ojczyściej zagrodzie.*

Tej akurat pieśni, zbyt dla mnie tęsknej, z żalobną melodią-zawodzeniem, nie śpiewałem. Uważałem ją za defensywną, niepewnie samo-pochwalną, zarówno pod względem treści jak i jękiwej melodii jakby wzorowaną na pokutnych psalmach. Nie była dzielna, ani brawurowa.

Czekając na wznowienie podróży, zdecydowałem się – rozebrałem na części moje dwa obrzyny i nocą wyrzuciłem je na wszystkie strony. Wokół stacji było wiele różnego znacznie lepszego porzuconego „dobra” – mnie zainteresował, na przykład, śliczny nowy silnik elektryczny – tak zidentyfikowałem tę maszynkę. Chciałem go zabrać, nawet go przyniosłem, choć z wysiłkiem, pod nasz wagon – ale nie zdecydowałem się wnieść, rodzice też byli przeciwni. Później żałowałem, bo to był zapewne wartościowy silnik trójfazowy, a nas nikt w tej podróży, nawet na granicy, później nie rewidował.

Wreszcie mogliśmy jechać do Brześcia, ale okrężną trasą, przez Łuniniec, Pińsk i Kobryń. Początkowo kierunek południowo-wschodni wzbudził obawy, lęki – dokąd nas wiozł?



*Z Baranowicz przez Polesie do Brześcia – Łuniniec, Pińsk, Janów, Drohiczyń Poleski, Kobryń*

Bo nie byliśmy ani dobrze informowani, ani nie rozeznawaliśmy się sami w topografii linii kolejowych. Jazda jednak była szybka, chociaż były i postoje, krótkie. Pińska nie zobaczyliśmy, wiedzieliśmy jednak, że jedziemy przez Polesie – świadczyły o tym rozległe obszary, najwyraźniej błotniste rozlewiska, odczuwaliśmy – przynajmniej ja odczuwałem – jakby trzęsienie się nasypu linii kolejowej – pod wpływem przejazdu pociągu, nawet miejscami dopatrywałem się fal wzbudzanych w sitowiu sąsiadującym z wątym nasypem linii. Może to było przywidzenie przewrażliwionego umysłu?

W Brześciu „sceny obozowe” widziane w Baranowiczach powtórzyły się, ale tu byliśmy krótko. Już na drugi dzień przed południem „przetoczono” nasz transport przez granicę, tak szybko i sprawnie, że przejazdu przez granicę prawie nie zauważyliśmy – wiadomo tylko było, że ktoś nie zdążył, no i pozostał w Brześciu – możliwe, że na długo. Paszportów innych, niż zbiorowe rodzinne listy wyjeżdżających, nie było, i nikt nie sprawdzał wagonów po ich zamknięciu, polegającym na zwykłym dosunięciu drzwi. Łatwość odsuwania drzwi wagonu towarowego – bo te drzwi, chociaż mocne i ciężkie – łatwo przetaczają się na rolkach, była przyczyną, kilka dni przedtem, wypadku śmiertelnego. Brutalne uderzenie dostawianego parowozu spowodowało ruch wagonu względem drzwi, w wyniku nastąpiło zmiżdżenie drzwiami czaszki młodego człowieka, niebacznie wyglądającego przez szparę między odsuniętymi drzwiami a ich obramowaniem. Podobne wypadki były i przedtem, ale polegały na przycięciu, w najgorszym razie zmiżdżeniu palców.

Gdy wyruszyliśmy z Brześcia i przejechaliśmy most graniczny na Bugu, nie zatrzymaliśmy się, aż w Białej Podlaskie. I od razu wiedzieliśmy, że jesteśmy w Polsce, u siebie.

Biała Podlaska ujęła nas spokojem, ładnością, pięknem drzew i trawników stacyjnych. I przyjęciem – poculiśmy się jak w domu. Dostaliśmy do wagonu olbrzymi dzban świetnej,



gorącej zupy, z niezwykle kluskami – jak z domowej kuchni. Do tego dano prawdziwą gazetę, polską. Tak ciepło zadbał o nas PUR (Polski Urząd Repatriacyjny). Niedługo ruszyliśmy dalej i wszędzie była ta nadzwyczajna opieka PUR, prawie na każdej stacji tak dobra, jak w Białej Podlaskiej. Jechaliśmy – najedzeni, odprężeni, senni - w kierunku Warszawy.

Jeszcze w Białej Podlaskiej zdążyłem przeczytać w gazecie, że właśnie w Katowicach rozpoznano i zatrzymano szefa krematorium na Majdanku – Hoffmanna, który chciał się ewakuować na Zachód podając się za Holendra – jeńca więzionego przez Niemców na Majdanku. Niewiele z tego zrozumiałem i może dlatego zapamiętałem. A już niedługo potem widziałem jego egzekucję, na Majdanku. Zawisł na tej samej szubienicy, na której sam wieszał więźniów.

Do Warszawy przybyliśmy po trzech dniach, obfitujących w postoje, wykorzystywane przez Ojca dla zdobycia siana dla Podłasej, a również wody – dla niej i dla nas. Zdobycie siana nie było trudne, bo napotykaliliśmy dobrze zaopatrzone wojskowe transporty z końmi. Trudniejsze było uzyskanie słomy na podściółkę. Wszystkie te czynności aprowizacyjne po minięciu Warszawy stały się nawet bardzo łatwe, gdyż był okres zbiorów i wjeżdżaliśmy w najbardziej rolniczą i żyzną część kraju, o dużym stopniu mechanizacji. Dlatego wkrótce Ojciec dość łatwo zdobył sprasowany sześcian słomy – której poprzednio nie mógł dostać. Był już pełny wrzesień, pełno było transportów z różnymi przydatnymi dla nas produktami rolniczymi, przy tym wiele wagonów było zagubionych, bez opieki. Pamiętam, trzymał się nas długo na pół już opróżniony wagon z marchwią, a przytrafił się też drugi taki sam z ziemniakami. Wagonów z ziemniakami zresztą wszędzie było pełno. Zdarzył się bezpański wagon z cebulą. Były też duże transporty z burakami wiezionymi do cukrowni. Więc przynajmniej na razie na zaopatrzenie dla Podłasej nie mogliśmy narzekać. A nas żywił PUR – lub też próbowaliśmy – z dobrymi skutkami – rozpalać nasz piecyk, by coś na nim ugotować i dla siebie. Paliliśmy w piecyku również dlatego, że już robiło się zimno, podróż się przedłużała. Podbieranie węgla kamiennego na kolei nie było łatwe i nawet wydawało się niebezpieczne - wagony z węglem były pilnowane przez ludzi z karabinami, nocami słychać było strzały. Jednak ludzie w tym czasie nie byli skłonni strzelać by zabijać innych z błahych powodów. Było tuż po wojnie, wielu wracało do domów, byli łagodni i odprężeni. No i przejeżdżaliśmy przez kraj w okresie obfitości zbiorów, zaspokajanie podstawowych potrzeb było proste. Przynajmniej w okolicach Kutna, Łowicza, u przedproża Poznania i bogatej Wielkopolski.

Ale tymczasem muszę jeszcze wrócić do Warszawy. Kilka dni staliśmy w tym morzu ruin, połamanego żelastwa, śmierdzącej zgorzeli spalonego Miasta – na różnych dalekich peronach i nierozpoznanych rampach – z wyjątkiem jednej. Była to historyczna rampa Syberia, a właściwie zespół ramp o tej nazwie na dalekiej Woli, na której wyładowali się przed laty Murmańcy, z niedźwiedzicą Baską. Zanim włączyli się znowu do walk w 1920 roku. Rampa Syberia już nie istnieje – ale nawet wiele lat później, gdy jeszcze istniała, a byłem czasem w jej okolicy, czułem skurcz tkliwości w sercu – nawet gdy kupowałem (na raty) w pobliskim magazynie meblowym przy ulicy Kolejowej zwykły tapczan do spania.

Więc - gdy staliśmy całym transportem przy rampie Syberia, oniemieli i onieśmieleni ogromem zniszczeń, Matka zdobyła się na odwagę i wyruszyła – w jakieś wyimaginowane Śródmieście. Skąd wiedziała, gdzie jest - i jak się poruszała, jak trafiła z powrotem. Przecież transportu miejskiego w tej przeraźliwej przestrzeni nie było, nawet nie można było rozpoznać, jak ulice biegły – bo i ludzi prawie nie było na tym nieludzkim pustkowiu.

Gdy wreszcie wróciła, przyniosła żałobne wieści – Biblioteka na Koszykowej spalona, Ciotka Marynia zginęła w Powstaniu, Sława wywieziona do Niemiec zaginęła bez wieści. Z taką wiedzą wyruszyliśmy, gdy transport wreszcie skierowano w dalszą drogę, na Zachód. Ale właśnie po wyruszeniu z Warszawy Matka zaczęła kombinować, jak by wydostać się z transportu – bo nie chciała osiedlać się na obcej - „niemieckiej ziemi”, jak nazywała tereny

zwane później Ziemiami Odzyskanymi. Oderwanie się od transportu było jednak na razie prawie niemożliwością – wszystkie zza Bugu były „przymusowo” kierowane na Zachód, bądź na Pomorze. Matka była jednak uparta i wreszcie wyjście z transportu się udało, jednak tylko częściowo, bo dopiero w Poznaniu odłączono nasz wagon – tylko nasz – i dołączono do końca innego składu, podobno kierowanego do Torunia. Nastąpiło wtedy rozerwanie transportu uformowanego jeszcze w Stołpcach. Od początku nie był to transport jednolity, Chotowianie stanowili tylko małą jego część. A Matce zaś marzyło się przedostanie się w Chełmskie, a najlepiej w Lubelskie. Tymczasem jednak jechaliśmy jakby w przeciwnym kierunku, bo do Torunia.

Ze względu na częste postoje, odłączanie i dołączanie różnych wagonów, podróżowaliśmy wtedy wyjątkowo wolno. Czas upływał, było już pod sam koniec września, gdy docieraliśmy do Torunia. Stawało się zimno, nocami zdarzały się przymrozki, więc już od Warszawy systematycznie paliliśmy w naszym piecyku. Jego ściany rozgrzewaliśmy czasem do czerwoności – co było niebezpieczne, ale dawało błogie ciepło. Paliliśmy węglem „zdobywanym” z transportów kolejowych. Wtedy byliśmy już w wagonie sami, tylko z Podłasą, i nasz wagon stał się dobrym „obżytym” przytuliskiem – a na zaprowiantowanie też nie można było narzekać. Moja stopa, przebita hakiem ciesielskim w dniu wyruszenia z Chotowa, mimo że prawie nie zdejmowałem obuwia, już była zagojona i mogłem swobodnie myszkować po wagonach transportów z różnymi rodzajami płodów rolniczych. Nie próbowano też do mnie strzelać, chociaż straszono i przepędzano – gdy kombinowałem kawałki, lub większe bryły węgla.

O kontakt z PUR i o prowiant troszczył się jednak głównie Ojczym. Zadziwił nas kiedyś bardzo, gdy na jakiejś stacji – może w Inowrocławiu, gdzie zanosilo się na dłuższy postój, wrócił z przydworcowego Bazaru nie z wiązką siana dla Podłasej – co byłoby zwykłym sprawunkiem, lecz z kilkoma wędzonymi flądrami. Dostał je za bańkę świeżego mleka od Podłasej. Tak po raz pierwszy objawiła się nam zarówno magia rynku, jak i korzyści z dostępu do Bałtyku. Pamiętam te flądry, dobrze uwędzone, smakowite. Dotychczas z morskich ryb znaleźmy solone śledzie i konserwowe szproty w oleju, dostępne przed wojną.

Chyba na tej samej stacji, ale może na innej – postojów było tak dużo, że trudno było zapamiętać – późnym wieczorem, już właściwie nocą, poczuliśmy wstrząs wagonu – wiadomy sygnał, że do naszego wagonu parowóz dołączył jakiś inny wagon, lub nawet kilka. Z głosów, jakie usłyszeliśmy, wywnioskowaliśmy, że tymczasem w drogę nie ruszymy, bo dołączenia dodatkowych wagonów dokonał stacyjny parowóz manewrowy, który już odjechał. Zapowiadała się więc noc spokojna, i w zasadzie mogliśmy udać się na spoczynek, przewidując dołączenia parowozu trakcyjnego dopiero rano. Wszystko to wywnioskowaliśmy przy drzwiach wagonu zasuniętych i zaryglowanych przezornie już wieczorem, by pod osłoną nocy nie wtargnęli jacyś niepożądani goście. Ta noc nie była jednak spokojna. Wkrótce usłyszeliśmy inne głosy, nawet krzyki, potem dobijanie się do drzwi naszego wagonu, żądania ich otwarcia. To były żądania wypowiedziane wyłącznie po rosyjsku, ale przy tym jakoś źle artykułowane, bełkotliwie, z elementami gróźb. Groźby nie były spełniane, „napastnicy” jednak ponawiali żądania otwarcia drzwi, co jakiś czas odchodząc od naszego wagonu, i wracając. Nad ranem, gdy już dobrze świtało, zdecydowaliśmy się jednak wyrzeć, bo już zaczęły się słyszeć zwykłe odgłosy obsługi kolejarskiej i innych ludzi. Napastnicy też ucichli, i wkrótce okazało się, że to byli dwaj żołnierze sowieccy, z wyglądu całkiem sympatyczni, a przy tym tak zmarznięci, i już nareszcie trzeźwi – że natychmiast zaprosiliśmy ich do wagonu, by się ogrzali przy piecyku i napili się czegoś gorącego. Bo co się okazało – im obu powierzono konwojowanie dwóch zaplombowanych wagonów, właśnie tych dołączonych w nocy, bez możliwości wejścia do środka. Te wagony nie miały nawet dyżurek, które mogłyby służyć za schronienie choćby przed wiatrem. Na drogę poczęstowano ich jedynie łykiem wódki, chyba byli też bez prowiantu. Gdy się u nas trochę ogrzali i coś zjedli, ujawnili

tajemnicę – w obu wagonach były duże beczki amerykańskiego szmalcu, i oni mieli je gdzieś dostarczyć. Wszystko to wyglądało głupio i zarazem groteskowo, i obaj, po solennym przeproszeniu mojej Mamy za nocne awanturowanie się, z ulgą przyjęli naszą propozycję zakwaterowania się na razie u nas, w naszym wagonie. Jeden z nich - Sasza, był Rosjaninem, pochodził z Orła, objawiał zauważalną ruchliwość umysłu, typową dla mieszkańca dużego miasta. Drugi, Iwanko, którym dowodził, był Ukraińcem, łagodnym i młodym mieszkańcem wsi. Mieliśmy podróżować razem, ale tymczasem utknęliśmy w tym Inowrocławiu. Pomysłowy Sasza, widząc jak Ojciec, korzystając ze znajomości zawartej na przydworcowym Bazarze, wymienia mleko od Podłasej na chleb i inne produkty, już na drugi dzień zaplanował różne warianty wejścia do zaplombowanych wagonów z beczkami szmalcu. W jednym z wariantów plan przewidywał moje przeciśnięcie się przez wąskie okienko wagonu, gdyby je jakoś udało się otworzyć. Wobec dezaprobaty Mamy, Sasza uruchomił inny plan, bardziej bezpośredni. Gdy się następnego ranka obudziłem, Sasza pokazał nam dwa nasze wiadra służące do pojenia Podłasy, oba do  $\frac{3}{4}$  wysokości napełnione szmalcem. Plomby wagonowe okazały się niezbyt trudną przeszkodą, zostały *post factum* zręcznie i bezproblemowo zagięte tak samo, jak poprzednio. Z jednym wiadrem Sasza udał się na Bazar, a gdy wrócił, częstował nas białym chlebem i innymi specjałami. Nasza przyjaźń nie przetrwała próby wydarzeń, bo ich oba wagony wkrótce odłączono jako zagubione – zostało sympatyczne wspomnienie i pół wiadra szmalcu.

Gdyśmy wreszcie przybyli do Torunia, wobec rozproszenia wagonów tego lokalnego transportu, do którego - dość przypadkowo, a szczęśliwie - zostaliśmy w Poznaniu po Mamy staraniach dołączeni, udało się również Mamie namówić kolejarzy, by nas dołączyli do jakiegoś transportu zdążającego do Lublina. A choćby tylko zahaczającego o okolice Lublina – bo co niby mieli z nami zrobić ? Kolejarze rozumieją podróżnych, a zawsze przejawiali życzliwą wrażliwość wobec ludzi z Kresów. Zresztą – kto niby miał nam teraz wyznaczać trasę repatriacji? Wygodnie było nas się pozbyć. Dlatego w Toruniu staliśmy wyjątkowo nie długo, tylko jedną dobę. Ale w tym dniu, deszczowym – obserwowałem ewakuację Niemców, na Zachód. To nie był przyjemny widok. Niemcy, niemal wyłącznie starzy i bardzo starzy ludzie, niedołężni, mieli być wywiezieni na otwartych platformach kolejowych, przy siąpiącym deszczu. Wdrapywali się na te platformy, bardzo już zagęszczone tłumem ludzi i tobołków. Gdy ich pociąg ruszył, chociaż ruszył bardzo wolno, jeden staruszek mimo wielu prób nie zdołał już wejść na platformę, zatrzymał go w końcu milicjant, zdecydowanie, ale bez użycia przemocy. Po odjeździe dojrzałem na odsłoniętej po platformie przestrzeni ludzkie zwłoki, bardzo starego człowieka, w czerni. Obok niego leżała talia kart. Piszę o tej talii dlatego, że moja Mama podeszła do leżącego ciała zmarłego, przyjrzała się uważnie, a odchodząc schyliła się i zabrała pozostawioną talię. Karty nie były rozrzucone byle jak, talia tylko nieco się rozchyliła, jak wachlarz. Myślę, że Mama zrobiła to – zabrała pozostałą po zmarłym talię – pod wpływem jakichś przesądów, częstych u ludzi zajmujących się wróżbiarstwem na poważnie.

Wydarzenia tego dnia pamiętam, natomiast zupełnie nie pamiętam, i to żadnych szczegółów - z podróży do Lublina, i znalezienia się – wraz z naszą Podłasą, w byłym obozie Junaków, na ulicy Fabrycznej w Lublinie. Z tego obozu, przeznaczonego chwilowo dla repatriantów, z racji jego położenia na wysokim brzegu skarpy nad rozległą doliną, widać było szeroko rozpostarty w dole obóz śmierci Majdanek. Był początek października 1945 roku.

### **16 maja 2015 r. , Sobota, chwilowo w Zaklikowie**

Rozkwitły pięknie bzy. Basia otrzymała pęk gałązek od Oszustów, gdzie byliśmy na herbatce i kilku kropelkach czegoś mocniejszego. Zatrzymaliśmy się dłużej na obejrzenie w TV filmu o dziejach 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty. Jej smutne dzieje jakże podobne do losów Legionów z Puszczy Nalibockiej. Brak wyższego Dowództwa, zdrada aliantów, jedynym imperatywem jest – „jak słodko ginąć za Ojczyznę”. Rzędy białych krzyży – dowody

bezradności, bezsensu walki na wszystkich azymutach. A obecnie to co – też jest podobnie, Polacy podzieleni na partie zwalczają się na zasadzie „każdy z każdym”, jak na Sejmikach opisywanych przez Paska. Bóg nas przeklął, odjął rozumienie racji bytu narodowego. Nie potrafimy organizować się, co sprytniejsi – wyjechali. Zginiemy, a raczej znikniemy jak Etruskowie, i wiele innych nacji. Jutro Niedziela, pora wznowić pisanie, to moja powinność.

#### **Wtorek, 19 maja 2015 r.**

Niestety, nie piszę, załatwiam przyziemne sprawy: wymiana kół na letnie, problem wymiany licznika wody odprowadzanej do podlewania podwórkowego trawnika, wiśni i kwiatów. Perspektywa poniesienia pełnych kosztów tej wody, nie uwzględnianej dotychczas w rachunkach wystawianych nam w Urzędzie Miasta Zaklikowa, w części za używanie instalacji kanalizacji, ze względu na nie odprowadzanie tej wody do kanalizacji. Nieprzyjemne rozmowy w Dziale Technicznym, który powinien kontrolować (czyli – odczytywać) nasze liczniki, a nie czyni tego. Ten problem powstał jeszcze w ub. roku, gdy wyszło na jaw, że Urząd Miasta mimo umowy nie dostarcza nam wody z sieci miejskiej, a uparcie twierdził, że dostarcza. Fałsz tego twierdzenia ujawniłem w piśmie z 19 sierpnia 2014 r., utrzymanym w lekkim tonie. Obecne rozmowy to chyba „zemsta” za to pismo. Dowiaduje się na własnej skórze, jak może być traktowany „petent” w Urzędzie. Wodę oczywiście zawsze miałem, ale z sieci OSP.

No i stan zdenerwowania – debata przedwyborcza kandydatów na prezydenta RP. Tłum gapiów odbiera to jako wydarzenie sportowe, z dziedziny boksu. Czy Piłsudski boksowałby się z szewcem? By być Naczelnikiem Państwa?

Napisałem o tym niemożliwym boksowaniu się „Marszałka z szewcem”, bo czytając Jego przemówienia, a zacząłem czytać je wcześniej, napotkałem krytyczną wypowiedź o demokracji, w której jego głos jest tyle samo wart, co głos „byle jakiego szewca”. Tak się ta wypowiedź Naczelnika Państwa do mnie przyczepiła, że rozważając zalety i wady systemu demokratycznego parlamentaryzmu, od przypomnienia jej zaczynam. Ale czy Piłsudski brał pod uwagę Jana Kilińskiego, przecież szewca, nawet super-szewca, bo był Starszym Cechu Szewskiego w Warszawie. I bycie szewcem nie przeszkodziło Mu w wzniesieniu w Stolicy „ruchawki”, mającej wszelkie cechy Powstania Narodowego.

Przy okazji, przypominam sobie inną wypowiedź, niejakiego Iljicza, który siedł dalej niż Piłsudski, ale w przeciwnym kierunku, bo - z kolei – głosił możliwość kierowania państwem w systemie komunistycznym nawet przez „kucharkę”. Najwyraźniej obaj panowie odwoływali się, choć z odmiennymi intencjami, do istot stojących mentalnie – ich zdaniem – dostatecznie nisko w społeczeństwie.

O Marszałku Józefie Klemensie Piłsudskim wspominam zresztą nie tylko dlatego, że jestem pobudzony emocjami przedwyborczymi, lecz dziś również ze świadomości, że przed tygodniem minęła 80-ta rocznica Jego śmierci. Łączę ją zawsze ze śmiercią mojego Ojca – zmarł – jak zapowiedział - miesiąc po „towarzyszu Wiktorze”, 5 czerwca 1935 r.

#### **Piątek, 22 maja 2015 r. , Zaklików**

Jeszcze w Zaklikowie, chociaż dziś mieliśmy wracać. Wreszcie wczoraj wymieniono nam licznik. Zrobił to uprzejmie i sprawnie Zbigniew Tur, sympatyczny hydraulik, ten sam który w ub. roku wykrył i nieopatrznie poświadczył brak dostaw wody z sieci miejskiej. Nieopatrznie dla sfery urzędniczej, a zgodnie z prawdą i korzystnie dla nas.

Przed tym Basia miała w Urzędzie Miasta nieprzyjemną rozmowę z urzędniczką – bo sprawa wymiany licznika ciągnęła się od poniedziałku, i w terminach niby uzgodnionych Pan Tur nie pojawiał się, bo widocznie miał „zakazane”, chyba były to zwykłe – jak to u nas - dasy urzędnika, demonstrującego, co „może”. Ano, coś tam może.

WOJCIECH MŁYNARSKI

## Licze na cud

Nienormalni i normalni,  
skołowany polski ludu,  
Rodacy nieobliczalni,  
żyjący w krainie cudów.

Nowa czeka nas atrakcja,  
którą tak bym zdefiniował,  
szykuje się demokracja  
policyjno-wyznaniowa.

Na nowego Prezydenta,  
co podkreślam w tym wierszyku,  
będzie wpływać Trójca Święta  
ustami swych urzędników.

I nareszcie, piękna sprawa  
w skali makro, w skali mikro,  
można będzie z mocy prawa  
zapuszkować za in vitro.

A kto spyta – Co jest grane?  
Nie pasuje do winietki,  
się odwiedzi go nad ranem  
i założy bransoletki.

Więc rozsądek zdrowy wyzwól,  
byś nie musiał się przekonać,  
jak z pomocą populizmu  
robi z ciebie się balona.

By uniknąć tego losu  
i by nie mieć gigant kaca,  
wyjdź więc z domu i zagłosuj,  
to jest niezbyt ciężka praca.

Frekwencję uaktualnij,  
zmień jej procent i oblicze.  
Jesteśmy nieobliczalni  
i ogromnie na to liczę.

WARSZAWA, 15 MAJA 2015  
Drukujemy za uprzejmą zgodą Autora. Jednocześnie informujemy, że  
krążący w internecie wiersz „Nie jestem już żaden smarkacz” przypisywany  
Wojciechowi Młynarskiemu nie jest jego autorstwa. REDAKCJA

Już nie czytam gazet, w czasie „wyborczym”  
relacje – wszystkie, a zwłaszcza polityczne –  
wyglądają jak relacje z kick-boxingu, czy z walki  
w błocie. Zresztą, chyba podobnie pospolicie są  
relacjonowane nawet literackie dysputy – im  
więcej inwektyw, im więcej brudu – tym więcej  
ekspresji w formułowanych opiniach. Tak sądzą  
ich autorzy.

Są jednak i inni. Przytaczam obok utwór będący  
w istocie modlitwą o CUD.

Czy ktoś powie, że cuda się nie zdarzają?

**Niedziela, 24 maja 2015 r. , Warszawa**

Dzień świąteczny i wyborczy, ale ja całe popołudnie siedzę i poprawiam dotychczasowy tekst. Wojtek Nowakowski chce coś z niego wykroić do redagowanej książki wspomnień Absolwentów Politechniki Warszawskiej. Ciężko mi idzie, jestem zamroczony wczorajszą powrotną podróżą z Zaklikowa, chociaż to Basia prowadziła - podróż trwała od 11.45 do 18.15, z przerwami na nabranie paliwa i na obiad w Karczmie przy Górze Kalwarii.

Więc poprawiam i wysyłam urywki tekstu, a jeszcze dodałem sobie trudu, napisałem list do Andrzeja za Ocean. List pocieszający w zakresie dolegliwości kardiologicznych, wymagających założenia stymulatora. Pocieszam go, że stymulator mam przeszło 6 lat i czuję się – no – jako tako dobrze. Ale drugą część listu poświęciłem perspektywom tutejszym, polskim – bo Andrzej zza Atlantyku, z takiej odległości, zaczął narzekać na zepsucie języka polskiego, na pół-inteligenckie zwroty słyszane w mowie „plebsu”. Ja na to od kilku dni mityguję go, przekonuję, że „inteligentyzmem”, swoistą dla tej „formacji” spokojną elegancją wypowiedzi – raczej nie powinien popisywać się ten, kto chce być wybrany przez „lud”. Lud nie znosi „ynteligentów”, woli dobitną skrótowość, temperament piłkarskich kibiców, czy kiks-bokserów, i to się ujawnia na każdym kroku, a zwłaszcza w czytelnictwie książek i rozumieniu czytanych treści. Słownictwo ludu i polityków ogranicza się zapewne do jakichś 700 słów, często obraźliwych i wulgarnych. No i wykrakałem – właśnie Basia podeszła od TV z wiadomością, że wg sondaży Bronisław Komorowski przegrał wybory Prezydenckie. Z Andrzejem Dudą. No to i cóż, rozpaczając po tych zmianach? Nigdy jeszcze nie było, żeby jakoś nie było – „na tym Świat stoi” (zwrot zapożyczony z Bułhakowa).

Ale ja jeszcze dziś pragnę powrócić do moich wspomnień, do chwili, gdy przybyliśmy wreszcie do upragnionego przez Matkę Lublina. Jak już oznajmiłem, nic z tej podróży nie zapamiętałem – myślę, że to dlatego, że wyjechaliśmy z Torunia pod wieczór, zapewne jechaliśmy śpiąc całą noc, i szybko, bo ta trasa nie była zatłoczona transportami z Niemiec na Wschód. Rankiem wyładowano nas w Lublinie i Podłasa od razu trafiła do kilku innych krów dobrze „zagospodarowanych”, w obozie przejściowym, a nas też od razu umieszczono w dużym, ciepłym pomieszczeniu, gdzie bytowało razem kilka podobnych rodzin świeżo repatriowanych ze Wschodu. W tym obozie była dobra kuchnia, nie musieliśmy się specjalnie o aprowizację martwić – tylko doglądaliśmy Podłasy i aklimatyzując się, rozglądaliśmy się po okolicy. Ulica Fabryczna była wtedy na skraju miasta, jej przedłużenie po przebudowie nosi



przydługą nazwę Ulicy Męczenników Majdanka. Odbywaliśmy coraz dłuższe spacery do Centrum Lublina, ale również odwiedzaliśmy pobliskie liczne kioski-sklepiki, gdzie można było sobie pogadać. Niczego w nich nie kupowaliśmy, bo tam były głównie cukierki i napoje, a nam niczego specjalnie nie brakowało, a zresztą – nie mieliśmy pieniędzy. Zarysowały się jednak nasze potrzeby odzieżowe. Należało się właściwie ubrać, zarówno ciepło ze względu na zimnicę – było przecież pod koniec października, no i odpowiednio dostatnio, tak, by się specjalnie nie wyróżniać negatywnie z otoczenia. Niby nie było to bardzo trudne, bo po wojnie wszyscy ubierali się „jak popadnie”, ale jednak jakieś pieniądze – choćby na skromne elementy przyodziewku, a zwłaszcza na obuwie - trzeba było mieć. Rozejrzeliśmy się z Ojcem po różnych ogłoszeniach w bramach i wioskach, no i zaczęliśmy się wynajmować do piłowania i rozszczepiania drzewa na opał do mieszkań w kamienicach. Odbywało się to piłowanie zwykle w ciasnych pomieszczeniach piwnicznych o zatęchłym powietrzu, często bardzo źle oświetlonych. W tych podziemiach pod kamienicami nie było nigdy koziółków służących do takiego ułożenia drzewa, by było można je w miarę wygodnie piłować. Stropy piwniczne były niskie, więc piłować i rąbać drzewo musieliśmy prawie zawsze w pół zgięciu. A do tego, nasza piła, ta przywieziona jeszcze z Chotowa, nie bardzo w ogóle nadawała się do sprawnego przecinania drzewa.

Nasze rozczarowanie co do możliwościami zdobycia fortuny przez pracę „w drewnie” pogłębiły marne wynagrodzenia. Więc po dłuższej serii występów w charakterze „tanich piwnicznych drwali” zakończyliśmy tę kampanię zarobkową – była zbyt wyczerpująca. Wtedy zresztą już były nawiązane kontakty z władzami oświatowymi, a Matce udało się skomunikować z Ciotką Heleną. Była nadal w Potoku, dała znak, że żyje, i że zachęca Rodziców do objęcia szkoły w po-hrabiowskiej wsi Irena pod Zaklikowem. No i Rodzice uznali, że skoro odpoczęliśmy i nasycili się dowoli życiem miejskim w Lublinie, to należy załatwić przydział w Kuratorium w Lublinie, bądź na miejscu, w Inspektoracie Szkolnym w Kraśniku. Z tym nasycaniem się życiem w Lublinie to jednak było tak, że nie tyle poznawaliśmy miasto, lecz raczej zaznajamialiśmy się z opowieściami ludzi przybywających z różnych stron, i – chcąc nie chcąc - bytujących razem z nami w tej jednej ogromnej izbie baraku obozu Junackiego, do której nas wtłoczono. Były też inne podobne izby w tym baraku, a takich samych baraków było w obozie co najmniej kilka, może nawet kilkanaście – może jeszcze stoją? To były dobre, jeszcze nie zniszczone i dobrze ogrzewane pomieszczenia, było nam w tej wspólnej izbie, mimo jej zatłoczenia, właściwie dobrze. Wiezorami, po kolacji przy rozpalonym piecu, wysłuchiwalismy dziwnych, często przerażających opowieści o kolejach losu Polaków przybyłych z różnych, nawet bardzo dalekich stron. A ciągle napływali nowi ciekawi ludzie, więc można by rozmawiać i rozmawiać, w nieskończoność. Mnie najbardziej przejęły opowieści z Wołynia, zwłaszcza pewnego brakarza z tartaku na Wołyniu, który opowiadał, co zastał w domu i w okolicy po powrocie z wojny. I co potem robił: przez szereg miesięcy był ochotniczo przewodnikiem karnych oddziałów (chyba NKWD), pomagał wynajdywać leśne kryjówki Ukraińców, którzy pomordowali członków rodziny i rodzin przyjaciół. Jednak po kilku egzekucjach przeprowadzonych na miejscu na pijanych rezunach – zaniechał zemsty i z ocalałymi członkami rodziny wyjechał do Polski.

Ale przecież przybyliśmy już prawie do końca podróży, trzeba było się gdzieś ustabilizować. Na mnie, dorastającego młodzieńca, czekała gdzieś szkoła, na Marysię też, a na Rodziców też czekała w Irenie szkoła, byli już wstępnie zaangażowani, a rok szkolny już się zaczął.

Zanim wyjechalismy, zdarzyło mi się być na Majdanku na egzekucji szefa krematorium Paula Hoffmanna. O jego ujęciu w Katowicach przeczytałem w pierwszej polskiej gazecie, jaką otrzymałem w Białej Podlaskiej tuż po przejechaniu mostu granicznego w Brześciu. O tym, co się dzieje, i że będzie egzekucja, dowiedziałem się, gdy zauważyłem ogromny tłum ludzi zmierzający ulicą Fabryczną w dolinę, w kierunku Majdanka. Przedtem, ani potem, nigdy na Majdanku nie byłem. Postanowiłem dołączyć do tłumy, liczącego podobno, jak czytałem,

ponad 20 tysięcy ludzi, głównie mężczyzn. W tłumie z trudem torowała drogę ciężarówka, na jej pomoście wieziony był skazaniec, pilnowany przez milicjantów uzbrojonych w pepesze. Byłem od nich daleko, więc może dlatego nie słyszałem strzałów w powietrze, oddawanych w górę dla ostrzeżenia i utorowania drogi tej milicyjnej ciężarówce, poruszającej się w gęstym tłumie, więc powoli. Iść było trudno ze względu na ścisk, ale prawdziwe trudności poruszania się pojawiły się dopiero po skręceniu w prawo, na teren obozu Majdanka – bo tam trzeba było brnąć przez gęste i głębokie błoto, z gliny, bardzo kleiste, miejscami sięgające wyżej kostek. Widziałem osobę stojącą na jednej nodze, próbującą wyciągnąć ręką utkwione w glinie obuwie, przy napierającym tłumie. Gdy zbliżyłem się nieco do szubienicy, ale nie bardzo blisko, bo nie byłem aż tak bardzo ciekaw szczegółów, ciężarówka już podjechała tyłem pod szubienicę, z pięcioma hakami. Hoffmann był już wtedy pozbawiony SS-mańskiej czapki i płaszcza, stał pod środkowym hakiem i właśnie kat w białych rękawiczkach zakładał mu na szyję pętlę zwisającą z tego środkowego haka. Skazaniec miał jeszcze wtedy związane z tyłu ręce, ale tego nie jestem pewien, bo wszystko działo się szybko. W pewnym momencie, gdy kat po zdjęciu obu rękawiczek rzucił je w twarz skazańca, ciężarówka gwałtownie wyjechała, w wyniku czego Hoffmann całym ciężarem zawisł na pętli – unosząc ku górze dłonie, co trwało krótko. To wszystko widziałem, a również falę tłumy, który się rzucił ku wisielcowi, i w przystępie nienawiści rozebrał do naga, co było obrzydliwe i czemu usiłowała sprzeciwić się straż. Wisielcowi wciągnięto jednak z powrotem spodnie, na kawałku drutu umocowując do pasa SS-mańską czapkę. Ruszyłem spieszenie z powrotem, do „domu” na Fabryczną. Starannie omijałem obszary gliny – zaczęło się ściemniać i deszcz zaczął padać bardziej. Dziś przeczytałem, że egzekucję Hoffmanna przeprowadzono 23 grudnia 1945 r. - ta data koliduje z moim przekonaniem, że odbyła się w listopadzie – czyż bym się mylił?

W każdym bądź razie, jeszcze w grudniu odwieziono nas kolejną, znowu w jednym wagonie z Podłasą, do Zaklikowa, i przewieziono konnym wozem do Ireny – najpierw do hrabiowskiego Pałacu Tarnowskich, z herbem Leliwa zaopatrzonym w pałki, identyfikujące pierwotnego właściciela. Witając nas na frontonie napis „Dobro pożalował, drogie wojny” – bo Pałac do niedawna gościł sowiecki szpital wojenny – naprzeciw, po drugiej stronie ulicy, był okazały cmentarzyk pacjentów szpitala, których nie dało się uratować. Obok stał Krzyż – stał długo, zapewne nadal stoi – bo pod Krzyżem z męką Pańską odbywały się pod wieczór nabożeństwa majowe (oczywiście, nabożeństwa majowe, jak sama nazwa wskazuje, odbywają się w miesiącu maju). My zaś przybyliśmy w środku zimy. Z mieszkaniem mieliśmy w Irenie duże kłopoty. Nikt na nas nie czekał, nikt nie przewidział naszych potrzeb mieszkaniowych, centrum dyspozycyjne to był Urząd Gminny w Zaklikowie, gdzie chyba przewidywano, jeżeli w ogóle coś przewidywano, zamieszkanie w Irenie w Pałacu hr. Tarnowskiego, gdzie też miała mieścić się szkoła. Mieszkanie w pół zrujnowanym, zimnym Pałacu, ze zniszczoną całkowicie instalacją wodną i kanalizacyjną – zupełnie nam nie odpowiadało, nie nadawało się nawet na pierwszy nocleg. Na kilka pierwszych dni zakwaterowaliśmy się w sąsiednim domu, bardzo ciasnym – to był typowy proletariacki domek z serii wybudowanych w trybie skrajnej oszczędności dla pracowników dawnej Huty Żelaza w Irenie, z małutkim błotnistym podwórkiem otoczonym szopkami. Potem przydzielone nam mieszkanie w nieco większym drewnianym domku, wybudowanym kiedyś dla służby pałacowej, też starym i zniszczonym – ale ten domek został wkrótce oddany rodzinie starego oficjalisty Matosza, w ramach dopiero co rozpoczętej reformy rolnej. Więc przenieśliśmy się do równie nieodległych czworaków – no i tam zatrzymaliśmy się dłużej. Podłasa miała lepiej – zajęła od razu miejsce w oborze hrabiowskiej i nikt jej nie przenosił. I miała zapewnione siano, seradellę i inne specjały.

**Wtorek, 26 maja 2015 r.**

Niestety, nasz kandydat nie został wybrany, ku powszechnemu zdumieniu, nie tylko w Polsce. Wybrały Prezydenta „płoty”, czyli wieś, głównie z dawnego zaboru rosyjskiego, nie

bez zaleceń proboszczów. Ano, jeszcze Polska całkowicie nie zginęła, jednak bardzo skurczyła się. Za granica piszą, że to był „wypadek przy pracy”, że sztab wyborczy Komorowskiego był nieruchawy, że za duża była pewność wybrania. A jednak – szok.

Wracam do swoich wspomnień. Pokrótce muszę opisać Irenę, wieś, w której wylądowaliśmy. Irena to mała wieś, raczej osiedle pozostałe po fabryce żelaza, wytapianego w piecach hutniczych opalanych drewnem z miejscowej rudy darniowej, przerabianego metodą pudlingowania i walcowania. Fabrykę i osiedle wokół niej założył hr. Henryk Łubieński w 1837 r., nadając imię żony – Irena. Produkcję oparto na drewnie dostarczonym z rozległych kompleksów leśnych wokół Zaklikowa, zakupionych przez hr. Łubieńskiego od ich właścicielki, dziedziczki Puchaliny. W fabryce, zwanej potocznie Hutą, byli zatrudniani przez kilkadziesiąt lat zarówno robotnicy miejscowi, jak i specjaliści z Anglii i Niemiec. Po serii niepowodzeń i w wyniku przejęć własnościowych, fabryka zakończyła działalność w 1889 r. Obecnie nawet nie widać śladów po piecach hutniczych, chociaż ich produkcja była kiedyś w Kongresówce znacząca, w latach 70-tych Fabryka zatrudniała 350 osób. Dla Ireny to był najlepszy okres, później wieś raczej ciągle biedniała. Niewątpliwie miało to zasadniczy związek z postępującą nierentownością metody wytapiania surówki opartej na opalaniu pieców hutniczych drewnem.

Na miejscu pieców hutniczych został przez nowego właściciela hr. Szczepana Tarnowskiego wybudowany dworek, nazywany Pałacem, dość skromny, z ulicy obecnie mało widoczny, bo przesłania go nowoczesna zabudowa Ośrodka Opiekuńczego, prowadzonego przez Szarytki. Mimo dobrego zarządzania majątkiem, i zreformowania serwitutów w latach 1910-28 r. oraz dokonania szeregu korzystnych inwestycji, w tym wybudowania elektrowni przy młynie w Zaklikowie, potomkom Hrabiego nie udało się jednak doprowadzić gospodarki Ireny do poprzedniej świetności. Zasadniczy upadek spowodowały II Wojna Światowa oraz upaństwowienie majątku w ramach reformy rolnej, ale i tragiczne wydarzenia rodzinne.

Można jeszcze i dziś wykryć kilka chałupinek-pudełek, wybudowanych specjalnie dla robotników przed bodaj 200 laty. Dzisiaj jednak w Irenie widać raczej tylko nowoczesne domy, położone wzdłuż ulicy asfaltowej, a kiedyś – jeszcze w latach 50-ych, wyłożonej dawnym żużlem hutniczym, w kształcie ostrych kamieni, ciężkich od zawartego w nich żelaza – teraz pokrył je asfalt. W Irenie jest cmentarzyk poległych w walce w czasie Powstania Listopadowego, starannie pielęgnowany i odnowiony. Leży naprzeciw domu Skibów (gdzie bywałem), obok długiego, jeszcze istniejącego domu „babci Dolińskiej” – Babki mojego kolegi gimnazjalnego Jędrka Piłata. Przejeżdżając samochodem jeszcze do niedawna machałem ręką Babci Dolińskiej i siedzącym obok Niej Godnym starszym Paniom, i mi odmachiwano – to był taki rytuał. Wiedziałem jednak, że co kilka lat była to „inna” osoba o tym samym nazwisku. Nie wiem, jak tam jest teraz, bo wszystko się zmienia – ale naprzeciw domu Dolińskich jest chyba jeszcze stary domek Bzymków (Jasi Bzymek), cały zarośnięty bluszczem, ze ścianą podpartą od tyłu domu belką, ale chyba nie ma już identycznego domku Roberta Wieczorka, też kolegi z Gimnazjum, ale nieco starszego (może o 2 lata). Obok domu Dolińskich na pewno stoi też jeszcze stary krzyż metalowo-murowany, bardzo trwałe – są też we wsi i inne krzyże, np. stał drewniany, pochylony - w pobliżu domku Piłatów u wylotu ku Zaklikowowi. Stoi tam dzisiaj duży dom wymurowany przez siostrę Jędrka Halinę i jej męża Wacka Rokickich (oni nie żyją). Irenę łatwiej opisać rysując trzy, lub więcej, równoległych linii skierowanych ze Wschodu, od Zaklikowa, ku Zachodowi, gdzie były kiedyś wsie o zbiorczej nazwie Łązek (z dodatkami: Dworski, Zaklikowski, Tartaczny, Chwałowicki), zniszczone w czasie akcji pacyfikacyjnych, i dalej – ku miejscowości Borów, przy szosie na Annopol. Jedna z linii przechodzi właśnie przez Irenę i pozostałości po Łązkach, drugą jest rzeka Sanna, o kapryśnej linii, biegnąca wzdłuż wsi w szerokiej dolinie o przepysznych łąkach, użyźnianych co roku wiosennymi szerokimi wylewami Sanny, na podobieństwo Nilu. Irena jest położona na dość wysokim i stromym uskoku terenu,

spadającym ku dolinie Sanny. Na granicy tego uskoku, tuż przy wsi, należy narysować trzecią linię, gdzie można wykryć bijące źródelka. Kiedyś były osłaniane, pieczołowicie pielęgnowane, gdyż brano z nich wodę do domu. Po wprowadzeniu wodociągu są raczej zaniedbywane i zapominane.

Na drugim brzegu Sanny teren również się wznosi, ale łagodniej niż przy samej wsi, przy brzegu są niewielkie powierzchnie upraw rolniczych i częściowo zarośnięte krzakami łąki, przechodzące w miarę wznoszenia się terenu w lasy, w duży kompleks leśny noszący nazwę Zarogi. Daleko, na jego krańcu, są różne osady, np. Wólka, Wólka Szczeka, Szczecyn. Niektóre okoliczne osady: Baraki, Baraki Stare, Baraki Nowe – wywodzą swe nazwy z czasów wyrębów leśnych na potrzeby opałowe Huty w Irenie. Dla angażowanych drwali były budowane skromne domki na wzór tych, jakie stawiano w Irenie pracownikom Huty. Obecnie są tu zamożne obejścia.

Na południu od Ireny można by narysować jeszcze kilka innych linii, wyznaczających długie pasmo piaskowych wydym, w niektórych miejscach trudnych do pokonania samochodem, ze względu na głębie i sypkość warstwy piasku. Wydmy są częściowo ruchome, a jedna z nich, najbliższa, sama w sobie wspaniała ogromem i jakością piasku, pod wpływem wiatrów zaczęła poważnie zagrażać wsi, w latach 50-tych była już przy opłotkach. Przebycie wydmy bosą stopą w upalny dzień było prawie niemożliwe, ze względu na silne rozgrzewanie piasku od Słońca. Wydma jest nadal bardzo interesująca, choćby ze względu na lejkowate dołki wykopywane w piasku przez rodzaj pajęczków nazywanych tu „mrówkojadami” – one czają się ukryte na dnie dołków, czekając na swe ofiary, zwykle na zbłąkane mrówki, które po wpadnięciu do dołka są pożerane. Po latach, gdy przybyłem do Ireny, byłem zdumiony odkryciem znacznego zmniejszenia się tej wspaniałej wydmy i prawie zaniknięcia jej ruchu. To rezultat pobierania przez lata i systematycznego wywożenia masy piasku, na podsypkę do dróg budowanych w okolicy Zaklikowa, i do innych „wielkich budów socjalizmu”. Na ustabilizowanie się wydym wpływ wywarło również odpowiednio prowadzone zalesianie – ale ja tej akurat wydmy żałuję, bardzo brakuje mi jej wyrafinowanej żółci w krajobrazie.

Irena nie jest wsią typowo rolniczą. Obecnie staje się co raz bardziej jakby dzielnicą Zaklikowa. Pamięta się jednak jej rodowód hutniczy i „proletariackość”, więc mieszkańców Ireny nazywa się niekiedy – „z wysokości miasta Zaklikowa”, nieco złośliwie - „trepami”. Gdyż kiedyś w Hucie konieczne było noszenie ochronnego obuwia, drewnianych chodaków, widocznie w Zaklikowie pamięta się ich klekot z przed prawie 200 lat.

Opis można by uzupełnić przypomnieniem, że w lasach na południe w od Ireny rozciągają się liczne stawy rybne, w odległości ok. 2-3 kilometrów. A lasy, pełne zwierza, jagód i grzybów – są wokół. Na rzece pod Łążkiem były kiedyś młyny wodne. W rzece są oczywiście ryby – ale głównie te bystre jak torpedy i czujne, nie do złowienia – klenie, wygrzewające się w Słońcu na rzecznych płycznach. Są i kielbie, po wejściu do rzeki, napływają i trącają o stopy. Widuje się żeremia bobrów – ich działalność jednak bywa denerwująca, bo zwalają drzewa.

#### **Sobota, 30 maja 2015 r.**

Basia pochwaliła książeczkę - maleńką, starą, bo z 1948 r., jaką zakupiłem na Allegro, na cześć „dwóch wujów”. Autorem jest Jerzy Wolff, wuj Basi, w jednej osobie malarz, ksiądz oraz wnikliwy komentator działalności i osobowości wielu naszych malarzy. Wolff sam był malarzem-legendą, mistykiem koloryzmu. Żałuję, że go nie poznałem, chociaż znałem jego niektóre obrazy, rzadko wystawiane. Dawno nie żyje, ostatnie lata spędził w Laskach. Książeczka jest o Aleksandrze Gierymskim, opiekował się nim w Rzymie mój wuj, wybitny rzeźbiarz Antoni Madeyski. To pokrewieństwo trudno mi wykazać, chyba tylko przez Jego urodzenie się w majątku Fośnia pod Owruchem, tam gdzie urodzili się mój Ojciec i Ciotka. Do Rzymu, gdzie Madeyski miał pracownię rzeźbiarską, wybierała się przed wojną 1939 r. Sława, ale niestety, wuj zachorował i zmarł. Jest pochowany we wspólnym grobie z Aleksandrem Gierymskim, na Campo del Verano w Rzymie.

**Środa, 3 czerwca 2015 r.**

**Przyjazd do Ireny, zamustrowanie się w Zaklikowskim Gimnazjum**

Do Ireny jechałem wozem konnym ze stacji Zaklików, ze zburzonym dworcem, najpierw drogą nieco w dół przez most na Sannie, potem pod górkę do centrum – łącznie to ok. 1,5 km. Następny odcinek, płaski, do Ireny, był dłuższy – 3 km. Wiózł mnie, chyba samego, wg mnie Ziółkowski z Ireny, a wg Mariana Oszusta, Rybiński z Zaklikowa, który zajmował się odbieraniem i wożeniem ze stacji poczty. Poczyniłem właśnie wtedy pierwsze obserwacje, odnoszące się do drogi, otoczenia i środka transportu. Moje ówczesne obserwacje są po części aktualne, gdyż dworzec nie został po dziś dzień odbudowany, zamiast dworca stoją jakieś tekturowe pudła. Drogi i nowy most są za to bardzo wygodne. Wtedy był dość chwiejny most drewniany, co do dróg – w mieście były gorsze lub lepsze „kocie łby”, poza miastem – piach, lub błoto, utrudniające zarówno przejazd, jak i przejście piesze. Piszę o tym dlatego, że później musiałem pokonywać wielokrotnie drogę Irena-Zaklików, wędrując do Gimnazjum - w zasadzie dwa razy dziennie. Pewnym ułatwieniem było wyłożenie niektórych odcinków drogi poprzecznymi drogami, kołkami z młodych sosen wyrąbanych w okolicznym lesie. To wymoszczenie było całkiem świeże, z przed roku, gdy front przebiegał nad bliską Wisłą.

Jednak widoczne było, że wiele kołków już znikło, i że o innej porze roku przebycie tej drogi może sprawiać kłopoty. Teraz jednak, gdy pierwszy raz jechałem do Ireny, lekki mroźnik ściał błoto i zestalił wilgotny piach – więc jazda była niemal komfortowa, tylko niekiedy odczuwało się trzęsienie wynikające z przeskakiwania kół z kołka na kołek. Ja zresztą już na początku jazdy dostrzegłem, że koła u wozu miały gumowe obręcze, chociaż nie jestem pewien, czy wszystkie cztery były w nie zaopatrzone. Dla mnie to była wielka nowość – na Kresach wozów z ogumieniem kół nie było. Wprawdzie widywałem już tak wyposażone wozy w Lublinie, ale było ich mało – nie spodziewałem się, że takie udoskonalenia cywilizacyjne zastanę w Zaklikowie. Ponieważ mój woźnica był bardzo powściągliwy, nie wdawał się w rozmowę, więc niczego od niego nie dowiedziałem się w kwestii kół. Od Mariana Oszusta usłyszałem natomiast całkiem niedawno, że prawdopodobnie to był wtedy jedyny, lub jeden z nielicznych wozów konnych w okolicy, zaopatrzonych w koła ogumione, przy tym w koła typu lotniczego, i że prawdopodobnie takie ogumienie miały tylko koła przednie. Wg oceny Mariana, ogumione koła typu samochodowego stały się powszechne w wozach konnych dopiero na początku lat 60-tych. Wobec milkliwości woźnicy, prowadziłem porównawcze obserwacje etnograficzno-cywilizacyjne dalej sam, na wzór Kraszewskiego. Zająłem się uprzężą, sposobem dołączenia konia do wozu. Na Kresach służyły do tego dwa drążki – „hołoble”, zawiasowo połączone z przodkiem wozu. Koń przy zaprzęganiu był zaopatrywany w chomąto, które łączono z hołoblami przy zastosowaniu „duhi” – rodzaju mocnego drewnianego pałaka sterzącego ku górze nad szyją konia. Ten charakterystyczny rodzaj uprząży jest widoczny, na przykład, na fotografiach Kresowych konwojów partyzanckich przesuwających się na Zachód w 1944 r., wobec nadciągającego frontu.

Wóz wiozący mnie był zaopatrzony tylko w jeden dyszel, bardzo mocny, na sztywno przymocowany pośrodku do przodka wozu. Konia przyprzegało się za pomocą „szorów” – rodzaju mocnej jakby kamizelki rzemiennej, narzucanej i zapinanej na przód - na piersi konia, następnie łączonej z dyszlem. Koń ciągnął wóz trochę asymetrycznie, krocząc obok dyszla, zwykle po lewej stronie, ale mógł być też dołączony koń drugi, po drugiej stronie dyszla, wtedy powstawał system napędowy całkowicie symetryczny.

Te moje początkowe spostrzeżenia skończyły się, gdy dojechaliśmy do Ireny.

Już kilka dni po przyjeździe wraz z Ojczy mem stawilem się w Dyrekcji Prywatnego Koedukacyjnego Gimnazjum Towarzystwa Szkoły Średniej w Zaklikowie, przed obliczem Pana Henryka Bindera, w jednej osobie pełniącego funkcję sekretarza, skarbnika i księgowego Towarzystwa – który też od razu, w trybie roboczym, zwołał posiedzenie Dyrekcji Gimnazjum w sprawie mojego przyjęcia.



Gimnazjum mieściło się na Piaskach, w dwupiętrowym budynku przy obecnej ulicy Piłsudskiego. Wybudował go w końcu lat 20-tych z własnych funduszy Pan Jan Łakomy, właściciel sporego gospodarstwa rolnego, chyba w rejonie Belkowszczyzny. Budynek przez lata był dzierżawiony tworzącej się wtedy szkole typu podstawowego, a teraz, gdy szkoła podstawowa odzyskała w 1944 r. własny budynek zbudowany w 1939 r., został zwolniony. Wytrwałe tworzenie w Zaklikowie szkolnictwa typu podstawowego, gimnazjalnego i licealnego, jest opisane w kilku publikacjach, z najważniejszych wymieniam niżej dwie:

*Ranga nauki i kultury w społeczeństwie Zaklikowa 1880-1973*, opracowanie Jadwigi Majewskiej-Tronowicz (kwartalnik PAN *Kultura i Społeczeństwo* t.XVII nr 4, 10-12, 1973)  
*50 lat Gimnazjum i Liceum w Zaklikowie*; Zaklików 1995 (książka pamiątkowa z I Zjazdu Absolwentów wszystkich roczników)

Doraźne posiedzenie grona kierowniczego, zwołane przez Pana Bindera w sprawie mojego przyjęcia, ukonstytuowało się niezwłocznie, bo chyba wszyscy potrzebni byli na miejscu: Dyrektor Gimnazjum profesor Jan Moczulski, profesor Stefan Słapczyński, profesor Maria Pilecka. Przyjęto nas – Ojczyma i mnie – bardzo serdecznie, niemal entuzjastycznie, a wobec Ojczyma – koleżeńsko. Po krótkiej indagacji uznano za właściwy wybór edukowania mnie w Gimnazjum, a nie – np. w szkole podstawowej. Wypowiadano przy tym, ku memu zdziwieniu, pochwalne opinie o poziomie kształcenia w sowieckiej szkole. Zarazem ustalono, że powinienem być przyjęty do II klasy, chociaż zastanawiano się również nad możliwością przyjęcia już do klasy III. Ze względu na pochodzenie „nauczycielskie”, obiecano zwolnienie z chesnego. Wskazano i nawet zalecono nawiązanie stosunków koleżeńskich z dochodzącymi z Ireny Andrzejem Piłatem, z II klasy, i Robertem Wieczorkiem z III klasy. Od razu też zaprowadzono mnie do klasy IIB, gdzie odbywały się lekcje, i gdzie mnie zaprezentowano, pokazując ławki do wyboru – było ich tylko kilka, bo ten rocznik był wyjątkowo bogato obsadzony (były dwie klasy drugie, A i B). No i zapowiedziano mi, że już od jutra mam się regularnie stawiać się na lekcjach, a w niedzielę – na mszy św. w kościele. Nie było lekko...

Wszystko stało się jasne, poza tym, że moi koledzy byli zżyci ze sobą, i niemal wszyscy już wcześniej razem uczyli się w szkole podstawowej, więc obawiałem się, że będę od nich „odstawał”. Później okazało się, że byli w klasie koledzy i koleżanki różniące się wiekiem ode mnie o 2, a nawet o 3 lata. Natomiast kilku chłopaków w całym Gimnazjum było nad poziom wyrosniętych i zajmowało się jeszcze „partyzantką”, co się objawiało ich nie zapowiadającym znikaniem, np. na 2 tygodnie (czego nie należało komentować głośno).

Do Zaklikowskiego Gimnazjum wstąpiłem w styczniu 1946 r., do II klasy, w tym samym roku przeszedłem do III klasy, a skończyłem je w 1948 r. zdając egzaminy nazywane „małą maturą”, również na zakończenie III klasy. Powinienem być oczywiście w klasie IV, ale że zmieniły się programy i ograniczono liczbę klas gimnazjalnych do trzech, więc, siłą spraw dokonanych, przerabialiśmy program klasy IV będąc w klasie nazywanej formalnie klasą III. Byłem ciągle uczniem szkoły prywatnej.

Miesiące biegły szybko, miałem pole działań zupełnie inne, niż w Chotowie. Nie zajmowałem się Podlasą, przez zimę 1945-46 zajmował się nią Ojczym i pomocni ludzie, później poszła paść się do stada krów z Ireny, z czego chyba była zadowolona. Ja się zbliżyłem bardzo do Jędrka Piłata, razem chodziliśmy do gimnazjum w Zaklikowie, zwykle drogą, chociaż wracaliśmy często łąkami nad Sanną. Ja wstawałem wiosną czasem wcześniej, niż on, gdy do Jędrka mieszkającego na końcu Ireny chciałem dojść łąkami, nad Sanną i starorzeczami. Lubiłem te łąki, ich oroszoną rankiem trawę, idąc czekałem na wyprysnięcie z trawy kolejnego spłoszonego zaskrońca, zwiniętego jak sprężyna i w tych sprężynujących zwojach zsuwającego się do rzeki.

Jędrzek jednak niekiedy wstawał jeszcze wcześniej ode mnie, gdy trzeba było przynieść z lasu, zza rzeki, wiązkę chrustu, dla rozpalenia ognia w kuchni i przygotowania śniadania.

Mieszkanie Piłatów było małe i dość dziwnie pokręcone, bo architektura ich starej bardzo chałupki wynikała chyba z kilkakrotnej „uzdatniającej” przebudowy dawnego domku po-hutniczego. Gospodarstwa nie mieli, tylko szopkę – dawną jakby stodołę. Domem rządziła apodyktycznie Ciotka Jędrka, z którą ożenił się jego Ojciec, gdy zmarła Matka Jędrka – bardzo młodo. Siostry były bardzo podobne, i obie bardzo przystojne. Gdy poznałem Jędrka, jego Ojciec pracował w Ostrowcu i dobrze zarabiał. W bliskiej perspektywie cała rodzina (Jędrak miał jeszcze dwie siostry) miała się przenieść do Ostrowca – co też nastąpiło.

Piszę o tym wiele, bo spędziłem z nim sporo chwil, poświęconych znacznie mniej uczeniu się i lekcjom, a bardziej rozmowom i wałęsaniu się nad rzeką. Rozmawiając poznawałem różne tajemne sprawy środowiska Ireny i całej okolicy, zwłaszcza z czasów Wojny. Jednak nie wszystkie – niektóre były ukrywane, wiele po dziś dzień nie zostało wyjaśnionych. Należały do nich różne problemy, nawet zabójstwa, związane z zawziętą rywalizacją licznych grup partyzanckich, wyjątkowo rozwiniętej na tym terenie. Były grupy o odcieniu lewicowym, orientujące się na AL i BCH, oraz partyzantka o orientacji prawicowej, skoncentrowana przy końcu wojny głównie w AK. Dla mnie wstrząsające było dowiedzenie się o zabójstwie pierwszego dyrektora Gimnazjum dr Wincentego Twardego-Meredyńskiego, byłego pracownika Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w czasie okupacji ukrywał się prowadząc w Zaklikowie komplety szkoleniowe, a po Wojnie przystąpił do zespołu inicjującego powołanie Gimnazjum. Po jego śmierci, do tej pory nie wyjaśnionej, stanowisko dyrektora powierzono najpierw ks. Stanisławowi Świostkowi, a następnie kolejno prof. Stefanowi Ślarczyńskiemu i prof. Janowi Moczulskiemu. Sprawy „partyzanckie” jeszcze i po moim przyjeździe długo nie były wygaszone, pamiętam tabor partyzancki stacjonujący bodaj dwie doby w Irenie latem 1948 r., gdy przyjechałem z Warszawy, będąc wtedy już w Liceum Telekomunikacyjnym. Wykonano wówczas kilka wyroków, w tym - sprawiono „łanie”, jednemu zbyt gorliwemu lokalnemu działaczowi z ramienia władzy ludowej. To były dziwne czasy - wiem z Jędrka opowieści, że w pierwszym okresie Polska Partia Robotnicza stawiała się na mszy św. w kościele w Zaklikowie z rozwiniętym sztandarem PPR, dla poświęcenia. Jędrak opowiadał, jak nasz nieco starszy kolega, a jego krewny, Marian Głuchowski, nieco spóźniony wiekiem by być w partyzantce – a bardzo chciał, po ogłoszeniu amnestii ubrał się w przygotowany zawczasu strój quasi-partyzancki i okrycie typu „płaszcz-pałatka”, po czym z pepeszą oraz zapasem amunicji udał się koleją do Kraśnika, do Rejonowej Komendy Milicji. Oczywiście, został „amnestiowany”, broń przyjęto, a samego niedoszłego „partyzanta” odpuszczono do domu, bez późniejszych konsekwencji - ze względu na wiek. Według Jędrka, ojciec Mariana, stary Głuchowski, stolarz o niezwyklej renomie – lecz o surowych obyczajach, rozbił w tym czasie na drobne szczątki drugą pepeszę, którą Marian (dla nas obu – Nioniek) najwidoczniej chciał zachować, tak „na wszelki wypadek”. Nie wszystkim ujawniającym się partyzantom tak się na Komendzie MO udawało, jak Marianowi, niektórzy byli zatrzymywani od razu, a inni, prawie wszyscy, po pewnym czasie. Dlatego chyba większość partyzantów, zwłaszcza tych bardziej aktywnych, zwlekała i nie ujawniała się. Po latach dowiedziałem się, że kilku takich partyzantów ukrywało się zimą 1946 r. u nas w Irenie, w sianie i seradeli ułożonej w oborze na „górcie”, nad Podłusą. Zachowywali się cicho i Ojciec nawet nie domyślał się ich obecności.

Jędrak był zdolny i ambitny, lubił przewodzić, wypowiadać swoje zdanie, był zadziorny, łatwo przystępował do boksowania się – co bardzo lubił, i co zaznaczało się również w klasie. Miał krępa, silną postać – ale był niewysoki, zwłaszcza w porównaniu ze swoim Ojcem. Z Jędrkiem, można powiedzieć, razem dorastaliśmy - bo „takie były czasy i potrzeby” - w trybie przyspieszonym i w różnych kierunkach. W IIB Jędrak był prymusem, co wynikało z jego inteligencji i pracowitości. Jednak jakoś tak się stało, że w czerwcu 1946 r. ja dostałem nieco lepsze noty na świadectwie z II klasy – co nas obu spieszyło, mnie – nawet bardzo. Bo mogło to popsuć naszą znajomość, przechodzącą w przyjaźń. Ale nic się nie popsuło, a zresztą, tak

się złożyło, że wkrótce rozdzieliliśmy się, bo ja przeszedłem z klasy IIIB, do klasy IIIA, niby nieco lepszej, o bardziej wyrównanym poziomie, co dla mnie było ważne. Przestaliśmy wtedy uczęszczać do tej samej klasy, nawet mieliśmy inny rozkład zajęć, co wynikało ze szczupłości kadry nauczycielskiej.

Z tym przejściem do IIIA to było tak – umówiliśmy się, że przejdziemy razem, za zgodą Dyrekcji. Problemem był brak miejsca do siedzenia, ale znaleźliśmy rozwiązanie.

Postanowiliśmy, że przyniesiemy z Pałacu w Irenie pewien sprzęt podobny do etażerki, i przy nim, ustawionym przy tablicy boczenie, razem będziemy siedzieli. Stało się inaczej, siedziałem tylko ja, bo Jędrzek w ostatniej chwili się wyłamał i został w IIIB. Był dłużej związany z tą klasą, ja rozumiałem, że postąpił tak z poczucia koleżeńskiej solidarności. A ja byłem też zadowolony, bo Jędrzek dzięki temu już był niezagrożony na pozycji lidera, czyli prymusa w IIIB. Z kolei ja przechodząc do IIIA nie pretendowałem do zbliżenia się do pierwszej bądź drugiej pozycji w klasie, może i do trzeciej też nie – one były dobrze obsadzone, nie mogłem – i nawet mi nie wypadało zaburzać ten ustabilizowany układ. Zresztą, ze swojego odosobnionego miejsca zza etażerki miałem dobry punkt obserwacyjno-dydaktyczny i gdy trzeba było, wkraczałem jednak do dyskusji merytorycznej w czasie lekcji. W sumie ułożyło się wszystko pomyślnie i nic nie zaburzyło – z mojego punktu widzenia – stosunków między nami. Inna rzecz, że mieliśmy zupełnie odmienne rodzaje wrażliwości, ale to jest raczej moja ocena, i po wielu latach. Ta odmiennosc może nie przeszkadzałaaby w pogłębianiu przyjaźni – ale wkrótce Jędrzek przeniósł się do Ostrowca, a ja do Warszawy, weszliśmy w odmienne koleiny zdarzeń, i ostatecznie załazek przyjaźni wtedy nie rozwinął się. Po kilku latach jednak skontaktowaliśmy się – nastąpiło to po tym, gdy Jędrzek już rozpoczął studia wyższe (o rok wcześniej ode mnie, bo jego Liceum było dwuletnie) w Szkole Głównej Służby Zagranicznej. On został z tej uczelni usunięty w wyniku pewnej niefortunnej wypowiedzi – niefortunnej w tamtych latach i w tamtej wysoce upolitycznionej szkole. Musiał odbyć służbę wojskową, ale że był twardą sztuką, starał się przy końcu wojska dostać się na Studia Politechniczne w Warszawie. Podobno mu w tym pomagałem, tak przynajmniej twierdził przy jeszcze późniejszych spotkaniach z okazji Zjazdów w Zaklikowie. Ale ja niewiele z tego pamiętam, poza tym, że będąc w wojsku, w polowym mundurze odwiedził mnie kilkakrotnie, nawet gdy byłem jeszcze studentem i mieszkalem w Akademiku przy placu Narutowicza.

### **Kto nas uczył i jak uczył?**

**Sobota, 6 czerwca 2015 r.**

Mimo braku podręczników, i mimo trudności ze skompletowaniem kadry pedagogicznej - z roczników inteligencji rozproszonej i wyniszczonej przez Wojnę - w Zaklikowskim Gimnazjum nauczyciele nauczali nas dobrze, najlepiej jak mogli. Trudności byli świadomi zarówno kierujący odrodzeniem i wzrostem oświaty, jak i uczniowie, obie strony starały się sprostać obowiązującym wymaganiom programowym, mimo częstemu ich modyfikowaniu. Osiągnięcia Prywatnego Gimnazjum Koedukacyjnego w Zaklikowie, z uwzględnieniem wielu trudności występujących w pierwszym okresie istnienia Szkoły, zostały naświetlone i pozytywnie ocenione już przy pierwszej wizytacji, przeprowadzonej 26 listopada 1944 r., przez dr Stefana Wojciechowskiego, oficjalnego Wizytatora Szkół z ramienia Kuratorium.

Jako uczeń i absolwent Zaklikowskiego Gimnazjum z 1948 roku, wspominam obecnie zarówno sam pobyt w Irenie i Zaklikowie, jak i sylwetki nauczających mnie profesorów – wiele im zawdzięczam. Tu ja, przybysz zza Buga, przekształcałem się stopniowo w żadnego dalszej wiedzy inteligenta i obywatela. I tu z upodobaniem odnajduję się, po latach, w poznanych dawno okolicach, w lasach nad Sanną. Gimnazjum i Liceum Zaklikowskie dla wielu takich jak ja stało się otwarciem okna na szerokie horyzonty dalszej nauki. Szkoła Zaklikowska, jej działalność, istnienie – były przejawem świadomości i woli społeczeństwa Zaklikowskiego, spełniającej się w codziennej działalności ciała pedagogicznego.

Zespół dydaktyczny był zmienny, musiał być ciągle uzupełniany, kompletowany - na przykład, już za mojego niespełna trzyletniego pobytu stanowisko Dyrektora objęła Pani

Janina Styrzulowa, a Matematykę zaczął wykładać, obok Jana Moczulskiego, Marian Zakościelny – rodowity Zaklikowianin. Były też inne zmiany, z wcześniejszych wymienię odejście często wspominanej w Zaklikowa Polonistki, Pani Danuty Szulczewskiej. Może dlatego, że kto obejmował przedmiot „Język Polski”, miał szansę na „rząd dusz” w Zaklikowie. O takiej władzy chyba mógłby tylko pomarzyć Matematyk, i chyba nigdy się to nie zdarzyło. Oczywiście, taką władzę „od zawsze” miał Adam Sapiński – od początków XX wieku animator wszelkich poczynąń oświatowych w Zaklikowie, człowiek renesansowy, wspaniały nauczyciel, miłośnik muzyki, grający nie tylko na skrzypcach i fortepianie, lecz i na kościelnych organach, syn i wielbiciel Ziemi Zaklikowskiej – Patron Szkoły. Piszę o tym z przekonaniem, chociaż uczniem Adama Sapińskiego byłem bardzo krótko – przez półrocze tylko kilkakrotnie uczestniczyłem w próbach chóru uczniowskiego.

Moje pierwsze doświadczenie gimnazjalne wiąże się ze strachem, gdy profesor Maria Pilecka, Polonistka, zarządziła klasówkę, już w pierwszym tygodniu mojego pobytu w szkole. Mój protest nie został uwzględniony, musiałem pisać o Janie Kochanowskim, i napisałem - prawie całą stronę, z przerażeniem, co to będzie. No i chyba zostałem potraktowany ulgowo, bo wytknięto mi tylko 3 błędy ortograficzne i postawiono ocenę 4 – chyba dla zachęty. Później zawsze było nie gorzej, przynajmniej w zakresie ortografii, bo ja raczej ortograficznych błędów nie robię, z samego „oczytania” wiem, jak „wyglądają” obrazki wyrazów. Profesor Pilecką wspominam bardzo dobrze, zawsze uśmiechniętą i życzliwie rozmowną. Później, po kilku latach, gdy wracałem pociągiem do Warszawy, spotkałem prof. Pilecką w pociągu – ale to ona mnie rozpoznała, mimo okropnego zatłoczenia i ciemności – w pociągu nie było światła. Trochę rozmawialiśmy, sympatycznie, ale rozmowa w ogromnym tłoku zupełnie nie kleiła się, stałem zresztą unieruchomiony daleko, tuż przy drzwiach i byłem „bolejący”, gdyż właśnie tymi drzwiami przytrzaśnięto mi palce przy domykaniu wtłoczonych na siłę pasażerów. Dopiero na Dworcu Wschodnim udzielono mi wtedy pomocy w dyżurce PCK.

Pamiętam, Prof. Pilecka na swoich lekcjach od czasu do czasu zarządziła głośne czytanie urywków opowiadań zupełnie nie należących do tzw. wielkiej literatury, co bywało ciekawe.

Moja uczniowska pamięć przywołuje mi jednak przede wszystkim wysoką i szczupłą postać profesora Jana Moczulskiego, Matematyka, już bardzo niemłodego, o suchej i pooranej bruzdami twarzy. Był zawsze w ciemnym ubraniu, i bez powodu nie uśmiechał się, ale był życzliwy. Starannie prowadził lekcje, ilustrując wykład figurami wykreślanymi na tablicy. Jak każdy Matematyk, nie należał do nauczycieli ulubionych przez ogół, jednak samym swoim wejściem do klasy wprowadzał nastrój powagi i konieczności skupienia się. Czuło się zresztą, że to bardzo dobry pedagog, chociaż wykłada przedmiot ogólnie mało akceptowany – zwłaszcza w Zaklikowie, rozmiłowanym w rzewnej ojczystej mowie, historii i chóralnych śpiewach, z okazji przeróżnych świąt. Te zgryźliwe uwagi napisałem nie bez powodu – bo dziwiłem się różnym kąśliwościom wypowiedzianym po cichu. Ja ceniłem prof. Moczulskiego i właściwie na tej zasadzie można przyjąć, że go lubiłem. Podobał mi się jego sposób wykładania – dość powolny, należycie zilustrowany kreślonymi figurami geometrycznymi i czytelnymi wzorami, łatwymi do zapisania i do wyprowadzenia. Starannie wyjaśniał tryb dowodzenia wypowiedzianych twierdzeń, oczywiście elementarnych na tym poziomie, ale bardzo potrzebnych, podstawowych przy dalszym studiowaniu przedmiotów z matematyką.

Może już wtedy przejąłem część wiedzy o sztuce wykładania?

Prof. Moczulski zadawał często zadania do wykonania w domu, wymagały one z reguły wykreślenia zespołu figur – kwadratów, trójkątów, okręgów i linii prostych. Profesor zalecał, by te wykreślone figury zamieszczać w specjalnym oddzielnym zeszycie o czystych kartkach, takim przeznaczonym do rysowania. I ja tak robiłem, bardzo mi się to podobało. Lecz, gdy pod koniec roku Profesor polecił przynieść te zeszyty, i zabrał je do przejrzenia, niektórzy wpadli w popłoch – bo zadania nie były systematycznie wykonywane, albo wcale nie były wykonywane. Gdy zeszyty zostały zwrócone, ujrzałem przy ostatnim rysunku piękną cyfrę –

5, z podpisem Profesora. I tylko ja z całej klasy dostałem taką ocenę, domyślam się też dlaczego – moje rysunki były staranne i ładne, linie miały jednakową grubość, a punkty nie były rozmazanymi plamami i leżały dokładnie na przecięciach linii – tam, gdzie powinny, a nie obok.

W następnym roku (gdy znowu byłem w III klasie), moim nauczycielem był Profesor Marian Zakościelny, człowiek jeszcze zupełnie młody, przystojny brunet o dość filigranowej konstytucji. Należał do pokolenia „straconego”, bo przed wojną rozpoczął studia wyższe, chyba właśnie w zakresie Matematyki, a po wojnie ich nie podjął. My uczniowie „wiedzieliśmy swoje”, a mianowicie to, że należał do elitarnego grona zaklikowskiej młodzieży, już nie bardzo młodej, ale nie mającej pomysłu, co ze sobą w nowej powojennej rzeczywistości zrobić. Więc między innymi zajmowali się organizowaniem amatorskiego teatru, i podobnych imprez. W Gimnazjum, gdy objawił się jako wykładowca Matematyki, ujawnił wybitny talent dydaktyczny, chociaż przeciwnego typu w stosunku do metod Prof. Moczulskiego. Był przy tablicy dynamiczny, i to mi się podobało bardzo, w lot pojmowałem jego wywody i nawet nie czyniłem notatek. Jak było u innych, trudno mi powiedzieć, ale chyba było podobnie – chociaż te szybkie wywody może też wielu nie trafiały do przekonania, tylko dlatego, że to jednak znowu była Matematyka? Bo niektórzy na samo słowo „Matematyka” zapadają od razu w stan niezrozumienia, w śpiączkę.

Wydawało mi się, że mój Wykładowca doskonale wiedział, że z nim sympatyzuję, oraz zwłaszcza to, że jeszcze w toku wydawania zadań znam już rozwiązanie, i że dlatego tolerował u mnie nie zapisywanie ich w zeszytach. Demonstracyjnie omijał moją ławkę, gdy obchodził klasę przy końcu lekcji – co uważałem za formę wyróżnienia. A jednak w ostatnim tygodniu przed końcem zajęć, tuż przed egzaminami małej matury, zdarzyło się coś dla mnie do dziś niezrozumiałego. Stał przy mnie i palnął „mówkę”, właśnie o braku notatek. Stałem zadziwiony, nie tłumaczyłem się. Bo mi się wydawało, że formułował zdania jakoś niepewnie – tak, jakby już sam zauważył, że jednak popełnił błąd w stosunku do mnie – ale brnął w wypowiedzi dalej. Było mi przykro, coś zostało, jakieś porozumienie, naruszone. Darzyłem Go zaufaniem, nawet poprosiłem kiedyś o rozmowę i opinię, co do kierunku studiów. Odradził mi wtedy Matematykę, jako mało perspektywiczną, akceptował natomiast Radiotechnikę – sam był biegły w dziedzinie aparatów radiowych. Po kilku latach zawarł małżeństwo z Marią Głuchowską, swoją była uczennicą, a moją Koleżanką – było to małżeństwo bardzo szczęśliwe. A ja z żoną do dziś z Marysią toczyliśmy przyjazne rozmowy.

Z Profesorem Stefanem Słapczyńskim, bardzo ważną postacią Szkoły Zaklikowskiej, miałem wykłady z Fizyki, ale mogłem też mieć wykłady z Łaciny, a nawet z Greki – gdyby nauczanie języka greckiego wprowadzono. Bo prof. Słapczyński, jak wszystkim było wiadomo, znał 10 języków, a tak w ogóle – mógł wyklądać „wszystko”. Był pasjonatem nauki, w zasadzie samoukiem, chociaż podejmował regularne studia, nawet w Rzymie. Przypominam Go sobie zawsze z jakąś otwartą książką w ręku, lub trzymaną dyskretnie za sobą, ze stronami założonymi palcami, gotową do studiowania i przyswajania zbioru zwrotów i słów jakiegoś nowego języka. Był pasjonatem uczenia się i nauczania, poświęcił temu w całości swoje życie, w tym życie zwane nie wiedzieć czemu „osobistym”, jakby były jakieś inne. Krążyła legenda, że jednak kiedyś darzył platonicznym uczuciem pewną „osobę”, ale miłość do nauki przeważała. Dla mnie był osobą jakby wprost wyjętą z połowy XIX wieku, mógłby być w jednym szeregu postaci „błędnych rycerzy nauki” tego okresu, występujących w opowiadaniach Wołoszynowskiego, Prusa, i wielu innych. Uzależnienie od ciągłego samonauczania się było u Prof. Słapczyńskiego chyba bardzo silne, uwidaczniało się pewną nerwowością w rozmowach, skłonnością do skracania rozmów – by nie tracić czasu, bo umiłowana książka czeka. Jako uczeń formułuję pogląd, że u Prof. Słapczyńskiego dostrzegałem to nadmierne, niemal wyłączne skoncentrowanie się na samokształceniu. Było ono ze szkodą dla dobrego nauczania innych, gdyż polegał na wypowiadaniu przyswojonej



wiedzy w sposób formalnie poprawny, lecz przez brak „otoczki” rozwinięcia nie sprzyjający rozumieniu i przyswojeniu istoty tej wiedzy innym. Wielka szkoda, że – jak dotychczas – Prof. Słapczyński, osobowość niezwykle na gruncie Zaklikowa, nie doczekał się monografii naświetlającej możliwie wszechstronnie Jego działalność i duchowość, na tle epoki.

Chcę przy okazji ujawnić pewne osobiste doznania. Na egzaminie z Fizyki, podczas Małej Matury, Profesor Słapczyński – który chyba wiedział o moim krytycznym nastawieniu do Jego sposobu wykładania tego przedmiotu - bardzo długo mnie odpytywał, jakby prowokując do zrobienia błędu. To bardzo długie odpytywanie zwróciło uwagę Komisji Egzaminacyjnej, i zostało przerwane przez delegata Kuratorium przysłanego do Zaklikowa na egzaminy – podszedł do Profesora i coś mu powiedział, odciągając na bok. Później dowiedziałem się, że był to wniosek o zakończenie mojego egzaminu, wobec znacznego przekroczenia czasu.

Łaciny nauczał mnie sympatyczny, bardzo zrównoważony Profesor Stanisław Wiącek. Nie nauczył wiele, bo nie byłem skłonny. Za to później, po wielu latach ...

***Szkoło! Szkoło!***

***Gdy cię wspominam, Tęsknota w serce się wgryza, Oczy mam pełne łez!***

***... Galia est omnis divisa***

***In partes tres ...***

Języka francuskiego starała się nas nauczyć Pani Profesor Janina Horodecka. I jakoś to szło, był to przedmiot egzaminacyjny, a ja zaprzyjaźniłem się ze Starszą Panią, i często u Niej bywałem. Przyjeżdżała do Niej Córka z Warszawy, dziennikarka. Pani Horodecka bardzo martwiła się, o Syna, który miał wrócić zaraz po Niej ze Lwowa, a nie wrócił. Był inżynierem i chyba dlatego został zatrzymany, jako człowiek potrzebny Imperium – ale niewiele można było się wtedy dowiedzieć. Po moim wyjeździe do Warszawy w 1948 r. nie zdobyłem się na podtrzymanie kontaktu, czego mocno żałuję – ale byłem w trudnej sytuacji, mieszkalem daleko, w Miedzeszynie pod Warszawą, codzienne dojeżdżanie przy trudnościach komunikacyjnych, wyjeżdżanie o zmroku i wracanie o zmroku z Liceum – to były znaczne utrudnienia. A po roku – zapadłem na gruźlicę.

Wspominam jeszcze lekcje Geografii, z Profesor Marią Bielecką, która sama jeszcze zdobywała jakieś stopnie naukowe, w Lubelskim Uniwersytecie. Jej metoda nauczania uwzględniała rysowanie z pamięci mapek różnych krajów, zwłaszcza europejskich, oraz planowanie podróży lądowych, drogowych i kolejowych, oraz drogami wodnymi.

Biologii nauczała nas bardzo solidnie przygotowująca się Dyrektor Janina Styrczulowa, a w poprzedniej klasie III Profesor Franciszek Chrzanowski, który zapisał się szczególnie dobrze w pamięci mojej Mamy, gdy na jakiejś niby wywiadówce wygłosił o mnie, o mojej szkolnej aktywności, zupełnie niespodziewanie, a nadspodziewanie korzystną opinię.

Z przyszłym Patronem Szkoły, Profesorem Adamem Sapińskim, zapoznałem się późno. Był bardzo obciążony, gdyż był Kierownikiem Szkoły Podstawowej w Zaklikowie. Prowadził lekcje śpiewu i starał się nie opuszczać ukochanego chóru wykształconego przez siebie jeszcze w Szkole Podstawowej. Gdy mnie ujrzał siedzącego przy „etażerze”, wcale się nie zdziwił. Gdy dowiedział się, że ja nut „nie czytam”, chciał, bym zaśpiewał, cokolwiek. Ja prowokacyjnie zapytałem, czy mogę po rosyjsku. Spojrzał bystro zza sumiastych wąsów i od razu zgodził się. Cała klasa wstrzymała oddech, gdy ja zza ażurowej etażerki śpiewałem – z pełnej piersi: „*Wołga, Wołga – mat’ rodnaja, Wołga ruskaja rieka*”. Słuchał, odczekał, po pierwsze zwrotce – chrząknął, i oznajmił – „no, cóż – trzeba tylko trochę owsa i bata” – i na tym się skończyło, a właściwie wcale nie skończyło się, bo jednak brałem udział w chórze, chociaż nadal nie śpiewałem z nut, chociaż – jak z nut.

Naszym Prefektem był Ks. Stanisław Świostek, Proboszcz Zaklikowa. Miałem z Nim takie „przejście”. Otóż, okazało się, że wbrew poprzednim przypuszczeniom, jednak kilka książek, zawieruszonych wśród innych rzeczy, przyjechało z nami. W tym podręcznik geografii, całkiem dobry, ale że „sowiecki”, miał obszerny rozdział, jak to różne religie przedstawiają budowę i stworzenie Świata. Gdy go przyniosłem do szkoły, jeszcze tego samego dnia na lekcji religii usłyszałem wypowiedź Ks. Prefekta, że do szkoły są przynoszone podręczniki bezbożnictwa – i ta wypowiedź jakoś była dziwnie rozwijana, jakby pod moim adresem. Nie namyślając się długo, wstałem i oznajmiłem: „proszę Księdza, ja mam podobną książkę” i oddałem ją Księdzu. Był bardzo zadowolony, a ja – też ... Ciekaw jestem, czy była czytana.

Emocje związane z Małą Maturą (1948 r.) nie były duże, jeżeli dobrze pamiętam, zostałem ostatecznie sklasyfikowany na 6 miejscu, wśród absolwentów z obu klas III. Było to dobre miejsce, chociaż nieco poniżej moich oczekiwań. Jednak dobrze wiedziałem, że miejsca od 1 do 3 były niemal jak „zarezerwowane”, a na pierwszym znajdzie się Eulalia Blinowska, z pełnym uzasadnieniem. Luśka mi imponowała i nawet się wydawało, że mógłbym się w niej zakochać, bo wtedy, i później, idealizowałem wyłącznie dziewczyny inteligentne. I wyłącznie platonicznie, czyli bez udziału zmysłów, którą to przypadłość musiałem później zwalczyć.

Wieczór taneczny po Małej Maturze minął bez zauważalnych wrażeń, jeżeli pominąć konieczność przełknięcia odrobiny smrodliwego samogonu, jeszcze przed właściwą imprezą, w domu Heńka Dolińskiego. Właściwie pamiętam jedynie to, że w gronie kilku kolegów poszukiwałem później, już w środku nocy, miejsca, gdzie można by było nabyć jakieś wino. W końcu obudziliśmy kogoś w Rynku, prawie naprzeciw Apteki, ten ktoś, mocno zaspany, odsunął jednak z drzwi sklepu żelazne antaby i sprzedał nam jedyną – ale dużą - butelkę wina domowej roboty, z czarnych jagód. Było pyszne, ale upić się nim nie dało.

#### **Koleżanki, Koledzy – życie koleżeńskie w Gimnazjum (wagary z zimorodkiem)**

Mimo naturalnej w młodzieńczym wieku łatwości nawiązywania kontaktów i więzów przyjaźni, uczniowie dochodzący z dalszych okolic do Gimnazjum początkowo prawie nie uczestniczyli w życiu społeczno-towarzyskim Zaklikowa. Zresztą, nie było ono wtedy szczególnie rozwinięte i bujne, mimo zakończenia wojny. My uczniowie spotykaliśmy się w szkole, w niedziele w kościele, czasem urywaliśmy się z lekcji na środowy jarmark na Rynku, bywało też w Zaklikowie, choć nie często - przyjezdne kino, były również próby wystawiania w budynku po synagodze jakichś mało uciechliwych wodewili. Zresztą, atmosfera w całym Kraju nie była po Wojnie szczególnie radosna.

Ja z Jędrkiem pokonywaliśmy codziennie piaszczysto-błotnistą drogę z Ireny, i z powrotem, śpiesząc do domu, by w świetle dziennym lub przy lampie naftowej czytać, pisać i robić wszystko to, co nazywa się odrabianiem lekcji, a zwykle dużo więcej. Elektryczności w Irenie nie było, nawet w Zaklikowie oświetlenie elektryczne była słabe i często się wyłączało.

Były jednak formy zorganizowanego współżycia społecznego – więc Straż Pożarna, a my mieliśmy w Gimnazjum Drużynę Harcerską – oczko w głowie Dyrekcji. Drużynę prowadził „wieczny Drużynowy” Piotrek Szubiga z ulicy Janowskiej, nasz postawny kolega i wybitny uczeń z IIIA. Do pomocy miał równie „wiecznego Przybocznego” Janusza Kuryłkę z IIIB, który niesłychanie zadzierzyście wyglądał w czapce harcerskiej z daszkiem (zwłaszcza z profilu, miał taki ostry „wojskowy” profil) i wyrazistym, zdecydowanym tonem wydawał iście wojskowe komendy przy ustawianiu Drużyny w wyrównanym szeregu – co było potrzebne, widowiskowe i wszystkim się podobało. Kuryłko miał talent rysownika i malarza, celował w znajdujących uznanie scenach bitew Legionowych, i one go jakoś ratowały przy ocenach z postępów w „nauce, które już nie były takie dobre. Były też i inne szarże harcerskie, ja na przykład z łaski dostałem stopień zastępowego, bo zrobiłem dobrą gazetkę ścienną – ale tacy funkcyjni zastępowi – było ich więcej – raczej w ogóle nie liczyli się.

Janusza Kuryłkę, dobrego kolegę, zawsze sobie wyobrażałem jako przyszłego oficera, dawnego typu legionowego, wesołego, skłonnego do zabawy, do bitki i do wypitki, coś na

wzór Wieniawy, z tą uwagą, że Wieniawa miał też upodobanie do poezji i zwłaszcza do poezji Słowackiego. Janusz jakoś zszedł z tego świata, jak słyszałem, dość młodo. Nie żyje też Szubiga, ale Piotrek zmarł na zawał w późniejszym wieku, jak słyszałem, będąc już na kierowniczym stanowisku w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, gdzie pełnił jednocześnie funkcje sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Druga część tej informacji ogromnie mnie zdziwiła, bo w Szkole był podporą nie tylko Dyrekcji Gimnazjum, lecz również Księdza Prefekta, a swój katolicyzm demonstrował między innymi wielkim napisem „In Nomine Dei” na wstępnej stronie każdego nowego szkolnego zeszytu. Musiał przejść dużą transformację w życiu.

Pamiętam prawie wszystkich Kolegów z obu klas. Na przykład, spokojnego i bardzo wybitnego ucznia Tadeusza Skrzypka. Oraz, dla odmiany, niespokojnego i niebezpiecznego – bo oryginalnie i złośliwie dowcipkującego - Tadeusza Polańskiego. Może te cechy, pewna nieustępliwość, miały jakiś wpływ na jego tragiczną śmierć przez zasztyletowanie?

Niefrasobliwego i lekko jakby umorusanego Gienka Chrzastowskiego – nie bez powodu noszącego przydomek „Hefaistos” – bo miał w rodzinnym podwórku kuźnię, nie tylko pamiętam, lecz i koresponduję z nim okazjonalnie, mieszka w Lublinie.

Nie żyje już nieodżałowanej pamięci Stasio Mazurkiewicz z ulicy Janowskiej – to On, dobry kolega i ciepły człowiek - pamiętał o mnie i sprowadził na pierwszy duży Jubileuszowy Zjazd Szkoły do Zaklikowa – w 1997 r., w ostatniej chwili – gdy inni zapomnieli. I w następnym roku użyczył swojej willi na następne zjazdowe spotkanie, już w węższym gronie, ale i poszerzonym – bo przybył na nie Jędrzek Piłat i Zdzisiek Styrzula, oraz Samborski. To było bardzo udane spotkanie. Staś rzadko, ale regularnie, odwiedzał mnie w Politechnice Warszawskiej. Początkowo razem z Mirkiem Gilem, ale Gil, wcześniej entuzjasta Zaklikowa, w pewnym okresie zerwał rodzinne więzi i dopiero teraz „wraca” – trochę sobie po tym obiecuję, chociaż to ja raczej teraz oddalam się. To naturalne – nie jestem rodowitym Zaklikowiakiem, nie mam tu rodziny.

Więc – jak powiedziałem, razem z Jędrkiem prawie nie uczestniczyliśmy w różnych przedsięwzięciach i imprezach. Jednak razem z Drużyną pomaszerowaliśmy kiedyś wypełniając całą szerokość ulicy Janowskiej, z tupotem i głośnym śpiewem, na biwak do Potoka Wielkiego, by dać dowód wzrastania tężyzny narodowej. Tężyzna zapewne wzrosła, mimo pełnienia nocnych wart i innych powodów niewyspania – wobec szczupłości miejsca noclegu mogliśmy spać pokotem na podłodze na jednym tylko boku, odwracając się w ścisku co jakiś czas na drugi.

Chyba zaliczyliśmy jeszcze jeden podobny wypad – ale w wyjazdach na kilkutygodniowy biwak nie uczestniczyliśmy – nasze rodziny nie zdobyły się na należyte wyekwipowanie nas choćby w przepisowe mundurki.

Nolens volens uczestniczyliśmy – ja z Jędrkiem – w pewnej rozróbie, zainicjowanej w klasie przez Zdzisia Styrzulę, naszego kolegę, ale jednocześnie – co ważne - syna Dyrektorki. Otóż gdy pewnego ranka przybyliśmy do szkoły, jak zwykle – nieco wcześniej – zastaliśmy naszych kolegów potężnie skłóconych po dyskusji nad kwestią – pójść, czy nie pójść tego dnia na wagary. Większość już wyszła, pod przywództwem Zdzisia Styrzuli, który uważał, że trzeba jednak uszanować ten prastary obyczaj zbiorowego pójścia chociaż raz na wagary, u nas dotąd nie przestrzegany. Wśród pozostałych był Wiesiek Rydzewski, który uważał, że na wagary iść nie należy, i w rezultacie być może pozostał w klasie chyba sam, czego jednak nie jestem pewien, bo ja i Jędrzek postanowiliśmy nie dołączać do żadnej „partii”. Cały ten problem, jak się wydaje, powstał na tle rywalizacji Zdzisia i Wieśka o jakąś dziewczynę ze Zdziechowic – oni tam często bywali „wieczorową porą”. Sam problem pójścia na wagary w zasadzie upiekł się, nie było wielkich konsekwencji, ale na gruncie koleżeńskim zaczął się przekształcać w ostracyzm wobec „zdrajcy” Wiesia. On najwyraźniej ciężko to wydarzenie

przeżywał, wydaje mi się, że był nieprzeciętnie wrażliwy, ale też jego niezbyt rozważne reakcje, ujawnianie nadwrażliwości, jeszcze ten ostracyzm jakby utrwały.

Ja z Jędrkiem tego ranka odłączyliśmy się od wszystkich i poszliśmy na własne wagary, wędrując łąkami z biegiem Sanny powoli do domu. Mieliśmy wreszcie czas dla siebie, była zaawansowana wiosna, ciepło i słonecznie. Zawsze zresztą jest pięknie nad Sanną, a my zaglądaliśmy w różne ciekawe, a omijane dotychczas zakola, bo Sanna często zmienia swój bieg, i tworzą się nowe zakątki, niekiedy tajemnicze, bo zasłaniane przybrzeżnymi drzewami, powalonymi zmianą biegu rzeki. I właśnie, gdy leżeliśmy przy jednej wielkiej świeżo utworzonej wyrwie w wysokim piaszczystym brzegu rzeki, ujrzelśmy błyszczący wiele kolorowy kształt, jak błyskawica przelatujący nad powierzchnią wirującej pod brzegiem wody. Od razu wiedzieliśmy, że to zimorodek, bo coś zresztą innego, jaka istota mogło tak co chwila wyskakiwać z wysoko nad wodą położonego otworu w nasłonecznionym brzegu, by za chwilę zniknąć w pędzie w rzece, i prawie od razu wynurzać się z niej, z drobną rybką trzepocącą w dziobie, by równie momentalnie wpaść do otworu w brzegu. Obserwowaliśmy te wyskoki zimorodka długo, aż przestały się powtarzać. Już nigdy potem nie zdarzyło mi się oglądać tego podniecającego, kolorowego, i tak szybko przebiegającego widowiska.

Z Wieśkiem Rydzewskim po latach spotkałem się kilka razy w Warszawie, w tramwaju. Poznaliśmy się i to rozpoznanie zaznaczyliśmy, nawet chyba była jakaś krótka wymiana słów. Ja myślę, że on pamiętał wydarzenia z Gimnazjum, i nie był pewien, po której „stronie” stanąłem. I ta niepewność jakoś go zasadniczo powstrzymywała, hamowała – nawet po latach. Nasze przejazdy tramwajem były jednak krótkie i nie sprzyjały rozwijaniu rozmowy - jeszcze bardziej wspomnianiu. Heca z wagarami i próbą „ostracyzmu” i u mnie pozostawiła zły osad.

W tytule mam koleżanki wymienione przed kolegami, i o nich powinienem najpierw pisać, o czym mi przypominała kilkakrotnie Basia. Zresztą, pisałem, lecz tylko o jednej – o Lusi, czyli o naszej koleżance Eulalii Blinowskiej, bo była absolutną liderką, niedościgłą prymuską w obu klasach IIIA i IIIB. Dzięki zdolnościom, cechom charakteru, ale i to trzeba powiedzieć, że dzięki dobrym warunkom domowym. Podobnie wyróżniał się w klasie wyższej jej brat, Konrad Blinowski, późniejszy pracownik naukowy w Instytucie Fizyki Jądrowej w Świerku.

Lusia miała regularne rysy, była bardzo szczupła, ale - tak mi się wydawało - w kontaktach była wyraźnie oschła. Przez te cechy narażała się na – wypowiedane jednak cicho i raczej na boku - złośliwe docinki kolegów, zwłaszcza nieco rubasznego Jędrka. Ja, odwrotnie, byłem pod jej urokiem, niemal wielbicielem, dyskretnym i cichym, bo nie przypominam, bym z Lusią kiedykolwiek rozmawiał. Z równie interesującym Kondkiem natomiast - bo tak Konrada poufale nazywaliśmy - rozmawiałem wielokrotnie i ciekawie, chociaż nieczęsto, bo on był w wyższej klasie, a w późniejszych latach spotykaliśmy się sporadycznie.

Nasze koleżanki, zawsze gustownie ubrane, trzymały się razem i nieco osobno wobec swoich kolegów. Nie wynikało to z jakiegoś poczucia niższości, czy mniejszej pilności, bądź mniejszych zdolności – przeciwnie, były zdolne i przeważnie bardzo dobrze do lekcji przygotowane. Jednak dostrzegałem u niektórych rodzaj nadmiernego jakby skrępowania, albo zagubienia - gdy były wywoływane do odpowiedzi. Na przykład, koleżanka Wisia Majewska, delikatna poetka, gdy unosiła się w ławce, zrywając się do odpowiedzi, na początku chyba zawsze jakby załamywała w sobie, a jej wysoka postać w dziwnym pochyleniu upodabniała się do znaku zapytania. Ja się wkrótce domyśliłem, że Wisia najzwyczajniej – jak to u poetów (i u poetek!) bywa, w chwili gdy padało skierowane do niej pytanie, przebywała w innym świecie, w krainie marzeń, z której powrót do rzeczywistości nie mógł być natychmiastowy. Niemal identyczna reakcja występowała u innej koleżanki, Wiesi Sapalskiej, też poetki (ale skłonność do poezji i budowania lirycznych wierszy u obu koleżanek ujawniła się dużo później!). Reakcja Wiesi była zresztą zupełnie inna – ujawniał się jej odmienny, bujny, gwałtowny temperament, przystępowała do odpowiedzi od razu, więc nie zawsze składnie, i dopiero w dalszych chwilach jakoś rzecz wyprostowywała.

Dodam, że w poezji Wisi Majewskiej-Tronowicz dostrzegałem pogłębiony smutek i melancholię, wyobcowanie typu „samotność w tłumie”. Natomiast w poezji Wiesi Sapalskiej-Rafalskiej-Grymińskiej jej próby opisanie doznań osobistych, krajobrazu Zaklikowa - ze szczególnym uwielbieniem Sanny, można zakwalifikować do afirmacji rzeczywistości – pod warunkiem, że będzie bardzo zielona i tak kwietna, jak w procesji Bożego Ciała. Mogłem tak napisać, choć tylko w skrócie, bo obie koleżanki początkowo udostępniały mi ufnie swe utwory, ale wkrótce ufnosc zanikła. Basia twierdzi, że wiersze Wiesi Sapalskiej po śmierci jej męża Janusza Grymińskiego wyrażały jednak wyłącznie rozpacz. Obie nasze Poetki nic żyją. Spotykaliśmy się początkowo często, głównie w porze letniej, w domu Marysi Głuchowskiej-Zakościelnej, to znaczy spotykały się początkowo niemal jedynie koleżanki z Liceum, ale po Zjeździe Jubileuszowym w 1997 r. i ja z Basią zostałem do tego grona dopuszczony. Uczestniczyły Regina Stryjecka-Kielczewska, nasza koleżanka i później Profesor Liceum – wybitna polonistka-prozatkorka, niestety już wtedy ciężko chora, zjawiała się Lidka Gilówna, oraz obie siostry Łyskówny – jedna (Halina Bielecka) przyjeżdżała ze Stalowej, druga (Jola Bartko) do niedawna regularnie przyjeżdżała ze Szczytna. W tym roku wszystko się urwało, ze względu na chorobę Marysi, która była zwornikiem tych spotkań, a teraz jest pod opieką rodziny w Lublinie. Przed laty spotykaliśmy się jeszcze u Stasia Mazurkiewicza i u Haliny na Janowskiej, oraz u Wiesi Sapalskiej – która zawsze dynamizowała atmosferę spotkań muzyką i śpiewami z nieodłącznego magnetofonu. Ja robiłem zdjęcia, dzienne i wieczorowe, oraz - dobre wrażenie, oczywiście (to znaczy – starałem się). Gdy byliśmy, w Zaklikowie było radośnie i głośno. A teraz – większości już nie ma, ale, cóż - czas na młodszych.

Niżej – podarowana mi przez Marysię Głuchowską fotografia pierwszych przyszłych Absolwentów Liceum w Zaklikowie



Na dole: Halina Łyskówna, Basia Stryjecka, Zosia Majewska, Barbara Golecka, Jola Łyskówna, Marysia Głuchowska, prof. M.Zakościelny.  
Na górze: Wiesiek Stryjecki, Wiesia Sapalska, Mirek Gil, Ignac Bednarowski, Lilka Gotner, Wiśka Majewska, Jan Mazurek.  
Na zdjęciu nie występują następujący przyszli Absolwenci: Lidia Gil, Henryka Kielb, Irena Zakościelna, Zofia Zakościelna.  
Ja w Warszawie przystąpiłem do matury o rok później, w 1951 r., bo Liceum Telekomunikacyjne było 3-letnie.



Po Gimnazjum liczyłem na przyjęcie do Państwowego Liceum Telekomunikacyjnego w Warszawie, to była jedyna w Polsce zawodowa szkoła średnia mająca dział radiowy. Ścisłe radiowe Technika powstały dopiero w następnym, 1949 roku (w Dzierżonowie, i w Warszawie przy Stępińskiej). Czekając na zaproszenie z Warszawy, na wstępny egzamin, na wszelki wypadek zgłosiłem się z dużą grupą kolegów na egzamin do Liceum Mechanicznego przy Hucie Stalowa Wola. Do egzaminu o przyjęcie do Liceum Mechanicznego przystąpiła również spora grupa absolwentów własnego Gimnazjum Mechanicznego przy Hucie, więc konkurencja była spora, bo razem było nas około 160 osób. Zasadniczą formą egzaminu były testy, ale były też egzaminy z umiejętności rysowania oraz z języka polskiego. Na jednym pytaniu testowym potknąłem się, bo nie znałem daty powstania Związku Walki Młodych. Inne egzaminy poszły dobrze, właściwie prawie wszyscy zdali, bo była duża chłonność przemysłu na młode kadry techniczne. Odnotowuję, że na egzaminie ustnym z języka polskiego padały pytania typu: z jakiego materiału były ubrania noszone przez Podbiłę? Na jakim koniu jeździł? Co Jagna z Antkiem czynili w stogu? – przy czym od strony Wysokiej Komisji Egzaminacyjnej szerzył się przyjemny zapach wiśniówki.

Dostali się prawie wszyscy, a ja na drugim miejscu, pierwsze zajął prymus z Gimnazjum przy Hucie. Taka klasyfikacja bardzo mnie usatysfakcjonowała, zawsze to lepiej być drugim w Stalowej, niż szóstym w Zaklikowie. Moi koledzy z Zaklikowa zajęli, niestety, dalsze miejsca. Chwalę się – ale kto teraz sprawdzi czy to prawda,?

G.Orwell pisze tak: „Autobiografii można wierzyć tylko wtedy, gdy ujawnia jakąś sromotę. Człowiek, który sam sobie wystawia dobre świadectwo, prawdopodobnie kłamie.”

Pobyt w Hucie robił wrażenie – zwiedzaliśmy hale produkcyjne, walcownię żelaza, wysoką wieżę ciśnień. Weszliśmy na sam szczyt wieży ciśnień, potem trudno nam było zejść, a po zejściu – prawie nie mogliśmy chodzić. Huta imponowała mi, ale ja wiedziałem, że to nie moja dziedzina, że jest nią Radiotechnika, współcześnie zwana Elektroniką. Wówczas tej nazwy nie stosowano, bo i sama dziedzina - tak obecnie nazywana – jeszcze nie istniała.

Czasu do stracenia nie miałem. Już wkrótce udałem się na egzamin wstępny do Liceum Telekomunikacyjnego przy ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie, gdzie na 3 piętrze, w gmachu ówczesnej Poczty Głównej, mieściły się pracownie i sale wykładowe szkoły. Egzamin był pisemny i dotyczył wyłącznie matematyki. Do rozwiązania było 7 zadań, średnio trudnych. Ja się zagapiłem i nie zauważyłem ostatniego, siódmego zadania. Triumfując – jako pierwszy - podałem Komisji rozwiązania 6 zadań i po prostu wyszedłem. Zrobiłem tak przez nieuwagę i dlatego, że przyzwyczailem się już do tego, że zwykle jako pierwszy rozwiązywałem zadania, na klasówkach i wszelkich egzaminach. Na szczęście, wszystko wyszło dobrze, ktoś chyba zauważył moje potknięcie, moją nieuwagę, i zareagował rozsądnie.

Na czas egzaminu gościny mi użyczyla Ciotka Medyńska z Wujkiem Jankiem, którzy mieszkali w Milanówku, ale ponieważ nie mieli własnego mieszkania, a ich posady były zagrożone, ja musiałem sobie poszukać miejsca zaczepienia się na czas nauki. Takie miejsce znalazło się, w bursie Towarzystwa Burs i Stypendiów (TBS) w Miedzeszynie pod Warszawą. „Znalazło się” oznacza tyle, że to miejsce sam sobie wynalazłem. Moim atutem była praca Matki jako nauczycielki wiejskiej. Istotne było i to, że w TBS było dużo ludzi pochodzących z Wilna, rozumiejących dolę i niedolę Kresowiaków.

**Środa, 28 czerwca 2015 r.**

W polityce niby sezon ogórkowy, ale ważą się losy stosunków UE z Grecją – ogłoszono tam referendum w kwestii wyjścia ze strefy Euro. Z Moskwy postraszyli, że już wycelowali w ramach ćwiczeń rakiety na Warszawę – co już było. Jednocześnie podano, że wrak samolotu smoleńskiego może być zwrócony 6 sierpnia – to dzień zaprzysiężenia Andrzeja Dudy jako Prezydenta RP. W sporcie: siatkarze wygrali drugi mecz z Iranem 3:1, pierwszy przegrali 2:3 – oba na gorącym terenie, przy „piekielnie gorącej widowni”, w Teheranie. To wielki sukces.

### **Czym się zajmowałem w Irenie i Zaklikowie, gdy byłem tam w szkole**

Po przybyciu do Ireny okazało się, że nikt nas nie oczekuje, szkoły nie ma, dopiero trzeba ją zorganizować, co będzie trudne, bo w ogóle wieś jest mała, dzieci jest mało, przy tym starsze uczęszczają do szkoły w Zaklikowie. Ponadto, że mieszkać w zasadzie nie ma gdzie, i nawet w miejscu chwilowego zakwaterowania brak drewna opałowego. By choćby ugotować jakąś zacierkę, musiałem znaleźć się właściwie, żeby pokazać tutejszym, że potrafimy radzić sobie. Poszedłem z siekierą do lasu, zrąbałem pierwsze napotkane drzewko bezlistne, jako ususzone, no i przywiozłem je na wypożyczonych sankach „do domu”. Był więc opał, na ogrzanie i gotowanie. Później ktoś mi zrobił uwagę, że postąpiłem niewłaściwie, to zrabane drzewko nie było ususzone, bo to był cenny modrzew, tracący igły na zimę – czego nie wiedziałem.

Drugi sromotny czyn był już częściowo zamierzony. Wiosną zacząłem zwiedzać lasy i gdy po około 2-3 km wędrowania na południe dotarłem do stawów, postanowiłem zrobić wędkę i łowić ryby – bardziej z wrodzonej pasji, niż dla podreperowania budżetu domowego. Od kolegów dowiedziałem się, że w stawach mogą być karpie, że stawy kiedyś należały do hr. Tarnowskiego, a teraz nie wiadomo czyje są. Ostrzegano mnie, że jeżeli mnie złapie znany tu rybak Bojko, to mi połamie kości. Ja jednak byłem nad stawami dwukrotnie, rankami, i nikogo nie spotkałem. Za każdym razem przyniosłem kilka karpia, każdy na oko około 0,3 kg. Jednak za trzecim razem, gdy tylko usiadłem na pochyłym trawiastym brzegu, pod Słońce, wyczułem, że ktoś na mnie patrzy. Obejrzałem się – stał za mną wysoki, mocny mężczyzna, w odległości kilku metrów. Cóż było robić – zastosowałem taki wybieg – zacząłem mówić głośno po rosyjsku (to nie był czysty rosyjski, ja raczej później douczyłem się rosyjskiego, to była improwizacja białorusko-rosyjska). Mówiłem wymyślone bzdury, że ja wędruję z Tyflisu – czy do Tyflisu, i że po drodze łapię ryby. I ciągle mówiąc głośno, pytając, czy on wie gdzie leży Tyflis, spokojnie wycofywałem się. Nie było rozmowy, pytań, wygrażania – i nikt mnie nie gonił. Więcej na złodziejstwo kłusownicze już nie wyprawilem się. Ta historia mogła się skończyć bardzo źle, mogłem być jednym kopnięciem zrzucony od razu na głęboką wodę.

Po wielu, wielu latach dowiedziałem się, że stary Bojko żyje, tylko utracił jedną nogę. Chciałem go odwiedzić, zapytać, czy to on wtedy stał za mną nad brzegiem stawu. Ale gdy właśnie zdecydowałem się na odwiedzinę, Pan Bojko akurat zmarł.

W Irenie nauczanie jednak rozwinęło się, co nie było początkowo łatwe – bo społeczność wsi wywodzi się z pracowników dawnej Fabryki Żelaza, niektórzy mieszkańcy są obcy z „szerokim światem” przez zatrudnienie w Stalowej Woli, w Ostrowcu, często w Warszawie. Tacy wydają się być bardziej ocytani i wykształceni, niż mieszkańcy innych wsi, nawet Zaklikowa. A jeszcze więcej i „honornie” myślą o sobie ich żony – tu, na przykład, sąsiadki przesiadujące na ławeczkach przed domem, często na ulicy, w toku rozmów odzywają się wzajemnie „z miejska” przez „Pani”, a nie przez „Ty”. Ale też okazało się, że oprócz uczenia dzieci, występuje pilna potrzeba kształcenia i dorosłych. Wielu z dorosłych po wojnie miało aspiracje podciągnięcia poziomu wiedzy tak, by – na przykład - zostać urzędnikami, których brakowało, a nawet nauczycielami, których też brakowało. Wtedy było to możliwe, w ramach walki z analfabetyzmem dla dorosłych urządzano kursy dokształcające, a zdolniejsi i ambitni mogli w ciągu jednego roku uzyskać np. zaświadczenie o ukończeniu wykształcenia w zakresie 7 klas, chociażby startowali z poziomu 5 klasy. Takie wieczorowe kursy w Irenie zorganizował mój Ojczym. Cieszyły się dużym powodzeniem, uczęszczali na nie również mieszkańcy okolicznych osiedli. Przy tym okazało się, że spora część społeczeństwa właściwie nie umie czytać i nie potrafi napisać nawet zwykłego podania.

Ponieważ początkowo potrzeby były naprawdę duże, Ojczym do prowadzenia tych kursów zaangażował z czasem i mnie, w zakresie algebry i innych działów matematyki. Bo nowe programy nauczania stawiały wymagania zdecydowanie wyższe, niż programy przedwojenne, i algebrę wprowadzono do szkoły podstawowej. Te kursy były prowadzone w salach Pałacu

hrabiowskiego, przy oświetleniu z lamp naftowych, lub z lamp karbidowych, dających silne oślepiające światło – ale kapryśnych w obsłudze, syczących i trochę niebezpiecznych.

Mnie zdumiewał i cieszył ogromny powszechny pęd do wiedzy, w tym nawet do matematyki. Wydaje się, że słowo *Algebra* oddziaływało wtedy niby zaczarowane zaklęcie, zapewniające wprowadzenie w stan wyższego wtajemniczenia, zdobycie wykształcenia. Zresztą, tak samo oddziaływało słowo *Matematyka*, zastępujące dawne, jakby już zużyte nazwy przedmiotu – *Arytmetyka*, lub *Rachunki*. Ja oczywiście czułem się też uszlachcony zastępując Ojczyzmą, i wcale mnie nie peszyło, że wśród słuchaczy były osoby starsze ode mnie, czasem znacznie.

Wśród grupy słuchaczy wyróżniała się szczególnym zainteresowaniem i pojętnością w zakresie matematyki Aleksandra Skibówna, mieszkająca w pobliżu Pałacu. Skibowie jako nieliczni w Irenie mieli gospodarstwo rolnicze, i czasem widywałem Olkę Skibównę zaganiającą na podwórko swoje trzy krowy, wracające z wypasów we wspólnym stadzie. Chyba całe gospodarstwo była na jej pieczy, bo rodzice byli już w podeszłym wieku, starsi bracia z różnych przyczyn byli tymczasowo poza domem, a młodsza siostra Halina jeszcze uczęszczała do szkoły powszechnej w Zaklikowie. Olka miała duże zdolności i powinna była je rozwijać. Widocznie rodzice nie zdecydowali się na wysłanie jej do Gimnazjum właśnie dlatego, że cała gospodarka polegała na niej. To była poważna dziewczyna, poczuwająca się do spełniania nakładanych na nią obowiązków rodzinnych. Ja czasem, wracając od Jędrka wieczorem do domu, zamiast zejść do Robka Wieczorka, czy do Jasi Bzymkówny, wołałem zejść do Skibów, by pogawędzić z Olką na werandzie. Skibowie mieli spory drewniany dom, nietypowy dla Ireny, i jedyną we wsi werandę. Teraz na miejscu dawnego obejścia Skibów, domu, stodoły - stoją jakieś murowane okropieństwa. Nasze kontakty były częste i Mama czasem robiła mi przytyki i wymówki, antycypując rodzące się uczucie i wyolbrzymiając możliwe komplikacje. Bo ja miałem wyruszyć do Warszawy, i rzeczywiście wkrótce wyjechałem, tracąc kontakt z Ireną, bo i Rodzice po pewnym czasie wyjechali z Ireny, przenosząc się do Kozłówki pod Lubartowem. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że Olka zachorowała na białaczkę i zmarła. Olka leży w rodzinnym grobie Skibów na cmentarzu w Zaklikowie, i nie ma na tym grobie Jej imienia. To była poważna dziewczyna.

Z Jędrkiem byłem blisko, latem często chodziliśmy razem na dłuższe wypady, do lasów i w dół rzeki Sanny, kompensując sobie nie wyjechanie na harcerski obóz. Ale my z powodu nie wyjechania na obóz nie cierpieliśmy. Obaj nie przepadaliliśmy za formami zbiorowych zabaw i zajęć typu skautowego, organizowanych i prowadzonych pod komendą, chociaż większość chłopców to lubi. Kapaliśmy się – ba, prawie bez przerwy moczyliśmy się w upały w Sannie, a poszukując jej rozszerzeń, docieraliśmy do obu Łązków, gdzie były dwa młyny wodne. Jeden był już opuszczony, ale pozostał po nim spory zalew. Ze szczelin drewnianej ściany zapory wodnej spiętrzonego zalewu były bicz zimnej wody. Były silne, w dole, na oślizgłych deskach spływu trudno było ustać, ale stawaliśmy tam, podstawialiśmy pod te wodne bicze plecy, sprawdzając wytrzymałość – aż w końcu uciekaliśmy, bo już szczękaliśmy głośno zębami z zimna. Gdyby ta zaporą w toku naszych zabaw puściła, wysoka fala zmiotła by nas w dół jak muchy – to zagrożenie było oczywiste, ale wydawało się nam nieprawdopodobne.

Z Jędrkiem we dwóch wymyśliliśmy i urządzili we wsi małego psikusa, by jakoś zaznaczyć swoją obecność i nawiązać do tradycji Ireny. Ta tradycja według przekazu – nie wiem, czy prawdziwego - wymagała, na przykład, nocnego zamalowania okien pannom na wydaniu, przestawienia wozów gospodarzom, zamiany na płotach garnków i dzbanów wywieszanych przez gospodynie na noc dla przeschnięcia, zdjęcia z zawiasów i ukryciu furtki lub bramy wjazdowej, i podjęcia innych podobnych działań, nazywanych obecnie happeningiem. Mieliśmy to uczynić nocną porą, w maju lub w czerwcu w pobliżu nocy Świętojańskiej. I postanowiliśmy polegać tylko na sobie, bo Robek Wieczorek był już „za stary”, a Nioniek Głuchowski był gadatliwy i mógł nas zdekonspirować. Kłopot był taki, że panien na wydaniu nie było, a i gospodarzy prawie w Irenie nie było, musieliśmy uwzględnić te ograniczenia.

Innym problemem było to, że ja w tym czasie w wyniku niesnasek domowych zamieszkałem na jakiś czas w bursie w Zaklikowie, więc musiałem przybyć potajemnie nocą, pokonując trudną drogę do Ireny, szczególnie na odcinku zwanym Żółtą Górką, gdzie przecinała drogę duża piaskowa wydma. Żółta Górka w późniejszych latach została zniwelowana przy kładzeniu drogi asfaltowej, jednak nie wiadomo, czy usunięcie przeszkód naturalnych – zwłaszcza kopnego piasku - spowodowało również usunięcie przeszkód natury metafizycznej. Bo opowiadano różne dziwne rzeczy – na przykład o północy zdarzało się widywać tam dużego czarnego koguta, który utrudniał przejście trzepocąc skrzydłami. I podobno nadal ludzie „trunkowi” mają trudności – wracają do domu, gdy się dobrze rozwidni i czar znika.

Więc, pokonując nocą daleką i najeżoną różnymi trudnościami drogę, przy pięknym Księżycu spotkałem się z Jędrkiem i sprawnie zdjeliśmy kilka furtek i bram, ustawiając je przy płotach lub w poprzek ulicy – jedną furtkę wywindowaliśmy na drzewo. Pełnego planu jednak nie wykonaliśmy, bo byliśmy w świetle Księżycowym widoczni, a obudzeni mieszkańcy zaczęli przez okna lamentować, złorzeczyć, i zamiast zabawy mogła być rozróżba – bo na tym świecie nie wszyscy znają się na żartach i umieją cenić dobre żarty. Nazajutrz wszystkie pretensje skupiły się na Jędrku – bo on został rozpoznany. A ja nie, i nikt nie domyślał się, kto to był ten drugi – w pewnym sensie byłem rozczarowany, jako nie doceniony.

Zachodziłem też często do Głuchowskich, bo zaprzyjaźniłem się z Niońkiem i nęcił mnie wspaniały warsztat stolarski jego Ojca, Pana Głuchowskiego, bardzo cenionego wytwórcy mebli i okien. Było to blisko, tuż przez ulicę. Mieli ładny domek i piękną, wysoką i bardzo płodną gruszę na terenie ogródka, gdzie rosły też porzeczki. Kilka razy we trójkę z Niońkiem, i Jędrkiem – który był ich krewnym, popijaliśmy wspaniałe wino porzeczkowe, nastawiane przez Panią Głuchowską, bardzo schludnie utrzymującą wewnątrz domu i uprawiającą ogródek. Nioniek pomagał Ojcu w warsztacie, ale głównie miał aspiracje partyzanckie. Gdy mu minęły, uprawiał śpiewanie stosownych pieśni i wprawiał się w grze na harmonii. Nioniek miał starszą od siebie siostrę Zosię, też jak i on starannie ubierającą się, zwłaszcza gdy wychodziła na potańcówki w Pałacu. Na nas młokosów nie zwracała zbytniej uwagi, nawet gdy próbowaliśmy pod ową gruszą przejść z wina na popijanie zwykłej wódki – co nam, nieprzyzwyczajonym, kiepsko wychodziło – szybko upijaliśmy się. Z tych spotkań w ogródku najbardziej zapamiętałem tę wysoką urodzajną gruszę i jej duże soczyste owoce. Znacznie później, po wielu latach, od spotkanego w Warszawie Niońka dowiedziałem się, że ta wspaniała grusza została zniszczona, gdy nieoględnie rozniecono w jej pobliżu ognisko. Zosia odegrała w moim życiu pewną rolę, trudną do oceny, więc tylko wspomnę, że po bardzo wielu latach zaprosiła mnie do siebie i użyczyła gościny w Zaklikowie. Było to wtedy, gdy Staś Mazurkiewicz przypomniał - w ostatniej chwili – organizatorom Jubileuszowego Zjazdu na 50-lecie Szkoły o moim istnieniu, tylko już „nie było dla mnie miejsca w Gospodzie”.

Teraz jednak wracam do początku. Z Niońkiem – chłopakiem fantazyjnym – wymyśliliśmy, jak ja przy jego pomocy mogę zrobić narty, do których tęskniłem, a których kupić nie można było, tak przynajmniej mi się wydawało. Części drewniane mogły być zrobione w warsztacie Pana Głuchowskiego, ale potrzebny był materiał – jesion, bo ja chciałem, by były tak samo elastyczne jak narty Mamy, pozostawione w Chotowie. Więc postanowiliśmy udać się do lasów Ordynacji Zamojskich, jak do swoich, tam rosły jesiony, wypatrzyłem je wcześniej, jeszcze latem. Bo po jesiony wybraliśmy się zimą, w mroźny dzień i dość późno, choć jeszcze przed południem. Późne wyjście wynikało z czekania na dostawę chleba do sklepu, i do domu, ale nie doczekałem się. Lekkoomyślnie postanowiłem wyruszyć bez śniadania, bo Nioniek już czekał z sankami, takimi długimi, do przewożenia lekkich elementów drewnianych. I wyruszyliśmy, najpierw drogą, a po osiągnięciu linii stawów, poprzez tafle lodowe, brnąc miejscami w śniegu powyżej kolan. I nie zdając sobie sprawy z tego, na co się narażamy. Po pierwsze, mieliśmy ściąć drzewo bezprawnie, ale wtedy tym się właściwie mało kto przejmował. Po drugie, ogarnięci zapalem wybierania jesionów najlepszej jakości,

zabrneliśmy bardzo głęboko w lasy Ordynacji, przy tym, kierowani rządem, ścieliśmy nie jeden, a trzy jesiony. Trzeba było jednak wracać, i wtedy się ujawniły trudy ciągnięcia ciężkich teraz sanek, przez głęboki śnieg i zarośla – a do wyjeżdżonej drogi było ciągle daleko. Byłem bez śniadania, traciłem siły, na dodatek z mrozu zacząłem tracić czucie w stopach. Wreszcie wyszliśmy poza stawy i postanowiliśmy zapalić ognisko, by się ogrzać – co pomogło mi na nogi, wróciło czucie, ale na krótko. Zmitrężyliśmy na to ognisko sporo czasu, i gdy w końcu dotarliśmy do drogi, Słońce już zachodziło i znowu czułem zamarzanie nóg, obu. A do tego zaczynaliśmy odczuwać senność. Przystawaliśmy, co raz częściej, siadaliśmy na sankach dla odpoczynku. Zrzuciliśmy wtedy jeden z pni jesionowych, wkrótce zrzuciliśmy i drugi, niewiele to jednak pomogło, bo byliśmy już bardzo wyczerpani. Przysiadaliśmy i ze zgrozą stwierdzaliśmy, że zasypiamy. Jednak zdawaliśmy sprawę z tego, co by zaśnięcie oznaczało. Trzeba było wstawać i iść, walczyć z ogarniającą nas sennością. Ja łykałem śnieg, garściami, coraz bardziej, co przynosiło pewną ulgę, ale jednak wyziębiał. Było już zupełnie ciemno. Wreszcie jednak zobaczyliśmy daleko światła – były to zapewne światła domu Paterskich, mieszkających za wydumą – więc do samej Ireny był jeszcze spory kawałek, ponad kilometr. Chcieliśmy dotrzeć i wejść do jakiegokolwiek pierwszego, najbliższego domu, by paść i zasnąć. Jednak jakoś dotarliśmy do Ireny, ja od razu zasnąłem i obudziłem się dopiero w południe następnego dnia. Marian był silniejszy ode mnie, jeszcze tego samego wieczoru przyszedł zobaczyć, co się ze mną dzieje. Oczywiście, spałem. A tak w ogóle – odechciało mi się robić narty, na długo też nabrałem wstrętu do picia wody – tyle się wtedy nałykałem śniegu.

Co jeszcze w Irenie robiłem ? Ano, tańczyłem, ciągle w Pałacu urządzano potańcówki, przy orkiestrze – zwykle z czterech muzykantów. Tańczyć nauczyłem się z książek, tańczyłem głównie oberki i walce, ale również kujawiaki i tanga, i takie nowoczesne „chodzone”. Tańczenia polki nigdy się nie nauczyłem, chociaż bardzo mi się podoba ten taniec – są takie pary wspaniałe, lekko, z polotem tańczące polkę. Ja do tańczenia oberka zapraszałem dziewczyny nieco – albo i wyraźnie starsze ode mnie, i masywniejsze, one zwykle dobrze tańczyły oberka i stanowiły przeciwwagę potrzebną w szybkim wirowaniu. W późniejszych czasach nie zdarzało mi się często tańczyć oberka, i w ogóle mniej tańczyłem, zwłaszcza w sposób „szalony”. Jaki w młodości lubilem.

Potańcówki w Irenie organizowano zwykle w niedzielę wczesnym popołudniem, rytmy taneczne zanikały tuż przed północą – bo wśród tancerzy dominowali miejscowi zatrudnieni w Hucie Stalowa Wola. Oni musieli wrócić do Stalowej jedynym nocnym pociągiem, więc wychodzili z zabawy odpowiednio wcześniej. Niektórzy wskakiwali do pociągu w biegu, bo pociąg zwalniał bardzo bieg przejeżdżając przez drewniany most kolejowy na Sannie.

Niedawno dowiedziałem się, że tradycja potańcówek w Pałacu w Irenie, zapoczątkowana za mojego pobytu, utrwaliła się i na te potańcówki ściągali tancerze z całej okolicy jeszcze nawet w połowie lat 50-tych. Później Pałac przeszedł we władanie Sióstr Szarytek.

#### **Wtorek, 30 czerwca 2015 r.**

Ważą się losy Grecji – wyjdzie, czy nie wyjdzie z Unii Europejskiej. Grecy pobrali przy wstąpieniu do Unii duże pieniądze, ale zamiast wydać je na uzdrowienie gospodarki, wdrożyć potrzebne reformy, kolejne rządy greckie wydawały je na utrzymanie i nawet podniesienie stopy życiowej obywateli. Teraz pieniędzy zabrakło, nawet na wypłatę oszczędności i emerytur. Grecja zwraca się o dalsze pieniądze z Unii, szantażując niewypłacalnością, czyli bankructwem. Sprawa ma wymiar wewnętrznej korupcji, zewnętrznym wymiar polityczny – bo Rosja chce „pomóc” Grecji w odejściu z Unii, które by oznaczało zrobienie wyłomu w jedności państw Zachodu.

Prokuratura Generalna Rosji bada legalność rozpadu ZSRR i ogłoszenia niepodległości jej byłych Republik. Podnoszą się jednak głosy, że już samo utworzenie ZSRR było nielegalne. Teraz jednak muszę już zacząć rozpamiętywanie czasów pobytu i nauki w Warszawie.



**Poniedziałek, 13 lipca 2015 r.**

Basia, która była wczoraj u Marysi w Lublinie, przekazała mi wrażenia Marysi z lektury moich wspomnień z Zaklikowa, które przesłałem na adres Łukasza Kukiera, jej wnuka. Korzystne, ale z uwagą, że nie napisałem, nawet nie wspomniałem, że w Gimnazjum była również drużyna harcerska żeńska. Więć z największą przyjemnością dodaję uzupełnienie, że moja szanowna koleżanka, druhna Marysia Głuchowska, była Zastępową w drużynie harcerskiej prowadzonej przez druhnę Drużynową Leontynę Dwornicką, oraz druhnę Przyboczną Barbarę Madeyską.

Dodaję zdjęcie przekazane przez Łukasza.



A oto i Drużyna Harcerska Żeńska – czyli dziewczynska – język mi się płacze z wrażenia! Takim Druhnom trudno było się oprzeć, to widać ze zwodniczego uśmiechu jednej z nich – jak nic uwiodłyby, tak jak rusałki z Sanny! I zginąłby zakochany druh, z kretesem. Bo – zakochać się łatwo, odkochać się trudniej. Ale były za poważne na flirty – w głowach tylko Obowiązek i Służba, a w sercach jeno Honor, Bóg i Ojczyzna.

Na zdjęciu – siedzi Zastępowa Marysia Głuchowska, z dwoma pasmami włosów wypuszczonymi na pierś – jest odchylona do tyłu ku stojącej koleżance, u jej stóp przykucnęła z uśmiechem Wiesia Sapalska, stoją od lewej: Druhna Jasia Jabłońska – drobna, uczesana na gładko, z przedziałkiem i warkoczem, oraz Druhna Basia Stryjecka – jakby nieco wyższa, z włosami lekko udrapowanymi ku górze, jest lekko nachylona ku odchylonej Marysi - tak, że zamyka kompozycję miękkim łukiem. Druhny są połączone, jakby związane w jedno uściskami dłoni. Kto to fotografował, kto skomponował tak ładną grupę?

A ponieważ tym uzupełnienie zacząłem nową stronę, i jej numer jest nieparzysty, co znaczy, że zacząłem w istocie dwie dodatkowe strony, wykorzystując je mogę napisać jeszcze o innych rzeczach. Na przykład, że prawie od początku pobytu w Zaklikowie prowadziłem dość rozległą korespondencję, poszukując w całym Kraju szkoły właściwej dla moich zainteresowań, oraz różnych ciekawych książek, głównie z dziedziny Radiotechniki, ale nie tylko. Bo, pamiętam, interesowała mnie nie tylko Technika, ale i Biologia. Oczywiście, na samym początku po Wojnie nowych książek jeszcze nie było, ale otwierające się księgarnie upływały sprytnie zachowane nakłady ciekawych książek z przed wojny. Kupowałem – za wyproszone od Matki grosze – książki z Matematyki i Fizyki, ale zamówiłem i nabyłem też małą książeczkę pt. „Z biologii pijawek”. Wreszcie ukazała się zupełnie nowa książka, pod

ekscytującym tytułem „Podręczny poradnik ucznia”. Zamówilem z rozpędu 4 egzemplarze, za pobraniem, i przyszły. Miałem pewne kłopoty z zaplaceniem należności i z upłynięciem książek - dwie podarowałem, jedną odprzedzałem. To był dobrze trafiony zakup – książka była akurat dopasowana do potrzeb i mentalności ucznia gimnazjum, zawierała nie tylko wzory z Matematyki i Fizyki, lecz i różne pożyteczne wiadomości encyklopedyczne z Geografii i Astronomii. Już wkrótce zaspokoilem swój głód posiadania książek również z dziedziny Radiotechniki, jakichkolwiek. Matka jeździła dość często do Lublina i wpraszałem się, by zabierała mnie ze sobą, bo nauczyciele i członkowie ich rodzin mogli na dogodnych warunkach zatrzymywać się w hotelu Związku Nauczycielstwa Polskiego. I tak kiedyś odwiedzając księgarnię w Lublinie trafiłem na właściwy moment i zakupiłem bardzo wtedy poszukiwane tłumaczenia angielskich książek, przedstawiających technikę radiową w ogólnie dostępnym, amatorskim ujęciu. Polskie oryginalne i udane książki dotyczące radiotechniki, na ogół bardziej wyspecjalizowane, pojawiły się dużo później.

Skoro wspomniałem o podróżach, to muszę stwierdzić, że tak jak i inni, podróżowałem czasem sam, zdarzało się, że nawet bez pieniędzy. Można było tanim kosztem przemieszczać się pociągiem przedstawiając w kasie biletowej PKP odpowiednie zaświadczenie ze szkoły, uprawniające do zakupu biletu ulgowego, praktycznie na dowolną odległość. Zaświadczenia wydawano wprawdzie okazjonalnie, były one ważne w zasadzie jednorazowo, ale nikt specjalnie nie sprawdzał, czy jest ono prawdziwe.

Ja razem z Jędrkiem, odbyliśmy jedną pamiętną podróż w ogóle bez biletu, całkowicie legalnie. W ramach festynu w Święto Ludowe przypadające na Zielone Świątki umożliwiono zgłaszającym się uczestnikom bezpłatny dojazd pociągami do Zamościa, gdzie odbywały się centralne uroczystości. My wybraliśmy podróż wagonem towarowym, nie troszcząc się o warunki bezpieczeństwa, chyba zresztą nikt w czasie tej wycieczki specjalnie o warunki i bezpieczeństwo podróżowania nie troszczył się. Dojechaliśmy do Zamościa szczęśliwie i w takim samym stanie zdrowia, i takim samym sposobem, zadowoleni – choć mocno zgłodnieli - wróciliśmy.

Ja tej wyprawy jednak nie mogę zapomnieć, to znaczy – raczej nie mogę jej zapamiętać jako bezwarunkowo dobrej. Bo zdarzyło się okropne wydarzenie, wprawdzie nie w podróży pociągiem, ale to wydarzenie przesłoniło mi wszystko, co było na festynie, i pamięć o nim wraca często samoistnie. Wydarzenie jest związane z ZOO, którym Zamość się chlubił i nadal chlubi. W ZOO były wówczas dwa duże niedźwiedzie brunatne, zamknięte w sporym pomieszczeniu z bardzo grubych, zapewne stalowych prętów. Było jeszcze dodatkowe wysokie ogrodzenie ze zwykłej siatki, ograniczające dostęp ludzi do klatki z niedźwiedziami. Byłem blisko i z powodu nierówności terenu, jakby z góry, ze schodów, widziałem dokładnie wewnątrz klatki z niedźwiedziami i przebieg wydarzenia. Z tłumu zwiedzających wyłonił się młody człowiek, sprawnie i szybko przedostał się przez ogradzającą siatkę i natychmiast, jakby na pokaz, przyłgnął do tych grubych prętów zasadniczej klatki, wyciągając rękę tak, jakby chciał pogłaskać najbliższego niedźwiedzia. I chociaż ruchy niedźwiedzi wydawały się powolne, pierwszy niedźwiedź pochwycił w pysk podaną mu dłoń i zaczął ją miażdżyć, zjadać, w tym czasie drugi niedźwiedź chwycił z drugiej strony przez pręty kolano nieszczęsnego młodzieńca i zaczął je szarpać i wciągać przez pręty do klatki. Ogromny tłum, krzyk i chaos spowodowały, że ochrona nie od razu pojawiła się, i nie od razu odpędzono rozjuszone niedźwiedzie, ale w końcu to się udało. Pochwycono omdlałego młodzieńca i niemal biegiem, ale z trudem, bo tłum zgęstniał – gdzieś go poniesiono. Nie wiem, czy wyżył, zapewne tak, ale z pewnością poniósł ciężkie uszkodzenia ciała.

Po tym, co się stało, już tylko raczej wyczekiwaliśmy chwili powrotu.

## **Lata 1948 – 1951, Liceum Telekomunikacyjne, i od roku 1951 Politechnika Warszawska**

### **I znowu jakby początek – lecz od września 1948 roku**

Dlaczego początek? Bo zaczęło się urzeczywistniać zamierzenie oderwania się od Rodziny, w sensie jak najwcześniejszego usamodzielnienia, zdobycia zawodu, w dalszej perspektywie wstąpienia na studia w Politechnice Warszawskiej w dziedzinie Radiotechniki. Ten ostatni zamiar rysował się tymczasem mgliście, gdyż w 1948 r. nie było jeszcze w Polsce średniej szkoły technicznej kształcącej radiotechników na poziomie licealnym. Wiedziałem o tym dobrze, bo ścierałem wszelkie możliwe informacje o kierunkach kształcenia technicznego w kraju. Na Radiotechnikę byłem już od dawna zorientowany, dlatego nie wstąpiłem do Liceum Mechanicznego w Stalowej Woli, mimo pomyślnego zdania tam egzaminów wstępnych z dobrą lokatą, wybrałem zaś Państwowe Liceum Telekomunikacyjne w Warszawie, gdzie jednym z kierunków kształcenia była Radiotechnika. I gdzie zostałem przyjęty.

W 1948 r. nastąpiło więc moje oderwanie się od domu rodzinnego, wprowadzie początkowo nie całkowite, lecz z biegiem lat utrwalające się. Było to chyba koniecznością wymuszoną brakiem domu rodzinnego w sensie dosłownym – bo Rodzice jakby przyzwyczaili się do tego, że co kilka lat są przenoszeni do szkoły w co raz to innej miejscowości. Ale i ja nie zaznałem rychło stabilności – przez szereg lat mieszkalem w coraz to innej bursie, innym internacie, domu akademickim, wynajętym pokoju (bez okna), szpitalu bądź sanatorium – odwiedzając wprowadzie Rodziców, ale zazwyczaj na krótko.

### **Czwartek, 9 lipca 2015 r.**

Zaczynam pisać dalszy ciąg wspomnień akurat w dniu moich urodzin. Poza Żoną i trzema zaprzyjaźnionymi osobami, nikt mi nie złożył życzeń. Od lat czekam na jedną osobę – na moją córkę Dorotę. Ona wie, kiedy mam imieniny i urodziny. Jednak nie pisze, nawet nie telefonuje, a w rzadkich rozmowach jest sztywna, sucha. Jedyne Jej słowa zabarwione emocją, wyrażały jakby pretensję, żal, że jej nie darzę uczuciem. A przecież już przeszło 30 lat usiłuję wszelkimi sposobami powiedzieć Jej, że było i jest wręcz przeciwnie, i to, jak dużo dla mnie znaczy. Ostatnio jednak, od dwóch lat, zaprzestałem wszelkich prób. Tak bywa, znam takie przypadki. A są i dwie wnuczki, dorosłe dziewczyny, już sporo lat po studiach.

Co przyniósł dzisiejszy dzień? Wiadomości z targowiska o pomoc finansową dla Grecji.

Przykrą wiadomość o odpadnięciu Agnieszki Radwańskiej w półfinale Wimbledonu.

O namierzeniu przez norweskie myśliwce F-16 rosyjskiego bombowca u granic Norwegii.

Tymczasem policzyłem, że przeżyłem już na tym świecie ponad 31 tysięcy dni. Czas nagli – wracam do pisania wspomnień, chcę je zaawansować, chociaż zapewne nie ukończę. Muszę pisać krócej, wstawiając relacje już napisane. Może się uda. Bardzo mi zależy na opisanu ludzi życzliwych, którzy mi pomogli, pomogli różnie, również w sensie ukształtowania się.

Zamieszkałem we wrześniu 1948 r. na linii Otwockiej, w Miedzeszynie, w trzyosobowym pokoju w Bursie Towarzystwa Burs i Stypendiów, prowadzonej w dwupiętrowym budynku przez ludzi pochodzących z Wilna. Można było domyślać się, że są to nauczyciele, ale wydaje się, że byli to również nie eksponujący się oficerowie Wojska Polskiego z przed 1939 r. Byli przyjaźni. Warunki były trudne, zamieszkanie w Bursie wraz z wyżywieniem było formą

Stypendium. W pewnym okresie, dla polepszenia wyżywienia, w piwnicy budynku urządzono hodowlę świń – co wtedy wymagano od każdej instytucji prowadzącej stołówkę, by odpadki z kuchni nie marnowały się. Miałem przyznane stypendium ze szkoły, przysyłała mi również skromne pieniądze co miesiąc Rodzina, bo obiady jadałem w czasie dużej przerwy w lekcjach, w pocztowej stołówce, mieszczącej się w podziemiach ówczesnego Gmachu Poczty Głównej przy ulicy Nowogrodzkiej 45 w Warszawie. Ten ultra nowoczesny Gmach, oddany do użytku dwa lata przed Wojną, ocalał, i dziwnie kontrastował z innymi domami Śródmieścia, przez zniszczenia sprowadzonymi w większości do konstrukcji parterowych. Parterowa Warszawa – to był widok przygnębiający, ale poza Śródmieściem było jeszcze gorzej, widziało się morze ruin, bez śladu ulic.

Gimnazjum i Liceum Telekomunikacyjne, oraz różne zawodowe Telekomunikacyjne Kursy dokształcające, kierowane łącznie przez Dyrektora Inż. Henryka Kowalskiego, mieściły się na 3 piętrze Gmachu Poczty Głównej. Do niektórych pracowni, oraz w czasie dużej przerwy na obiad do stołówki, zjeżdżało się z 3 piętra do podziemi szybkimi windami.

Mój typowy dzień przebiegał przez cały pierwszy rok Liceum następująco – wstawałem przed 6, po elementarnym umyciu się szybko wchłaniałem przygotowane śniadanie – talerz zupy mlecznej, zwykle owsianki, kilka kawałków chleba posmarowanych masłem, rzadziej – smalcem, z kawałkami cholernie kwaśnego twarożku, wypijałem kubek kawy zbożowej, czasem jej nie dopijając, i gnałem co sił na odległą o jakieś 600 m stację kolejki elektrycznej, by zanurzyć się w tłumie pasażerów, codziennie zdążających na 8 do pracy lub do szkoły, jak ja. Po drodze na kolejnych przystankach dopełniali wagony inni pasażerowie – jeżeli mogli się wcisnąć, ale części się to nie udawało, chętnych było za dużo. Gdy tłum „wylewał się” na Dworcu Wschodnim, zapoczątkowywał się wyścig, dość długi i wyczerpujący – ale sprawni szybkobiegacze docierali pierwsi do pętli tramwajowej przy ulicy Zielenieckiej, gdzie ciągle był ogromny tłum ludzi, czyhających na okazję wepchnięcia się do jakiegokolwiek tramwaju, któryby ich przewiózł mostem Poniatowskiego przez Wisłę, do Śródmieścia. Niby były kolejki, ale mimo obstawy Milicji wpychał się każdy, gdy tylko dostrzegał okazję. Ja i kilku podobnych do mnie czyhaliśmy jeszcze na inne okazje – otóż często w tym właśnie czasie tuż przy zakręcie i pętli przy Zielenieckiej przejeżdżały z Praskich hangarów puste jeszcze ciężarówki, kierujące się do Śródmieścia. Jeżeli to były ciężarówki pocztowe, to można było zajechać nimi prosto do Szkoły na Nowogrodzką – ale trzeba było zaryzykować, by biegiem dopaść wybranej ciężarówki, ucześcić się tylnej krawędzi jej skrzyni ładunkowej i podciągając się na rękach – wleźć do środka. Ryzykowało się odpadnięcie i upadek na wyslizgany, czarny bruk kostki bazaltowej, ze wszystkimi konsekwencjami takiego upadku, z możliwością przejechania po upadku przez następną ciężarówkę.

W następnym roku, i dalszych latach, gdy zbudowano most Śląsko-Dąbrowski i inne mosty, przeprawa przez Wisłę już nie była taka trudna, przestała być koszmarem. Z czasem nawet rozebrano prowizoryczny most drewniany dla pieszych, ustawiony na pontonach i łodziach.

Powrót do Miedzeszyna był łatwiejszy, bo zwykle wracało się późno i tłum był rozluźniony. Przejście między Stacją a Bursą było jednak zawsze męczące. Bo ówczesny Miedzeszyn był wtedy głównie rozległą piaskową przestrzenią, tylko gdzieś tam były domy, często drewniane, w stylu typowym dla linii otwockiej, nazywanym złośliwie „świder-majer”. Ulice w tej prawie pustynnej przestrzeni, z kopnym piaskiem, chyba nie były w ogóle wyznaczone, albo istniały tylko na papierze. Wracający nocą mogli obawiać się otrzymania „wycisku”.

Obiady, jakie jadaliśmy w podziemiach w pocztowej przyjemnej stołówce, nosiły nazwę „popularnych”, kosztowały 2 złote 40 groszy. Takie same i w tej samej cenie obiady można było zjeść wtedy we wszystkich okolicznych restauracjach, np. w sławnej Polonii, bo zgodnie z panującą proletariacką ideologią zamieniono restauracje na stołówki powszechnie dostępne. Ale w Polonii można też było za 3 złote 60 groszy mieć obiad lepszy, zwany „klubowym”, z dużym platem pieczonego boczku i porcją ziemniaków polanych bogato sosem.

Kolacje w Bursie wspominam jeszcze mniej tliwie, niż śniadania. Wprawdzie były przygotowane, dla takich późno wracających jak ja, ale nie zawsze były to porcje kompletne, a na pewno były niewystarczające. Personelu kuchennego już nie było. A co było na kolację? Najczęściej znowu kawałki chleba z pół zaschniętym kwaśnym serem, i kawa do podgrzania.

Nauka w Liceum Telekomunikacyjnym była pożyteczną przyjemnością, bo sale lekcyjne były obszerne i dobrze wyposażone, a nauczyciele kompetentni, przyjaźni i uprzejmi – zasadą było zwracanie się do uczni per „Pan”, lub „Pani” Bo mieliśmy też koleżanki, i chociaż liczebnie dominowała płeć męska, obecność koleżanek bardzo łagodziła obyczaje i słownictwo. Zwracanie się per *Pan, Pani* do uczniów – wszystkich, nawet najmłodszych – zapewne wprowadzili wykładowcy z Politechniki, zatrudniani w Liceum Telekomunikacyjnym dość licznie, zwłaszcza w latach początkowych, po Wojnie, ale i później. W naszym Liceum po Wojnie wykładał między innymi, zanim Politechnika ruszyła, Profesor Janusz Groszkowski, sława światowa i ojciec Polskiej Radiotechniki. Ale ja poznałem Go dopiero w Politechnice. Nauka w Liceum Telekomunikacyjnym, mimo dobrych warunków, stanowiła jednak – obiektywnie rzecz ujmując – duże obciążenie dla uczniów, gdyż spędzaliśmy w szkole wiele godzin. Chyba znacznie więcej, niż – na przykład - uczniowie Liceów Ogólnokształcących, i to mimo rozłożenia programu kształcenia na 3, a nie na 2 lata.

### Środa 15 lipca 2015 r.

Przerywam pisanie wspomnień z dawnych lat, bo nadeszły fascynujące wieści. Sonda New Horizons wysłana w kierunku Plutona 9 lat temu, przemknęła wczoraj blisko Plutona z prędkością 15 razy większą od prędkości kuli karabinowej i pędzi dalej, przechodząc pas Kuipera. Zaczęła już nadsyłać serię zdjęć powierzchni Planety, niektóre zrobione z odległości zaledwie 12,5 tys km. Przysyłanie zdjęć – z ogromnej odległości 4,8 mld km - potrwa kilka dni, innych danych – kilka miesięcy. Rok Plutona to 248 lat, jego średnica wynosi 2370 km.

Inna informacja, na poły fantastyczna: powrót idei Intermarium z końca XVI w.



Anglojęzyczny tabloid Euromaidan przedstawił pomysł *Intermarium* czyli *Między-morza*, odgrzewając ideę Piłsudskiego utworzenia unii państw na terenach będących ongiś we władaniu polskich królów, znaną powszechnie jako „*Polska od morza do morza*”, czyli od Bałtyku po Morze Czarne. Idea mile lechce polską wyobraźnię. Taki sojusz jednak nigdy nie powstał, i obecnie nie ma szans na realizację. Gdyby jednak powstał, zapewne byłby najsilniejszą organizacją polityczno-militarną w Europie Środkowo-Wschodniej. Intermarium jest pomysłem mającym na celu przeciwstawienie się ekspansji Rosji, wynika z trudności krystalizowania się państwowości Ukrainy.

Jeszcze inna informacja: w szpitalach Łodzi, Poznania i Warszawy znalazło się ok. 330 osób, w całym kraju ponad 500, niezwykle ciężko zatrutych narkotykiem, „dopalaczem” o złowrogiej nazwie Mocarz.

Wracam do relacjonowania przebiegu mojej 3-letniej nauki w Państwowym Liceum Telekomunikacyjnym w Warszawie. Najpierw kilka wiadomości z historii tej Szkoły. Została



utworzona przez inż. Henryka Kowalskiego w 1921 r. przy ulicy Miodowej 22, w pierwszym roku miała 21 uczniów. Szybko się rozrastała i kilkarotnie zmieniała lokalizację – mieściła się między innymi przy Placu Napoleona, tuż przed Wojną przy ul. Barbary, a po Wojnie w gmachu Poczty Głównej przy ulicy Nowogrodzkiej 45. Obecnie mieści się na Saskiej Kępie i nosi dziwną dla mnie nazwę: „Zespół Szkół nr 37 imienia Agnieszki Osieckiej”.

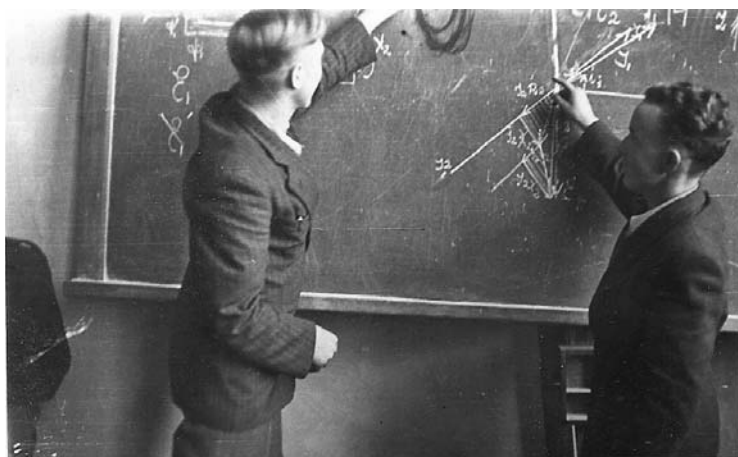
Została objęta patronatem Państwa, gdyż od początku doceniano strategiczne znaczenie kształcenia specjalistów w dziedzinie Telekomunikacji. Kolejne programy nauczania kształtowały się zgodnie z szybkim rozwojem Telekomunikacji, pod zasadniczym wpływem Twórcy Szkoły i długoletniego jej Dyrektora inż. H.Kowalskiego, przy uwzględnianiu potrzeb Państwa, zwłaszcza w dziedzinie obronności. Były też uwzględniane sugestie naukowców z Politechniki Warszawskiej, gdzie pojawił się kierunek rozwijania opracowań naukowych i kształcenia kadr inżynierskich w dziedzinie Telekomunikacji, jako „sekcja prądów słabych” na Wydziale Elektrycznym. Ten kierunek w 1951 r. wyodrębnił się w samodzielny Wydział, nazwany wówczas zgodnie z politycznymi wytycznymi Wydziałem Łączności, a dopiero dużo później Wydziałem Elektroniki. Zasadniczo absolwent Liceum Telekomunikacyjnego mógł po uzyskaniu dyplomu Technika Telekomunikacji doskonalić swą wiedzę na wyższych studiach w Politechnice Warszawskiej. W praktyce, jak się o tym przekonałem osobiście, były z tym kłopoty. Bo zapotrzebowanie na Techników Telekomunikacji była olbrzymie i dla absolwentów Liceum wprowadzono obligatoryjny nakaz pracy, działający zaporowo wobec chęci dalszego studiowania.

Program kształcenia w Liceum obejmował typowe przedmioty humanistyczne, do których zaliczam przede wszystkim Język Polski prowadzony bardzo dobrze – niestety, w zbyt małym wymiarze przez Profesor Jagodzińską, ponadto Fizykę i Chemię, oraz Matematykę. Lekcji Fizyki nie pamiętam. Chemię prowadził uroczy starszy wiekiem wykładowca, który miał w domu, w swoim mieszkaniu, ul z pszczołami i łatwo dawał się wciągać w opowiadania o obyczajach tych zdomowionych owadów. Zbyt dużo z lekcji fizyki i chemii nie skorzystałem. Natomiast z lekcji Matematyki skorzystałem wiele, i musiałem nawet się przykładać i starać, bo w klasie było kilku wyraźnie uzdolnionych i rozmiłowanych w Matematyce kolegów. Wykładał Matematykę profesor Graf. Ten przedmiot miał przedłużenie w przedmiocie Geometria Wykreślna, prowadzonym przez profesora Tadeusza Stefańskiego, który był opiekunem i wychowawcą naszej klasy. Równolegle nauczał nas zasad Rysunku Technicznego, ze szczególnym uwzględnieniem rzutów aksonometrycznych. Zajęcia z prof. T. Stefańskim zapamiętałem szczególnie wyraziście – bo zajęcia z Geometrii Wykreślnej polegały m.in. na rysowaniu linii przenikania się różnych geometrycznych ciał, co wymagało bystrości i wyobraźni przestrzennej. Duże uzdolnienia w tym kierunku wykazywał siedzący razem ze mną Tadeusz Łukasiak.

Dużą grupę stanowiły przedmioty bezpośrednio związane z zawodem, a więc z wiedzą o systemach automatycznych central telefonicznych i ich częściach składowych, przede wszystkim o przełącznikach. Te przedmioty miały przedłużenie w pracowniach, gdzie po zapoznaniu się z działaniem fragmentu określonego rodzaju centrali telefonicznej, można było ewentualnie diagnozować i usuwać pozorowane uszkodzenia, co zwykle wymagało umiejętności regulowania przełączników. W centralach nawet tego samego systemu były stosowane różne rodzaje przełączników, i trzeba było się na tym dobrze znać. Na przykład, działanie wybieraków niektórych central było oparte na różnych czasach zadziałania poszczególnych przełączników – dla zapewnienia dużego opóźnienia stosowano przełączniki z uzwojeniem zawierającym pojedynczy zwój zwarty, w praktyce była to masywna tulejka.

W pracowniach mieliśmy praktykę z centralami systemów Strowgera, Siemens'a i Ericssona. Te trzy klasyczne dla Europy typy automatycznych central telefonicznych, zasadniczo różniących się działaniem, były wtedy w Polsce stosowane równolegle.

Najważniejszym dla mnie, i najciekawszym był wykład z Elektrotechniki, prowadzony przez Dyrektora Liceum inż. H.Kowalskiego. Na początku obejmował obwody prądu stałego i obliczenia przy zastosowaniu prawa Ohma i praw Kirchhoffa – ta część wykładu w zasadzie powinna być znana wszystkim z Fizyki, więc była traktowana jako wprowadzająca. Interesujące stały się dopiero dalsze części wykładu, poświęcone obwodom prądu zmiennego z elementami skupionymi  $R$  (oporność),  $L$  (indukcyjność),  $C$  (pojemność), i wprowadzające, jak to się później okazało, nawet do zagadnień filtrów, i specyficznych obwodów o parametrach RLC nie skupionych, lecz rozłożonych wzdłuż linii przesyłowej, i przez to nazywanych obwodami o stałych rozłożonych, lub *liniami długimi*. Ich przedstawicielem jest np. każda napowietrzna linia telegraficzna lub telefoniczna, lub kablowa linia koncentryczna. Problemem inż. H.Kowalskiego jako wykładowcy było to, że do dobrego – czyli pełnego - wyłożenia teorii obwodów prądu zmiennego w zasadzie potrzebne jest opanowanie pojęcia i zastosowania liczb zespolonych, oraz choćby podstaw rachunku różniczkowego. Lecz w tamtych czasach te zagadnienia jeszcze nie występowały w programach Matematyki w szkołach średnich. Z perspektywy czasu doceniam umiejętności dydaktyczne naszego Wykładowcy, który jednak potrafił – przy zastosowaniu metod graficznych, wyłożyć podstawowe zasady obliczania i interpretacji obwodów prądu zmiennego. Przygotowując nas tym samym również do rozumienia tajemniczych zagadnień występujących przy transmisji sygnałów w liniach przesyłowych *długich*, i rozumienia metody uzdatniania tych linii przy zastosowaniu cewek Pupina, co później było treścią ważnego wykładu prof. Szpiiglera.



Dyskutuję przy tablicy z Tadeuszem Łukasiakiem sposób rozwiązania obwodu elektrycznego zawierającego oprócz rezystancji  $R$  (opornika) również pojemność  $C$  (kondensator), oraz indukcyjność  $L$  (cewkę). W zasadzie do takiej dyskusji potrzebna jest przestrzeń trójwymiarowa, ale można przy odrobinie wyobraźni zastosować rysunek perspektywiczny układu wektorów napięć i prądów, zaznaczając odpowiednio ich przesunięcia o  $90^\circ$ .

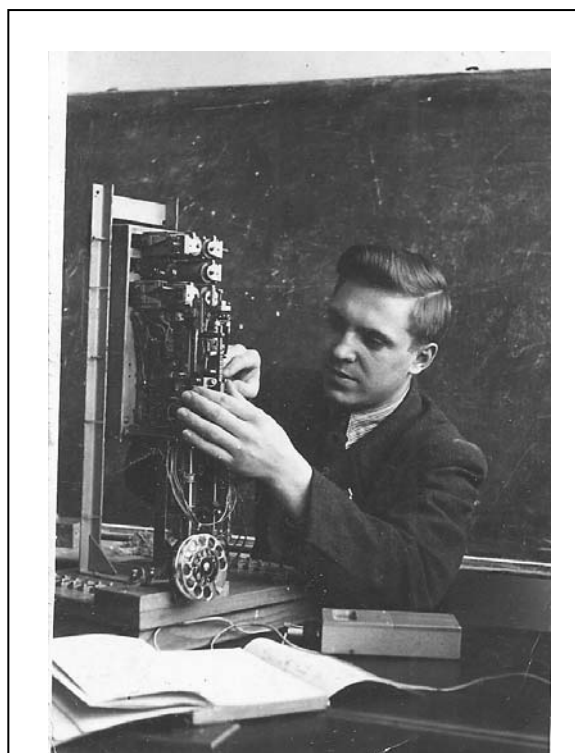
Oprócz pracowni związanych bezpośrednio z techniką Telekomunikacji jako dziedziną wiedzy, mieliśmy kilka pracowni o profilu bardziej praktycznym, kształcących nas w elementach sztuki stolarskiej i elementach sztuki ślusarskiej, oraz w sztuce poprawnego łączenia odcinków wielożyłowych kabli w osłonie ołowianej. Uważam, że te pracownie, mieszczące się w podziemiach Gmachu Poczty, były reliktem z dawnych czasów, gdy kształcenie technika utożsamiano z kształceniem monterów. Większość z nas nie opanowała wymaganych umiejętności praktycznych na oczekiwanym poziomie, bo nie było na to czasu. Zresztą - nie były te umiejętności bardzo potrzebne w typowej pracy technika, osoby dość wysoko stojącej w hierarchii stanowisk zawodowych. Wypowiadam te opinie kierując się oceną, że byliśmy w Szkole wyraźnie przeciążeni – w pewnym okresie obliczyłem, że spędzaliśmy w Szkole 56 godzin tygodniowo – stanowczo za dużo, jak na młody organizm. Oczywiście, stosunki w szkole, nawet w tych pracowniach na dole Gmachu, były zawsze poprawne i nawet bardzo sympatyczne - lubiliśmy swoją Szkołę i dobrze ją wspominamy. Ceniliśmy dżentelmeńską wobec nas postawę zespołu Wykładowców, zwłaszcza bardzo poważnego, opiekuńczo zyczącego Dyrektora Inż. Henryka Kowalskiego. Wiedzieliśmy, że miał dwie córki, Marynę i Irkę, obie zginęły w Powstaniu.

Ilu nas było? Zdaje się, że na początku 36. Po pierwszym roku ubyli koledzy Jara i Filutowski, wcześniej inny kolega zginął w wypadku. Niżej lista absolwentów Liceum, spisana 30 lat po maturze, z okazji Zjazdu rocznicowego.

**„NASZA KLASA”**  
*Lista absolwentów Państwowego Liceum  
 Telekomunikacyjnego w H-mie – rok ukończenia 1954.*

Lp	Nazwisko i Imię	Telefon		Uwagi
		do pracy	do domu	
1.	Antczak Czesław	102066-40		
2.	Baranowski Jerzy	256401		
3.	Banecki Henryk	253801-35427		
4.	Borkowski Leszek	392526		
5.	Brzuchaniewicz Tadeusz	286968		
6.	Cwikowski Leszek	194475		
7.	Dorhy N. Stefan	24007-1918		
8.	Dobryński Jędrzej	875-22941- -220		Jelenia Góra
9.	Duszyński Benon	128-174		
10.	Janas Bogdan	798-456		
11.	Janicki Tadeusz	435401-208		
12.	Jenemul-Klar Barbara	319191-473		
13.	Kluze Jerzy	32224-821		
14.	Korlak Kazimierz	205235		
15.	Konaliński Zbigniew	322201-419		
16.	Kraczyk Eugeniusz	458-5377		
17.	Łubaszka Jerzy	104061-365		
18.	Łukasiak Tadeusz	268686		
19.	Małachuk Zbigniew	111396		
20.	Marciniak Jerzy	—		
21.	Matyszewski Roman			
22.	Demkowicz Zbigniew	322201-821		
23.	Kuźmicki Józef	293244-24		
24.	Siniński Nikodem	120195		
25.	Stankowski Andrzej			Pałtusk
26.	Szewczyk Jerzy	204901		
27.	Turoniński Stefan	203023		
28.	Wagner Wiesław	442061		
29.	Wielanowski Henryk	128-744		
30.	Wolski - Winiar Hanna	26507		
31.	Wolski Aleksander	224661-222		
32.	Zadrozny Tadeusz			
33.	Ziółkowski Jerzy	102066-47		
p. Stefaniński Tadeusz				rychłomianca

H-mie, dn. 26.02.1984r.



A oto i moja młodzięcza sylwetka – przy wybieraku centrali automatycznej systemu Strowgera

Wszystkich pamiętam, z niektórymi się spotykam – lecz niektórzy już odeszli, na zawsze. Odszedł Tadeusz Łukasiak i Tadeusz Zadrozny, z którymi dzieliłem ławki, nie ma też Jerzego Szewczyka – z którym byłem w zasadniczej sprzeczności, natury koniunkturalno-politycznej.

Co robiłem poza szkolnymi zajęciami? Ano, jak wszyscy, brałem wielokrotnie udział w odgruzowywaniu Warszawy, na Starym Mieście, na Długiej, na Freta, na Muranowie – głównie na Nowolipkach i w okolicy Pawiaka. Tak się złożyło, że w dalszych latach właśnie w tych okolicach na Muranowie mieszkalem, gdzie było centrum żydowskich schronów i wytwórni bojowych materiałów wybuchających i zapalających – widziałem wydobywane z ruin sterty szklanych rurek - zapalników do „koktajli Mołotowa”.

Gdy byłem w Bursie w Miedzeszynie, czasu wolnego nie miałem wiele, w zasadzie tylko niektóre niedziele. Próbowalem kąpać się w Wiśle, bo można było dojść do rzeki od strony Miedzeszyna, ale zrezygnowałem z kąpieli, gdy pojawiły się na ciele wypryski i dziwne bąble – woda w Wiśle miejscami była przerażająco zanieczyszczona. Korzystałem więc tylko z pryszniców w Bursie TBS, oraz - dorywczo - z pływalkiego basenu w YMCA.

W czasie „pozaszkolnym” – wprawdzie mało go było – próbowałem też oczywiście robić radia. Takie próby podejmowałem jeszcze w Irenie, ale tamte nie były udane. Tu, otoczony kolegami o podobnych zainteresowaniach, poczyniłem znaczne postępy, zwłaszcza po odwiedzeniu warszawskich bazarów z różnymi radiowymi, i nie-radiowymi „rupieciami”. Tam można było nabyć „wszystko”, ja na przykład nabyłem dwa aparaty fotograficzne. Jeden okazał się nie przydatny, bo był na nietypowy format klisz. Drugim aparatem, skrzynkowym, więc bardzo prostym, już wkrótce robiłem udane zdjęcia na popularnych błonach formatu 6x

6 cm, w Warszawie, a później w Irenie. Te i inne nabytki kosztowały wprawdzie mało, ale że pieniędzy brakowało, poszedłem po rozum do głowy, i dwukrotnie odwiedziłem Stację Krwiodawstwa na Saskiej Kępie, gdzie mi pobrano krew i nienajgorzej, jak mi się wydawało, zapłacono. Zacząłem, na wzór Ojca, fotografować wszystko i wszystkich – niestety, jak na uczniowską kieszeń, to drugie hobby było dość kosztowne, a ponadto, wymagało również dużego nakładu pracy przy wywoływaniu zdjęć. Bo wywoływałem zdjęcia sam, przenosząc na papier światłoczułą prostą metodą stykową, w zaimprovizowanych ciemniach – zwykle wystarczał duży stół nakryty kocami.

W czasie wakacji odbyłem 4-tygodniową obowiązkową praktykę, skierowano mnie na budowę linii telefonicznej z Kraśnika w kierunku na Włodawę. Mnie wspominam ten czas, spędzony w brygadzie ludzi kierowanej przez doświadczonego starego majstra, który wprawdzie popatrywał na mnie podejrzliwie, jako na niedoświadczonego w zawodzie zarozumiałego młokosa, ale większych scysji nie było – może poza jedną. Bo ja rzeczywiście buntowałem nieco ludzi, uświadamiając „po marksistowsku” ich wyzysk – bo „stary” wymagał podejmowania pracy równo ze wschodem Słońca, a kończenia dopiero sporo po zachodzie. „Ludzie”, przeważnie nie bardzo wykształceni chłopci z okolic Kraśnika, niby słuchali moich wywodów, ale oczywiście byli posłuszni apodyktycznemu majstrowi, bo to on wypełniał rubryki wykazu z godzinami pracy, decydujące o wypłacie.

Przy końcu budowy linii zdarzył się nieszczęśliwy, śmiertelny w skutkach wypadek – gdyż ktoś – może w odległym Kraśniku – włączył sieć energetyczną, dotychczas wyłączoną, do linii zasilającej Browar w Popowie, do którego właśnie doprowadzaliśmy linię telefoniczną. W myśl umowy zasilanie elektryczne Browaru miało być i było na jakiś czas wyłączone, ale ktoś widocznie o tej umowie nie wiedział, i podłączył zasilanie do Browaru. Zginał pastuszek, chłopak w wieku szkolnym, który niebacznie, a do tego w czasie deszczu, dotknął przewodów linii telefonicznej zwisających po ich chwilowym przerzuceniu przez linię energetyczną. Wszczęto śledztwo. Żal było chłopca, ale i starego majstra, chociaż on akurat wtedy raczył się piwem donoszonym skrzynkami z Browaru. Akurat wtedy i ja zostałem odwołany, bo czas praktyki wyczerpał się.

Poza tym wypadkiem, przebieg praktyki wspominam dobrze, a szczególnie dobrze we wsi Struga, obecnie dzielnicy Kraśnika. Spaliśmy najczęściej na sianie, czasem pod gołym niebem. Bywało, że posiłki gotowaliśmy sobie sami, w wiadrze. Gotował je przeważnie jednooki Wicek, który lubił zjeść, dużo. Jedno oko wybił mu przed laty pęknięty, naprężony nadmiernie drut telefoniczny. Gdy byliśmy kilka dni w Strudze, mnie kolację przygotowywała uroczą córką gospodarza, bezinteresownie. Pamiętam jej oczy i długie warkocze, pamiętam też, że naprzeciw domu po drugiej stronie ulicy, za rowem, stała na skraju łąki kapliczka.

W kwestii praktyki wakacyjnej jestem w sporze z Leszkiem Ćwikowskim, który twierdzi, że praktyki nie miał, że takiej jak moja praktyki w ogóle nie było, a on zamiast praktyki musiał w ramach Służby Polsce ładować piasek do wagonów w Szczecinie. On może musiał, a ja nie.

Resztę wakacji spędziłem częściowo pod Nałęczowem, gdzie w Kęble, byłem majątku koło Wąwolnicy, urządzono Dom Dziecka, w którym moja Ciotka Helena Dębicka po śmierci księdza Włodzimierza Grzędzińskiego, proboszcza Potoka Wielkiego, została zaangażowana. Zajmowała się zaopatrzeniem, a praktycznie całym gospodarstwem Domu Dziecka, włączając kuchnię. Było mi tam dobrze, jeździłem po okolicy kolejką wąskotorową, gwizdząc głośno przed każdym zakrętem. Flirtowałem z co nadobniejszymi wychowawczyniami, ale niesporo mi szło. Wieczorami wysłuchiwałem głośnych żabich koncertów z sadzawki przed pałacem. Udało mi się doprowadzić do pełnego użytku dwa odbiorniki radiowe Philipsa, przechowane w beczce z sieczką przez całą okupację przez okolicznego bogatego gospodarza. Były to właściwie całkowicie nowe radia, tylko bez obudowy, i jedynie gdzieś niedługo widać było

nadgryzienia przewodów i cewek zabezpieczonych pakim – ślady zainteresowań myszy. Najczęściej wałęsałam się po licznych tu zakrzaczonych wąwozach, w towarzystwie dwóch młodych, ale już dużych silnych psów z Domu Dziecka. Oba były czarne, ale chociaż z jednego miotu, jeden miał cechy wilka syberyjskiego, drugi natomiast cechy charta. Zaprzyjaźniły się ze mną do tego stopnia, że pewnego razu jeden z nich przyniósł mi do rąk żywego, zupełnie nienaruszonego zająca, wypłoszonego z wąwozowych krzaków. Nie wiedząc, co z nim robić zaniósłem do Domu Dziecka, gdzie zająca wsadzono do klatki obok królików. Wkrótce z Kębła wyjechałem, a później dowiedziałem się, że zając nie wytrzymał niewoli i padł.

Bieg mojego żywota uległ nagłemu zafalowaniu, gdy przyjechałem do Matki w odwiedzin, przewidując, że tylko na 3 dni, na święto Wszystkich Świętych.

Matka po moich opowieściach przepatrzyła mój portfel i wykryła zawiadomienie pisemne z Przychodni przy ulicy Wiejskiej, że badania Rentgenowskie metodą zdjęć małoobrazkowych wykazały dwie dziury w szczytach moich płuc – w prawym zaawansowaną, w lewym dopiero początkującą się. Ja to zawiadomienie zbagatelizowałem, lecz dla mojej Matki było sygnałem gwałtownym jak wybuch granatu, bo sama przechodziła w młodości gruźlicę, a choroba ta nawet w stadium początkowym była uważana za prawie nieuleczalną, gdyż nie znano leków skutecznych wobec prątków Kocha. Matka wykryła również zaświadczenia o dwukrotnym oddaniu przeze mnie krwi, i czyniła mi z tego powodu jeszcze większe wyrzuty. Przystąpiła też energicznie do działania. Nie wróciłem wówczas do Warszawy. Matka porozumiała się z Zaklikowską lekarką, Dr Heleną Tumiłowicz, w wyniku czego znalazłem się w Szpitalu św. Jana Bożego w Lublinie, pierwotnie przeznaczonym dla psychicznie chorych, czyli dla „wariatów”, ale po Wojnie w całości przekształconym na szpital dla „płucno-chorych”, czyli dla gruźlików. Wspominam doktor Helenę Tumiłowicz nie tylko jako troskliwą lekarzkę, która umiejętnie i bardzo dobrze pokierowała moim leczeniem, lecz również jako Osobę o niezwykłym uroku osobistym i rzadkiej wrażliwości. Sama też chorowała na gruźlicę.



Pani doktor Helena Tumiłowicz z Córką.  
Zdjęcia wykonane prawdopodobnie w czasie pobytu w Sanatorium w Otwocku w 1949 roku.



Budynki Szpitala św. Jana Bożego przy ulicy Biernackiego 9 w Lublinie były bardzo stare i bardzo zniszczone. Były zatłoczone pacjentami, i tak po Wojnie było wszędzie. W szpitalu chorymi opiekowały się Siostry Szarytki. Ja trafiłem pod opiekę dr Dydyńskiego, na oddział ordynowany przez Panią Profesor, której nazwiska nie mogę przypomnieć, ale o której wiedzieli wszyscy pacjenci, że jest bardzo troskliwa, i że sama chorowała kiedyś na gruźlicę, z której została wyleczona dzięki resekcji płuca. Po szeregu badań laboratoryjnych



postanowiono leczyć mnie uciskiem płuca poprzez odmě, co mogłoby sprzyjać zakłębnięciu się i zrostowi kawerny. Nieprzyjemny zabieg nakłucia boku w połączeniu z przebicciem błony opłucnej wykonał dr Dydyński, który później dokonywał i dalszych takich nakłuc grubą igłą, potrzebnych dla uzupełnienia ubytków powietrza. Leżałem wtedy na 16-osobowej sali, gorączkowałem, ale – o dziwo, mimo istnienia w płucu kawerny - nie prątkowałem i miałem bardzo korzystny wynik pomiaru odczynu Biernackiego, czyli OB. – zwykle ok. 2/ 3 mm. Wokół mnie byli pacjenci przeważnie bardziej chorzy. I przeważnie próbowano zdobyć dla nich preparat PAS, podobno jedynie jako-tako skuteczny, ale oczywiście trudno dostępny. Ci, którzy w końcu otrzymywali upragniony PAS, na ogół szybko z niego rezygnowali, bo podawane w ogromnej liczbie pigułki rozregulowywały żołądek i wywoływały inne nieprzyjemne skutki. U mnie wynik leczenia zapowiadał by się korzystnie, gdyby nie zrosty opłucnej przeszkadzające uciskowemu działaniu odmy. Wykonano więc zabieg zwany „przepalanką”, polegający na wykonaniu dwóch bocznych otworów na wysokości płuca, dla wprowadzenia wziernika i narzędzia do przepalenia zrostów. Niedobrze wspominam tę operację, bo gdy leżałem w pozycji bocznej, trzęsła mi się bardzo noga, z dużą amplitudą drgań, co było upokarzające. Przy innych operacjach już nigdy tak nie było, potrafiłem opanować odruchy organizmu – ale miałem też operacje z usypianiem.

Przepalanka korzystnie wpłynęła na zwiększenie efektywności ucisku płuca odmě, lecz po jej wykonaniu objawił się stan zapalny sygnalizowany wzrostem temperatury, oraz ujawnił się w opłucnej wysięk (płyn zwany potocznie „wodą w boku”). Były nadzieje na jego samoistne zaniknięcie, ale i obawy, że zamieni się w ropę. Tak źle nie stało się, może dlatego, że akurat wtedy zaczęto mi w szpitalu wstrzykiwać przysłany przez Ciotkę Józefinę z USA antybiotyk - streptomycynę, w ilości 30 gramów. Matce udało się jeszcze dokupić 6 gramów, gdy streptomycyna pojawiła się na czarnym rynku.

Być może ta cudowna streptomycyna sprawiła, że poczułem się lepiej, a gorączka stopniowo ustąpiła. Mogłem dość swobodnie chodzić, nawiązywać szpitalne znajomości, no i czekać na dalszy rozwój zdarzeń. Zająłem się obsługą radia znajdującego się na wyposażeniu sali. Był to poniemiecki odbiornik, choć prosty, wystarczająco głośny, ale nikt nie umiał go dobrze nastawić i prawidłowo wyregulować gałkę sterującą siłą tak zwanej „reakcji”, czyli dodatnim sprzężeniem zwrotnym, umożliwiającym znaczne zwiększenie czułości i przez to odbiór dalekich stacji. Przy niewłaściwym nastawieniu „reakcji” radio wydawało przeraźliwe gwizdy, co niecierpliwi pacjenci żądali wtedy wyłączenia radia i trudno było odmówić.

Ja potrafiłem należycie obsłużyć to radio, i w długie zimowe wieczory wkrótce wszyscy w naszej sali układali się zawczasu do łóżek, by spokojnie wysłuchać różnych zamówionych ciekawych audycji, w tym – z zagranicznych stacji. W nastawianiu tego radia, wyłapywaniu i słuchaniu dalekich stacji, odzwierciedlała się jeszcze w pełni magia samego radia jako niezwykłego wynalazku z końca XIX wieku. Przychodzili do nas pacjenci z innych sal.

Mój monopol na radio został złamany, gdy w sąsiedniej sali pojawił się nowy pacjent, dźwigający wspaniały, głośny, nowiutki odbiornik Pionier z Dzierżoniowa. Atmosfera odbioru audycji jednak zmieniła się, stała się mniej tajemnicza, obsługa Pioniera była prosta. Ponieważ płyn w opłucnej jednak nie zniknął, i objawiał się – że jeszcze jest - jakby chlupotaniem w boku przy każdym kroku, dano mi skierowanie do Sanatorium w Otwocku, a że na przyjęcie trzeba było poczekać, wypisano mnie ze szpitala do domu. Na dopełnianie odmy miałem zgłaszać się do Kraśnika. Było to uciążliwe nie tylko ze względu na trudności komunikacyjne, lecz również dlatego, że po przybyciu można było spodziewać się kartki na drzwiach właściwego gabinetu, że jest „zamknięty do odwołania”. Cierpliwie więc siedziałem u Mamy w Irenie, równie cierpliwie ponawiałem wyprawy na dopełnienia odmy i wreszcie – chyba dopiero w maju – udałem się do Sanatorium. Ujrzałem, że i tam jest tłok, że w Otwocku liczne wille pozamieniano zastępczo na dodatkowe sanatoria, i że wśród chorych uderzająco dużo jest ludzi młodych.

W tym czasie zacząłem jednak planować powrót do szkoły, napisałem do Dyrektora Liceum i do Kolegów, prosząc o pomoc. No i obiecano mi życzliwie, że jeżeli wyzdrowieję i zapoznam się z treścią wykładów, to mogę liczyć na przyjęcie jeszcze do tej samej klasy – wszakże pod warunkiem zdania sprawdzających egzaminów. Jeden list otrzymałem z podpisem profesora Janusza Groszkowskiego, który przysłał mi najnowszą książkę wydaną przez Komitet Wydawniczy PIT w 1949 r., o którą Go poprosiłem. Były to „Radiotechniczne Urządzenia Nadawcze”, bardzo porządne opracowanie autorstwa dr inż. Tadeusza Zagajewskiego, którego po latach poznałem osobiście (jako Profesora, wydał mi się bardzo młody). Tę książkę cenię i lubię, mam ją do dzisiaj, list prof. Groszkowskiego niestety nie zachował się.

No i wszystko zaczęło w końcu układać się jak należy. Wprawdzie płyn w opłucnej długo nie zniknął, ale gdy pewna uroczą miedziano-włosa Lekarka w przypływie samarytańskich uczuć próbowała mi go ściągnąć – co się zupełnie nie udało, bo omdlewałem siedząc na krześle – na przełomie czerwca i lipca nagle stwierdzono, że właśnie płyn prawie całkowicie znikł. A ja, nie przestając zajadać się różnymi specjami – bo po streptomycynie miałem wzmoczenie apetytu – gorączkowo przygotowywałem się do egzaminów z przedmiotów wg programów 2 klasy naszego Liceum. I z błogosławieństwem Dyrektora zaliczyłem je kolejno wszystkie już na początku września. Najgorzej mi poszło zdawanie przedmiotu opisującego postępowanie przy stawianiu słupów linii telefonicznej – przeciwczyłem je wprawdzie praktycznie i całkiem niedawno u mojego Majstra na linii Kraśnik-Włodawa, ale ten w Warszawie, egzaminujący zza biurka, był bardziej wymagający...

Gdy zdawałem ten ostatni sprawdzian, w mojej klasie (3LTK, takim skrótem była oznaczana) pojawił się Dyrektor Szkoły Inż. Henryk Kowalski i wygłosił przemówienie. Powiem w skrócie - treść przemówienia zawierała pozytywną ocenę moich wysiłków o nie utracenie roku. Dowiedziałem się o tym od Kolegów, bez szczegółów, bo mnie przecież w klasie w czasie tej lekcji nie było. Byłem, i jestem nadal wdzięczny tym wszystkim, którzy mi pomagali, pożyczali notatki.

W dotychczasowym ujęciu wspomnień nie pisałem nic, jak przedstawiało się wtedy leczenie gruźlików, czyli chorych na „suchoty”. A no tak, że chorych było dużo, we wszystkich klasach wieku, a prawdziwie skutecznych leków nie było. Według ludowego ujęcia, kto zachorował na gruźlicę, był już skazany na rychłą śmierć, tak jak jabłko nadpsute na dalsze gnicie. Bo jedyny dostępny preparat PAS, jak pisałem, był źle tolerowany, a zresztą – w powojennych warunkach otrzymywali go nieliczni, po żmudnych staraniach, z centralnego przydziału Ministerstwa Zdrowia. Choroba była z reguły rozpoznawana późno, zwłaszcza na wsi, gdy na wyleczenie nie było już właściwie szans – ale podobnie było w miastach.

W mojej 16-to osobowej sali w szpitalu Jana Bożego w Lublinie byli chorzy, o których się mówiło – naturalnie szeptem, że mają „takie dziury w płucach, przez które kot by przelazł”. I byli to w większości ludzie młodzi. Ze mną sąsiedował chłopak w moim wieku – jego i moje łóżko oddzielał tylko wciśnięty taboret, na którym z trudem ustawiano dwa talerze z zupą, mój i jego, i tak jedliśmy obiad „ze wspólnego taboretu”, w pół leżący i w pół pochyleni. On straszliwie kaszlał, nawet przy jedzeniu owej zupy ciągle spluwał do kieszonkowej szklanej spluwaczki. Ja akurat nie kaszlałem i nie odpluwałem nic, ale chociaż pod tym względem byłem wyjątkiem na tej sali, też otrzymałem przydziałową spluwaczkę z brązowego szkła. Przeważali młodzi ze wsi, bardzo przygnębieni i zaskoczeni obrazem ich płuc na zdjęciach rentgenowskich. Nie często zresztą zdjęcia rentgenowskie robiono, a wykonane starano się ukrywać. Różne były reakcje chorych na gruźlicę, niektórzy nie mogli pogodzić się z losem i zrozumieć przyczyn choroby. Zapamiętałem mężczyznę w wieku 35 lat, ojca dwóch córek, którego często dostrzegałem kryjącego się w najciemniejszym kącie korytarza, czekającego na przyjście żony. Był wykształconym inteligentem, ze wsi w pierwszym pokoleniu, mieli mieszkanie w centrum Lublina, lecz ich uporządkowane życie załamało się po wykryciu choroby i wielkich zmian w płucach. Codziennie widywałem go z żoną w tym dalekim

ciemnym kącie korytarza. Zapewne pograżali się w rozpacz i płakali – bo solennie połykane pastylki preparatu PAS nie wstrzymywały postępu gruźlicy. Pamiętam też innego mężczyznę, w tym samym wieku, bardzo chorobą wyniszczoną. Pochodził z Hrubieszowa, gruźlicy nabawił się w kopalniach na Uralu, dokąd trafił bezpośrednio po zagarnięciu go przez NKWD z grupą młodych osób wychodzących po niedzielnym nabożeństwie z Kościoła. Nieliczni wrócili do Kraju, wszyscy chorowali.

Choroba płuc, bez perspektywy wyzdrowienia, wywoływała zmiany psychiczne i dziwaczne zachowania, jak np. unikanie kontaktowania się z innymi chorymi, w obawie przed wtórnym zakażeniem. Jeden z chorych nie dotykał nawet klamki u drzwi, jako rzeczy „zakażonej”, wychodząc, otwierał drzwi naciskając klamkę ręką przez rękaw szlafroka.

W obawie przed zakażeniem, na oddział gruźliczy nie można było wprowadzać dzieci, zresztą dorosłych odwiedzających też nie było dużo. Mnie odwiedził, i to dwukrotnie, Tadeusz Pankowski, kolega z Zaklikowskiego Gimnazjum. Przyszedł dość niespodziewanie, może dlatego, że też pochodził z Kresów i odczuwał pokrewieństwo duchowe, a może dlatego, że był wtedy w Lublinie, w Liceum Biskupim, uważanym za fazę wstępną kształcenia przed Seminarium Duchownym. Wyprzedzając powiem, że on jednak księdzem nie został, chociaż nosił sutannę, u mnie jako uczeń jeszcze był w zwykłym ubraniu. Ja nie dowierzałem jego aspiracjom wstąpienia do Seminarium, rozmawialiśmy swobodnie, nawet wesoło, i przyznając się do dokonania pewnej nieprzemyślanej prowokacji. Otóż, opowiadając o swoim Liceum, mówiłem o dość intensywnym indoktrynowaniu nas nowymi ideami, i poprosiłem go o zakupienie dla mnie osławionej książki „Krótki kurs historii WKPb” – jak było wiadomo, Josifa Dżugaszwili, nazywanego Stalinem. On mi tę książkę lojalnie kupił i przyniósł, ale już więcej nie przyszedł. Po dziś dzień żałuję, że nie wiedząc, po co, przewrotnie o tę książkę prosiłem, w istocie nie była mi wtedy potrzebna, później – tak.

Odwiedzała mnie – rzadko – Matka, i raz Ciotka Helena, pozostawiając ogromną pieczęć o nazwie „klops”. Podzielona na wiele osób, wszystkich na sali, szybko znikła. Identycznie szybko „znikła” potężna szynka, zamarynowana i uwędzona po litewsku, dostarczona mi przez Mamę, gdy byłem już w Sanatorium w Otwocku. Była to „szynka z kością”, i po dwóch dniach tylko te kości wiszące na klamce u okna z niej zostały.

Wracając do tematu leczenia gruźlicy, na swoim przykładzie, i na podstawie późniejszych rozmów z lekarzami, formułuję pogląd, że pojawienie się streptomycyny mogło uratować życie wielu ludzi, zwłaszcza młodych. Lekarze stwierdzają, że w pierwszym okresie, gdy nie wykształtowały się jeszcze szczepy zarazków Kocha odpornych na działanie streptomycyny, lek ten działał niezwykle, u młodych niemal piorunująco likwidując zmiany gruźlicze – oczywiście, jeżeli nie były to zmiany zbyt duże. Później nawet potężne dawki streptomycyny nie cofały już tak skutecznie choroby. Widziałem, będąc po 3 latach w pół-sanatorium akademickim (na Żoliborzu, przy ulicy Lipińskiej) studenta, u którego ciągle powtarzane wstrzykiwanie nawet bardzo dużych dawek streptomycyny, bezpośrednio do opłucnej – nie likwidowało zgęstniałej ropy, w jaką zdążył zamienić się płyn w opłucnej. Ja właśnie uniknąłem tego zagrożenia, dzięki streptomycynie podarowanej mi przez Ciotkę Józefinę, zastosowanej tuż po zabiegu przepalanki.

Już po kilku latach sytuacja zmieniła się zasadniczo, zaczęły się upowszechniać leki silnie oddziałujące na prątki Kocha, skuteczne nawet przy starych zmianach. Pierwszym takim lekiem był Rimifon (hydrazyd kwasu izonikotynowego), zsyntetyzowany w 1912 r. przez dwóch czeskich biochemików Meyera i Malley'ego. Jako lek przeciwgruźliczy zaczęto hydrazyd stosować dopiero po 1950 r. W Polsce zaczęto go wcześniej szybko i tanio produkować, na podstawie udoskonalonej technologii opracowanej przez Zespół Profesora Tadeusza Urbańskiego z Politechniki Warszawskiej, we współpracy z Instytutem Gruźlicy, na zlecenie Ministerstwa Zdrowia (patent z 1952 r.). Walka z gruźlicą, chociaż trwała długo, jednak była skuteczna.

Gdy w połowie lat 50-tych ubiegłego wieku zamieszkałem w pokoju z piętrowymi łózkami w Akademiku przy Placu Narutowicza, wśród nas, 4 studentów Politechniki kończących studia na Wydziale Elektroniki, było 3 gruźlików, praktycznie już wyleczonych – w tym ja. Jednak byliśmy ciągle jeszcze pod troskliwą opieką Poradni Przeciwgruźliczej, mieszczącej się w tym samym gmachu od strony ulicy Mochneckiego, w zespole przychodni akademickich nazywanych zbiorczo „Palma”.

**Wtorek, 21 lipca 2015 r., w Zaklikowie**

**3 klasa Liceum (3LTK), matura, zatrudnienie w WAT – egzaminy do Politechniki**

Powrót do Liceum – przy już ustabilizowanej kuracji, ale z odną w boku wymagającą regularnego dopełniania – wiązał się z licznymi wydarzeniami towarzyszącymi, z których najważniejszym było zamieszkanie na ulicy Długiej 18/20 przy Placu Krasińskich, na przeciwko Kościoła Garnizonowego. Wynikało to z przeniesienia Bursy TBS z Miedzeszyna do znanego „Domu pod Herbami”, zwanego dawniej „Kamienicą Gaszyńskiego”, mocno zniszczonego w czasie Powstania – prawie do poziomu piwnic. Dom ten należał do profesora Michałowskiego i właśnie był odbudowywany, a jego właściciel zabiegał o możliwość zamieszkania w nim – traktując ze swej strony całą sprawę tak, że dom chwilowo przekazuje we władanie TBS – ale nie byłem zorientowany w istocie toczących się pertraktacji. W przenosinach z Miedzeszyna do Warszawy na ulicę Długą – znowu do Bursy TBS – pomagał mi Ojczym. Moje rzeczy, w tym książki, odnalazłem złożone w Miedzeszynie do piwnicy – oczywiście, po prawie rocznej nieobecności nie otrzymałem wszystkiego w komplecie. Ale byłem zadowolony – przecież przenosiłem się do centrum Warszawy, w historyczne jej miejsce, zniknął problem komunikacyjny, traciłem czas na przejazdy. Przenosił się też cały zaprzyjaźniony zespół kierowniczo-wychowawczy, co było dla mnie szczególnie miłe, bo to byli ludzie z Wilna. Ojczym znowu miał okazję z nimi porozmawiać konfidencko. Chyba wtedy właśnie zameldowałem się w Warszawie na stałe, co już zaledwie nieco później stało się – dla takich jak ja - niemożliwe. I przez co zresztą nabawiłem się po roku pewnych kłopotów – ale w sumie było korzystne.

Zmiana miejsca zamieszkania najpierw bezpośrednio objawiła się korzystnym zwiększeniem wolnego czasu, mogłem się teraz zająć różnymi swoimi sprawami, dotychczas zaniedbywanymi, na przykład fotografią – ale pojawiły się też i inne kierunki zainteresowań – może nawet ważniejsze. Jednak na samym początku, gdy tylko zamieszkałem w Bursie TBS na Długiej, wykryłem najpierw różne ciekawe historie związane z przeszłością, z ulicą Długą i innymi przyległymi ulicami, a nawet z oddzielnymi budynkami. Na przykład odkryłem, że na Długiej, wtedy gdy zwała się jeszcze Szeroką – bo była kiedyś najszerszą ulicą w Warszawie – mieszkali ongiś po obu jej stronach, naprzeciwko siebie – Maurycy Mochnecki i Joachim Lelewel. Oni, jak sobie wyobrażałem, mogli ze sobą nawet rozmawiać przez całą szerokość ulicy, otwierając okienne lufciki, na przykład przy porannym śniadaniu. Obaj radykalowie mieli o czym dyskutować – przecież trwały burzliwe debaty Sejmu Królestwa Polskiego zwołanego po wybuchu Powstania Listopadowego, w którym obaj wzięli czynny udział. Te – i inne wynalezione rewelacje - tak mnie podnieciły, że nie oparłem się dawnej namiętności i sporządziłem z nich gazetkę ścienną. Wisiała początkowo u nas w Bursie na Długiej, ale gdy ją zauważono, zabrano do Dziekanki, zaprzyjaźnionej Bursy żeńskiej na Krakowskim Przedmieściu. Zbierałem pochwały, ale innych korzyści nie miałem, a gazetka jakoś szybko zaginęła.

Jednak zwiększenie wolnego czasu przede wszystkim umożliwiło mi wznowienie – a później zintensyfikowanie kontaktów z Państwem Nela i Erazmem Samotyhami. Te kontakty stały się niezmiernie ważne dla całego mojego życia – zapoczątkowały osobny wątek mojego rozwoju umysłowego, a i uczuciowego, równoległy do rozwoju naukowego w dziedzinie Elektroniki. Tak się też złożyło, że kilkuletnie uporczywe starania mojej Mamy zaowocowały wreszcie odnalezieniem mojej siostry Sławy. Odnalazła się – po Wojnie, pobycie w obozie w

Niemczech - w Gdyni, gdzie staraniem przyjaciół otrzymała skromną posadę bibliotekarki w osławionej dzielnicy Chylonia. Dla mnie była dotychczas osobą znaną właściwie tylko ze wspomnień, niemal mityczną, mieliśmy przecież tylko niepewną informację o jej wywiezieniu po Powstaniu do Niemiec. Niezwłocznie pojechałem do Gdyni i zacząłem poznawać swoją Siostrę, osobę starszą ode mnie o 20 lat – słabą po przeżyciach obozowych, ale silną duchem. Nie miała wtedy mieszkania, „mieszkała” kątem w skromniutkim pomieszczeniu swojego jednoosobowego „punktu bibliotecznego”, rozstawiając na noc łóżko polowe – dla mnie, gdy przyjeżdżałem też miała takie. Jej dumą były nadzwyczaj dobre, wręcz przyjazne kontakty z osławioną „młodzieżą Chylońską”. Rozwijala te kontakty – te groźne chyłońskie chłopaki przychodzili do niej grzecznie po książki, a rozmawiając zwierali się ze swoich kłopotów. Chylonia była wtedy bardzo odległą dzielnicą Gdyni, o złej sławie – ci młodzi przyjaciele rozciągali nad Sławą i Biblioteką parasol bezpieczeństwa – mogła bez obawy chodzić po ulicach Chylonii nawet nocą. A działalność bibliotekarsko-wychowawcza Sławy została wkrótce zauważona. Pisano o Niej kilkakrotnie w lokalnej prasie, została nagrodzona Srebrnym Krzyżem Zasługi. No i wreszcie zostało Jej przyznano małe, lecz samodzielne mieszkanie w Gdyni, mieszkanie, o którym marzyła.



Moje siostry. Sława Rudnicka (z d. Baranowska) krótko po powrocie z obozu, po Powstaniu Warszawskim – u góry.  
Maria Dziki (z d. Sieńko) około 1970 r. – obok.



Gdy Sława przyjechała do Warszawy i przyszedłem z Nią do Samotyhów, odnalazła z nimi łatwo wspólny język i zaprzyjaźniła się z Panią Nelą. Korespondowały ze sobą i Sława zawsze, gdy bywała w Warszawie, odwiedzała Samotyhów, nawet beze mnie.

Wracam jednak teraz we wspomnieniach znowu do Liceum. Gdy już otrząsnąłem się z marazmu chorobowego i zacząłem intensywnie, z pozycji ucznia starszej klasy uczestniczyć w życiu Szkoły, dostrzegłem pewne zmiany w układzie współżycia koleżeńskiego. Zacząłem uświadamiać znaczne upolitycznienie klasy, tłumaczone wzrostem „świadomości” – według przenikającego i do nas oficjalnego partyjnego słownictwa. Zarysował się podział na „równych i równiejszych”, dokładnie według Orwella. Najbardziej równiejszy był niewątpliwie Jerzy Szewczyk – kolega odrobinę starszy od reszty klasy, cwaniak, paradykujący wyzywająco, jak prawdziwy bikiniarz, w charakterystycznym (dla tej sub-kultury) obuwiu na grubej podeszwie obrzeżonej kolorową nitką – jemu to nie szkodziło, nawet chyba korzystnie maskowało. Był przynoszącym z „dzielnic” najświeższe wieści polityczne. Często nie było go na lekcji, ale czasem wkraczał głośno nawet w połowie wykładu. Tupiąc owymi „reakcyjnymi” butami, całkiem beztrząsco popatrywał na zamilkłego z wrażenia wykładowcę, i najwyżej oznajmiał, że właśnie wraca z „dzielnic”, z odprawy.



Ta „dzielnica” to było jakieś centrum, gdzie zbiegały się różne „władze” - i bynajmniej nie było to centrum mityczne. Jego tajemny wpływ był wyczuwalny, manipulowano młodzieżą, a w naszej klasie polegało to, między innymi, na wyodrębnieniu wroga – był nim niewątpliwie Józio Radzicki, tylko dlatego, że ojciec był przedwojennym oficerem, chyba pułkownikiem. Radzicki był spokojnym, dobrym kolegą i dobrym uczniem, o całe niebo lepszym, bogatszym intelektualnie od Szewczyka – który po latach okazał się być osobnikiem do specjalnych partyjnych poruczeń. U nas w klasie metody manipulowania młodzieżą jeszcze się, mimo wszystko, w pełni nie ujawniły, dopiero później, już będąc w Politechnice, stopniowo uświadomiłem ich istnienie. Na własnej skórze poznałem skutki niepodporządkowywania się im. Niewątpliwie zasadnicze oddziaływanie szło przez Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), dążono do tego, by do ZMP należeli wszyscy. Mnie też zapisano do ZMP, w czasie choroby – chociaż Tadek Janicki, dobry kolega, w swej naiwności podobno protestował, bo nie należałem od początku – co mi zresztą osobiście powiedział. Ale my wszyscy – no, prawie wszyscy – byliśmy wtedy żarliwi i naiwni, wierzyliśmy w „socjalizm z ludzką twarzą”, określając tę wiarę zwrotem współczesnym. Ale w ZMP byli też szczególnie zapaleńcy, jak na przykład siedzący jakiś czas ze mną znakomity „teolog socjalizmu” Leszek Ćwikowski, zapalony dyskutant – dyskutuję z nim do dzisiaj. Żyje, jak i Radzicki, Szewczyk zaś nie żyje, zginął pod przewróconym samochodem. Nie żyje też Tadek Zadrożny, z którym też w ławce siedziałem. Zwierzał mi się – osłupiałemu – było to po 30 latach, na Zjeździe Koleżeńskim i po dobrej wódce, z wiary w powrót Stalinizmu. Różne aberacje pozostawiły w umysłach owe czasy. A ja, na przykład, przyjąłem w Bursie na Długiej oferowaną mi przez Kierownictwo Bursy pozycję Przewodniczącego Aktywu Politycznego Młodzieży Bursy. Było to przemyślane i wygodne dla Kierownictwa, załatwiało sprawę, bo w każdej Bursie taki „Aktyw” musiał być, zatem i Przewodniczący też – no i był, tylko aktywności nie było. W praktyce aktywność młodzieżową wszędzie ukierunkowywano na wyodrębnianie jednostek skłonnych do szpiclowania. W tym celu powoływano tzw. „Brygady Lekkiej Kawalerii”.

Gdy byłem w 3LTK, mieszkalem w Bursie TBS i formalnie byłem zameldowany w Warszawie na stałe, Rodzice zaś zostali przeniesieni do Kozłówki pod Lubartowem, więc w zasadzie nic mnie administracyjnie z Ireną wtedy nie łączyło. A jednak odnalazła mnie w Warszawie RKU (Rejonowa Komenda Uzupełnień) z Kraśnika, gdyż figurowałem w jej wcześniej sporządzonych rejestrach, i surowo wezwwała do stawienia. Takie wezwania otrzymali wówczas i inni młodzieńcy z Ireny i okolicy, w tym Nioniek Głuchowski, z którym wtedy często kontaktowałem się, bo on się zatrudnił w Warszawie, nawet na dobrym stanowisku w pracowni wykonującej dekoracje do kręconych filmów. Postanowiliśmy pojechać do Kraśnika razem, ale najpierw udać się do Ireny, by przenocować, i by następnego dnia rano z grupą innych kandydatów stawić się w RKU. Nie pamiętam, gdzie nocowałem w Irenie, bo wieczorem było uświęcone ludową tradycją musowe zakrapianie. Pamiętam, że odbyło się ono na ulicy przed Pałacem, że siedziałem na żerdzi ogrodzenia okalającego teren Pałacu, i że w pewnym momencie, nawet na samym początku, spadłem z tej żerdzi. Upadek spowodował u mnie natychmiastowe otrzeźwienie i „zdanie sobie sprawy ze stanu rzeczy” – czyli również z upadku moralnego, u innych to zjawisko widocznie nie wystąpiło, bo „kontynuowali”. W rezultacie, gdy stawiliśmy się nazajutrz nadzy – jak trzeba – przed Komisją, większość z nas wyglądała „nieszczególnie”, zwłaszcza Nioniek, który nie powinien był w ogóle pić, bo był „sercowo-chory”, z czym się jednak - biedak - krył. A jednak wszyscy po badaniach zostali zakwalifikowani do kategorii A, jako zdolni i godni do pełnienia służby wojskowej. Ja początkowo też, ale ze mną to było tak – gdy lekarz, właśnie ten występujący jako chyba najważniejszy członek Komisji – prześwietlał nas kolejno promieniami Rentgena – prześwietlając mnie mruknął niby do siebie, ale głośno „a co to jest?”. Nie doczekawszy się z mojej strony, czyli drugiej strony tego chyboczącego się, fluoryzującego ekraniku żadnego komentarza, widocznie uznał, że ten starożytny przyrząd źle działa, albo może jeszcze nie jest

rozgrzany – bo byłem jednym z pierwszych - i niczego nie odnotował. Więc gdy oznajmiał mi zakwalifikowanie do kategorii A, ja skromnie – a świadomie przewrotnie - ujawniłem istnienie „książeczki odmowej”, gdzie skrupulatnie odnotowywano kolejne dopełnienia mojej odmy, z datami i szkicami aktualnego stanu moich płuc. To go zaskoczyło, ale szybko połapał się, przepisał coś i przerysował z tej mojej książeczki do nowego arkusza badań i zaproponował Komisji dla mnie kategorią E – co Komisja z powagą zaakceptowała. Kategoria E oznaczała kategorię najgorszą - skreślenie delikwenta z rejestrów Wojskowych. Nigdy nie spotkałem później nikogo tak nisko ocenionego, praktycznie to D była kategorią najniższą. Byłem zadowolony tak niską oceną, bo właśnie rozżarzała się wojna na Półwyspie Koreańskim, brali do wojska wszystkich „jak leci”. Nioniek jednak, gdy go w czasie poboru „wzięli”, po trzech miesiącach został zwolniony z wojska – on istotnie był chory. Mimo zakwalifikowania mnie do kategorii E, w przyszłości kilkakrotnie byłem wzywany na ćwiczenia, a gdy pokazywałem charakterystyczną dla kategorii E żółtą książeczkę RKU, z reguły słyszałem: „stawajcie do szeregu, po ćwiczeniach zobaczymy”. Miałem na to sposób – po prostu przy najbliższej sposobności cichaczem oddalałem się z szeregu, znikalem.

W szkole w 3LTK były poważne przedmioty i pracownie, w dużym stopniu samodzielnie rozwiązywaliśmy różne zagadnienia, w dobrym kontakcie z kierownikami pracowni i z wykładowcami. Bardzo procentowała wiedza nabyta w poprzednich latach, ze zrozumieniem przyswajaliśmy doniesienia o najnowszych osiągnięciach w dziedzinie Telekomunikacji. Niestety, nadal poważnych książek polskich nie było, najczęściej czytaliśmy miesięcznik „Przegląd Telekomunikacyjny”. Brak książek polskich był dotkliwy, zwłaszcza w dziedzinie Radiotechniki. Co bardziej przedsiębiorczy i chętni wiedzy korzystali z książek w języku rosyjskim, będących niemal z reguły tłumaczeniami książek amerykańskich, ewentualnie ich nieznacznymi przeróbkami. Były to książki solidnie oprawione, drukowane na dobrym papierze, bodaj wyłącznie we Wschodniej strefie Niemiec, przyszłej NRD. Były tanie, ich bodaj jedyną wadą była spora objętość i ciężar. W Polsce na podobnie wysokim poziomie edytorskim były wtedy drukowane chyba wyłącznie dzieła Lenina i Stalina.

Zbliżam się już niemal do końca wspomnień z 3LTK, ale jeszcze o najważniejszych rzeczach nie napisałem – mianowicie o wykładach Profesora Ryszarda Pazury, który przez rok wykladał nam przedmioty związane z Radiotechniką – dziedziną dotychczas co nieco w naszym Liceum zaniedbywaną, chociaż bodaj przez wszystkich w pieleszach domowych praktycznie uprawianą. Do takich należał, na przykład, Jerzy Kluz, wiecznie zadumany nad swoimi amatorskimi konstrukcjami, oczywiście – „co raz bardziej doskonałymi”.

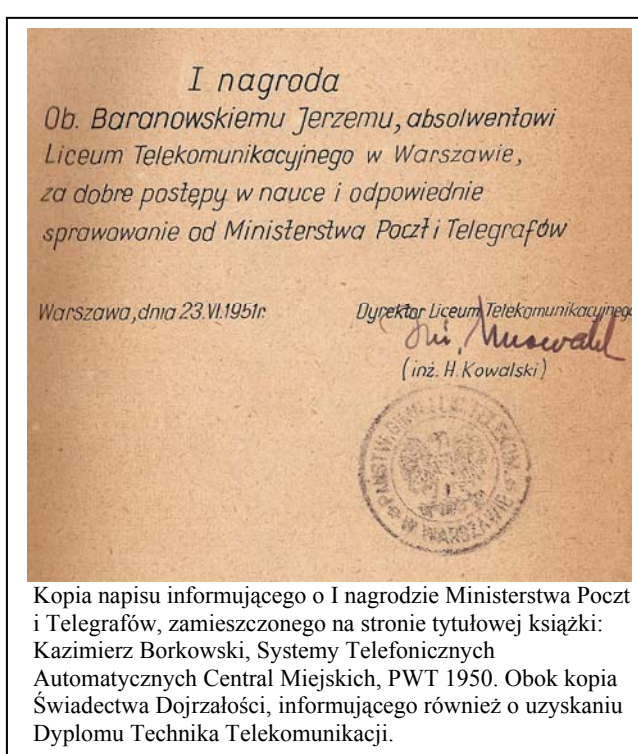
Profesor Pazura od razu „wpadł mi w oko”, co właściwie znaczy, że zauważyłem od razu, że to jest „ktoś” istotnie „z pazurem”. Gdy po raz pierwszy wszedł do naszej klasy, widząc na tablicy nie starty rysunek cewki z zaznaczonymi zwojami, kierunkami prądów oraz liniami magnetycznymi, orzekł na początek – zamiast typowego przywitania się – że „to jest cewka lewoskrętna”, i dopiero wtedy przywitał się. A ja pomyślałem o nim dobrze, i to, że taki ktoś, kto już wstępnie tak elektryzuje atmosferę, to nam „nie popuści”. I tak było, ale stosunki były dobre, niemal koleżeńskie. Profesor Ryszard Pazura – Adiunkt ze Szkoły Wawelberga i Rotwanda, wiele wiedział i sporo nas nauczył, mieliśmy do niego ogromne zaufanie i łatwy dostęp. Podam przykład – tuż przed Maturą, ogarnięci jakimś strachem – miewa się takie strachy przed egzaminami – poszliśmy do Niego, raniuteńko – wiedzieliśmy gdzie mieszka – Rakowiecka róg Fałata. Otworzył drzwi, i mocno zaspany, jeszcze w piżamie, wysłuchał nas, wyjaśnił co chcieliśmy, i zalecił, byśmy się tak nie martwili, nie wkraczali w problemy tak głęboko – będzie dobrze. I było dobrze.

Już w półroczu w 3LTK zaczęliśmy przygotowywać rodzaj wystawy z naszymi prac wykonanych w pracowni, oraz makiety przedstawiające działanie różnych przyrządów –

niestety, najczęściej już mocno archaicznych. Mnie przypadło uruchomienie na pokaz nadajnika iskrowego, urządzenia bardzo starego, chyba z samego początku XX wieku. Czułem się skrzywdzony, jednak niesłusznie, bo to była ciekawa konstrukcja. Nadajnik był zasilany ze źródła o napięciu 1500 V, i to napięcie nawet „pobiegło” kiedyś po moich włosach, gdy się niebacznie nachyliłem. Wśród makiet były i nowsze rzeczy, na przykład radio działające w systemie superheterodynowym – wtedy jeszcze prawie nowość. Ale ja miałem i inne zlecenie – Profesur Pazura powierzył mi samodzielne opracowanie referatu o systemach współczesnej Radio-pelengacji, co znacznie wykraczało poza program wykładów. Bo u nas był taki zwyczaj, a właściwie to on się dopiero rodził, że poszczególni wykładowcy powierzali wybranym przez siebie uczniom wygłaszanie opracowanych samodzielnie tematów. Ja wygłosiłem swój referat przy nawet sporym audytorium – dotyczył działania systemów pelengacyjnych LORAN i DECCA – używanych w odmianach jeszcze i teraz.

Do matury przygotowaliśmy się solidnie, zwykle chodziliśmy z materiałami nad Wisłę, często w zieleniejące ruiny Zamku Królewskiego. Jednak nie wkuwaliśmy materiału, raczej wynajdywaliśmy problemy, w tym i bieżące polityczne. Na ogół zabierało się butelkę wina, ale nie było pijaństwa. Chodziliśmy najczęściej w stabilnej trójce - Leszek Ćwikowski, Zbyszek Kowalówka, i ja.

Same egzaminy przebiegły szybko i właściwie niemal bezproblemowo. Problemem był nakaz pracy, dla nas Absolwentów Liceum obowiązkowy, choć właściwie bezprawnie ograniczający możliwości studiów wyższych. W zasadzie można było studiować tylko w Wojskowej Akademii Technicznej, i na tę drogę zdecydował się – na przykład – Tadeusz Janicki. Ja nie mogłem – byłem przecież „płucno-chory”, odpadałem zatem „w przedbiegach”, bo wykazywanie się krzepą fizyczną było w WAT konieczne.



Kopia napisu informującego o I nagrodzie Ministerstwa Poczty i Telegrafów, zamieszczonego na stronie tytułowej książki: Kazimierz Borkowski, Systemy Telefonicznych Automatycznych Central Miejskich, PWT 1950. Obok kopia Świadectwa Dojrzałości, informującego również o uzyskaniu Dyplomu Technika Telekomunikacji.

Otrzymałem wprawdzie ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI z datą zdania 14 maja 1951 r. egzaminów przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, upoważniające do używania tytułu TECHNIKA TELEKOMUNIKACJI, oznaczone numerem 126. Na tym świadectwie jest

zamieszczona formuła głosząca uprawnienia do podjęcia studiów wyższych, ale z chwilą otrzymania nakazu pracy było to niemożliwe.

Jak wiadomo, w tamtych czasach prawem były zarządzenia resortowe. I to prawo było realizowane – jeszcze przed maturą zgłosił się do Dyrekcji Szkoły pewien pułkownik z WAT i wybrał sobie 6-ciu absolwentów do pracy w WAT na stanowiskach Laborantów, wśród wybrańców byłem i ja. Nie widząc szans na wstąpienie na studia do Politechniki, próbowałem się cieszyć – wydawało mi się to lepsze – być w Warszawie i na Wyższej Uczelni – niż gdzieś na głębokiej prowincji stawiać słupy telefoniczne. Ale gdy wraz z Dyplomem Technika otrzymałem niespodziewanie I Nagrodę Ministerstwa Poczty i Telegrafów, intuicyjnie postanowiłem walczyć o swoje prawa.

Próbował mi w tym pomóc Profesor Erazm Samotyha. Udał się z moim problemem do dobrze mu znanego, jeszcze z przed Wojny, Profesora Janusza Groszkowskiego. Komunikacyjnie było to łatwe – Profesor Politechniki Warszawskiej Janusz Groszkowski mieszkał w służbowym mieszkaniu na terenie Uczelni, a mieszkanie Państwa Samotyhów od Politechniki dzieliła tylko szerokość ulicy Noakowskiego, mieszkali w kamienicy pod numerem 4, na 5 piętrze – tuż nad Placem Politechniki (był to bardzo dogodny punkt obserwacyjny, a działały się na tym placu i wewnątrz Politechniki na przestrzeni całego XX w. różne ważne dla Narodu wydarzenia). Profesor Groszkowski przejął się sprawą, zaprosił mnie do siebie, i po wysłuchaniu żalów udał się bezpośrednio do Rektora Politechniki profesora Edwarda Warchałowskiego na konsultację. Niestety, Rektor orzekł, że nie ma uprawnień do zajmowania stanowiska w mojej sprawie. Oczywiście, wszystkim wiadomo było, że takie możliwości są, ale korzystały z nich centra władzy. Później się okazało, że na Politechnice znalazł się np. wspomniany wcześniej Jerzy Szewczyk, protegowany "Dzielnicy". A sam Profesor Groszkowski nie był jeszcze wtedy kimś ważnym dla władzy – stał się ważny dopiero po kilku latach (ale, jak wiadomo, po dalszych kilku latach znowu stracił „zaufanie” władz).

W tej sytuacji, po namyśle i konsultacjach telefonicznych ze Sławą będącą w dalekiej Gdyni – napisałem list do Prezydenta RP Bolesława Bieruta, o wyrażenie zgody na studiowanie w Politechnice Warszawskiej, adresując na Kancelarię Cywilną Prezydenta RP – taka była wtedy ścieżka służbowej drogi. Ale musiałem udać się już w maju do Bemowa, by podjąć pracę w WAT. Opuszczając Bursę TBS na Długiej, gdzie mi zresztą skradziono „na dowidzenie” piękny komplet ubraniowy – służbowy przydziałowy, dopasowany do mojej figury mundur i płaszcz pocztowy, oraz obuwie. Skradł to wszystko opuszczający Bursę uczeń innej szkoły, karnie wyrzucony, wracający do swojej wsi, gdzieś na Kielecczyznę. Milicja po zgłoszeniu szkody tylko rozłożyła ręce – że nie jest od tego.

W tej sytuacji zamieszkałem z kimś podobnym sobie, we dwóch w skromnym domku w Bemowie, dawnym Boernerowie. A gdy już zacząłem pracować w WAT, od razu spadłem na same dno. Moi przełożeni potrzebowali nie mnie, wykształconego technika telekomunikacji, ale raczej zwykłego montera, bardziej sprawnego w zwykłych pracach „z drutami”, niż ja.

#### **Sobota, 1 sierpnia 2015 r.**

Od tygodnia jesteśmy w Warszawie. Przyjechaliśmy na badania kardiologiczne i okulistyczne – wypadły nieźle. Basia oczywiście była dziś na Powązkach, na uroczystościach 71 rocznicy Powstania, wróciła dopiero o 22.



1 sierpnia 2015 r.,  
godzina „W”, Powązki,  
przed kwaterą „Zośki”.

Wczoraj była na ostatnim spotkaniu z Komorowskim, jako Prezydentem Państwa. Jakoś Go dopadła - po jej spontanicznej wypowiedzi był wzruszony, uściśnął Basię – ale czy pamiętał spotkanie u nas przed laty? Inne wieści: Prezydent-elekt Duda zamierza powołać Pawła Solocha z Instytutu Sobieskiego, na stanowisko Przewodniczącego BBN – dobrze oceniam ten zamiar; Trybunał Konstytucyjny orzekł po trzydniowych obradach, że oddanie SKOK-ów pod Nadzór Finansowy jest nie tylko zgodne z Konstytucją, ale i konieczne. Jeszcze inne: Anita Włodarczyk pobiła dziś o półtora metra rekord Świata w rzucie młotem – osiągnęła aż 81,08 m! jako pierwsza kobieta na świecie przekroczyła 80 m.

Rosja ogłosiła, że przewiduje wojny u swych granic – co nie nowe.

Ja zaś otrzymałem wreszcie mail od Doroty zapoczątkowany „Drogi Ojcze!” – dość chłodna ta jej intonacja, ale dobre i to – pośpieszyłem odpisać „Kochana Cóрко!” – ale mam świadomość, że ta korespondencja jest jednak przeze mnie wymuszona. Dorota ma już 59 lat, i tyleż lat świadomości. Trudno, nie stanąłem na wysokości jakiegoś zadania – ale jakiego?

Praca w WAT była dziwna – teren wyglądał jak plac niedokończonej budowy, wszyscy się spieszyli, ale dziwnie – bo ciągle urządzano „prasówki” o charakterze sporych wieców. Sprawa zaczęła się wyjaśniać wraz z publikacjami prasowymi – szykowano proces generałów Tatara, Kirchmayera, Mossora, Kuropieski i innych oficerów wysokiej rangi. To właśnie uzasadnianiu winy tych oficerów poświęcone były te prasówki, prowadzone przez pewnego siebie majora o pucułowatej twarzy. Te prasówki były wyreżyserowane według znanych zasad - każde oświadczenie prelegenta natychmiast było nagradzane oklaskami. O dużej grupie klakierów świadczyły też pytania zgłaszane z sali – miały one pobudzać prelegenta do snucia wynurzeń o prawdopodobnej odpowiedzialności i potrzebie wdrożenia śledztwa wobec jeszcze innych oficerów, którym tymczasem jeszcze nie zdążono postawić zarzutów. Prelegent natychmiast podchwytywał i pogłębiał te zgłaszane pytania, wręcz się pławił w rozwijaniu przypuszczeń o „zdradzieckich” knowaniach niektórych oficerów, już teraz wymienianych z nazwiska. Te „prasówki” miały nam, „ciemnemu ludowi”, uzmysłowić powagę sytuacji politycznej, a komu trzeba wykazać, że powinien „przymknąć gębę”.

Jedna z prasówek niespodziewanie przekształciła się w wiec, na którym zebrani zaczęli „samorzutnie” deklarować poświęcenie swej miesięcznej pensji – w całości lub częściowo – na rzecz Pożyczki dla Odbudowy Narodowych Sił Zbrojnych – od razu zaczęto sporządzać listy obecnych deklarujących wpłaty. By nie być źle widzianym wyjątkiem, ja „samorzutnie” też zadeklarowałem prawie całą moją ubożuchną pensję początkującego pracownika-stażysty. W perspektywie – odżywianie się przez miesiąc tylko skąpymi kromkami chleba oszczędnie posmarowanymi masłem – masło było na szczęście tanie – z plasterkiem pomidora. I tak



było, aż nadszedł dzień przy końcu czerwca – w którym wszystko się nagle zmieniło. W godzinach przedpołudniowych zostałem odwołany z pracy, z poleceniem natychmiastowego stawienia się w Komendzie WAT. A tam mi oświadczono bez ceregieli, że mam natychmiast, jeszcze tego samego dnia, stawić się w Ministerstwie Poczty i Telegrafów, bo jestem zwolniony z pracy. I nic więcej, poza tym, że mogę jeszcze jedną noc spędzić w dotychczasowym miejscu. Zrozumiałem, że coś się dzieje w mojej sprawie, ale choć nie wiedziałem dokładnie - co, byłem podniecony przypuszczeniami. Chciałem działać szybko, ale potrzeba „oporzędzenia się” i spora odległość sprawiły, że w Ministerstwie stawilem się grubo po godzinach urzędowania, już prawie pod wieczór. Jednak czekano na mnie. We wskazanym gabinecie z miękkimi fotelami i przysłoniętymi oknami, mimo mroku - lampa z seledynowym abażurem dobrze oświetlała papiery leżące na biurku. Usadowiony w wygodnym fotelu przy biurku, zza abażuru nieco gorzej widziałem twarz i zwłaszcza oczy osoby, która zaczęła ze mną rozmawiać.

Mój rozmówca, zapewne jakiś wyższy urzędnik Ministerstwa, nie śpieszył się, ale i nie rozwlekał rozmowy. Czułem, że on sądzi, że ja wiem, dlaczego zostałem wezwany do Ministerstwa. Rzeczywiście, ja już na początku rozmowy utrwaliłem się w przekonaniu, że rozmowa ma związek z moim podaniem do Kancelarii Cywilnej Prezydenta Państwa. Bo mnie zapytał, co ja chcę robić, a na odpowiedź, że chcę się kształcić podejmując wyższe studia w Politechnice Warszawskiej, stwierdził, że skoro chcę się kształcić, ma dla mnie inne, i lepsze propozycje, gdyż droga do Politechniki wydaje się być niedostępna. Oznajmił też, że obecnie Ministerstwo traci wielu specjalistów wykształconych w dziedzinie Telekomunikacji, bo różne resorty ich ciągle wychwytyją. Ponieważ zapotrzebowanie na takich specjalistów nadal powiększa się, Ministerstwo uruchamia dodatkowe kursy i szkoły kształcące w dziedzinie Telekomunikacji. To była prawda, wiedziałem, że np. w Krakowie jest powoływane nowe Technikum Telekomunikacyjne, wiedziałem też, że przed Wojną absolwenci szkoły kierowanej przez Inż. H. Kowalskiego byli cenieni i stanowili ponad 60 % personelu technicznego Ministerstwa. Mój rozmówca złożył mi propozycję, bym został wykładowcą na jednym z Kursów organizowanych przez Ministerstwo, zapewniając, że ta propozycja oznacza dla mnie zarazem znaczny awans, jak i możliwości powiększania nabytych kwalifikacji. W tym momencie zrobiło mi się gorąco – zupełnie mi ta propozycja nie odpowiadała, ja chciałem iść na Politechnikę, i już. Kiedyś, ale już będąc w 3LTK, zwiedzałem pracownię studenckie na Wydziale Elektrycznym Politechniki, i to co było zwiedzającym pokazywane, głęboko zapadło w moją pamięć, budowało wyobraźnię. Więc zdobywając się na spokój, większy nawet niż teraz gdy tę rozmowę opisuję, stanowczo odrzuciłem przedstawioną propozycję. Nie wiedziałem, co z tego wyniknie, ale tak się złożyło, że na biurku zadzwieczał telefon i mój rozmówca wyszedł na chwilę do sąsiedniego pokoju, swego sekretariatu. I w tym szczytowym momencie rozmowy pochyliłem się nad biurkiem, bo w seledynowym świetle dojrzałem wysunięty rózek papieru, ze znajomymi mi - bo własnymi literami. Oczywiście, odsłoniłem coś więcej – poza różkiem ukazał się większy fragment mojego podania do Prezydenta, oraz skośny odręczny napis decyzji: „można pozwolić”. Działalem wtedy jak w transie, czułem się uszczęśliwiony – bo pewny, co z tego wyniknie. Nie opisuję dalszego biegu rozmowy – gdy wychodziłem z Ministerstwa, było już zupełnie ciemno, wiedziałem, że muszę szybko, jak najszybciej złożyć potrzebne papiery w Komisji przyjmującej zgłoszenia kandydatów na studia w Politechnice – jeszcze było to możliwe. I wiedziałem, że nikt mnie nie będzie ścigał za nie poddanie się nakazowi pracy – no, może gdybym nie został przyjęty na studia. Byłem przepełniony wdzięcznością wobec Dyrektora Inż. Henryka Kowalskiego – że mi cisnął tę ratunkową linę, w postaci I Nagrody na koniec Liceum – nie wiedziałem wtedy, że to jego ostatnie miesiące na stanowisku Dyrektora. Po dziś dzień zastanawiam się, czy ukazanie się tego „różka” mojego podania, nie

było też rodzajem pomocy dla mnie, ze strony mojego rozmówcy zza seledynowego klosza lampy? Ale była noc, do Bemowa było daleko, a na następne dni i noce nie miałem *locum*.

Papiery złożyłem, zostały przyjęte, ale że mieszkania – zatem i adresu - nie miałem, musiałem śledzić listy kandydatów dopuszczonych do egzaminu i przechwytywać zawiadomienia. Nie było to trudne, gorzej było ze znalezieniem miejsca „zakwaterowania” na czas do egzaminu, od końcowych dni czerwca do 5 lipca. Na Bursę przy Długiej 18/20 (obecnie tuż przy Pomniku Powstania Warszawskiego) nie mogłem już liczyć, byłem wykwaterowany, ponadto - zaczęły ten budynek przejmować jakieś inne instytucje.

Jednak TBS znowu mi pomógł – zostałem chwilowo i nie całkiem chyba legalnie przyjęty do Bursy na Tarczyńskiej 1 (to na samym rogu z ulicą Raszyńską, gdzie teraz Księgarnia Hiszpańska) – ale nie na zamieszkanie, lecz na krótki pobyt, na noclegi na strychu, gdzie było światło elektryczne i składane łóżko. Mogłem też korzystać z ubikacji i dostępu do wody w toalecie, piętro niżej. Były już wakacje i w Bursie pozostał tylko wtajemniczony dwuosobowy personel, który mnie wypuszczał wczesnym rankiem, i pozwalał wejść dopiero wieczorem. Więc cały boży dzień byłem na zewnątrz. Przesiadywałem zwykle na ławeczce w parku, lub przed Bursą, w oczekiwaniu na wieczór. Na przełomie czerwca i lipca panowały szalone upały i również dlatego nie było mi śpieszno udać się na strych – gdyż od rozgrzanych w dzień dachówek bił żar – prawie do rana na strychu było gorąco jak w piecu chlebowym. Przechodząc do łóżka musiałem zachować ostrożność i poruszać się po ścieżce, wąskiej, specjalnie już pierwszego dnia odmiecionej. Podłoga strychu była bowiem grubo pokryta sypkim mianem, i każde nieostrożne stąpienie wzbijało w górę tumany białego mianu, przysłaniającego na długo światło żarówki. Odżywiałem się w barach mlecznych, Państwa Samotyłów nie odwiedzałem, ale chyba raz odwiedziłem Niońka na Wilczej, i to zapewne wtedy dowiedziałem się o śmierci Olki Skibówny. No i tak przetrwałem do egzaminów wstępnych, do 5 lipca. Zostałem na czas egzaminów zakwaterowany na Sali Gimnastycznej w Akademiku na Narutowicza – roztawiono tam bodaj kilkaset łóżek. Gwar był niesamowity, dzień i noc, ciągle ktoś przychodził lub odchodził, a każdy głośno gadając, uciszał innych.

Z egzaminów nie pamiętałbym nic, gdybym nie zapamiętał poznanej wtedy Irki Cegleckiej, później koleżanki w Politechnice. Bo po egzaminie z Fizyki wdała się w głośną dyskusję, czy przy obliczaniu oporu przewodu łączącego żarówkę z prądnicą – należy uwzględnić oporność tylko przewodu doprowadzającego, czy również przewodu odprowadzającego prąd od żarówki do prądnicy. Ona się w tym pomyliła, i wielu innych też – co jednak nie wpłynęło na wynik egzaminu, później już o tym śmiesznym błędzie nie rozmawialiśmy. Ale ten egzamin wstępny przypominał się sam, gdy po roku zdawałem końcowy egzamin z Fizyki u Docent Janiny Woszczerowicz (siostry znakomitego, niezwyklego histriona Jacka Woszczerowicza), egzaminującej mnie w zastępstwie Profesora Franciszka Zienkowskiego, akurat usuniętego z Politechniki ze względów politycznych. Po kilku pytaniach Pani Docent zapytała – „a jaki Pan miał stopień na egzaminie wstępnym?” Odpowiedziałem, że nie wiem, wiem tylko, że zdałem, bo zostałem przecież przyjęty. Pani Docent rzekła, że zaraz to sprawdzi, i ku memu zdumieniu wyciągnęła mały zeszyt z swojej torby. Odnalazła ocenę i stwierdziła: „miał Pan 5 i tyle Panu stawiam”. Byłem nieco zdziwiony takim przebiegiem egzaminu z trudnego przedmiotu, ale i zadowolony, bo w ubiegłym semestrze otrzymałem od Profesora Zienkowskiego „tylko” 4  $\frac{1}{2}$  – coś Mu się nie podobało w moim sposobie używania logarytmów przy obliczaniu błędu statystycznego z pomiarów – a to był „konik” Profesora. Ale to było już po pierwszym roku studiów. Żeby jednak studia na Politechnice w ogóle mógł zacząć, musiałem zmierzyć się z podstawowym problemem – bo nie miałem gdzie mieszkać. W Warszawie byłem zameldowany na stałe na Długiej w Bursie TBS, która przestała funkcjonować. Po egzaminach wstępnych złożyłem więc podanie o przydział stypendium i miejsca w domu studenckim, a na miesiące wakacyjne – aż do końca września – udałem się do Rodziców. Odnalazłem ich tym razem w Kozłowie koło Lubartowa, gdzie

objęli szkołę w dawnej posiadłości Potockich, gdzie był duży pałac i park - wszystko, razem z oficynami, było wzorowane na królewskim Wilanowie. Gdy pojawiłem się z początkiem Października w Warszawie, najpierw okazało się, że teraz jestem studentem nowego Wydziału, nazwanym wydziałem Łączności, na wzór nazewnictwa sowieckiego. Właśnie powstał z silnej Sekcji Prądów Słabych, wyodrębnionej z Wydziału Elektrycznego. Lecz dowiedziałem się też, że przyznano mi wprawdzie stypendium, ale nie przydzielono miejsca w domu akademickim. Uznano, że skoro jestem zameldowany w Warszawie na stałe, to i mieszkam w Warszawie. „Odkręcenie” tej pomyłki trwało do połowy listopada, o miejsca w akademikach było trudno, do komisji odwoławczej były wielkie kolejki. Od pierwszego dnia, czyli nocy, korzystałem z uprzejmości co raz to innych kolegów mających miejsce w akademikach – nazywało się to „waletowaniem”. W końcu znowu pomógł TBS, w osobie mgr Cały, który – gdy już dotarłem do niego – załatwił sprawę przyjaźnie szybko – skierował do Akademickiej Przychodni Przeciwgruźliczej na Mochnackiego, z zaleceniem przydzielenia miejsca w Akademickim Pólsanatorium na Bielanach. Mieściło się ono w dwóch zarekwirowanych willach przy ulicy Lipińskiej – trzeba było dojechać tramwajem 15 aż na końcowy przystanek przy AWF, i jeszcze trochę iść po piaskach – podobnie, jak w Miedzeszynie. Gdy się tam zjawiłem - już tego samego wieczora, oniemiałem – poczułem się jak w raju. Ciepło, podłogi wypastowane, wygodne łóżka – pensjonariusze w świetlicy grają beztrudno w brydża. Przez okienko z kuchni dolatują smakowite zapachy potraw, krzątają wokół dużych rondli trzy „mocne w sobie” kucharki, oferując również spóźnionym kolację. Na miejscu – gabinet lekarski. Słowem – raj. W tym „raju” przemieszkalem rok – nawiązując liczne znajomości – okazało się, że ci studenci grający w brydża, byli przeważnie ciężko chorzy. A ja – nie tak bardzo, i w odróżnieniu od nich codziennie wstawałem raniuteńko, i jeszcze o szarówce docierałem na Mokotów, do gmachu Szkoły Wawelberga, gdzie przeważnie miałem zajęcia, w tym wykłady Fizyki Prof. Franciszka Zienkowskiego. W tym czasie regularnie, niemal co dnia, a wkrótce co dnia – bywałem u PP. Samotyhów, bo zaczęły mnie niesłychanie ekscytować wszelkie problemy kulturalne, jakie były istotą atmosfery tego domu. Oczywiście, najważniejszy był udział w „kompletach” poświęconych odbiorze dzieł sztuki, i historii malarstwa w różnych epokach i krajach. Nie zaprzestałem tam bywać, gdy mnie po roku „wyrzucono” do zwykłego akademika – do wspomnianego wcześniej pokoju, gdzie wśród czterech nas było trzech gruźlików. Ale w następnym, już trzecim roku, znowu ulokowano mnie w Pólsanatorium, z tym, że mieściło się ono teraz jeszcze bliżej Politechniki – bo z dalekiej Lipińskiej zostało przeniesione na Górnośląską, tuż za Sejmem. Dojeżdżało się linią trolejbusową na Pięknej i schodziło się w dół od ulicy Myśliwieckiej po karkołomnych schodkach. W samym gmachu Pólsanatorium były zaś szerokie drewniane schody, porozumiewawczo i przyjaźnie skrzypiące przy każdym kroku... Tam byłem prawie do samego końca studiów, nawet gdy mnie, będącego już na studiach magisterskich, zaangażowano na stanowisku asystenta (młodszego, oczywiście...). Klimat tego pólsanatorium był przyjacielski, zastępował mi przez lata dom. Drugim takim przyjacielskim domem stało się mieszkanie PP Samotyhów, chociaż po dalszych kilku latach już miałem mieszkanie, zapewniło mi je małżeństwo zawarte w czasie pobytu w Pólsanatorium. Małżeństwo zostało jednak zawarte – jak uświadomiłem sobie już wkrótce – przedwcześnie. Nie było dostatecznej bliskości, były prowokacyjne wypowiedzi i narastające drwiny, rozwijanie absurdalnych teorii quasi-heglowskich, quasi-marksistowskich – w których „walka klas” została zastąpiona równie absurdalną teorią „walki płci”. Buntowałem się, chyba istotnie nie byłem dojrzały do małżeństwa – na pewno nie do tego typu. Ale był jego owoc – Cóрка – wspaniała w swym dorastaniu. Jednak, gdy dojrzała do bytu samodzielnego i weszła na własną orbitę uczuć, związek z Jej Matką rozpadł się. I mam kłopot – ciągle powracam we wspomnieniach do tej mojej bardzo już dorosłej Cóрки. W wielu odcieniach uczuć. Przechowuję jej świadectwa i wypracowania szkolne, zdjęcia z kolejnych faz dojrzewania,

licznych spacerów, wypraw żeglarskich i w Bieszczady. Tego się nie da wymazać. I tak już zapewne zostanie – piszę te słowa w Jej 59 urodziny. Co roku myślę się w dacie – że 6 sierpnia, przyzwyczaiłem się mylić. I sprawdzam w metryce – jest 5 sierpnia.

A „6 sierpnia” – to również dawna nazwa ulicy Nowowiejskiej, biegła jak i teraz, od Filtrów, tuż przy Politechnice, przekraczając Plac Zbawiciela dochodziła do Placu Wolności, teraz nazywanego „Na rozdrożu”. 6 sierpnia to oczywiście symboliczna data wymarszu Pierwszej Kadrowej. Nieudanego na początku - gdy maszerowali przez Kielce, ludzie zamykali okna, zatrząskiwali okiennice. Nie wierzyli w „Niepodległą” – jak i teraz. Jakieś fatum?

#### **Piątek, 7 sierpnia, 2015 r.**

Straszne upały, w całym kraju. My pozostaliśmy w Warszawie. W Zaklikowie nie wąż się wyjeżdżać w pole by dokończyć żniw, zresztą, od upałów zepsuł się jeden z kombajnów. A u mnie jeden z komputerów też zawiódł, wyświetla komunikat „fan error”. Ja sam mam też trudności z funkcjonowaniem. Inni nie mają – wczoraj w klimatyzowanych pomieszczeniach dokonała się zmiana na Urzędzie Prezydenta Polski. Jestem dziś słaby, ale nie umrę tego dnia – chociaż ciśnienie krwi spadło, było 82/42/60 - po silnej kawie jest już 100/66/109. Ale Basia twierdzi, że te pomiary nie były miarodajne, bo stosowane przez nas elektroniczne ciśnieniomierze fałszują wyniki w zakresie małych ciśnień.

#### **Niedziela, 10 sierpnia, 2015 r.**

Upały trwają. Zmniejszyłem dawkę Amlozku, postanowiłem pisać, ale teraz już tylko o moich dalszych perypetiach w Politechnice – bo na to mam przygotowany specjalny „kawałek” pod tytułem „*Moje Układy Elektroniczne – czyli od Stołpców po Warszawę*”. Przygotowany kilka lat wcześniej i wydrukowany w Elektronice nr 8/2009, (str. 98-103), akurat przyda się do chwilowego „zapchania” luki w moich wspomnieniach. Przedstawiona niżej wersja różni się od wydrukowanej jedynie zamieszczeniem fotografii, których w wersji drukowanej nie było. Informuję przy tym – to znaczy przy tej okazji – że „w chwili słabości” uległem namowiem Dyrektora ISE prof. Ryszarda Romaniuka, i zmieniłem w końcowej części wizję przyszłości Elektroniki w naszym Kraju na bardziej optymistyczną – czyli zasadniczo. I tak to – ten optymizm na papierze - zostało wydrukowane.

W następnej kolejności, chociażem „mocno niemocny”, zdecyduję się na osobny wątek opisujący moje długie – bo ponad 15-letnie relacje z PP Samotyhami w czasie studiów i pracy w Politechnice.

prof. dr hab. inż. Jerzy Hubert Baranowski, (ISE, profesor emerytowany)

*niżej tekst pełną czcionką ściśle wg Elektroniki nr 8/2009  
dodane fotografie i tekst drobną czcionką z 10.10.2015*

#### **Moje Układy Elektroniczne, czyli – od Stołpców po Warszawę**

Zostałem zachęcony do wypowiedzenia się w ujęciu retrospektywnym, o zapoczątkowaniu i perspektywach tematyki Układów Elektronicznych w Instytucie Systemów Elektronicznych. Temat obszerny i trudny do samodzielnego opracowania, dlatego nie chciałem się go podjąć, zwłaszcza że całkiem niedawno ukazało się drukiem nakładem ISE moje opracowanie p.t. „Rozwój prac naukowych w Zakładzie Układów i Systemów Elektronicznych w latach 1946 – 2000”, dostępne również w sieci w witrynie ISE [1]. Umożliwia ono wgląd w historię rozwoju Układów Elektronicznych w ISE, zwłaszcza pod kątem inicjacji układów półprzewodnikowych.

W toku dalszych rozmów zgodziłem się na przedstawienie tematyki układów elektronicznych, ale raczej tylko od strony moich osobistych zainteresowań i fascynacji, jakie by one nie były. Takie ujęcie nieuchronnie pociągało potrącanie wątków biograficznych, jednak zapewniono mi ich tolerowanie.

Na początku muszę wyznać, że radio – ten wczesny rodzaj elektroniki - towarzyszyło mi od pierwszych dni moich, najpierw w postaci prostego detektora z kryształem galeny i sprężynującym kontaktem, ze wzmacniaczem Amplitronem i ogromną tubą głośnikową. Było to koło Klecka, czyli w pobliżu Nieświeża, co wiadomo z lektury „Pana Tadeusza”. Niedługo później w nowym miejscu zamieszkania, w samym sercu Puszczy Nalibockiej słuchałem już świadomie audycji z Baranowicz, Wilna, Lwowa i Warszawy, z nowoczesnego odbiornika produkcji znakomitej firmy Elektrit z Wilna. Detektor galenowy i w pełni sprawny odbiornik Elektrit z 1936 roku mam do dzisiaj. Jeszcze w innym miejscu i czasie, pod Stołpcami (z Wańkowicza wiadomo, że to leżące nad Niemnem przygraniczne miasto i stacja kolejowa, z ogromnymi warsztatami naprawczymi parowozów), wysłuchiwałem komunikatów wojennych, trwożnych, zarazem dumnych „Westerplatte broni się jeszcze”. Ze Stołpców ewakuowaliśmy się w 1945 roku, w szczęśliwym kierunku na Zachód. Dla mnie, po pewnych perypetiach, które pomnę, aż do Warszawy.

Moje fascynacje radiem, radiotechniką, zaczęte wcześniej, wiązały się wprawdzie z kolejnymi konstrukcjami doskonalonych odbiorników radiowych, ale najbardziej z antenami. I gdy – nie bez dużych trudności (mnie, absolwenta Liceum Telekomunikacyjnego z I-ą Nagrodą Ministra Poczty i Łączności, obowiązywał twardy nakaz pracy) – dostałem się wreszcie na Politechnikę Warszawską, to po trzech latach kursu inżynierskiego na ówczesnym Wydziale Łączności tematem mojej pracy dyplomowej była konstrukcja stożkowej szerokopasmowej anteny mikrofalowej. Miałem pokaźną biblioteczkę dotyczącą anten, ze szczególnym uwzględnieniem prac klasyka bryłowych anten Amerykanina S.A.Schelkunoff'a. Zainteresowanie antenami wzmoгло się po wykładach profesora Stefana Manczarskiego, wybitnego specjalisty w dziedzinie projektowania systemów antenowych, różnego typu, w tym o zasięgu transkontynentalnym (na przykład, długofalowych do łączności z Japonią).

Problemy antenowe zostały jednak skutecznie wyparte z mego umysłu przez nową tematykę. Stało się to pod wpływem profesora Wiktora Golde, którego poznałem i podziwiałem na wykładach z dziedziny wzmacniaczy elektronicznych. W toku kolokwium zaliczającego semestr Laboratorium Obwodów Elektrycznych profesor W.Golde zaproponował mi asystenturę w Katedrze Podstaw Telekomunikacji, kierowanej przez profesora Adama Smolińskiego i przemianowanej wkrótce na Katedrę Układów Elektronicznych. Praca przy profesorze W.Golde była dla mnie, świeżo upieczonego asystenta ale również jeszcze studenta kursu magisterskiego, dość absorbująca. Choćby dlatego, że poza zajęciami dydaktycznymi zostałem zaangażowany do uruchamiania serii szybkich wzmacniaczy impulsowych wyposażonych w nastawialne dyskryminatory amplitudy. Te lampowe konstrukcje miały służyć wielokanałowej rejestracji rozkładu impulsów, w laboratoriach nowo powstającego Instytutu Badań Jądrowych w Świerku. To była dobra szkoła praktycznej inżynierii, ale w sumie zajęcia dydaktyczne i prace nad wzmacniaczami impulsowymi zabierały mi bardzo dużo czasu. Trzeba tu wspomnieć, że nie dysponowaliśmy wówczas, a i długie lata potem, szybkimi generatorami impulsowymi i szybkimi oscylografami, ani systemami szerokopasmowych woblerów. Odpowiedź impulsową wzmacniacza – jaka jest, jaka ma być, należało wydedukować i zoptymalizować wyłącznie na podstawie charakterystyki częstotliwościowej, a jej uzyskanie było procedurą pracochłonną.

Jakby tego było mało, już niedługo zaproponowano mi udział w tworzącej się właśnie grupie samokształceniowej w dziedzinie tranzystorów i układów tranzystorowych, organizowanej przez profesorów Wiktora Goldego i Witolda Rosińskiego z IPPT PAN. Ta grupa samokształceniowa, pierwsza w Kraju, powstała pod wpływem świadomości, że era elektroniki opartej na lampach próżniowych kończy się, a przyszłość należy do dopiero co wynalezionej tranzystora. Zespół samokształceniowy miał od razu bardzo ambitne cele, bo chodziło nie tylko o uzyskanie wysokiego stopnia poznania zasad działania i właściwości tranzystorów, lecz również o rychłe wprowadzenie tematyki tranzystorowej do bieżącej



dydaktyki do szkół. Co więcej, chodziło również o możliwie szybkie zaznajomienie z tranzystorami licznej kadry już wykształconych elektroników z ośrodków przemysłowych i instytutów badawczych, w bliskiej perspektywie szerokiego zastosowania układów tranzystorowych. Te zamierzenia uzyskały nazwę „tranzystoryzacji”, dobrze przyjętą i popieraną, bo współbrzmiającą z „elektryfikacją” i „kolektywizacją”. Zespół przyjął taktykę szybkiego opracowania i wydania zbioru monografii poświęconych różnym działom – od podstaw fizycznych działania tranzystorów, miernictwo ich parametrów, po zastosowanie do generacji i do wzmacniania sygnałów, oraz w układach impulsowych i cyfrowych.

Te pierwsze w kraju książki z dziedziny tranzystorów i układów tranzystorowych zaczęły się ukazywać nakładem WNT z początkiem lat 60tych, pod wspólną nazwą „Układy tranzystorowe”. Uzyskały status podręczników, chociaż podręcznikami w istocie nie były.

Niektóre pozycje były kilkakrotnie wznawiane, przy tym z reguły w poszerzanej objętości z uwzględnieniem szybkiego rozwoju tematyki półprzewodnikowej na świecie.

Byłem wraz z Tadeuszem Jankowskim (z Instytutu Maszyn Matematycznych PAN) autorem monografii „Tranzystorowe Układy Impulsowe”, która miała dwa wydania polskie i jedno niemieckie (jako jedyna pozycja z serii monografii WNT).



Monografie należące do serii UKŁADY TRANZYSTOROWE zainicjowanej przez Wiktora Golde i Witolda Rosińskiego

Nasze drogi rozeszły się, głównie ze względu na inny zakres zainteresowań. Mnie nie tyle fascynowały układy cyfrowe i zarysowujące się już wtedy perspektywy ich realizacji w bardzo dużej skali scalenia, co raczej układy bliższe klasycznym układom impulsowym, zwłaszcza szybkie układy służące do kształtowania impulsów o stromych zboczach.

Moje zainteresowanie układami impulsowymi, ich realizacją i próbami analizy teoretycznej zapoczątkowało się jeszcze na studiach, gdyż specjalizowano mnie w zagadnieniach radarowych (niewątpliwie na przydzielenie tego kierunku specjalizacji zaważyła trwająca wojna na półwyspie koreańskim). A technika radarowa to przecież, poza antenami, głównie technika impulsowa, no i - co może najważniejsze, wykłady z tej dziedziny prowadził niezmiernie inspirująco docent Stanisław Sławiński, późniejszy profesor i dziekan Wydziału (w późniejszych czasach z dobrymi rezultatami próbowałem naśladować jego sposób wykładania poprzez dialogi).



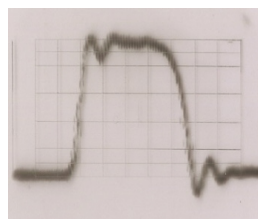
Prof. W. Golde



Prof. A. Smoliński



Synchronoskop ZPT198



oscylogram (1ns/dz)



Prof. S. Sławiński

Dalsze wejście w problemy techniki impulsowej nastąpiło przy optymalizowaniu wymienionych wcześniej wzmacniaczy z dyskryminatorami amplitudy. Były to ciągle jeszcze układy z lampami próżniowymi, niezbyt trudne pod względem pojmowania zasad działania, chociaż trudno mierzalne pod względem odpowiedzi impulsowej. Został wprowadzicie w Katedrze Układów Elektronicznych opracowany (przez Jerzego Helsztyńskiego i Witolda Wierzejskiego) prototyp szybkiego oscyloskopu (o nazwie ZPT 113) o granicznej częstotliwości 100 MHz (prawdopodobnie przez jakiś czas najszybszy w Europie), ale ta konstrukcja, oparta na wzmacniaczach łańcuchowych, w ciągłej fazie doskonalenia, była praktycznie niedostępna. Podobnie rzecz się miała z generatorem nanosekundowym (ZPT 177) opracowanym przez Janusza Markowskiego w zastosowaniu do pomiarów miniaturowych rdzeni ferrytowych.

Gdy w latach pięćdziesiątych zacząłem zajmować się półprzewodnikowymi układami impulsowymi, początkowo nie zdawałem sobie w pełni sprawy z trudności i kłopotów związanych z tą tematyką, które wkrótce się objawiły. Przede wszystkim uświadomiłem sobie stopniowo, że w tej tematyce będę dość odosobniony – ba, nawet nie zawsze zrozumiany. Bo w głównym nurcie badań były w tym czasie (i długo później) różnego rodzaju wzmacniacze tranzystorowe, opisywane jako urządzenia liniowe, często jako czwórniki czynne przy użyciu lokalnie określonych parametrów macierzowych i całego zespołu pojęć i problemów związanych z ujęciem macierzowym. Dla układów wzmacniających zjawiska występujące w tranzystorze w zakresie jego odcięcia, przy dużych napięciach i dużych prądach były traktowane wyłącznie jako zjawiska szkodliwe, ograniczające „pole wzmocnienia”, co zresztą jest całkiem naturalne dla tego rodzaju układów. Ale dla układów impulsowych i cyfrowych – nie. Dla tych układów charakterystyczne są granicznie duże zmiany prądów i napięć. Towarzyszące tym zmianom procesy, zachodzące zwykle pod wpływem sterujących sygnałów impulsowych, są nazywane ogólnie „procesami przełączania”. Ta nazwa odnosi się oczywiście nie tylko do elementów półprzewodnikowych, stosuje się ją również i do lamp próżniowych, ale przy przełączaniu elementów półprzewodnikowych występują specyficzne zjawiska, których wytłumaczenie nastroczało spore trudności pojęciowe. W pierwszym rzędzie należy wymienić pojmowanie stanu nasycenia tranzystora bipolarnego, to jest stanu, w którym oba złącza, emiterowe i kolektorowe, są spolaryzowane przewodząco. Wyłączenie tranzystora ze stanu nasycenia zachodziło z dużym opóźnieniem, co oczywiście szkodliwie wpływało na szybkość działania układów cyfrowych. Zjawisko to zostało przeanalizowane w 1954 roku w pracach Ebersa i Molla [2, 3], a wprowadzony przez nich model tranzystora stał się podstawowym modelem dla analizy pracy wielkosygnałowej tranzystorów.

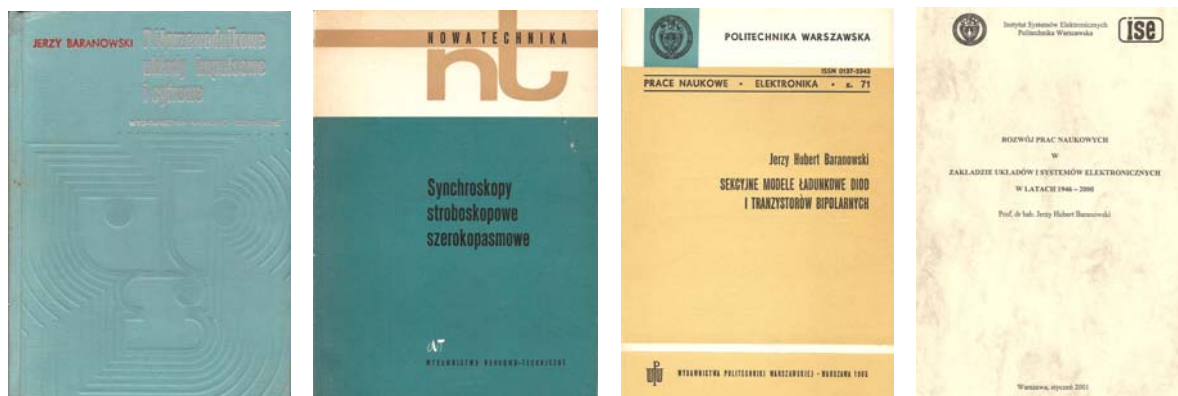
Model Ebersa-Molla (MEM) miał też ogromny, zasadniczy wpływ na ujęcia dydaktyczne tematyki układów impulsowych. Właściwie dopiero od MEM zapoczątkowało się traktowanie półprzewodnikowych układów impulsowych jako dziedziny samodzielnej. Do tego modelu nawiązywały późniejsze modele tranzystorów, jak np. model Gummela i Poona [10].

Jednak MEM nie obejmował wielu zjawisk występujących przy bardzo dużych napięciach i prądach, był sformułowany w istocie na podstawie quasi-statycznych przybliżeń rozkładów nośników w bazie tranzystora. Użycie opisu w dziedzinie częstotliwości zresztą początkowo implikowało używanie przekształcenia Laplace’a przy prowadzeniu analizy procesów dynamicznych w dziedzinie czasu. Ponadto, podany przykład analizy wyłączania tranzystora ze stanu nasycenia narzucał widzenie tego procesu wyłącznie jako takiego, przy którym złącze kolektorowe jako pierwsze przechodzi w stan polaryzacji zaporowej.

W tym czasie zacząłem dostrzegać, że niedostatki MEM wynikają z przyjętej powszechnie metody dydaktycznej interpretowania działania tranzystora i jego właściwości niemal wyłącznie przez rozważanie tylko transportu nośników mniejszościowych wprowadzanych do bazy przez złącze emiterowe, i wyprowadzanie ich tylko przez złącze kolektorowe. Uznałem za poważny błąd dydaktyczny, że poza ogólnym przypomnieniem o występujących zmianach

również rozkładu nośników większościowych w bazie - koniecznych ze względu na zasadę neutralności elektrycznej i wymuszanych siłami przyciągania elektrostatycznego – przy dalszych analizach procesami wprowadzania i usuwania nośników większościowych już nie zajmowano się. Pomijano również, lub pomniejszano znaczenie procesów rekombinacji nośników w bazie. Te spostrzeżenia były dla mnie bardzo ważne przy interpretowaniu szybkich procesów w tranzystorze, i w późniejszych czasach bardzo istotnie zaważyły przy opracowywaniu moich własnych modeli elementów półprzewodnikowych, tranzystorów i zwłaszcza diody ładunkowej. Posługując się „na co dzień” w dydaktyce MEM, zauważyłem, że znacznie szerzej i głębiej interpretował pracę impulsową tranzystora Nanavati [4, 5, 6] uwzględniając np. możliwość wyłączania przy skokowej zmianie polaryzacji złącza emitera, co było ważne dla moich zainteresowań układami bardzo szybkimi. Dla moich przyszłych prac bardzo inspirujące było również zapoznanie się z publikacjami Lindamayera i Wrigley’a [7, 8, 9], w których uwzględniano na równych prawach zarówno nośniki mniejszościowe, jak i większościowe. Dostrzegłem też wartość nowej idei interpretacji tranzystora - jako urządzenia sterowanego ładunkiem - zapoczątkowali ją Beaufoy i Sparkes [11]. Wpływ tej idei zaznaczył się bardzo wyraźnie w dalszych modelach tranzystora bipolarnego, np. we wspomnianym wyżej modelu Gummela-Poona, i innych.

W tym okresie (lata 1961-1970) pochłonęły mnie jednak całkowicie dwie inne ważne sprawy. Pierwsza, to opracowanie możliwie kompletnie podstawowego (jak na owe czasy) zbioru układów impulsowych w ujęciu już wyłącznie półprzewodnikowym. Książka ta „Półprzewodnikowe układy impulsowe” ukazała się nakładem WNT w 1971 r. W toku opracowywania tej pozycji uznałem za właściwe poprzedzenie jej opracowaniem książkowym wiedzy o elementach półprzewodnikowych używanych w układach impulsowych, ze szczególnym uwzględnieniem właściwości elementów specjalnych. Dlatego książka „Półprzewodnikowe elementy układów impulsowych” ukazała się wcześniej, już w 1969r. Druga sprawa okazała się znacznie bardziej fascynująca, i ukierunkowała na lata moje zainteresowania zarówno ku bardzo szybkim elementom i układom impulsowym, jak i sposobom obserwacji i pomiarów szybkich przebiegów metodą próbkowania. Ta dziedzina nazywana w skrócie (wtedy) oscylografią stroboskopową, zaowocowała najpierw konkretnymi konstrukcjami inżynierskimi, a wkrótce również interesującymi analizami układów impulsowych zakresu nano i sub-nanosekundowego.

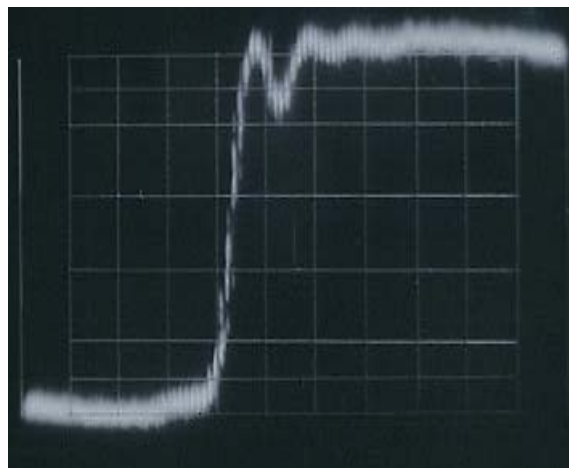


Monografie prezentujące dorobek w dziedzinie elektronicznych układów półprzewodnikowych, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki układów impulsowych i rozwoju techniki szybkiej oscylografii próbkującej, oraz opracowanie prezentujące historię rozwoju prac naukowych w Zakładzie Układów i Systemów Elektronicznych w latach 1946-2000.

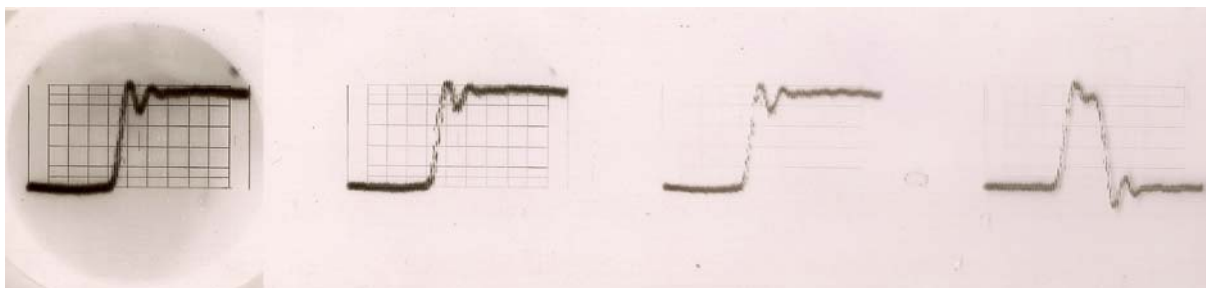
Wszystko zaczęło się w 1959 roku od przywiezienia przez profesora W. Goldego z Londynu informacji [12] o skonstruowaniu oscyloskopu próbkującego o paśmie zastępczym 300 MHz, na bazie układu z tranzystorem lawinowym generującego wąskie impulsy [13].

Informacja ta była dla mnie ekscytująca, stała się bardzo silnym bodźcem. Postanowiłem – mając już wtedy pojęcie o właściwościach tranzystora lawinowego - podjąć próbę

zbudowania oscylografu o podobnych parametrach, z jedynie dostępnych wtedy krajowych elementów półprzewodnikowych. Wyteżona roczna praca opłaciła się – w 1961 roku przedstawiłem w pełni opracowany synchroskop stroboskopowy (ZPT 198), wprowadzie tylko o paśmie 200 MHz. Ale ta wstępnie osiągnięta graniczna częstotliwość i tak była dwukrotnie większa od dotychczas osiągniętej u nas w oscylografie o tradycyjnej konstrukcji (ZPT 113). Za tę pracę z wykorzystaniem tranzystora lawinowego otrzymałem nagrodę Polskiego Towarzystwa Elektrotechniki Teoretycznej i Stosowanej (1962), ale większe zadowolenie sprawiło mi uzyskanie – nareszcie i własnymi siłami – narzędzia umożliwiającego obserwację szybkich przebiegów impulsowych. Zadowolenie potęgowała świadomość, że opracowana konstrukcja synchroskopu jest tania, lekka i łatwa w użyciu. Niezwłocznie też przystąpiłem do jej doskonalenia, pasmo 300 MHz osiągnąłem w 1963 roku (ZPT 235), a w 1968 roku został opracowany dwukanałowy synchroskop (ZPT 270) o imponującym paśmie 1 GHz. W tym czasie w pracach nad synchroskopami towarzyszyła mi już spora grupa współpracowników, nazwana wkrótce Zespołem Impulsowym i Cyfrowym. Należeli do niego (wymieniając tylko najważniejszych, w kolejności przyłączania się): Andrzej Rusek, Michał Ramotowski, Stefan Misiaszek, Wojciech Nowakowski, Michał Rzewuski, Tomasz Barczyk. Opracowywane zagadnienia były liczne – obejmowały generację wąskich impulsów próbkujących, optymalizację pobierania i zapamiętywania próbek, złożone układy podstawy czasu umożliwiające kolejno-czasowe pobieranie próbek, oraz prawidłową synchronizację w pełnym zakresie pasma częstotliwości (przy minimalizacji zakłóceń i zjawiska jitteru). W tym okresie przygotowałem i obroniłem rozprawę doktorską pt.: Analiza właściwości tranzystora lawinowego w zastosowaniu do generacyjnych układów impulsowych (1965, promotor prof. W Golde). Wraz z Zespołem opracowałem (na podstawie własnych naszych osiągnięć i dostępnej literatury światowej) monografię pt.: Synchroskopy stroboskopowe szerokopasmowe (ukazała się nakładem WNT w 1972 r.).



ROK 1960. NARODZINY ZESPOŁU IMPULSOWEGO I OSCYLOSKOPU STROBOSKOPOWEGO ZPT 198  
Od lewej: Janusz Chamski, Jerzy Baranowski, Andrzej Rusek (bardzo młody).



Uzyskujemy, już na początku, możliwość obserwacji szybkich impulsów, o czasie narastania czoła poniżej 1/3 nanosekundy.





Zespół rozrasta się, bierze udział w Konferencjach naukowych, poszukuje nowych rozwiązań, zyskuje Przyjaciół...



... nie obywa się jednak bez stresów przed wystąpieniami konferencyjnymi, trzeba je łagodzić przekomarzaniem się, a i ...

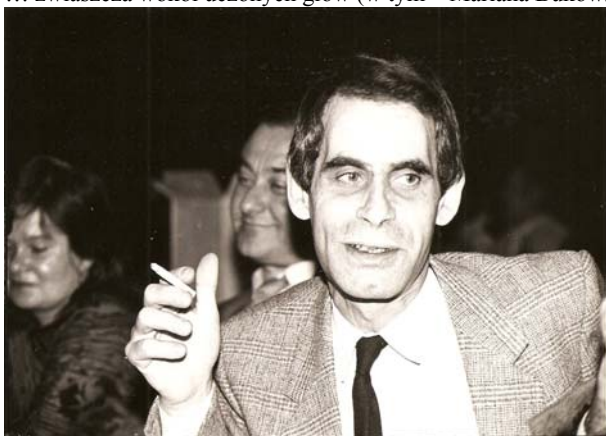


... pokazywaniem, do czego doszliśmy w Elektronice, zaczynając od detektora sygnałów radiowych z kryształem galeny. W tej konstrukcji detektora galenowego, który trzymam w ręku, kryształ galeny jest umocowany wewnątrz szklanej rurki. Jest widoczna zewnętrzna ręczka manipulatora do poruszania wewnętrzną delikatną spiralną sprężynką z cienkiego drucika, zakończoną ostrzem do wyszukiwania czułych punktów na powierzchni galeny. Detektor trzymam w ręku za jeden z dwóch wtyków wystających z podstawy bakelitowej konstrukcji detektora. Ten egzemplarz detektora podarował mi przed wielu laty Robert Pietrkiewicz, zapewne zubożając rodzinne radio słuchawkowe DETEFON. No i w takiej nader przyjaznej twórczej atmosferze toczyliśmy nieustannie rozmowy nad przyszłością Elektroniki w Kraju, nie zaniebując żadnych środków sprzyjających aktywnemu myśleniu. Nie unikamy nawet tych wysokowych, jak widać, wprowadzających w doskonały humor zarówno Prof. Smolińskiego, jak i nas (doc. Filipkowski i autor) towarzyszących Mu. Mimo wyraźnego deficytu środków pobudzających, polemiczne rozmowy rozszerzają się, grona rozmówców skupiają się ...





... zwłaszcza wokół uczonych głów (w tym – Mariana Bukowskiego i jednej białogłowy, Marty-Magdaleny Szeżyńskiej).



Jednoczymy się przy świątecznym spotkaniu, Michał z mapą w ręku snuje plany wypraw – może Morze Śródziemne?



Tymczasem kontynuujemy tradycję „Kurso-konferencji” na Mazurach, zaokrętownujemy się na pocziwy *Hutnik*.



Lubimy i przystań, i Gospodę „Pod trzema dębami” w Wilkasach, a stareńki Hutnik, flagowy jacht AZS, też nam sprzyja. Pozwala zmieniać halsy w zwykły dla siebie, nieśpieszny sposób, to jest – przez odkręcanie śrub mocujących baksztagi – kombinerkami. Godnie znosi też prowokacyjną goliznę odnoży Wojtki Nowakowskiego. Na lewym zdjęciu odnajduję siebie, stoję na kei i podaję futerał z wędkami Wojtkowi. Na prawym zdjęciu Michał z Wojtkiem, przy łuku przednim.

Co się robi na Hutniku w czasie Kurso-konferencji? Ano, zwyczajowo nic się nie robi, poza jedną osobą. Tomek Lis demonstruje tors godny Fidasza, Wojtek z napięciem brzucha wypatruje lądu, Michał pilnuje Wojtka, by mu nie utopił lornetki. Tylko jedna osoba pracuje, steruje nawą. A gdzie admirał? Admirał Stefan śpi w kajucie, to mu się prawnie należy. A dalej, co widać? To samo. Wojtek z tym wypiętym brzuchem pilnuje, czy Tomek nie oszukuje przy reglamentacji śniadania. Akcja przebiega na tle namiotu Mazur, mam go do dziś.



Na piątym zdjęciu ja, jedynie odpowiedzialny za błogostan Kurso-konferencji, smażę na dużej patelki szczupaki. Jest, jak pamiętam, niedziela, jesteśmy nad Tyrkłem. Musiałem wstać rano, by te szczupaki w Tyrkle złowić, na spinning – byłem w tym dobry, pływałem na wojskowym pontonie zakupionym z demobilu, a szczupaki łowiłem przy domku mistrza Kuleja.

A na prawo – to jeszcze inna bajka żeglarska, z innych, znacznie późniejszych lat. Na Nidzkim, na Focie *Malec*, VC 233.

Forsujemy z Basią początkowy zakręt przewężenia na właściwe Jezioro Nidzkie, znajdujemy się akurat naprzeciwko leśniczówki Pranie. Pora późnego popołudniowa, właściwie już przedwieczorna. Spokojny półwiatr, jak widać, Basia steruje. Fotografuje zapewne Agnieszka z Martka.



Kolejne konstrukcje synchronoskopów próbujących były ciągle doskonalone, prace nad nimi były źródłem wielkiej radości dla Zespołu. Dużym osiągnięciem było wprowadzenie systemu śledzącego, polegającego na pobieraniu nie całej próbki sygnału badanego, lecz jej przyrostu w stosunku do wartości poprzedniej. System śledzący miał wiele zalet. Wśród nich szczególnie okazała się ogromna liniowość skali pionowej (nawet w zakresie kilkudziesięciu „ekranów”), zapewniająca np. możliwość oglądania w znacznym powiększeniu samych tylko oscylacji na grzbietach badanych impulsów – tej możliwości z reguły nie zapewniają oscylografy konwencjonalne.



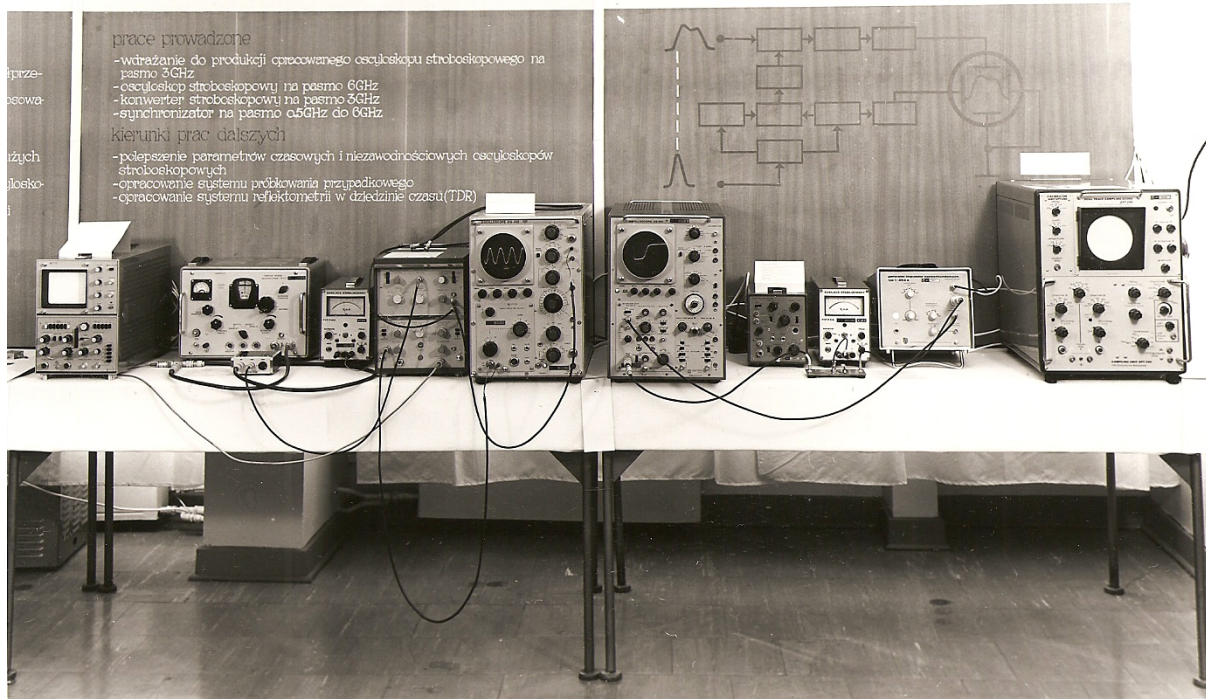
Konstrukcja ZPT 270 była doceniona, w kolejnych rozwinięciach była dostarczana na zamówienie różnych Instytutów Badawczych - w Kraju poprzez Biuro Urzędzeń Techniki Jądrowej (BUTJ), a dla Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej poprzez Metronex. Stała się podstawą nawiązania w 1970 roku współpracy z Zakładami Radiowymi Kasprzaka, ściślej, z samodzielnym Zakładem Doświadczalnym przy ZRK, w którym był zespół opracowujący oscyloskopy pod kierunkiem mgr Jerzego Bujakowskiego. To była bardzo dobra współpraca, nareszcie otrzymywaliśmy dobrej jakości trudno dostępne półprzewodnikowe elementy zachodnie i korzystaliśmy z unikalnej aparatury pomiarowej, jakiej nie mieliśmy w Politechnice. Wspólnie opracowaliśmy i wprowadziliśmy do produkcji kilka systemów oscyloskopów próbkujących, dochodząc do pasma 3 GHz. Rozpoczęliśmy opracowanie systemu 6 GHz, pracami sterowali bezpośrednio M. Ramotowski i S. Misiaszek.

Nasze pionierskie opracowania w dziedzinie szerokopasmowych oscylografów stroboskopowych były przedstawiane na kilku wystawach, wraz z innymi urządzeniami elektronicznymi służącymi do generacji i obserwacji przebiegów impulsowych zakresu nano i sub-nanosekundowego, a również przeznaczonymi do nowoczesnych laboratoriów dydaktycznych i przemysłowych. Największą taką wystawę urządzono w marcu 1972 r., pod hasłem Politechnika Warszawska Gospodarcie Narodowej. Nijżej na zdjęciach Profesor Stanisław Sławiński dokonuje otwarcia Wystawy, w głębi jest widoczny Profesor Jerzy Osowski, wraz z Michałem Rzewuskim towarzyszymy tej ceremonii. Na zdjęciu obok Wojciech Nowakowski towarzyszy Rektorowi Profesorowi Zbigniewowi Osińskiemu przy stoiskach z urządzeniami Elektronicznymi przeznaczonymi do Laboratoriów Dydaktycznych.



oscyloskopy stroboskopowe szerokopasmowe cz.2

oscyloskopy stroboskopowe szerokopasmowe cz.1





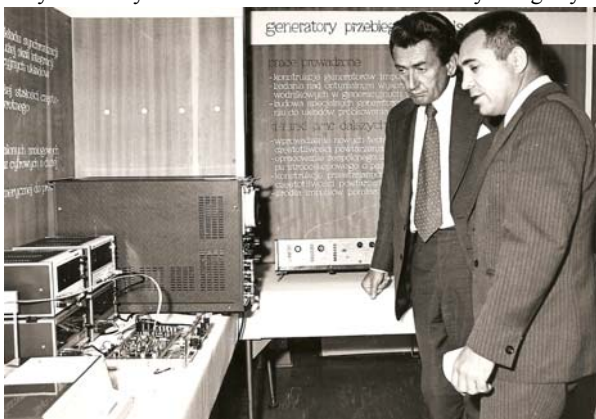
Nasze stoisko z synchroskopami próbkującymi i generatorami impulsowymi prezentowało się okazale, ponadto, bardzo kompetentnie było objaśniane przez Andrzeja Ruska, i przez Janę Ceremugę, która umiejętnie wystąpiła też w dyskusji merytorycznej, pełniąc równocześnie samorządnie i równie efektywnie rolę hostessy.



Na zdjęciach niżej zwracają uwagę sylwetki Prof. Andrzeja Jeleńskiego, oraz Prof. Stanisława Bellerta (już nie żyje).



Wystawa Wydziału Elektroniki PW w całości była sugestywną propozycją współpracy z Przemysłem i Uczelniami.



Wzniciła zainteresowanie nowatorskimi pomiarami. Niżej - Ryszard Jachowicz demonstruje metodę pomiaru wilgotności.

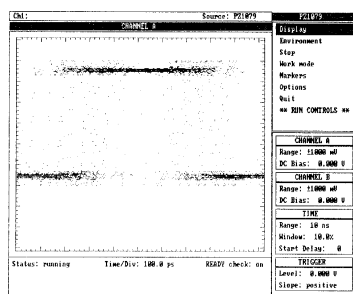


Wystawa zorganizowana przez Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej była wezwaniem do modernizacji naszej gospodarki, do wdrożenia nowych metod – była apelem o dołączenie Polski do krajów czołówki światowej. W początku lat 70tych ubiegłego wieku były takie możliwości. Skostniały system ekonomiczny i polityczny to unicestwił. Nastąpiła wkrótce stagnacja i masowa ucieczka wykształconych umysłów.

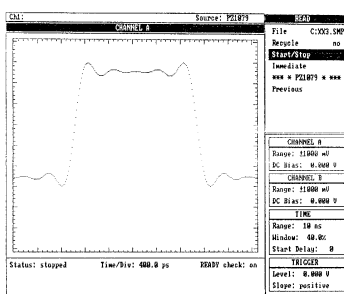
Jednak w 1972 r. informacja o naszej Wystawie jako ważnym wydarzeniu przedostała się nawet do najwyższych władz Państwowych, bo w marcu tego roku zwiedziła ją elita władz partyjnych, z I Sekretarzem PZPR Edwardem Gierkiem na czele. Stoiska i poszczególne urządzenia w czasie tej wizyty były demonstrowane i objaśniane w wąskim gronie – niestety, nie mam fotografii z tych odwiedzin. Ale długo po Wystawie żartobliwie był komentowany fakt niespodziewanego wystąpienia Edwarda Gierka, o kilka kroków przed grupę towarzyszących oficjeli, i uściśnięcia mi ręki.

Prace nasze w dziedzinie szerokopasmowych oscylografów stroboskopowych próbkujących, pomimo osiągnięcia poziomu działającego prototypu, zostały niestety zahamowane już w 1976 roku wskutek odgórnie zarządzanej fali transformacji ekonomicznych i głębokiej reorganizacji w Zakładach Kasprzaka. W rezultacie nasze ostatnie konstrukcje nie zostały już wprowadzone do produkcji przemysłowej, a unikalna aparatura pomiarowa uległa rozproszaniu. To było gorzkie doświadczenie – że życie i rozwój mogą rozmijać się z sensem, że nie wszystko się udaje.

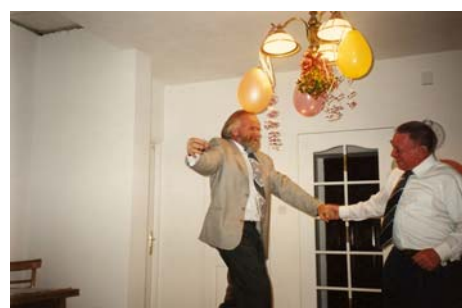
W Politechnice prace badawcze nad systemami próbkującymi mimo wszystko prowadziliśmy nadal. Nie mogąc jednak już kontynuować wyścigu w kierunku zwiększania pasma (pozbawieni możliwości dostaw wyspecjalizowanych elementów), rozwijaliśmy kolejne systemy synchroskopów próbkujących w kierunku przekształcenia ich w systemy zbierania próbek i przetwarzania zarejestrowanych ich zbiorów na drodze cyfrowej, przy wykorzystaniu komputerów typu PC. Tymi trudnymi pracami aż do późnych lat 90 tych kierował z dużym zaangażowaniem dr S. Misiaszek, przy wydatnym uczestnictwie członków Zespołu, zwłaszcza nowo przyjętych (Krzysztof Zięcina, Maciej Radtke, Krzysztof Bielowski, Aleksander Burd). Nie uczestniczyłem w tych pracach bezpośrednio, ale śledziłem postępy. Mogę sobie przypisać zasługę namówienia dr Tomasza Adamskiego (wtedy już członka Zespołu) do udostępnienia i zastosowania w końcowej wersji cyfrowego synchroskopu próbkującego (PZ1079) oryginalnych jego algorytmów korekcji rozmycia sygnału (tzw. jitteru).



Impuls z dużym jitterem



widok impulsu po korekcji jitteru



Po pracy – obowiązkowe uciechy, tańczymy...  
.... tymczasem tylko ja ze Stefanem, ale też ...



...uczestniczymy w ślubie Marii i Roberta Pietrkiewiczów, zażywamy yachtingu – bywamy na łodach w YACHT Clubie. Utrwalamy nasze przyjaźnie, nawiązujemy nowe – na różnych szczeblach hierarchii uczelnianej.





Dr T. Adamski i Dr R. Pietrkiewicz



Profesor Jacek Kudrewicz



Z Prof. J. Osiowskim u JM Rektora



Spotykamy się na gruncie towarzyskim, ze szczególnym upodobaniem u Agnieszki i Stefana Misiaszków w Raju



Pod namiotem i wokół, samo życie Prof. J. Osiowski i Ela Fistek, opoka zaufania Hania Popławska i Prof. J. Dobrowolski

Efektywność metod korekcyjnych zademonstrowana przez zamieszczenie oscylogramów z PZ1079 w rozprawie habilitacyjnej dr T. Adamskiego (1994) była ważkim argumentem przy obronie tej rozprawy, poświęconej zjawiskom losowym w Elektronice.

Zasługą dr S. Misiaszka jest wprowadzenie do dydaktyki zagadnień obserwacji i pomiarów szybkich przebiegów, oraz problemów realizacji związanej z tą tematyką aparatury. Jego wykłady z tej dziedziny, oraz opracowane starannie materiały pomocnicze, cieszyły się niezmiennie dużym powodzeniem. S. Misiaszek przedstawił (1974) zupełnie nową koncepcję układu próbkującego zintegrowanego w płaskim układzie z układem kształtującym impulsy próbkujące, obecnie powszechnie stosowaną na całym świecie.

Już w połowie lat 60tych stało się oczywiste, że opracowane przeze mnie i doskonalone wspólnie z Andrzejem Ruskiem układy są jednak niedostatecznie szybkie i nie zapewniają perspektywy realizacji synchroskopów próbkujących o pasmach wykraczających poza 1GHz – do czego dążyliśmy. Dotychczasowe konstrukcje próbkujące w zakresie generacji wąskich impulsów były oparte o tranzystor lawinowy, którego najlepsze egzemplarze pozyskiwaliśmy drogą selekcji zwykłych tanich tranzystorów warstwowych o częstotliwości granicznej 20 MHz. Fascynujące właściwości tranzystora lawinowego są związane z powielaniem nośników mniejszościowych w złączu kolektorowym przy dużym napięciach zaporowych. Wskutek zderzeń jonizujących są wtedy generowane – lawinowo - pary dziura-elektron, co objawia się zwiększeniem dynamicznym wzmocnienia prądowego, oraz ogromnym zwiększeniem

szybkości przełączania tranzystora, np. o dwa rzędy wielkości. Wskutek powielania są bowiem wstrzykiwane od strony kolektora do bazy nośniki większościowe, które przyciągają do bazy od strony emitera równoważny ładunek nośników mniejszościowych, koniecznych dla neutralizacji obszaru bazy. Zewnętrznie powielanie lawinowe objawia się więc silnym dodatnim sprzężeniem zwrotnym.

Nie rezygnując ze stosowania tranzystorów lawinowych, postanowiliśmy wprowadzić nowy element – diodę ładunkową (Charge Diode), oznaczaną później skrótem SRD (Step Recovery Diode). Ten nowy element zaistniał w literaturze światowej w początku lat 60tych, i od razu [14, 15, 16] został zastosowany w układach mikrofalowych powielaczy częstotliwości, oraz do kształtowania szybkich zboczy impulsów. Rozumienie SRD nastroczało trudności, bo będąc w zasadzie zwykłą diodą, przy wyłączaniu objawiała niezwykle właściwości – jej wyłączanie zachodziło z dużym opóźnieniem, ale gdy proces zanikania prądu już się rozpoczynał, zachodził z niezwykle szybkością. Właściwości SRD nie można więc było scharakteryzować jedną stałą czasową, jak to było przyjęte przy diodach konwencjonalnych, gdyż zachowywała się jak przełącznik szybki, ale działający z dużym opóźnieniem. Bardzo dobrze nadawała się do kształtowania szybkich zboczy impulsów, z których następnie uzyskiwało się metodą różniczkowania wąskie impulsy.

Tak się stało, że wykryliśmy właściwości SRD w tanich diodach prostowniczych pochodzenia zachodniego. Były to diody tzw. I typu, zjawisko gromadzenia dużego ładunku, jakim tłumaczyło się duże wstępne opóźnienie przy ich wyłączaniu, było zjawiskiem ubocznym. Wynikało z występowania pola hamującego w bazach tych diod, co z kolei wynikało z zastosowanej metody technologicznej.

W niedalekiej przyszłości otrzymywaliśmy diody ładunkowe dobrej jakości poprzez Zakłady Kasprzaka, a później prof. Jerzy Klamka zapoczątkował wytwarzanie diod SRD w pionie mikrofalowym NPCP CEMI. Były to diody II typu, ich właściwości były związane z wykonywaniem tzw. tylnego styku jako złącza l-h. Były znakomite, ale i kosztowne.

W latach 60tych zajmowałem się, jak wspomniałem, opracowywaniem książek z dziedziny techniki impulsowej i interpretacją właściwości szybkich elementów specjalnych, co w prostej linii prowadziło do ich modelowania na użytek zarysowujących się – ale jeszcze bardzo nikłych – możliwości analizy komputerowej. Nietrudno mi było wciągnąć do tych zagadnień ściśle współpracującego ze mną Andrzeja Ruska, który bardzo efektywnie zajął się opisem właściwości i zastosowaniem diod ładunkowych, i w rezultacie w 1972 r. obronił rozprawę doktorską na ten temat (pod tytułem „Analiza procesu przełączania diody ładunkowej w zastosowaniu do kształtowania impulsów”), promotorem był prof. W. Golde).

W tym samym 1972 roku zostałem awansowany na stanowisko docenta, uprawniające do prowadzenia przewodów doktorskich, chociaż nie miałem habilitacji. Natomiast w 1975 roku powierzono mi – dość niespodziewanie - kierownictwo Zakładu Układów Elektronicznych, co oznaczało dla mnie znaczny przyrost pracy. Zakład był duży, roczne obciążenie dydaktyczne sięgało i często przekraczało 10 000 godzin. W 1993 roku Zakład został moim staraniem przemianowany na Zakład Układów i Systemów Elektronicznych (ZUiSE).

Zakończone pod moim kierunkiem w latach 1974-1998 przewody doktorskie są wymienione w publikacji [1], będącej w istocie historią ZUiSE w latach 1946-2000. Z pośród tych prac szczególnie są dla mnie bliskie doktoraty: Janiny Ceremugi-Mazierskiej - o analizie procesów przejściowych w diodach ładunkowych (1979), Stefana Misiaszka – o analizie układu próbkującego koplarnego (1979), Roberta Pietrkiewicza – o modelowaniu tranzystora MOS z uwzględnieniem procesów występujących w kanale (1982). Te prace (a również wcześniejsza rozprawa Andrzeja Ruska) - dotyczyły najbardziej mnie interesujących zagadnień – opisu i modelowania właściwości elementów półprzewodnikowych przy uwzględnieniu szybkich procesów przejściowych. W 1976 roku wydałem w WNT dużą książkę (828 stron) pt. Półprzewodnikowe układy impulsowe i cyfrowe. Zawierała ona

unowocześnione i rozszerzone ujęcie tematyki układów impulsowych, ze szczególnym uwzględnieniem szybkich układów z elementami specjalnymi, był również rozdział poświęcony układom cyfrowym scalonym. Ta monografia, nie mająca odpowiednika w literaturze krajowej, zyskała uznanie, otrzymałem za nią nagrodę Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki (1977). Wydawnictwo też doceniło książkę, bo wydało ją w ładnej płóciennnej oprawie – jako jedyną w serii „Układy tranzystorowe”.

Wydanie tej monografii wiąże się jednak – paradoksalnie – z najtrudniejszym okresem w moim życiu zawodowym. Na Wydziale Elektroniki powstała koncepcja uznania jej za rozprawę habilitacyjną, bez potrzeby pisania oddzielnej pracy, jak to było stosowane dotychczas. Ale coś z tego – mimo przyjęcia przez Radę Wydziału olbrzymią większością głosów mojej monografii jako rozprawy habilitacyjnej, uchwały tej nie zaakceptowała Centralna Komisja Kwalifikacyjna. Od decyzji CKK nie można było się odwoływać ani instytucjonalnie, ani personalnie, recenzent był utajniony i sama recenzja była tajna. Później dowiedziałem się, kto był recenzentem CKK i poznałem jego recenzję, nonszalancką w tonie i nieprzekonywującą w argumentacji. A profesor Adam Smoliński tłumaczył mi, że w CKK wcale nie chodziło o mnie i moją monografię, że po prostu starły się dwie różne koncepcje i zwyciężyła konserwatywna koncepcja habilitowania przez pisanie oddzielnej rozprawy. Jak było naprawdę, nie wiedziałem, przypuszczam, że były i inne powody.

W tym czasie, będąc zajęty nowymi programami dydaktycznymi i wprowadzaniem techniki obliczeń komputerowych, nie mogłem przedstawić zaraz nowej rozprawy habilitacyjnej. Sam się też w technice komputerowej ćwiczyłem, na początku przy użyciu „maszyn” typu Commodore 64 C i Amstrad. Początki były trudne, np. przy Commodore wykorzystywałem taśmowy magnetofon jako pamięć, co graniczyło z ekwilibrystyką. Niewiele lepiej było przy Amstradzie, który miał małą pamięć, o pojemności zaledwie 36 kB.

Możliwości przeprowadzania analiz komputerowych jednak szybko się zwiększały, zarówno pod względem dostępu do parku maszynowego, jak i osiągalności programów komputerowych. Pojawiły się kolejno maszyny HP9845, krajowej produkcji MERA300 i mikrokomputer IBM PC, na których uruchomił swoje oryginalne programy OPTAN i MiniOPTAN dr Tomasz Kaźmierski. We wdzięcznej pamięci zachowuję program STRESS opracowany przez dr T.Kaźmierskiego specjalnie dla mnie, do użytku na maszynach o bardzo małej pamięci. STRESS (nazwa miała odzwierciedlać stres szefa...) umożliwiał bardzo skutecznie iteracyjną analizę w dziedzinie czasu układów o silnej nieliniowości. Wstępnie należało jednak mocno popracować, by wyznaczyć i ręcznie wpisać zespół funkcji określających lokalną linearyzację układu.

Dr Jan Ogrodzki opracowywał i stopniowo uruchamiał duży program OPTIMA do symulacji układów elektronicznych [25,26]. Ale prawdziwy przełom nastąpił po zainstalowaniu w Politechnice terminalu do maszyny CDC 7600 uruchomionej w IBJ w Świerku. Na tej maszynie staraniem Michała Ramotowskiego i współpracującego z nim Andrzeja Zakrzewskiego został uruchomiony i udostępniony do szerokiego użytku duży program NAP2, autorstwa Thomasa Rubner-Petersena z Politechniki Duńskiej [27]. Poprzednio M.Ramotowski poczynił bardzo czasochłonne, ale w końcu skuteczne próby uruchomienia programu NAP2 w innych ośrodkach, i na innych maszynach. NAP2 był rozpowszechniany bez opłat za zgodą jego twórcy T.Rubnera-Petersena. Pierwszą, źródłową kopię programu otrzymaną od czeskich przyjaciół przywiozłem osobiście z Pragi. Z czasem Michał Ramotowski i Marian Bukowski wprowadzili NAP2 na komputery klasy PC, co było znacznym, kluczowym ułatwieniem dla użytkowników, gdyż zanikła potrzeba stosowania dziurkowanych kart wsadowych. Ponadto, M.Ramotowski opracował pakiet graficzny umożliwiający wyświetlanie wyników obliczeń w postaci wykresów na monitorze, i wydał - najpierw tłumaczenie manualu do NAP2, później zaś własny podręcznik użytkownika [28] (z licznymi i dobrze opracowanymi przykładami analiz). Podobnie, gdy pojawił się popularny



program PSPICE - przystosowany od razu do komputerów PC, M.Bukowski przystosował również jego postprocesor graficzny PROBE do współpracy z programem NAP2.

Ćwiczenia komputerowe wiązałem zarówno z dziedziną „zwykłych” układów elektronicznych - wszak byłem wykładowcą przedmiotów o nazwach „Układy elektroniczne” i „Układy scalone”, jak i z dziedziną układów szybkich. Prowadziłem przedmiot „Modelowanie elementów półprzewodnikowych”, i szczególną uwagę zwracałem na właściwości i niedostatki istniejących modeli elementów półprzewodnikowych.



MEP środa 9.12<sup>15</sup>

	21.02.1996	28.02.96	06.03	20.03.96	27.03	24.03	31.03	29
Agnieszka CERNIGER	+	+	+	+	+	+	+	
Tomasz WĄJER (kurz)	+	+	+	+	+	+	+	
Mikołaj SPRZĘCZAK	+	+	+	+	+	+	+	
Krzysztof STĄPOREK	+	+	+	+	+	+	+	
Tomasz CHRUSCIEL		+	+	+	+	+	+	
Jacek Sękowski		+	+	+	+	+	+	
Grzegorz NIEDZIŃSKI		+	+	+	+	+	+	
Artur Witam		+	+	+	+	+	+	
Artur Szorjok			+	+	+	+	+	

Pełny zespół zapisany na przedmiot MEP stawiał się na wykładzie 6 czerwca 1996 roku na zrobienie zdjęcia, dlatego razem z Hanią Popławską i Wykładowcą (który zdjęcie wykonał przy zastosowaniu samowyzwalacza) jest nas 11 osób.

Wśród elementów specjalnych najgorzej była modelowana dioda ładunkowa (SRD), zwana często diodą p-i-n. „Najgorzej modelowana” nie oznacza, że nie była modelowana. Przeciwnie, w ciągu ponad dwóch dekad poczynając od wczesnych lat 60-tych pojawiło się wyjątkowo dużo modeli tej diody, o bardzo zróżnicowanych strukturach. Wyglądało na to, że twórcy tych modeli są jakby zagubieni w rozumieniu procesów zachodzących w diodzie ładunkowej przy wyłączaniu. Co było dziwne, bo dość wcześnie pojawiły się fundamentalnej wartości komputerowe analizy procesów zachodzących w diodach ze złączem pn, ze szczególnym uwzględnieniem diody ładunkowej [29, 30]. Wydaje się, że twórcy modeli byli jakby „zauroczeni” pewnymi interpretacjami właściwości tych diod, zwłaszcza sugestijną pracą Varshneya-Raulstone’a [31]. Wzorując się na tej pracy, twórcy modeli najczęściej po prostu wbudowywali do modeli zaprogramowane źródło prądowe dla opisu najbardziej ważnej szybkiej fazy zaniku prądu, której nie mogli zinterpretować – przykładem jest praca Tielerta-Boscha [32]. Były też dodawane różne dziwne elementy, opisywane heurystycznie.

A przecież zrozumienie procesów przejściowych zachodzących przy wyłączaniu diody ładunkowej w świetle pracy [30] było dość proste. Przynajmniej dla mnie. Baza diody opróżniała się z ładunków niczym wysoki słój, długi czas opróżniania zależał zarówno od rekombinacji, jak i natężenia wyłączającego prądu. W końcowej zaś fazie reszta ładunku szybko rozsypywała się na obie strony, na podobieństwo spływania po dwuspadzistym dachu. Istotny był czas przelotu. W tym czasie rozkłady nośników ładunku były w przybliżeniu trójkątne, a neutralny obszar bazy zajmowany przez nie ciągle zmniejszał się wskutek obustronnego wnikania pola elektrycznego, co było rezultatem rozszerzania barier złącza pn i złącza lh. Problemem było modelowanie owego „dwuspadzistego” (czyli dwugradientowego) zaniku rozkładu ładunków, bo dotychczasowa dydaktyka nie przyzwyczaiła nas do rozumienia takich procesów. Szereg lat straciłem na poszukiwaniu metody, ale nie mogłem jej znaleźć, bo nie mogłem wyjść z utartych kolein rozumowania. Rozwiązanie przyszło pewnej dusznej czerwcowej nocy, gdy nie mogłem zasnąć i rygory rozumowania rozluźniły się. Doznałem „olśnienia”, w jednej chwili pojąłem, jak stworzyć model, i zasnąłem spokojnie. Rankiem po prostu usiadłem i naszkicowałem schematy modeli SRD oparte na wizji zastosowania sekcji ładunkowych, przy uwzględnieniu zwykłych funkcji opisujących modulację długości neutralnej części bazy, czyli modulację czasu przelotu. Modele diod

ładunkowych przedstawiłem już w 1981 r., w publikacjach [20,21,22], w pełnym ujęciu teoretycznym, z przykładami zastosowań do obliczeń komputerowych

W 1985 roku uzyskałem stopień doktora habilitowanego (inne stopnie przyszedł później) przedkładając Radzie Wydziału Elektroniki rozprawę pt.: Sekcyjne modele ładunkowe diod i tranzystorów bipolarnych [38]. Została przyjęta jednogłośnie. A w 1998 roku Katarzyna Opalska obroniła rozprawę doktorską, wykazując na podstawie pomiarów diod rzeczywistych i przy zastosowaniu opracowanej przez siebie metody dekompozycji [40] do identyfikacji parametrów, że model dobrze odzwierciedla rzeczywiste diody ładunkowe. Przy okazji – żeby był jeszcze lepszy - wniosła potrzebne jej zdaniem modyfikacje, i zapisała model w rozpowszechniającym się języku PSPICE.

Zajmowałem się nie tylko układami szybkimi, lecz układami elektronicznymi w ogóle, a prowadzony przeze mnie przedmiot „Układy elektroniczne” z czasem przyjął bardziej wyrazistą nazwę „Układy scalone”. Zorganizowałem zespół autorski do opracowania podręcznika akademickiego z zakresu układów elektronicznych. Pod moim kierunkiem został najpierw opracowany trzypięciowy podręcznik pod ogólnym tytułem „Układy elektroniczne”, wzbogacony nieco później o dwa dodatkowe tomy zawierające rozszerzone przykłady analiz komputerowych, w tym przykłady zastosowania różnego rodzaju modeli elementów, oraz makromodeli, (w tym zwłaszcza makromodeli złożonych układów scalonych opracowane przez M.Ramotowskiego). Ze swoich modeli zamieściłem tylko model diody tunelowej i model diody ładunkowej. Modelu tranzystora bipolarnego z ujęciem zjawisk towarzyszących powielaniu lawinowemu nie zamieściłem, mając do niego stosunek sceptyczny, i nie chcąc ponad potrzebę zmieniać charakteru podręcznika. Podobnie – nie zamieściłem opracowanych przeze mnie modeli elementów magnetycznych z histerezą (jednak w dobrej pamięci zachowuję konsultacje i rady udzielane mi przez. Mariana Bukowskiego i Michała Ramotowskiego, znawców zawiłych problemów użytkowania programu NAP2).



Przy dobieraniu współautorów podręcznika kierowałem się przede wszystkim ich zaawansowaniem w tej tematyce, do opracowania której w poszczególnych działach podręcznika ich zapraszałem, ale również umiejętnością współpracy w zespole autorskim. Z tym były kłopoty, i czasem jako redaktor całości musiałem zdecydowanie wkraczać i domagać się zmian i uzupełnień w oddzielnych ujęciach, by całość była możliwie jednolita i współbrzmiała z wykładami, i by nie przekraczała uzgodnionej z wydawnictwem objętości.

Wyjątek czyniłem tylko dla Grzegorza Czajkowskiego, który opracowywał rozdział o układach pętli fazowych i rozdział o zasilaczach impulsowych. Posiadał on dużą wiedzę w dziedzinie tych układów, tak dużych, że właściwie można je już było rozważać w kategoriach systemów. Tę wiedzę G.Czajkowski posiadał i twórczo rozwinął w szeregu publikacji w czasie projektowania przez Zespół w latach 1975-78 układów scalonych zamówionych przez ITE CEMI. Opracowano wtedy projekty obejmujące m.in. analizę wrażliwościową i metodykę



pomiarów ostrzowych. Zbudowano też modele projektowanych układów, oraz - co było szczególnie i bardzo ważnym osiągnięciem G.Czajkowskiego – przystawkę umożliwiającą pomiar czasów trwania procesów dynamicznych dochodzenia pętli fazowych do synchronizmu. Zaprojektowane układy UL940, UL1261, UL1262 - przeznaczone do telewizyjnych systemów synchronizacji odchylania poziomego i pionowego, oraz układ UL1540 – kontrolera i sterownika telewizyjnego zasilacza impulsowego (z oryginalnym układem miękkiego startu) – dzięki starannemu opracowaniu projektów zostały wdrożone w CEMI z nieoczekiwanym dużym uzyskiem.

Od roku 1978 G.Czajkowski w ramach Zespołu kierował pracami nad systemem orientacji osi satelity względem gwiazd. System, o nazwie TELEGWIAZDA, był realizowany na zlecenie Centrum Badań Kosmicznych PAN w porozumieniu z AN ZSRR. Realizacja tego zadania wymagała nawiązania współpracy (na zasadzie odpłatności) z wieloma instytucjami, m.in. z Instytutem Lotnictwa, Państwowymi Zakładami Optycznymi, szczególne znaczenie miało uczestnictwo zespołu z Wydziału Mechaniki Precyzyjnej PW pod kierunkiem profesora Romualda Jóźwickiego. Nałożono ostre wymagania, m.in. dużej czułości świetlnej, do 5 wielkości gwiazdnej. Wszystkie wymagania zostały spełnione, osiągnięto też – jak się okazało później - czułość większą, do 6,5 wielkości gwiazdnej. Prace przeciągały się. System TELEGWIAZDA umieszczono na orbicie w przestrzeni kosmicznej na pokładzie satelity dopiero w 1990 roku, w ramach międzynarodowego programu badawczego GAMMA. Jako jeden z nielicznych systemów pokładowych satelity nie zawiódł.

W 1987 roku Grzegorz Czajkowski obronił rozprawę doktorską związaną z realizacją systemu TELEGWIAZDA.



W zaciszu domowym...



Obraz znany jako „Jachcice”



Dr G.Czajkowski z Małżonką - u nas

W 1990 roku został wydzielony odrębny Zespół Aparatury i Systemów Przetwarzania Cyfrowego Sygnałów i dr G.Czajkowski objął jego kierownictwo.

W czasie krótkiego istnienia Zespołu (do 1992 roku) opracował na zlecenie IPPT PAN bardzo ważne urządzenie - komputer przeznaczony do analizy i wizualizacji w czasie rzeczywistym widma sygnałów niestacjonarnych. Był to z pewnością najszybszy wtedy w kraju komputer, umożliwiał realizację wielu funkcji związanych z przetwarzaniem sygnałów. Kolejne egzemplarze zostały wykonane dla Instytutów zajmujących się analizą przepływów wodnych, drganiami osi turbin i hydrolokacją.

Niedługo po tym opracowaniu dr G.Czajkowski wyjechał do Kanady, gdzie wkrótce osiągnął wybitną pozycję jako konstruktor urządzeń elektronicznych o specjalnych przeznaczeniach. Z przekonaniem uważam go za najwybitniejszego inżyniera wśród absolwentów naszego Wydziału, z jakimi miałem do czynienia na przestrzeni lat mojej pracy.

Przykro, że wielu utalentowanych członków mojego Zespołu opuściło Kraj, który stał się dla nich za ciasny. Z nich – dr J.Ceremuga-Mazierska znalazła się w Australii (jest profesorem w Vos University), dr A.Rusek po pobycie w Libii wyjechał do USA (objął stanowisko profesora zwyczajnego w Oakland University, Michigan). Zaś dr T.Każmierski jest profesorem w Anglii, w Southampton University.

W końcu lat 70-tych przedstawiłem Wydawnictwom Naukowo-Technicznym propozycję wznowienia, a raczej przedłużenia idei upowszechniania wiedzy o Układach i Systemach Elektronicznych, przez wydanie serii książek o zaawansowanych układach półprzewodnikowych, na wzór serii Układy Tranzystorowe, która zapoczątkowana w latach 60-tych tak chlubnie zapisała się w historii Elektroniki, przedstawiając jej rozwój na dziedzinie układów półprzewodnikowych. Teraz by chodziło głównie o upowszechnienie dość dużej już wiedzy o układach półprzewodnikowych, nagromadzonej w różnych ośrodkach badawczych przemysłowych i akademickich. WNT zaaprobowała moją propozycję, w rezultacie został powołany Komitet Redakcyjny serii wydawniczej *Układy i Systemy Elektroniczne*. Komitet opracował program – miały być wydawane książki o ograniczonej objętości (do ok. 12 arkuszy wydawniczych), monotematyczne, napisane przez wybitnych specjalistów w danej dziedzinie techniki. Wydawnictwo powierzyło mi kierowanie pracami Komitetu Redakcyjnego.

W efekcie w latach 80-tych WNT wydał w ramach serii **Układy i Systemy Elektroniczne** zbiór ponad 44 książek, bardzo różnorodnych, od naświetlających podstawy analiz teoretycznych i podstawy obliczeń komputerowych – do przeglądu konkretnych rozwiązań układowych i systemowych użytecznych w przemyśle, ze szczególnym uwzględnieniem problemów zastosowania różnorodnych, raczej dotychczas nieznanymi w szkolnictwie zawodowym, układów pomiarowych i specjalnych służących do sterowania dużą mocą. Przedstawiam niektóre z tych książek niżej, niestety, tylko 15 i bez omówienia. Cieszy mnie to, że niektórzy autorzy – nawet spora ich grupa – jest związana z Politechniką Warszawską i jej Wydziałem Elektroniki, a również z moim Zakładem Układów i Systemów Elektronicznych. Inni i sporo ich jest - są z „całego Kraju”.





Ostatnia pozycja nie należy do 44-książkowej serii USE. Przedstawiam ją tu dla tego, że zawarta w niej rozprawa habilitacyjna dr inż. Tomasza Adamskiego (ongiś członka Zespołu Impulsowego, obecnie Profesora) ma wielkie znaczenie dla oscylografii próbkującej, gdyż umożliwia wydobywanie prawidłowych kształtów próbkowanych sygnałów z powodzi zakłóceń i szumów. *Tomku, jestem z Twoich – tak bardzo skutecznych algorytmów – niezwykle dumny.*

Co mogę powiedzieć, po latach, o perspektywie rozwoju Elektroniki w Kraju? Mogę powtórzyć, co napisałem wcześniej. Wobec dużego odpływu osób z różnych ośrodków związanych z Elektroniką jako dziedziną wiedzy – z PAN, z Ośrodków Przemysłowych, z Politechnik - trudno cokolwiek powiedzieć w trybie stanowczego orzeczenia o bliskich perspektywach jej rozwoju w Kraju. Przechodzimy trudny okres związany z sytuacją ekonomiczną. Wydaje się, że niektóre ośrodki są w stadium zaniku, a na razie nie powstały żadne nowe.

W literaturze światowej poświęconej najważniejszym osiągnięciom – mającym jakieś odniesienia do Elektroniki – znalazłem tylko dwa polskie wynalazki: Ignacy Mościcki opracował (ok. 1910 r.) specjalny kondensator wysokonapięciowy („kondensator Mościckiego”); zaś Jan Czochralski w 1916 r. wynalazł metodę hodowania monokryształów przez „wyciąganie”. Metoda Czochralskiego jest powszechnie dziś stosowana do wytwarzania dużych monokryształów krzemu.

No to co – skoro kiedyś pod zaborami można było mieć takie sukcesy, to dlaczego teraz, wolni, nie moglibyśmy się na podobne zdobyć? Na szczęście, w Politechnice Warszawskiej uczymy wciąż na dobrym poziomie (nie tylko moim zdaniem), absolwenci nasi są cenieni – trzeba tylko zdobyć się na wykorzystanie ich potencjału również - w Polsce.

Więc - „nie gaśmy nadziei”, przecież w końcu wszyscy odnajdujemy się na tej samej Planecie – która się wciąż jednak kręci, jak orzekł Galileusz.

**Bibliografia** (wybrane pozycje literatury związanej wyłącznie z modelowaniem procesów szybkiego przełączania, oraz z wykorzystaniem szybkich elementów półprzewodnikowych w układach elektronicznych specjalnego zastosowania)

1. Baranowski J.H.: Rozwój prac naukowych w Zakładzie Układów i Systemów Elektronicznych PW w latach 1946 – 2000. Warszawa, styczeń 2001, nakładem ISE (opracowanie dostępne również w witrynie ISE PW).
2. Ebers J.J., Moll J.L.: Large-signal behavior of junction transistors. PIRE, December 1954
3. Moll J.L.: Large-signal transient response of junction transistors. PIRE, July 1954
4. Nanavati R.P.: Prediction of storage time in transistors. IRE Trans. on ED, January 1960, Vol. ED-7
5. Nanavati R.P.: Correlation between input and output transient times for junction transistors. Proc. NEC, 1960, Vol. 16
6. Nanavati R.P.: An introduction to Semiconductor Electronic. McGraw-Hill, NY, 1963
7. Lindmayer J., Wrigley C.Y.: Alpha-Cutoff frequency of Junction Transistors. Solid-State Electronics, 1961, Vol. 2
8. Lindmayer J., Wrigley C.Y.: Beta-Cutoff frequencies of Junction Transistors. PIRE, February 1962
9. Lindmayer J., Wrigley C.Y.: Fundamentals of Semiconductor Devices. Van Nostrand, 1965
10. Gummel H. K., Poon H.C.: An Integral Charge-Control model of Bipolar Transistors. Bell System T J, 1970, No 5
11. Beaufoy R., Sparkes J.J.: The junction transistors as a charge-controlled devices. ATE Journal, October 1957, Vol. 13, No 4
12. Chaplin G.B.B., Owens A.R., Cole A.J.: A sensitive transistor oscillograph with D.C. to 300 Mc/s response. Proc. IEE, 1959, Vol. 106, Part B, Supplement 16
13. Hamilton D.I., Gibbons I.F., Shockley W.: Physical Principles of Avalanche Transistors. Solid-State Circuits Conf., Philadelphia 1959, tychże autorów: Physical Principles of Avalanche Transistors Pulse Circuits. PIRE, Vol. 47, June 1959
14. Boff A.F., Moll J., Shen R.: A new high-speed effect in solid-state diodes. 1960 Int. Solid-State Circuits Conf., Digest of Technical Papers



15. Moll J., Krakauer S., Shen R.: P-N junction charge-storage diodes. Proc. IRE, 1962
16. Kotzebue K.L.: A circuit model of the step recovery diode. IEEE, Dec. 1965
17. Baranowski J.H.: Półprzewodnikowe elementy układów impulsowych. WNT 1969 (str. 111-119)
18. Rusek A.: Przełączające diody ładunkowe p-n-n<sup>+</sup>. Elektronika 9, 1970
19. Ceremuga J.: Analiza procesów fizycznych w diodzie p-n-n<sup>+</sup>. Elektronika 11, 1975 (str. 443-449)
20. Baranowski J.H.: Metoda ładunkowego modelowania wyższego rzędu elementów bipolarnych. Elektronika 7-8, 1981
21. Baranowski J.H.: Modele restoratorowe diody ładunkowej. Elektronika 9, 1981 (str. 13-19)
22. Baranowski J.H.: Restoratorowe modele diody ładunkowej. Mat. IV Krajowej Konferencji „Teoria Obwodów i Układy Elektroniczne”, Drzonków 1981 (str. 289-300)
23. Faber M.T., Chramiec J., Adamski M.: Microwave and Millimeter-Wave Diode Frequency Multipliers. Artech House, Boston-London, 1995, pp. 68-70
24. Baranowski J.H.: A Charge-Section Models of Bipolar Devices. Monographs in Electronic Engineering, No 71, Warsaw University of Technology Publ., 1985
25. Baranowski J.H., Bukat D., Ogrodzki J.: OPTIMA Tools for Device Modeling Towards a Bank of Models Tunnel and SRD Diodes. Proc. XV Intl. Conf. Circuit Theory & Electronic Circuits. Szczyrk, Poland 1992, pp. 84-90.
26. Bukat D., Ogrodzki J.: OPTIMA v.2.0 Uniwersalny analizator układów elektronicznych. WNT 1995
27. Rubner Thomas-Petersen.: NAP2 – a Nonlinear Analysis Program for Electronic Circuits. Users Manual 16/5-73 (Technical University of Denmark)
28. Ramotowski M.: Zastosowania programu NAP2 do obliczania Układów Elektrycznych. WNT, 1996
29. de Mari A.: An accurate numerical steady-state one dimensional solution of the p-n junction. Solid-State El., 11, 1968
30. Kurata M.: Design consideration of step-recovery diodes with the aid of numerical large signal analysis. IEEE Trans. on ED, 1972, No 11
31. Varshney R., Roulstone D.: Turn-off transient behaviour of p-i-n diodes. Sol. State El., 14, 1971
32. Tielert R., Bosch B.G.: An improved circuit model of the step-recovery diode for computer-aided design. Int. El. Devices Meeting 1976, Dig. Techn. Papers
33. Baranowski J.: Superpozycja sekcji ładunkowych jako metoda modelowania ładunkowego wyższego rzędu. PN PW, z. 56, 1982 (str. 108-112)
34. Baranowski J.: Modelowanie diody ładunkowej metodą restoratorów. PN PW, z. 56, 1982 (str. 113-119)
35. Baranowski J.: Modelowanie diody o krótkiej bazie metodą restoratorów. Mat. VI Krajowej Konferencji „Teoria Obwodów i Układy Elektroniczne, Kozubnik 1983 (str. 347-350)
36. Baranowski J.: A charge-section model of the pin diode for computer aided design. Bull. de l'Acad. Polonaise des Sc., Varsovie, nr 11/12, vol. XXXII, 1984
37. Tworóg J.: Analiza i badanie warunków pracy diod ładunkowych. Rozprawa doktorska. Warszawa, 1988
38. Baranowski J.H.: Sekcyjne modele ładunkowe diod i tranzystorów bipolarnych. Warszawa, WPW 1985
39. Baranowski J., Czajkowski G.: Układy elektroniczne cz. II. Układy analogowe nieliniowe i impulsowe. WNT 1993, 1994, 1998
40. Opalska K.: Komputerowo-pomiarowa weryfikacja modelu diody ładunkowej. Rozprawa doktorska. Warszawa 1998
41. Misiaszek S.: Elementy i układy techniki pikosekundowej. ISE, 1990, 1997

### **Streszczenia**

#### **Moje Układy Elektroniczne, czyli – od Stołpców po Warszawę**

Jest to opowieść o zapoczątkowaniu i rozwoju tematyki Układów Elektronicznych w Instytucie Systemów Elektronicznych (ISE) w Politechnice Warszawskiej. Autor wspomina swoje wczesne fascynacje radiem i antenami. Relacjonuje, jak będąc jeszcze studentem, został w końcu lat 50-tych ub. wieku zaangażowany w Katedrę Układów Elektronicznych na stanowisku asystenta, i wkrótce został powołany do grupy samokształceniowej mającej na celu wdrożenie w Kraju nowej wówczas w skali światowej tematyki układów półprzewodnikowych. Rozwój prac w zakresie tej tematyki w ISE autor przedstawił w publikacji [1], z pozycji wieloletniego kierownika Zakładu Układów i Systemów Elektronicznych (ZUiSE). W niniejszym opracowaniu w bardziej swobodnej relacji przedstawia swoje szczególne zainteresowanie układami impulsowymi zakresu nano i sub-nanosekundowego, oraz osiągnięte wraz z zespołem rezultaty w dziedzinie konstrukcji aparaturowych, zwłaszcza w dziedzinie oscylografów próbkujących.

#### **My Electronic Circuits, or – from Stołpce to Warsaw**

This is a story about the beginning and development of the field of electronic circuits domain in the Institute of Electronic Circuits and Systems (ISE) at Warsaw University of Technology. The author remembers his first fascination of the radio, when he listened to it as a boy, and his interests in antennas same years later. At the end of the nineteen fifties he started to work in Electronic Circuit Division of ISE. Shortly afterwards he was involved in the self-educating group which purpose was to introduce in Poland the semiconductor circuits – a new topic in the world scale this time. The development of the works in this topic in ISE was presented in publication [1] of the author from his point of view as the chief of Electronic Circuits and Systems Division (ZUiSE). In this paper, he presents in a more free relation his own particular interests in nano- and sub-nanosecond pulse circuits, as well as the results obtained by his research team in the field of design of electronic equipment, especially those related to sampling oscilloscopes.

**Nela i Erazm Samotyhowie, „sztuka widzenia Sztuki”.  
Edukacja poza Politechniczną.**

**I znowu jakby początek – lecz dopiero od września 1951 roku**

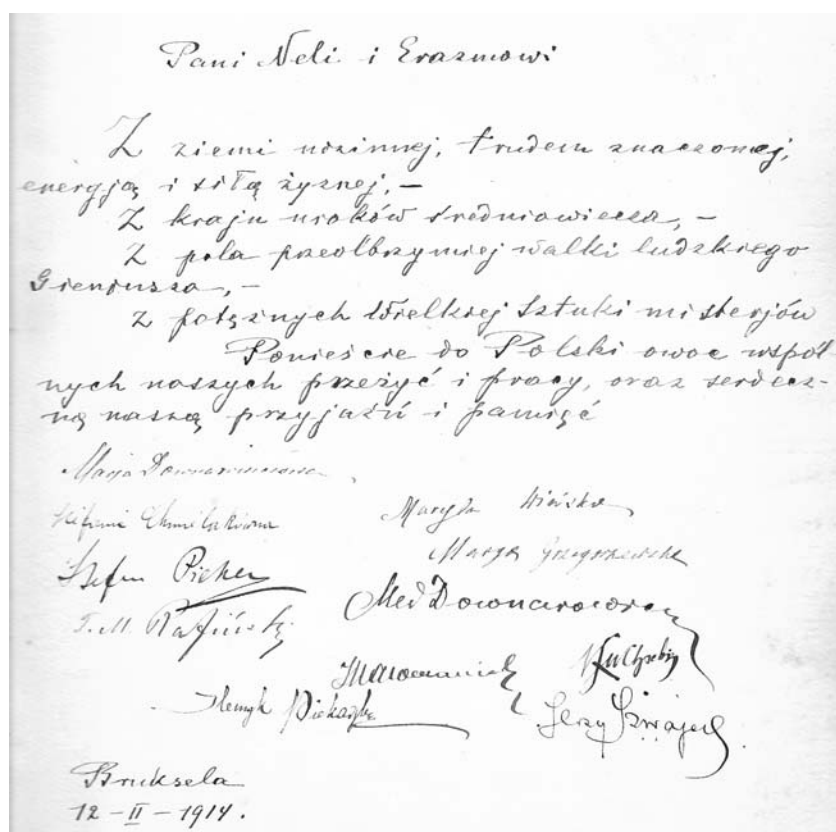
Moje kontakty z Państwem Nela i Erazmem Samotyhami zaczęły się tak: do Państwa Samotyhów na Noakowskiego 4 – to tuż przy Politechnice - po raz pierwszy udałem się na samym początku, zaraz po wstąpieniu do Liceum, z listem polecającym od mojej Ciotki Heleny Dębickiej, która wykryła – lub wymyśliła – jakieś spowinowacenie. Ono, to „spowinowacenie”, widocznie było, skoro moja Mama uciekając w 1920 r. z Żytomierza, w czasie odwrotu z Wojskami Piłsudskiego odnalazła i zdecydowała się na oddanie pod opiekę swoją siostrę, a moją ciotkę, księdzu Grzędzińskiemu, który był wujem Erazma Samotyhy. A obie, moja Mama i Ciotka Helena, uczyły się w tym samym Żytomierskim Gimnazjum, do którego zapewne, obok szkoły muzycznej, chodziła również w swoim czasie Panna Miłkowska, czyli Pani Nela. Uczniem Żytomierskiego Gimnazjum był też – nieco wcześniej - Antoni Madeyski – ale to stwierdzam niejako na marginesie, i tylko by zwrócić uwagę na popularność tej szkoły i samego Żytomierza wśród polskiego ziemiaństwa na Wołyniu. Słabe te moje wskazówki spowinowacenia – ale są.



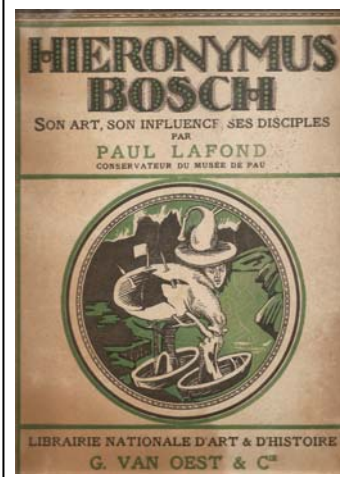
Widok współczesny (2015 r.) kamienicy Noakowskiego 4, po dwukrotnym remoncie i gruntownej przebudowie dachu, z wyodrębnieniem dodatkowych pomieszczeń na strychu i 4 bocznych okien. Mieszkanie Państwa Samotyhów na 5 piętrze miało dwa okna środkowe, tuż pod półkolistą oszkloną rozetą w trójkątnym szczycie. Dwa identyczne boczna okna w trójkącie dachowym należały: prawe do mieszkania Pani Zofii Sozańskiej, lewe - do mieszkania Państwa Pieceków. Taki podział dawnego mieszkania PP. Samotyhów wynikał z trudnej powojennej sytuacji i decyzji urzędu kwaterunkowego.



Zostałem przez starszych Państwo przyjęty bardzo dobrze, i zostałem zaproszony, bym przychodził, nawet zaproszono mnie na obiady, co srode. Ja przychodziłem, ale bardzo rzadko, chociaż na Noakowskiego było z mojej szkoły blisko – po prostu nie miałem na to czasu, przecież mieszkalem w dalekim Miedzeszynie. Więc mimo zaproszenia, na obiady z początku w ogóle nie przychodziłem, bo obiady miałem dostępne na miejscu w podziemiach Poczty. Były zadowalająco dobre i niedrogie, a u Nich było bardzo skromnie. A do tego – ja obiady musiałem spożywać w ściśle określonym czasie – na dużej przerwie w szkole. Jednak z czasem przychodziłem co raz częściej, zwłaszcza po swojej chorobie i zamieszkaniu na Długiej. Odbywaliśmy długie rozmowy, z czasem stałem się niemal stałym bywalcem. Rozmowy zwykle przeciągały się, aż do kolacji, dość późnej, bo profesor Samotyha miał różne zajęcia szkolne, a również regularnie bywał u Marii Dąbrowskiej, bo opiekował się jej księgozbiorem. Oboje Państwo Samotyhowie byli bardzo zaprzyjaźnieni z Marią Dąbrowską, jeszcze z czasów pobytu w Brukseli w latach 1907-13. Grono przyjaciół powołało tam wtedy do życia Stowarzyszenie imienia Joachima Lelewela, do którego członków, oprócz Neli i Erazma Samotyhów, Marii Dąbrowskiej i jej męża Mariana Dąbrowskiego, należeli Juliusz Kaden Bandrowski, Andrzej Strug, Edward Abramowski i Maria Grzegorzewska.



Napis na stronie tytułowej książki poświęconej twórczości Hieronyma Boscha, ofiarowanej Neli i Erazmowi Samotyhom, wyjeżdżającym z Brukseli do Kraju. Księgę tę, olbrzymią, otrzymałem od Pani Neli w ostatnim roku Jej życia.



Te silne osobowości bardzo zaznaczyły się w odradzaniu się polskiej kultury i państwowości – chociaż działały odmiennie i w różnych, wzajemnie jednak uzupełniających się kierunkach. Stowarzyszenie organizowało spotkania samokształceniowe i miało służyć przyswajaniu i kształtowaniu w społeczeństwie nowych prądów oświatowych, rozwijaniu wrażliwości umysłowej na przemiany społeczne, na zapoczątkowane idee kooperatyizmu, i szerzenie oświaty, zwłaszcza przez sztukę i literaturę.

Ówczesne działania Polaków na obczyźnie w znacznym stopniu wynikały z sytuacji powstałej w kraju po strajku szkolnym w latach 1905-7, kiedy szczególnie dotkliwie zaczęto odczuwać wszelkie ograniczenia w szkolnictwie wszystkich szczebli. Fala strajków, zainicjowana przez uczni, ich rodziców, studentów i nauczycieli, przetoczyła się przez wszystkie zabory, ale

najbardziej zaznaczyła się w zaborze rosyjskim, zlewając się ze strajkami na rzecz reform politycznych. Społeczeństwo polskie domagało się wykładów, nauki religii i sprawowania obrzędów publicznych w języku polskim, oraz – szczególnie - dostępu kobiet do studiów wyższych, możliwości tworzenia szkół prywatnych, oraz ograniczenia dozoru policyjnego.



Edward Abramowski (1836 – 1923)

Idee Stowarzyszenia w znacznym stopniu formułował wszechstronny, niesłuchany aktywny i zawsze duchem niespokojny Edward Abramowski, polityk i działacz niepodległościowy, badacz zjawisk psychicznych, filozof i interpretator kierunków rozwoju społecznego, uwypuklający idee kooperatywności i potrzebę kształcenia wrażliwości na piękno przy formułowaniu programów oświeceniowych. Polemizował z L. Tolstojem w kwestii pojmowania roli Sztuki w życiu społecznym (w odpowiedzi na głośny esej Tolstoj „Czto takojie iskusstwo”). Ten myśliciel, filozof idei społecznych obecnie raczej pomijany, wywarł duży wpływ na ewolucję poglądów działaczy społecznych w okresie przed I Wojną Światową i w powojennym dwudziestolecu.

Wywarł też wpływ na późniejsze zamierzenia oraz działania Neli Samotyhowej.

Chociaż nie zamierzam przedstawiać pełnego życiorysu i dokonań Neli i Erazma Samotyhow, to jednak odczuwam potrzebę wymienienia pewnych dat i zwrotów w ich życiu. Nela Samotyhowa urodziła się na Kijowszczyźnie w 1876 r., jako prawnuczka oficera napoleońskiego i wnuczka Tomasza Teodora Jeża (Zygmunta Miłkowskiego), z Ojca Oktawiana i Matki Idalii z Chodonowskich. Po Gimnazjum Żytomierskim i szkole średniej w Warszawie, ukończyła Wydział Przyrodniczy w Genewie ze stopniem Bachelier des Science. W latach 1905-1907 nauczwała w szkole Stefani Sempołowskiej algebry i geometrii, oraz fizyki i chemii w szkole Emilii Pankiewiczówny. Uczestniczyła w organizowaniu i wykladała na Kursach Pedagogicznych dla Kobiet, powołanych przez Jej brata Jana Miłkowskiego. W 1916 r. zostały przekształcone w Kursy dla Dorosłych miasta Warszawy. Po strajku szkolnym wyjechała z przyszłym mężem Erazmem Samotyhą do Brukseli, gdzie oboje studiowali. Jednak Nela Samotyhowa zapoczątkowała wtedy nowy kierunek studiów – Historię Sztuki. Ten kierunek, oraz pasja pedagogiczna, określił jej wszelkie późniejsze działania. Opowiadam to wszystko z perspektywy czasu. Po wielu latach potrafię jedynie w przybliżeniu określić miejsce urodzenia Erazma Samotyha - Sejny, znam tylko rok urodzenia – 1886. A to dlatego, że nie zdobyłem się we właściwym czasie na różne pytania. Na przykład, ja wiedziałem dość wcześniej, że Pani Nela Samotyhowa była przed poznaniem Pana Erazma zamężna, sama mi to powiedziała, ale też wyczuwałem, że o więcej pytać raczej nie należy. Dopiero całkiem niedawno poznałem nazwisko pierwszego męża Pani Neli. Jest w Internecie, gdzie podaje się też datę zawarcia małżeństwa Neli i Erazma. Nie sądzę, by wszystkie daty były prawdziwe, skoro nawet miejsce pochówku określono mylnie.

Po powrocie ze studiów w Brukseli i odzyskaniu przez Polskę Niepodległości, Nela Samotyhowa w latach 1928-32 stopniowo odchodzi od typowej działalności nauczyciela w szkołach średnich. Przekształca się w szczególny, niespotykany u nas rodzaj działacza pedagogicznego, dostrzegający możliwość kształcenia ludzi myślących, w tym dorosłych, poprzez rozwijanie i potęgowanie wrażliwości na piękno. Tę pionierską ideę pogłębiania kultury w dziedzinie sztuk plastycznych realizuje w różnych środowiskach, uczniowskich, studenckich i robotniczych, wśród wojskowych i ich Rodzin – poprzez różne środki przekazu. Drukuje artykuły, wygłasza pogadanki w radiu, organizuje i oprowadza wycieczki po wystawach i muzeach. W latach międzywojennych szczególnie aktywnie działa na terenie

Instytutu Propagandy Sztuki – jaki staraniem środowiska artystycznego specjalnie utworzono dla demonstrowania nowych prądów w sztukach plastycznych. Zbudowany w 1930 r. obszerny parterowy budynek IPS przy Królewskiej 13 pełnił wspaniałą funkcję szczególnego miejsca, gdzie przedstawia się nowe idee plastyczne. IPS działał niejako w opozycji do innego środowiska artystów, zgrupowanego wtedy wokół *Zachęty* i często określanego tą nazwą, reprezentującego konserwatywne poglądy w dziedzinie Sztuk Plastycznych. IPS przestał działać w 1939 r. Jeżeli ktoś nie wie, gdzie był nowoczesny wspaniały budynek IPS, podpowiadam – obok pałacu Kronenberga, tam, gdzie teraz stoi Hotel Viktoria.

Jeden z pierwszych odczytów Neli Samotyhowej – może w ogóle pierwszy programowy, został wygłoszony 20 XI 1928 r. w Tow. Kultury Etycznej im. E. Abramowskiego, pt. *Edward Abramowski i jego poglądy na znaczenie dobra i piękna w przebudowie życia* – ogłoszony również drukiem w 1931 r.



Zdjęcie Rodzinne Samotyhów z Edwardem Abramowskim (1914 r.)

Przypomnę, że traktaty Abramowskiego czytywałem we wczesnym dzieciństwie, w domu, z dużej książki (znamienne, że o czerwonych okładkach), pozostałej mi po Ojcu – zaginionej w czasie Wojny. Równolegle zacząłem czytać wtedy *Historię Świata* H.G. Wellsa.

Teraz, rozmawiając w domu PP Samotyhów, poznawałem różne nieznane mi wcześniej prądy i poglądy, związane z rozwojem oraz oddziaływaniem literatury i sztuki. Gdy dowiedziałem się o działalności Pani Neli w dziedzinie popularyzowania sztuk plastycznych, sam zacząłem się zastanawiać nad możliwością oceny dzieł sztuki, konkretnie – obrazów malarskich. Była wówczas w Muzeum Narodowym otwarta wystawa Malarstwa Francuskiego – zwiedziłem ją w towarzystwie profesora Erazma Samotyhy. Dziwiłem się wtedy, już na tej wystawie, że tak różne dzieła, obrazy – różniące się ogromnie zarówno treścią, jak i formą - można oceniać jako dobre, bądź złe. Nie rozumiałem jeszcze, nawet nie przypuszczałem możliwości istnienia jakichkolwiek podstaw formułowania takich ocen. Widocznie to wtedy Pani Nela wykryła jednak u tego nie uformowanego chłopca zza Buga, czyli u mnie – jakąś ciekawość, załączki zainteresowań, i wrażliwość - których istnienia wcześniej nie podejrzewała. I zapewne wtedy się zaczęło to, co później u mnie – a także u innych - przybierało formy eksplozji doznań.



Po Wojnie Nela Samotyhowa współpracowała z Tow. Uniwersytetów Robotniczych (TUR), wygłaszała odczyty i liczne pogadanki w Polskim Radiu, drukowała w *Wiedzy i Życiu* prace o twórczości w dziedzinie sztuki. Opracowała 3 scenariusze filmów oświatowych, z których jeden - projekt filmu o Aleksandrze Gierymskim - został nagrodzony. Po wprowadzeniu w latach 1949-51 kanonów socrealizmu w literaturze i sztuce prace Neli Samotyhowej zaprzestano drukować. Ona jednak nie zaprzestała pracy i zajęła się popularyzacją sztuki, organizując prywatne komplety we własnym mieszkaniu. Opracowała wtedy jedną książkę dla dzieci *Patrzmy na obrazy*, oraz drugą - *Malarstwo zachodnio-europejskie*, przeznaczoną dla dorosłych. Obie te książki zostały po latach wydane przez wydawnictwo „Nasza Księgarnia”. Nela Samotyhowa wykorzystała przy pisaniu tych książek zarówno doświadczenia z prowadzonych u siebie w mieszkaniu kompletów, jak i wcześniejsze uzyskane z oprowadzania wycieczek w IPS. Uczestniczyłem w kompletach, przez ponad 15 lat, towarzyszyłem również Pani Neli w Jej zmaganiach autorskich. W dialogach zawartych w *Malarstwie zachodnio-europejskim* są zawarte niektóre wypowiedzi uczestników kompletów, których nawet teraz, mimo upływu czasu, mogę zidentyfikować. Oryginalną metodę popularyzacji sztuki zastosowaną przez Nelę Samotyhową omówiła w swym opracowaniu przekazanym do Archiwum PAN prof. Irena Wojnar z Uniwersytetu Warszawskiego. Charakteryzując działalność N. Samotyhowej stwierdziła, że „... była kimś więcej niż postępowym działaczem pedagogicznym, kimś więcej, niż wykształconym historykiem sztuki. Sztuka to w jej odczuciu potężny instrument wychowawczy. Szansa dla kształcenia ludzi wrażliwych i myślących.”



Nela Samotyhowa, ok. 1962 r., oraz  
Nela i Erazm Samotyhowie, luty 1907 r.

Pani Nela trafnie jest postrzegana jako odkrywca nowej formy kształcenia wrażliwości w odbiorze malarstwa. Uczestnicy kompletów sami się wypowiadają, dyskutują, spontanicznie – albo i rozumując logicznie, czasem pedantycznie, dostrzegają rzeczy niesłychanie interesujące – zaskakujące niekiedy nawet dla Pani Neli, która najciekawsze wypowiedzi zapisywała.

Miała na to przygotowane specjalne, choć zwykłe, szkolne zeszyty. Ta forma kontaktowania się z uczestnikami kompletów, nazywana ostatnio – niezbyt szczęśliwie – „dialogizowaniem” – polegająca na wykorzystaniu prawdziwych, a nie wymyślonych wypowiedzi – jest zresztą przedstawiona w książce Neli Samotyhowej „Malarstwo zachodnio-europejskie”.

Ja w tej części swoich wspomnień oczywiście zaledwie zbliżyłem się do opisu idei kompletów u Pani Neli. I do różnych innych spotkań oraz zdarzeń, zwłaszcza tych natury wieczorków poetyckich, dyskusji. Mogę jednak już teraz powiedzieć, że z tych kompletów i spotkań wychodziło się w atmosferze niezwykle zadowolenia i nawet jakby wewnętrznego odrodzenia i wzbogacenia się – co jednak trudno wyrazić, jeżeli samemu w tych spotkaniach nie uczestniczyło. W tych spotkaniach oddziaływała tajemnica domu i osobowości Obojga PP. Samotyhow. Nie byłem odosobniony w tych doznaniach. Po latach przeczytałem u Marii Dąbrowskiej w Dziennikach - „*oni bytowali w jakiś anielski, właściwy sobie, a na mnie dziwnie kojąco oddziałujący sposób*”. Przytoczyłem te słowa, bo są niezwykle trafne, a moje doznania były identyczne, i nie potrafiłbym wyrazić ich inaczej.

Ale mogę ukazać Ich postacie i łagodny spokój na zamieszczonej niżej fotografii. Spokój nie wyklucza pełnej gotowości do działania, widocznej w skupionym spojrzeniu Pani Neli. Fotografię wykonałem tuż po powrocie Pana Erazma ze szpitala, po pierwszym wylewie. Pani Nela pracowała wciąż wytrwale nad „Malarstwem zachodnio-europejskim”.



Spracowana ręka Pani Neli spina jej postać zwróconą lekkim skretem ku Mężowi



W domu było jeszcze wtedy pianino. Razem z szafą, z postrzelanymi czasu Wojny książkami przyrodniczymi Pana Erazma, zamyka przestrzeń tylnej ściany. Nie widać kaflowego pieca – stał na tej samej ścianie, z prawej strony obok szafy z książkami.

Niestety, są to tylko skróty, strzępy pamięci – ale może w późniejszych partiach wspomnień jeszcze do opisów tych zebrań wrócę. Jeżeli zdołam – nie mam już wiele czasu, ani talentu, należnych umiejętności. Sądzę, że bliscy z rodziny Pani Neli – Jerzy Miłkowski, i nawet jego Ojciec, Pan Janek Miłkowski, ukochany bratanek Pani Neli, nie znali dobrze atmosfery tych spotkań. Pana Jana Miłkowskiego oczywiście spotykałem często, dość dobrze znałem Jego historie, przyjaźnie, zabawne perypetie zahaczające o frywolność. Z Jego własnych opowieści, wygłaszanych z wdziękiem i humorem, i z opowiadań Pani Neli, powierzanych mi z ufnością. To był członek Rodziny Miłkowskich bardzo ważny dla Pani Neli, bardzo męski, bardzo żywotny - on jedynie był zbliżony charakterem do charakteru Pani Neli – miała też dla Bratanka dużo wyrozumiałości. Nie znam za to niemal zupełnie spraw ściśle rodzinnych, ani tego, co się stało z księgozbiorem, z obrazami. Szczególnie brakuje mi portretu Pani Neli, w kolorze, autorstwa „Pana Edwarda” – czyli Edwarda Głowackiego, zaprzyjaźnionego – ale rzadkiego bywalca domu jeszcze z przed Wojny. Portret w niewielu zielono-żółtych kreskach, w sposób bardzo charakterystyczny dla stylu Autora ujmuje trafnie owal głowy i rysy twarzy Pani Neli. Przy przekazywaniu spuścizny po Pani Neli do Archiwum PAN został bogatelizująco zakwalifikowany, przez jakąś osobę nie bardzo znającą się na sztuce portretowania uprawianej przez Edwarda Głowackiego, jako „szkic do portretu”. A ten portret jest dziełem skończonym, świadczy o pełnym zrozumieniu przez jego Autora psychiki Osoby portretowanej – znali się przecież tyle lat! Powinienem ten portret w czas zabrać i mogłem to zrobić, wisiał na czołowym miejscu na ścianie nad Jej fotelem, widać go na jednej z dalszych fotografii, ale postanowiłem nie przekraczać nienależnych mi praw Rodziny. Z daleka, tracąc kontakt z rodziną Miłkowskich, dostrzegałem krzątanie się wokół zagospodarowania spuścizny – głównie chodziło o możliwość zatrzymania lokalu. Co się nie udało.

#### **Moje kontakty z PP. Samotyhami, na tle warunków ich bytowania na Noakowskiego 4**

Chcę o nich napisać, choćby krótko, czyli nie pełnie – o moich relacjach z PP Samotyhami. Jestem do tego zobowiązany, bardzo dużo Im zawdzięczam, byłem z Nimi długo, do końca. Jestem nawet ponaglany do wspomniania, jako „jedyne żyjący jeszcze” uczestnik kompletów prowadzonych przez Panią Nelę. Ponagla mnie Pani Grażyna Prawda, która interesuje się historią rodu Miłkowskich, a szczególnie Nelą Samotyhową, i może zechce o Niej napisać osobno, uwzględniając i moje wspomnienia. Więc muszę je spisać, i to dobrze, bo przecież utrwali się postać Pani Neli taka, jaką się opisze. Najpierw zamierzam jednak opisać gdzie mieszkali i jak, bo to było ważne w ich życiu, trudnej egzystencji osób w zaawansowanym wieku, w powojennej Warszawie. Mieszkali do końca życia w istniejącym dotychczas domu Noakowskiego 4, na 5 piętrze, w pokoju o powierzchni ok. 18 m<sup>2</sup>, jedynym wydzielonym dla nich z ich własnego przedwojennego mieszkania, ze wspólnym korytarzykiem, używalnością małej kuchni z gazem, oraz używalnością łazienki i sanitariatu, oraz używalnością innej jeszcze części korytarza wstępnego, ciemnej. Mieściła się tam duża skrzynia na węgiel. Wydzielono jeszcze dwa inne pokoje: jeden zajmowała bardzo zaprzyjaźniona Pani Zofia Sozańska, w drugim zamieszkali Państwo Piecek (trzeba było uważnie artykułować nazwisko, starannie wymawiać „Piecekowie”, bo się łatwo urażali).

Gdy zacząłem bywać na Noakowskiego, istniejąca przedwojenna winda jeszcze nie działała, uruchomiono ją chyba dopiero po 1952 r. Trzeba więc było uważnie planować i realizować zakupy, bo pokonywanie wysokich schodów było trudne. Węgiel na opał wnosił za opłatą znajomy dostawca, w wiklinowym koszu. Pani Nela miała zwyczaj udawać się na zakupy wyposażona w płócienny brązowy plecak, była rozpoznawana w okolicy po tym nie częstym na tej ulicy ekwipunku. Zakupy były łatwe, sklepy spożywcze były tuż, tuż – teraz ich na

Noakowskiego brakuje. Najważniejsze zakupy były robione w stoiskach warzywniaka, tuż za obecną cukiernią Dybalskiego – w dużym jakby podwórzu, które później zamieniło się w tylne dojsię do Hali na Koszykach. Ten warzywniak został przeniesiony na plac przy przeciwległej części ulicy Nowowiejskiej, dokładnie tam, gdzie obecnie znajduje się Gmach mojego Wydziału Elektroniki PW. Ale wówczas cała ogromna przestrzeń tego placu, zwanego wtedy wyłącznie Polem Mokotowskim, była pusta – aż do dalekiej ulicy Rakowieckiej, nie było przecież ani „wawozu” Trasy Łazienkowskiej, ani tych ogromnych gmachów różnorodnej użyteczności – powstały później. Z opowieści PP. Samotyhów wiem, że kiedyś na rozległym Polu Mokotowskim odbywały się defilady, wyścigi konne, oraz że startowały z niego do zawodów samoloty Aeroklubu Warszawskiego, które można było oglądać z góry, z okien mieszkania. W warzywniaku czyniłem często zakupy, również wtedy, gdy kolejno był przesuwany wzdłuż Nowowiejskiej, w końcu przesunięto go aż na Polną, gdzie rozkwitnął i stał się bardzo znany, nawet w sferach dyplomatycznych – a teraz go nie ma. Zakupy czyniłem dla Samotyhów, często równocześnie i dla własnego domu w długim okresie ponad 16 lat – aż do śmierci Pani Neli w 1966 r. Nie byłem jedynym wspomagającym w zakupach, byli też inni przyjaciele i osoby angażowane, lub z pomocy społecznej.

Pokój mieszkalny na Noakowskiego poza stołem, biurkiem, dwoma etażerkami, półkami i szafą mieścił pianino oraz stojący na wysokich nóżkach spory piecyk z blaszaną rurą – jego miodowe kaflowe ścianki były obramowane żelazem. Mieścił również łóżko, ozdobione mosiężnymi kulami na rogach oparć – kiedyś podobno zostało wypożyczone generałowi Hallerowi, gdy jego oddziały kwaterowały w Politechnice. Wszystko to było bardzo dobrze ustawione, pomocne były głębokie wnęki przy obu oknach, jedna zapewniała dość wygodne miejsce na wypłatany fotel przy biurku Pani Neli – z telefonem. Bo telefon był, co w ówczesnej Warszawie było ewenementem. Pani Nela wiele spraw załatwiała właśnie przez telefon, a przede wszystkim sprawy wydawnicze, audycje radiowe, a również opracowania filmów poświęconych sztuce, zwłaszcza malarstwu. Również sprawy pobytów w Oborach, i w Mądralinie – zwykle korzystała wtedy z poparcia Profesora Stanisława Lorentza, Dyrektora Muzeum Narodowego. Była znana z publikacji przed i powojennych, traktowana z uznaniem i wielkim szacunkiem. To jednak się zmieniło około 1951 roku, wraz z pogłębieniem nacisków na stosowanie kryteriów „typowości, masowości i realizmu socjalistycznego”, w sztukach plastycznych i literaturze. Odsunięta od możliwości występowania w Radiu i od niektórych wydawnictw, zajęła się organizowaniem kompletów kształcących wrażliwość na dzieła sztuki, oraz współpracą z Naszą Księgarnią, inicjując rozwijanie wrażliwości na dzieła sztuki równoległe z wrażliwością na dzieła literackie. To się akurat niektórym ówczesnym działaczom nie podobało. To też akurat był rok rozpoczęcia moich studiów w Politechnice, i zacząłem właśnie wtedy bywać często na Noakowskiego – od drzwi Politechniki wystarczyło pokonać tylko kilkadziesiąt metrów. Po drodze, mimochodem, zdarzało mi się kupować ciastka u Wróbla – były znakomite, jednak z czasem spadkobiercy Pana Wróbla, oraz urzędnicy podatkowi, doprowadzili tę renomowaną ongiś ciastkarnię do całkowitego upadku.

Przy tej okazji nie mogę się oprzeć przypomnieniu, że w pewnym okresie – tuż po studiach, nie mając mieszkania, mieszkalem prawie po sąsiedzku, bo w kamienicy przy Noakowskiego 10, w której od frontu i od podwórza mieściła się firma Wróbla. Ta osławiona wtedy, obecnie też znana w Warszawie kamienica, składała się w istocie z trzech 7-piętrowych czynszówek – po wejściu przez pierwszą bramę przechodziłem jeszcze drugą i dopiero w trzeciej wchodziłem wysoko, bodaj na 6 piętro, okropnymi schodami, z odrapanymi ceglanyymi i okropnie brudnymi ścianami, z oknami bez szyb. Nie płaciłem wiele, miałem ciemny pokój, z którego z wysiłkiem zdobywałem się o późnej porze na przejście - przez „salon” rodzinny, pełen śpiących - do łazienki i toalety. Ale miałem tam spokój, nie licząc propozycji konkretnych usług ze strony pewnych pań, już na schodach. Nie wyglądałem na klienta, szybko rezygnowały. Teraz ta potrójna kamienica bardzo wyporzadniała, ma nawet czynne

windy, na czystym podwórku stoi dawna kapliczka, chociaż przesunięto ją pod przeciwległą ścianę.

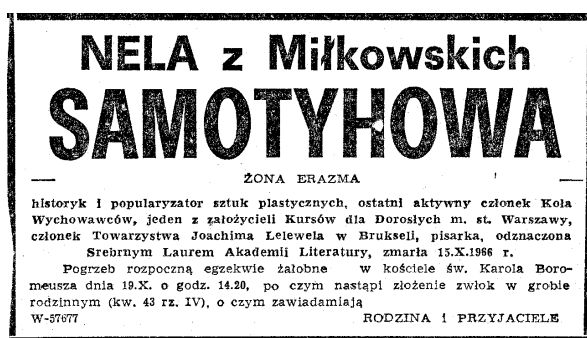


Wejście z bramy na podwórkę „potrójnej” kamienicy Noakowskiego 10, gdzie było zaplecze cukierni Wróbla, i ołtarzyk

Co się jeszcze da powiedzieć o miejscu i okolicy Noakowskiego 4? Zbiegały się tam ulice – Lwowska, Śniadeckich, Nowowiejska, Polna, znowu Nowowiejska, i oczywiście Noakowskiego. Róg Noakowskiego/Lwowska zmienił się już bardzo dawno, został ścięty, pozostał po nim placik wykorzystywany przez kwiaciarki, przedtem mieściła się tam Apteka. Przy ulicy Polnej mieszkała Maria Dąbrowska, którą czasem - ale rzadko – spotykałem u Samotyhów. Miała też mieszkanie poza Warszawa, ale nie wiem dokładnie, gdzie – chyba w Komorowie. Księgozbiorem Marii Dąbrowskiej opiekował się Pan Erazm Samotyha, bywał tam często, przynosił najróżniejsze wieści, plotki, a również książki. To dlatego tak wcześnie poznałem Miłosza „Zniewolony umysł”, oraz Orwella „Rok 1984”. Pani Maria otrzymywała takie prohibity z Paryża, oczywiście dzięki łasce „władzy” i umiejętnej dyplomacji. W tej dyplomacji nie angażowała się po stronie władzy tak daleko, jak na przykład, angażowała się Nałkowska, o której działalności miała mocno uszczypliwe uwagi. A uzyskiwała wiele – nigdy przecież nie ograniczano nakładu książek Dąbrowskiej, uprzejmie też przydzielono talon na samochód Wartburg – jak wiem, było to spełnienie marzeń jej Bratanka, Jerzego Szumskiego. którego kiedyś poznałem u Samotyhów. Był nieco ode mnie młodszy. Gdy go poznałem, pamiętam, że rozmawialiśmy o przekształceniu Fouriera. Jemu matematyczne wzory na rozkład Fouriera służyły jako sprawdzian trzeźwości – gdy nie mógł już ich zapisać, to przestawał pić – ciekawe kryterium, choć nie bardzo praktyczne. Bo zakłada możliwość obiektywnej samooceny stanu trzeźwości właśnie w stanie nietrzeźwości. Był wtedy po podróży do Indii, skąd przyjechał z żoną Hinduską, filigranową egzotyczną pięknnością. Pani Nela była wstrząśnięta śmiercią kolejnej swej przyjaciółki, Marii Dąbrowskiej. Sporo wcześniej odeszła Maria Grzegorzewska – z którą łączyła ją przyjaźń i poglądy dydaktyczne, i którą odwiedzała, zwykle w moim towarzystwie. Maria Grzegorzewska była uznanym pedagogiem, Jej metody są rozwijane w Instytucie Pedagogiki Specjalnej.

Gdy po kilku wylewach zmarł w 1963 r. mąż Pani Neli, profesor Erazm Samotyha, Pani Nela wciąż jeszcze starała się być osobą aktywną, ale była już bardzo samotna. Została tylko rodzina Miłkowskich w odległym Nałęczowie, objawiająca się głównie wizytami bratanka, Pana Jana Miłkowskiego, który dość często przyjeżdżał do Warszawy, załatwiać jakieś zawiłe sprawy. Jego przyjazd zawsze wprowadzał nastrój ożywienia, bo Pani Nela lubiła swego bratanka, najczęściej opowiadającego różne dziwne historie z codziennego życia, impresje z odwiedzin u przyjaciela, profesora Karola Borsuka z UW.

Byłem do końca dni, niemal do ostatnich chwil życia zarówno Profesora Erazma, jak i Pani Neli. To były dla mnie trudne doświadczenia. Gdy z rana, bardzo wcześnie, przyszedłem oznajmić, że profesor Erazm zmarł tej nocy w szpitalu, nie wiedziałem, jak to zrobić. Ale Pani Nela – bardzo ożywiona, pełna pomysłów, co by przygotować dla Męża – zawsze pełna Miłości do Niego – po chwili powiedziała „Ach, to tak” i jakby zgasła. Ale była dzielna. Gdy po trzech latach odwiozłem Panią Nelę do szpitala – bardzo blisko – była ożywiona i w pełni świadoma, jakby wcale nie umierająca, a ja – chociaż pełen najgorszych przeczuć, musiałem oddalić się na chwilę. I Nela Samotyhowa wtedy odeszła, w ciągu około pół godziny, żegnając się głośno ze współ pacjentkami na sali szpitalnej. Nela i Erazm Samotyhowie – to byli bardzo ważni ludzie w moim życiu.



Nie udało mi się zapewnić umieszczenie w gazetach nekrologu od Ministerstwa Kultury i Sztuki. Moją rozmówczynię z Ministerstwa interesowało jedynie, kto rekomenduje zamieszczenie nekrologu.

Skromny, ale serdeczny nekrolog zamieściło Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, zawiadamiając, że kultura polska poniosła wielką stratę.

**Środa, 12 sierpnia 2015 r.**

Nadal straszny upał, susza w całym kraju, ale podobno w Stalowej Woli w nocy padał deszcz. Wybieramy się jutro do Zaklikowa, w godzinach przedwieczornych, ze względu na upał. Mam nadzieję na przywrócenie tam, przez Grzegorza Janika, sprawności obu komputerów i drukarki, uszkodzonych przez upał. W gazetach pełno doniesień typowych dla sierpnia – o tym, jak dochodzono do postanowień o godzinie „W” Powstania Warszawskiego, o rzuceniu nie jednej, lecz dwóch bomb atomowych na Japonię. I podobnych, np. o historii łączności radiowej, co jest dziwnie aktualne wobec częstego zanikania Internetu. Napisałem, już po północy, do Profesora Zygmunta Mierczyka, Komendanta WAT, w sprawie opóźniania wydania mojej książki, i otrzymałem przed chwilą satysfakcjonującą odpowiedź, lecz bez wyraźnej deklaracji terminu. Za parę dni święto Wojska Polskiego. W Zaklikowie szykuje się w tym samym terminie otwarcie sezonu łowieckiego 2015/16. Trzeba jednak tam dojechać z Warszawy, w jakimś zdrowiu.

**Piątek, 14 sierpnia 2015 r.**

Dojechalismy szczęśliwie podróż trwała 5 godzin i 10 minut, nawet ja prowadziłem równe 2 i ½ godziny, od samej Warszawy, bo Basia była zmęczona i wyraźnie niespokojna. Zaklików ma inne, jakże lepsze powietrze. Po przybyciu od razu trzeba było ratować usychające roślinki. A dziś ratowałem z Grzegorzem Janikiem komputer i drukarkę – tymczasem z miernym wynikiem. Komputer Grzegorz wziął do domu, do dalszej naprawy. Przed domem nie uzupełniono nam części chodnika – trzeba to zrobić na własny koszt, i to szybko, bo gdy przyjdzie burza - zaleje nam podmurówkę. Jutro Święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, a również Msza św. i bal – z okazji początku sezonu. Andrzej przypomniiał, że dziś rocznica kapitulacji Japonii, jutro zaś rocznica jego ciężkiego zranienia w Powstaniu.

### **Wtorek, 1 września 2015 r.**

Nic nie napisałem nowego. Zepsuty, częściowo tylko sprawny sprzęt zmusza do zapisywania kopii na zapasowych pendrivach. Wykonałem wprawdzie pewne prace, ale sprowadziły się do nieco innego połączenia istniejących części. Piszę te słowa w Warszawie, do której wróciliśmy szczęśliwie, by poddać się kontrolnym badaniom, kardiologicznym - kilka dni temu, oraz dziś - okulistycznym. Te ostatnie wypadły zdecydowanie źle. Powrót nazwałem szczęśliwym, bo dopiero po powrocie zepsuł się nam samochód. Teraz jest naprawiany w stacji Nissana, mechanicy cierpliwie zbierają potrzebne części. Uszkodzenie jest duże, powstało samoistnie, w samym Centrum, na rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

### **Piątek, 4 września 2015 r.**

Nasi akurat zaczęli grać w piłkę nożną, w Niemczech. Na 19 spotkań wygrali tylko jeden mecz, przed rokiem. Ja piszę, chcę pokonać próg niemocy, dokończyć opowiadanie o spotkaniach u Samotyhów. Powinno być serdeczne. A ja dziś czuję się źle, jestem słaby, a do tego nieco poirytowany przeczytanym artykułem o „Rozmowach z Duchami” Jarosława Rymkiewicza. Opisuje je – całkiem udanie, przynajmniej na początku - niejaki Józef Maria Ruszar (kto to taki?) w „Plus Minus” 130 z czerwca tego roku. Pisanie Rymkiewicza uznaję, choć czytałem tylko *Wieszanie*, no i tylko zajrzałem do *Zachodu Słońca w Milanówku*, a nie oglądałem tego nowego tomiku *Koniec lata w zdziczałym ogrodzie* – chyba jest dobry. Jednak jest też niewątpliwe, że gwałtowny styl wypowiedzi, czyli „zdziczenie” Rymkiewicza, ujawnione już w *Wieszaniu*, a teraz w rozmowach prowadzonych w tym nowym tomiku z różnymi Duchami, przede wszystkim dobrze służy zwiększeniu „sprzedajności”, co widać. Więc może nareszcie Poeta będzie miał za co odnowić sobie ramy okien swego domu w Milanówku. Bo wśród wielu jego fotografii (jest moda na Rymkiewicza) dojrzałem również jego ogolone oblicze wyglądające przez lufcik, bardzo już zniszczony wpływem czasu. A jeżeli Rymkiewicz epatuje galerią ważnych poetów, działaczy i myślicieli „zagranicznych”, to dobrze byłoby – by porozmawiał również – na przykład – z naszymi Duchami, choćby Norwida, Miłosa, Abramowskiego, a zwłaszcza z duchem Towiańskiego, złym duchem Mickiewicza – choćby dla wyjaśnienia koncepcji mesjanizmu, właśnie radośnie odnawianej w powiązaniu z ideą Intermarium. Dlaczego pomija teraz sprzedajnych biskupów i sam temat ich wieszania? Tak był zaangażowany - jak prawdziwy jakobin - w wymienianiu drastycznych szczegółów przy opisywaniu egzekucji przez powieszenie zdrajców – hetmanów i biskupów - w czasie insurekcji Wielkanocnej, w Warszawie dokonanej przez wzburzony lud pod wodzą szewca Kilińskiego. Wiadomo o tych wydarzeniach ze spisanej relacji Jana Kilińskiego i Ignacego Krasickiego – też przecież biskupa. Mógłby Rymkiewicz uzupełnić drugie wydanie, zając się choćby stosunkowo świeżym duchem byłego hierarchy Wesołowskiego, pochowanego wczoraj jak Księcia, z honorami. Też byłaby kasa. Ale widocznie przeszedł już znowu korzystnie na drugą stronę, może już doszedł do Torunia. Tymczasem mecz trwa – Niemcy prowadzą 2:1, dla Polski strzelił gola Robert Lewandowski.

### **„Komplety” – seminaria w mieszkaniu Neli i Erazma Samotyhów**

Tytułem wstępu stwierdzam, że idea kompletów Pani Neli Samotyhowej zapoczątkowała się wcześniej, na początku lat 30tych ub. wieku, gdy oprowadzała wycieczki po kolejnych wystawach realizowanych w Instytucie Propagandy Sztuki. Już wtedy umawiała się z grupami osób na dalsze oprowadzanie i rozmowy. Dość stałą i dużą grupę tworzyły osoby należące do Rodziny Wojskowych, inne grupy składały się ze słuchaczy TUR. Po Wojnie Nela Samotyhowa zajmowała się popularyzacją Sztuk Plastycznych i oddzielnych twórców, głównie poprzez zamieszczanie artykułów w *Wiedzy i Życiu*, oraz w *Życiu Warszawy*. W tych pismach była możliwość zamieszczania zarówno tekstów, jak i reprodukcji obrazów, ale w ograniczonej liczbie i tylko w tonacji szarej. Pomysł prowadzenia co tygodniowych kompletów ze stałym gronem osób pojawił się wprawdzie wcześniej, ale w pełni zaczął być



realizowany chyba dopiero na przełomie lat 1951-52, i mniej więcej wtedy Pani Nela zaproponowało mi w nich uczestnictwo. Ale gdy zacząłem na te zebrania uczęszczać, od początku gorliwie, komplety w zasadzie już się odbywały, przynajmniej przez jeden rok. Nie jestem pewien, czy był tylko jeden ciąg tygodniowy – na początku chyba mogły być dwie grupy. Należałem do grupy bardzo stabilnej, która w zasadniczym składzie przetrwała ponad 10 lat. Za udział w kompletach Pani Nela przyjmowała minimalną opłatę, chyba około 30, może 35 złotych, ale od niektórych uczestników opłat w ogóle nie przyjmowała.

Wśród uczestników połowa to byli ludzie młodzi, na przykład studenci, lub osoby świeżo po dyplomie, czasem lekarze, drugą i bardzo stabilną połowę stanowiły osoby wyraźnie starsze, na przykład na emeryturze. Wtedy życie w Warszawie było nie tylko trudne, lecz i bardzo szare, bez swobodnych wypowiedzi, i bez ośrodków szerzenia kultury - w szerokim sensie pojęcia słowa „kultura”. Dla wszystkich, których przyciągała Pani Nela, uczestniczenie w kompletach było rodzajem umysłowego relaksu, odpoczynku, możliwością pogłębienia wiedzy, wszyscy byli spragnieni kontaktów ze sztuką, przyjaznego udziału w dyskusyjnym gronie ludzi inteligentnych. Na ogół zbierał się zespół nie przekraczający 8 osób. Ale czasem trzeba było dostawić krzesło. Spotkania na Noakowskiego dawały niezmiernie bogactwo wrażeń oraz szczegółowej wiedzy. Wszyscy czuli, że uczestniczą w niezwykle seansach poznawaniu tajemnic sztuki, i że te doznania wynikają ze swobodnej wymiany spostrzeżeń wszystkich członków zespołu. Że udział w tych wieczornych rozważaniach daje silniejsze i bardziej wartościowe doznania, niż gdyby próbowało się rozważać te same problemy na osobności. Bo prawie każda wypowiedź wносиła nowe, często zaskakująco ciekawe spostrzeżenia, wzbogacające dyskusję i prowokujące do nowych wniosków i spostrzeżeń. Oczywiście, oddziaływała osobowość Pani Neli, która na każdym posiedzeniu uważnie wysłuchiwała wszystkie wypowiedzi, niektóre odnotowywała, a łącząc w spójną całość, wyprostowując i uzupełniając poszczególne spostrzeżenia, przedstawiała przy końcu możliwie pełny zarys wiedzy o rozważanym artyście, czy okresie sztuki. Te końcowe dane, daty i fakty, były skrupulatnie przez nas notowane, bo w powojennym okresie – a i długo potem – nie były wydawane książki przydatne do poznawania historii sztuki. A gdy wreszcie zaczęły się ukazywać, to były to grube nudnawe tomiska przydatne raczej tylko studentom kursów uniwersyteckich. Dla osób chcących zapoznać się bliżej z różnymi dziedzinami sztuki było mało przydatne, choćby dlatego, że nie było w tych podręcznikach ilustracji. Przykładem takiego podręcznika jest *Historia Sztuki* Piotra Lavedana, wydana w 1954 r. – bez żadnej ilustracji. Dopiero książki: *Sztuka cenniejsza niż złoto* Jana Białostockiego, *Historia sztuki* Michała Ałpatowa, *Ludzie i obrazy* Juliusza Starzyńskiego, *O nowoczesnym malarstwie francuskim* Romana Zrębowicza, *Historia Sztuki w zarysie* Karola Estreichera, *Dzieła i Twórcy* Juliusza Feldhorna, i zwłaszcza 2-tomowa *Historia sztuki* Petera Meyera (PWN, 1973) – miały ilustracje i dawały – jakże późno - jakąś możliwość samodzielnego zapoznawania się z rozwojem sztuk plastycznych w Europie. Obecnie to nasze ówczesne zamknięcie się na świat wydaje się nieprawdopodobne, ale wtedy było faktem. Jednak gwoździem trzeba stwierdzić, że i przed Wojną u nas wcale nie było lepiej, a sztuka dobrej poligrafii kolorowej na całym świecie nawet po Wojnie dopiero po kilku latach na dobre się rozwinęła. I dopiero z czasem zaczęły przenikać do Polski wystawy książek z kolorowymi reprodukcjami obrazów sławnych malarzy – najczęściej ze szwajcarskiego wydawnictwa Skira. Dopiero w 1958 r. drogą zawiłych starań udało mi się zakupić album z reprodukcjami prac niezwykłego artysty Paula Klee – nabycie albumu wprowiło mnie w niebywale podniosły nastrój. W końcu lat 60tych pojawiła się możliwość nabywania oddzielnych egzemplarzy wielkoformatowych kolorowych reprodukcji, głównie w klubach między narodowej prasy i książki, popularnych „eMPiKach”. To jest dzisiaj oczywiste, mamy nawet w księgarniach zalew albumów z kolorowymi ilustracjami, a wtedy ta nowa możliwość, nabywania i kompletowania wspaniałych reprodukcji malarstwa światowego, rozpalala

emocje. Oprócz reprodukcji na zwykłym, choć dobrej jakości papierze, pojawiły się specjalne reprodukcje na utwardzonym podłożu naśladowującym płótno, oprawione w ramy, gotowe do zawieszenia na ścianie. Rozpowszechnione, teraz już nawet trochę spowszedniałe, wtedy jednak budziły zachwyt techniką odtworzenia faktury przypominającą do złudzenia obrazy oryginalne, nawet z sugestywnym odtworzeniem śladów pojedynczych pociągnięć pędzla.

Piszę o tym dlatego, by podkreślić olbrzymie znaczenie poznawania zbiorów kolorowych reprodukcji obrazów reprezentujących malarstwo Europejskie, nagromadzonych i dostępnych u Państwa Samotyhów, oraz możliwość analizowania faz rozwoju malarstwa w połączeniu z rozwojem architektury, bezpośrednio pod kierunkiem Pani Neli Samotyhowej - już od 1951 r. Dodam przy tym, że uczestnikom kompletów na ogół nie chodziło o to, by stać się historykiem sztuki, choć i to było możliwe, lecz zasadniczo o to, by się nauczyć patrzeć na obrazy i inne dzieła sztuki, i by samodzielnie, w pełni świadomie móc oceniać zarówno wartość dzieła, jak i wkład jego autora w artystyczne przedstawianie wrażeń z widzenia rzeczywistości. By również poznać, a nawet próbować zaakceptować to, że widzenie rzeczywistości może być różne w różnych epokach, że nawet w tej samej epoce może być odmienne, zależnie od kraju, i osobowości artysty. Oczywiście – komplety u Państwa Samotyhów zbierały się również po to, by przez kontakt ze sztuką wynurzać się z bardzo szarych nurtów ówczesnej rzeczywistości, ubogiej w doznania piękna.

Nela Samotyhowa (dla mnie zawsze – Pani Nela) powołując komplety w swoim mieszkaniu, w istocie powracała do swojej idei zapoczątkowanej i realizowanej przed Wojną w Instytucie Propagandy Sztuki – przedstawienie polskiego społeczeństwa na tory większego rozumienia i przyswajania sztuk plastycznych w ogóle, ale zwłaszcza poznawania tych nowych form malarstwa, jakie już przejawiały się w Kraju i docierały z zagranicy. Sztuki plastyczne, w tym malarstwo, przed Wojną wprowadziły nie uprawniały w pełni twierdzenia o „szarym” widzeniu rzeczywistości, nie mniej nowe formy sztuki natrafiały na niezrozumienie społeczeństwa, którego świadomość pozostawała na poziomie ugruntowanym jeszcze w połowie XIX wieku, dziełami Matejki, Grottgera, Chełmońskiego, Kossaków, Brandta. A jednak z początkiem wieku stopniowo przebijało się do świadomości bardziej wykształconych warstw społeczeństwa malarstwo Aleksandra i Maksymiliana Gierymskiego, Fałata, oraz obrazy Bractwa Św. Łukasza i malarzy z kręgu Komitetu Paryskiego, oraz innych nosicieli jeszcze nowszych prądów malarstwa zachodniego. Jednak po Wojnie nastąpiła regresja, po 1949 r. zapoczątkowane nowe kierunki malarstwa zostały przez władze państwowe – sprawujące w zniszczonym kraju dyktatorski mecenat w dziedzinie sztuki i literatury - opatrzone łatką opinii, że „szerzą formalizm”, podczas gdy „masom pracującym” jest potrzebna sztuka „realizmu socjalistycznego”, czyli taka, która sławiąc socjalizm, służy podniesieniu wydajności pracy, sławi przodowników pracy i innych bojowników o nowy ład społeczny. Te hasła i wytyczne docierały do Polski ze Wschodu, i w swej istocie nie były nowe. Podobne wygłaszano i wdrażano wcześniej nie tylko w ZSRR, lecz również w totalitarnych Niemczech. W Polsce zaostrenie kryteriów nowej sztuki zostało postanowione w klimacie obrad IX Plenum KC PZPR i II Zjazdu Partii, wdrożenie nowych zasad kwalifikacji dzieł plastycznych przeznaczonych do wystaw zaprogramowano na XI Sesji Rady Kultury, pod przewodnictwem Lucjana Motyki, Dyrektora Centralnego Zarządu Sztuk Plastycznych i Wystaw. Powstał biurokratyzowany gorset wskazań, który miał obowiązywać twórców traktowanych jako wykonawców ideowych wskazań Partii. Te nowe wskazania zawracały rozwój sztuk plastycznych raczej w kierunku utrwalania najbardziej konserwatywnych form wykształconych w XIX wieku, oraz sztuki prymitywnej plakatowej propagandy.

Hasła realizmu socjalistycznego były wdrażane gorliwie, w rezultacie na corocznych okręgowych wystawach Plastyki, i w Warszawie, tylko niekiedy można było dostrzec np. obrazy przedstawiające piękno kwiatów – „piękno bezideowe”, jakby przemyczone cichaczem.

Z jednej takiej wystawy (IV Ogólnopolska Wystawa Plastyki, Warszawa czerwiec- wrzesień 1954) napisałem na konkurs recenzję, nawet została dostrzeżona i wyróżniona (ale nie nagrodzona), chociaż nie omieszkalem docenić walorów obrazów Studnickiego i Marczyńskiego, nie koniecznie namalowanych według nowych koncepcji. Nagrodę główną otrzymał wtedy E.Eibisch (za obraz „*Lenin i Spójnia*”). Rej na Wystawie, i w Związku Plastyków wodziła H.Krajewska (*Pogrzeb partyzanta*) z mężem J.Krajewskim (*Powstanie chłopskie w powiecie leskim*). Jednak nie była to całkiem zła wystawa – z niej, po przebiegłym złożeniu należnych „hołdów” nowej idei lansowanej przez partyjnych urzędników administrujących „kulturą”, wylęła się plejada znanych później, wybitnych malarzy– na przykład Andrzej Strumiłło, Hanna Rudzka-Cybisowa, Wacław Taranczewski.

Dla Pani Neli Samotyhowej wdrażane administracyjnie nowe idee oznaczały trudności w drukowaniu prac, oraz wzmoczenie motywacji do tworzenia kompletów. Wszak nowe kryteria w pogoni za obrazowaniem „typowości” owocowały obrazami byle jakimi, pozbawionymi piękna, malowanymi według wskazań niewykształconych działaczy urzędniczych. Sama idea malowania prezentującego wysiłek twórczy, czy prace fizyczne i ludzi pracy, robotników – nie była obca. Ludzi pracy, przy pracy, mało piękną rzeczywistość życia codziennego, powszedniego – malowano przecież często. Już w dawnych czasach tego rodzaju tematy podejmowali liczni malarze, na przykład Pieter de Hooch, Jean Baptiste Chardin, Jean Francis Millet, w nowszych zaś - Gustave Courbet, Fernand Leger, Jan Matejko, Vincent van Gogh, w Polsce Aleksander Gierymski. Najbardziej programowo malował fizyczny trud i ludzi „pospolitych” Gustave Courbet, który rewolucyjnie i wręcz bojowo przedstawiał publiczności przyzwyczajonej do tematów wzniosłych, obrazy ludzi prostych przy ich zajęciach, na przykład pracujących kamieniarzy, a nawet namalował grupę zwyczajnych ludzi zajętych grzebaniem zmarłego. Obrazy Gustawa Courbet były zawsze dobrze skomponowane, przy realistycznym ujęciu były malowane prawdziwie i pięknie. Natomiast obrazy i rzeźby wykonywane w myśl ideowych wskazań niewybrednych członków KC PZPR (na przykład dla ozdoby nowych budowli wznoszonych w Warszawie) w swym urojonym soc-realizmie były toporne, tendencyjnie brzydkie. O ileż większe wrażenie wywołują liczne prehistoryczne malowidła naskalne, odkryte w XX wieku w licznych grotach. Ukazane w nich postacie zwierząt, i sprawujących polowanie ludzi, chociaż uproszczone, są pełne ekspresji.

Jeszcze gorzej wyglądało wdrażanie nowych kryteriów w literaturze, prowadzone pod nadzorem członka KC Jerzego Putramenta, agenta NKWD. Na przykład, długo nie można było drukować utworów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Lansowano różne prace, w krzywym świetle przedstawiające Polską literaturę i sztukę, zwłaszcza w minionym międzywojennym dwudziestoleciu. Sam miałem pewne zdarzenie z tym związane, gdy w gmachu Czytelnika, gdzie pobierałem dla swego Liceum książki tego wydawnictwa, głośno wyraziłem negatywną opinię o „Świętej kuli”, jednej z pierwszych książek Putramenta. Zostałem wtedy od razu poproszony na rozmowę z przedstawicielką Dyrekcji Czytelnika, zresztą przystojną i jeszcze dość młodą, ale próbującą mnie w poglądach ostro temperować. Ta rozmowa mogła się dla mnie źle skończyć, na przykład wydaleniem ze szkoły, tak wtedy wyobrażałem jej ewentualne skutki, jednak w końcu upór i wypowiedź uszły mi na sucho.

Organizując we własnym mieszkaniu komplety poświęcone studiowaniu historii sztuk plastycznych, Nela Samotyhowa wznawiała niejako dotychczasową działalność prowadzoną wcześniej w Instytucie Propagandy Sztuki, jednak teraz już w nieco innych warunkach. Grono chętnych musiało być mniejsze, że względu na szczupłość mieszkania. Do kompletów przystępowały na ogół osoby wykształcone - wśród nich studenci, które pragnęły zdobyć wiedzę z zakresu historii sztuki. Chyba najbardziej do tych studiów skłaniała przygnębiająca nijakość, szarzyzna ówczesnego życia. Dla Pani Neli Samotyhowej możliwość prowadzenia kompletów w trybie seminariów podobnych do uniwersyteckich, i według określonego

programu, kompensowała w dużym stopniu trudności w dostępie do druku. Na kompletach możliwe było zapoznawanie się z malarstwem europejskim – w kolejnych fazach rozwoju historycznego. Postęp w sztuce malarstwa w różnych krajach i epokach poznawało się stopniowo i w zasadzie kolejno, chociaż zauważało się przy tym przenikanie stylów i kierunków rozwoju. Szczególną uwagę zwracało się na indywidualne osiągnięcia i oddziaływanie artystów wybitnych. Konieczne było ciągle uporządkowane gromadzenie wiedzy o zmianach zachodzących w widzeniu i przedstawianiu artystycznym – rzeczywistości, idei i wyobrażeń - co pozwalało na późniejsze rozumienie rozwoju sztuk plastycznych jako ciągle doskonalącego się procesu.

Ponadto, bardzo istotne było uczenie się i pogłębianie wrażliwości w odbiorze dzieł sztuki, oraz rozróżnianie epok i stylów. To było zresztą właśnie głównym celem seminariów Pani Neli. Dlatego też byliśmy na tych spotkaniach ciągle zajęci poznawaniem i porównywaniem wielu różnych dzieł malarskich, oraz ich opisywaniem.

Analizowanie obrazów, treści i stylu, z konieczności odbywało się przy wykorzystaniu ich reprodukcji – zwykle pocztówkowych. Były u nas po zniszczeniach wojennych trudno dostępne, sztuka poligrafii w naszym kraju dopiero pączkowała, reprodukcje przez nas analizowane pochodziły z krajów zachodnich. Pani Nela miała nawet po kilka kompletów reprodukcji prawie każdego analizowanego obrazu, wielkie zasługi w ich zdobywaniu miał, jak wiem – profesor Erazm. Niektóre reprodukcje pochodziły z korespondencji Marii Dąbrowskiej, zaangażowanej do ich zdobywania.

Tu jest okazja do zauważenia, że w krajach zachodnich malarstwo, zwłaszcza malarstwo nowoczesne, upowszechniało się początkowo równie trudno, jak i u nas. Jednak w niektórych krajach, zwłaszcza w Holandii i Flandrii, obrazy malarskie zaczęły się pojawiać w domach prywatnych znacznie wcześniej, niż u nas – najpierw w bogatych domach kupieckich. Więc i przyswajanie zdobyczy malarstwa, w tym nowoczesnego, było w tych krajach wcześniejsze.

Uważam, że Nela i Erazm Samotyhowie ideę uwrażliwienia polskiego społeczeństwa na dzieła sztuki przywieźli do kraju z Belgii, gdzie Nela Samotyhowa studiowała historię sztuki.

Na przełomie XIX-XX w. analizowanie dzieł sztuki z różnych epok i krajów, oraz indywidualnego stylu oddzielnych artystów, przejawiało się ukształtowaniem nowych kryteriów i pojęć. Przyswojenie ich ułatwiało porozumiewanie się koneserów sztuki, oraz określanie wartości i pochodzenia dzieł. Takie zespoły pojęć oparte na analizie dzieł z jednej lub kilku epok, chociaż nie mogą być nazwane teoriami sztuki w takim samym sensie, w jakim nazywa się teorie nauk przyrodniczych, stały się niezwykle użyteczne praktycznie w metodologii rozpoznawania wszelkich dzieł - malarskich, rzeźbiarskich i architektonicznych.

Gdy to piszę (2015 r.), mija właśnie 100 lat od ukazania się pierwszej i bardzo ważnej dla teorii sztuki książki szwajcarskiego historyka Henryka Wölfflina, pod tytułem

*Kunstgeschichtliche Grundbegriffe. Das Problem der Stilentwicklung in der Neueren Kunst.*

To doskonałe opracowane, napisane pięknym stylem dzieło, przedstawiało teorię rozwoju sztuk plastycznych w oparciu o znakomite, starannie dobrane przykłady z historii sztuki epoki Renesansu, i epok późniejszych. Wysunięte stwierdzenia autora i nazwy nowych form plastycznych, miały wielkie znaczenie poznawcze i dydaktyczne. Książka Henryka Wölfflina zyskała niezwykłą popularność, miała kilkanaście wydań w języku niemieckim, wkrótce została przełożona na hiszpański, rosyjski i angielski. Polskie wydanie w znakomitym tłumaczeniu Danuty Hanulanki (które w tej chwili mam przed sobą) ukazało się w 1962 r. pod tytułem *Podstawowe pojęcia historii sztuki. Problem rozwoju stylu w sztuce nowożytnej*, nakładem Wydawnictwa Ossolineum.

Bieg myśli i stwierdzenia H.Wölfflina można uogólnić we wniosku, że wprawdzie rozwój sztuki zachodnio-europejskiej od Gotyku do Renesansu i następnych epok był kręty, i w poszczególnych krajach przebiegał nieco odmiennie, to jednak w całości był procesem ciągłego rozwoju, którego fazy charakteryzowały pewne nowe cechy, które wymienia.

Dostrzeżenie i określenie cech charakterystycznych dla kolejnych cykli rozwoju sztuki europejskiej bywa często nazywane *tezami Wölfflina*.

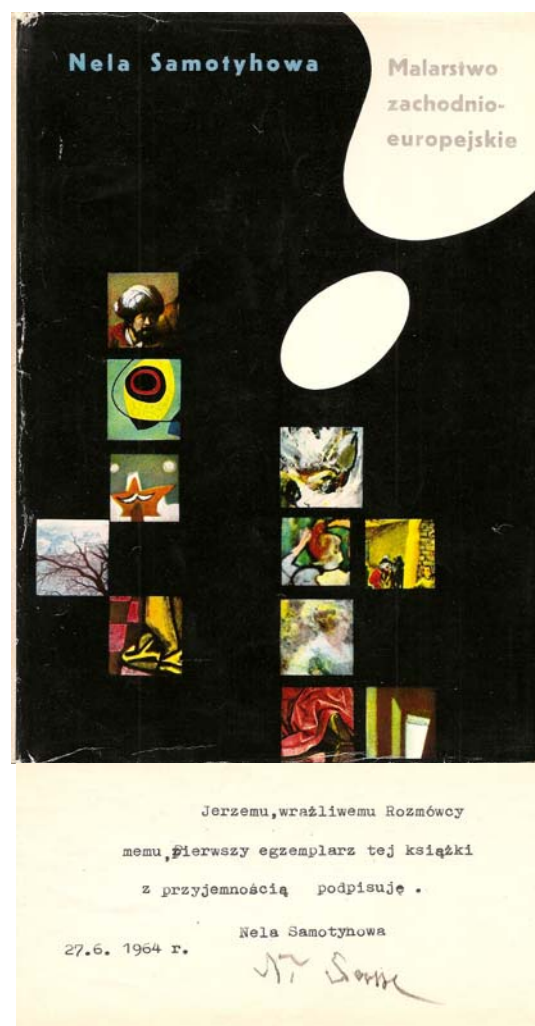
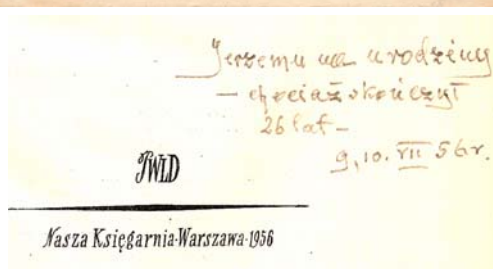
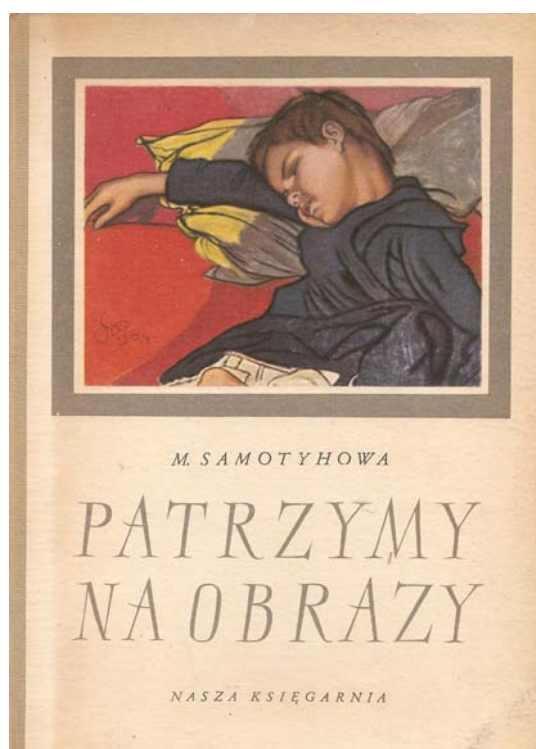
Na kompletach Pani Nela wprowadzała metody zawarte w tezach Wölfflina ostrożnie i stopniowo, wiadomo było, że jeszcze za życia, ale zwłaszcza po od śmierci autora (1945 r.) wiele spostrzeżeń Wölfflina było krytykowanych lub przyjmowanych z zastrzeżeniami, inne należało uzupełniać. Na przykład, zaczęto wyodrębniać jako osobny okres Manieryzmu, lokując go w drugiej połowie XVI w., po szczycie Renesansu, tuż przed Barokiem, i przypisując mu schyłkowość. Wkrótce należało i to twierdzenie prostować, gdy zauważono i doceniono cechy odmiennego stylu modelowania postaci, oraz odwzorowywania drobnych przedmiotów, jakimi odznaczał się Manieryzm we Francji i Hiszpanii. Oczywiście, wiadomo - w dziełach sztuki, a i w teoriach jej rozwoju - „dostrzega się to, co się chce”. To znane powiedzenie doskonale – chociaż nieraz z gorzkim posmakiem – pasuje zarówno do „monumentalnych” odwzorowań postaci Lenina, górników w niszach ścian warszawskiej MDM, jak również do dziejów obrazu „Wymarsz straży miejskiej” Rembrandta.

Chociaż nie można metodologii rozwiniętej po ogłoszeniu prac Wölfflina uznać za uniwersalną, przystającą do analizy rozwoju sztuki w bardzo odległych kulturowo krajach, takich jak Chiny czy Indie, ani do analizowania niektórych najnowszych stylów, to jednak podstawowe pojęcia tej metodologii utrwaliły się już na dobre, tworząc rodzaj „kodu” ułatwiającego porozumiewanie się. Należą do nich, na przykład, pary antynomii – linearyzm-malarskość, płaszczyzna-głębia, wielość-jedność, jasność-niejasność, tektoniczność-atektoniczność, forma zamknięta-forma otwarta. Nie jest jednak moim zamiarem szczegółowe wymienianie nazw tych pojęć, ani demonstrowanie metod ich wprowadzania na kompletach – z reguły na przykładach, bo to są sprawy z dziedziny psychologii i warsztatu dydaktycznego. Mogę jedynie stwierdzić, że Pani Nela dążyła nie tylko do świadomego stosowania tych pojęć, lecz w istocie do samodzielnego do nich dochodzenia, jakby je drzemiające „wybudzała” w umysłach słuchaczy. Bardzo pomocna była analiza obrazów renesansowych, zwłaszcza opisywanie dostrzeganych zasad ich konstrukcji. Temu zwykle towarzyszyło wyodrębnianie głównych linii – czyli jakby „schematu” konstrukcyjnego obrazu. Mam zachowane rozliczne przykłady takich schematów, najczęściej z konieczności szkicowanych szybko – z uwagami Pani Neli. Bardzo istotną sprawą było rozbudzanie spostrzegawczości – jakże cieszyliśmy się, gdy ktoś z zespołu odnajdywał jakiś szczegół lub symbol, niedostrzeżony przez pozostałych, a istotny dla dopełnienia analizy. Kopalnią takich ważnych szczegółów były obrazy Pitera Breugla i Hieronima Boscha, których symbolika jest po dziś dzień rozważana.

Po pierwszym roku, gdy już nieźle wdrożyliśmy się do wspólnego poznawania i przeżywania wzruszeń towarzyszących rozważaniu dzieł sztuki, wspólnie z Panią Nela zastanawialiśmy się, czym będziemy się zajmować w przyszłym sezonie. Więc kolejno poznawaliśmy malarstwo włoskie, francuskie, hiszpańskie, niemieckie, holenderskie, polskie, sztukę współczesną – przez prawie 10 lat.

W tym czasie Pani Neli udało się jednak wydać w 1956 r. książkę „*Patrzymy na obrazy*”, przeznaczoną dla dzieci i nauczycieli. Została dobrze przyjęta, a zadzierzgnięte dobre kontakty z Naszą Księgarnią pozwoliły myśleć o wydaniu znacznie większej książki dla dorosłych. I taka się ukazała w 1962 r. pod tytułem „*Malarstwo zachodnio-europejskie. Popularny zarys rozwoju form malarzkich od katakumb do połowy XX wieku.*”. To już były inne czasy, i wysuwane wcześniej oskarżenia twórców o „formalizm”, autorów o uleganie wpływom „zgniłej” zachodniej kultury – już nie działały tak silnie. W Naszej Księgarni planowano wydania książek Neli Samotyhowej za granicą. Towarzyszyłem Pani Neli przy rozmowach nad wydaniem ich w Jugosławii. Pomóc wiele nie mogłem, ale starałem się. Zachowuję pieczołowicie pierwsze egzemplarze książek podarowane mi przez Autorkę bezpośrednio po wydrukowaniu. Przechowuję napisany własnoręczny życiorys, oraz wielopozycyjny, szczegółowy wykaz publikacji, odczytów, audycji radiowych, oraz filmów.





Drżenie ręki, w ostatniej dekadzie życia duże, coraz bardziej utrudniało pisanie ręczne. Dlatego Pani Nela dość wcześnie zaopatrzyła się w maszynę do pisania – zdobycie jej nie było łatwe, jak i opanowanie samej techniki pisania na maszynie. Nela Samotyhowa była jednak uparta, była tytanem pracy – chciała gromadzić i zapisywać spostrzeżenia, i pisała do końca życia. Zostały stopy szkolnych zeszytów, z Jej uwagami, spostrzeżeniami – tworzyłem do planowanych publikacji.

**Piątek, 1 kwietnia 2016 r.**

Przystępuję do pisania dalszego ciągu WSPOMNIENI, z pewną obawą o utracenie formy pisarskiej i tych cech, które decydują o ciągłości pisania, a wynikają z wchłaniania tej masy zmian, zwłaszcza politycznych i kulturalnych, jakie nastąpiły w Kraju od września ub. roku, gdy przestałem pisać. Przerwa jednak w pewnej mierze wynikała z kłopotów z moim systemem komputerowo-drukarkowym, którego zaburzeniom nie mógł sprostać znajomy warszawski informatyk. Dopiero tygodniowy wyjazd do Zaklikowa i pomoc Grzegorza Janika doprowadziły do stanu używalności mojego starego Lenovo R61i z systemem XP, oraz skanującej drukarki HP4280. W komputerze zamiast zwykłego (obrotowego) HD została zainstalowana pamięć stała SS (działającą identycznie jak pen-drive), bardzo szybka, co samo w sobie zachęca do wznowienia pracy. Więc na wznowienie przeskanowałem część zbioru schematów sporządzonych na kompletach Pani Neli – niektóre zachowały się całkiem dobrze, z ręcznymi dopiskami Pani Neli. Są głównie mojego autorstwa, ale nie tylko. Zastanawiam się nad ich wykorzystaniem, i w ogóle nad dalszym tokiem wspomnień. Bo nie chciałbym ani zamieszczać wiele schematów, ani tłumaczyć metodę dydaktyczną Pani Neli, jaką w ciągu lat

wypracowała i którą posługiwała się przy rozwijaniu wrażliwości na dzieła sztuki malarskiej. Była inna faza rozwoju kultury i odbioru społecznego dzieł plastycznych - obecnie są lepiej rozumiane i dostępne w muzeach, na wystawach, oraz w licznych i nie bardzo drogich albumach poświęconym malarstwu. Jest to niewątpliwie zasługa elity środowisk kulturalnych, i samej Neli Samotyhowej. Metoda dydaktyczna „dialogizowania” przy omawianiu dzieł plastycznych, której Twórcą jest Nela Samotyhowa, została wcześniej dostrzeżona. Była tematem prac analitycznych z dziedziny dydaktyki, wymienię tu zwłaszcza opracowanie profesor Ireny Wojnar pt. *Pionierka wychowania przez Sztukę, Nela Samotyhowa 1876-1965* (Literatura, 16 marca 1977, str.14). Opracowanie to, podsumowujące rolę i osiągnięcia Neli Samotyhowej, rozpoczyna się zdaniem: *Była, jak Stefania Sempołowska, Helena Radlińska, Maria Dąbrowska, przedstawicielką postępowej inteligencji polskiej walczącej, jeszcze w czasach niewoli, a i później, w latach drugiej i trzeciej niepodległości o „zorganizowane społecznie, nowe sumienie człowieka”*.

Aniela (Nela) Samotyhowa ma obszerny biogram w Polskim Słowniku Biograficznym (t.XXXIV) z 1992-93 r.) We wczesnych publikacjach używała pseudonimu Konrada Radwan. Jej postać wprowadził pod nazwiskiem *Tyhańska* Juliusz Kaden Bandrowski w powieści „Proch”. Staraniem bliskich (zwłaszcza Ireny Wojnar), kompletne archiwum dokumentujące działalność oświatową Neli Samotyhowej zostało złożone w Archiwum Polskiej Akademii Nauk. Wydaniu książki przez „Naszą Księgarnię” towarzyszyły recenzje i omówienia naświetlające wartość dzieła.

Najbardziej trafne, choć nie długie omówienie książki, potrzeby jej opracowania i funkcjonowania w społeczeństwie, zamieścił Wacław Sadkowski, w *Życiu Warszawy*, w dziale „Witryna Księgarska” - pod inteligentnym tytułem „*Sztuka widzenia Sztuki*”. Jest samo w sobie interesujące, że uczynił to człowiek uważany zarówno za wytrawnego znawcę spraw kultury i zwłaszcza literatury światowej, jak i za oddanego działacza partii, prezesa kilku czołowych Wydawnictw, w tym „Czytelnika”. Widocznie miał swobodę wypowiedzi, i skorzystał z niej, poznawszy się na wartości książki Pani Neli. *Chapaux bas!* - w zastępstwie Pani Neli dziękuję za tę krótką, a bardzo istotną charakterystykę książki, zamieszczoną zresztą bodaj w *Trybunie Ludu*, a nie w *Życiu Warszawy*. Wacław Sadkowski publikuje nadal, zajmuje się chyba głównie analizą krytyczną i tłumaczeniami literatury światowej, mieszka gdzieś tu niedaleko na Mokotowie, jest nieco tylko młodszy ode mnie.

Najlepiej jednak metody popularyzacji dzieł sztuki wprowadzone przez Nelę Samotyhową przedstawione zostały przez Nią samą, przy omawianiu kolejnych etapów rozwoju form malarskich, w książce *Malarstwo zachodnio-europejskie*. To dzieło, *dzieło życia* Neli Samotyhowej, miało kilka wydań, i mimo upływu wielu lat nie straciło na znaczeniu.

### **Moje przystąpienie do kompletów**

Mimo dość wczesnego poznania Państwa Samotyhów, i regularnych odwiedzin, nie od razu zostałem włączony do „kompletów” – one się zresztą chyba dopiero tworzyły, i zajęcia odbywały się raczej w trybie towarzyskich spotkań, od przypadku do przypadku.

Postanowienie Pani Neli o zaczęciu regularnych cotygodniowych zajęć wieczornych we własnym mieszkaniu ukształtowało się zapewne po zaciśnięciu pętli ideologicznej kontroli nad wszelkimi publikacjami, po 1949 roku. Postanowienie to miało oczywiście cechy oporu narodowego, jak w czasie zaborów, ale nie było to akcentowane. Ostatecznie, jak sądzę, zespół, do którego przystąpiłem, powstał późną jesienią 1951r., byłem już wtedy studentem świeżo powołanego Wydziału Łączności, mieszkalem w pół-Sanatorium Akademickich przy ulicy Lipińskiej na dalekich Bielanach. Miałem tam warunki dobre pod każdym względem, z opieką lekarską łącznie, kłopotem był długi dojazd tramwajem 15, z pętli zaczynającej się z przy Akademii Wychowania Fizycznego (AWF). W pierwszych semestrach 1951 r. miałem wykłady głównie w salach Szkoły Wawelberga i Rotwanda, dołączonej w tym roku do

Politechniki (mimo wyraźnej niezgody obu środowisk). Po roku, jako już nieźle podleczoney gruźlik, zostałem z pół-Sanatorium wykwaterowany i przeniesiony do Domu Akademickiego przy Placu Narutowicza – oczywiście z o wiele gorszymi warunkami bytowania. W moim 4-ro osobowym pokoju z piętrowymi łózkami było nas trzech tak samo jak ja podleczonych gruźlików, czwarty – zdrowy kolega - zachorował później. W następnym roku jednak zostałem znowu mieszkańcem pół-Sanatorium, z tym, że instytucja ta została przeniesioną na ulicę Górnośląską (tuż przy Sejmie) – było znowu wygodnie i blisko do Politechniki, dojeżdżało się trolejbusami, linią kursującą przez skośną, krętą, w zimie śliską ulicę Myśliwiecką. Wtedy leczenie gruźlików przebiegało już sprawniej, głównie dzięki dostępności Rimifonu, i pojawienia się innych, nawet bardziej skutecznych leków.

Na początku swojej książki Pani Nela wymienia imiona słuchaczy pierwszego zespołu „kompletowego: Barbara, Irena, Jadwiga, Halina i Zofia, oraz Jerzy, Zbigniew, Marek. Jednak przez zespół przewinęło się więcej osób, były też dwie Barbary, a nie jedna, a w pewnym okresie pojawiła się i trzecia Barbara, na krótko. Ja raczej zapamiętałem nazwiska – Pani Barbara Kocówna, Pani Oganezow, Pani Halina Korsakówna, Pan Zbigniew Makowiecki, Pan Dworski, Pan Marek Peszke. Wszyscy mieli rozpoczęte, lub ukończone studia wyższe. Niektórych zapamiętałem bardziej, niż innych, np. inteligentnie i dowcipnie wypowiadająca się Barbara Kocówna była redaktorem w PIW, urodziwa Halina Korsakówna – wybijająca się temperamentem – specjalizowała się w chirurgii. Zwerbowany przeze mnie starszy kolega z pół-Sanatorium, ciężko chory Marek Peszke, uczestnik Powstania Warszawskiego, kończący z trudem Chemię (był już na Chemii asystentem), odznaczał się niezwykłą inteligencją i zmysłem analitycznym (w końcu do Chemii nie wrócił, został uznanym Międzynarodowej klasy sędzią w turniejach brydżowych w Ostendzie).

Zbigniewa Makowieckiego z Politechniki, zapewne mojego równolatka, zapamiętałem jak członka zespołu dużo bardziej skrupulatnego ode mnie w prowadzeniu notatek i zapamiętywaniu treści poprzednich wykładów. Siedzącą przy mnie Panią Oganezow, szczupłą blondynkę, bardzo silnie reagującą na malarstwo - zwykle zatroskaną sprawami domowymi, zapamiętałem również z intarsji wykonywanych w domu przez jej męża, wysokiego szczebla urzędnika ministerialnego. Zaproszeni do domu, oglądaliśmy te precyzyjnie wykonane dzieła sztuki intarsji, niektóre z obrazów starych mistrzów. Wszystkich członków zespołu rozpoznałbym od razu przy spotkaniu, pamiętam też ich niektóre charakterystyczne wypowiedzi – ale może tylko ja z tej dobranej paczki pozostałem jeszcze przy życiu.

Sądzę, że zaproponowanie mi przystąpienia do kompletu nastąpiło po pewnego rodzaju rozpoznaniu, czy ja się „nadaję”. Bo chociaż bywałem u PP. Samotyhów, to jednak wizyty te były rzadkie i nie sprzyjały wzajemnemu zbliżeniu. Nie było na to czasu, mieszkalem daleko, dojeżdżałem z Miedzeszyna koleją. A potem wprowadzie mieszkalem już w Warszawie na ulicy Długiej, ale był to gorący czas przedmaturalny. Po maturze zaś podjąłem pracę w WAT na dalekim Bemowie i tam kwaterowałem. Później, już będąc w Politechnice, mieszkalem „byle gdzie”, i „jak się dało” – aż do momentu ulokowania się w pół-Sanatorium na Bielanych. To był dobry czas dla mnie, pod każdym względem. Wspominałem już, że kiedyś zwiedzałem z Profesorem Erazmem wystawę malarstwa francuskiego, i wyraziłem zdumienie, że można „rozumieć” obrazy, i można twierdzić, że są „dobre”, lub „nie dobre”, że można określać epokę, domyślać się – kto te obrazy namalował. Sądzę, że te moje uwagi zostały zapamiętane, nie tylko przeze mnie, i że miały znaczenie. A kiedyś, przybywszy do PP. Samotyhów, zastałem Panią Nelę przy rozłożonych „obrazkach” – jeden z nich został mi przedstawiony (wtedy jeszcze zwracano się do mnie per „Pan”), z pytaniem, co ja na nim widzę i co mam do powiedzenia. Była to pocztówkowa reprodukcja zamieszczonego niżej obrazu z Janem Chrzcicielem. Ten obraz – po latach – razem z dwoma innymi – znalazł się później we wstępnym omówieniu książki Pani Neli, wtedy zapewne dopiero planowanej. Nie



zdawałem sobie sprawy, że to jest jakiś egzamin, zwłaszcza, że Pani Nela nie zadawała pytań, tylko słuchała, co ja mówię, na co zwrócę uwagę.

Niewiele pamiętam, ale zapewne stwierdzałem, że obraz jest „stary”, że przedstawia w sposób staroświecki pejzaż z drzewami, z wąwozem w którym płynie strumień. Miałem kłopoty z określeniem dziwnej postaci, uroczyście siedzącej, z podpartą głową, zamyślanej, z bosymi pokrzywionymi od starości stopami, wystającymi z pod nader obszernych i bardzo pofałdowanych szat. Nie może to być zwykły pastuch widocznego opodal stada owiec, raczej jakiś pustelnik, lub męczennik, bo wskazuje na to obecność białego baranka, symbolu Ofiary.

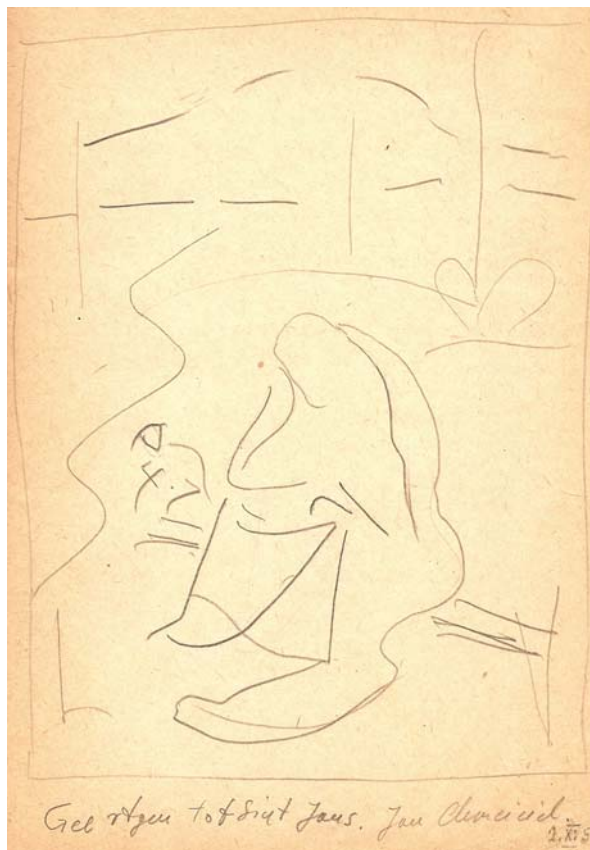
Pani Nela dopiero w tym momencie wyjaśniła mi, że to jest Jan Chrzciciel – na co ja z kolei zdziwiłem się – bo Jan Chrzciciel powinien być raczej silnym młodym mężczyzną, a nie niedołężnym starcem. Na tym pokaz się skończył – możliwe, że to był „egzamin wstępny”.

A gdy już zacząłem brać udział w kompletach, ku memu zdumieniu otrzymałem tę samą reprodukcję, z zadaniem narysowania linii ułatwiających zrozumienie istoty budowy obrazu, czyli jakby jego szkicu-schematu konstrukcyjnego. Chociaż już byłem po wielu seansach, i byłem już „osłuchany”, więc niby „uczony” – ten schemat nie bardzo mi wyszedł.



Geertgen tot Sint Jans

Jan Chrzciciel



Twórca obrazu, malarz niderlandzki Geertgen tot Sint Jans, zmarł młodo (w wieku ok. 28 lat) w 1495 r. Był związany z klasztorem Joannitów w Haarlemie, gdzie jako brat świecki mieszkał i gdzie został pogrzebany, chociaż formalnie nie należał do Zakonu. Stosował nowatorskie metody wyrażania głębi przestrzeni malowanych pejzaży. W jego scenach religijnych występują szczególne efekty świetlne, na przykład w *Adoracji Narodzin* źródłem światła jest samo Dzieciątko.

Są wypowiedzane opinie, że gdyby Geertgen tot Sint Jans żył dłużej, rozwój malarstwa flamandzkiego przebiegał by znacznie szybciej i zapewne wcześniej wszedłby w fazę malarstwa renesansowego, którego był zapowiedzią. W znanych obrazach tego malarza dostrzega się jednak jeszcze wyraźne ślady malarstwa z wcześniejszej epoki, nazywanej – niezbyt szczęśliwie – „gotykiem”.

Początkowo nie przepadałem za malarstwem gotyckim, statycznym, płaskim przedstawianiem ustawionych obok siebie – i obojętnych względem siebie – postaci Świętych, ze złotymi aureolami. Malowanych zwykle jednakowo, bez tła i z męczącym nadmiarem ozdób, tronów i elementów architektury. Na kompletach jednak wraz z innymi rozważałem to malarstwo, i zacząłem zwłaszcza cenić witraże, dążąc do zrozumienia dalszych kolein rozwoju malarstwa europejskiego. Z czasem zacząłem dostrzegać i rozumieć – niejako wstecz – gotyckie sztywne kanony kościelnego malarstwa wywodzącego się w imperium rzymskim od odwiecznych zasad obowiązujących we wschodniej części imperium, czyli w strefie greckiej kultury Bizancjum. Odejście od dotychczasowych dworsko-kościelnych zasad malarstwa, które było prawie wyłącznie malarstwem sakralnym, nastąpiło w zachodniej części imperium, pod wpływem plejady mistrzów, którzy w XIII-XIV wiekach pojawili się w Italii. Byli zdolni i odkrywcy, byli liczni – ale największy wpływ na rozwój malarstwa europejskiego wywarli dwaj prawdziwi tytani – Cimabue i Giotto di Bondone. Obaj byli zarówno malarzami, jak i architektami. Już Cimabue (wł. Cenni di Pepo), który był starszy (żył w latach 1240-1303), zaczął malować Madonny z pewnym akcentowaniem ich cielesności, oraz ożywionego, skierowanego w stronę widza spojrzenia. Uważa się, że pogłębił ten sposób widzenia i malowania pod wpływem spotkania z młodszym Giottem (żył w latach 1266-1337), który dokonał jeszcze innej, ogromnej rewolucji, gdy poza malowaniem „pełnych życia” Madonn, zaczął przedstawiać sceny religijne jako wydarzenia angażujące grupy ludzi w dramatycznych akcjach. To było zasadniczą nowością, bo obrazy pozostawały wprawdzie nadal w kręgu sztuki religijnej, ale same te relacje – przedstawianie dynamicznie tłumu jakby w ujęciach reporterskich – oddziaływały niezwykle emocjonalnie, tak jak we fresku *Pocałunek Judasza*.

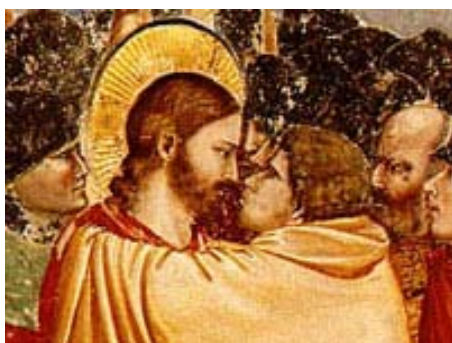


Giotto di Bondone

Pocałunek Judasza



szkic Barbary Kocówny (?)



Fragment fresku *Pocałunek Judasza* uzmysławia, jak dalece Giotto wyprzedził epokę, różnicując fizjonomie i wprowadzając relacje psychiczne między ludźmi, oraz wprowadzając „zwykłych ludzi”. Tym samym można uznać, że Giotto zapoczątkował również podstawy portretowania ludzi świeckich, portretowania ich „dla nich samych”, a niekoniecznie z motywów religijnych. To też portrety z okresu wczesnego Renesansu odznaczają się wyjątkowym realizmem, nawet naturalizmem, gdy ujawniają różne defekty twarzy (jak brodawki, blizny itp.). W późniejszych okresach ta tendencja prawie zanikła, a w naszych czasach dominuje idealizujące retuszowanie twarzy osób portretowanych.



Skoro w swojej relacji z kompletów doszedłem do XII wieku, i do malarstwa Cimabue i Giotto, prekursorów Renesansu (nazywanego w języku polskim *Odrodzeniem*), chciałbym wytłumaczyć się z używania – być może nadużywania - słowa „gotyk”, zwłaszcza w zwrotach „sztuka gotycka”, a już szczególnie w określeniu „epoka sztuki gotyckiej”. Bo zwroty te – zainicjowane przez Vasarięgo w sensie pejoratywnym - są czasami mylące. Pani Nela Samotyhowa używała je, ale nie często, a w określaniu epok rozwoju malarstwa wołała posługiwać się zwrotami „Duocento” dla sztuki wieku XIII, „Trecento” dla sztuki wieku XIV, oraz „Quattrocento”, „Cinquecento” dla sztuki wieków XV i XVI. Jednak w książce zamiast zapożyczonych z języka włoskiego numeracji wieków, stosuje typową numerację europejską. Trzeba jednak uwzględnić i to, że numeracja włoska jest mocno utrwalona w literaturze dotyczącej Historii Sztuki, i należy co najmniej wiedzieć, że zapoczątkowane w Italii Odrodzenie to głównie wieki od XIV do XV, czyli „Trecento”, i „Quattrocento”, a z poprawką na kraje północne, w tym Polskę, do których Sztuka Renesansu dotarła później, również wiek XVI, czyli „Cinquecento”. Trzeba również wiedzieć, że malarstwo europejskie zmieniało się bardzo szybko, i że te włoskie nazwy służą nie tyle do określenia czasu, lecz głównie do wyrażenia odmiennych cech malarstwa i szybkich zmian zachodzących w europejskiej kulturze tego okresu.

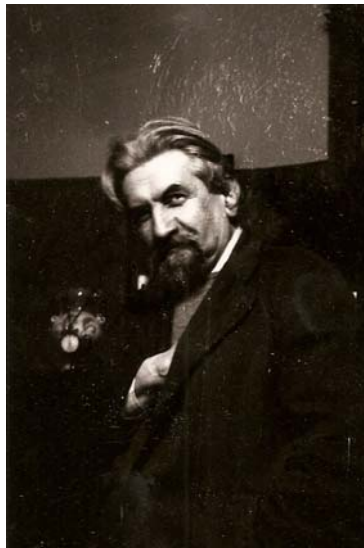
Wracając do krytycznego nazewnictwa „epoka gotyku”, należy stwierdzić, że zerwanie z hieratycznym greckiego pochodzenia malarstwem gotyckim nastąpiło wraz z Odrodzeniem tylko w krajach zachodnio-europejskich. A również, że nazwy „gotyk” i „sztuka gotycka” związane są teraz niemal wyłącznie z architekturą, z budową strzelistych, pnących się ku górze Katedr. Nie całkiem słusznie, bo „gotyk” w architekturze wyraża się też często lekkością konstrukcji poziomych arkad, w których przechadzają się medytujący zakonnicy i studenci klasztornych Akademii. Na kompletach omawialiśmy powiązanie malarstwa z architekturą – co było oczywiste. Zarówno bowiem wnętrza, jak i zewnętrzne ściany i nawet dachy wyniosłych Katedr, oraz otaczające je dziedzińce i parki, należało wypełnić obrazami, posągami. Podobnie zresztą było we wcześniejszych epokach, gdy w budownictwie sakralnym dominowały poziome bardzo masywne struktury bazylik romańskich. Architektura gotycka, jej lekkość konstrukcyjna, rodziła się długo. Pierwsze katedry gotyckie zbudowano we Francji. Na kompletach poznawaliśmy rozwój architektury gotyckiej raczej w pewnym skrócie. Był oczywiście całkowicie odmienny od rozwoju malarstwa, które też w różnych krajach Europy było odmienne. Zasadnicze cechy rozwoju architektury gotyckiej wiązały się z naturalnym długim „cyklem produkcyjnym”, z którego wynikały bardzo duże przesunięcia czasowe. Strzeliste katedry nazywane gotyckimi były budowane przez dziesięciolecia, nawet najczęściej przez dwa wieki. Epoka gotyku w architekturze zrodziła wiele odmienności konstrukcyjnych i stylistycznych, i zresztą, jeszcze się nie zakończyła, sztuka gotycka w naszych czasach ciągle się rozwija. Na przykład, Katedra Sagrada Familia (Świętej Rodziny) w Barcelonie, której budowę rozpoczęto w 1820 r., została wprowadzie przez Benedykta XVI konsekrowana w 2010 r., ale jest nadal nieukończona. Jej secesyjne kształty, rezultat zastosowania współczesnej technologii, bardzo odbiegają od większości katedr nazywanych gotyckimi. Są tworem umysłu architekta Antoniego Gaudi, który choć poświęcił budowli 40 lat życia, po tragicznej śmierci pozostawił ją jednak w stanie dalekim od ukończenia.

Na kompletach przy rozważaniu architektury – wszelkiej architektury - zarówno romańskiej jak i gotyckiej - omawialiśmy oczywiście rozwój skojarzonego z architekturą rzeźbiarstwa, oparty na zespołach artystów, malarzy, szklarzy i rzeźbiarzy gromadzących się przy budowie katedr i wielkich zespołów klasztornych. W Dijon, stolicy Burgundii, powstała szkoła rzeźbiarzy, w której działał wielki rzeźbiarz holenderski Claus Sluter. Jego monumentalne dzieło – sześcioboczny słup kamienny z sześcioma figurami proroków – zwany *Studnią Mojżesza*, a również *Studnią proroków* (pokazany w książce), zostało jednak w znacznym stopniu zniszczone w czasach Rewolucji, jak i inne dzieła artystyczne.

Odrodzenie wpłynęło korzystnie na pewne wymieszanie – połączenie się - rodzajów Sztuki, najlepszym dowodem jest wspaniałe malarstwo Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Zanim do malarstwa tego dotrę, przedstawię wcześniejsze dzieła Renesansowe analizowane na kompletach u Pani Neli Samotyhowej. A na początku również Ją samą, oraz Profesora Erazma, a przy okazji i siebie, na fotografiach ze środkowych lat 50-tych ub. wieku.



Nela Samotyhowa przy swoim biurku



Profesor Erazm Samotyha



Jerzy Hubert Baranowski

Moje zdjęcie było wykonane w 1956 r., tuż po zamieszkaniu na Balonowej 22, gdy urodziła mi się córka, której nadałem imię Dorota. Imię to wybrałem wcześniej z kalendarza, na cześć Doroty Podlódzkiej, żony Jana Kochanowskiego. Byłem długo pod urokiem sztuki „*Droga do Czarnolasu*”, napisanej przez Aleksandra Maliszewskiego, granej w Teatrze Współczesnym w latach 50-tych. A później już byłem pod urokiem Córki, która swoje zaistnienie objawiła mi pierwszy raz poruszeniem się, gdy ją - niewidzianą jeszcze - na wyciągniętych rękach wynosiłem jako zawiniątko ze Szpitala Płockiego, gdzie przyszła na świat. Pod wrażeniem tego objawu życia omal nie spadłem wtedy z wysokich schodów wyjściowych tej Kliniki. A w domu, gdy ją po odwinięciu ujrzałem, od razu musiałem wejść w funkcje rodzicielskie – należało co rychlej zetrzeć przy użyciu gencjany liczne pęcherzyki, jakie dojrzałem na paluszkach. Były to pierwsze, i nie ostatnie moje zabiegi pielęgnacyjne.

W połowie lat 50-tych byłem już asystentem w Katedrze Podstaw Telekomunikacji, a jeszcze studentem kursu magisterskiego. Uczestniczyłem w samokształceniowych spotkaniach mających na celu zdobycie wiedzy w dziedzinie zastosowań półprzewodników. Ponadto, jako już wykształcony inżynier, przystąpiłem do zespołu projektującego i wykonującego nowatorskie konstrukcje laboratoryjnych przyrządów pomiarowych, zlecane Politechnice przez różne instytucje zewnętrzne. Takie zlecenia przynosiły niebagatelny dodatkowy dochód.

Oczywiście, moje życie wzbogaciło się o wyjazdy w czasie wakacji, głównie do Jachcic pod Bydgoszczą, gdzie były piękne wysokie lasy, płynęła Brda – zbierało się poziomki, łowiłem w Brdzie pstrągi. Oczywiście, starałem się uczestniczyć w kompletach u Pani Neli Samotyhowej. Taka złożona, ale dla mnie bardzo ciekawa mozaika zajęć, utrzymywała się przez wiele lat, i jakoś udawało mi się jej sprostać. Problemem było to, że niektóre zajęcia kolidowały ze sobą, i zdarzały się opóźnienia - w rezultacie, na przykład, swoją magisterską pracę dyplomową wykonałem z ponad rocznym poślizgiem. Zdarzały się też zgola anegdotyczne sytuacje – na przykład, ponieważ nie uczęszczałem na wykłady z „Teorii pola”, nie poznałem – bo nawet nie widziałem twarzy - wykładowcy, a musiałem zdać egzamin z tego poważnego przedmiotu. Więc przygotowałem się, nawet porządnie, z notatek kolegów, i

udało mi się szczęśliwie umówić telefonicznie na egzamin, w Pałacu Kultury, w PAN, bo tam był zatrudniony wykładowca, docent Krystyn Bochenek. Wcześniej obawiałem się, że może odmówić przeprowadzenia egzaminu, bo było już sporo po wyznaczonych terminach. Czulem się niezręcznie, mogłem wpaść, gdybym zdradził się z niechodzeniem na wykłady. A jeszcze, gdy przybyłem w wyznaczony piątek do Pałacu Kultury, i za wysokimi drzwiami ogromnej komnaty ujrzałem dwóch panów, siedzących tyłem względem drzwi, trochę się zagubiłem - i nie wiedziałem, do którego z nich mam podejść. Jednak błyskawicznie pozbierałem się, i gdy głośno, bardzo głośno oznajmiłem: *ja do docenta Bochenka!*, wiedziałem już, że to ten wysoki Pan, który podniósł się z fotela. Egzaminowany byłem bardzo szczegółowo i długo, bo w dwóch tygodniowych ratach. Zostałem oceniony tylko na 4½, bo mało wiedziałem o antenach dielektrycznych, tego w wypożyczonych notatkach nie było.

Podobnie, a nawet bardziej przeżywałem zaległy egzamin z Fizyki. Na kursie magisterskim wykładał Fizykę – w ujęciu znacznie bardziej złożonym i zmatematyzowanym, niż na kursie inżynierskim – docent Jerzy Plebański, „wypożyczony” z Instytutu Fizyki Teoretycznej UW. Wykładał w sposób pełen uroku, ale chyba bez rozeznania, że my nie mieliśmy należytego przygotowania do pojmowania zjawisk atomowych, opisywanych w wysokich rejestrach matematyki, z użyciem ujęcia tensorowego – to był dla nas wysoki próg. Rezultatem było generalne opóźnienie – nawet kilkuletnie - zakończenia egzaminów i rozpraw magisterskich, większości naszego rocznika. Ja na dodatkowe przestudiowanie zapisu tensorowego zjawisk fizycznych poświęciłem cały miesiąc, co na egzaminie z Fizyki zaowocowało stopniem 5. Te egzaminy – tylko te dwa – powracają we snach.

Wracam jednak do relacji z kompletów u Pani Neli. Z perspektywy lat wydaje mi się oczywiste, że komplety u Pani Neli dydaktycznie zasadały się na idei Wölfflina poznania przede wszystkim tych form malarskich, jakie kolejno kształtowały się we Włoszech w epoce Odrodzenia i jakie przenikały do innych krajów Europejskich. Takie nastawienie wynikało z przekonania, że rozwój form malarskich we Włoszech, ojczyźnie malarstwa po-gotyckiego, przebiegał najbardziej prawidłowo i jednocześnie szybko, więc poznawanie malarstwa włoskiego jest dobrym wprowadzeniem do poznania rozwoju malarstwa w całej Europie. Oczywiście, takie nastawienie zostało zaszczerpione nam i szerokiej publiczności w różnych pracach z przełomu XIX-XX wieków – w pierwszym rzędzie właśnie w dziele Wölfflina.

Naturalnie, dojście na kompletach do malarstwa Renesansu ogromnie wzbogaciło, i zdynamizowało nasze analizy i doznania. Uświadomiliśmy sobie bogactwo możliwych kompozycji, różnorodność stylów, odkrycie zasad perspektywy – i malowanie portretów oraz kompozycji obrazów świeckich, zarówno tych uświetniających sceny „dworskie”, rzeczywiste, bądź alegoryczne – czyli wydumane, ale i kompozycje obrazów poświęconych sytuacjom i czynnościom z życia codziennego. Do tych ostatnich doszliśmy jednak później, analizując sztukę Quattrocento, i zwłaszcza rozwój malarstwa olejnego w krajach północnych, więc na ziemiach Niderlandii, Flandrii i Holandii, gdzie bardziej niż w krajach południowych przejawiała się antropocentryczna skłonność do przedstawiania realiów życia, nawet gdy były to sceny z działań gospodarczych, sceny chłopskich zabaw i goszczenia w gospodach, sceny obrazujące życie kupców i mieszczan. Była ogromna szansa zastosowania wszystkich możliwości analizowania i różnicowania form, w powiązaniu z pomocnym nazewnictwem i spostrzeżeniami zawartymi w tezach Wölfflina.

Stopniowo więc uświadamialiśmy sobie, że dostrzegana „ładność” i prawidłowość wczesnych kompozycji Renesansowych, zwłaszcza Włoskich, nie wyczerpuje definicji Odrodzenia, uważanego początkowo jak skierowanie się ku formom antycznym. I że Odrodzenie można pojmować jako bardziej swobodne, wręcz nieskrępowane zwróceniu się ku rzeczywistości, nawet tej związanej z czynnościami zwykłego życia i pracy. I że często tak się malarstwo Odrodzenia przejawiało w krajach północnych, zwłaszcza w kulturze „chłopskiej” Flandrii.



Jan van Eyck

Portret Arnolfinich



Szkic Barbary Kocówny (?)

Nasza przewodniczka po Sztuce, Pani Nela Samotyhowa, studiowała w Brukseli, i dobrze poznała malarstwo flamandzkie, które w XIV wieku, i później, przodowało w Europie obok malarstwa włoskiego. Od Niej nauczyliśmy się dostrzegać i cenić charakterystyczne cechy malarstwa flamandzkiego, przejawiające się trzeźwością i realizmem w przedstawianiu szczegółów i scen z życia codziennego, oraz skłonnością do portretowania ludzi takimi, jakimi są, bez nadmiernego upiększania i idealizacji, które występowały w portretach mistrzów włoskich. Może te różnice wynikały z tego, że odbiorcami malarstwa flamandzkiego byli najczęściej zamożni mieszczaństwo, gildie kupieckie, samorządy miast, czyli sfery nazywane obecnie klasą średnią – podczas gdy sztuka włoska była bardziej zorientowana na dwory arystokracji, ozdabianie świątyń, i reguły wytyczone przez wysoką papieską hierarchię kościelną. Należy stwierdzić, że mimo pewnych kontaktów między Italią i Flandrią oraz innymi krajami Północy, występowały i inne znamienne odrębności. Na przykład, we Włoszech długo, nawet w epoce rozwiniętego Renesansu, wykorzystywano głównie technikę fresku i temperę, gdy w krajach północnych rozwinęło się i doskonało malarstwo olejne, stwarzające nowe możliwości obrazowania, zwłaszcza przy odtwarzaniu szczegółów. Największe osiągnięcia flamandzkiego malarstwa wiążą się z postaciami braci Huberta i Jana van Eycków, twórców skomplikowanego polptyku, *Ołtarza Gandawskiego*, arcydzieła sztuki, nazywanego również *Ołtarzem Adama i Ewy*. Jana van Eycka uważa się za głównego twórcę arcydzieła (odsłoniętego w 1432 r.), i pioniera malarstwa olejnego.

Na kompletach omawialiśmy przejawianie się w sztuce cech narodowych Flamandów, ich zamiłowania do rzetelnej pracy, a również sceny z życia chłopów i ich szalone zabawy. Wspominając nasze komplety, zauważyłem, że jednak za mało zajmowaliśmy się przeniesieniem techniki malowania olejnego z krajów północnych do Włoch, oraz charakterystyką stosowanych dotychczas technik malarskich. Odstępując więc na moment od przyjętej zasady relacjonowania tylko tego, co działo się na kompletach, sięgnąłem do „źródeł”, do znakomitego dzieła Giorgio Vasario (1511-1574) „Żywoty najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów”, wydane w 1985 r. w 9 tomach przez PIW, spolszczonego (w pierwszych 7 tomach) przez Karola Estreichera. Dzieło to otrzymałem w darze od Teresy i Tadeusza Niepokulczyckich, i często do niego zaglądałem, ceniąc konkretność opisów Vasario, Toskańczyka i Florentyńczyka, świadka i historiografa



rozkwitu Renesansu. Narażając się na zarzut plagiatu, cytuję niżej obszerne fragmenty z rozdziałów Vasariego poświęconych dawnej sztuce malowania. Cytuję Vasariego, bo pięknie, jasno opisuje dawne techniki malarskie, i równie pięknie przyswaja polszczyźnie te opisy Karol Estreicher. Opatruję cytaty z Vasariego oryginalnymi tytułami.

### ***O malowaniu na murze i jak to robić, i dlaczego nazywa się to freskiem***

Ze wszystkich tych sposobów, jakimi pracują malarze, do najbardziej mistrzowskich i pięknych należy malowanie na murze. Wymaga bowiem, by w ciągu jednego dnia wykonać to, co innym sposobem można zrobić w ciągu wielu dni.

Malowanie freskiem było u starożytnych wielce używane, a i nasi starsi malarze szli także po tej drodze. Fresk wypracowuje się na świeżej zaprawie i nie przerywa się pracy nad nim, dopóki nie skończy się tego, co miało się tego dnia zrobić. Ponieważ w razie przerwania malowania, zaprawa twardnieje z powodu ciepła, zimna czy mrozu, robota może spleśnieć i pokrywa się plamami. Trzeba ustawicznie zwilżać mur, na którym się maluje. A farby, jakich się używa, muszą być ziemnego i nie mineralnego pochodzenia. Biały kolor musi być robiony z wapna z trawertynu. Wymagana jest ręka wprawna, stanowcza i szybka, i przede wszystkim umiejętność pewnej i całkowitej decyzji. Kolory malowidła w czasie, gdy ściana jest mokra, wyglądają inaczej. Potem na sucho wychodzą one zmienione. I dlatego przy malowaniu fresków znaczy o wiele mniej sam rysunek, niż umiejętność i potrzeba, aby malarz kierował się pełnym doświadczeniem, gdyż jest wyjątkowo trudną rzeczą wykonać fresk z całą doskonałością.

Choć wielu naszych artystów jest cenionych jako autorzy dzieł wykonanych farbą olejną lub temperą, nie odnoszą sukcesu we fresku, a to dlatego, że jest to technika najpoważniejsza, najpewniejsza, najbardziej zdecydowana i trwała ze wszystkich po wykończeniu. Z upływem czasu nabiera piękna i nieskończenie więcej harmonii. Wystawiony na działanie czasu fresk odrzuca wszelki brud, nieczuły jest na wilgoć i opiera się zniszczeniu. Ale trzeba pilnować się, by nie poprawiać barw, które mają w sobie klej ze skór lub z żółtka, lub gumę arabską, jak to robi wielu malarzy; oprócz tego bowiem, że ściana nie jest w stanie pokazać siły kolorów, ukazują się one zamglone i wkrótce czernieją. Niechże zatem ci, co pragną malować na murze, pracują śmiało na mokrej zaprawie. A nie retuszują niczego na sucho, gdyż prócz tego, że jest to sposób niezdarny, skraca on życie malowidłu, jak o tym powiedziano w innym miejscu.

\*Freski (z włoskiego *świeży, mokry*) są malowane na świeżej zaprawie, stąd otrzymały swą nazwę.

W Polsce pod koniec XIX w. określenie *fresk* wyparła nazwa *polichromia*.

### ***O malowaniu temperą lub jajkiem na desce lub na płótnie. I jak można używać tego sposobu na murze, jeżeli on jest suchy.***

W czasach przed Cimabue i po nim widziano obrazy malowane przez Greków temperą na deskach oraz na murze. I ci dawni mistrzowie, kładąc grunt kredowy na desce, obawiali się, aby ona nie rozszczepiła się w miejscu spojenia i dlatego najpierw sklejali całość klejem ze skóry i płótnem lnianym, a dopiero potem gruntowali obraz kredą i łączyli farby żółtkiem, czyli temperą, w następujący sposób: łączyli rozbite żółtko z sokiem mlecznym młodej gałęzi figi, aby otrzymać spoiwo temperowe farb, gotowe do użytku. Do malowania używali farb mineralnych, które były częściowo robione przez alchemików, a częściowo znajdowane w jaskiniach. Do tego rodzaju pracy każdy barwik jest dobry (z wyjątkiem bieli z wapna używanej w malarstwie ściennym, gdyż biel wapienna jest za mocna). Tymi farbami wykonywali Grecy swe dzieła malarskie, i to nazywali malowaniem temperą. Jedynie kolor niebieski łączyli z klejem zwierzęcym, gdyż żółtko jaja dawało kolor zielony, podczas gdy klej nie czyni tego i podobnie guma arabska. Ten sam sposób jest stosowany przy malowaniu na desce czy to zagruntowanej kredą, czy też nie. I tak samo kiedy ściana wyschnie, pokrywa się ją raz lub dwa ciepłym klejem, a potem farbami na wspomnianym spoiwie wyprowadza się całe dzieło. Kto chciałby używać do farb spoiwa klejowego, może to czynić z łatwością, jeżeli to co było powiedziane o temperze, będzie przestrzegane. Kolory nie będą przez to gorsze, jak to widzimy u naszych starych mistrzów w obrazach odznaczających się dużą świeżością i pięknnością, a liczących setki lat. Widzi się to wyraźnie w dziełach Giotto, nawet w obrazach malowanych na desce, które trwają dwieście lat i zachowane są w bardzo dobrym stanie. Malowanie olejne zastosowano później. Ono sprawiło, że obecnie widzimy obrazy i inne cenne dzieła sztuki wykonywane olejno.

### ***O malowaniu obrazów olejno na desce i na płótnie***

Zastosowanie farb olejnych w malarstwie było pięknym wynalazkiem i wielkim udogodnieniem. Dokonał tego najpierw we Flandrii Jan z Brugii i wysłał swój olejny obraz do Neapolu do króla Alfonsa, a do Frydryka, księcia Urbino, posłał obrazy do jego pokoju kąpielowego. Namalował także św. Hieronima, który to obraz posiadał Wawrzyniec Medyceusz, oraz jeszcze wiele innych dzieł. Także Roger z Brugii, jego uczeń, i Hanusz, wychowanek Rogera, namalował dla Portinarich do kościoła Matki Boskiej we Florencji mały obrazek, obecnie w posiadaniu księcia Kosmy. Tegoż ręki jest obraz z Careggi pod Florencją w wili należącej do znakomitego



rodu Medyceuszy. Między owymi pierwszymi malarzami w oleju byli Ludwik z Luano i Piotr Crista oraz mistrzowie Marcin i Justyn z Gandawy, który namalował obraz komunii dla Fryderyka, księcia Turbino, i inne dzieła. Hugo z Antwerpii wykonał obraz dla nowego kościoła Mariackiego we Florencji.

Malarstwo olejne zostało przywiezione do Włoch przez Antonella z Messyny, który wiele lat spędził we Flandrii. Kiedy wrócił on na tę stronę Alp, osiadł w Wenecji i tu swego kunsztu nauczył kilku przyjaciół. Jednym z nich był Dominik Veneziano i on pierwszy zastosował owo malarstwo we Florencji, w kaplicy Portinari'ch w nowym kościele Mariackim. Od niego nauczył się tej sztuki Andrzej Castagno i przekazał ją innym mistrzom, i rozprzestrzenił zdobywając uznanie, aż w czasach Piotra Perugina, Leonarda da Vinci i Rafaela z Urbino malarstwo olejne zyskało piękno, jakie nadali mu znani artyści.

Ten sposób malowania podkreśla kolory, nie potrzeba doń niczego więcej jak tylko staranności zamiłowania, gdyż olej sam z siebie miękczy i łagodzi kolory, czyniąc je delikatniejsze, łącząc i godząc farby łatwiej niż co innego. Gdy farby olejne są świeżo położone, zmieszane kolory łączą się łatwo jeden z drugim. Krótko mówiąc, artyści nadają w ten sposób zadziwiający wdzięk i żywość, i wigor swym figurom i to tak dalece, że wydają się pełnymi postaciami występującymi z obrazów, zwłaszcza jeżeli wykona się je w dobrym rysunku, pomysłowo i pięknym sposobem.

Aby taką pracę przeprowadzić, należy ją zacząć od zagruntowania deski lub płótna i rozprowadzania podkładu za pomocą gąbki i wygładzenia go, po czym artysta przystępuje do mieszania farb, łącząc je olejem orzechowym lub innym. Olej orzechowy jest lepszy, albowiem mniej zażółca kolory. Kiedy są one zmieszane, nic więcej nie jest potrzebne w zakresie farb, jak malowanie nimi pędzlem. Ale najpierw musi się jeszcze zrobić mieszaninę wysychającą z bieli cynkowej, ochry, czerni kaspijskiej, złączonych razem w jeden kolor. Kiedy już ta masa jest sucha, rozprowadza się ją na desce, wbijając ją dłonią tak, że zostaje równo rozprowadzona i złączona. Wielu nazywa to imprimatur, czyli zagruntowaniem.

Po rozprowadzeniu takiej mieszaniny lub koloru na całym obrazie, przykładasz na to projekt na kartonie sporządzony według twego pomysłu, a pod tym należy jeszcze położyć papier pociągnięty czernią zwróconą do zagruntowania. Przyczepiwszy oba razem małymi gwoździami, należy wziąć rylce z żelaza lub z kości albo z twardego drzewa i odgnieść zarysy kartonu tak, aby były wyraźne. W ten sposób karton nie będzie zepsuty, a na desce czy płótnie będą doskonale odbite zarysy wszystkich figur, przeniesione z kartonu na obraz.

Kto nie chce wykonać kartonu, powinien rysować krawiecką białą kredką lub węglem z wierzby – gdyż ślady jednego i drugiego z łatwością dają się usuwać. I w ten sposób artysta na suchym gruncie, bądź odbijając zarys, bądź rysując go kredką, robi z grubsza szkic, co nazywa się narzuceniem. Skończywszy wyciąganie całości zarysu, artysta jeszcze raz wraca do niego, aby go wykończyć. Tu już musi użyć całego kunsztu, i starania, by dzieło stało się doskonałością.

\*Jan z Brugii to Jan van Eyck, brat Huberta.\*Roger z Brugii to Roger van der Weyden.\*Hanusz to Jan Memling.

Tyle o technice malarzy i wprowadzeniu malarstwa olejnego napisał ok. 1550 r. Giorgio Vasari, pierwszy w dziejach świadomy historyk sztuki, architekt i rzeźbiarz, który sam zapragnął zostać malarzem i w końcu założył własną szkołę malarstwa. Niektóre oświadczenia Vasari'ego nie znalazły jednak potwierdzenia w analizach późniejszych historyków sztuki. Nawet stosowanie przez niego wyrazu *tempera*, nader częste, budziło niekiedy wątpliwości, gdyż dawna technika malowania temperowego (oparta na żółtku jajek) przestała być używana z końcem XV w., o czym sam Vasari pisze w swej autobiografii. Zauważę, że współcześnie używa się innych farb, obecnie do temper zaliczane są farby emulsyjne i akrylowe.

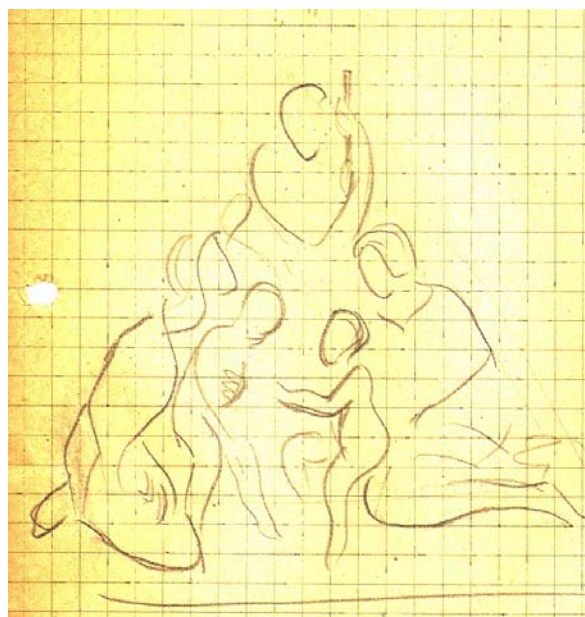
Ołtarz Gandawski był na kompletach omawiany szczegółowo, w podziale na oddzielne kwatery, z dyskusją – ale bez robienia schematów, poza rysowaniem ogólnego rozkładu tego ogromnego dzieła. Do nas, widzów z XX wieku, po prawie 500 latach cywilizacji nasyconej różnymi obrazami, takie ogromne kompozycje religijne – chociaż wspaniałe, nie przemawiały tak silnie, jak zapewne przemawiały do ogromnych tłumów gromadzących się na samo otwarcie Ołtarza. Dostrzegaliśmy jednak mistrzostwo modelowania postaci i nowatorskie pomysły, stosowane mimo konserwatywnych poglądów zamawiających Ołtarz zamożnych mieszczan. Bardziej interesujące były mniejsze formy, jak portrety Jan van Eycka (*Mężczyzna z goździkiem*, *Małżeństwo Arnolfinich*). W malarstwie włoskim widzieliśmy portrety równie wspaniałe, np. częstsze niż w sztuce flamandzkiej portrety kobiet. Pamiętam, że na jednym z zebrań szczególnie długo zajmowaliśmy się obrazem Piero della Francesca *Madonna ze świętymi i księciem Urbino*, będącym wprawdzie zbiorowym portretem, ale bardziej dostrzegaliśmy dziwne jakby „jajo” zwisające ze sklepienia kaplicy, choć również sposób namalowania tego sklepienia, dopatrując się w obrazie zapowiedzi impresjonizmu.

W malarstwie włoskim tego okresu (XVI w., czyli Cinquecento), zwłaszcza religijnym, ukształtowały się i dominowały kompozycje symetryczne i tektonicznie zamknięte, ze

„stożkowym układem postaci”. Przykład takiej kompozycji jest przedstawiony niżej.



Rafael Święta Rodzina Domu Canigiani



Szkic wykonany przez Panią Irenę

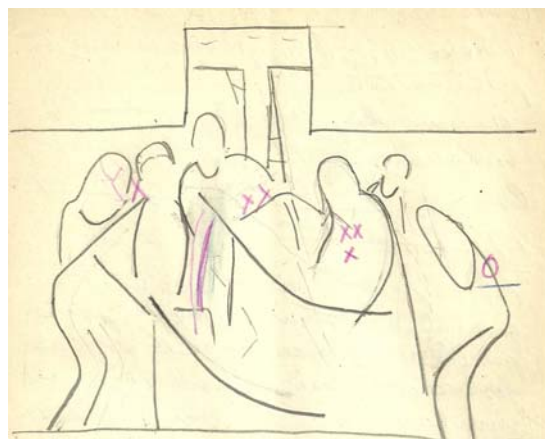
Malarstwo van der Weyden przemawiało silniej do mojej wyobraźni, co zostało zauważone i stało się podstawą pisemnych uwag Pani Neli zamieszczonych najpierw bezpośrednio na moim schemacie *Zdjęcie z Krzyża*, a później na 3 stronach moich niesfornych notatek poczynionych w czasie trwania kompletu, przedstawionych nieco niżej bez komentarza.



Rogier van der Weyden Zdjęcie z Krzyża

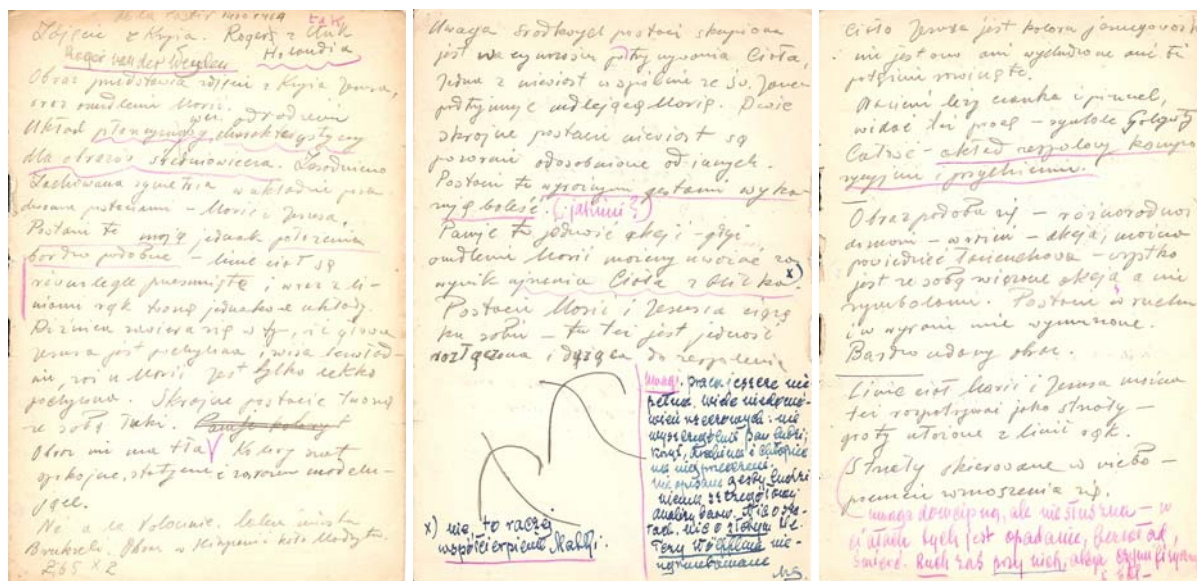
Kompozycja, a i wymowa tego obrazu, wydają się znacznie bardziej dojrzałe, silniej przemawiające do widza, niż nawet bogatsze kompozycje podobnych tematycznych obrazów z czasów późniejszych, nawet z epoki Baroku.

Szczególnie silnie oddziałuje współbieżność linii ciała Jezusa z linią ciała omdlewającej z bóleści Matki, lecz również pochylone linie bocznych postaci podtrzymujących Matkę i Syna, te linie zamykają kompozycję. Linie stojących nieco w głębi postaci, skupionych przy Krzyżu, razem z linią Krzyża składają się na zwartą grupę pionową o silnym wyrazie.



X za blisko głowę, między nimi nitka  
wiesz się, głowa św. Jany - powłaje tu  
XX ramie Chr. myśli! Kt. odpowiadają  
XX postać sroga! Kt. drugiej strony  
O był wielka sybiera  
Schemat nie jest, są błędy, ale dobre  
dla mnie w miedzy sybiera  
J. Baranowski





Uwagi Pani Neli Samotyhowej na moich notatkach ołówkowych

Pani Nela nie zawsze zalecała wykonaniu „schematu” z analizowanego dzieła, czasem zlecała popracowanie nad porównaniem podobnych tematycznie dzieł wykonanych przez malarzy z tego samego okresu, lub z różnych okresów. Gdyż zawsze dążyła do uzmysłowienia różnic wyrażających rozwój form malarskich, a również na uwypukleni idei plastycznych oddzielnych malarzy – zwłaszcza tych wnoszących coś istotnie nowego. Takim zleceniem było porównanie obrazów Madonny namalowanych przez van Eycka i van der Weydena. A jeszcze wcześniej, przy omawianiu *Zdjęcia z Krzyża* van der Weydena, porównanie kompozycji tego obrazu z o wiele przecież późniejszym, wyraźnie atektonicznym *Zdjęciem z Krzyża* namalowanym przez Rubensa. W czasach Rubensa (XVII w., epoka Baroku) dominowały asymetryczne kompozycje przekątniowe, ze światłem, które było czynnikiem głównym, decydującym o mocy oddziaływaniu treści i kompozycji obrazu.



Jan van Eyck

Madonna z kanclerzem Rolin



Roger van der Weyden Św. Łukasz malujący Madonnę

Porównanie obu obrazów, omówione w skrócie w książce, pozwala stwierdzić pokoleniowe przesuwanie się malarstwa flamandzkiego w stronę większej prostoty, oraz pewne zbliżanie się do świeckiej rzeczywistości. Kanclerz Rolin we wspaniałych szatach siedzi, gdy malujący



Łukasz przed Madonną klęczy. Sama Madonna z Dzieciątkiem w obrazie van der Weydena znajduje się w o wiele skromniejszym pomieszczeniu i siedzi na zwykłej ławce. W obu obrazach uwydatniono pofałdowania szat, chociaż w różnym stopniu.

Przy analizowaniu malarstwa flamandzkiego Pani Nela szczególnie wyodrębniła znaczenie Hugo van der Guesa (ok. 1437-1482), nazywając go (posługując się cytatem z Jej książki) „indywidualnością skomplikowaną, bogatą, pełną sprzeczności i niepokoju, o niebywałym locie twórczym i niezwyklej imaginacji artystycznej i życiowej”. A jeden ze współczesnych belgijskich historyków sztuki wypowiada o Hugo van der Goesie znamiennej opinii: „Wyjątkowy Flamand obdarzony wyobraźnią” (cyt. za N.Samotyhową).

Istotnie, kompozycje van der Guesa są zupełnie odmienne od typowych występujących w jego czasach. Poznaliśmy bodaj najważniejsze, i może jest to jedno z ostatnich jego dzieł, *Pokłon pasterzy*, z obrazu ołtarzowego wykonanego na zamówienie do kaplicy rodziny Portinarich we Florencji. W tym obrazie postacie są pogrupowane przestrzennie wokół Maryi i Narodzonego Dzieciątka. Zwraca uwagę zróżnicowanie wysokości postaci, ale przede wszystkim niezmiernie realistyczne namalowanie grupy pasterzy, którzy „przybieżeli”, o twarzach pełnych zdumienia i żarliwości. W ołtarzu Portinarich po zamknięciu skrzydeł uwidacznia się scena Zwiastowania, ze szczególnym gestem Anioła, nie tyle może tradycyjnie łagodnie „zwiastującym”, jak w *Zwiastowaniu* Simone Martini, co „nakazującym”.

Niżej - skrzydlata, wspaniała postać Anioła, z berłem w lewym ręku symbolizującym sprawowanie władzy, i gestem nakazującym, przekazywanym prawą dłonią - oraz mój bardzo skrótowy schemat wykonywania gestu Zwiastowania przez Anioła.

Ta postać Zwiastującego Anioła mogła by być utrwalona w rzeźbie.



Hugo van der Goe Anioł, fragment z obrazu Zwiastowanie





Hugo van der Goes Grzech pierworodny  
(fragment dyptyku)

Ewa już nadgryzła swoje jabłko z drzewa owoców w Raju zakazanych, zrywa drugie, czeka na nie Adam. Oboje są nadzy, ale części intymne ciała są zasłonięte. Scenie kuszenia asystuje dziwny twór, człowieko-jaszczur z długim ogonem, uosabiający biblijnego Węża, z kolorystyką podbrzusza odmienną od ludzkiej.

W końcowym okresie życia Hugo van der Goes miał okresy melancholii przeplatane atakami szału, które były uspokajane muzyką i śpiewem mnichów z Rouge Cloître, klasztoru pod Brukselą, do którego wstąpił. Właśnie dlatego tak dużo o końcowej fazie życia van der Goesa wiadomo, że jeden z braciszków je spisywał.

Uduchowiona, genialna twórczość van der Goesa przypada na początek wspaniałego rozwoju sztuki niderlandzkiej. Można też dopatrywać się w niej zapowiedzi tych wątków religijnych, związanych z silnym rozwojem życia religijnego, i powstaniem licznych sekt religijnych, które były powiązane z malarstwem Hieronimusa Boscha, i innych malarzy z przełomu XVI i XVII wieków. Malarstwo niderlandzkie tego okresu, zwłaszcza Hieronima Boscha, jest pełne głęboko utajonej symboliki. O ówczesnej kulturze malarskiej, nawiązując do Boscha, traktują liczne książki, np. beletryzująca *Diabelskie poczwary*, Theun de Vriesa, oraz poważne, analityczne dzieło *BOSCH*, Wilhelma Fraengera.

Sztuka Odrodzenia już we Włoszech objawiła się możliwością malowania scen o wymowie religijnej w ujęciu świeckim, a również obrazów całkowicie pozbawionych wątku religijnego. Przykładem jest fresk *Narodziny Św. Jana*, Domenico Ghirlandaio, ukazujący świeckie wnętrza komnaty, zwracające uwagę uroczystym wejściem niewiast odwiedzających, oraz tanecznym krokiem służebnicy wnoszącej tacę z owocami. Zwracają uwagę również ozdobne belkowania stropu komnaty, oraz wszystkie linie wyrażające przez zbieżność geometryczną opanowanie nowej zdobyczy malarstwa – umiejętności wyrażania głębi przestrzeni.



Domenico Ghirlandaio Narodziny Św. Jana



prawdopodobnie schemat Pani Oganezew

Nabycie umiejętności wyrażania optycznej perspektywy przejawia się w wielu obrazach Quattrocenta – w obrazach bitewnych Paolo Ucello, pochodach rycerstwa w obrazach Simone Martini, we wspomnianym wcześniej obrazie Piero della Francesca, obrazach Giorgione, oraz w obrazach i skrótach pejzażowych *Andrea Mantegna*, przy tym szczególnie mocno w jego monumentalnym *Oplakiwaniu Chrystusa*, przedstawiającym leżącą postać Chrystusa w iluzjonistycznym skrócie, wprowadzie posępnym, ale pełnym wyrazu powagi i potęgi.

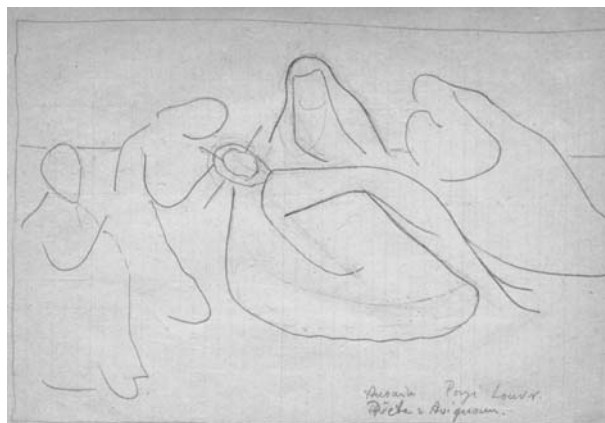


Odrodzenie, narodzone we Włoszech i tak wcześnie przyswojone i rozwinięte we Flandrii, przejawiało się też w malarstwie sąsiednich krajów, może najbardziej we Francji, co w znacznym stopniu było rezultatem przeniesienia Stolicy Apostolskiej do Awinionu, w 1305 r. Tak zwana „niewola awiniońska” trwała ponad 70 lat. Zaowocowała rozwojem malarstwa o treści religijnej na dworze papieskim. Z tego okresu najbardziej jest znany obraz o nazwie *Pieta z Awinion*, zwany też *Oplakiwaniem Chrystusa*. To sporej wielkości anonimowe dzieło, jak się sądzi, powstało w latach 1460-75. Przypisywane ostatnio Enguerrandowi Quartonowi, Pikardyjskiemu malarzowi działającemu w Prowansji, jest często reprodukowane. Jest bardzo zniszczone, widać rozklejone deski. O jego dobre reprodukcje jest trudno, może dlatego, że boczne części obrazu przy fotografowaniu bywają bezceremonialnie obcinane, a kolory w reprodukcjach są po barbarzyńsku zmieniane. Niżej mój schemat tego obrazu.



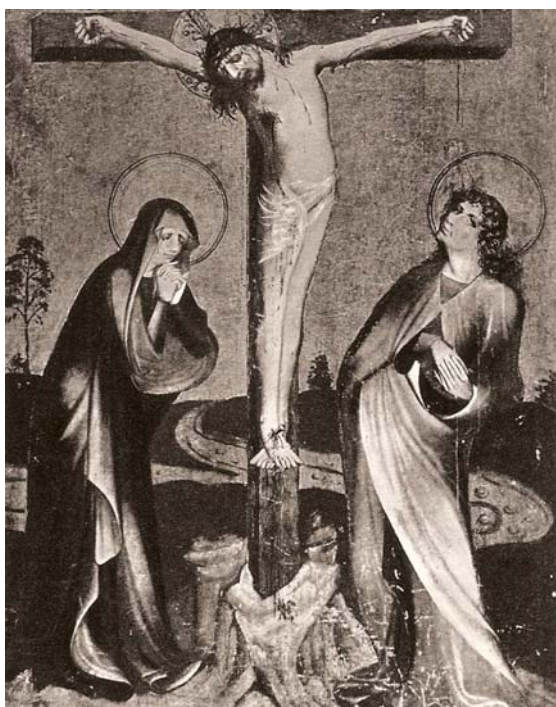
Anonim

Pieta z Awinion

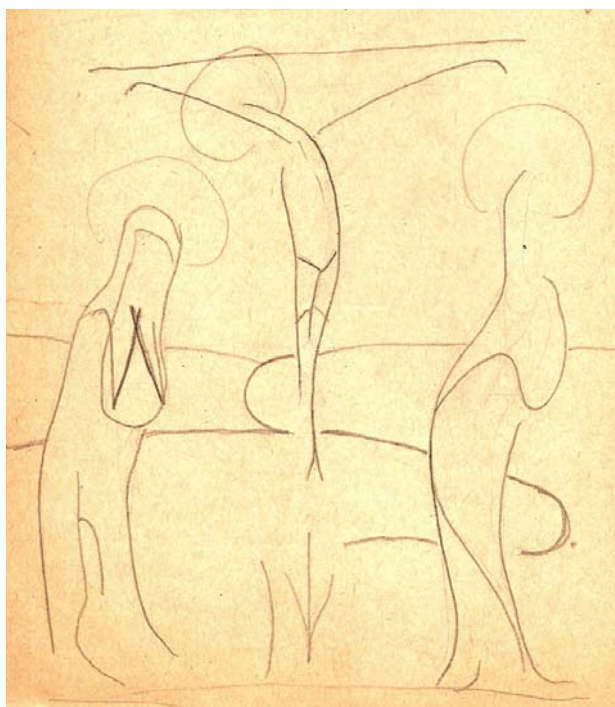


Dzieło to robi silne wrażenie, dostrzegam w nim pokrewieństwo ze *Zdjęciem z Krzyża* Rogera van der Weydena. Zwraca uwagę i postać nieznanego donatora, nie łączącego się w kompozycji z pozostałymi osobami, patrzącego jakby w zamyśleniu gdzieś w dal.

Idee Odrodzenia przenosiły się również stopniowo do Krajów niemieckich.



*Ukrzyżowanie* – obraz z monachijskiego Kościoła Augustynów, koniec XIV w. – sztuka bawarska

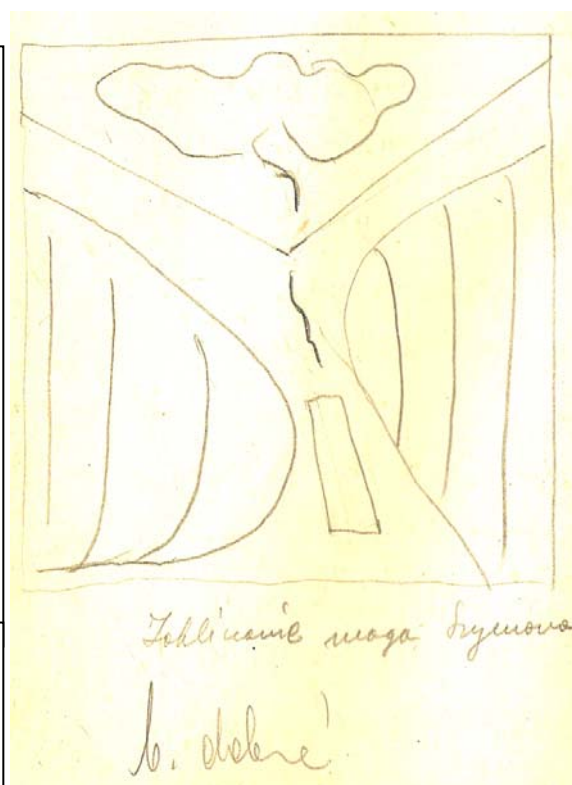


W *Ukrzyżowaniu* anonimowego malarza dramatyzm Śmierci został pogłębiany przedstawieniem wygiętej w łuk postaci umęczonego Ciała Jezusa, oraz współbieżnościami linii ciał i szat osób towarzyszących. Są wyeksponowane ręce - silnie zaciśnięte ręce i pochylenie Marii wyrażają boleść Matki, natomiast dłonie Jana są złożone modlitewnie, a cała postać Apostoła i jego spojrzenie wydają się być skupione na Ukrzyżowanym – Jan jest w tej scenie świadomym świadkiem Ofiary.

Z nieco późniejszego okresu najbardziej zapamiętałem obraz Jana Pollacka *Zaklinanie czarnoksiężnika Szymona*. Może ze względu na dziwną kompozycję i zawiłą treść, a może i dlatego, że malarz miejski miasta Monachium Jan Pollack, osiadły w Monachium w 1480 r., zmarły w 1519 r., był istotnie polskiego pochodzenia. Obraz przedstawia ekspresyjnie lot Czarnoksiężnika spowitego w płaszcz, w chmurze razem z kłębiącymi się wokół diabłami. Obraz jest pełen niepokoju, gdyż istotom diabelskim ciężącym ku ziemi, kłębiącym się w chmurze, odpowiada równie skłębione zgromadzenie osób na ziemi, egzorcyzmujących maga Szymona, i obie strony energicznie wygrażają sobie. Tłum na dole jest skupiony wzdłuż wgłębienia, może otwartej mogiły, z podłużną płytą trumienną. Wybrzuszenie trójkątne chmury znajduje „odpowiedniość” w ukształtowaniu tłumu – ta dynamiczna kompozycja, mimo mitycznej treści, znajduje uznanie.



Jan Pollack Zaklinanie czarnoksiężnika Szymona  
Zapewne ten dynamiczny obraz wyraża również jakiś spór między chrześcijanami, zgromadzonymi ze świętym Piotrem po lewej stronie, a poganami we wschodnich strojach i w turbanach, po prawej stronie obrazu.



Szczytowy okres malarstwa włoskiego można wiązać z przełomem wieków XV i XVI, czyli z końcem Quattrocento i początkiem Cinquecento. Ale może najbardziej z działalnością Leonardo da Vinci, oraz Michała Anioła, niezwykle tytanicznych postaci, którzy w równie niezwykle sposób – dla każdego z nich odmienny – wprowadzili sztukę europejską na drogę ku współczesnemu nam rozwojowi. O Leonardzie da Vinci, malarzu, myślicielu, inżynierze i wizjonerze-wynalazcy, napisano tak wiele, że nawet nie wypada mi o nim pisać. Omawialiśmy jego różne szkice i obrazy, w tym zwłaszcza *Ostatnią wieczerzę*, *Madonnę skalną*, *Św. Annę*, nieukończony *Pokłon trzech królów*, *Chrzest Jezusa*, oraz niezwykle obraz *Św. Jan Chrzciel*, przedstawiający niby portret psychologiczny androgenicznego młodzieńca z palcem wskazującym ku górze, z krzyżem w ręku. Niestety, niektóre dzieła Leonarda, w tym rzeźby, uległy zniszczeniu lub poważnemu uszkodzeniu.

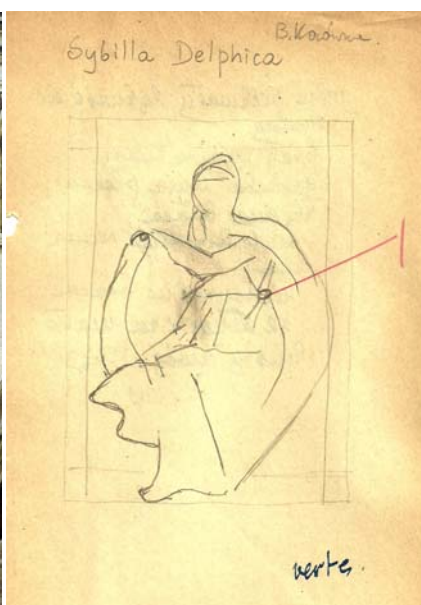




Leonardo da Vinci, Andrea del Verrocchio Chrzest Jezusa

Leonardowi przypisuje się namalowanie jednego z aniołów w dolnym rogu obrazu.

Jeszcze więcej uwagi poświęciliśmy rozważaniu działalności Michała Anioła, który wprawdzie bez przekonania, bo był przecież utalentowanym i wysoce cenionym rzeźbiarzem, z wielkim oddaniem ugiął się jednak przed papieskimi żądaniami, i w ciągu kilku lat stworzył największe dzieła życia – freski w Kaplicy Sykstyńskiej. Analizowaliśmy je tak szczegółowo, jak pozwalały zbiory dostępnych reprodukcji, zarówno naścienny *Sąd Ostateczny*, jak i zespół obrazów składających się na ogromny plafon na sklepieniu Kaplicy. Pani Neli chodziło o przeanalizowanie przez nas wartości, a i istoty dzieła Michała Anioła, rzeźbiarza zaangażowanego do prac malarskich o tak niezwykłych rozmiarach, dużych tak czasowo, jak i przestrzennie. Twórca, który wniósł niesłychanie wiele nowości do sztuki dekoracyjnego malarstwa w ogromnych salach o przeznaczeniu sakralnym i reprezentacyjnym.



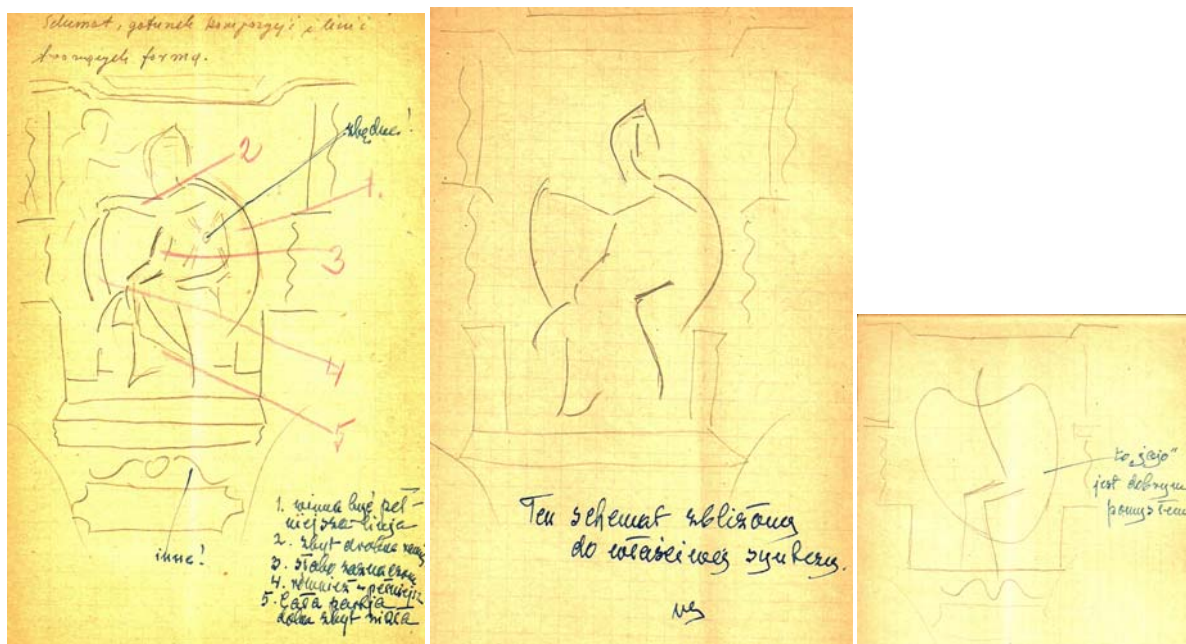
**Sybilla Delficka**  
Michał Anioł  
Sklepienie  
Kaplicy Sykstyńskiej

głowa pochłaniają dźwięki do  
złoty.  
Brak karyse koang;  
"garkata" linia pleców;  
kły dwa brzoza;  
kły Brak Rlicz nauw;  
lewa;  
nie ma nainu praca;  
ka drugi i ka maso  
Rokishy twój "Vici" 15



Robiliśmy wiele „schematów” z prac Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej, traktując je oczywiście tak, jakby były obrazami – bo przecież to były obrazy imitujące rzeźby. Pani Nela miała dla nas reprodukcje fragmentów z niektórymi uwidocznionymi w Sykstyńce postaciami – jak wiadomo, doliczono się 343 figur ludzkich namalowanych tam indywidualnie.

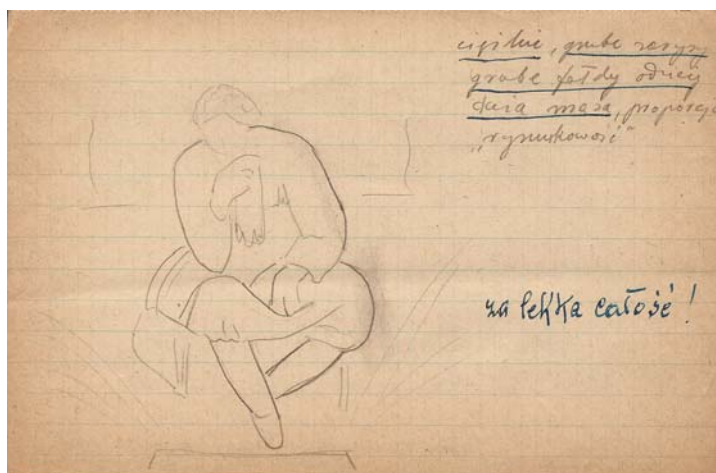
Pani Nela wręcz wymuszała na nas analizowanie namalowanych na Plafonie Proroków i Sybilli, ale byliśmy na to w pełni podatni. Wiadomo, że Michał Anioł namalował 5 Sybilli, i 7 Proroków. Zachowałem kilka szkiców Sybilli Delfickiej – nie zyskały ani od razu, ani potem, po poprawkach – pełnej akceptacji Pani Neli. Z zachowanych szkiców przedstawiam wyżej wykonany przez Barbarę Kocównę, a niżej zespół dwóch moich, z dołączonym szkicem - skrajnie uproszczonym, potraktowanym ulgowo i nawet żartobliwie nazwanym ”jajem”.



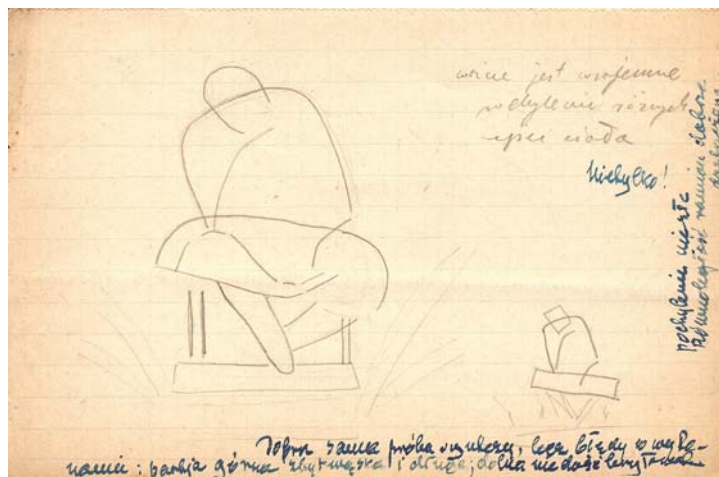
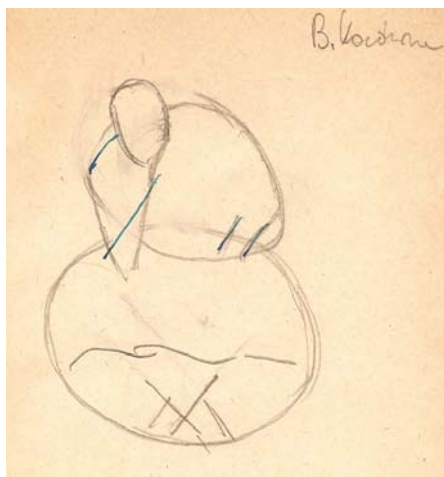
Najgorzej poszło nam ze szkicem postaci proroka Jeremiasza, może dlatego, że zajęliśmy się szkicowaniem Jeremiasza na samym początku, nie zdając sobie sprawy, jak to trudno oddać w szkicu „ciężkość” tej masywnej postaci, rozsiadłej szeroko ze skrzyżowanymi nogami, zamyślonej, i w tym zamyśleniu pochylonej, z głową podpartą. Niżej mój szkic, a jeszcze niżej szkic Barbary Kocówny i jeszcze obok drugi mój szkic postaci Jeremiasza.



Jeremiasz Kaplica Sykstyńska. Michał Anioł (1475-1564)







Po dość wyczerpujących analizach dzieł Leonarda da Vinci i Michała Anioła, pani Nela zainicjowała zbiorowe porównawcze podsumowanie dorobku tych znakomitych twórców jako malarzy. Po dyskusji dość szybko i zgodnie uznaliśmy, że obaj byli oczywiście znakomitościami, ale bardzo się różnili. Leonardo malował mniej, malował też wolniej, zwykle farbami olejnymi i dopiero po kilkuletnim przestudiowaniu tematu dzieła. Jego dziedziną były głównie portrety i sceny zbiorowe pogłębione psychologicznie. Niektóre dzieła Leonarda nie zostały ukończone, inne nie przetrwały próby czasu ze względu na eksperymenty chemiczne czynione przy preparowaniu farb. Przeciwnie, dzieła malarskie Michała Anioła przetrwały właśnie dzięki jego staraniom i wynalazczym umiejętnościom utrwalania głęboko wnikających farb fresków, oraz zastosowaniu specjalnego tynkowania wielowarstwowego ścian przeznaczonych pod freski. W rezultacie takich starań, oraz długiego życia – 89 lat, malowideł Michała Anioła zachowało się dużo, chociaż głównym polem jego działania było jednak rzeźbiarstwo. W malarstwo Leonardo jakby hołdował zasadzie malowania mniej, ale dokładnie i z głębokim namysłem, w rezultacie jego dzieła tchną tajemniczym urokiem, nawet gdy są to androgeniczne portrety męskie. Dzieła Michała Anioła tchną przede wszystkim mocą, są wyraźną zapowiedzią Baroku, emanuje z nich siła, również w przypadku malowania postaci kobiecych, co można dostrzec w obrazach przedstawiających Sybille w Sykstynie. Jednak energiczne pociągnięcia pędzla u Michała Anioła nie wykluczają całego arsenału pojęć i bogactwa myśli wywodzących się z dziedziny mitologii i teologii. Michał Anioł rozmyślnie, i nawet wbrew woli papieskich teologów, wprowadza do obrazów w Sykstynie szereg postaci proroków kontrowersyjnych, a nawet liczne postacie z pogańskiej mitologii, jak owe mądre Sybille – w Sykstynie jest ich 5. Przedstawianie nagich i silnych postaci ludzkich budziło zastrzeżenia uczonych - a wstydliwych teologów – jednak wobec objawionego geniuszu Michała Anioła dopiero miesiąc przed jego śmiercią – a przecież żył długo - odważono się ingerować w jego Sąd Ostateczny (elementy szat maskujące nagość domalował Daniel da Volterra, zyskując pogardliwy przydomek „majtkarz”). Michał Anioł w poczynaniach artystycznych był władczy, miał zwolenników zarówno wśród „pospólstwa”, jak i w kręgach wysokich dostojników papieskich. Odważył się namalować w Sądzie Ostatecznym sceny istotnie kontrowersyjne, jak na przykład namiętny pocałunek dwojga młodzieńców. Był przy tym uparcie złośliwy, sportretował złośliwie swoich wrogów. Swój wizerunek uwiecznił w Sykstynie dwukrotnie – jego twarz ma Prorok Jeremiasz.

Dzieła Leonardo natomiast ścięły nieszczęścia – *Ostatnia Wieczerza* namalowana na ścianie klasztornej refektarza zniszczała prawie doszczętnie. Między innymi wskutek beztróskiego przebicia przez środek fresku otworu prowadzącego z refektarza do kuchni klasztornej. Zniszczał całkowicie obraz *Bitwa nad Anghiara*, a nie doczekał się realizacji posąg konny Franciszka Sforzy. Była wojna, model posągu gotowy do odlewu został dla zabawy

rozstrzelany z łuków przez żołnierzy francuskich, jeszcze za życia Leonarda. W innych czasach strzelano do postaci Apostołów w *Ostatniej Wieczery*, z broni palnej.

Mnie jako inżyniera fascynuje Leonardo jako wizjoner techniki przyszłości. Pozostawił po sobie ponad 5000 stron notatek, szkiców, projektów, do tej pory w całości nie odczytanych, zgromadzonych pod nazwą „Kodeks Atlantycki”. Natomiast u Michała Anioła najbardziej cenię jego energię realizacyjną i „zapamiętywanie się” w pracy, podziwiam zaś Piety i posępne figury nagrobne na grobowcach młodo zmarłych Medyceuszy.

A teraz wydobywam zachowane jeszcze inne notatki i szkice, poświęcone jednak znowu malarstwu włoskiemu epoki Odrodzenia. Niewiele już ich mam – w pierwszym rzucie przedstawiam wybrany z nich *Koncert wiejski* Giorgione – obraz przypisywany również Tycjanowi, uczniowi Giorgione. To już pełny Renesans, XVI wiek, Cinquecento. Nieskrępowana tematyka wiejskiej sielanki na łonie natury, pod łagodnym słońcem południa, znana była i wcześniej, ale obecnie uważa się, że współczesna „sielankowa” linia malarska została zapoczątkowana przez Giorgione, malarza weneckiego, żyjącego niedługo (tylko 34 lata), oraz przez Tycjana. Utrzymała się długo – właściwie do naszych czasów.



Giorgione

Koncert wiejski



Niżej przedstawiam obraz Maneta *Śniadanie na trawie*, o identycznej tematyce co obraz Giorgione, chociaż o wiele późniejszy, bo z drugiej połowy XIX wieku. Przedstawiam go dlatego, że na kompletach dokonywaliśmy porównań obrazów o podobnej tematyce, ale pochodzących z różnych epok i z różnych pracowni – o czym już wspominałem.



Obraz *Le Déjeuner sur l'herbe*, wystawiony przez Éduarda Maneta, w Salonie Odrzuconych w 1863 r. jest kontynuacją tematyki serii pikników, do której należy *Koncert wiejski* Giorgione.

W obrazie Maneta jako modelka występuje malarka Victorine Meurent, obok niej brat artysty Gustaw, naprzeciwko przyszły szwagier holenderski rzeźbiarz Ferdinand Leenhoff, na dalszym planie żona Suzanne.

Na kompletach porównywaliśmy podobne tematycznie obrazy z różnych epok również dlatego, że ujawnialiśmy ścieranie się różnych idei pojmowania kierunków rozwoju form malarstwa, w społeczeństwie i w nas samych. Co do obrazu Maneta – wywołał oczywiście na początku ogromne wzburzenie paryskiej society.

Co się dostrzega, gdy się porównuje oba przedstawione obrazy sielanki, namalowane w odstępnie 400 lat? Obraz Giorgione tchnie spokojem, łagodne przejścia tonalne sprzyjają oddaniu harmonii bytowania ludzi w Przyrodzie. Nagie postacie kobiece – są dwie – nie

gorszą, nie burzą tej harmonii. W obrazie Maneta duża powierzchnia obrzeży jest ciemna, niemal czarna, uwagę widza skupia bardzo jasna plama nagiego ciała kobiety siedzącej na trawie, w centralnej części obrazu. Kontrast świetlny jest powiększony przez zamieszczenie wpół leżących postaci męskich w czarnych surdutach. Bardzo istotne jest bezkompromisowe, wyzywające spojrzenie kobiety, skierowane w stronę widza. Tę bezkompromisowość malarz wzmacnia namalowaniem na pierwszym planie porzuconego ubrania i rzeczy osobistych. Dostrzega się, że Manet umiejętnie modelował ciało kobiece przy wykorzystaniu wielu odcieni bieli. Te uwagi porównawcze rozmyślnie nie opatruję komentarzem obyczajowym.

Relację z kompletów u Pani Neli Samotyhowej od początku traktowałem jako należne Jej Wspomnienie. Należne ze strony uczestnika kompletów, może jedyne żyjącego, przy tym mającego świadomość, że uczestnictwo w tych kompletach wywarło znaczący wpływ na odbiór i tworzenie intelektualnych wartości przez uczestników kompletów. Takie było założenie, taki był cel działalności społecznej Pani Neli. W swojej dotychczasowej relacji raczej nie starałem się ani modyfikować, ani uzupełniać wiedzy przekazywanej nam na kompletach. Tę wiedzę i oceny uważam zresztą za aktualne i dziś, po kilkudziesięciu latach.

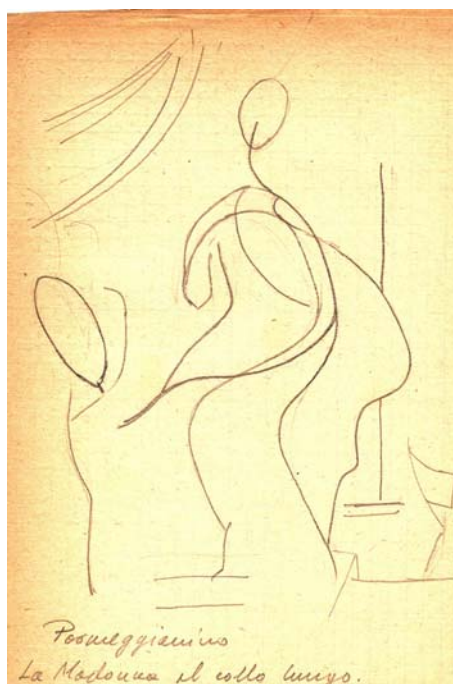
W swojej relacji postanowiłem przedstawić nasz komplet jako pewnego rodzaju „zespół badawczy”, i to od strony roboczej – jak wyglądały te zajęcia, i zwłaszcza, jak przebiegało i czemu służyło wykreślanie schematów wzbogacających wyobraźnię. Tego w książce Neli Samotyhowej nie ma, więc moje wynurzenia są pewnego rodzaju dodatkiem wspomagającym do Książki. Otóż, przystępując do analizowania jakiegoś dzieła sztuki, zwykle była to reprodukcja obrazu, niekiedy na początku stawialiśmy – każdy siebie – jakby w roli twórcy tego dzieła. To pomagało odkryć, zrozumieć – w jakimś stopniu – tok myśli i zamiary rzeczywistego twórcy. Nasze pomysły i odkrycia konfrontowaliśmy ze spostrzeżeniami innych członków kompletu, i w toku rozmowy poddawaliśmy ocenie naszej Przewodniczce – Pani Neli, która te spostrzeżenia zbierała, korygowała, i często troskliwie zapisywała. Takie dydaktyczne postępowanie ktoś nazwał „metodą dialogizowania” – nazwa ta nie bardzo mi się podoba, ale „dialogizowanie” sam stosowałem, nauczając Elektroniki.

Podstawowy zakres materiału przerabianego na kompletach obejmował tylko malarstwo do początków wieku XVI, czyli początku Cinquecento. Na naszym komplecie postanowiliśmy iść dalej, poznać malarstwo Baroku, a później poznawać rozwój malarstwa w poszczególnych krajach. W dalszych latach już prawie nie rysowaliśmy schematów. Uzyskana wiedza o zasadach budowania obrazów, wykształcona przed Cinquecento, była zwykle pomocna do rozumienia nawet nowoczesnych dzieł sztuki, lub też nie miała zastosowania w pojmowaniu dzieł bardzo złożonych, choć w niektórych przypadkach o założeniach niesłychanie prostych.

Nasze zainteresowania Barokiem i malarstwem w innych krajach niż Włochy, wynikały ze świadomości, że malarstwo włoskie po osiągnięciu szczytów przestało się rozwijać i już nie dominowało w sztuce europejskiej. Wprawdzie wciąż powstawały dobrze prosperujące nowe pracownie malarskie, pracownię i szkołę malarską założył nawet Vasari, ale artyści włoscy – mimo wysokiej renomy – jak na przykład Rafael Santi uważany za malarza doskonałego – już nie tworzyli nowych kierunków rozwoju. Eksport idei malarstwa włoskiego, ożywiony w poprzednich wiekach, niemal ustał, a ważne nowe ośrodki malarskie powstawały w innych krajach, często zresztą przy współpracy artystów wykształconych we Włoszech. Na przykład, Pieter Breugel, który podróżując po Włoszech z upodobaniem malował pejzaże włoskie, po powrocie do Flandrii wypracował swoją własną formę, nazwijmy ją „narodową”. Współcześni nazywali go malarzem „chłopskim” i „wesołkiem”, gdyż odwzorowywał życie i rodzime obyczaje wiejskie Flamandów. Innym przykładem jest El Greco, jeden z najbardziej znanych i rozpoznawalnych malarzy, który kształcił się w pracowni Tycjana, lecz religijne obrazy, w swoistym stylu graniczącym z mistycyzmem, zaczął malować dopiero w Hiszpanii.



Już na początku XVI wieku daje się w malarstwie europejskim zauważyć skłonność do uprawiania szczególnego stylu, w swej istocie schyłkowego, nazywanego w XX w. mało precyzyjnie manieryzmem. Wyodrębniano nawet, jakby na przekór Wölfflinowi, okres Manieryzmu. Tym terminem objęto twórczość niektórych malarzy, nawet wybitnych, nadal uprawiających malarstwo „spokojne” i pełne „wdzięku” - według reguł klasycznych szkoły Rafaela, a więc raczej zdecydowanie przeciwnych dynamicznemu, „wielkoformatowemu” malarstwu Michała Anioła. Do okresu manieryzmu we Włoszech bywa zaliczany Tintoretto, ale również Correggio, Veronese, oraz Parmegianino. Właściwie każdy malarz, starannie i z wyraźną przesadą stylu uprawiający swe malarstwo, mógłby być zaliczony do tego okresu. Lecz załączków manieryzmu można doszukiwać się nawet w *Sądzie Ostatecznym* Michała Anioła, prekursora Baroku. Jako przykład manieryzmu podaje się też często twórczość El Greco. Niżej przedstawiam obraz Parmegianino, charakterystyczny dla okresu manieryzmu.



**Madonna o długiej szyi** - obraz Parmegianino. ok. 1540 r., początek manieryzmu w sztuce epoki Baroku. Nazwa „Madonna o długiej szyi” nawiązuje do maryjnego hymnu o Niepokalanym Poczęciu, ze słowami „Collum tuum ut colonna”. Na drugim planie - Święty Hieronim ze zwojem papirusu, i widok kolumn.

Madonna jest tu światową damą. Trzymana przez nagiego anioła waza - niby jajo strusie - jest również symbolem Niepokalanego Poczęcia Marii. Uosabia mistyczne naczynie, w którym dokonała się reinkarnacja Chrystusa.

Długo, szczegółowo i z upodobaniem zajmowaliśmy się na kompletach rozwojem malarstwa niderlandzkiego. Z tego okresu zachował się u mnie schemat obrazu Breugla *Zima*. Grupa zmęczonych psów towarzysząca powracającym o zimowym zmierzchu myśliwym, zaczyna schodzić po ośnieżonym zboczu w dół, ku dolinie, gdzie majaczą dachy domów i widać dwie ogromne ślizgawki, wypełnione łyżwiarzami, widocznymi w zmniejszeniu wobec odległości.



Pieter Breugel

Zima. Powrót myśliwych





W dół „schodzą” też drzewa na zboczu, którego wysokość akcentuje duży ptak, jakby w locie zawieszony nad doliną, na przeciwnym skraju przechodzącą w górzysty teren, z ostro zakończonymi, jakby złodowaciałymi szczytami.

Oczywiście, przed malarstwem Pietera Breugla (1525-1569), o tematyce zaczerpniętej z istic zdrowego flamandzkiego folkloru, „przerabialiśmy” wcześniej malarstwo Hieronima Boscha (1450-1516), tchnące mniej życzliwym spojrzeniem na świat i rodzaj ludzki, co po części wynikało z historycznych zaszłości i poddaniu Niderlandów panowaniu hiszpańskiemu, przejawiającemu się niejednokrotnie w formie przemocy, okrutnych wojen i stosów Inkwizycji. Poznawaliśmy dziwne malarstwo Boscha, zwłaszcza obrazy wypełnione mrowiem ruchliwych ludzików oddających się przeróżnym praktykom, często występny. Obrazy Boscha są piękne, pięknie maluje kwiaty i fantastyczne ogrody, zasiedlają je dziwaczne stwory, diabły i potwory, produkty niezwyklej wyobraźni Malarza. Jego niektóre obrazy, zwłaszcza te zawierające treści religijne i umoralniające, są jakby zaszyfrowane, co tłumaczy się częściowo działalnością w tych czasach, poza religiami i kościołami oficjalnie uznanymi, istnieniem różnych odmian idei wyznań, utajnionych bractw i sekt religijnych, zwłaszcza sekty Adamitów. Rozszyfrowywaniem przekazów zawartych w obrazach i rysunkach Boscha zajmowało się wielu badaczy, i jest to zajęcie interesujące, do niedawna przynoszące co raz to nowe odkrycia. Malarstwo Boscha, urzekające w quasi-realistycznym odtwarzaniu ludzi i fantastycznych stworów, w całości nie jest jednak ani malarstwem realistycznym, ani przystającym do epoki Renesansu. Bosch drwi, nawet gardzi rodzajem ludzkim, często w tym celu deformuje twarze, na pierwszy plan wyciąga przywary ludzkie, więc wcale mnie nie dziwi, że jego obrazy fascynowały zwłaszcza Hiszpanów okupujących Niderlandy. Filip II skupywał obrazy Boscha do Eskorialu. Największe bodaj zbiory obrazów Boscha są właśnie w Eskorialu i w Muzeum Prado w Madrycie. Miedzioryty rozpowszechniały sztukę Boscha w całej Europie. Piszę o Boschu dużo dlatego, że bogactwo jego wyobraźni jest zastanawiające, i od dawna śledzę związane z nim wypowiedzi.

Uważa się, że dzieła Boscha były kopiowane przez uczniów, nawet po śmierci Mistrza.

Niżej - obraz Boscha *Chrystus wyszydzany przez żołdaków*, w porównawczym zestawieniu z obrazem o identycznej treści niemal współczesnego nam Maksa Beckmanna (1884-1950).



Bosch



Beckmann





Wóz z sianem Hieronim Bosch

(wg. wersji obrazu z Eskorialu, druga wersja jest w Muzeum Prado)

Obraz jest środkową częścią tryptyku ołtarzowego, którego boczne części – Raj, oraz Piekło – nie są tu pokazane. W alegorycznej formie przedstawia jednokierunkową drogą wozu oraz grzesznej części ludzi różnych stanów, w tym możliwych, zajętych różnymi ziemskimi sprawami, a zwłaszcza przywłaszczaniem doczesnych dóbr, które uosabia siano wiezione na wozie. Ukazane są rozmaite grzeszne namiętności, złe zamierzenia i uczynki, a nawet zbrodnie. Prawe skrzydło obrazu ołtarzowego przedstawia Piekło, ku któremu wóz ciągną diabły. Całość jest złowieszcym moralitetem.



Zamieszczam niżej kilka mniej znanych, jak sądzę, obrazów Boscha o tematyce religijnej, między innymi, by zaprzeczyć wypowiedzianym opiniom, że Bosch unikał malowania pejzaży.



Dźwiganie Krzyża



Ukrzyżowanie (obraz z donatorem)

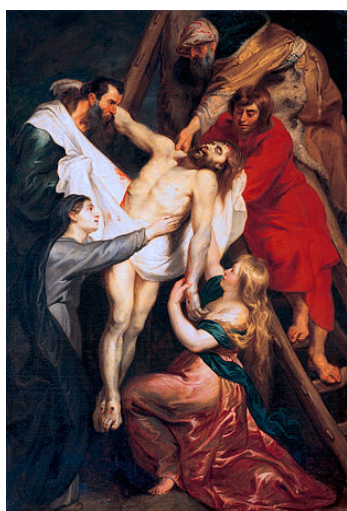


Kuszenie Św. Hieronima



Św. Krzysztof wędrujący

Oczywiście, gdy doszliśmy do Baroku, zajmowaliśmy się przede wszystkim malarstwem Rubensa i Rembrandta. Z tego okresu uczestniczenia w komplecie przedstawiam obrazy *Zdjęcie z Krzyża*, trzech różnych malarzy, w zestawieniu porównawczym. Jakże się różnią stylem i nastrojem! Rubens (1577-1640) operuje silnym światłem skierowanym skośnie, po przekątnej, wydobywa ciało Chrystusa jako rosłego, muskularnego mężczyzny. Osoby zajęte Zdejmowaniem z Krzyża, oraz towarzyszące, są ujęte podobnie, przy tym w zbliżeniu – więc dobrze widoczne i widać, jakie oddzielne czynności są wykonywane. Całość robi wrażenie dynamicznej akcji, co jest charakterystyczne dla Rubensa i epoki Baroku.



Rubens



Rembrandt



Beckmann

Rembrandt (1606-1669) nie widział wcześniejszego obrazu Rubensa, ale również zastosował oświetlenie skośne. Jednak całość kompozycji tonie bardziej w mroku, a akcja zdejmowania Chrystusa z Krzyża jest oddalona. Artyście widocznie bardziej zależało na uwidocznieniu jedności z Chrystusem zebranych wiernych jako grupy, niż na wyodrębnianiu poszczególnych postaci. Występuje charakterystyczne dla Rembrandta stopniowanie światłocienia w różnych partiach obrazu. Dlatego deseń pokazanego na pierwszym planie przygotowywanego prześcieradła, w które ma być zawinięte Ciało, jest wprawdzie wyraźny, ale słabiej widoczny. Beckmanna dzieli wieki od Rubensa i Rembrandta, wieki te przekazały doświadczenie kilku dużych wojen, w tym dwóch Wojen Światowych. Jego *Zdjęcie z Krzyża* niesie również doświadczenie Holokaustu. I zgorzkniałe zwątpienie w kierunek rozwoju ludzkości. W jego obrazie można dostrzec cechy tradycyjnie ekspresjonistycznego malarstwa niemieckiego.



Czy ekspresyjność – nadmierna – jest typowa dla sztuki niemieckiej? Takie twierdzenia spotykam dość często, chociaż zwykle nie są wypowiedziane wprost. A niekiedy przywołuje się malarstwo Dürera, jego grafikę, na przykład *Czterech jeźdźców Apokalipsy*, *Melancholię*. Nie zabierając głosu w tej kwestii, pozwalam sobie zestawić obok siebie dwa obrazy charakteryzujące malarstwo niemieckie; jeden Dürera – reprezentujący ideały Odrodzenia, wszak Dürer poszukiwał w dobrej wierze idealnego wzorca malowania ciał ludzkich - obraz mężczyzny i kobiety, i drugi obraz - ukazujący osiągnięte rezultaty selekcji typów ludzkich przez wydarzenia - według tegoż Beckmanna, wszakże również malarza niemieckiego.



Dürer



Adam i Ewa



Beckmann

Max Beckmann (1884-1950), niemiecki malarz, rzeźbiarz, grafik i pisarz, zagorzały przeciwnik wojen. Po załamaniu nerwowym pod wpływem wybuchu I Wojny Światowej tworzył ekspresyjne dzieła o tematyce społeczno-religijnej, w stylu secesyjnej symboliki, nader krytyczne wobec rzeczywistości. W 1937 r. wyjechał z III Rzeszy do Holandii, a w 1947 r. do USA.

Na zakończenie serii wspomnień z „obrazkami”, przedstawiam – dla pewnego uspokojenia nastroju, i z radości, że już prawie kończę pisać WSPOMNIENIA – obraz *Mleczarka*, Jana Vermeera van Delft (1632-1675). Obraz uspokajający, bo mleko skrupulatnie jest przelewane spokojnym strumieniem, najwyraźniej bez utraty nawet kropli, dzięki łagodnemu światłu z bocznego okna, uwydatniającemu kolory. Jak wspaniale jest namalowana ściana! Jaki śliczny jest czepek, jak uważne jest spojrzenie lekko przechylonej mleczarki! Na innym obrazie będzie czytać równie uważnie list – ale tego obrazu już nie zamieszczę – poszukajcie go sami.



Mleczarka

Jan Vermeer van Delft (1632-1675)





### Piątek, 17 czerwca 2016 r.

Wznawiam pisanie – bo trzeba wyjaśnić, czym zajmowaliśmy się na kompletach, gdy już skończyliśmy - w zasadzie – rozważać rozwój malarstwa przy częstym rysowaniu „schematów”. Mógłbym to wprawdzie pominąć, bo w książce Pani Neli spis treści w znacznym stopniu odpowiada kolejności podejmowanych tematów, ale teraz ta książka nie jest łatwo dostępna – nigdy zresztą nie była łatwo dostępna, a obecnie nie do nabycia w antykwariatach – więc jednak w krótkim zarysie napisać, czym zajmowaliśmy się, muszę. Najpierw jednak o aktualnościach – co się zdarzyło w ostatnich dniach. Najważniejsze, że po nieudanej rozmowie 23 kwietnia (w moje imieniny) – nieudanej, bo byłem chory, na skraju przytomności – zatelefonowałem do Doroty i umówiłem się na rozmowę, na jutro. Bez wyraźnego planu. A resztę – mało istotną, chociaż zauważalną, przedstawiam niżej.



Otóż, poeta i pisarz Jarosław Marek Rymkiewicz otrzymał 11 czerwca br. Nagrodę literacką im. Lecha Kaczyńskiego, z rąk Jarosława Kaczyńskiego, Prezesa PIS (gdyby ktoś nie wiedział, kto zacz). W sentencji uzasadnienia przyznania Nagrody podano, że za „tworzenie mitów narodowych” i w powiązaniu z Osobą Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, oraz rocznicą śmierci w katastrofie lotniczej.

Wcześniej (w grudniu 2015 r.) J.M. Rymkiewicz otrzymał nagrodę im. Juliana Tuwima, co spotkało się z protestem środowiska literackiego i akademickiego Miasta Łodzi, rodzinnego miasta Tuwima, nie godzącym się z katastroficzną eseistyką Rymkiewicza i podkreślającym polityczny charakter nagrody.

O Rymkiewiczu, jego rozkoszowaniu się drastycznymi opisami egzekucji zdrajców narodowych, hetmanów i biskupów, w czasie powstania ludu Warszawskiego na Wielkanoc 1794 r., pisałem na str.11. Tamte wydarzenia nie były mitem. Zrelacjonowano je np. w: *Warszawa wieku OŚWIECENIA*, PIW, 1954, na str. 268-298, z mapą ówczesnej Warszawy.

Istotnym wydarzeniem była wizyta Pani Grażyny Prawda, pisarki mającej zamiar opracować genealogię rodu Miłkowskich, ze szczególnym uwzględnieniem postaci Neli Samotyhowej – o czym już wspominałem. Były zdjęcia – nareszcie ktoś mnie fotografuje! Nawet nieźle.



No i dobrze, a jeszcze poczułem się lepiej, gdy udało się naszej ekipie piłkarskiej nie przegrać z Niemcami. Co za radość, powszechnie-narodowa, przesłaniająca - korzystnie dla władzy - ponurą rzeczywistość. Nie oglądałem jednak tego meczu, poszedłem na spacer, a po powrocie odczytałem przysłany przez Panią Grażynę – wraz ze zdjęciami - artykuł o Bosch, szczególnie – umieszczony w warszawskiej SZTUCE w 1914 roku – tuż przed w wybuchem Wojny. Jeszcze nikt wtedy nie wiedział, że to będzie wojna Światowa i będzie nosić numer pierwszy. Artykuł napisała Nela Samotyhowa, podpisując nazwiskiem Miłkowska; właśnie wróciła z Mężem w lutym z Brukseli, po studiach. Artykuł jest długi, bogaty w rozważania nie tylko nad malarstwem Boscha, lecz również nad jego posłannictwem – wyrosło ono z poczucia zniewolenia ludu Flandryjskiego, pod pełnym przemocy panowaniem arcykatolickich królów Hiszpanii.

### Niedziela, 26 czerwca 2016 r.

Od czwartku wieczór jesteśmy w Zaklikowie, szosa była pustawa, cały czas było ostre Słońce, przyjechaliśmy nieco szybciej, niż zwykle, prowadziła wyłącznie Basia. W Zaklikowie nadzwyczaj upalnie, ale wybujała zieleń, mimo widocznej suszy. Upały znosiłem zwykle dobrze, ale teraz poczułem się źle – jak się okazało, doznałem – ni z tego ni z owego – znacznego obniżenia tętna, z 60 na 45. I takie się utrzymuje, dziś też, bywa jednak i jeszcze mniejsze (36). A Basia – nad podziw dzielna - ona nigdy się nie skarży. Po rozpakowaniu się, zdjęciu okiennic, nakarmieniu kotki i przywitaniu się z zaprzyjaźnionym psem sąsiada Kowalika, stwierdziliśmy brak Internetu, oraz łączności telefonicznej. Okazało się, że okolice Zaklikowa nawiedziła w poniedziałek i wtorek burza o sile dotychczas tu nie znanej, z gradem wielkości kurzych jaj. Zrozumieliśmy, dlaczego jadąc widzieliśmy grupy drzew

leśnych i przydrożnych, leżące pokotem. Grad podziurawił dachy domów i samochodów, na szczęście, te zniszczenia ominęły centrum Zaklikowa. Jednak wieże telefonii, i różne aparaty elektroniczne, uderzeniami piorunów zostały poważnie uszkodzone. Upał trwa, w cieniu było dziś 42°C, wewnątrz „Lepianki” 25-27°C.

Wobec nadzwyczajnej suchości powietrza, nadzwyczajnie elektryzują się też klawisze komputera, powodując przeskakiwanie grup znaków, dużych fragmentów tekstu. Razem z nieobecnością Internetu, utrudnia to i zasadniczo zniechęca do pisania. Jednak dwa listy od Pani Grażyny i trzy od Andrzeja otrzymałem, i odpowiedziałem na nie, korespondencja jednak przewleka się, bowiem beznadziejnie długo czeka się na pojawienie sygnału Internetu.

Chciałem napisać o przybyciu Doroty, w sobotę, i o wszystkim, co jest tak nadzwyczajnie ważne w moich zakłóconych z Nią stosunkach. Niczego nie zaplanowałem na to spotkanie, bo najbardziej istotne byłoby samo Jej widzenie, i rozmowa taka, jaka by się sama ułożyła, bez jakiegoś planu. I tak właśnie było – przede wszystkim Dorota wygląda wspaniale, jakoś przyjemnie dziewczęco, wręcz młodzieżowo – przyjemnie patrzyłem na nią, i rozmawialiśmy – jakbyśmy się spotkali kilkadziesiąt lat temu. Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy – bez dotychczasowych przestojów, przemilczeń. Dorota taka była, jak przed laty, spontaniczna. Oczywiście, to złudzenie – lecz nadzwyczajnie przyjemnie było mówić, o wszystkim i o niczym. Więc – na przykład – pokazała mi swój smartfon i zademonstrowała, co może. Otworzyła to wąskie żółto-złociste obłe pudełko, wyglądające jak oprawka na okulary, i zabawialiśmy się wywoływaniem głosem różnych haseł – wywołaliśmy tytułem przykładu Romana Zimanda, bo akurat kolejny raz studiowałem Orwella i pracę Zimanda „*ORWELL i o nim*” (Zimand już sporo lat nie żyje, nie krył swojego żydowskiego pochodzenia, jest zresztą pochowany na żydowskim cmentarzu w Warszawie). Kiedyś studiowałem przekształcanie się Zimanda z przekonanego komunisty w dysydenta, stąd moje zainteresowanie nim, jako osoby szczególnie wartościowej z kręgu wychowanków Jadwigi Siekierskiej, do którego należała też moja była żona. Profesor Jadwiga Siekierska zajmowała się kształceniem przyszłych kadr naukowych w duchu estetyki zgodnej z marksizmem. O tym z Dorotą nie rozmawiałem, nie odkrywałem różnych tajemnic – bo nie wypada. Wywoływaliśmy Zimanda i inne hasła, i ze zdziwieniem nabrałem przekonania do tego małego urządzenia, smartfonu Samsunga.

O czym jeszcze rozmawialiśmy? Na przykład Dorota wyjaśniła, że mocno zeszczupiała, między innymi dlatego, że nie używa do słodzenia cukru – po prostu cukru nie kupuje. Słodzi *Stewią* wszystko to, co trzeba słodzić. Oczywiście, wyjaśniała mi długo i uczenie, co to za ziele, i jakie są zalety z używania tego słodzika, i że są też inne – np. ekstrakt z soku brzoźowego. Akurat sok brzoźowy znałem, na przednówku, w okresie Wielkanocy, w Nowogrodzkiem dużo się pijało soku brzoźowego – była w nim świeżość i smak wiosny. Rozmawialiśmy też o udanej operacji jej kolana, i planowanym przez nią wyjeździe z Tadeuszem do Rumunii – na urlop, na 10 dni. Dorota jeszcze ma zwolnienie lekarskie z pracy w szkole, ze względu na operację kolana, po której ma świeże ślady.

Rozmawiając przypominaliśmy różne sprawy rodzinne, zdarzenia z jej wczesnego dzieciństwa, szczególnie z okresu, gdy zaczęła *umieć chodzić*, co nastąpiło w Jachcicach pod Bydgoszczą – prawie równocześnie z cioteczną siostrą Gusią. Gdy usypiały - też razem, w zapadającym mroku, leżąc obok na tapczanie, przez szczebelki łóżeczka czytałem im bajki.

No i tak nam czas szybko zbiegł, rozmawialiśmy ponad 3 i pół godziny. Dorota uniosła ze sobą moją książkę *Balistyka współczesna*, wydaną w tym roku. Zastanawiam się, czy takie spotkanie może się powtórzyć? Czas ubiegły, to jednak czas stracony – można tylko, oglądając wyblakłe zdjęcia, zastanawiać się – kto na nich jest, i czy jeszcze żyje.

**Poniedziałek, 27 czerwca 2016 r.**

Tak spieszenie mi było opisać, choćby w skrócie spotkanie z Dorotą, że dopiero teraz ujawniam, że jeszcze przed wyjazdem do Zaklikowa wystąpiły u mnie objawy ogólnego

osłabienia i niewłaściwej pracy serca, głównie zwolnienie tętna. Spodziewałem się, że te objawy ustąpią w dobroczynnym powietrzu Zaklikowa. Tak zwykle bywało, ale teraz te zmiany jakby jeszcze bardziej uwybraźniły się, co może wynikało – tak przypuszcza Basia - z mojego „zbykowania” na punkcie użytkowania komputera, ściślej – praktycznie braku Internetu, braku może spowodowanego niedawną burzą, z przed tygodnia – o niespotykanej tu gwałtowności. A ja chciałem właśnie w Zaklikowie dokończyć pisanie WSPOMNIEN.

Więc śpieszę donieść, że w toku nagłych konsultacji, z udziałem PP. Oszustów, pod hasłem „ratowania zdrowia” – mojego oczywiście – po rozważeniu – jechać do Warszawy, czy wezwać Karetę Pogotowia i udać się do szpitala w Stalowej Woli – w poniedziałek przed południem spakowaliśmy się, zamknęli okiennice, i o 14.15 wyruszyliśmy do Warszawy.

Dziś środa 29 czerwca, jesteśmy po udanej jeździe w domu na Mokotowie. Po wczorajszej Basinej konsultacji z dr Rymuzą mam założony prywatnie aparat Holtera, którego wyniki badań przedstawimy dr Rymuzie, mojej bardzo uczonej, przyjaznej i wielce doświadczonej Kardiolożce z Instytutu Kardiologicznego na Spartańskiej. Mierzę często równolegle sam ciśnienie tętnicze i tętno – rezultaty nie są nadmiernie zachęcające.

**Czwartek, 30 czerwca 2016 r.**

Zostaliśmy umówieni na jutro, na wizytę u dr Rymuzy, po porannym odebraniu wyników z Holtera. A dziś, już za godzinę mecz „o wszystko” z Portugalią, w Marsylii.

**Piątek, 1 lipca 2016 r.**

Mecz przegrany, a po dzisiejszej rozmowie z dr Rymuzą ... no cóż, cieszę się, że zdążyłem zakończyć pisanie piątej części WSPOMNIEN – no, prawie zakończyłem. Trzeba się pośpieszyć, dodać kilka linijek. Na szczęście, rozmawiałem z Dorotą, dobrze nam się rozmawiało. Ale to jednak mało, a czas już się kończy. Co mam powiedzieć?

Przykro mi, że nie zawsze byłem należycie pomocny dla Barbary, mojej żony, fantastycznie oddanej mi życiowej przyjaciółki, życzliwej ludziom. Hamowałem Ją czasem w życzliwości dla innych, czasem byłem szorstki, krytyczny, i egoistycznie zapatrzony w realizację własnych celów. Tolerowała moje szorstkości, gładzenie, i bezwzględnie popierała moje „emeryckie” pisanie WSPOMNIEN, zwalniając z domowych prac. Widziała w mojej pisaninie jakieś wartości, doceniała ją ponad miarę. Jej uznanie dla mnie nie było całkiem zrozumiałe, ale było bardzo pomocne. Ciekawiło Ją moje życie, i ta Jej ciekawość - nawet do szczegółów wydarzeń i formy ich przedstawiania - pobudzała mnie znowu, i znowu do dalszego przypominania i opisywania. Chociaż moje życie nie obfitowało w nadzwyczajne wydarzenia, dla Niej nawet opis błahych szczegółów był niezmiennie interesujący.



A oto i Basia - tuż zaraz druga z brzegu - na uroczystym złożeniu wieńców przy pomniku „POLEGLI NIEPOKONANI” na Cmentarzu Powstańczym na Woli, 1 sierpnia 2015, w 71 rocznicę Powstania Warszawskiego.

Przystępuję zatem do opowiedzenia, czym zajmowaliśmy się na kompletach u Pani Neli, gdy odbyliśmy zasadniczy staż, polegający na poznawaniu kierunków malarstwa europejskiego, w zasadzie wywodzący się z malarstwa epoki Odrodzenia rozwijanego najpierw głównie we Włoszech, później zaś bardziej w krajach ościennych, zwłaszcza w Niderlandach, Niemczech, we Francji. Już o tym wspominałem, że poznawaliśmy malarstwo olejne epoki Baroku, w uzgodnieniu z naszą przewodniczką poznawaliśmy rozwój malarstwa w kolejnych krajach, nie zaniedbując – na przykład – nieco odosobnionej Hiszpanii, z jej wspaniałymi malarzami. Poznawaliśmy najpierw El Greco, później sztukę Velasqueza, Zurbarana, jeszcze później dramatyczne serie grafiki malarskiej Francisco Goy’a. Wychwytywaliśmy różnice stylów charakterystyczne dla poszczególnych twórców i krajów, oraz umacnianie się wielu autonomicznych kierunków, nie inspirowanych ideami religijnymi – a więc malarstwa portretowego, dworskiego, rodzajowego, pejzażowego, historycznego, a również podobne kształtowanie się stylów. Więc poznawaliśmy – nie rysując schematów – we Francji obrazy klasycystyczne Dawida i Ingres’a, na równi z obrazami Géricaulta i Delacroix rozwijającymi styl romantyczny, oraz obrazami batalistycznymi Verneta. Obserwowaliśmy rozkwit malarstwa pejzażowego, we Francji w ujęciach Corota i Rousseau, w Anglii – w obrazach Williama Turnera i Hobbema. Oczywiście, nastąpił niebywały rozwój malarstwa portretowego – we wszystkich krajach. Poznawaliśmy malarstwo portretowe Holbeinów, Halsa, Durera, van Dycka, Rubensa, no i najważniejszego z portrecistów i malarzy w ogóle – Rembrandta. Rozwój wzbudzany zapewne bogaceniem się zachodnich krajów Europy, z handlu i z korzyści z załączków przemysłowego wytwarzania dóbr, co zwykle nazywa się rewolucją przemysłową, lub powstawaniem tak zwanej klasy średniej. Oczywiście, w pełni ta rewolucja objawiła się niezwykle rozwarstwieniem społecznym – obok nielicznych bogaczy pojawiły się warstwy rażąco ubogie, przede wszystkim górników i robotników zatrudnionych w niesłychanie ciężkich warunkach, i wyzyskiwanych niewolniczo. Ale to stało się widoczne w pełni dopiero z początkiem XIX wieku, i głównie w Anglii, gdzie wynaleziono maszynę parową i zapoczątkowano wprowadzanie napędu z maszyn parowych do fabryk towarów powszechnego użytku. Wykorzystanie nowego rodzaju napędu wkrótce zrewolucjonizowało wszystkie gałęzie gospodarki i doprowadziło do gwałtownego rozwoju, dzięki ciągłemu wynajdywaniu co raz to nowszych i bardziej wydajnych maszyn produkcyjnych, co szczególnie zaznaczyło się ogromnym rozwojem tkalni. Jednak tym korzystnym zmianom technologii wytwarzania towarzyszyła niezmiennie pauperyzacja szerokich warstw społecznych, zwykłych ludzi – stopniowo eliminowanych z procesów produkcyjnych.

Na przełomie XVIII i XIX wieków głównymi klientami malarzy zaczęli się stawać bogaci kupcy i fabrykanci, a w o wiele mniejszym stopniu Kościoły. Malarstwo stało się sztuką w pełni świecką, ośrodki malarskie formowały się najczęściej przy stolicach dużych państw – od połowy XIX wieku koncentrowało się głównie w Paryżu. W XIX wieku profesja artysty stała się intratna, chociaż osiągnęte korzyści i niezależność twórców były warunkowane – tak samo jak we wcześniejszych wiekach – dopasowaniem się artysty do gustów klientów, która chociaż się zmieniła, często była niewykształcona. Dotarcie do klienteli dostatecznie zasobnej polegać teraz mogło na zwróceniu uwagi na niezwykłość stylu, wymyślaniu i lansowaniu nowych idei malarskich zwracających uwagę, lecz jakże często nie trwałych. Niewątpliwie powstawanie nowych kierunków sprzyjało również rozwojowi malarstwa w ogóle. Służyło też rozwinięciu galerii marszandów – nowego rodzaju pośredników między twórcą a klientem – którzy mogli wpływać na rozwój malarskiej sztuki, chociaż niekoniecznie korzystnie. Ale niektórzy marszandzi nie tylko wspomagali nowych artystów, często bezradnych na rynku sztuki, i zwłaszcza bezradnych wobec organizatorów dużych dorocznych paryskich wystaw obrazów, oficjalnych, popieranych przez władze państwowe. Tacy świadomi – i zasobni – marszandzi, jak na przykład paryski Vollard, w znacznym stopniu oddziaływali na powstawanie nowych



kierunków malarstwa. Pomagali artystom przezwyciężać społeczny zastój umysłowy, zwykle w konkurencji z dużymi oficjalnymi wystawami obrazów w Paryżu.

Na kompletach dotarliśmy najpierw do idei Impresjonizmu, czyli sztuki malowania z użyciem palety jasnych farb, na ogół bez wyraźnego zarysowywania formy przedmiotów, co na widzu nie przygotowanym do odbioru takiego malarstwa - na mnie na przykład – robiło wrażenie malowania właśnie samego „wrażenia” – na ogół jakby nieco przez mgłę, czyli samej „impresji”. Takie „nieostre widzenie” mogło nie odpowiadać widzom przyzwyczajonym do „fotograficznej” szczegółowości i do ciemnej „Monachijskiej” palety barw, jakby ciemnego sosu otaczającego malowane obiekty. Ale jasna paleta wynagradzała niektóre negatywne cechy, a paryska publiczność - zwana potocznie „burżuazją” – po początkowo burzliwych protestach, bardzo szybko zaakceptowała odbiór „impresjonistycznego” – tego jakby „integralnego”, jakby w przelocie – widzenia. Zresztą, widoki Wschodu i Zachodu Słońca, a i inne, w pełni zadowalają wyłącznie w ujęciu impresjonistycznym. Tak zaczął malować Claud Monet – namalował *Wschód Słońca* w zamglonym porcie, oraz *Dworzec st. Lazar* z parowozami buchającymi parą pod szklanym dachem. Można też zauważyć, że niektórzy malarze, np. Turner – w rozświetlonych scenach morskich już wcześniej malowali „impresjonistycznie”. A jak wspaniale malował Renoir dziewczyny zstępujące w dolinę kwiecistej łąki. W ujęciu Renoira Impresjonizm wydawał się stylem jakby specjalnie dla niego wynalezionym – do malowania aktów kobiecych – o bujnej urodzie. Zresztą, każdy „nowy” impresjonista malował inaczej, bardzo się różnili. Mnie szczególnie pociągają obrazy Alfreda Sisley’a i Camilla Pissarro, zwłaszcza pejzaże, miejskie i takie „podwórkowo-ogrodowe”, o ogromnej kulturze rozłożenia elementów i barw na płaszczyźnie obrazu.

A również pejzaże Alberta Marque’ta – on umiał malować wodę, jej ruch, on kochał statki! Impresjonizm, impresyjne postrzeganie przyjęło się, utrwaliło – dość wcześnie, jest w pełni akceptowane do dziś. Jednak dla szczególnie kapryśnych widzów, opornych wobec pewnego zatracenia w Impresjonizmie „formy”, czyli dostatecznej wyrazistości kształtów malowanych obiektów, wymyślono najpierw odmianę zwaną „puentylizmem” (za jego twórcę uchodzi George Seurat), a później wprowadzono diametralnie inne, bo „kubistyczne” widzenie rzeczywistości, geometryzowanie natury „ożywionej” i „nieożywionej”. Uczynili to wprawdzie geniusze malarscy Braque, Matisse i Picasso, i rychło za nimi malowali tak „wszyscy”, ale kubistyczne widzenie rzeczywistości i także jej malowanie, chociaż wzbogaciło wyobraźnię, nie utrwaliło się. Przy Kubizmie pozostali nieliczni.

Dla mnie obrazy kubistyczne mogą być ciekawe, ale kubizm może też nużyć pewną „twardością” formy, właśnie tą swoją „kubistością”, jakby nie istniały w malarstwie jeszcze inne walory. Piękne portrety w stylu kubistycznym – czasem lekko wpadające w przerysowania niemal karykaturalne – co niektórych myliło (portret to, czy karykatura?) - kreślił Edward Głowacki, którego spotykałem u Samotyhów. Zachowuję jego autorstwa portret Stefana Żeromskiego, a nad półką przy biurku Pani Neli wisiał piękny Jej portret, wykonany jeszcze przed Wojną, przez miłkiwego, szczupłego, i naprawdę niezwykle lakonicznego Pana Edwarda.

Wracam, choćby na krótko, do głównego wątku. Pod koniec XIX w. powstawały jakby zakony, bractwa i kasterie malarskie, z drukowanymi manifestami – jak, i nawet co - należy malować. Najwyraźniej środowiska malarskie, chociaż już znajdujące uznanie wśród publiczności jako poważni, filozofujący „artyści”, a nie zwykli „rzemieślnicy” od malowania na zamówienie, poszukiwały świadomie nowych dróg, nowych kierunków realizacji wrażeń. Więc Wasili Kandinski najpierw malował „ruch”, dynamikę ruchu wyrażał najbardziej jego obraz przedstawiający konia w wydłużonym nienaturalnie skoku. Później zajął się jednak malowaniem bezprzedmiotowym, abstrakcyjnym – wielu tak zrobiło, dezorientując publiczność dużo bardziej, niż uczynili to wcześniej impresjoniści. Ale publiczność była już w okresie po Impresjonizmie nieźle „dokszałcona”, dobrze się orientowano, że „kierunków”

jest dużo, że bywają interesujące, ale również i to, że pojawiają się i zwykle znikają jak efemerydy.

Najwięcej manifestów ideowych wydał kierunek zwany „futuryzmem”, zapoczątkowany przez poetyzującego włoskiego malarza, a i filozofa o skrajnie rewolucyjnych poglądach – Filippo Marinettiego. Wyznawcą futuryzmu Marinettiego był rosyjski poeta-malarz-agitator Władimir Majakowski.

Do żadnego kierunku zaś nie należał pochodzący z Witebska Marc Chagall – malarz wizji baśniowych rzeczywistości prowincji rosyjsko-żydowskiej, kwiatów i scen biblijnych. Podobnym w zasadzie „pojedyńkiem” był van Goghen, przyjaciel nieszczęsnego van Gogha, mimo odosobnienia – nawet geograficznego – bywa zaliczany do „symbolistów”.

Nie zamierzam omawiać liczby nowatorskich widzeń i malowania rzeczywistości, jest ich wiele i pojawiają się nowe, niektóre Pani Nela zdążyła omówić w swojej książce, trafnie wybierając te, które mało się zestarzały. Dla mnie najbardziej zrozumieli są fowiści (od *Les fauves* – dzikie zwierzęta, drapieżniki), a wśród nich zwłaszcza Maurice de Vlaminck, malujący rzeczywiście „gwałtownie”, gdyż wyciskał farbę z tuby bezpośrednio na obraz, próbując nie mieszać kolorów. Fowistów istotnie cechowała „żywiolowa ekspresja kolorów”, ale każdy z „dzikich” malował jednak inaczej, po swojemu. Do tego kręgu malarzy należeli Rauol Dufy, Albert Marquet malujący wspaniałe pejzaże miejskie i z wodą, André Derain, oraz George Rouault - osobliwy malarz postaci i scen motywowanych z pozycji społeczno-religijnych. Fowistów zawsze oglądałem z zainteresowaniem, udziela mi się ich pasja kolorystyczna, a w ujęciach Dufy z sympatią poszukuję elementów zabawy i humoru.

A teraz parę słów o największym bodaj samotniku wśród malarzy drugiej połowy XIX wieku – o Cezannie. Paul Cezanne większość swego życia spędził na południu Francji, w Aix, niemal całkowicie izolowany od środowiska cyganerii, malarzy i intelektualistów Paryskich, chociaż znał wielu impresjonistów, przyjaźnił się z Monetem, Renoirem, w młodości poznał również Zolę. W Aix, będąc materialnie niezależny, w połowie życia jako malarz poświęcił się wyłącznie jednej sprawie. Niczym naukowiec w doświadczalnym laboratorium, studiował współczesne formy malarskie, dążąc uparcie do wyjaśnienia reguł rządzących kolorem i światłem, po to, by znaleźć sposób na pogodzenie jasnej palety impresjonistów z potrzebą odtworzenia kształtu – przecież prawie utraconego w impresjonizmie – a bezskutecznie odtwarzanego w ujęciach kubistycznych. Powtarzał codziennie wyczerpujące próby wyrażenia kształtu poprzez kolor, wykonał liczne (podobno 57) obrazy *Góry Saint Victoire*, studiując pracownice skutki jej szybko zmieniającego się oświetlenia. Podobno, gdy pod koniec życia poznał marszanda Vollarda, namalowanie jego portretu zajęło mu aż 100 sesji. Cezanna doszedł do celu, ale jego obrazy były odrzucane przez Jury Salonu Paryskiego, a tylko jeden przyjęty, w 1874 r. - pozostał niezauważony. Właśnie dopiero Vollard docenił wagę osiągnięć Cezanne’a, i pod koniec jego życia (w 1895 r.) wystawił dzieła Cezanne’a – które tym razem zostały docenione zarówno przez publiczność, jak i przez malarzy. Ujawnił się zarówno postęp wykształcenia, jak i zmiana sposobu patrzenia, czyli „ewolucja smaku”. W książce „Malarstwo zachodnio-europejskie” jest reprodukcja kolorowa obrazu „*Chłopiec w czerwonej kurtce*”, dobrze ujawniająca modelowanie kształtu kolorem, wprowadzone przez Cezanne’a do malarstwa światowego.

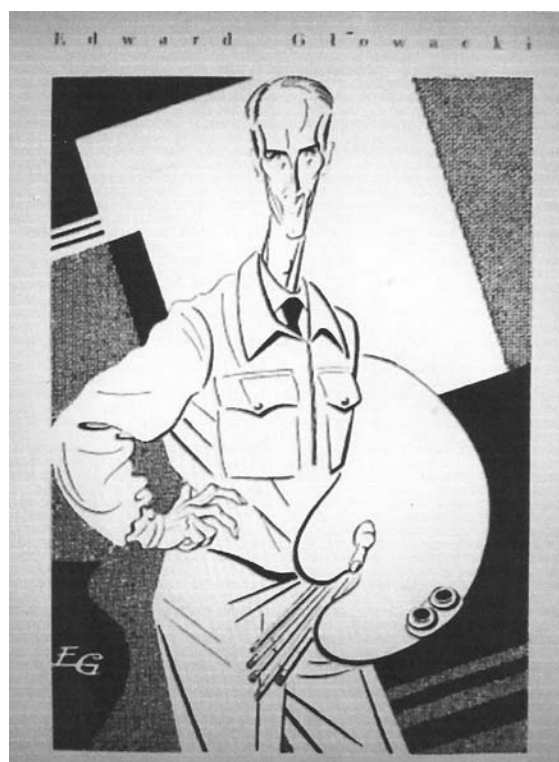
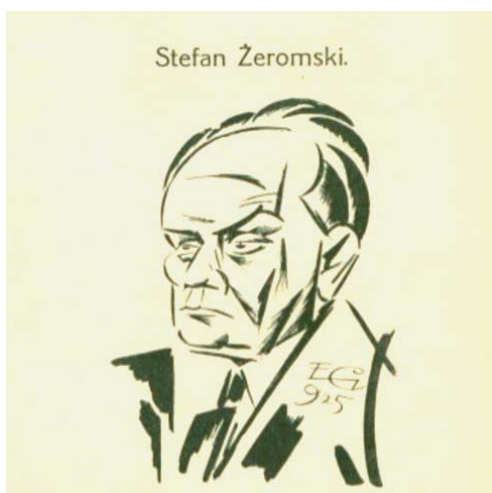
Jeszcze wspomnę o bliskich mi malarzach podejmujących nurt niejako ewangeliczny, bo związany z ludźmi pracy, z ludźmi wyzyskiwanymi, z tak zwanego niskiego stanu, starymi. Nie zawsze malowali ludzi poniżonych, malowali też pejzaże, niekiedy dziwnie wspaniałe. Mam na myśli przede wszystkim Van Gogha (z jego *Zjadaczami kartofli*, z pejzażami o dwóch szaleńczo wirujących Słońcach), ale również wspomnianego wyżej Rouaulta, Edgara Degasa, Honorée Daumiera, Gustawa Courbeta, Adolfa Mentzela, oraz znacznie późniejszego Maksa Liebermanna (z obrazami *Przędzalnia lnu*, *Skubanie gęsi*). Ci twórcy nie byli

wyłącznie malarzami obserwującymi i odtwarzającymi neutralnie otaczający ich świat – oni dostrzegali problemy w zarysowywanych od nowa między ludzkich stosunkach na przełomie XIX i XX wieków, i choć pośrednio – bo przez malarstwo - dawali wyraz swym przekonaniom, spełniając rzetelnie społeczną powinność.

Na zakończenie – dziękuję Neli Samotyhowej, i Erazmowi Samotysze – za przyjacielskie powołanie – w swym własnym ciasnym mieszkaniu na Noakowskiego 4, w trudnych nieprzyjaznych warunkach – kompletów kształcących wrażliwość na piękno malarstwa, na piękno w ogóle. Wzbudzone tam uczucia zespoliły zespół obcych sobie początkowo ludzi, rozpały się mocno w wieczornych spotkaniach, w warunkach ówczesnej nocy kulturalnej. Nela i Erazm Samotyhowie dobrze pojmowali i spełniali swą pedagogiczną powinność względem społeczeństwa, a ja jestem dumny, że byłem świadkiem ich wytrwałej działalności.

*Przejrzałem i skorygowałem część 5 WSPOMNIENI w 50-lecie śmierci Pani Neli Samotyhowej*

*Dla przypomnienia sztuki portretowej Edwarda Głowackiego, przyjaciela PP.Samotyhów, którego spotykałem u Nich, i wspominałem, zamieszczam niżej kopie dwóch Jego dzieł. Drugie dzieło jest autoportretem. Naczelną ideę Głowackiego w sztuce portretowania wyraża hasło: wyrazisty człowiek.*



Uchwałą Sądu Konkursowego, w skład którego wchodził m.in. prof. S. Noakowski, Głowacki otrzymał za całokształt twórczości nagrodę m.st. Warszawy (1928).

Trzyletnia wystawa w dziesięciu miastach Stanów Zjednoczonych, a poprzednio w Caen, Wiedniu i Sztokholmie zjednały Głowackiemu uznanie zagranicy.

Nela Samotyhowa tak pisała o cechach twórczości Głowackiego (ARKADY 1938, nr 8):

***Kompozycja w pracach Głowackiego zajmuje równe i ważne miejsce, jak poszukiwanie wyrazu psychicznego. Chłodna, intelektualna sztuka Głowackiego powstaje z wewnętrznego fermentu, z poszukiwań i niepokoju.***

Uzupełniając dodam, że żona Pana Edwarda, Felicja Głowacka - lekarz stomatolog, w ostatnich 3 latach życia objawiła niezwykle talent malarski. Pośmiertne wystawy Jej twórczości ujawniły, że przez całe życie narastało w niej powołanie do widzenia, malowania i rysowania rzeczywistości na swój - odmienny od innych sposób. Jerzy Wolff, niezwykle malarz, interpretator historii malarstwa, i ksiądz w jednej osobie, uderzony bogactwem wrażliwości, kolorystyką, i nowym rodzajem malarstwa uprawianego przez Głowacką, charakteryzował je z ogromnym przejęciem - (Jerzy Wolff; FELICJA GŁOWACKA, miesięcznik ZNAK Kraków 1960, str. 966).

## **Dorota, Rodzina, Znajomi i Przyjaciele. Żeglarstwo i Myślistwo.**

### **Wydarzenia pominięte w relacji z życia w Politechnice w części 4.**

#### **Wprowadzenie**

**Wtorek, 26 lipca 2016 r.**

Tej części WSPOMNIENI, wprawdzie zaplanowanej, miało nie być. Zrezygnowałem z niej po 24 czerwca, gdy wystąpiły kłopoty zdrowotne – znaczne obniżenie tętna, objawy słabości. Na przykład, obawy przed wchodzeniem piechotą po schodach na 7 piętro, przy Bełskiej 8. Przez lata pokonywałem tę wysokość raz, albo i dwa razy dziennie, w czasie 2½ minuty, teraz czasem trudno mi wejść nawet na 3 piętro. Jednak jeszcze funkcjonuję, żyję, na 7 piętro też wchodzę. Więc po miesiącu trwania takiego stanu, podjąłem próbę napisania o kilku jeszcze sprawach, dotychczas pominiętych, lub zaledwie zaznaczonych. Chciałbym ograniczyć się do przedstawienia tylko niektórych fotografii, i tylko z niezbędnymi wyjaśnieniami. Bardzo mi trudno „uszkładać” i przedstawić zespół rodzinny, jest mały i po dwóch Wojnach Światowych bardzo rozproszony, pod każdym względem, co by o tym nie pomyśleć.

Zacznę od gałęzi *Warszawsko-Izabelińskiej*, w niej najważniejsza - a jakże - była Dorota. O Dorocie, niemal obumarłych z nią kontaktach, prawie żadnych, mimo moich przypominań i przymileń - przez 30 lat - już pisałem. Wznowiłem kontakt w końcu czerwca już tego roku, spotkanie było nawet wzruszająco miłe, ale przecież czasu straconego nie odrobi się. Teraz jest z mężem na urlopie w Rumunii, on – dobry mąż – stara się, bo to 60te urodziny Doroty. Obiecała, że gdy wróci – zadzwoni. Przedstawiam więc tymczasem kilka zdjęć z Dorotą, od najwcześniejszych jej lat. Fotografowałem Dorotę często od początku, i później często też, przeważnie polskim aparatem START na błonę zwojową, formatu 6 x 6. Była to lustrzanka dwuobiektywowa, później fotografowałem już lustrzankami małoobrazkowymi, cyfrowymi, niby to doskonalszymi, ale w praktyce wcale nie lepszymi. Mam wiele zdjęć 6x6 z Dorotą, zachowuję je troskliwie w dwóch albumach, zabezpieczone przed kurzem. Niech pamięta.



Już jestem na Świecie i rosnę ...



rozpoznaję kwiaty ...



potrafię już stać ...



uczę się chodzić (w Jachcicach).

Te przedstawione wyżej pochodzą z pierwszego roku życia Doroty, i z pierwszego dnia prób chodzenia – była bardzo zdziwiona, że potrafi chodzić, chociaż raczej od razu biegła łapiąc równowagę. Było to w gospodarstwie robotnika leśnego w Jachcicach, odosobnionym i zapuszczonym, położonym na wyżynie pod Bydgoszczą. Tuż obok zaczynał się ogromny wspaniały kompleks leśny, w dolinie płynęła wartko Brda. Wakacje tam spędzaliśmy trzykrotnie, pod opieką mojej teściowej Henryki Motyckiej. Bardzo dobrze wspominam Ją, jako Osobę zawsze pomocną, bardzo zatroskaną o swoje trzy dorosłe Córki, i o ich córki – bo tak jakoś było, że na świat przychodziły w tej Rodzinie wyłącznie córki. To była jakby kobieca republika, i miało to wpływ, dość zasadniczy, na losy trzech małżeństw, mojego też.



Z Dorotą zacząłem chodzić systematycznie na spacery niedzielne na początku jej trzeciego roku życia. Mieszkaliśmy wtedy przy ulicy Balonowej 22, tuż przy Forcie Mokotowskim. Wokół było dość dziko, mało domów, a niemal bezpośrednio za ulicą Odyńca szumiały łany zbóż. Zamiast obecnej linii tramwajowej nr 17 z Żoliborza w stronę Galerii Mokotów były szyny linii kolejowej, po których niekiedy poruszał się parowóz z wagonami towarowymi. Spacerować można było w różnych równie interesujących kierunkach, dla mnie było najbardziej istotne dopilnowanie Doroty, która nabrała nawyków wyrwania się i wybiegania na środek jezdni, zaśmiewając się z przerażenia towarzyszącej jej osoby. Mogła przecież wpaść pod samochód, bo jednak jakieś samochody – chociaż rzadko – tu jeździły. Niestety, musiałem po kolejnej próbie ucieczki dać jej klapsa i zapowiedziałem, że następne klapsy są możliwe. Oczywiście, starałem się jak mogłem wytłumaczyć jej niebezpieczeństwo, ale tymczasem najpewniejszym sposobem było mocne trzymanie za rękę. Na szczęście, próby ucieczki wkrótce ustały, chyba dlatego, że spacerowały dostatecznie dużo wrażeń, zaczęła zadawać ciekawe pytania. Z czasem odbywaliśmy wycieczki dość długie, na przykład do Łazienek, do Parku Ujazdowskiego, przechodząc zwykle obok Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, przez Plac Unii Lubelskiej i Bagatelę – bo Dorota lubiła biegać po wysokim murku wzdłuż Alei Ujazdowskich. Oczywiście, bywaliśmy na Targach Książki w Alejach Ujazdowskich, a gdy podrosła, pojechaliśmy na Pragę do ZOO. Bywaliśmy i nad Wisłą, z jednej takiej wycieczki mam piękne zdjęcie Doroty na podeście schodów na Most Śląsko-Dąbrowski – Dorota samorzutnie przyjęła tam pozycję „tańczącej nad Wisłą”.



Zwiedzam, co ciekawe



Wypady do Parku Ujazdowskiego z Tatą są najlepsze



Ożywianie słupka



Panowie z EMPiku?



Tajemna Noc Listopadowa



Co tam na dnie szklanki?



Mamy TV i oglądamy



Absolwentka I klasy

Ucieczki ustały, ale niektóre fantazje i pomysły Doroty mogły przyprawić o zawrót głowy. Pamiętam, jak pewnego razu, gdy rozmawiałem przez telefon, usłyszałem od strony korytarza dziwny brzęk – zamarłem, gdy się odwróciłem. Ujrzałem, że Dorota wychodząca z kuchni w moją stronę z figlarnym uśmiechem, ma na nogach dwa duże szklane słoje zamiast obuwia.

W jednej chwili pojąłem, co będzie, gdy przewróci się, a ostre kawały szkła ze stłuczonych słoje wbiją się w jej ciało. Nic nie mogłem zrobić, poza powstrzymaniem wyrazu przerażenia - by nie zechciała uciekać – ale nic się nie stało, bo chociaż w następnym kroku Dorota wywróciła się, słoje nie pękły, wytrzymały.



Taka lilia! (nad Chłopem)



I tam - takie grzyby!



Wisła, wiatr - do tańca!



Zaraz zrobimy balona



Przyjaciółka za oknem?

Inne problemy pojawiły się, gdy zacząłem Dorotę odprowadzać do przedszkola. Dorota dobrze przystosowywała się do każdego środowiska, i w przedszkolu od razu poczuła się dobrze, a jednak po kilku tygodniach zaprotestowała i zaczęła domagać się – już w szatni - powrotu do domu. Prawdopodobnie naśladowała te dzieci, które istotnie źle odczuwały pobyt poza domem. Nie mogłem oczywiście na powrót zgodzić się, wiedziałem też, że każdy błąd w tej kwestii będzie miał niedobre perspektywicznie konsekwencje. A byłem też pewien, że to zwykły kaprys, jakaś „próba sił”. Więc, gdy namowy i wyjaśnienia nie pomogły, w obecności Kierowniczki Przedszkola, doświadczonej pedagog, przeciwniej stosowaniu przemocy wobec dzieci, dałem jednak parę klapsów Dorocie. I to moje zdecydowanie radykalnie pomogło, na szczęście obserwująca tę „egzekucję” Pani Kierowniczka nie zaprotestowała.



W Szklarskiej Porębie



Z Ojcem 13.5.1975, Matura!



U Taty – bywam teraz bardzo rzadko, bo ...



jestem już „za mężem”.

Ale sprawa się na tym całkowicie nie zakończyła, bo Dorota wpadła na fortel, jak chociażby opóźniać dojeżdżenie do przedszkola. W tym celu w połowie odległości oświadczała, że chce „siusiu” i od razu kuciała w określonym miejscu pod płotem. Byłem początkowo bezradny, ale po kilku dniach i ja wymyśliłem fortel. W domu po obiedzie głośno oznajmiłem, że nasz znajomy dr Wierzejski przejeżdżał koło nas samochodem i śmiejąc się pytał, co my tam pod płotem robimy. To „oszustwo” podziałało piorunująco, nazajutrz Dorota już jak po sznurku zmierzała do przedszkola, do *Cioci*, swej ulubionej Wychowawczynie. Moje wyjaśnienia w wielu przypadkach odnosiły skutek, tylko w szczególnych przypadkach dochodziło do kilku klapsów. Wyjaśniałem cierpliwie Dorocie, że my ją wychowujemy, że najpierw staramy się, przemawiamy „do ucha”, a gdy to nie pomaga, dobieramy się „do skóry”. Słuchała i widać było, że rozumiała, bo gdy ktoś ze znajomych zapytał nieogłędnie, „czy tata cię bije”, Dorota bez namysłu odpaliła – „Tata mnie nie bije, Tata mnie wychowuje”. Byłem wzruszony, byłem też zdziwiony, bo jednak jakieś klapsy, same w sobie nie tyle bolesne, co obraźliwe, były.

Zapamiętałem dobrze tę niezwykle czułą wypowiedź Doroty, przypominała mi się też często później – i hamowała mnie, moje uczynki późniejsze, gdy jednak musiałem występować w roli pacyfikatora. A różne takie powody występowały – pierwszy pojawił się, gdy Dorota poszła do pobliskiej szkoły podstawowej, do pierwszej klasy, co nastąpiło po czułym a rzewnym pożegnaniu się z *Ciocią* w przedszkolu. Szkoła znacznie Dorotę zmieniła, jakby wydorosłała, zrobiła się stanowcza i wymagająca, nawet kapryśna. Najpierw, na samym początku, nie zaakceptowała pięknej teczki z żółtej skóry, specjalnie dla niej wyszukanej w sklepach. Zażądała zwykłej, taniej teczki ceratowej – bo takie noszą „wszyscy”. Trzeba było uszanować ten jej pogląd, nawet mi się spodobał. Ale występowały różne inne, mało zrozumiałe kaprysy. Największy zademonstrowała przy stole, gdy odmówiła zjedzenia obiadu przygotowanego przez Matkę – to było w czerwcu, już po chwalebnym zakończeniu studiów w I klasie. Nie chciała jeść i już. A na pytanie, co by zjadła, odpowiedziała, że jajecznicę. Byłem nieco wzburzony tym żądaniem, uważałem je za kaprys, jakieś odnowienie dawno nie ujawnianej przez Dorotę „próby sił”, ale widząc gotowość jej Matki do spełnienia wysuniętego żądania, i ja na nie przystałem – zastrzegając jednak, by się zastanowiła, bo jeżeli nie zje zamówionej jajecznicy, to wrzucę jej za kołnierz. Spojrzała na mnie milcząco i raczej mało przyjaźnie, siedząc przy stole i dyndając nogą. No i gdy patelniczka z jajecznicą się pojawiła, a Dorota odmówiła jej spożycia, niewiele myśląc chwyciłem patelnię za rączkę, drugą ręką odchyliłem kołnierz bluzki Doroty – i cała zawartość patelni wylądowała za kołnierzem, aż na plecach. Z odległości czasu, wcale nie żałuję takich „nie-pedagogicznych” postępów – okazywanie przez dorosłych gniewu i oburzenia, oraz stanowczości, jeżeli nie jest nadużywane, bywa potrzebnym i skutecznym środkiem wychowawczym. Dwa inne podobne przypadki też się niedługo zdarzyły, pierwszy, gdy Dorota po powrocie z wymarzonych wakacji na obozie harcerskim na Szerokim Ostrowiu nad Śniardwami, jedząc zakupione specjalnie dla niej śliwki, wypluwała pestki bezpośrednio na podłogę, i mimo wezwania, nie chciała ich ani zebrać, ani posprzątać. Przy okazji stwierdzę, że po każdym powrocie z wakacyjnych obozów Dorota demonstrowała zestaw słów, określeń – a i śpiewek, które trudno było uznać za stosowne, po paru dniach jednak leksykon wracał do normy. O drugim i chyba ostatnim przypadku karnego zabiegu pedagogicznego tylko wspomnę. Dotyczył wyrzucania przez Dorotę obuwia, przy gniewnym pokrzykiwaniu, bezpośrednio przez drzwi na podwórko. Było to w gospodarstwie u Państwa Lewandowskich nad słynnym Jeziorem Chłop w Pojezierzu Drawskim, gdzie bawiliśmy na wakacjach. Nadszedłem na tę gorszącą scenę wracając z porannego wędkowania.

O kilkakrotnych wakacjach nad pięknym, długim i głębokim Jeziorem Chłop, łapaniu w nim szczupaków i okoni, razem z Marianem Szczepańskim – ojcem Gusi, mógłbym napisać opowiadanie, a nawet sporą książkę. Początkowo bytowaliśmy nad Jeziorem w namiocie, dziwiąc się tylko, że w nocy jakby wyrastały wokół duże kamienie. Nie były to kamienie, a duże jeże – ich pobyt zaznaczał się też brzękiem talerzy i naczyń blaszanych, gdy buszowały nocami w części gospodarczej namiotu. Później, przez kilka lat, gościliśmy nad Jeziorem już rodzinie, w kwaterze wynajętej, razem ze Szczepańskimi. Marian był dobrym towarzyszem do wypraw wędkarskich – jeździłem z nim również nad Zalew dopiero wtedy powstający na Brdzie pod Koronowem, obecnie zwany Koronowskim. Marian był statecznym, takim „wiecznym prezesem” różnych spółek produkcyjnych w Bydgoszczy, ale był też przystojny, więc podatny na wszelkie pokusy towarzyskie. To rodziło problemy, bo atmosfera Rodzinnej „republiki kobiecej” nie była dla obyczajów mężczyzn sprzyjająca. W pewnym stopniu uratowałem jego małżeństwo, gdy zaczęło się rozpadać, po prostu wysunąłem i zrealizowałem pomysł zakupu rodzinnego telewizora – w rezultacie Marian przesiadywał już prawie wyłącznie w domu, problem został zażegnany. Ale w pozostałych przypadkach, w tym – w moim, taki zabieg nie mógł pomóc. Telewizor - Wawel - mieliśmy wcześniej. I wcześniej od innych mieliśmy samochód – już w marcu 1963 r. stanęła pod oknem mieszkania na

Balonowej 22 piękna Octavia Super, nowa, prosto z Czechosłowacji. Otrzymałem na nią przydział niespodziewanie szybko, dzięki chwalebnej rekomendacji Wojtka Turewicza ze współpracującego z Politechniką przedsiębiorstwa Państwowego zajmującego się budową przyrządów naukowych. Rekomendacja była ponad miarę „chwalebna”, ale istotnie byłem już wtedy na wznoszącej się fali uznania, jako autor książek, nauczyciel akademicki, a zarazem konstruktor urządzeń z elementami tranzystorowymi, uznanych za pionierskie. Tymczasem radość z zakupu samochodu – zakupu trudnego wtedy - nie była pełna. By jeździć Octavią na wycieczki i wakacje, musiałem zadbać o odbycie kursu na Prawo Jazdy – bo go nie miałem.

Nad Chłopa przywoziłem najpierw spory ponton wojskowy, z którego po napompowaniu łowiło się ryby dogodnie siedząc nawet na burcie, bo był duży, taki „dwie osoby plus dział”. Z pontonu korzystali wszyscy, ja nawet w wietrzną pogodę, i zwłaszcza w wietrzną – łowiłem na spinning szczupaki, a w każdą pogodę, nawet gdy był idealny spokój w przyrodzie, na głębinach poławiałem metodą na żywcą duże okonie – one jednak nadchodziły czasem i po wierzchu, ławą, co można było zauważyć po wzburzeniu powierzchni wody już z odległości. Dorota z Gusią wyprawiały się pontonem głęboko w przybrzeżne zarośla, przywoziły różne okazy przyrodnicze, np. tę zakazaną lilie wodną widoczną na zdjęciu. Obie świetnie pływały, jak i ich mamy – ja raczej pływałem co najwyżej średnio, akurat tyle, ile było potrzeba do zdobycia stopnia sternika śródlądowego. Z jednej wycieczki przywiozły dziewczyny sporego szczupaka – ten niedołęga najwyraźniej wygrzewał się śpiąc przy powierzchni wody, i chyba przestraszony wskoczył im do pontonu, gdy ponton niespodziewanie zdryfował na niego. W dalszych latach próbowałem żeglować po Chłopie, bo w Jacht Clubie zakupiłem i wyremontowałem starą żaglówkę – był to Pirat, popularna u nas po wojnie ciężka konstrukcja deskowa rodem z NRD. Ale z Piratem przeniosłem się już wkrótce na Mazury, nad Tyrkło. Z Tyrkłem, wąskim i długim jeziorem rynnowym, odnogą Śniardw, zaznajomiłem się kilka lat wcześniej, gdy pod wpływem Stefana Misiaszka zainteresowałem się tajnikami żeglarsstwa, i przeszedłem wymagane kursy, kolejno na stopnie żeglarsza i sternika. Brałem też udział w koniecznych obozach żeglarskich, ku zdumieniu uczestników młodszych – niektórzy bowiem instruktorzy, w tym Darek Szymański i sam Kierownik obozów Misiaszek – byli wcześniej moimi studentami (oni to pamiętali – a ja – nie bardzo). Nie było całkiem lekko... Ale trochę się poduczyłem żeglarsstwa, zapragnąłem też posiadania własnej żaglówki, choćby małej – stąd wynikł zakup *Jantara* – bo taką nazwę nosił Pirat. Zamówiłem do niego prostą dwukołową przyczepkę i hak, do holowania za samochodem. Liczyłem, że wkrótce będę pływał na żaglówce i nawet łowił z niej ryby, co się tylko częściowo spełniło.

Po czułym pożegnaniu się z przedszkolem, Dorota przeszła z zapalem do szkoły podstawowej – najpierw do pierwszej klasy lokalnej szkoły na Mokotowie, a po roku, w związku ze zmianą mieszkania, do szkoły podstawowej przy ulicy Niskiej (teraz jest tam Gimnazjum Nr 37). Mieszkaliśmy bardzo blisko Szkoły, na 9 piętrze przy ówczesnej ulicy Marchlewskiego 72 (teraz Jana Pawła II). Mieszkaliśmy niemal w centrum Muranowa i niedawnego getta, obok była ulica Miła (co to: „*po ulicy Miłej nie chodź moja miła*”), były liczne i jeszcze nie całkiem rozpoznane bunkry Żydowskiej Organizacji Bojowej, z których głębi wydobywano materiały wybuchowe i zapalniki do koktajli Mołotowa. Był też plac nazywany niegdyś *Gęsiówką*, dawniej mieściło się tam centralne więzienie wojskowe, w czasie okupacji był to obóz koncentracyjny. Obecnie uporządkowany plac mieści Pomnik Bohaterów Getta i Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, ponadto wydzielony skwer im. Willi Brandta. W szkole na Niskiej Dorota bardzo się rozwinęła, zwłaszcza w dziedzinie matematyki, gdyż wychowawczynią jej klasy – do końca – była Matematyczka Pani Kowalska, która dostrzegła uzdolnienia Doroty. Być może zainteresowania matematyczne Doroty zapoczątkowało moje oświadczenie, że „*Matematyka jest królową nauk*”. Później, gdy Dorota przeszła do Liceum im. hetmana i sekretarza Koronnego Jana Zamojskiego, liceum elitarnego o profilu



matematycznym, zderzyła się z nieco inną rzeczywistością. Wychowawczynią jej klasy w Liceum była również Matematyczka, ale Dorota dość szybko i przykro odczuła diametralnie odmienne traktowanie uczniów, niż to przyjazne, do jakiego przywykła w szkole na Niskiej. Jednak nie ma niczego złego, co by na dobre nie wyszło. Bo wkrótce zajęła się na poważnie Fizyką, a wykładowca tego przedmiotu zauważył zdolności i talenty uczennicy, i stawiał sprawiedliwe stopnie. A Dorota zawzięła się i w Matematyce też była nadal bardzo dobra, chociaż skala ocen z Matematyki w tym Liceum kończyła się na 3½. Przechowuję Doroty szkolne świadectwa – na jednej z dalszych, **pełnej stronie 8**, przedstawiam z dumą jej opracowanie przedmaturalne z Fizyki, z chlubną oceną jej Wykładowcy.

Jeszcze w szkole podstawowej razem z Dorotą wyjeżdżaliśmy na nieco dłużej, były, na przykład, ferie zimowe spędzone w Szklarskiej Porębie, z kursem jeżdżenia na nartach, dla niej, a i dla mnie, chociaż ja już wcześniej sam wyjeżdżałem w góry, do Bukowiny, do Zakopanego, przez Kasprowy Wierch do schroniska na Halę Gąsienicową. Pobyty w górach i łączenie ich wyłącznie z narciarstwem jednak mnie szczególnie nie pasjonowały. Może dlatego szczególnie dobrze zapamiętałem pewną wyprawę letnią w Bieszczady, tylko z Dorotą. Pojechaliśmy tam samochodem Renault 10, nie nowym - odkupionym od profesora Goldego. Wyprawa była kilkudniowa, miałem zamiar pokazać Dorocie po drodze Zaklików i Irenę – sam byłem ciekaw, jak tam jest, po prawie dwudziestoletniej nieobecności. To się właściwie nie udało, w Zaklikowie zamiast bruku na Rynku widniał asfalt, nie było już uroczych jarmarków, było wprawdzie czysto, ale obco, nikt mnie nie poznał. Trochę inaczej w Irenie – ale podobnie – bo przypominała mnie tylko jedna napotkana osoba. W Pałacu hr. Tarnowskiego rozgościły się nieznane wcześniej Zakonnice, teren przylegający do pałacu i budynków gospodarczych został ogrodzony, wyglądał na niedostępny. Więc do pokazania i obgadania, wobec późnej już pory, pozostała rzeka. Sanna okazała się niezawodnie wciąż piękna, przejechaliśmy most, powoli, zatrzymaliśmy się – po przepłukaniu w czystutkiej wodzie rąk, twarzy – a i nogi odświeżyliśmy brodząc po płytkim piaszczystym dnie, wobec wieczornej już pory, postanowiliśmy tu przenocować. Rozbiliśmy nasz malutki podróżny namiot Krasnał, tuż za rzeką na piaszczystym trójkątnym skraju lasu, gdzie w pobliżu przed laty zbierałem wiosną sasanki, a latem dziwne w smaku jagody *wohynie*. Coś zjedliśmy i zasnęliśmy szybko, wczesnym rankiem po śniadaniu, wyspani - a po umyciu się w rzece rześcy, wyruszyliśmy w dalszą drogę, ku Bieszczadom. Za cel wyprawy wybraliśmy Połoninę Caryńską, o której czytałem, a nigdy tam nie byłem. Podróżowaliśmy powoli, po drodze przystanęliśmy na łączce w pobliżu jakiejś wsi, nad pięknym strumykiem, i na kuchence gazowej ugotowaliśmy sobie obiad – pamiętam, były kluski. Dlatego je zapamiętałem, że Dorota wykazała się niezwykłą sprawnością i pomysłowością. Ja dotychczas sądziłem, że ona w zakresie spraw kuchenneo-gospodarczych nic nie umie, bo nie widziałem, by w domu pomagała kiedykolwiek Matce – robiłem jej nawet z tego powodu wymówki – bezskutecznie. Tymczasem Dorota nie tylko ugotowała kluski dobrze, nie rozgotowując włókien makaronu – co się i mnie zdarzało, ale również wypatrzyła, że opodał do strumyka wpada boczna struga wody z przeciwnego, wysokiego skalistego brzegu. Usłyszałem słowa: „Tato, makaron trzeba zahartować! Weź durszlak i idź, podstaw go na chwilę pod tę strugę, wygląda na zimną i czystą”. Zdumiał mnie – poziom wiedzy gastronomicznej, spostrzegawczość i objęcie komendy. To było wspaniałe uczucie!

Gdy przyjechaliśmy do Berehów, skąd mieliśmy wyruszyć na Caryńską, okazało się, że tam prawie nie ma ludzi, a parking okazał się być nie ogrodzonym gliniastym placikiem, już za wsią. Na szczęście było upalne lato, wypełniająca placik glina była dobrze wyschnięta. Żadnego samochodu oprócz naszego tam nie było. Zaryzykowałem rozbić w pobliżu „parkingu” naszego Krasnała, a właściwy atak na Caryńską przeprowadzić nazajutrz. Tymczasem zajęliśmy się penetrowaniem okolicy, zaczęliśmy od sporego strumienia,

właściwie rzeki, o wysokich brzegach, z wysoką przybrzeżną trawą - która prawie całkowicie nas kryła, gdy brodziliśmy w ostrym, a zimnym prądzie wodnym. Napotkaliśmy wkrótce w pół zburzony most, więc zawróciliśmy. Byliśmy i tak niesłychanie ufetowani, mimo wejścia i brodzenia w bardzo zimnej wodzie. Bo brodząc w rzece, zrywaliśmy i pojadali ogromne maliny, zwisające ku nam kiściami z północnego, nasłonecznionego brzegu rzeki, od strony Berehów. Tak się przypominała dawna rolniczo-ogrodnicza kultura tej osady. Nazajutrz dość wcześnie wyruszyliśmy, licząc na łatwy podbój Caryńskiej. Widzieliśmy plakietki wytyczające szlak, odczytywaliśmy – na niektórych – wyraźnie ostrzegające napisy, wymieniające typowe czasy dotarcia do wybranych punktów Połoniny – 2 godziny 40 minut, 3 godziny 15 minut. Nie wierzyliśmy, że tak długo trzeba będzie iść – Caryńska wydawała się być tak blisko. A jednak, chociaż szliśmy wytyczonymi zakosami szlaków dość szybko, po pewnym czasie pożałowaliśmy, że nie zabraliśmy dostatecznej ilości czegoś do picia. Miejscami szlak był bardzo stromy. Obserwowałem Dorotę – ona szła chyba lepiej ode mnie, a miała przecież tylko 14 lat! W końcu stanęliśmy na szczytowej linii podziału – można było jeszcze iść tą lekko wspinającą się linią grzbietu Połoniny – ale uznałem że to nie ma już sensu. Napatrzyliśmy się widoków, tych bardzo dalekich, ale i tych bliskich - i zawróciliśmy. Spodziewałem się, że wrócimy bardzo zmęczeni – ale tak nie było, tylko chcieliśmy się napić i długo piliśmy wodę z kanistra. Z samochodu i z namiotu nic nie zginęło – takie to były czasy, i takie okolice. Natomiast, gdy już wracaliśmy i stanęliśmy na tej samej łączce pod wsią, co poprzednio - skradziono nam, to jest – Dorocie, ładniutkie butki, gumowce z czerwonymi cholewkami. Kilka razy, przy spotkaniach, chcąc sprawdzić, czy pamięta tamtą wycieczkę – pytałem, czy pamięta, jakiego koloru miała butki. Pamiętała, ale za trzecim razem zniecierpliwiona odrzekła – „czy to ważne, jakiego koloru miałam buty?”. A mnie te skradzione gumowce kojarzą się niekiedy – na zasadzie luźnych skojarzeń – z podobną czerwienią kozaczków „Bermanki”, córki Jakuba Bermmana. Kilkakrotnie zdarzyło się, że dostrzegłem te kozaczki w rozochoczonej grupie, którą zidentyfikowałem jako studiujących w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych, pod kierunkiem profesor Jadwigi Siekierskiej. Zderzałem się z tą grupą kilkakrotnie w pobliżu Gmachu KC, bo na przeciwległym rogu ulic, których skrzyżowanie nazywa się teraz Rondem de Gaulla, był Klub MPiK - w którym od czasu do czasu mogłem nabyć kolorowe reprodukcje obrazów Picassa, Dufy i innych malarzy europejskich. Później w gmachu KC urządzono Giełdę, jeszcze później, obok, stanął pomnik generała de Gaulla. Kreślę te uwagi nie bez związku z ukazaniem się nakładem *Universitas* w Krakowie książki „*Tak, jestem córką Jakuba Bermmana*”, owocu zapisu długiej rozmowy przeprowadzonej przez Andrzeja Romanowskiego z „Bermanką”, czyli Lucyną Tychową. Dalszy ciąg luźnych skojarzeń dyktuje skojarzenie roku urodzenia Doroty z datą przyjścia na świat syna Tychów. Skojarzenia są natrętne – domagają się odpowiedzi na pytanie, co robił w tym czasie więzień z celi śmierci Tadeusz Płużański, przyszły profesor UW, i dlaczego odwiedził nas po kilku latach o dziwnej porze porannej, o 7.30, gdy właśnie odprowadzałem Dorotę do przedszkola, i potem miałem wyruszyć do Politechniki – a zawróciłem do domu?

#### **Poniedziałek, 8 sierpnia 2016 r.**

Właśnie miałem przystąpić do opisanie naszych – moich i Doroty - przygód z żeglowaniem – i za chwilę to zacząć robić, ale jest mi mocno nijako, gdyż doniesiono o odnalezieniu ciała 11-tolatki, która utonęła wczoraj w Ustce, gdy z ojcem, mimo zakazu kąpania się w tym dniu, weszła do wzburzonego Bałtyku. Była i druga ofiara bezmyślnej dezynwoltury, niemal jednocześnie na tej samej plaży drugi mężczyzna też wszedł do Bałtyku, z 7 letnią córką – trzymając do tego na ręku dwuletnie drugie swoje dziecko, i ono jakoś ocalało. Byliśmy nad morzem z Dorotą dwukrotnie, w Ustce i w Łebie. Wróciliśmy w komplecie. Wizja możliwych wypadków przy niefrasobliwym żeglowaniu długo hamowała mnie przed zabieraniem kogokolwiek na Pirata – na Chłopie wystarczało przybrzeżne pływanie na pontonie.

Niżej zamieszczam wypracowanie, przed maturą „klasówkę” licealną z Fizyki mojej Doroty. Ona była i jest bardzo zdolna, zresztą, nie tylko w dziedzinie Matematyki i Fizyki. Była też bardzo pilna w wykonywaniu zaleconych ćwiczeń domowych, z reguły „odrabiała” zadane lekcje niemal bezpośrednio po powrocie ze szkoły. Nie sprawiało jej to trudności, tylko czasami usiłowała naciągać mnie na jakieś zadania – odmawiałem, moja pomoc była niepotrzebna. Przechodząc jej świadectwa szkolne. Zamiłowanie do Matematyki oraz Fizyki wzbudziły się u Doroty już w szkole podstawowej, pod wpływem jej Nauczycielki Pani Kowalskiej, i gdy orzekłem, że „matematyka jest królową nauk”.

przekroju na 2 obłoki ~~jest~~ ( $\lambda = \frac{g}{R}$ ) jest większa  
od maksymalnej wartości przekroju na 2 obłoki ( $\lambda = \frac{g}{R}$ )  
miej same nie zachodzą na siebie

②  $e = 1.6 \cdot 10^{-19} \text{ C}$   
 $m_e = 9.11 \cdot 10^{-31} \text{ kg}$   
 $m_p = 1836 m_e$

aby otrzymać z protonu i antyprotonu dwa kwarky przeciwnego ładunku, należy im dostarczyć energię, która by równoważyła ich masę. Musi być więc dostarczona energia równa co najmniej ich masom.

$E = mpc^2$  - energia kinetyczna masy proton  
Bicie jest z protonu i antyprotonu powstają 2 kwanty promieniowania, aby powstał układowy pęd to kwanty zostają przy promieniowaniu pod kątem  $180^\circ$  względem siebie, białe cząstki posiadają energię. ponieważ m. protonu = m. antyprotonu więc można pójść w przeciwnych kierunkach i powstanie 2 kwanty promieniowania z antyprotonu drugiego.

$$U = \frac{m_p c^2}{e} = \frac{1836 \cdot 9,11 \cdot 10^{-31} \text{ kg} \cdot 9 \cdot 10^{16} \frac{\text{m}^2}{\text{s}^2}}{1,6 \cdot 10^{-19} \text{ C}} = 1175 \cdot 10^9 \text{ V} = 1,175 \cdot 10^{12} \text{ V}$$

W lampie musi być napięcie co najmniej 939,84 MV

Dorota Baranowska kl 4B

 $q + a$ 

Podczas zderzenia protonu z antyprotonem powstaje dwa fotony promieniowania elektromagnetycznego, których energia jest równa energii kinetycznej cząstek zderzających się. W tym procesie zachodzi przemiana materii.

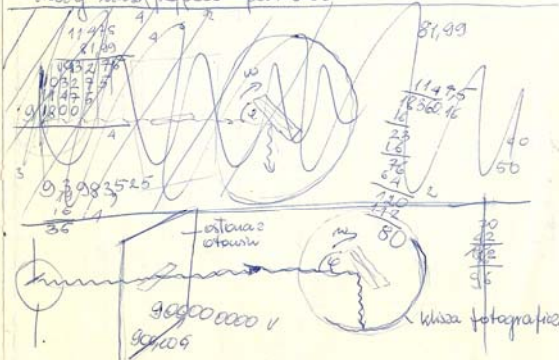
$$\begin{aligned} e &= 1.6 \cdot 10^{-19} \text{ C} \\ m_e &= 9.11 \cdot 10^{-31} \text{ kg} \\ m_p &= 1836 m_e \end{aligned}$$

Milowodnić, że takie powstające przy przesłoniu na orbicie 2:1 tworzą serie łuków, które radiologicznie są nieobecne.

Opis falie są i falie wentosi mogą przybierać linieby  
kromyby


İşle daimodermaline dayınac mılmo rentgenar

4. Видо отримання нижня проміжні x  
типу наступної апаратури



Wzrostła promieni  $X$  przepuszczana przez nityl  
zaprząta otwór pada na kruszący sznurzący (cięż-  
szość dyfrakcyjna) - powoduje ulatunek dyfrakcji  
(interferencji), kruszące nityl np. obrotowe takie  
ze promienie padają stale pod tym samym kątem  
 $\lambda = 2d \sin \theta$  gdzie  $2d$  - odległość między  
promieniami  $X$  między promieniami w kruszący - kruszący  
tęła (o różnym kierunku) odległość od kruszącego  
pod tym samym kątem. Odległość między promieniami  
na kruszący fotograficzny zaobrazuje się powstaje  
promień dyfrakcyjny dla każdego kierunku promi-  
ni między nitylami. Promień dyfrakcyjny kieruje  
wieluś kierunku powstaje się promień kieru-  
mienia dyfrakcyjnego na atomech dyfrakcyjnych.  
Wieluś to jest przypadek dyfrakcji promi-  
ni  $X$ , energia promienia dyfrakcyjnego w g. anelli  
sprawia o dyfrakcyjną dyfrakcję dyfrakcji pod.

③ Elitony liczę po orbitach eliptycznych

  $n \frac{a}{b} = \frac{n}{k}$  gdzie  $n$  - gęstość

lieta kuantitāva mēte pērkivāc  
 narkotika od 1 do pārkivāc do kielkorģos.  
 narkotika mēte kuantitāva k - acimulāva  
 lieta kuantitāva  $k \leq N$  k - lieta acimulāva  
 pērkivāc lieta kuantitāva m - lieta kuantitāva  
 pērkivāc lieta kuantitāva k - lieta mēte  
 pērkivāc lieta kuantitāva k - lieta mēte

$l = k - 1$  może przybrać wartości  
 od 0 dla pierwszej orbity do  $k-1$  dla  $n$ -tej  
 orbity, gdzie  $k \in \mathbb{N}$   
 przedziałem kwantowania  $m$ -chwilu jest wielkość  
 momentu pędu na wieloletu pola magnetycznego  
 $m = l \cdot \hbar$

$$m \in (-l; l)$$

cawata liczba kwantowa danej spiny elektronu  
 $S = \pm \frac{1}{2}$  może przyjmować tylko dwie wartości

2 zasady Pauliego, zatem elektron nie może posiadać takich samych liczb kwantowych w związku z tym nie może istnieć dwójka elektronów w  $B = 2n^2$  gdzie  $n$  to - liczba elektronów w orbitale

② Obliczamy minimum i maksimum  $\mathcal{L}$  dla przelotów na 4 orbite

 $\lambda_{\max}$  gdy delitorem przekazuje e 2 na 1

$$\lambda_{\max} = \frac{1}{R \left( \frac{1}{\lambda_2} - \frac{1}{\infty} \right)} = \frac{1}{R} (+)$$

$$\lambda_{\min} = \frac{1}{R(\frac{1}{4} - \frac{1}{36})} = \frac{1}{R(1 - \frac{1}{9})} = \frac{1}{\frac{8}{9}R} = \frac{9}{8R}$$

Obliceamlini i hnae dla presleobu na  
2 orbite

Imax gdy elchton shere 2 3 na 2  
 Min gdy elchton shere 2  $\infty$  na 2

$$\lambda_{\max} = \frac{d}{R\left(\frac{1}{a} - \frac{1}{d}\right)} = \frac{36}{5R}$$

$$\lambda_{\min} = \frac{1}{R(\frac{1}{4} - \frac{1}{9})} = \frac{4}{R}$$

Przy przekroju na 4 obrotach zmienia się energia  
z obrotów górnymi z przekrojem

2.  $\left(\frac{4}{3R}, \frac{1}{R}\right)$  przy przedziale na 2 o długości 1

Długość fali powstaje przy przesłuchu na zewnątrz (światło widzialne) powstaje mikrowłna fala

### **Wtorek, 9 sierpnia 2016 r., imieniny Romy**

Wciąż nie czuję się dobrze – dlatego już dwa tygodnie temu zastrzegłem, że nie stawię się na koleżeńskim spotkaniu Imieninowym u Romy i Darka Szymańskich – chcę od wielu dni zaawansować, może zakończyć pisanie końcowych partii WSPOMNIEN – brakuje mi weny i czasu, czego młodszy przyjaciele, też nie bardzo młodzi – nie rozumieją.

Od kilku dni trudno mi zająć się przedstawieniem pewnego fragmentu z moich zapędów żeglowania na Piracie. Po Chłopie pływałem na nim tylko sam, nie zabierałem Doroty, a żona - i nie lubiła żeglowania, i nie miała o nim żadnego pojęcia. Sama bardzo dobrze pływała.

Gdy po wstępnym sezonie wakacyjnego pływania na Chłopie wróciłem do Warszawy, od razu miałem problem, gdzie postawić żaglówkę i przyczepę. Skorzystałem z propozycji Tadeusza Niepokulczyckiego, który miał na Pradze willę, i to w jego ogródku Pirat pod plandeką prezimował. W trzech dalszych latach z wakacyjnymi wyjazdami przenieśliśmy się nad Jezioro Blizno, do PP. Sobolewskich, we wsi Danowskie – nazwa odzwierciedlała królewskie nadanie praw dla wsi. Tam też Pirat zimował trzykrotnie, dobrze, w suchej szopie. Ale to było daleko od Warszawy, więc gdy zamarzyłem o żeglowaniu po Jeziorach Mazurskich, które już wcześniej nieźle poznałem, przeniosłem się znowu z Piratem do ogródka Niepokulczyckich. Tam też wykonałem potrzebne już remonty, malowanie i zapewniłem – co było ważne – mocne umocowanie Pirata na przyczepie. Bo typowe były podjazdy do jezior z wysokiego brzegu, i na pochyłościach moja żaglówka wykazywała groźną tendencję do zsuwania się z przyczepy. Wykonałem z dobrej dębiny dwie poprzeczki przykręcane do podróży z wierzchu śrubami, dzięki nim Pirat podróżował na przyczepie zabezpieczony - jak skrzypce w futerale.

Na Mazurach zatrzymywałem się u PP. Wierzejskich. Witek Wierzejski, mój kolega z PW, od lat budował tam z uporem, na skrawku bardzo stromego brzegu Tyrkła, coś, co miała być w perspektywie – i po 20 latach stało się - domem, ale wtedy mawiano, że buduje bunkier. Bo używał ogromnych głazów polodowcowych. Wiele lat korzystałem z pomocy Witka i jego Synów, po spuszczeniu łodzi wyruszałem na rejsy, zostawiając samochód z przyczepą. Tyrkło poznałem dobrze wcześniej, gdy Profesor Smoliński udzielał mi, i mojemu Zespołowi, urlopów w „zakazanym urlopowo” miesiącu wrześniu, na wspomniane „Kurso-konferencje”.

W pewnym okresie, gdy Dorota podrosła i odbyła kurs żeglarski w Jadwisinie nad Zalewem Zegrzyńskim, kursy takie organizował Yacht Club, powziąłem zamiar odbycia żeglarskiego rejsu samodzielnego po Mazurach, z udziałem Doroty, mającej już patent żeglarza, oraz Ani Niepokulczyckiej, dziewczyny wprawdzie trochę młodszej od Doroty, ale bardzo dzielnej, usportowionej. Odbyło się to tak, że z Dorotą odprowadziłem Pirata nad Tyrkło, zostawiłem samochód z przyczepą u PP. Wierzejskich, i na biwaku za pobliską zatoką oczekiwaliśmy na przybycie Tadeusza Niepokulczyckiego z Anią. Oni wkrótce przybyli, samochodem, z pewnymi trudnościami – bo dróżka do biwaku za zatoką był grząska i wąska, a Tadeusz miał dużą przyczepę kabinową, która zaczepiała o gałęzie rosnących tam wierzb. Po kilku pływaniach zapoznawczych, mając już „wykwalifikowaną” załogę, zdecydowaliśmy płynąć, mając na pokładzie - a raczej pod pokładem dziobowym – spory namiot, kuchenkę gazową z butlą gazu, kanister z wodą, kamizelki ratunkowe zwane „kapokami”, jakieś elementarne zapasy i ubiory – wszystkiego było raczej za dużo, ale sztormiak miałem tylko ja. Był ze zwykłej ceraty, uszyty przez Agnieszkę Misiaszkową. Dziewczyny miały gumowce i kurtki. Pożegnaliśmy się z Tadeuszem – umowa była taka, że on w określonym czasie – chyba dopiero po 3 tygodniach - miał do nas przyjechać na ten biwak. Wyruszyliśmy, pokonaliśmy Tyrkło, potem, po noclegu – przebyliśmy Śniardwy. Pogoda była tymczasem wspaniała, na drugi dzień, po noclegu nad Jeziorem Mikołajewskim, zrobiliśmy zakupy w Mikołajkach i wyruszyliśmy niezwłocznie dalej. W planie było osiągnięcie uroczej wyspy Olchowej na Łabędziego Szlaku, przy wejściu do Zimnego Kąta, za Czapłą – to wymagałoby ostrego



zwrotu na Południowy Zachód, po minięciu znanej wszystkim żeglarzom Dębowej Górki. W ambitnym planie żeglowania powrotnego mieliśmy też odwiedzenie Rynu. Więc - nie bez kłopotów - ze wstecznym wiatrem przebyliśmy Tałty, weszliśmy w Kanał Tałcki, i przenocowaliśmy w ładnym miejscu na brzegu Tałtowiska. Następnego dnia przebyliśmy Kanały Grunwaldzki i Mioduński, łączące je błotniste Jezioro Kotek trzeba było pokonywać głównie na wiosłach, natomiast Jezioro Szymon udało się przejść ładnie na żaglach, pod słabym – ale sprzyjającym wiatrem. Głównie na burłaczym holu, niejako z rozpędu – łatwo pokonaliśmy Kanał Szymonecki, potem stanęliśmy na biwak nad Jeziorem Szymońskim. Miejsce było trochę gołe, ale suche, co stało się ważne, bo właśnie pogoda zaczęła się psuć, zapowiadało się na deszcz. I deszcz – wprawdzie nie duży – wkrótce zaczął padać, i od razu zaczęły się kłopoty. Trzeba było kupić chleb, a w pobliżu – jak dowiedzieliśmy się w jednym z dwóch jedynych tu domów – żadnego sklepu z żywnością nie było. Więc, na drugi dzień podciągnęliśmy się nieco wyżej, nad Jezioro Jagodne, no i chleb wreszcie kupiliśmy, a inne artykuły mieliśmy nadzieję nabyć w Giżycku. Jednak pogoda stawała się coraz bardziej nieznosna, zrobiło się zimno i wietrznie. Trzeba było cierpliwie przeczekać złą porę, siedząc i pojadając w namiocie. Sądziłem, że dziewczyny – jak to dziewczyny – staną na „wysokości zadania” i ugotują coś – choćby płatki owsiane – ale tu się srodze zawiodłem. To jednak były jeszcze dzieci. Żadna nie chciała „kucharzyć”, na moje zachęcające propozycje ugotowania czegokolwiek stwierdzały poważnie, że nie są głodne, ale z materacy, z głębi wnętrza przysłoniętego namiotu dolatywały tylko wesołe rozmówki i chichoty. One czuły się dobrze, a ja nieco gorzej. Więc rozpałem kuchenkę gazową, wyciągnąłem patelnię i przystąpiłem do smażenia na oleju – mieliśmy oleju słuszny zapas - nakrajanych kromek świeżo zakupionego chleba. Bardzo lubię zjadać gorące kromki chleba podpieczonego na oleju, po lekkim ich posoleniu. Ale nie miałem szans – co tylko podsmażyłem porcję chleba, z namiotu przez zasłonki wysuwała się jakaś ręka i kolejne porcje kromek znikwały. Zrobiło się wesoło, zaś dziewczyny po pewnym nasyceniu pozwoliły i mi zjeść parę kromek – przy takiej pogodzie, jaka była, chleb zarumieniony podsmażaniem na oleju smakuje i syci szczególnie dobrze.

Jednak po trzech, czy czterech już dniach – zauważywszy utratę czasu, postanowiliśmy ruszyć dalej, licząc na poprawę pogody i dzielność łódki. To był błąd, bo pogoda, a głównie wiatr – po wypłynięciu ze stosunkowo zasłoniętego Jeziora Jagodnego - na Niegocin, zaczęła bardzo dawać się we znaki. Wprawdzie zarefowałem grot zgodnie z dobrą praktyką żeglarską, ale płynąc na Giżycko mieliśmy niemal wsteczny silny wiatr, więc płynęliśmy wolno. Jednak płynęliśmy, lecz gdy na wysokości Wilkas, czyli już dość blisko Giżycka - należało zrobić zwrot, poczułem, że łódka prawie nie słucha steru, co było wynikiem małej szybkości, wynikającej z kolei ze znacznego zarefowania grota. Zwrot jednak wyszedł, tylko w pewnym momencie do przechylonej łódki chlupnęło nieco wody. Mam wielkie uznanie dla dziewczyn, że żadna wtedy nie krzyknęła, ani nie przemieściła się gwałtownie, co by naruszyło stabilność łodzi. To była groźna sytuacja, i gdy ją przypominam, a przypominam czasem w rozmowach, to mam sobie za złe, że wtedy w ogóle wypłynęliśmy na Niegocin. Bo z wiatrem ku nam niosły się fale dżdżu, wilgoci, widoczności od strony Giżycka – i widoczności samego miasta Giżycka – nie było. O tym „incydencie” wtedy - i dłuższy czas potem - nie rozmawialiśmy.

Nie bardzo już pamiętam, gdzie po minięciu Giżycka przeczekaliśmy złą pogodę – chyba w miejscu, gdzie później dostrzegłem ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy AZS, na zachód od wylotu kanału. Oczywiście, wobec ciągle złej pogody i utraty czasu, uświadomiliśmy sobie, że zaplanowanych miejsc nie osiągniemy. Zaczęliśmy wracać – nad Tyrkło wróciliśmy kilka dni wcześniej, niż to było umówione – i to dobrze, że tak się stało, bo zaniepokojony Tadeusz też przybył wcześniej i na nas czekał. Był przygębiony – bo ciągnąc tę swoją mieszkalną przyczepę nad jeziorem, po dróżce bardzo już rozmięklej od deszczu - zawadził mocno o konar drzewa. Potem długo zastanawiał się, jak zalepić dziurę, powstałą z naderwania rogu

przyczepy. Po odjechaniu Tadeusza i Ani pogoda radykalnie się poprawiła, i chyba to wtedy wyruszyliśmy z Dorotą znów z Tyrkła na Śniardwy, bo Dorota zaprażyła zobaczyć, jak teraz wygląda Szeroki Ostrów, gdzie była przed kilku laty na obozie harcerskim.

Popłynęliśmy tam we dwoje, wcześniej przed południem. Ja zbyt dobrze Szerokiego Ostrowia – to jest – akwenu wokół tej wyspy połączonej groblą ze wsią Zdory – nie znałem. Więc mimo dobrej pogody i słabego wiatru, płynąłem ostrożnie, wypatrując kamieni, czasem w tej okolicy odsłanianych przez fale. Znałem orientacyjny rozkład kamienistych mielizn na mapie, było ich dużo, wpadnięcie na kamienie mogło skutkować uszkodzeniem miecza i steru, a przy złym wietrze nawet wywróceniem łodzi, z późniejszymi konsekwencjami. Tym razem było szczęśliwie, miecz nie zgrzytnął ani razu.

Na Szerokim Ostrowiu były pustki, to było zaskoczeniem dla Doroty, a i dla mnie. Po obozach zostały w pół zasypane kloaczne doły. Chodziliśmy po całej wyspie, tylko kilka razy dostrześliśmy ludzkie sylwetki. Dla mnie zaskoczeniem było wykrycie miejsc po osadach ludzkich, i ślady kilkunastu mogił. Wróciliśmy do łodzi, Dorota trochę może rozczerowana. Wracaliśmy przy silniejszym wietrze – maszt trochę poskrzypywał, gdy widocznie pędem przechodziliśmy jakąś mieliznę orząc ją mieczem – ale silnego uderzenia o kamień nie było. Kiedy indziej, i na innej łódce – owszem, zdarzało się, że gdy przechodziłem kamienistą mieliznę, słyszało się wtedy postukiwanie miecza podrzucanego do góry. A jednostki kilowe mogły się przechylić – lub nawet wywrócić. Właśnie będąc przy brzegu Szerokiego Ostrowia widziałem kiedyś dwa dalekie wywrócone jachty, choć nie wiem, czy były to jachty kilowe, i czy wywróciły się na skutek wpadnięcia na rafy. Siedziałem wtedy przy brzegu w swoim jachcie jak trusia, z daleka obserwowałem akcję ratunkową, czekałem na uspokojenie wiatru.

Na Piracie wywrotka zdarzyła się dwa lata później na Bliźnie, i to przy słabym wietrze, gdy łódź była prawie bez ruchu. Na takich jeziorach o cechach jeziora rynnowego zdarzają się wywrotki, gdy nadejdzie niespodziewanie mocny wiatr boczny, zwany „młotkiem”, a sternik nie może wykonać manewru zwrotnego, jeżeli łódź jest w bezruchu.

Po tej wywrotce Dorocie przeszła ochota na żeglowanie – zainteresowała się ćwiczeniem konnej jazdy. Jeszcze byliśmy z Piratem nad rozległymi Łaśmiadami, w pojezierzu Ełckim, w większym towarzystwie z PP. Niepokulczyckimi, Czajami i Orłowskimi, z którymi zacieśniłem znajomość po wyprawach do Bułgarii, później do Grecji i Turcji. W tym czasie moje więzy małżeńskie znacznie się rozluźniły. Z czego Dorota nie zdawała sprawy, a raczej nie chciała niczego zauważyć, przyjąć do wiadomości, ani zaakceptować – chociaż odbyłem z nią zasadniczą rozmowę – w czasie pewnego pobytu z nią w Danowskim nad Blizno. Sama zresztą zaczęła się interesować osobistymi sprawami „uczuciowymi”, związek ze mną, jej ojcem, osłabiał się, nawet wtedy, gdy już była na studiach w Politechnice na moim Wydziale. Po studiach, zawarciu małżeństwa i wyjeździe do Iraku – praktycznie na wiele lat zamarł.

Z tego co wiem, Dorota w porównaniu z koleżankami późno weszła w stan „zakochania”, tak typowy dla licealistów. Obiektem trwałego uwielbienia stał się kolega który dołączył do jej Licealnej klasy Szkoły im. Hetmana Zamojskiego w połowie roku, i którego początkowo wydrwiwała z powodu dziwnego, jej zdaniem, układu ust. Poznałem jej wybrańca, i miałem oczywiście swoje zdanie, bo to był wysoki „chłop”, noszący obuwie duże jak kajaki, co przy moich skromnych rozmiarach zmuszało mnie do obchodzenia go, gdy siadywał u nas w domu na sofie – wyciągał bowiem nogi aż do półki z książkami na przeciwległej ścianie „salonu”. Wkrótce zostałem zobligowany do zabierania obojga na Mazury, w soboty jeździłem bowiem często na połów szczupaków na jezioro Dłużek, lubiłem spinningować. Rozbijało się namiot, po wieczornej sesji spinningu, i po przenocowaniu, można było jeszcze do południa próbować łowić szczupaki, później trzeba już było wracać do Warszawy. Z tych wyjazdów nie mam jednak dobrych wrażeń, bo oboje znikali na długie godziny w lesie, zupełnie ignorując moją

obecność, nie licząc się nawet z możliwością zagubienia. Mnie to nie odpowiadało, ale – nie wtrącałem się. Podobne odczucia miałem, gdy w przyjacielskim gronie postanowiliśmy spędzić lipiec w pałacyku PGR w Pogonicach, na Pomorzu. Wynająłem dla siebie i Doroty pokój dwuosobowy, ale zdumiałem się, gdy pojawił się tam i Tadeusz, wybranek Doroty. Załatwiłem dla niego osobny pokój, ale on w porozumieniu z Dorotą przytaszczył – z dużym trudem - skądś wytrzaśnięty oddzielny tapczan, by spać na „trzeciego” w pokoju razem ze mną i Dorotą. To porozumienie mi nie odpowiadało, nawet nie zapytano mnie o zgodę, ale oni już byli „dorośli”. Jeżeli zdecydowali się postępować po swojemu, to i ja musiałem unikać jakiegokolwiek wtrącania się do ich spraw. Po wakacjach w 1975 r. oboje rozpoczęli studia na moim Wydziale Elektroniki w Politechnice Warszawskiej, ukończyli je na początku 1981 r., w zasadzie w terminie, byli zdolni, małe opóźnienie wynikło z zawarcia małżeństwa.

Obserwowałem, raczej już z daleka, postępy Doroty, była wśród najlepszych. Ale nasze drogi bardzo się już wtedy rozeszły. Po rocznej pracy w Politechnice, którą wynalazłem Dorocie (na innym Wydziale), poślubiona para postanowiła szukać szczęścia na Bliskim Wschodzie. I je znalazła – dobrą zapłatę, byli w Iraku i w Libii wiele lat. Dzięki talentom swoim, a głównie zaradności mego Zięcia, ich status materialny poprawił się na tyle dobrze, że po kilku latach wybudowali sobie dom na lesistej parceli w Izabelinie, gdzie teraz mieszkają - poprzednio na Ursynowie. Doczekali się dwóch córek, Urszuli i Emilii, obecnie już dorosłych, po studiach. Mieszkają obie osobno od Rodziców, ze względu na oddalenie od centrum Warszawy.

Ze mną kontakt, już od początku ich eskapad na Bliski Wschód – najpierw do Iraku, później i do Libii - był słaby, z czasem sprowadził się do rzadkich, sporadycznych spotkań. I tak to trwa przez prawie 30 lat. Doroty, jej uśmiechu, humoru zwłaszcza – wciąż mi bardzo brakuje.

Obie córki Doroty poznałem jednak dość wcześnie, gdyż Dorota przez jakiś czas na urloпах macierzyńskich bywała w Polsce. Zjawiałem w ich mieszkaniu na Ursynowie, by pomagać – chociaż raczej pomagałem w drobnych sprawach, i niewiele. Od starszej Urszuli otrzymałem wtedy miana „Człowiek Jurek”. Urszula już wtedy odznaczała się samodzielnością, dużą aktywnością i równie dużą przekorą, tej cechy nie miała Emilka, wprawdzie też ruchliwa, lecz bardziej spokojna. Takie są One i teraz, dorosłe. Ich fotografie zamieszczone niżej zrobiłem, gdy jako jeszcze nastolatki przyjechały z Rodzicami z Libii – z radością, już z daleka rzuciły mi się pędem w ramiona. W tym dniu zwiedziliśmy księgarnię, kupowałem im różne książki, w tym albumy, bo były ich spragnione. Niżej - Rodzina Jastrzębskich, bezpośrednio po powrocie z Libii (3 lipca 1996 r.), w Księgarni, i później u nas na Mokotowie, przy herbacie.



Opowiadałem to ze wzruszeniem, bo później już nigdy takie serdeczne spotkanie nie powtórzyło się. Zadziałała „tajemnicza czarna siła”, została zaciągnięta kurtyna nie tylko serdeczności, lecz również wszelkiej informacji między mną, a PP. Jastrzębskimi. Zaciągnięcie tej kurtyny trwa do dziś – były próby zbliżenia się, tak moje, jak i ze strony Doroty, ale spełzyły na niczym. Tak bywa, aż młodzi zostają sami „starzy”.

Dodam, że Urszula jest lekarzem ginekologii, a Emilka zatrudnia się w muzealnictwie i przy wykopaliskach Śródziemno-morskich. Nie mam z nimi porozumienia, ani łączności. Urszula fascynuje się szalonymi wyprawami. W ubiegłym roku wyprawiła się w masyw Tiań Szań.



Córki Doroty, Urszula i Emilka od prawej – Dorota z Emilką i jej koleżanką PP.Tadeuszostwo Jastrzębscy  
Pierwszą – bardzo radosną fotografię - wykonałem 3 lipca 1996 r., bezpośrednio po powrocie Jastrzębskich z Libii.  
Prawa fotografia wyżej – nieco smętnawa - ukazuje Dorotę i Tadeusza, wychodzących z odwiedzin od nas, z naszego mokotowskiego mieszkania – kiedyś, bardzo dawno, zdarzyły się zaledwie ze trzy takie spotkania.

**Piątek, 18 sierpnia 2016r.**

***014.30 telefon od Doroty – zawiadamiała, że we wrześniu mam zostać pradziadkiem – Urszula spodziewa się Córki. Ojciec – Grzegorz Cieśla – jest teraz w Anglii, a może już tu.***

**Uzupełnienie - z Poniedziałku 22 sierpnia 2016r.**

***Wczoraj, tj. 21 sierpnia 2016 roku, w Niedzielę o 1.50, przysłała na Świat moja Prawnuczka Suligniewa, jej Ojciec - Grzegorz - od dwóch tygodni jest przy Urszuli. Wiadomość telefoniczna do mnie do Zaklikowa, od Doroty, o 11.17. A później – kolejno, odłączył się Internet i ustala łączność telefonii komórkowej (komunikat: dezaktualizacja karty SIM).***

**Uzupełnienie wtórne – z Piątku 2 września 2016r.**

***Nie doczekawszy się od Doroty wiadomości – a to już dwa tygodnie upłynęło, po wykonaniu serii badań (Holter itd.) zadzwoniłem dziś wieczorem, już z Warszawy, do Doroty. Wszystko w porządku, Suligniewa z Mamą jest u Doroty w domu, w dobrej kondycji. Poprosiłem do telefonu Grzegorza, porozmawialiśmy zawierając znajomość telefoniczną i dla zasady umawiając się na spotkanie osobiste. Przed kilku laty poznałem go śledząc przez Internet jego i Urszuli przeprawę (nazwaną La Odyssey), wzdłuż zachodniego wybrzeża kontynentu Południowej Ameryki i przez Andy do Argentyny – motocyklem Mercedes. Tyle – ja jednak zauważam, że gałąź Warszawsko-Izabelińska powiększyła się o jeszcze jedną dziewczynę.***

**Rodzina - gałąź Kresowo-Lubelska**

**Niedziela, 14 sierpnia 2016 r.**

Jak już pisałem, Dziadkowie ze Strony Ojca i strony Matki zaginęli na Wołyniu (w Owruczu i w Żytomierzu) w wydarzeniach po Rewolucji Październikowej w 1917 r. Mój Ojciec, ziemianin o wykształceniu prawniczym, uprawiający zawód prawniczy w Tyflisie, po powrocie do Kraju zmarł w 1935 r.

Moja Matka i mój Ojczym Bronisław Sieńko byli nauczycielami. Ponieważ nie mieli własnego mieszkania, przez wiele lat tułali się, razem ze mną i moją siostrą Marysią, pełniąc obowiązki nauczycielskie i obejmując prowadzenie szkół podstawowych w różnych – coraz to innych miejscowościach - na Kresach, a po II Wojnie Światowej na Lubelszczyźnie. Nasi Rodzice nie żyją, Matka zmarła w latach 60 tych, Ojczym na początku lat 70tych. Są pochowani razem z moją Ciotką Heleną Dębicką – siostrą Matki, na cmentarzu w Brzeźnicy Bychawskiej koło Lubartowa, gdzie Ojczym i Matka prowadzili przez wiele lat Szkołę Podstawową. Wybudowali sobie w Brzeźnicy dom, spełniając marzenie całego życia, by po wieloletniej tułaczce osiedlić się we własnym mieszkaniu.

Moja siostra Maria Dziki - młodsza ode mnie o 7 lat, żyje, mieszka w Lublinie. Zawarła związek małżeński z wybitnie utalentowanym matematykiem, Tadeuszem Dzikim. Jej Mąż musiał jednak porzucić poważnie już zaawansowane studia akademickie, ze względu na słabe



zdrowie. Później również przez długie lata cierpiał na gruźlicę i narastające trudności oddechowe. Dlatego musiał również przejść na wcześniejszą emeryturę. Marysia bardzo troskliwie - aż do śmierci w 2008 r. - opiekowała się Mężem, który mimo starań lekarzy miał częste nawroty choroby. Miał zawsze duży wpływ na Syna, Dariusza, który najwyraźniej odziedziczył po Ojcu wybitne zdolności i żywość umysłową, a szczęśliwie - w przeciwieństwie do Ojca - odznaczał się dobrym zdrowiem i uprawiał sporty, w tym - nawet sporty walki. Teraz jako Profesor Lubelskiego Uniwersytetu Przyrodniczego i kierownik Zespołu Naukowo-dydaktycznego, również wraz z Zespołem wyróżnia się w Uniwersytecie szczególną aktywnością naukową i organizacyjną

Ślub w starożytnym kościele w Tarczku



Ślub Urszuli i Dariusza

Basia z Marysią i jej Mężem (na Weselu)



Przy weselnym stole u Rodziny Urszuli w Tarczku

Laura i Dalia z Rodzicami i Marysią, u nas



Po prawie 10 latach - w Zaklikowie

Ja przyjeżdżałem do Brzeźnicy i do Lublina, i chociaż nie często, to jednak kontakt stale był utrzymywany, osobisty, pisemny i telefoniczny. Marysia gdy przyjeżdżała do Warszawy, również zawsze nas odwiedzała. Nawiązała bliski kontakt z nami, zaprzyjaźniła się z moją obecną żoną Barbarą, której zwierzała się ze swych trosk, i u której szukała porad.

Marysia - mieszkająca samotnie - odwiedza często swego syna, który założył własną rodzinę, z żoną Urszulą - też Profesorem tegoż Uniwersytetu - i dwiema dorastającymi córkami Laurą i Dalią. Razem tworzą zwarty, ambitny jakby zespół naukowy, o sporych osiągnięciach - na różnych szczeblach rozwoju, oczywiście.



Brzeźnica Bychawska, Kościół parafialny pod wezwaniem Matki Boskiej Anielskiej. Cmentarz znajduje się w pobliżu.  
(zdjęcie naturalne, bez poprawek, Minolta D5, 10 listopada 2007r.)

Wraz z Rodziną prowadzą życie bardzo aktywne pod każdym względem. Nie tylko na wycieczki wakacyjne do Chorwacji, lecz również na Naukowe Konferencje zagraniczne starają się wyjeżdżać razem, całą Rodziną. A przy tym opiekują się grobami – Ojca w Lublinie i Dziadków w Brzeźnicy, oraz pozostawionym tam domem, który odwiedzają często, traktując go jako dom letni, bardzo wygodnie położony, blisko Lublina, przy linii kolejowej do Parczewa, pośród pól, łąk i lasów obfitujących w grzyby. Wykonują prace remontowe i uzdatniające tego domu. Po kilkukrotnej zmianie mieszkania w Lublinie przenoszą się teraz do nowego zakupionego domu.

Co mogę powiedzieć o rodzinnej gałęzi **Kresowo-Warszawskiej**, niegdyś licznej? Moja druga siostra Sława Baranowska-Rudnicka (pisałem o Niej w cz. 1 i w cz. 4 WSPOMNIENI) nie żyje, zmarła w 1969 r., jest pochowana na cmentarzu w Gdyni. Moja ciotka Maria Pigłowska zmarła w 1942 r. w Warszawie. Wujostwo Medyńscy – Paulina i Jan - zmarli w Milanówku, w latach 60 tych.

Nie wiem, co się stało z Moimi Siostrami Ciotecznymi Wandą Laskowską i Zofią Czarnocką, jakie były ich losy – one były znacznie starsze ode mnie (ponad 25 lat). Starsza Wanda za swoje wyczyny w POW została 3-krotnie odznaczona Krzyżem Walecznych, obie Siostry pełniły ofiarnie w Wojnie 1920 r. funkcje kurierskie i wywiadowcze.

O córce mojej Dorocie Jastrzębskiej, oraz jej dwóch córkach – Urszuli i Emilii, jej wnuczce Suligniewie – pisałem w poprzednich akapitach tej części WSPOMNIENI.

Więc do gałęzi **Kresowo-Warszawskiej** należy obecnie zaliczyć tylko moją osobę, oraz żonę Barbarę Janinę Vertun-Baranowską, troskliwą moją lekarzkę od początku lat 70tych, z którą po latach przyjaźni, na początku lat 80tych, zawarłem związek małżeński, i to 11 listopada, w samo Święto Niepodległości. Data 11 Listopada kojarzy się z Powstańczą przeszłością mojej Żony, a również jej Ojca, Adolfa Vertun, porucznika WP w 1939 r., kapitana AK w czasie Powstania w Śródmieściu, w cywilu – naczelnego inżyniera w Warszawskich Tramwajach. Były jednak i inne powody wybrania tej daty – po pierwsze, był to jedyny wolny termin umożliwiający zawarcie małżeństwa, po drugie, zawarcie małżeństwa w czasie stanu wojennego, i to w krótkim terminie, wydawało się niezbędne, nawet zapobiegawcze wobec zagrożenia Barbary, intensywnie biorącej udział w akcjach niepodległościowych. Była m.in. spikerką Radia Solidarność, o dobrej dykcji, nierozpoznaną do końca stanu wojennego.

Swoją żonę poznałem w 1972 r., gdy jako były gruźlik zostałem skierowany do Kliniki Chorób Wewnętrznych w Instytucie Gruźlicy przy Płockiej. Kliniką kierowała dr Sara Bromberg, a ja dostałem się pod opiekę dr Barbary Vertun - Basi. Cierpiałem wtedy na coraz częstsze, nasilające się zawroty głowy, wiedziałem wprawdzie, że mogą być skutkiem wcześniejszego leczenia mnie w młodości streptomycyną, ale nie było dokładnego rozpoznania, a ja miałem ponadto jeszcze inne objawy, pojawiły się skurcze twarzy, tak zwane „tiki”, na które próbowano stosować nowy wtedy lek – Valium, zwany teraz Relanium – bezskutecznie. W klinice Barbara rozpoznała u mnie przede wszystkim nadciśnienie tętnicze (które wówczas było bardzo wysokie), oraz stress i przemęczenie pracą. Rzeczywiście, będąc wtedy na stanowisku zastępcy dyrektora do spraw naukowych mojego Instytutu, musiałem uczestniczyć w przeprowadzaniu szeregu bardzo niepopularnych w Politechnice reform. Na zawroty głowy, czyli objawy choroby Meniera, potrzebne były dodatkowe badania, właściwie nigdy się one nie zakończyły jakąś ostateczną diagnozą, ale po pewnym czasie zawroty wyraźnie ustąpiły – choć niekiedy jednak „zawracały” – zawsze po kontrowersyjnych rozmowach, scysjach, tak w domu jak i w pracy.

Leżąc w Klinice, już po kilku dniach poznałem w jakimś stopniu dr Vertun, swoją przyszłą żonę, nie uświadamiając przecież sobie, że nią zostanie. Zafascynowała mnie najpierw jako niezwykle sprawna, pełna autorytetu – zwanego czasem *charyzmą* - lekarka. Pewnej nocy, jednej z pierwszych w szpitalu, jeden z czterech pacjentów w naszym pokoju obudził nas

pozostałych, charcząc i wypadając z łóżka na podłogę w ciężkim ataku astmy. Był to, jak zapamiętałem, drukarz amatorsko grający na trąbce, od tego grania dostał rozedmy płuc.

Siedzieliśmy na łóżkach przerażeni, patrząc, jak przywołana dyżurna pielęgniarka wydaje zalecenia leżącemu pacjentowi - co ma robić, i jak on się coraz bardziej dławi, traci oddech. I wtedy właśnie weszła dyżurny lekarz dr Vertun, i opanowała sytuację. Stała oparłszy się oburącz o poręcz łóżka, i bardzo wyraźnym, stanowczym głosem zaczęła wydawać polecenia leżącemu, a on pod wpływem głosu i zaleceń lekarza, właściwie niemal takich samych jakie wygłaszała pielęgniarka, zaczął je wykonywać i stopniowo, powoli doszedł do siebie, został przeniesiony na łóżko, i już mógł przyjmować zastosowane dodatkowe leki.

Wtedy otworzyły mi się szeroko oczy – dojrzałem, co w ogóle może lekarz z autorytetem, doświadczony, widziałem zresztą kilka innych przypadków podobnie skutecznych działań lekarzy, nawet wcześniej, ale ten był szczególnie efektywny.

A co do Barbary – dowiedziałem się, że w Powstaniu Warszawskim została ciężko ranna wielokrotnymi odłamkami granatu, ponadto, że jest alpinistką, często uczestniczy w górskich wyprawach, do których nader chętnie jest angażowana jako lekarz wyprawy. W tych wyprawach leczyła nie tylko uczestników-alpinistów. W dalekim kraju – Afganistanie, wtedy spokojnym, leczyła Afganów, zapraszano ją nawet do afgańskich domów, do pomieszczeń przeznaczonych dla kobiet. Więc, chociaż była „tylko kobietą”, leczyła zarówno mężczyzn, jak i ich żony i dzieci, co w świecie muzułmańskim, jak wiadomo nie jest zwyczajne. Leczyła również zwierzęta, zwłaszcza goiła grzbiety osłom, otarte od dźwigania bagaży. Po wyjściu ze szpitala musiałem kontynuować badania i leczenie w przychodni przy klinice, więc miałem sposobność rozmawiać i zapoznawałem się z osobowością Basi – bogatą, pełną niespodzianek. Bywała często na koncertach w Filharmonii, miała ciekawych znajomych, dużo czytała, uczestniczyła w badaniach naukowych, oraz w publikacjach.

No i oczywiście, bardzo zbliżyłem się do Barbary, zostałem w swych kłopotach zrozumiały i zaakceptowany, a ja dostrzegałem w niej zarówno łagodną, współczującą chorym lekarkę, bardzo szanowaną przez pacjentów – co było widać, jak i kobietę pełną życia i energii. Umiejącą z zacięciem – ale taktownie – dyskutować, pisać, a również dobrze gotować. Gościłą – z jednym felerem, bo pić nie umiała, ale na trunkach, zwłaszcza winach - znała się doskonale.

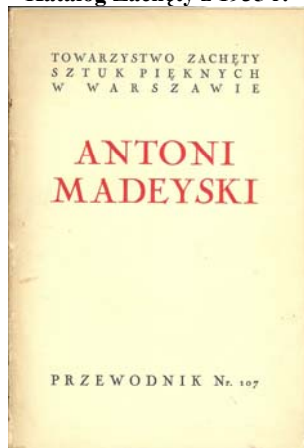
Myślę, że to jeszcze nie wszystko, czym mnie zadurzyła postać Basi – ale jeszcze mamy trochę czasu przed sobą, ciągle ją poznaję. Za to zupełnie nie wiem, i chyba nie mam szans dowiedzieć się, dlaczego wyszła za mnie. Czasem mi się wydaje, że lubi mnie – jak i inne zwierzęta, lubi „potwora znad Prypeci” – karmić.

I dlatego utrzymuję również dobre (jak myślę) stosunki rodzinne z mieszkającą w Warszawie Ewą Jarzębowską, siostrą mojej żony, z jej Synem Marcinem Jarzębowskim, i jego żoną Mitsue – mieszkańcami Londynu. Równie dobre stosunki mamy z dalszą rodziną Żony – z Marią Wilgatową, i Jej Synem Jerzym Wilgatem. Dodam jedynie, że dobre stosunki rodzinne pielęgnował szczególnie za życia Jerzy Wilgat (Mąż Marii i Ojciec Jerzego, brat cioteczny mojej żony Barbary, Prezes Związku Żołnierzy AK Okręgu Warszawskiego).

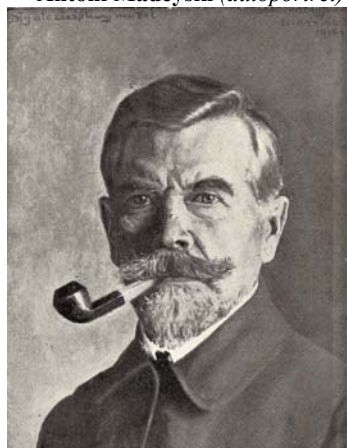
W części 1 WSPOMNIENIÓW obiecałem napisać, w ramach kresowych wspomnień rodzinnych, o Antonim Madeyskim, Jego działalności i opiece nad Aleksandrem Gierymskim, co czynię. Już w dzieciństwie mi powiedziano, że mieszkający w Rzymie nasz krewny Antoni Madeyski jest wielkim i bardzo zasłużonym rzeźbiarzem, jego dziełem są dwa grobowce na Wawelu - Królowej Jadwigi i Króla Władysława Warneńczyka. I że Sława wybiera się do Rzymu odwiedzić Wujka. Najpierw nie rozumiałem, a gdy zacząłem rozumieć, zrazu przestałem wierzyć – bo przecież kilkaset lat upłynęło od śmierci obu Królewskich Osób, a rzekomy wuj Madeyski żyje przecież. Jednak gdy podrosłem, i od Sławy uzyskałem potwierdzenie informacji – wszystko mi się w głowie ułożyło.



Katalog Zachęty z 1935 r.



Antoni Madeyski (autoportret)



Wyciąg z Genealogii Baykowskich



Wiedziałem, że Antoni kilku imion Madeyski, urodzony w Fośni Wielkiej koło Owrucza w 1862 r., zmarły w 1939 r. – jest istotnie wielkim rzeźbiarzem. Uznawałem jego osiągnięcia, chociaż początkowo w tym rzeźbiarstwie dostrzegałem eklektyzm. Może miałem trochę racji, ale moje poglądy ewoluowały, pod wpływem katalogu handlowego Zachęty poświęconego Madeyskiemu, zakupionego chyba w 1950 roku, w Antykwariacie Troszkiewiczów na Pięknej. Zaszedłem tam przypadkowo, wędrując do PP. Samotyhów na Noakowskiego. Mam ten katalog Nr 107 do dziś.

Jeszcze bardziej urosła w moich oczach postać Madeyskiego, gdy dowiedziałem się, jaką estymę miał względem osoby i twórczości Aleksandra Gierymskiego i jaką opieką go – pod koniec życia na wpół obłąkanego – otoczył, ceniąc wspaniałego malarza, jednego z największych spośród malarzy polskich.

Grobowiec na Campo Verano



Fotografia z budowy grobowca na Campo Verano dla Aleksandra Gierymskiego, zmarłego 6 marca 1901 roku (?). Przeniesienie zwłok A. Gierymskiego z miejsca tymczasowego pochówku w katakumbach nastąpiło dopiero 9 marca 1903 r. Uważa się, że na tej fotografii jest Antoni Madeyski (pierwsza osoba z lewej strony). W grobowcu złożono również ciała rzeźbiarza Wiktora Brodzkiego (1904) - wuja Antoniego, samego Madeyskiego, oraz rzeźbiarki Jadwigi Bohdanowicz (1943).

Gdy dowiedziałem się, poniewczasie, o *SPOTKANIU* w 2014 r. w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu, poświęconemu uczczeniu pamięci Antoniego Madeyskiego, zwróciłem się przez Dyрекcję Muzeum do organizatora *SPOTKANIA* dr inż. Janusza Margowskiego, o bliższe informacje.

Oznajmiłem też wtedy, że mój ród po mieczu jest spowinowacony ze sławnym rzeźbiarzem. Pewne informacje otrzymałem, ale jednocześnie Pan Doktor stwierdził dość stanowczo, że nazwiska Baranowskich nie znalazł w dokumentach po A. Madeyskim. Ma jakieś przedmioty, typu pamiątek kolekcjonerskich. Nie reflektuję na rolę spadkobiercy po Madeyskich, jednak muszę stwierdzić, że Pan Doktor widocznie nie dość intensywnie zbadał dokumenty, bo dowody na pokrewieństwo, a i inne istotne, znaleźć można. Z nadesłanych mi informacji wynika, że Gracjan-Lazar Baykowski z żoną Julią z Brockich (vel Brodzkich) mieli córkę Lubomirę (\*1831), która pojechała Bronisława Madeyskiego, oraz że mieli również syna Franciszka-Izydora, który zaślubił Julię z Leparskich – z tego małżeństwa urodziła się Emilia Baykowska(\*1852) – moja Babka, w konsekwencji zaślubienia Feliksa Paschalisa Baranowskiego (\*1849), mojego Dziada.

Z porównania dat wynika, że Antoni Franciszek Mieczysław Madeyski (\*1862), syn Lubomiry, był o 13 lat młodszy od mojego Dziada Feliksa Paschalisa (o 10 lat od Babki Emilii). Od mojego Ojca Jerzego Baranowskiego (\*1878) Antoni Madeyski był starszy o 16 lat, i dlatego mógł uchodzić za wuja mego Ojca (choć nie całkiem w linii prostej). Matką Antoniego Madeyskiego była bowiem Lubomira z domu Baykowska, a Matką mego Ojca (Jerzego Baranowskiego) była Emilia, również z domu Baykowska, córka Franciszka Izydora Baykowskiego – brata Lubomiry.

**Innymi słowy, Lubomira Madeyska z Baykowskich, Matka rzeźbiarza Antoniego Madeyskiego, była Ciotką mojej Babki Emilii z Baykowskich, małżonki mojego Dziada Feliksa Paschalisa Baranowskiego.**

Co się zaś tyczy głoszonej informacji o poszukiwaniu wieści o Bronisławie Madeyskim przez jazdę na ROWERZE w 1895 r., oświadczam, że istnieje fotokopia Aktu zgonu Bronisława w 1874 r., wystawionej w 1880 r.



Jak wiadomo, głównie staraniem Antoniego Madeyskiego zwłoki Aleksandra Gierymskiego spoczęły w grobowcu na Campo Verano, wzniesionym z funduszy Polonii rzymskiej, głównym fundatorem był sam Madeyski. W tym grobowcu złożono również ciała rzeźbiarza Wiktora Brodzkiego (1904) - wuja Antoniego, samego Madeyskiego, oraz rzeźbiarki Jadwigi Bohdanowicz (1943). Daty zgonów i złożenia zmarłych do grobowca nie są dokładnie znane. Przy osiągniętej świadomości już nie miało dla mnie większego znaczenia to, że Madeyski urodził się w Fośni pod Owrczem, z którą jest związany ród mojego Ojca. Znaczenie miała działalność Antoniego Madeyskiego, jednocząca mało zaradną polską kolonię artystyczną. Grobowiec – mimo renowacji – jest mocno zniszczony, co widać na zdjęciach, wydaje się, że również dokumenty warunkujące dalsze istnienie grobowca nadal nie są uporządkowane.

### **Moi Znajomi i Przyjaciele**

Moich zaprzyjaźnionych znajomych mógłbym przedstawić w trzech – może czterech grupach, w zależności od zainteresowań i zażyłości. Pierwszą i najdawniejszą grupę, jeszcze z lat 60tych, nazywam *nieżeglarzami*, towarzystwo utworzyła się z osób bywających w domu Teresy i Tadeusza Niepokulczyckich na Grochowie, oraz w sąsiedniej – przez płot - niemal bliźniaczej willi Ewy i Andrzeja Czajów. Dołączyłem do ich towarzystwa poprzez Tadeusza Niepokulczyckiego, wtedy dyrektora technicznego Warel, Zakładów wytwarzających sprzęt elektryczny i elektroniczny, głównie dla wojska. Zostałem zaproszony przez Warel do wygłoszenia cyklu wykładów o półprzewodnikach, i tak zawarłem z Tadeuszem znajomość, która zamieniła się we współpracę techniczno-naukową, a w towarzyskich kontaktach przejawiała się poradami i wzajemną pomocą, na przykład przy obsłudze i drobnej naprawie samochodów. Tadeusz miał garaż, dobrze wyposażony, z tunelem, i był bardzo uczynny. No i lubił dyskutować ze mną problemy półprzewodnikowych układów elektronicznych, zdążył do ich gruntownego poznania i wkrótce ambitnie podjął się opracowania rozprawy doktorskiej, z dziedziny różnicowych układów mnożących. Byłem jego żelaznym konsultantem, co dla obu nas bywało trudne, zwłaszcza gdy jakiś czas przebywałem w szpitalu na Kasprzaka. Często odwiedzał mnie w kolejnych oddziałach Szpitala, toczyliśmy rozmowy - w zasadzie ufał mi, lecz gdy już z rozprawą chciał finiszować, a ja go powstrzymywałem, czasem kręcił głową, nie zawsze dzieląc w pełni moje argumenty. W końcu dotarliśmy do brzegu, i zgodziłem się być oficjalnym recenzentem jego rozprawy, zakończonej *cum laude*.

Przez Tadeusza poznałem jego zaprzyjaźnionych sąsiadów, Ewę i Andrzeja Czajów. Andrzej, zawodowy anglista, był również utalentowanym melomanem, ale nade wszystko lubił zadziornie, z humorem – i czasem głównie dla humoru, dowcipnie dyskutować. W obu tych przedwojennych wielopokoleniowych domach spotykali się towarzystwo niemal ci sami ich znajomi, których dla uproszczenia nazwałem *nieżeglarzami*. Ciekawiło mnie to towarzystwo przez swą różnorodność – bywali tam inżynierowie i humaniści, bezpartyjni i partyjni, profesorowie, kierownicy Katedr - nawet Rektorzy Uniwersytetu. Zbliżyłem się najbardziej do Alicji i Andrzeja Mańkowskich, Ireny i Andrzeja Oborskich, Danusi Antoszewskiej, oraz do Krystyny i Tadeusza Orłowskich. Bywały w tym towarzystwie ciekawe dyskusje, różnego kalibru, o temperaturze zależnej od okoliczności – często na tematy polityki kulturalnej, ale również samej polityki władz – te nie zawsze kończyły się uzgodnieniem stanowisk. A jedna dyskusja przeszła w kilkuletnią niezgodę między domami Niepokulczyckich a Czajów – nastąpiło to po wymianie poglądów na temat celowości i skuteczności wprowadzenia Stanu Wojennego w Polsce. Andrzej Czaja swoje stanowisko określał bardzo wyraziście – on wychodził naprzeciw patrolom milicyjno-wojskowym mającym – a jakże – bagnety osadzone na broni, i już z daleka wyzywająco krzyczał – „jak się macie okupanci?”. Po jakimś czasie patrole unikały starannie okolic ulicy, gdzie mieszkał Czaja. Również dlatego, by nie interweniować, bowiem wieczorami, nawet nocami, z głębi jasno oświetlonej werandy domu rozlegała się głośna muzyka i śpiewy, zazwyczaj o treści patriotycznej, przy tym gorliwie – ale całkiem dobrze – śpiewali zwłaszcza goście mieszkający prominentne stosunki z władzami.

A po jakimś czasie, gdy rozwój rzeczywistości przekroczył i wymazał granice niezgody, przyjacielskie kontakty między Tadeuszem a Andrzejem odnowiły się – byli ci sami, choć może nie całkiem tacy sami, jak przedtem, ale to tak się stało z nami wszystkimi.

W czasach PRLowskich wyjeżdżaliśmy wielokrotnie na wspólne wycieczki samochodowe, krajowe – krótkie, głównie na Mazury, w Augustowskie, w Góry Świętokrzyskie – ale również organizowaliśmy dłuższe wycieczki zagraniczne, do Bułgarii, Jugosławii, Grecji, przez Macedonię – do Turcji. Te były trudniejsze, ale bardzo zyskiwaliśmy – już przez samo przekraczanie granic, ale przecież poznawaliśmy mnóstwo miejsc – monastyny Bułgarskie, przeprawę przez Dunaj, głęboką prowincję Rumuńską, Węgry – w Grecji Ateny, świątynie z Partenonem włącznie. Zażywaliśmy rozkoszy bytowania w gajach oliwnych na Peloponezie, gdzie po ustaniu dziennego upału, przy rozpalonym na plaży ognisku, pogadywaliśmy z Grekami, a Teresa z Andrzejem zadawała szyku, ucząc ich tańczyć Krakowiaka – na piasku! Zwiedzaliśmy grotty, Mykeny, grób Agamemnona, Termopile, byliśmy w Delfach, tuż przy Parnasie, nawet do pustelniczych grot i wiszących wysoko monastyrów Meteory nas zanosło. Jeszcze ciekawiej było w Turcji, sam Stambuł – otaczające go potężne mury, jego ulice i bazy, Topkapi - dostarczał wielu wrażeń. A przez Bosfor promem dotarliśmy do Anatolii, z lękiem nocowaliśmy w krzakach dzikiego interioru, zastanawiając się, czy poznani wieczorem pół dzicy pasterze owczych stad – z długimi zakrzywionymi laskami typu „biblijnego” - nie poderzną nam w nocy gardeł. Dotarliśmy do Izmiru, dawnego Efezu – z pokorą chodziliśmy pięknie restaurowaną starodawną ulicą, którą kiedyś podążali zwykli obywatele miasta, a również sławni uczeni matematycy, znani nam z podręczników gimnazjalnych – w drodze ku górze, ku wspaniałemu amfiteatrowi. Oczywiście, nie omieszkaliśmy zwiedzić i wykopalisk Troi, dopatrując się - z wysokości wykopalisk - na przybrzeżnej rozległej równinie śladów rzeki, znanej powszechnie pod nazwą Skamander.

Równie dawną grupę stanowią **żeglarze** - znajomi i przyjaciele zajmujący się żeglarsstwem jeziorowym, za wyjątkiem Stefana Misiaszka, który pływał nieco dalej, niż na Mazury. Początkowo tylko po Bałtyku, z epizodem pływania w archipelagu wysp przy brzegach Grecji. W latach 1980-81 – tuż przed ogłoszeniem Stanu Wojennego, popłynął w składzie załogi jachtu Pogoria na wyspę King George, gdzie znajduje się Polska Antarktyczna Stacja Badawcza im. H.Arctowskiego, w której zimował w składzie V wyprawy naukowej, pływając na jachcie badawczym Słoń Morski z głębinowymi sondami, wśród obszarów z lodem. Stefan miał wtedy urlop z Politechniki Warszawskiej, komunikacja z nim, nawet radiowa, była wobec Stanu Wojennego szczególnie utrudniona, dopiero po powrocie dowiedzieliśmy się, z jego opowiadań, co się tam w okresie Solidarności działo. Mniej więcej, to samo, co w Kraju, tylko ujawniła się wyraziście złowieszcza rola przydzielonego wyprawie tajnego agenta.

Stefan Misiaszek przystąpił do Zespołu Impulsowego dość wcześnie, o czym pisałem w części 4 Wspomnień, ale tu napiszę przede wszystkim to, że zajął się moją edukacją żeglarską – bo ja w różnych okresach życia, również z powodu chorób, nie miałem ani wakacji, ani nie zajmowałem się sportem. To z inicjatywy i przy pomocy Stefana, nabyłem i w Stoczni Czerniakowskiej wyremontowałem starego Pirata, na którym później pływałem z Dorotą.

W późniejszym czasie, gdy Dorota przestała pływać, kilka lat po sprzedaży Pirata, chyba w 1975 roku postanowiłem zbudować lekką żaglówkę kabinową, wzorując się na kadłubie Foki, projektu Jerzego Pieśniewskiego. W tym czasie Stefan wraz z kolegami z AZS zorganizował – bodaj już w 1972 r. - maszoperię, która miała zbudować dla siebie serię dużych żaglówek typu Giga, konstrukcji Witolda Tobisa opartej na zastosowaniu laminatów poliestrowych. Nie przystąpiłem do maszoperii, zresztą, uczestnictwa mi nie zaproponowano, a budowa zanosila się na lata, wymagała dużego nakładu własnej pracy i poszukiwania sposobów na zdobycie materiałów. Stefan mi pomocy nie odmówił, załatwił dobre, ulgowe warunki w kontakcie z Pieśniewskim, poczym zaprojektował części takielunku, ster, miecz – i budowa ruszyła. Prawie wszystkim kierowałem sam, ale pomagały mi ochotniczo osoby z Politechniki, które

dowozilem i którym starałem się odwdzięczać. Laminowanie i łączenie połówek kadłuba odbywało się na pustej wtedy plaży Zalewu Zegrzyńskiego, zaś odwdzięczanie się – w pobliskiej restauracji ze smażalnią ryb. Na zimę z pomocą Tadeusza kadłub i pokład zostały przewiezione do jego ogrodu na Grochowie. W następnym roku kadłub i inne części zostały połączone przez szkutników na Cyplu Czerniakowskim, zatrudnionych przy dziennikarskim klubie HORYZONT, a ja zająłem się zamówieniem żagli i taką przebudową przyczepki samochodowej pozostałej po Piracie, by spełniała wymagania transportowe, i by w ogóle mogła dźwigać łódź znacznie cięższą. To wszystko nie było łatwe, ale udało się, i już w końcu lata 1977 r. mogłem pływać na Foce VC233 *Malec* – startowałem oczywiście z Tyrkła, od posesji PP. Zofii i Witka Wierzejskich.

W toku tych prac i niemal zaraz na początku pływania, zawarłem, a właściwie odnowiłem znajomość z żeglarzami z kręgu AZS, zwłaszcza z kolegami Stefana – większość była związana z Politechniką, znałem ich – lub mi się przypominali. Do „rdzenia” moich stałych znajomych żeglarzy, oprócz Stefana i jego żony Agnieszki, zaliczam Włodka Tarwackiego i jego żonę Elę, Romę i Darka Szymańskich, Marysię i Andrzeja Smirnow, później PP. Halinę i Witka Gnojków, oraz ich córkę Annę (niestety, Rodzice już nie żyją). Teraz już raczej nie żeglujemy wspólnie i radośnie, spotykamy się towarzysko, ostatnio raczej nie często. Tak się też pogmatwały stosunki, że między Misiaszkami i Tarwackimi wkradła się niezrozumiała kość niezgody. Młodszy, Misiaszkowie, Szymańscy i Smirnowowie pobudowali domy (Stefan nad Zalewem) i przeszli na tryb życia bardziej osiadły. A ja z Żoną Barbarą przekazaliśmy (w 1999 r.) łódź Ance Niepokulczyckiej, w całości, z żaglami, silnikiem Suzuki, namiotem i przyczepą samochodową. Taką decyzję podjęliśmy, gdy zdałem sobie sprawę ze stanu mojego zdrowia, po dwóch operacjach by-pass ujawniła się w pełni praktyczna niemożność prawidłowego co sezon przygotowania Malca, i nawet bezpiecznego odbywania rejsów.

Trzecią grupę moich znajomych stanowią *myśliwi*. Trudno mi ją przedstawić wyodrębniając oddzielnie indywidualności osobnicze, gdyż polowałem w dwóch licznych kołach Polskiego Związku Łowieckiego – najpierw w Kole Warszawsko-Ciechanowskim JAR, głównie na terenach gminy Grudusk, a teraz w Kole Zaklikowskim DZIK. A przy tym – do Łowiectwa przystąpiłem późno i dość nieoczekiwanie, namówiony przez Bohdana Wróbla i Rysia Jakubiaka w czasie gościnnego pobytu nad jeziorem pomorskim Cęgi koła Miastka, w obozie namiotowym. Gdzie oprócz ich żon (Anuli i Krysi), żelaznym uczestnikiem takich corocznych obozów był znakomity grzybiarz Kazio Dorant, Ewa Jarzębowska - siostra Basi, a często Basia i Andrzej Abramowiczowie. Wszyscy zbierali grzyby, Bohdan i tylko Bohdan polował, wieczorem palono ogniska, suszyli grzyby i – co tu omijać – nieźle przepłukiwali gardła. Wokół cisza, kilometry lasów – tuż obok spokojna toń jeziora. No i kiedyś, widząc jak majstrują przy broni, czyszczą ją – zapytałem zniecierpliwiony – zupełnie niepotrzebnie – jak długo spadałby śrut wystrzelony pionowo w górę nad taflą jeziora. Zdenerwowałem się, gdy nie umieli zdarnie odpowiedzieć na postawione pytanie, a ponieważ i ja nie mogłem zrazu na swoje własne pytanie odpowiedzieć – zająłem się Balistyką i Myślistwem, na długo, do dziś.



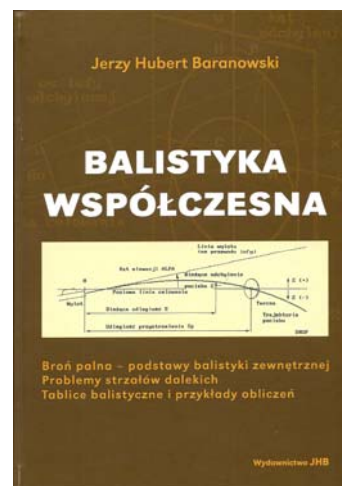
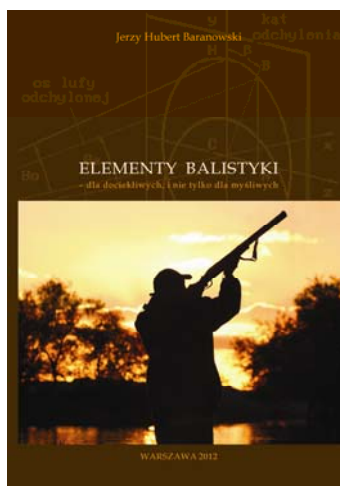
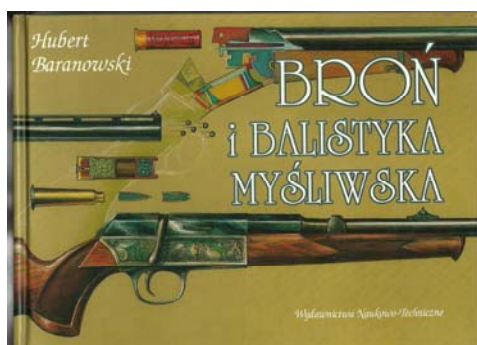
Na dole – Bohdan przy grzybach, na prawo – z Anulą, Basią i z fouskiem Kubą. Na lewo – z trudem schodzą ze stromego zbocza – na górze Krysia i Ryszard Jakubiakowie, a na dole jeszcze trudniej Anula z Bohdanem (zdjęcie wykonałem w czasie otwierania psiej wystawy; wysoko został wtedy oceniony Kuba).



Przedstawiłem początki mojego przystąpienia do studiowania Balistyki i do Łowiectwa we wstępie do książki, jaką napisałem, i nawet ją wydano w WNT 1994 r., pod tytułem „Broń i Balistyka myśliwska”. Całkiem głupio nie zrobiłem, bo się okazało, że w kraju nie ma żadnego podręcznika poświęconego Balistyce zorientowanej na myślistwo, z przypadku stałem się więc od razu niemal klasykiem w tej dziedzinie wiedzy.

Do grona myśliwych zapisano mnie dopiero w 1980 r., poprzez Koło JAR, po odbyciu stażu i kursów przedstawiających problemy gospodarki łowieckiej i reguły prawne wiążące się z bezpiecznym posługiwaniem się bronią śrutową, oraz bronią kulową. Najwięcej skorzystałem z książki *PRAWO ŁOWIECKIE. Komentarze*, (L.Jastrzębski i W.Lipka, Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1978). Natomiast bardzo nisko oceniałem materiał wygłaszany ustnie na kursach, dostrzegałem nieumiejętność prelegentów w przekazywaniu wiedzy o rodzajach broni palnej, prawie zerową w zakresie Balistyki. I to właśnie wtedy nabrałem większej chęci zarówno do dalszego zgłębiania swojej wiedzy o Balistyce, jak i popularyzowania jej u towarzyszy myśliwych. Pierwszy artykuł, dotyczący Balistyki myśliwskiej, zamieściłem w *Łowcu Polskim* nr.6/84, do tej pory napisałem i wydrukowano mi w *Łowcu* 41 artykułów podobnej treści. Rozbudzona pasja doprowadziła do opracowania dwóch następnych książek, na bazie książki pierwszej, wzbogacanej stopniowo o programy obliczeniowe i problematykę dalekich strzałów, z ujęciem efektu Coriolisa. Przedstawiam te książki.

BALISTYKA WSPÓŁCZESNA, JHB 2016  
ELEMENTY BALISTYKI, JHB 2012, 2014  
Broń i Balistyka Myśliwska, WNT 1994



Wstąpienie do Koła Myśliwskiego, jakiegokolwiek, nigdy nie było łatwe, zależało od oceny członków Koła, czy przyjmuje się kandydata na wiarygodnego, dobrego kolegę. Pierwszą ocenę, wstępną, dawał Zarząd Koło, następną – całe Koło po dłuższej obserwacji kandydata w czasie odbywania stażu. Mojemu przyjęciu do Koła Jar sprzyjał inż. Stanisław Łyżwa z Zarządu Koła, który pełnił w jednej kadencji funkcję Łowczego, w innej – Prezesa. U mnie w Instytucie był Dyrektorem ds. technicznych, w przeszłości – był w partyzantce u „Ponurego”, w Górach Świętokrzyskich. W Zarządzie Koła spotykali się różni ludzie, często w przeszłości o zdecydowanie przeciwnej orientacji politycznej, zwłaszcza tuż po Wojnie. Jednak ci starcy, weterani różnych orientacji, w zasadzie współpracowali zgodnie. Orientuję się, bo wkrótce też wszedłem do Zarządu Koła, jako sekretarz. Zaprzyjaźniłem się szczególnie z Józefem Plaskurą, ekonomistą i Oświęcimakiem, byłem żołnierzem Brygady Podhalańskiej, utrzymującym bliskie stosunki z innym więźniem Oświęcimia – Józefem Cyrankiewiczem. Gdy powziął do mnie zaufanie, opowiadał mi szczegóły ze swego życia, zwłaszcza pobytu w Oświęcimiu. Również z doktorem medycyny Stanisławem Świtalem miałem dobre stosunki – opowiadał mi, bardzo żywo, historie brawurowych walk w 1920 r. z bolszewikami, w których uczestniczył – był ułanem, bardzo zadzierzystym, mimo małego wzrostu. Pokazywał mi zachowaną w mieszkaniu oryginalną lancę ułańską, i pouczał, jak się nią „pracuje”.



Z Józkiem Plaskurą byłem wkrótce na „ty”, jeździliśmy razem na dwutygodniowe wyprawy, do Puszczy Noteckiej, w okolice Sierakowa. On „miał chody” – potrafił załatwić pozwolenia nawet na polowanie w wydzielonym obwodzie w Trzciance. Najpierw tylko dla siebie, ale w następnym sezonie również i dla mnie. I tam strzeliłem pierwszego byka – w przedostatnim dniu pobytu, gdy dopiero zaczynało się rykowisko. Na polnych terenach Ciechanowskich koła JAR takich możliwości wtedy jeszcze nie było, tam były zające i sarny, były lisy, kuropatwy i bażanty, sporadycznie kaczki, natomiast rzadkością było wtedy spotkanie dzika lub jelenia.



Myśliwsko-grzybiarskie namioty nad Cęgami



Dzika strzeliłem jednak dopiero w Pomorskiem, nad Jeziorem Cęgi koło Miastka, dokąd po latach znowu przybyłem na zaproszenie Bohdana Wróbla. Dysponowałem uprawnieniami, ale nie na Jelenie. Dziki towarzyszyły mi, jak widać, nawet w kąpielni. Że do Miastka to jednak daleka droga, 500 km, przy spaniu wyłącznie w namiotach, wprowadziłem słabego zdrowia Bohdana do koła JAR – strzelał dobrze zające, kuropatwy, bażanty.

Niżej zamieszczam fotografie – dawne i nowsze - z Koła JAR i z Koła DZIK. Rozpoznaję ze wzruszeniem większość dawnych Kolegów, dostrzegając, że wielu brakuje. Z Koła JAR już dawno odeszli w Krainę Wielkich Łowów – Bohdan Wróbel, Stanisław Łyżwa, Józef Plaskura, dr Stanisław Śwital, Marian i Marek Przewodowscy, Ryszard Szymański – wciąż nie dostrzegam wielu innych, żyjących - na przykład Mieczysława Budy.



Pierwszy rząd siedzący: Apoloniusz Bukowicki, Przedst. Zarządu PZŁ, Tadeusz Złotkowski, Jerzy Baranowski, Stefan Żółtowski, Tadeusz Starczewski, Michał Bąk, Bohdan Wróbel, Stefan Soltysik, Peter Schbrock

Pierwszy rząd stojący: Marek Przewodowski, Jan Smoliński, Czesław Nieradka, Cezary Gałęziewski, Stanisław Mioduszewski, Wojciech Dołęgowski, Wiesław Górecki, Stanisław Maliński, Tomasz Korczyński, Stanisław Kaczmarek, Ryszard Szymański

Drugi rząd stojący: Stażysta, Łukasz Krzemiński, Damian Przewodowski, Marek Skirzyński, Cezary Gałęziewski jr, Grzegorz Polubiński, Bogdan Dorociński, Marek Mazaj; stojący na górze Paweł Górecki



Odprawę prowadzi sam Prezes JARu W JARze poluje szczęśliwie Mariola Marczak-Grzybek Nad pokotem widzę W. Dołęgowskiego! Cezary Gałęziewski Te 3 ostatnie zdjęcia otrzymałem niedawno, są z całkiem niedawnych czasów, gdy już przeszedłem do Koła DZIK.





Przerwa w polowaniu, posiłek pod osłoną ogrodzenia cmentarza w Łysakowie. Na środkowym zdjęciu St.Łyżwa, J.Baranowski, B.Wróbel, A.Bukowicki, M.Majkowski, na pierwszym widoczny C.Gałęziwski i M.Przewodowski (?). Traktor platformą wozi strzelone zające.

### Piątek, 30 września 2016 r.

Otrzymałem z Gruduska następną porcję zdjęć – na jednym z nich nawet występuję, a że wiele zdjęć przecież zaginęło, więc wypada – choćby tylko niektóre - zamieścić.



Obecne granice Obwodu Łowieckiego Nr 71 JAR niemal dokładnie pokrywają się z granicami Gminy Grudusk przedstawionymi na mapie – ale za moich czasów dzierżawiony obwód Nr 73 był większy, liczył 7330 ha. Głównie to były bardzo żyzne pola, powierzchnia zajmowana przez lasy była oceniana na 4% powierzchni całkowitej. Odcięte zostały tereny na wschód od Wiśniewa i Przywilcza.

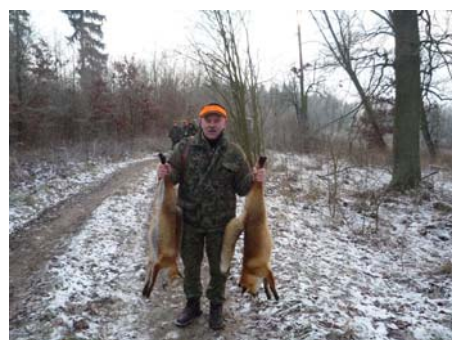
Grudusk formalnie jest wsią, cała gmina Grudusk liczy tylko około 4000 mieszkańców. Mimo stosunkowo małej liczby mieszkańców i rzadkiej zabudowy, gmina odznacza się wysokim poziomem kultury rolniczej i dobrą, wydajną gospodarką. Koło JAR ma stronę w Internecie.

W samym Grudusku istnieje i jest pieczołowicie pielęgnowana góra, zwana Zieloną, z wyraźnymi zarysami po średniowiecznym grodzie, i strażnicy północnych granic Państwa, wzniesionej – jak się ocenia – za pierwszych Piastów, już w IX wieku.

Jeszcze można dodać, że na tych terenach, w Mierzanowie, urodził się Ignacy Mościcki, znany w świecie chemik, wynalazca nowych procesów pozyskiwania azotu i metod produkcji na skalę przemysłową związków azotowych. Zastosowanie tych metod w Polsce, w kraju dopiero wyzwalamym się z zaborów i budującego swój przemysł, było niezmiernie ważnym osiągnięciem. Był profesorem Politechnik – Lwowskiej i Warszawskiej, został powołany na Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej (w 1926 r.).



Przed polowaniem – odprawę prowadzi Łowczy Apoloniusz Bukowicki



Cieźko Dołęgowskiemu z takim łupem – ale radośnie

Teraz jestem jeszcze członkiem PZŁ i poluję, ale raczej „teoretycznie”, jak się to obecnie dowcipnie mówi. Należę do Koła DZIK w mieście Zaklikowie, w którym uczęszczałem po Wojnie do Gimnazjum i nawet zdałem maturę – co prawda, maturę tak zwaną „małą”. Koledzy w Zaklikowie o tym pamiętali i zaprosili na 50lecie Szkoły. I tak się jakoś stało, że z czasem zostałem również przyjęty do środowiska myśliwskiego, nawet nabyłem mały domek – poufale nazywam go *Lepianką* – był mocno podniszczony, wyremontowałem go, i od roku 1999 jestem pełnoprawnym mieszkańcem Miasta Zaklikowa, a jednocześnie myśliwym. Wokół Zaklikowa są ogromne lasy i rozległe stawy. Odmienne od Ciechanowa i Gruduska, gdzie dominują tereny polne, z zającami – w Zaklikowie dominują tereny leśne z jeleniami – chociaż polne tereny łowieckie, z zającami i dzikami - też są, są liczne stawy z kaczkami. Sympatycznych Kolegów myśliwych mam więc grono ogromne. Niżej przedstawiam tych, których udało mi się uchwycić w obiektywie przed tradycyjnym polowaniem z okazji 50-lecia Koła Myśliwskiego DZIK w Zaklikowie, w 1995 roku. Mnie jako fotografa na zdjęciu nie ma, ale wielu innych Kolegów też nie ma, bo pełna lista myśliwych zawierała 63 członków.



1. E. Padzi	10. Z. Kulczyk	19. M. Bojarski
M. Oszust	P. Marchut	A. Banaś
2. J. Toczyski	11. H. Kobylinski	20. Z. Wojaszek
M. Drewniak	A. Zeman	K. Górski
3. R. Polanski	12. T. Padzi	21. J. Marchut
M. Drewniak	T. Adamczyk	W. Zastawny
4. S. Rozsławiec	13. W. Szustecki	
J. Maciejewski	M. Stelmach	
5. W. Gierak	14. C. Nafalski	
J. Zakosiński	S. Pieprzy	
6. E. Gwardziński	15. Z. Zakosiński	
W. Gwardziński	S. Chmielewski	
7. W. Polechojko	16. A. Spryjański	
K. Oszust	J. Babicki	
8. P. Gładkowski	17. P. Paszek	
M. Marchut	P. Gość	
9. S. Guzek	18. J. Guzek	
J. Niezabitowski	W. Pazdaleniec	

Polowania – leśne, polne, nawodne – to one głównie pobudzają wyobraźnię i organizują życie myśliwych Zaklikowskich!



Śniadanie w gronie „starszych”: Marian Oszust, Sylwester Guzek, Janusz Toczyski, Wojciech Niezabitowski



Już zaczęło się polowanie na kaczki, co za radość! Mnie – fotografa – jak zwykle, i tu nie ma na zdjęciach!



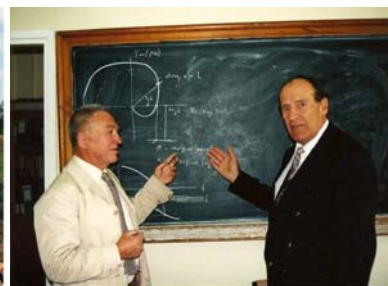
Po mszy w kaplicy św. Antoniego. Biją przy niej zimne źródła lecznicze.



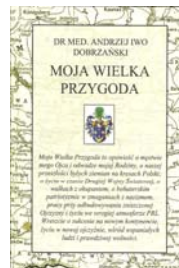
Niżej – nasi Przyjaciele PP. Oszustowie - byliśmy razem na Odkupie w Antoniówce



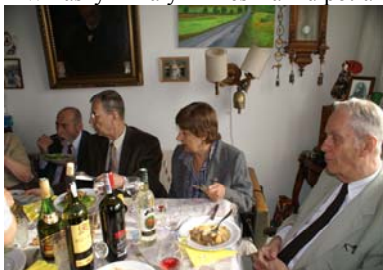
Marian lubi u nas kawę Pani Wiesia Oszustowa z Mężem, wnukiem Patrykiem i moją żoną na kiermaszu u św. Antoniego



U Teresy i Wojtka Niezabitowskich. Gościmy w Zaklikowie z Prof. Andrzejem Dobrzańskim, zamilowanym myśliwym, znawcą i miłośnikiem broni. Zaszczycił nas również wizytą w Politechnice Warszawskiej i dyskusją naukową przy tablicy. Niżej – Andrzej Dobrzański wraz z Janet goszczą u nas w domu na Mokotowie, jesteśmy zaprzyjaźnieni. Andrzej, Lwowiak, wybitny chirurg ręki (przedstawiłem Go w książce *Balistyka Współczesna*), opisał dzieje swoje i rodzinne wcześniej, niż ja. Zachęca i mnie do pisania Wspomnień, pomagając wszystkimi środkami, cenię Jego pomoc i rady. Obok książka Andrzeja.



W naszym małym mieszkanku potrafiliśmy gościć całkiem pokaźne grono Przyjaciół – nie-żeglarzy, a i żeglarzy też



↑ Tu są **nieżeglarze**, od lewej Andrzej Czaja, Andrzej Mańkowski, Danusia Antoszeńska, Tadeusz Niepokulczycki

↑ tu na górze, w środku – sami **żeglarze**!

↑ Tu też **nieżeglarze**, od prawej Andrzej Czaja, Teresa Niepokulczycka, Alicja Mańkowska, Danusia Antoszeńska, BB



↓↓↓ Na tych trzech zdjęciach – wszędzie **żeglarze** – i jeszcze trochę innych, tylko mnie nie ma!



Za to w Raju u Misiaszków pełna swoboda – „wewnętrzna i zewnętrzna”, obchodzą „wszyscy” i „wszystko”, majówki, imieniny prawdziwe i wyimaginowane, Święto Lasu, puszczanie wianków – jeżeli ktoś jeszcze nie puścił, dalej – śledziki, jajeczka – nawet tę Ostatnią Sobotę, nawet gdyby ostatnia sobota roku nie była w Sobotę. Ale żal – w Raju już nie puszcza się rakiet w ostatnią Sobotę Roku!

*Basia uważa, z całą powagą, że plotę, w stylu „trzy po trzy, para piętnaście”. Bo, na przykład, nie pamięta obchodzenia Święta Lasu. A widocznie nie pamięta nieśmiertelnego zwrotu – „mowa trawa, święto lasu”. Las szumi, gada, i ja gadam!*

A tu – nasz domek, „Lepianka”, po wstawieniu okien, remoncie i otynkowaniu styropianem, po zrobieniu nowej bramy i furtki, w toku remontu chodnika, przewidywane wycięcie platanu. Dalej – nocny widok wzdłuż ulicy, od furtki – remont chodnika niezakończony, drzewo już wycięte. Jeszcze dalej – nasze Przyjaciółki, koleżanki z Gimnazjum, za Basią Wiesią Sapalską-Grymińską, Haliną Łyskówną-Bielecką, Marysią Głuchowską-Zakościelną, i Pani Janina Kantorowa.



Stara gwardia zbiera się – powspominać, odnowić więzy – kto nowy, pośpiewać – i to głośno, by Zaklików wiedział, żeśmy jeszcze nie ramole. Pomaga nam Wiesi magnetofon – z którym się nie rozłącza, i z którego odtwarza dawne śpiewy nasze. Zbieramy się u Marysi, u nas, a często u Wiesi gdy przyjeżdża z Warszawy, towarzyszy nam czasem Stefan Świetliński.



Muszę już kończyć WSPOMNIENIA, by zdążyć je wydać. Więc nie zamieszczę relacji z polowań, które zamierałem opisać. Wspomnę tylko o jednym, które mogło zakończyć się dla mnie bardzo źle. Gdy pewnego upalnego letniego dnia usadowiłem się na wysokiej ambonie nad leśną łączką – koło Klimka, zostałem zaatakowany przez szerszenie. Otrzymałem dwa bolesne ukłucia – przed większą ich liczbą ochroniło myśliwskie grube ubranie i podwójna moskitiera. Poczułem od razu działanie jadu z ukłuć, pospieszenie z ambony i udałem się do samochodu, schowanego w zaroślach. Przez komórkę zdążyłem jeszcze zawiadomić żonę, niestety, mylnie określiłem miejsce ambony. Chciałem wyjechać na szosę, czułem co raz bardziej działanie jadu, zmagając się z narastającym oszołomieniem. Jechałem wolno, ostrożnie, droga była pusta. Jednak straciłem przytomność, uderzyłem w drzewo, wóz zatrzymał się. W momencie uderzenia jeszcze oknałem się i zdołałem wypełznąć z samochodu do rowu. Dopiero po dłuższym czasie, gdy leżąc bezwładnie patrzyłem już tylko na zachodzące Słońce, zauważono mnie, zaczęto ratować, cucić – najpierw kierowca przejeżdżającego Malucha (Adam Ufniarz ze Szczecyna), do którego niedługo dołączyły się dwie zakonnice z pobliskiego klasztoru w Radnej Górze, podróżujące w towarzystwie księdza kapelana. Pojawili się zaalarmowani myśliwi, Marian Oszust szybko mnie odnalazł – jednak na karetkę pogotowia trzeba było jeszcze długo czekać. Gdy wreszcie mnie Pogotowie zabrało, już prawie nie kontaktującego się – wyruszyła nawet ze Stalowej Woli naprzeciw druga karetka, z anestezjologiem na pokładzie, bo traciłem przytomność. Gdy mnie uratowanego po trzech dniach wypisywano ze szpitala, powiedziano, że miałem szczęście. 6 ukąszeń zabija konia, na człowieka wystarczą 3. A u nich w szpitalu przed dwoma laty zdarzyło się, że przez otwarte okno wleciał pojedynczy szerszeń i użądlił osobę odwiedzającą. Wstrząs anafilaktyczny od pojedynczego ukłucia spowodował, że odwiedzający tracąc przytomność spadł z krzesła. Ale był już w szpitalu!

Może jednak w dalszej części napiszę trochę o wieloletnim żeglowaniu z Przyjaciółmi po Pojezierzu Mazurskim, na *MALCU*, mojej łódce typu Foka. Ale nasze, a również swoje liczne wędrówki, przygody i perypetie żeglarskie najlepiej opisać – jak się spodziewam - Stefan Misiaszek, żeglował przecież na obu Półkulach, w szerokościach subantarktycznych.

Niżej przedstawiam fotografie Osób i sytuacji, które w moim osobistym bilansie liczą się osobno, jako szczególne.

Basia wreszcie wraca z Warszawy U Siostry Stefanii na Radnej Górze Dwaj Grzegorz – Czajkowski i Janik, ja i kot



Witam Basię na peronie



Lubimy z Siostrą rozmawiać



Z Kanady z wizytą



Wizyta pożyteczna – bo naprawcza

Siostra Stefania, ze Zgromadzenia Sióstr św. Józefa, była Przełożoną Klasztoru na Radnej Górze, należącego do Zgromadzenia. Poświęca się teraz zbieraniu spuścizny literackiej – listów i poezji – po Annie Nagórskiej, fundatorce Klasztoru, nauczycielce i poetce - niezwyklej postaci w historii Zaklikowa.



U Ks. Kazimierza Pińciurka w Mamotach



Jezus frasołbiwy z Mamotów

Urszula i Emilia – moje rzadko widywane wnuczki



Urszulka zadumana – tylko na chwilę



Emilka roześmiana – często

Zajrzyj, Czytelniku, do Mamotów Górnych - choćby przez Internet! Tam w leśnej kaplicy rozszerzonej przez lata osobiście do rozmiarów kościoła, niezwykle Ksiądz Kazimierz - rzeźbiarz i malarz, pozostawił niezwykle dzieła – w tym dobrą, choć miniaturową kopię sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej, dobrze się ją ogląda. Mamoty Górne – w środku Lasów Janowskich.

W Zaklikowie u Kukierów



Roma i Darek Szymańscy u nas



Misiek zapalił kominek, choć lato, i zaprasza





Marek Rajwacki w Zaklikowie Stawy, z góry w Łysakowie, gdzie wypalano wapno



Basia nad zakrętem Sanny, naprzeciwko wsi Irena



W Dzień Zaduszny, w Zaklikowie...



Swoją strzelbę oparłem o Grób, na berecie.  
Siedzi, jakby na straży, Łowczy M.Oszust.

... w domu na Mokotowie...



Odeszli grzybiarze – Kazio Dorant, Andrzej  
Abramowicz, Ryszard Jakubiak

... wspominamy naszych zmarłych



Odeszli Wróblowie – Anula i Bohdan,  
ich fousek Kuba nawet wcześniej

Według obyczaju, Zaklikowscy Myśliwi Hubertowskie Polowanie poprzedzają zapaleniem ogni zniczy na grobach zmarłych Kolegów.

U Ani i Maćka Susickich z Ewą



Spotkanie doroczne, intelektualne, poważne,  
popijamy sobie – tu jestem!

Z Romą i opiekuńczym Darkiem



Spotkanie przyjacielskie przy herbatce  
„Romowie” dominują w przyjaźni

Wiesia i Hefaios Gienek Chrzastowski



Spotkanie dawnych gimnazjalistów  
Zaklikowskich

Spotkania, herbatki – typu imieninowego – na lewo *nieżeglarze* u nas, na prawo – sami *żeglarze*, u Romy Szymańskiej



Piękne kwiaty w rękach Alicji Mańkowskiej, a jakie uśmiechy  
u wszystkich! Ewa Czaja w drzwiach, druga Ewa (Jarzębowska)  
chowa się, Teresa Niepokulczycka z Tadeuszem, obok Andrzej.



A tu – Maria i Andrzej Smirnow zawsze razem, Agnieszka i Stefan  
Misiaszek obok Romy, Darek nalewa wino Ewie - jakby pod dozorem  
Basi.



Odwiedziny sąsiedzkie, z różnych okazji, i imieninowych, i na Sylwestra – a i bez okazji, w naszym Mokotowskim mieszkaniu Nasi Przyjaciele i dobrzy Sąsiedzi – Pani Lena Pawłowska z mężem Jerzym, Anetą żoną Syna Andrzeja. Na prawo – Syn Robert.



W Zaklikowie odwiedzają nas przyjaciele żeglarze, my często u nich gościmy, mają własne domy



Od lewej - Darek, Andrzej, Stefan



Spotkanie w ogrodzie u Agnieszki i Stefana



Kąpiel Basi u Szymańskich, w perspektywie ich dom, w dalszej na prawo, dom Smirnowów

A my odwiedziliśmy Rafała Drewniaka, jego Żonę Edytę i przeuroczą – bardzo żywą fizycznie i umysłowo Córkę Kasię. Wiele Rafałowi zawdzięczamy, był pomysłowy i niezmiernie pracowity, przy remoncie i dalszych pracach przy naszej Lepiance w Zaklikowie. Podobne stosunki nawiązaliśmy z jego Rodzicami – Jan Drewniak snuje ciekawe opowiadania, jest budowniczym i zamiłowanym pszczelarzem. Rafał ubóstwia swoją córkę – jest jak i Ojciec bardzo inteligentna i wszechstronnie uzdolniona, wygrała ostatnio konkurs fotograficzny.



Rafał mieszka nareszcie w swoim własnym domu w Zdziechowicach, na wysokim brzegu rzeczki Karasiówki. Remontuje dom, zmienia dach, dobudowuje taras, prowadzi „gospodarstwo” wiejskie, do okien i na podwórkę zimą zaglądają samy – dochodzące z sąsiednich pól.



Ostatnie lata obrodziły jubileuszami, 80 i 85lecia. Tak się zdarzyło, że byłem na Jubileuszu Profesora Jerzego Osiowskiego i fotografując, wpadłem na pomysł fotografowania na tle Godła Narodowego, co szczególnie spodobało się profesorowi Osiowskiemu. I chyba wtedy to weszło do tradycji fotografowanie się „Pod Orłem”. Stąd mam sporo zdjęć „Pod Orłem”, nie wiem tylko, dlaczego nie powiadomiono mnie o Jubileuszu prof. Andrzeja Filipkowskiego, Jego zdjęcia typu „Pod Orłem” nie mam. Krytycznie dodam, że gdy ja fotografowałem, zdjęcia wychodziły zgrabnie, a żadnej elegancji nie zauważam na zdjęciu ze mną, robionym wprawdzie z mojego Nikona, ale bez mego udziału. Na szczęście, umówiłem się z Andrzejem Filipkowskim już na 90lecie – on pierwszy wystąpić powinien, bo o rok jest starszy. Na zdjęciach jest też moja żona, na środkowym zdjęciu na prawo prof. Janusz Dobrowolski, na lewo prof. Stanisław Jankowski i prof. Leszek Opalski. Na pierwszym zdjęciu oczywiście Profesorowie Jacek Kudrewicz i Jerzy Osiowski. Pocafunkiem obdarza mnie na 85lecie Ewa Śliwa – tak samo uroczą, gdy w szóstce wyróżniających się urodą i wiedzą studentek dostrzegałem najpierw Ewę – jeszcze wtedy Kozłowską. Jak widać, Ewa nie zawahała się odsunąć na bok, nawet do kąta – samego Dziekana Wydziału, prof. Krzysztofa Zarembę i prof. Andrzeja Filipkowskiego. Zawsze taka była!.



Kadra profesorska jakaś niepoważna, uśmiecha się nawet Dziekan Zaremba, rozpatrując moją książkę „Balistyka współczesna”



Powagę chwili wyróżnia profesor Ryszard Jachowicz, wygłasza uprzejmą mowę.



Cieszę się, że Panie zaszczyliły mnie obecnością, dostrzegam ze wzruszeniem Marię Kopiczkową, Kasię Opalską, obie Barbary – Kozielewską i Krawczyńską, Hanię Popławską, Patrycję Hojczyk, a na wprost, jak strzelił, przez długi stół, sylwetkę Pani Eli Styczek. Na końcu zaś, trwa narada – dotrwamy do następnego jubileuszu? Andrzej jest większym optymistą, nie dziwię się – ma jeden rok bonifikaty.

### Do Jerzego

Kochany nie bądź smutny  
jeszcze żyjemy  
i nie zagłębiaj się w żalobie  
po samym sobie  
chodzisz, myślisz  
tworzysz, piszesz  
a słońce jeszcze świeci  
i mnie i Tobie  
jak długo nie wiesz  
nawet wiedzieć nie możesz  
czy będzie jeszcze dzień  
taki dobry dzień  
że powiesz:  
dożyłem! Było warto!

PS porzuć „konstruktywny pesymizm”,  
wierz mi – lepszy jest  
głupi optymizm

21 września 2016

### „Niebo gwiazdziste nade mną prawo moralne we mnie”

Immanuel Kant

Twe słowa wielki filozofie  
sięgają do głębi  
ludzkiego rozumu, ludzkich uczuć  
i pytanie odwieczne Cię nie gnębi  
czy to Bóg z nieba wysokiego  
ocenia i sądzi  
nagradza i karze  
czy tylko On miłosiernie  
lecz sprawiedliwie rządzi  
ludzkim sumieniem i życiem?  
Prawo moralne zostało nam dane  
by nas prowadzić, znajdować drogę  
prostą i jasną  
nie najłatwiejszą  
czasem ciemną  
lecz swoją własną

27 kwietnia 2016

Moja żona, wyczuwając dławiące mnie  
rozterki – one są nieuchronne przy  
każdym jubileuszu – czyli przy  
podsumowaniu biegu życia i dokonań –  
napisała do mnie szczególną epistolę –  
wiersz-list, dla wzmocnienia odwołując  
się w drugim liście do Kanta, którego,  
jak wie, cenię, a nie cenię – na przykład  
Heideggera, którego właśnie ostatnio  
przypominano i sławiono, z okazji 40  
lecia śmierci.

Stary mądry Kant może być nadal oporą  
dla poszukujących racji, czyli sensu  
bytu i „praktycznych” wskazówek do  
działań, choć jest „trudny w czytaniu”.

Na „odwrytkę” powiem, że wprowadzić  
rozpoetyzowany Heidegger również  
dyskutował problemy bytu i działań,  
lecz czynił to nosząc do końca opaskę  
przynależności do partii.

### O Pani Beacie Annie Niewiadomskiej z Antykwarjatu Troszkiewiczów na Pięknej – teraz wyłącznie na Wspólnej, i o biegu ulicy Koszykowej



W Antykwarjacie, jeszcze  
na Pięknej – od roku już  
go nie ma.

Beaty Niewiadomskiej nie było jeszcze na świecie, gdy w 1950 r. zmierzając do Samotyhów, zakupiłem u Troszkiewiczów katalog Zachęty o dziełach Antoniego Madeyskiego – o czym już pisałem. Ale całkiem niedawno, w pewien październikowy deszczowy dzień, gdy wobec braku klientów rozgadaliśmy się, wyjaśniła mi, co wydrukowano o Madeyskim, ponadto, jak biegła dawniej Koszykowa, i że na próżno szukam tu śladów po mojej Ciotce Marii Pigłowskiej, Bibliotekarce, Kawalerze Virtuti Militari z 1920 r., bo Sigalin i Bierut zmieniali bieg ulic tak, by nawet nie było widać z Marszałkowskiej Kościoła przy Placu Zbawiciela. A przy następnej mojej wizycie oznajmiła, że poprzez Piotra Marcinkiewicza, Bibliotekarza, dowiedziała się, że mimo spalenia Biblioteki Miejskiej na Koszykowej, pełna dokumentacja dotycząca Marii Pigłowskiej zachowała się w Archiwum przy Szpitalnej – i podała numery. Dzięki Jej - i Pani Wioletty Guzek z Archiwum - pomocy, uzyskałem kopię dokumentacji, a później dalsze dane z Centralnego Archiwum Wojskowego, i Bibliotek Wojskowych, Centralnej i Pomorskiej AK. To przesądziło, że nie zaniechałem projektu napisania niniejszych WSPOMNIENI. Dziękuję!



Te zdjęcia – na górze i na dole – oddają atmosferę i wdzięk spotkań towarzysko-politycznych, jeszcze w PRLu, w dawnym urokliwym mieszkaniu Misiaszków na Ursynowie, na Mozarta 8. Spotkań jeszcze pełnych nadziei... Przeminięło z wiatrem ?



Agnieszka demonstruje zwodnicze prorocтво - będzie Smirnow Premierem, czy nie będzie?



Dziewczyny zawsze oblegały Andrzeja - trzy Gracie wielbił Świat antyczny...



Marysia zawsze czujna, Ewa zawsze flirtuje, ale co robić, akurat szklance i talerze puste...

Kończę wspominać o scenerii dawnych i całkiem niedawnych spotkań, toczonych rozmów. Z perspektywy czasu dostrzegam, że rozmowy przechodziły nader często w obłędne spory, że postawy i zaangażowania zmieniały się, szybko i bardzo zasadniczo. Dla przykładu, nasz ukochany wódz transformacji, który nie wiadomo dlaczego został Prezydentem Polski – już wkrótce został oskarżony o agenturalną działalność pod ksywką Bolek. A zwolennicy poszli pod inne sztandary, by po kilku latach przejść pod jeszcze inne przywództwo ideologiczne, a po następnych kilku latach znowu „zmienić poglądy” – bo przecież tylko krowa nie zmienia poglądów. Więc – najwyższa pora oddalić się, zająć się swoimi sprawami, nie społecznymi – bo społeczeństwo, nawet ci mili znajomi i przyjaciele, okazują się być jak ciasto ugniatane twardymi rękami przedziwnych liderów o abstrakcyjnych poglądach, o umysłach z pokoiów dziecinnych, którzy nie wiadomo skąd się wzięli, ale wiadomo, że są bezwzględni, jak dzieci ustawiające szeregi posłusznych ołowianych żołnierzyków. Liderzy liczą na to, że ciasto społeczne samo z siebie nie ma formy, że ludzie nadawaną ugniataniem formę „kupią”.

**Środa, 5 października 2016 r.**

A jednak, coś się zdarzyło, „ciasto” ożyło i postawiło się *liderom* – odwołano postanowione już obostrzenie prawa, zrobiły to jednak kobiety. I „Naczelnicy” karnie na polecenie Wodza „Najwyższego” zmienili poglądy – wycofali się. To jednak coś! Zapowiedź czegoś?

**Poniedziałek, 10 października 2016 r.**

Bardzo wcześnie, tuż po północy, podano, że zmarł **Andrzej Wajda**, największy polski reżyser. Zmarł wczoraj, w szpitalu, o 9 rano.

*Dziś zadzwoniłem do Grzegorza Cieśli, Ojca Suligniewy, mojej prawnuczki. Dowiedziałem się, że Matka Suligniewy, czyli Urszula, oraz sama Suligniewa – czują się dobrze, chociaż były pewne kłopoty. Nie dopytywałem, jakie - bo przecież kłopoty z dziećmi zawsze są, sam musiałem bezpośrednio po odebraniu Doroty ze Szpitala Plockiego, gdzie przyszła na świat, ścierać delikatnie gencjaną na jej paluszkach pęcherzyki, które mogły zamienić się w ropne.*

*Zadzwoniłem do Grzegorza, bo umówiliśmy się przecież na spotkanie osobiste, ale bez określania terminu. Gratulowałem mu, oraz Urszuli – Córkę, ale to przeszło bez echa. Grzegorz tłumaczył się nadmiarem zajęć, i że dlatego wciąż odkładał rozmowę ze mną – ale teraz - ponieważ w piątek ma wyjechać, proponuje wizytę u mnie w środę, po 18, na herbatę – lecz wcześniej chce to skonsultować z Urszulą. Jednak, gdy po pół godzinie zadzwoniłem, by w końcu coś ustalić, orzekł, że jeszcze musi zastanowić się i - ewentualnie - potwierdzić to spotkanie. Czuję więc, że do spotkania raczej nie dojdzie. Może „czarna kurtyna” znów zadziała?*

*Na moje pytanie, czy Urszula otrzymała wysłane do niej części Wspomnień – odpowiedział, że o niczym nie wie, chyba coś kiedyś otrzymała. A przecież wysłałem i Jej, i Emilii – całkiem niedawno. Zaproponowałem, że mu wyślę całość nieukończonych jeszcze Wspomnień, on to zaakceptował, podał adres e-mailowy – więc wysłałem, najpierw pełne 5 części, a później niepełną część 6tą, gdzie jest dużo o moich relacjach z Dorotą. Teraz będę czekać na telefon od Grzegorza. Pesymistycznie uważam, że na próżno, że do spotkania w środę raczej nie dojdzie, „czarna kurtyna” wciąż działa.*



### Moje z Przyjaciółmi żeglowanie po Jeziorach Mazurskich na Malcu, VC233

O budowie żaglówki na planach Foki już pisałem. Fokę o nazwie *Malec* z dakronowymi żaglami, oznaczonymi numerem VC 233, przewiozłem nad Tyrkło i zwodowałem w końcu lata 1977 r., rozpoczynając 20 letnie żeglowanie, zwane turystycznym, chociaż chodziło wyłącznie o przyjemność pokonywania na żaglach wodnych przestrzeni, docierania do znanych i nieznanym brzegów, i leśnych zakątków Mazur. Jeden taki zakątek pokazuję niżej.



Nad Jeziorem Nidzkim, na południowym brzegu, za Zamordejami, prawie naprzeciwko Leśniczówki Czapla

Przedstawiam też naszą Fokę, ale z czasów znacznie późniejszych, już zaopatrzoną w namiot i w silnik Suzuki, początkowo - i bardzo długo - nie mieliśmy ani namiotu, ani silnika.



Foka miała małe zanurzenie, mogliśmy łatwiej przechodzić płyčyny i kotwiczyć znacznie bliżej brzegu, niż nasi przyjaciele-żeglarze. Najczęściej obok nas kotwiczyła Giga MARTEK Agnieszki i Stefana Misiaszków, bardzo często dobijały inne zaprzyjaźnione jachty



Martek kotwiczący opodal Malca, na głębinie



Widok zbiorowiska jachtów z wysokiego brzegu – Malec na dole

### **Czwartek, 13 października 2016 r.**

*Wczoraj Grzegorz Cieśła napisał, że ma kłopoty mieszkaniowe, musi je załatwić, więc rozmowę musi przełożyć na później. Wyraziłem żal z tego powodu, krótko, acz szczerze. Do rozmowy raczej już nigdy nie dojdzie, bieg czasu jest nieubłagany.*

Mój zapał do żeglarstwa zapoczątkował się inaczej, niż u większości przyjaciół, z którymi żeglowałem. Oni byli wyraźnie młodszy, to przeważnie moi studenci uczyli mnie żeglowania i przyjęli przychylnie do swego towarzystwa. Do żeglarstwa przylepiłem się będąc obciążony licznymi obowiązkami w Politechnice, prowadzeniem Zespołu Naukowo-badawczego, podchodzeniem do swego doktoratu, do habilitacji – pochłonięty pisanem podręczników propagujących nową dziedzinę wiedzy – jakby nową religię – wiedzę o elektronicznych układach półprzewodnikowych, rugujących w całym Świecie układy z lampami próżniowymi. W świecie elektronicznym pojawił się wtedy gorączkowy wyścig, nowe idee jakby wir wciągały, trzeba było nie tylko wytrwać, ale i nadążyć. W swym pędzie do żeglarstwa, a później myślistwa – miałem i inne ograniczenia – zdrowotne. Pierwszy sygnał pojawił się wcześniej – 2 maja 1981 r., właśnie gdy za oknami trwały manifestacje Solidarnościowe, urolog dr Andrzej Musierowicz zoperował mi nerkę, wyjmując kamienie. Klasyczna metoda operacji, szerokie cięcie, zapowiadały, że z żeglowania w tym roku raczej nic nie wyjdzie. A przecież żeglować – przy pracy w Politechnice - mogłem tylko w miesiącach wakacyjnych. Dano mi skierowanie na rehabilitację, ale okazało się, że Sanatorium w Żegiestowie mnie na czerwcowy turnus nie przyjmie, bo ma komplet pacjentów. Dopiero dość przypadkowe zainteresowanie Ireny Sendlerowej – tak, właśnie tej samej - moim przypadkiem, i Jej interwencja, spowodowały, że po męczącej podróży koleją, z walizeczką w rękę, zostałem jednak w Sanatorium przyjęty, mimo utraty tygodnia z turnusu rehabilitacyjnego. Nie poddałem się całkowicie zaleceniom lekarzy. Gdy inni „chorzy” obu płci (na oko całkiem zdrowi) odbywali zapoznawczo-taneczne spotkania, i raczej nie oddalali się od gmachu Sanatorium na odległość większą niż 200 metrów – zwykle do okolicznych cukierni na kawę i ciasteczka, ja codziennie dawałem sobie mocno „w kość” - odbywałem coraz to dalsze wycieczki po rozległych górzystych i wąwozowatych wertepach przygranicznej okolicy. Rezultat był znakomity, po powrocie wybrałem się z Foką na Mazury już 9 lipca, w dzień urodzin. I mogłem, wbrew protestom Basi, dźwignąć maszt łodzi, gdy trzeba było go złożyć, lub postawić – przy przechodzeniu mostów, lub służy na Guziance. Wyjaśniam: do sprawnego podnoszenia i kładzenia masztu opracowałem technikę tych operacji polegającą na zastosowaniu liny i wielokrażka, ale na początku podnoszenia masztu, lub przy końcu jego kładzenia - maszt musiał być dodatkowo podtrzymywany i trochę unoszony. I ja to robiłem, stojąc w kokpicie brałem maszt przez ramię na bark, i w tej postawie sporo go podnosiłem. Czemu Basia się sprzeciwiała, mając na uwadze moją niedawną operację. Wkrótce opuszczaliśmy i podnosiliśmy maszt najszybciej z całej grupy towarzyszących jachtów. Rdzeń przyjacielskiej grupy, to Misiaszkowie, Szymańscy, Tarwaccy, we wczesnej fazie Smirnowowie, a w późniejszej bardzo duże znaczenie miało dołączenie się PP. Haliny i Witka Gnojków, pływających z córką Anną i towarzyszącą jej często Iwoną. Witek był w części żeglarzem, w części mistrzem skutnictwa, jego spora łódź „Bomba” była bardzo pomysłowo skonstruowana i wspaniale zagospodarowana. Bomba, chociaż duża i ciężka, była szybka i na fali dzielna, często wygrywała zawody z innymi, pozornie bardziej szybkimi jachtami. Skoro podjąłem temat ograniczeń zdrowotnych, to dla dopełnienia dodam, że w późniejszym okresie ujawniła się przy żeglowaniu choroba Meniera, „zapowiedziana” mi w młodości jako skutek leczenia streptomycyną. Objawiła się nagłym zawrotem głowy, po którym nastąpiły wymioty – a że wcześniej spożywałem czerwony barszczyk, widok mnie chorującego i chylącego się przez burtę łodzi, zapewne był uciechą dla widzów. Było to tuż przy podejściu do Mikołajek, przy samym brzegu, a przyglądającymi się byli harcerze z obozu rozbitego na brzegu. Na szczęście, było spokojnie i słonecznie, Basia potrafiła pokierować łodzią, a wkrótce pojawili się przyjaciele, pomagając dobić do brzegu i wymuszając lecznicze



położenie i sen w cieniu drzew. Po długim odpoczynku i zażyciu leków, doszedłem do siebie. Wystąpiły i inne ograniczenia, kardiologiczne, ale znacznie później, więc i później o nich wspomnę.

Wątek zawrotów głowy poruszyłem tylko dlatego, że wcześniej, „na ładzie”, takie zawroty zaburzające poczucie równowagi zdarzały mi się. Planując pływanie po dużych akwenach, musiałem przewidzieć jakieś sposoby powiadomienia „ładu” o potrzebie pomocy. Bo Basia, bardzo dzielna, gdyby mi się coś zdarzyło, nie potrafiłaby sterować łodzią przy dużej fali. Telefonów komórkowych wtedy jeszcze nie było, ale były już dostępne, z pewnym ograniczeniem, stacje CB Radio, i właśnie taką aparaturę – ręczne CBR o nazwie ALAN 38 zakupiłem i zarejestrowałem. Ten „ręczniak” zapewniał dobrą łączność z ratunkowymi stacjami nasłuchowymi w Mikołajkach i w Giżycku, mam go do dziś. Nigdy mi się osobiście nie przydał, ale kilkakrotnie pomogliśmy innym.

Pierwszy raz to się zdarzyło na Beldanie, gdy stacja w Piaskach nie mogła wywołać stacji w Mikołajkach – pośredniczyliśmy, bo byliśmy w połowie odległości, chodziło o zwykłą łączność, o przekazanie pewnej informacji transportowej. Ale zdarzyła się, też na Beldanie, potrzeba udzielenia doraźnej pomocy lekarskiej, oraz wywołania Pogotowia do przypadku ostrej kolki nerkowej, na sąsiednim jachcie.

Basia wykorzystała też CB Radio do zawiadomienia Pogotowia Ratunkowego w Pisz, oraz umówienia się na przyjazd karetki Pogotowia na określoną bindugę przy bliskiej Leśniczówce na brzegu Jeziora Nidzkiego, prawie naprzeciwko znanej Leśniczówki Czapla. Wystąpił ostry przypadek rozpoznanego przez nią zatrucia pokarmowego, z częściową utratą zdolności widzenia, i innymi objawami, u naszego przyjaciela-żeglarza, Wojtka Walczaka, przybyłego z USA do Misiaszka w odwiedziny. On nie wiedział, że Stefan jest na drugiej półkuli, i zaoferował się żeglować z Agnieszką na Martku – płynęliśmy w dwa jachty, i on się wtedy czymś zatruił, chyba konserwami. Basia wywołała Pisz, i pojechała razem z Walczakiem do szpitala, bo przypadek wydawał się bardzo ciężki i chciała wszystkiego dopilnować. Na drugi, czy na trzeci dzień, wybrała się odwiedzić Walczaka, do szpitala w Pisz, ale jego już wcześniej przewieziono helikopterem do Warszawy, bo to był istotnie ciężki, zagadkowy przypadek. Z powrotem na bindugę Basia wróciła późno, piechotą pokonując 15 km. Dalsze żeglowanie przebiegało tak – Basia przesiadła się do Agnieszki na Gigę i wspólnie jachtem sterowały, mając na pokładzie syna Wojtka i córkę Misiaszków, a ja płynąłem na Focę sam.

Był jeszcze inny, nieco humorystyczny przypadek użycia CBR.

Płynąc Nidzkim ku Zamordejom, musieliśmy się schronić przed nawałnicą – i to szybko - po zawietrznej stronie jakiejś małej wysepki – w okolicach Krzyże – chociaż Stefan twierdzi, że tam żadnej wysepki nie ma. Wtedy widocznie była, ale nie o wysepkę chodzi - może to była jedna z wysepek w okolicy Skonał - lecz o piekło, jakie rozpętało się w atmosferze i w eterze. Było już bardzo ciemno, noc - były gęsto pioruny, a my – dobrze schronieni, wysłuchiwalismy przez CBR ewentualnych wołań o pomoc. Zamiast tego, słyszeć było wściekłą kłótnię dwóch żeglarzy, wzajemnie przeszkadzających sobie – chociaż bez wulgaryzmów - w nawiązywaniu łączności. Posłuchałem i zdecydowałem się odezwać do nich, dać im szansę. Spokojnymi słowami wzywałem do zaprzestania kłótni, i przeszkadzania innym w nawiązywaniu łączności. Przytoczyłem opinię siedzącego obok mnie lekarza, że to burza i nadmiar elektryczności w powietrzu przyczyniają się do narastania agresji. I oni posłuchali, wykorzystali szansę, przestali sobie przeszkadzać.

Do utrzymywania ręczniaka CBR w pozycji pionowej w Focę wykonałem i zainstalowałem specjalny uchwyt, oraz centralkę zasilaną z buforowego akumulatora ołowiowego, całkowicie szczelnego, 12V/6,5Ah, umieszczonego pod koją. Akumulator mógł być ładowany z baterii słonecznej, natomiast centralka zapewniała kilka wartości stabilizowanych napięć, do różnych zastosowań. Mogło być oświetlenie neonowe, wymagające użycia przetwornicy napięcia 12V na wysokie napięcie 220 V, lub żarowe, lecz na krótko i niezbyt intensywne. Oświetlenia w

zasadzie nie potrzebowaliśmy, na jeziorach po Zachodzie Słońca jeszcze długo było jasno. Do spotkań towarzyskich zapalaliśmy czasem wydajną lampę na gaz z butli. Najczęściej z centrali pobieraliśmy zasilanie do CBR, i do tranzystorowego radia *Selena* – wyposażonego w aż 5 zakresów fal krótkich i UKF, poza zakresami średnich i długich fal. Zdarzyło się kiedyś pomyłkowe uchwycenie przez Basię, przy przechodzeniu z łódki na łódkę, teleskopowej anteny radiowej sterzącej w kokpicie tuż obok liny wanty – skutek tej pomyłki nie był jednak bardzo dotkliwy, chociaż antena, oczywiście, złamała się.

Płyta centrali sąsiadowała z inną, owalne otwory w niej umożliwiały wsuwanie i bezpieczne przechowywanie pod burtą długich pożytecznych narzędzi – wędek i spinningu. Było też dogodne miejsce na zegar „ścienny” – mieliśmy – i nadal mamy mały, bardzo dokładny zegar подарowany przez Karola Wehnerta, o którym napiszę w części „myśliwskiej” wspomnień.

Jednak wewnątrz łodzi nie należało do szczególnie, luksusowo wykonanych, ani na początku, ani przy końcu eksploatacji jachtu. Po prostu nie miałem na to czasu, dbałem tylko o bardzo dobre wykonanie takielunku oraz wszelkich rzeczy decydujących o sprawnym i bezpiecznym pływaniu – więc steru, miecza, otworów odpływowych, wiosła i wiosła-pychu. Ponadto, o bezpieczeństwie przy transportowaniu łodzi za samochodem. W zasadzie nie było niedoróbek, poza jedną, ujawnioną na samym początku po zwodowaniu Malca, przeciekiem wody w okolicy posadowienia skrzyni mieczowej. Ten przeciek bardzo mnie zdenerwował, ale niepotrzebnie. Przeciek był nieznaczny, szczelina przecieku była niewidoczna, woda przesączała się między warstwami laminatu. Należało położyć łódź na boku, na miękkim piasku płytkiej zatoki, starannie, by nie uszkodzić łodzi. Uszczelnienie łodzi polegało na położeniu dwóch plastrów laminatu na zlokalizowane i wysuszone prawdopodobne miejsce przecieku, i odczekaniu dwóch dni na utwardzenie żywicy w plastrach.

Dużo bardziej mnie absorbowały sprawy transportu łodzi, głównie wytrzymałości kół przyczepy. Początkowa konstrukcja przyczepy zbudowanej pod Pirata była za słaba dla o wiele cięższej Foki, była też za wąska. Wzmocniłem i poszerzyłem nieco konstrukcję przyczepy, zastosowałem znacznie wzmocnione resory. Zwiększenie rozstawu kół przy tej samej osi (od samochodu Warszawa) osiągnąłem przez zastosowanie mocnych klocków stalowych dokręconych do poprzednich tarczy metalowych, do których były mocowane koła. Zastosowałem przy tym koła używane w samochodach Polski Fiat, by mieć takie same koła w przyczepie, co w samochodzie. Te nowe koła były mniejsze od poprzednich, więc zmianą kół osiągnąłem również pewne znaczące, pożyteczne obniżenie środka ciężkości masy zestawu przyczepa-jacht. Mimo wszystko, obawiałem się o trwałość i moc tak zaimprovizowanej przyczepy. Moje obawy były uzasadnione, bo po kilku latach zdarzyła się jednak awaria – jedno koło, widocznie źle zamocowane, oderwało się i popędziło szosą do przodu, ginąc w przydrożnych zaroślach. Szczęśliwie nie było innych możliwych konsekwencji, koło zostało odnalezione, a w pobliskim Polmozbycie nabyłem nowe, dobre śruby do kół. W samochodzie miałem też olejowy podnośnik, do 1,5 tony, bo liczyłem się z potrzebą użycia podnośnika. Po tym wydarzeniu jeździłem z łodzią na przyczepie jeszcze ostrożniej, i baczniej sprawdzałem dokręcenie śrub.

Problemy corocznego bezpiecznego transportu Foki, z Warszawy na Mazury i z powrotem, oraz kłopoty z wodowaniem Malca i wyjmowanie go z wody po zakończeniu sezonu, który u nas trwał tylko miesiąc, mogą wydawać się niezrozumiałe dla tych, którzy nigdy nie zaznali rozkoszy żeglarskich wypraw Mazurskich. Do wymienionych problemów należałoby jeszcze doliczyć czas około dwóch tygodni, potrzebny na przygotowanie łódki w Warszawie, choćby, na przykład, na uzupełnienie jej pokrycia lakierniczego – lub na całkowite przemalowanie. Na to wszystko godziliśmy się, bardzo długo, a kłopoty rozwiązywaliśmy, stosując wszelakie udogodnienia, oraz korzystając ze wsparcia i pomocy przyjaciół.

Długi czas korzystaliśmy do spuszczenia łodzi z pomocy PP. Witolda i Zofii Wierzejskich, którzy nad Tyrkłem budowali sobie i powiększającej się rodzinie dom, wkopując się w strome

nadbrzeżne zbocze i budując ściany z wielkich głazów. Na ich posesję wjeżdżało się przez sąsiadującą zagrodę, po jej przejechaniu zaczynało się od razu strome zbocze prowadzące do jeziora. Trzeba było zjechać, bardzo ostrożnie, na przybrzeżny wąski i prawie płaski skrawek terenu, bacząc, by cały transport nie stoczył się do jeziora, dość głębokiego już przy brzegu. Po czym należało, korzystając z terenu posesji PP.Wierzejskich i przybrzeżnej dróżki, obrócić kolejnymi manewrami transport tak, by łódź była skierowana tyłem do jeziora. Po należytym zablokowaniu kół przyczepy i kół samochodu, zabezpieczającym przed stoczeniem się do jeziora, „otarłszy pot z czoła” i korzystając z pomocy Witka (w późniejszych latach, jego Synów), można już było odłączyć przyczepę od samochodu. Spowalniając ruch zsuwania się przyczepy do jeziora przy zastosowaniu liny przeciągniętej przez hak holowniczy samochodu, można było ostrożnie spuścić przyczepę wraz z łodzią do wody. Oczywiście, unoszenie się łodzi na powierzchni wody umożliwiało wyciągnięcie pustej przyczepy, ale nawet i ta ostatnia operacja nie należała do bardzo łatwych, bo już przy samym brzegu jeziora było głęboko. Z czasem tak opanowaliśmy przebieg wszystkich operacji, że nawet nie zdejmowaliśmy masztu, ani przewożonych wewnątrz łodzi rozlicznych bagaży, nie tak małych. Czasem należało je tylko przełożyć, by łódź z przyczepą była zrównoważona względem osi, to było ważne.



Małec ukierunkowany do wodowania

U Zosi i Witka Wierzejskich, nad Tyrkłem

W ośrodku żeglarskim w Piaskach

Bezpośrednio po spuszczeniu łodzi przystępowaliśmy do jej takłowania, rozłożenia bagaży i porządkowania wnętrza. Mieliśmy na to czas, bo przyjeżdżaliśmy na ogół wcześniej, podróż na Mazury planowaliśmy zawsze jako dwudniową, z noclegiem w podróżnym namiocie, by nazajutrz wcześniej stawić się w zaplanowanym miejscu wodowania. Następny dzień zwykle poświęcaliśmy opływaniu łodzi i rozmowom towarzyskim – było dużo tematów, bo przecież Witek był moim kolegą w Politechnice, prowadził badania mające się zakończyć rozprawą doktorską, a i samo budowanie domu nad Tyrkłem, wyłącznie w wakacje, własnymi siłami, przebieg kontaktów z miejscowymi mieszkańcami i władzami - dostarczały wybornych tematów do interesujących rozmów. Niekiedy już w tym drugim dniu wyruszaliśmy w stronę Śniardw, z perspektywą zanocowania na skraju Jeziora, w trzcinach – co zależało oczywiście od pogody. Noclegi w gąszczu trzin na Śniardwach upodobaliśmy sobie, przejmując to od Misiaszka. Basi zaczynała czynności gospodarcze, ja nawiązywałem kontakty radiowe.



Pierwszy nocleg w trzcinach, na Śniardwach



Ładowanie akumulatora z baterii słonecznej



Basia wyjęła z achterpiku kuchenkę

Po wielu latach zaczęliśmy wodować i wyciągać łódź z wykorzystaniem dźwigu w Rucianem, lub w Piaskach. Impulsem do tego był pożar w jedynej sąsiedniej zagrodzie, odległej o około 150 m, którą w uzgodnieniu z jej samotną właścicielką zawsze przejeżdżaliśmy, tuż przed zjazdem nad brzeg Tyrkła. Pożar wybuchł mniej więcej 3 kwadranse po naszym przejeździe, a jego przyczyną mógł być wybuch beczki z lakierem, pozostawionej w podwórzowej szopce

przez nowego właściciela, który rozpoczął remont. Tego dnia było bardzo upalnie. Płomienie bardzo szybko rozprzestrzeniały się, i zagroziły przerzuceniem się na drewniany, całkiem porządnny dom. Z trzech straży pożarnych, jakie pojawiły się, tylko jednej – miejscowej Straży Ochotniczej udało się uruchomić pompę i czerpać wodę z jeziora. Dwie inne pompy – Straży Zawodowej z Orzysza, i Straży Wojskowej, nie potrafiły ciągnąć wody z Tyrkła, wobec różnicy poziomów około 20 m. Dom, oblewany wodą z jeziora, został uratowany. Spalił się żywcem pies uwiązany do szopy, jego skowyt trwał krótko. Choć próbowałem, nie mogłbym podejść na ratunek, taki żar buchał od palących się szop i stodoły, szybko się wycofałem.

Po tym pożarze w następnym roku próbowaliśmy dojechać do Wierzejskich innym zboczem wysokiego brzegu, ale było ono bardzo strome, więc w następnym roku, po rozpoznaniu możliwości, wodowaliśmy Malca w Rucianem. Poznaliśmy zasady korzystania z dźwigu i dziwililiśmy się sobie, że nie rozpoczynaliśmy wcześniej rejsów żaglowych z Rucianego, bądź z Piasków, lub z innych stanic wodnych.

Zanim przedstawię nasze kolejne „turnusy” żeglowania po Mazurskich Jeziorach – zawsze bardzo przyjemne, chociaż dość monotonne, gdy obyczaje i skład towarzystwa po 1980 roku już się ustaliły, chcę przedstawić pewne kłopoty i zdarzenia z 3 lat początkowych, gdy transport i magazynowanie łodzi nie były ustalone. Na początku pozostawiałem łódź pod plandeką na zimowanie w Klubie PTTK Rejsy przy ulicy Solec 8 – nad brzegiem Wisły, ale nie było to miejsce zapewnione na stałe. Wkupywałem się w poparcie u Komandora sekcji żeglarskiej Klubu, Jana Mastalerza - załatwiłem stalowe trójramiennie zakończenie dla słupa oświetleniowego na samym końcu parkingu łódek „prywatnych”. Zakończenie, wymagające zastosowania kawałka rury o sporej średnicy, wykonali dość szybko moi zdolni studenci. Jeden z nich miał Ojca z dużym warsztatem mechanicznym, zrobili spawane zakończenie za darmo. Ja odwdzięczyłem się ogłoszeniem dodatkowego terminu egzaminu z Układów Impulsowych. Próbowałem też, dla wygody, zagnieździć się nad Zalewem Zegrzyńskim w Politechnicznym Klubie Żeglarskim, dopiero powstającym nad Rzeką Rządzą, znaną choćby z tego, że w jej ujściu znajduje się wysepka Emilia (w tych nazwach uderza logika). Już po pierwszym sezonie z cumowania w porcie nad Rządzą zrezygnowałem. Tam często z dużą prędkością ścigały się motorówki, wzniecając duże fale, rozstrącające uwiązane jachty. Więc przeniosłem się do Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego, na Cypel Czerniakowski, naprzeciwko Rejsów. W WTW nie miałem żadnych kłopotów z pozostawianiem Malca na zimę, i z jego remontami, miałem poparcie Witka Gnojka, zasłużonego Seniora Towarzystwa. Na początku miałem nieustalone poglądy, jak transportować Fokę z powrotem do Warszawy. Naśladując Misiaszka, uważałem, że dobrze byłoby spływać do Zalewu Zegrzyńskiego Pisą, potem Narwią – odbyliśmy jeden taki spływ, było cudownie, Misiek na 104 kilometry pokazał znane mu miejsce, gdzie zebraliśmy mnóstwo pieczarek. Płynęliśmy w trzy łodzie – Foka i dwie Gigi – Dalią sterował Włodek Tarwacki, a Martkiem Stefan, mający na pokładzie Michała Ramotowskiego i Mariana Bukowskiego, z naszego Instytutu. W takim wariacie przyczepę po przyjechaniu na Mazury trzeba by było odsyłać pustą do Warszawy. Tymczasem nie krępowałem się tym problemem, a w przyszłym i następnym roku rozwiązał się sam, gdyż już nie przewidywałem stacjonowania Malca nad Zalewem, bowiem nie pociągały mnie rozkosze pływania na tym akwenie - małym, zatłoczonym i zaśmieconym.

Gdy jeszcze raz później sami spływaliśmy Pisą i Narwią do Zegrza, ten spływ nie był już przyjemny – na 104 kilometry zamiast pieczarek dojrzeliliśmy żaby w błotnistym rozlewisku, a na Narwi kilka razy byliśmy poważnie zagrożeni wysokimi falami wywoływanymi przez holowniki i duże barki wyładowane drewnem. Te fale mogły naszą łódź uszkodzić, nawet wyrzucić na brzeg - perspektywa częstego stykania się na Narwi z potężnymi holownikami była mała pożądana.

Na wąskiej i miejscami bardzo płytkiej i kamienistej Pisie mieliśmy też problemy, o jednym zdarzeniu opowiem, bo oprócz elementów groźnych, miał przekomiczną końcówkę. Do Pisu



i rzeki Pisy dotarliśmy z Tyrkła po przepłynięciu kolejno Śniardw i Jeziora Roś. Wiedząc o brzegach rzeki zarośniętych mocno pochyłonymi ku wodzie olszynami, w Piszcu zdjęliśmy maszt i ułożyliśmy go nisko na pokładzie, by nie zahaczał o drzewa. Na początku płynęliśmy wolno i statecznie, Basia weszła do kabiny i zasnęła, a ja spokojnie sterowałem siedząc w kokpicie na burcie tak, by z tego podwyższenia mieć jak najlepszą widoczność na zmienne kształtowanie się biegu nurtu przed dziobem Malca. Rzeka stopniowo jakby przyspieszała, jej nurt stawał się niespokojny, odczuwałem to niepokojące przyspieszenie. I w pewnej chwili ujrzałem jednocześnie – linę rozpiętą w poprzek rzeki, na wysokości mojej głowy, a tuż za nią przeszkodę rozdzielającą nurt wody na dwie gałęzie. Wybrałem lewą gałąź nurtu i raczej instynktownie, niemal odruchowo uczepiłem się tej poprzecznie rozpiętej liny, bardzo mocno zapierając się przy tym w kokpicie, by zapobiec wyciągnięciu z pode mnie łodzi. W reakcji, łódź ustawiła się najpierw prawie poprzecznie względem nurtu, po czym zatrzymała się najechawszy skośnie na brzeg, w wyniku mojego przebierania po linie rękami. Gdy na mój krzyk pojawiła się Basia, opanowaliśmy razem w pełni sytuację, wkrótce mogliśmy ruszyć dalej, nie widać było żadnych szkód. Szczęśliwie, silnik był zdjęty i podróżował w kabinie. Nawiązuję do silnika dlatego, że jeszcze tego samego dnia ujrzelśmy przy nadbrzeżnej leśniczówce łódź żaglową i ludzi majstrujących przy jej doczepnym silniku – jak się okazało, uszkodzonym na kamieniach przy tej przeszkodzie, której uniknęliśmy.

Nie mogliśmy wiele pomóc załodze tej łodzi, składającej się ze sternika i dwóch młodych kobiet. Sternik zresztą o pomoc nie prosił, i zachowywał się dziwnie, melancholijnie – jakby wcale nie był zainteresowany naprawą uszkodzonego silnika i pogruchotanego steru. W przeciwieństwie do niego, obie dziewczyny były bardzo rozmowne. Zatrzymaliśmy obok nich i przenocowaliśmy, a nazajutrz rano, jedna z dziewczyn przysłała do nas i w pogawędce z Basią wyjawiała różne tajemnice związane z ich podróżą po Pisie i zaistniałym wypadkiem.

Otóż, oni byli umówieni do przybycia do Warszawy na określony dzień, w którym sternik miał poślubić ich przyjaciółkę, i one właśnie przybyły ze stolicy, by przypomnieć i dopomóc sternikowi w podróży powrotnej z Mazur. Sternik był muzykiem z Filharmonii w Warszawie, i – jak się im wydawało – obecnie raczej nie bardzo skłonny do punktualnego przybycia na swój ślub. Z ich domysłów wynikało też, że przyszły Pan Młody może się rozmyślić. Dlatego po rozbiciu silnika i uszkodzeniu steru, one wymusiły zatrzymanie się przy leśniczówce, by uzgodnić telefonicznie dalsze posunięcia. W końcowej konkluzji prosiły nas o wzięcie ich łodzi na hol. Silnik założyłem już wieczorem poprzedniego dnia, był to Wietierok12M, o mocy 12 KM, prawie nowy, ale trudny do zapalenia, mimo zmiany elektronicznej instalacji zapłonowej na ulepszoną przez zastosowanie lepszych tyrystorów. Zgodziłem się holować ich łódź, mimo że ich problem i przygoda zakrawały na groteskę, że ich sternik nie pokazał się i sam nie zwracał się o holowanie – a perspektywa holowania aż do Zegrza nie uśmiechała mi się. Ale gdy podeszli do rufy i podali linę, przyjąłem ją i wobec uruchomienia Wietieroka, zacząłem holowanie. Wietierok pracował należycie, ten silnik tylko przy małym obciążeniu, jakim była dla niego Foka, przechodził uporczywie na pracę tylko na jednym cylindrze – a miał dwa cylindry.

Mieliśmy umówione sygnały i wszystko szło dobrze. Nie trzeba było też ich holować aż do Zegrza, gdy późnym wieczorem dotarliśmy do Ostrołęki, przy nabrzeżu – jak się okazało – czekał już samochód, który zabrał sfrustrowanego Pana Młodego do Stolicy. Zepsutym silnikiem i pozostawionym bagażem, oraz łodzią, miała się zająć inna ekipa.

Gdy opisywałem tę historię, zdawałem sobie sprawę z tego, że czynię to niejako na życzenie mojego przyjaciela z Oceanu, który właśnie w takich opowiadaniach z żeglarstwa znajduje upodobanie, więc dlatego tę historijkę – w pełni prawdziwą i bez niepotrzebnych dodatków – przedstawiłem. Zastanawiam się jednak nad jej datą. Skoro miałem wtedy silnik Wietierok12M, a przywiozłem go z Moskwy tuż po Olimpiadzie, wszystko to musiało wydarzyć się już po roku, lub dwóch latach od Olimpiady w 1980 r. Ta data mi nie bardzo pasuje, w zestawieniu z podanymi datami rezygnacji ze stacjonowania Foki na Zalewie. Pomyślę nad tym. Oznajmiam, że silnik na moją prośbę zakupili mi uprzejmie współpracujący z nami inżynierowie z Centrum Badań

Kosmicznych w Moskwie, jestem im wdzięczny, bowiem nie tylko dokładnie obszyli skrzynię z silnikiem płótnem, lecz i przywieźli na lotnisko Szeremietiewo, ponadto ułatwili przejście przez kontrolę celną, bardzo po tej Olimpiadzie skrupulatną, aż do przesady. Ja sam bym nie dokonał zakupu, i nie zdołał przejść rygorystycznej odprawy celnej. Za Wietieroka nie zapłaciłem dużo, za to musiałem dopłacić do ceny transportu samolotowego, chociaż ten transport był opłacony zawczasu, jeszcze w Warszawie.

Gdy przestaliśmy wodować Malca na Tyrkłe, to już do końca korzystaliśmy z dźwigu przy wodowaniu i wyciąganiu łodzi, najczęściej w Rucianem, rzadziej w Piaskach. Samochód parkowaliśmy najczęściej w umówionej zagrodzie na peryferiach Rucianego. Na Tyrkło oczywiście zaglądaliśmy, zobaczyć, jak postępuje budowa domu, oraz podziwiać włączanie się do prac dorastającej młodzieży, stopniowo obejmującej wykańczany dom we władanie. U Zosi i Witka zawsze dobrze się gawędziło, na wszystkie tematy, najczęściej o rozwoju wydarzeń politycznych. Witek bardzo angażował się w działania niepodległościowe, i snuł optymistyczne, daleko wybiegające przewidywania. Powołanie generała Czesława Kiszczaka na Ministra Spraw Wewnętrznych przyjął jako zapowiedź dobrych zmian. Pamiętam, że prorokował: „*teraz człowiek z Woja weźmie tych ubeków za mordę*”. Nie wszystko jednak wyszło tak, jak przewidywaliśmy, jak się marzyło. Dziś, po wielu latach, Izabela Kiszczak, wnuczka „człowieka z Woja”, robi o nim film, starając się zmyć piętna niesławy, ukazać patriotyczne oblicze Dziadka.

W latach 80tych pobyt żeglarski na Mazurach ustabilizował się, i niemal do końca lat 90tych na początku zawsze spotykaliśmy się na jeziorze Nidzkim, prawie naprzeciwko Leśniczówki Czapla, a raczej dużej bindugi zamienianej stopniowo w stanicę wodną, z pomostem, z pompą wodną i ze sklepem spożywczym – w którym czasem można było coś kupić, nawet chleb, jeżeli dostawa nie zawiodła. Po tygodniu bytowania, chodzenia do lasu na jagody bądź grzyby, gdy „stacjonarny” pobyt zaczynał doskwierać, zamieniając się w nieruchawy, niemal gnuśny tryb życia, ruszaliśmy z Południa na Północ jezior, często aż do Węgorzewa, po drodze pokonując Śluzę na Guziance. Fotografia ukazuje właśnie cztery „podstawowe” jachty naszej floty, szykującej się do wypłynięcia w kolejności w Śluzę, z położonymi masztami.



Na pierwszym planie Martek Misiaszka, przed nim też Giga – Dalia Tarwackich, z Elą krzątającą się na pokładzie. Na lewo obok my na Malcu, okładający burtę łodzi kapokami zabezpieczającymi przed zderzeniem się z Dalią. Na prawo widoczna lewa burta i okna sypialnej części kabiny Bomby Witka, oraz zawieszony obijacz.

Fotografowała zapewne Agnieszka Misiaszkowa.

### Wtorek, 17 października 2016 r.

W sobotę otrzymałem – po dłuższej przerwie, list od Pani Grażyny Prawda (nie jestem pewien, czy to nazwisko powinno się odmieniać), zawierał, między innymi, informację o urządzaniu nowego domu, oraz o postanowieniu wybrania się w niedzielę, wraz z Mężem, na grób Samotyhów, w 50tą rocznicę śmierci Pani Neli. Ja bym się też wybrał, ale najpierw chcę zakończyć Wspomnienia. Basia odwiedza ten Grób zawsze, gdy jest na Powązkach, a bywa często. Tu nadmienię, że część 5tą Wspomnień poświęconą wyłącznie moim kontaktom i „edukacji” u PP. Samotyhów zakończyłem już przed kilkoma miesiącami, a jeszcze wcześniej informowałem o pisaniu tej części Profesor Irenę Wojnar z UW, która interesowała się działalnością Pani Neli i pisała o Jej metodach kształcenia wrażliwości na *Piękno*, przez zespołowe analizowanie rozwoju Sztuk Plastycznych. Sądziłem, opierając się na kilku wypowiedziach Pani Grażyny, że są plany wydawnicze mające na celu przypomnienie i aktualizację metod Neli Samotyhowej, lecz w toku krótkiej, jedynej rozmowy telefonicznej z Panią Profesor, moje przypuszczenia i nadzieje zostały rozwiane. Wyraziła jakby zdziwienie, że ja – świadek i wieloletni uczestnik kompletów u Neli Samotyhowej - istnieję, i że mam coś do powiedzenia, że piszę. Też byłem zawsze zdziwiony swoim istnieniem, lecz nie odwzajemniłem się symetrycznym podobnym oświadczeniem. Dowiedziałem się też, że Pani Profesor Internetu nie ma, że kontakt telefoniczny jest trudny, a zrozumiałem – że może nie jest pożądany.

Dawno nie odnosiłem się do aktualnych wydarzeń, więc spróbuję się do niektórych „odnieść” – tak przy okazji. Otóż, Chiny wystrzeliły raketę, mającą dowieźć pierwszych dwóch astronautów na lewitującą na orbicie Globu stację. O założeniu i istnieniu chińskiej stacji nie miałem pojęcia. Przy okazji dowiedziałem się, że w kolejce do połączenia się ze Stacją Międzynarodową ustawiły się dwa statki, jeden ze zmianą załogi, drugi z zaopatrzeniem o wadze 2,4 tony. Oba statki korzystały z rakiet z nowymi, udoskonalonymi rosyjskimi silnikami RD181.

Jeszcze Wajda nie został pogrzebany, a zaczęło się jakby Jego „odbrązawianie”. W sobotnio-niedzielnej GW pod firmowanym przez Jarosława Mikołajewskiego tytułem „Książki, do których nigdy nie zajrzałem”. Tytuł jest jednocześnie tezą wkładaną w usta Andrzeja Wajdy, przedstawia się kilka poglądów, synchronicznych z tytułową wypowiedzią. Najpierw zostało przytoczone oświadczenie Wajdy, że pierwszą książkę przeczytał w wieku 15 lat, było to dzieło Darwina „O pochodzeniu człowieka”. Dalej jest enuncjacja, że Wajda nie chciał czytać Prousta. Zarzut to dziwny – a ja też nie lubiłem Prousta. Zostało też przytoczone oświadczenie Andrzeja Żuławskiego, że to on uświadomił Wajdę o istnieniu „Ziemi Obiecanej”, którą się po przeczytaniu zachwycił. Z innego tekstu, Piotra Bojarskiego, zamieszczonego obok pod tytułem „Jak Wajda znalazł „Kanał””, wynika, że to dopiero opinia Kawalerowicza i jego pomoc przy montowaniu materiału nadały ostateczną, właściwą formę filmowi, przed tym określanemu przez Kawalerowicza jako „gówno”, w którym jednakże dostrzega się „film”.

W Internecie przeczytałem natomiast opinię Bogusława Lindy, grającego w „Powidokach” rolę Władysława Strzemińskiego. Jeżeli to prawda, że Linda określił film *Powidoki* jako nieudany, to też się dziwię – bo film nie został jeszcze zmontowany. Wiadomo również, że tematem filmu nie jest wysunięcie przez Strzemińskiego – teoretyka i historyka sztuk plastycznych - nowego kierunku widzenia i malowania, nazwanego od nowej ekspresji widzenia *powidokowego*, lecz bardzo trudne relacje z ludźmi, zwłaszcza z żoną Katarzyną Kobro, też będącą w części teoretykiem sztuki – chociaż raczej malarką, utalentowaną - której osoba jednak w Filmie nie występuje. Jej relacje z mężem są w filmie ujawniane poprzez córkę. Znam nieco idee Strzemińskiego, między innymi poprzez jego książkę „Teoria Widzenia”, oraz dzięki nielicznym przypadkom eksponowania jego obrazów, i na tej podstawie rzeczywiście mógłbym zgodzić się z opinią, że *powidokowe widzenie* nie może liczyć na szerokie uznanie i przyjęcie. Jednak film Wajdy nie zajmuje się specjalnie propagacją tego kierunku – jest poświęcony relacjom między ludzkim. Trudnym w przypadku Artysty kalekiego, pozbawionego nogi i ręki.

Na zakończenie – o Przyjacielu zza Oceanu, miłośniku owoców morza, a i innych dobrych rzeczy. Od kilku dni żyje przyjazdem do Waszyngtonu Profesor Marka Krawczyka z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, Rektora tego Uniwersytetu ostatniej kadencji. Zaprzyjaźnili się w ubiegłym roku, o czym już pisałem, z okazji nadania jednemu Auditorium Imienia Profesora Antoniego Dobrzańskiego, Ojca mego przyjaciela. Było bardzo uroczyste, jak mogłem, fotografowałem tę uroczystość mającą dla Andrzeja ważne znaczenie – symbolicznej więzi z macierzystą Uczelnią, z Krajem. Profesor Krawczyk przybył za Ocean na Zjazd Chirurgów, co Andrzeja zmobilizowało do spotkania się, udzielenia wszelkiej pomocy w znalezieniu odpowiedniego locum, do oprowadzania po Waszyngtonie, zaznajamiania z muzeami i zwłaszcza licznymi posagami. O czym mi donosił. Zaśmiewałem się jednak, gdy dowiedziałem się, dokąd obydwaj udali się na drugi dzień po wystawnej kolacji. Jak mali chłopcy, poszli na targ, kupili ostrygi i pochłaniali je - gdzie? W samochodzie, bez należącego popijania. Andrzej był nieco niezadowolony, bo ostrygi były za słone. Na drugi dzień wybrał się sam na targ, zakupił inne ostrygi – myślał, że lepsze, ale i te okazały się słone, więc wchłonał je sam, szkoda było zostawić. Poradziłem, by nie pił wody, by pamiętał, co się przydarzyło Smokowi Wawelskiemu.

Okazało się, że Andrzej nie zna historii, prosił o zrelacjonowanie konkluzji – co niniejszym czynię. Smok - po spożyciu barana z zaszytym ładunkiem saletry, podrzuconego przez Szewczyka Dratewkę - poczuł pragnienie i zaczął pić wodę z Wisły. Kraków i nadobne Krakowianki ocalały, a Smok – nie, bo pękł.



Nie jestem ani sprawiedliwy, ani w pełni szczerzy, gdy piszę, że pobyt nad Nidzkim w okolicy Czapli przekształcał się w stacjonarny i „gnuśny” – był przede wszystkim pobytom dostatnim i taki naprawdę wszystkim, nawet i mnie, osobnikowi kapryśnemu – dogadzał. Za sprawą Agnieszki Misiaszkowej, nie tylko cenionego eksperta budowlanego, zwłaszcza w zakresie konstrukcji spawanych, lecz również osoby wybitnie uzdolnionej kulinarnie, mającej energię i ambicję organizowania życia towarzyskiego, w swoim domu i na naszych łodziach. Czyniła to bardzo sprawnie, angażując w pierwszej kolejności Elę Tarwacką, a w dalszej Basię i Halinę, co wyraźnie widać na zdjęciach. Lubiała też fotografować i jakoś znajdowała na to czas. Z pełną akceptacją Męża - którą też widać, a jakby nie zauważając nieszczerzego, ukrytego mojego buntu. Posiłki przygotowywane były głównie na Gigach, na ich kuchenkach.



Obiady spożywalismy zwykle na dwóch łodziach, na Martku i na Bombie, czasem u Witka, we wnętrzu wygodnej kabiny



Degustator Stefan, a la Gargantua, a przecież na jedzeniu, użyciu łyżki i widelca, często się nie kończyło !



Po obiedzie – czas nie całkiem wolny, chociaż dozwolone było wiele – karmienie oczu, labędzi – Agnieszka i ja fotografowaliśmy, Basię zaczepiała labędzica, czasem już od rana stukala w łódź



Wieczorami urządaliśmy imieniny, lub urodziny, prawdziwe lub wymyślone. Na Barbary urodziny Misiek wystawił schodki, specjalnie zrobione, by „starsze Panie” mogły bez trudu wejść z głębokiej wody na wysoką burtę Martka. Uczynił to zawczasu, jeszcze Słońce nie zaszło - odbijało się w wodzie, co chyba widać na



zdjęciu. Basia wystąpiła w długiej uroczystej sukni, choć boso. Pod osłoną Miśka przeszła na Gigę Tarwackich, potem na Bombę. Ja fotografowałem. Gdy jubel się skończył, Baśka oświadczyła, że przejdzie z powrotem na Malca po łodziach, tak jak i ja, nie korzystając ze schodków. I uparła się, że to zrobi, choć była już głęboka noc, ciemno. I to zrobiła, podkasawszy suknię. Wszyscy oczekiwali, że wpadnie do wody, przygotowywali się do fotografowania „wypadku”. Basia postawiła na swoim i całkiem gładko przeszła po kołyszących się pokładach.



Obchodziliśmy wszelkie możliwe daty imienin i urodzin – niżej fotografie z Imienin Haliny, żony Witka.



W naszych pływaniach początkowo uczestniczyli Roma i Darek Szymańscy, a dużo wcześniej Marysia i Andrzej Smirnowowie. Ale oni zajęli się budową domów, Andrzej działalnością polityczną, i ich na moich zdjęciach żeglarskich nie ma. Z Romą i Darkiem to się jeszcze zdarzyła pewna przygoda, taka, że aż trudno w nią uwierzyć. Oni pływali na *Jaworze*, łodzi o drewnianym poszyciu, często sami. Gdy – oczekując na rozpoczęcie sezonu, stanęli na Kaczerajnie w pewnym pięknym miejscu na nocleg, i z rana, przy pięknym Słońcu wyciągnęli z nagle ku niemu ręce, załamało się pod nimi poszycie w kokpicie. Wpadli od razu do wody, na dno. Na szczęście są słusznego wzrostu, i chyba mieli wtedy jeszcze wyciągnięte ręce ku górze, więc może jakoś to im pomogło wydobyć się z wody i tonącej łodzi. Potem Darek cały sezon odbudowywał jacht z pozostałych jego elementów. Moja relacja o przebiegu wydarzeń być może jest zbyt fantastyczna, i nie zostanie w pełni przez Darka zaakceptowana, możliwe jest uzupełnienie, lub skorygowanie mojej opowieści.

Gdy nam się pobyt naprzeciw bindugi dłużył, robiliśmy – Basia i ja – dalekie wypadki, nie porzucając jednak „stada”. Na przykład, jednego razu postanowiliśmy popłynąć na koniec Jeziora, zbadać możliwość przedostania się do Wiartła. To była dość długa – bo trzydniowa wycieczka, z początku nie trudna – ale stała się też trudna, bo jezioro się zwężyło, toń stała coraz bardziej mętna, pełna mułu. Baliśmy się utknąć w mule, zwłaszcza przy niekorzystnym wietrze, nie mogąc odpychać się pychem od dna. Do tego, zaczęło trochę padać, więc przy Lipie Przedniej zawróciliśmy. Z wycieczki mam zdjęcia, z Basią pod namiotem, i na tle tęczy.



Środkowe dwa zdjęcia są chyba z innego okresu - pływania na Tyrkle z Anką Niepokulczycką

Niekiedy stawaliśmy na Nidzkim w innych miejscach, na przykład na Zamordejach Małych, gdzie obserwowałem kilka razy jelenie zmierzające do wodopoju. A również zaciekle walki łabędzi konkurujących o samice – zwykle bój kończył się ucieczką rywala, albo takim jego podtopieniem, że już nie mógł unosić głowy nad powierzchnię wody. W jednym takim boju interweniował – skutecznie, ale przecież wbrew prawom natury - Włodek Tarwacki.

Już wspominałem, że nad Nidzkim wyprawialiśmy się do lasu na grzyby i jagody. Bardzo lubiłem czarne jagody, ale sam raczej nie zbierałem, bo przy pochylaniu się miewałem czasem sensacje, prawie zawroty głowy. Jednakże, pomny dobrych skutków dalekich spacerów w Żegiestowie, chodziłem dużo leśnymi drogami do różnych leśniczówek, szczególnie upodobałem drogę ponad jeziorem - do Turośli, odległej o blisko 6 km.

Jedną wyprawę do Turośli zapamiętałem szczególnie, bo ujawniły się ostro moje kłopoty z sercem, które w późniejszych latach wzmogły się i stały się przyczyną dwóch kolejnych operacji typu *by-pass*, w 1991r. i w 1998 r. Na tym spacerze, bodaj w 1988 r., jeszcze przy dochodzeniu do Turośli, zacząłem odczuwać kołatanie serca. Mimo kołatania, doszedłem do końcowego celu, jaki sobie wyznaczyłem – powstającego marketu. Nie miałem żadnych planów zakupowych, zawróciłem w stronę obozowiska. I zaczęły się kłopoty, kołatanie wzmagało się, czułem osłabienie, a do tego zaczęło padać, a ja zacząłem marznąć – byłem tylko w sportowej koszulince i szortach. Usiadłem – położyłem się nawet na ziemi pod gęstym krzakiem, przeczekując deszcz, mając też nadzieję na powstrzymanie kołatania dotychczasowymi sposobami. Bo ja doznawałem kołatania serca już w dzieciństwie, zwykle po biegu, lub piłowaniu drewna, nazywano je lekceważąco *nerwicą serca*. W wieku wczesno męskim kołatania ustąpiły, ale w latach 70tych, 80tych - sporadycznie pojawiały się. Nie były ciężkie, ani długotrwałe, po lekarskich konsultacjach miałem na nie sposób – chwilowy ucisk okolicy szyjnej tętnicy skutecznie likwidował drgania, i tylko jeden raz zdarzyło się, że wyładowałem na jedną noc w Szpitalu na Płockiej, dokąd strwożona Basia mnie zawiozła, do skonsultowania z Profesorem Adamem Torbickim. Pamiętam poranną rozmowę-wywiad, przeprowadzoną w szybkim tempie zajmujących, inteligentnych pytań i moich odpowiedzi. Jakby to był fechtunek. Dopiero później dowiedziałem się, z kim rozmawiałem.

Nie było wtedy potrzeby podejmowania żadnych specjalnych działań leczniczych, i dopiero leżąc w połowie drogi z Turośli, przypominałem poprzednie przypadki. Nie mogłem bardzo długo poradzić sobie z kołataniem, ale po jakimś czasie osłabło. Doszedłem do przekonania, że chyba jednak nie umrę ukryty pod krzakiem, i dowlokłem się do obozowiska. W tym czasie zrozpaczona Basia mnie poszukiwała, była nawet w Turośli - wróciła, a mnie wciąż jeszcze nie było. A później – ja już byłem, ale Basi nie było, znów poszła mnie szukać.

W dalszej kolejności zdarzeń i badań kardiologicznych ujawniono u mnie objawy choroby wieńcowej. Po przeprowadzeniu diagnostyki kardiologicznej, wykonano dwukrotnie wspomniane wyżej operacje *by-passów*, to jest – pomostowania naczyń, a w 2007 r. – dodatkowo – operację wprowadzenia aż siedmiu tak zwanych *stentów* – rozszerzaczy naczyń. Dzięki niezwykłym operacjom, nie doznaję i teraz bólów wieńcowych i czuję się względnie dobrze, wchodzę często schodami na 7 piętro mego Mokotowskiego mieszkania, ćwiczę też z hantlami – wbrew przestrogom mojej żony, ale z akceptacją – ostrożną – innych lekarzy. Ich działania były skuteczne, a że operacje wykonywano w okresie jesienno-zimowym, moja 20 letnia epopeja - letnie żeglowanie, a i myślistwo – nie została przerwana, aż do 1999 r., w którym zdecydowałem jednak zakończyć już wyprawy jeziorowe.

Wiele zawdzięczam poczynaniom i opiece Lekarzy – Pani Doktor Annie Wołodźko, która trafnie i wcześniej skierowała mnie do Instytutu Kardiologii na Spartańskiej, oraz utalentowanym Wykonawcom moich *by-passów* – Dr Krzysztofowi Borkowskiemu i Dr Franciszkowi Majstrakowi, ponadto Doktorowi – obecnie Profesorowi Mariuszowi Pytkowskiemu, który przy udziale Doktora Andrzeja Kurowskiego wykonał zabieg ablacji usuwający skurcze. A i teraz Profesor Pytkowski często dostrzega mnie, gdy jestem w Instytucie Kardiologii, dopytuje się - i nawet wpływa na przebieg mojego leczenia, nawet samorzutnie, osobiście w końcu mojego pobytu w Klinice przeprowadził wszczepienie stimulatora, bo uznał, że w moim przypadku jest już „wskazany”. Czuje się pewniej będąc pod opieką Lekarzy ze Spartańskiej. Dobrze pamiętam pomoc i sylwetki Doktorów – Macieja Sterlińskiego, Jacka Andrzeja Woźniaka, Andrzeja Kurowskiego, Andrzeja Przybylskiego, Marka Szrednickiego, kardiochirurgów Marka Rewickiego i Andrzeja Sumińskiego. Pana Doktora Andrzeja Kurowskiego – anestezjologa, wspominam szczególnie czule, prowadził długą, około 12-to godzinną narkozę przy mojej 2-giej operacji *by-passów*, potem jeszcze czuwał nade mną przez następne dwie doby.

Teraz często bywam na konsultacjach u Dr Hanny Rymuzy, ściśle współpracującej z Profesorem Pytkowskim.



Bardzo nam wszystkim odpowiadało biwakowanie na Nidzkim, naprzeciwko, lub w okolicach bindugi przy Leśniczówce Czapli, w środku olbrzymich kompleksów leśnych, izolujących od gwaru cywilizacji. Mogliśmy tam łatwo uzupełnić zapasy wody korzystając z ogromnej głębinowej pompy na bindudze, oraz zakupić pieczywo – ryzykując jedynie to, że na jego dostawę trzeba będzie poczekać. Najważniejsza oczywiście była zawsze woda – już nie praktykowało się pobierania wody ze środka jezior – wszystkie w latach 80tych były zanieczyszczone. Zwłaszcza Niegocin, o którym utrwaliła się opinia, że zanurzenie kończyny w niegocińskiej wodzie, nawet krótkie, grozi utratą naskórka. Nie sprawdzałem, ale w okolicy Rydzewa mogło tak być. Przepływało się tedy koło Rydzewa w tempie „aby jak najprędzej”. Płynąc do Rucianego, można było mieć różne miejsca postoju, ale zwykle nocowało się na wyspie Królewski Ostrów przy Nidzie, by raniuteńko w Nidzie przycumować – nie na długi postój, ale by poczynić zakupy i zwiedzić miejscowy sklep odzieżowy. Tam, o dziwo, można było niekiedy „trafić” coś, o co trudno było w głębi lądu, choćby w Warszawie. Sam kupiłem przy takich okazjach dwie kurtki, i spodnie, noszę je do dziś. Stać dłużej w Nidzie trudno było, chyba tylko z konieczności, za mało miejsca i za dużo kąpiących się. Dążąc na północ, dopływało się zwykle do Rucianego – nawet do samej śluzy na Guziance - ze złożonymi masztami, na silniku. Martka holowała Bomba wyposażona w Wietieroka<sup>8</sup>. my początkowo używaliśmy Wietieroka<sup>12</sup>, mocniejszego o 4 KM, ale trudno zapalającego się.



Rozkosze dopływania i pobytu w porcie żeglarskim w Rucianem



W Rucianem, gdy po wydobyciu Wietieroka z samochodu, dla zamocowania go w pantografie na rufie Malca, musiałem ciężkawy silnik przenosić z kei przez całą długość chyboczącej się łodzi. Basia odwracała wtedy oczy, no i protestowała, bo jej zdaniem niechybne było moje wpadnięcie do wody razem z silnikiem. W pewnym sensie miała rację, ale ja z możliwym wpadnięciem silnika do wody liczyłem się – przy przenoszeniu zawsze przywiązywałem do Wietieroka dłuższą linkę, z czymś pływającym na końcu, by można było utopiony silnik natychmiast wyciągnąć. Basia jeszcze twierdziła, że każdorazowo przy przenoszeniu silnika, a trzeba go było później i wynosić – osoby okoliczne w porcie zatrzymywały się, by patrzeć na mój „upadek”. Nigdy to się nie zdarzyło. A problem zakończył się ofiarnym zakupieniem z własnych Basi oszczędności nowego silnika Suzuki, bardzo wprawdzie drogiego, ale lekkiego i łatwo uruchamiającego się. Wietieroka<sup>12</sup> podarowałem Witkowi.

W Rucianem miejsc do cumowania przy pomostach było zawsze sporo, było się też jak u siebie. Kąpielisko było gdzie indziej. Zresztą, później od Rucianego z portem wyposażonym w dźwig zwykle zaczynaliśmy sezon i tam go kończyliśmy. Nabieranie wody było tam proste, przy tym było murowaną okazją do spotkań i rozmów. Można było przenocować przy kei, by ruszyć dalej, przez Bełdan, gdzie też były dobre miejsca, choćby w okolicach przy Kamieniu, czy w Piaskach. Robiliśmy wycieczki piesze w stronę Warnołtów i Popielna, by popatrzeć na tarpany, a z północnych brzegów Bełdanu wyprawialiśmy się na maliny. Wypadało zatrzymać się w Wierzbie, zlorzeczając jednak w duchu Politechnicznym urzędasom, że „za bezdurno” oddali ten ośrodek Polskiej Akademii Nauk. Niektórzy członkowie PAN – chyba ci bywający tu częściej, niż na posiedzeniach naukowych, byli tu od razu, z daleka rozpoznawani jako prominenci systemu – kroczyli godnie, z uśmiechem zadowolenia na twarzach – taki lokalny typ „*homo sapiens*”.

W Wierzbie zdarzyło się, że towarzysząca nam Ewa, zamierzająca przejść kawałek lasu z piaszczystej plaży do budynku ośrodka, około 150 metrów, co zwykle zajmowało 5 do 10 minut, zagubiła się tak bardzo, że wróciła dopiero po 5 godzinach, pod wieczór.

Podążając na Północ, zahaczaliśmy niekiedy o Czarcią, górzystą wyspę z piaszczystą plażą. Wchodziliśmy na górę – były tam ciągle jeszcze utrzymywane grządki z cebulą i czosnkiem, i ruiny murów fortecznych, relikty dawnych czasów i obyczajów. Misiek opowiadał, jak to było, gdy na Czarcią przyjmowano wyłącznie przybyszów zdolnych wypić jednym haustem chochelkę spirytusu zaczerpniętego z wiadra. Nie spełniających kryterium „piraci” oddalali.

Dążąc ku Północy, mijaliśmy Mikołajki i Giżycko. Mijaliśmy – to dobre określenie, chociaż nieco żalosne, zwłaszcza w odniesieniu do Mikołajek, ulubionego ongiś miasteczka żeglarzy. Duże Giżycko nigdy nie cieszyło się takim uznaniem żeglarzy, jak swojskie, ciche Mikołajki, ze starą gospoda tuż przy przystani – ale i tej gospody już nie ma. Rażą nowe budynki-hale, nowa niezgrabna zabudowa, a złego wrażenia nie łagodzą ani rozbudowana przystań, ani duża liczba sklepów, smażalni ryb i nowych hoteli. W przestrzeni powietrznej już od końca lat 80tych rozlegały się wszech zakłócające bębnienia muzyki i para-żeglarskie natrętne koncerty *szanty*, nawet w nocy. Równie natrętne rozmnożyły się reklamy, najczęściej po niemiecku.

Dążąc – ba, prąc ku Północy, realizowaliśmy Misiaszkowe idee, że tylko na Północy są jeszcze czyste wody, i że co najmniej raz na dwa – trzy lata trzeba odwiedzić Węgorzewo, a co roku należy pobyć na Skorupkach i Mrówkach, no i koniecznie zajrzeć do Rynu – może tam, w pobliżu, w znanym gęstym jodłowym zagajniku, znów można łączyć wiaderko rydłów? To ostatnie marzenie, mimo pełzania na kolanach w rzędach kłujących jodełek, niesamowicie gęsto posadzonych i już dobrze wyrośniętych, za mojej pamięci nigdy nie zostało wystarczająco dobrze zrealizowane. Ale Stefan miał swoje jeszcze inne miejsca rydzo-dajne i czasem częstował podsmażonymi rydzami, chociaż w nadmiarze ich nie miał.

Podążanie do Węgorzewa miało podstawą wdrukowaną w świadomość żeglarzy dawne wyścigi-zakłady, kto z nich będzie pierwszy, gdy wyruszywszy z Rydzewa, po osiągnięciu Węgorzewa, stawi się w piwnym barze w Rydzewie. Nie wiele wiem o tych regatach, tyle, że się odbywały, i że uczestniczył w nich, czasem wygrywając, legendarny już jacht *Kabala*, zespawany ze stalowych blach, pomalowany na czarno. Byłem wewnątrz tego jachtu, zrealizowanego według zasady, by wszystkie wymiary były wielokrotnością liczby 7, liczby kabalistycznej, bo zapożyczonej z żydowskiej księgi *Kabala*. Należał do „Wuja” Ostaszewskiego - profesora Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, który zadomowił się w okolicy Rynu w opuszczonej murowanej baszcie po wiatraku. Organizował też wyścigi do Rynu, aż w podstępny sposób zabrano mu po latach tę basztę, z urządzoną pracownią.

Żeglowanie do Węgorzewa bywało długie i trudne, szlak prowadził przez kilka jezior, a niektóre z nich, na przykład Dargin o złej sławie, obfitowało w kamieniste mielizny. Należało też znać dobrze miejsca przejść przez trzcinę – przejścia były wąskie, trudno było je dostrzec, a tym bardziej o zmroku. Nocleg w morzu trzcin nie bywa przyjemny, gdy dno jest muliste.



Odnoszę się do takiej możliwości, bo kiedyś, na samym początku wypraw żeglarskich, bodaj na pierwszej wyprawie w ramach „Kurso-konferencji”, wycofując się już z Mamr na Hutniku, wpakowaliśmy się w samym przejściu przez trzciny na mulistą mieliznę, z której odepchnąć się pychem było nie sposób, a wiosłowanie przy tak ciężkiej łajbie zrazu nie dawało rezultatu. Była noc, ale byliśmy młodzi (no, w większości), i w końcu wiosłowaniem, oraz pociąganiem za chwythane trzciny, zeszliliśmy z mielizny. Byłem zresztą pewien, że przekorny - a zawsze pełen humoru Andrzej Rusek, będący wtedy z nami, najwcześniej spostrzegł, że stoimy na mieliznie, i nawet specjalnie mocno wiosłował – ale wstecz, by „nie schodzeniem” z mielizny powiększyć sztucznie rzekomy dramatyzm sytuacji. On się zresztą później ze śmiechem do tego przyznał. Wkrótce stanęliśmy na noc niedaleko mostu drogowego, bardzo wysokiego. Było wesoło, rankiem niektórzy (dwaj) członkowie załogi wspięli się na most, i już poza barierami – wszakże mocno się ich trzymając, wypięli gołe „pupy” i zrobili to, co się często robi z rana – ale tym razem prosto do wody z dużej wysokości. Te lawiny były efektowne!

Jak się wpływało na Mamry, to były różne możliwości, oczywiście, wpływalimy przez długą a krętą Węgorapę, w morzu trzin - do Węgorzewa, w ramach obowiązkowego wizytowania. To miasto wyróżniało się porządkiem i spokojem, tudzież małą liczbą zarówno ludności, jak i „napływowej” stonki – jak dowcipnie nazywano ongiś urlopowiczów i turystów. Obecnie liczba mieszkańców sięga 12 tysięcy, miasto jest siedzibą władz powiatowych. Wśród budowli odznacza się zamek, zbudowany przez Krzyżaków, w dziejach kilkakrotnie niszczone przez Litwinów i Tatarów, oraz inne wojska, i znów odbudowywany – przy bardzo znaczącym udziale kolonistów z terenów polskich.

Nie zwiedzaliśmy zabytków, zwykle na drugi już dzień wycofywaliśmy się Węgorapą, by spenetrować północne brzegi Mamr - były tam suche, dobre tereny do biwakowania. W późniejszej eksploracji, w części kanału Mazurskiego zwiedzaliśmy ogromne, nieukończone sztolnie – może przewidywane do montowania niemieckich łodzi podwodnych - by je spławiać następnie do Bałtyku. W późniejszych pływaniach odwiedziliśmy wyspę Upałty, z piękną plażą od strony Wschodniej, i bardzo niedobrymi, błotnistymi brzegami samego Jeziora oraz Wyspy od strony Zachodniej. Wyspa była widocznie traktowana jako „elitarny” cmentarz dla niemieckiej arystokracji, świadczą o tym groby i napisy na nagrobnych tablicach, dość dobrze zachowanych, mimo znacznego podniesienia się poziomu wody w Mamrach, dostrzeganego zresztą tu od dawna. W dalszej kolejności wpłynęliśmy na Mamry Małe (zwane *Mamerkami*), w kierunku miejscowości Pniewo. Jednak zebrane wrażenia były takie, że ze zwiedzania południowo-zachodnich części i brzegów Mamr – zrezygnowaliśmy.

W czasie kolejnych wizyt na Mamrach chętnie wpływalimy na Jezioro Świątajty, a przez kanał w Ogonkach wpływalimy na Jezioro Stręgiel – prawie wszędzie były dobre miejsca do biwakowania, rzadko zajęte. Szczególnie dobrze wspominam północny, wysoki brzeg Świątajtów, z którego rozciągał się wspaniały widok na całe Jezioro. Z tego brzegu po raz pierwszy widziałem lot paralotni holowanej przez motorówkę. Na brzegu jest odrestaurowany cmentarz żołnierzy poległych w I Wojnie Światowej - głównie niemieckich, niektórzy mieli polskie nazwiska - ale i rosyjskich, pochowanych bez nazwisk w mogile zbiorowej.

Na Świątajty wpływa się z Mamr przez wody zatoki tak dużej, że nosi oddzielną nazwę - „Jezioro Bodma”. Płyne się z Bodmy na Świątajty przewężeniem między Półwyspem Kal – na mapie takim długim, obszernym i „zakręconym” – oraz występem dość rozległego obszaru noszącego nazwę Kalskie Łąki, z własnym „wewnętrznym” Jeziorem Harsz (w pobliżu jest miejscowość o nazwie Harsz). Kalskie Łąki są zapewne istotnie rozległymi, podmokniętymi łąkami, rezerwatem łośi, i jeden łoś pojawi się w końcówce przytoczonej niżej relacji.

Otóż, przy końcu pewnego września, w ramach pokładanej w nas ufności, Profesor Adam Smoliński udzielił zezwolenia na kolejną „Kurso-konferencję”, czyli – mówiąc otwartym tekstem - na popływanie po Mazurach, w czasie zasadniczo zakazanym na urlopy. Stefan Misiaszek telefonicznie sprawdził możliwość uzyskania łodzi, a że kochany nasz Hutnik był

w remoncie, zgodził się na Volkbota, na warunkach ulgowego, bo już posezonowego czarteru. We trójkę, z Michałem Ramotowskim, odebraliśmy w Wilkasach Volkbota i wyruszyliśmy, w kierunku Mamr i Węgorzewa. Pogoda nam wyjątkowo nie sprzyjała, był silny, na Mamrach bardzo silny, północno-zachodni wiatr, duża fala, ale – mocno zarefowani - utrzymywaliśmy się na kursie. Volkbot walił ciężko dziobem o fale, ale to była mocna łódź. Poza nami – na horyzoncie nikogo, w dali widać było tylko jakby białą kreskę, może to była jakaś większa jednostka motorowa. Były późne popołudniowe godziny, szarzało.

I gdy byliśmy właśnie dopiero w jednej trzeciej drogi, na wysokości Bodmy, dojrzeliliśmy grupę Omeg wypływających, lub może tylko szykujących się do wypłynięcia ze Świącajt na Mamry, poprzez Bodmę. Dalsze wypadki potoczyły się szybko. Pierwsza łódź, która wypłynęła na Bodmę, pod wpływem wiatru – dla niej bocznego, natychmiast wywróciła się. Kilka następnych łodzi skupiło się u wylotu przewężenia, bez ruchu, ich żagle wiatr podarł w pasy. Obalona Omega była wiatrem spychana w rozległe trzciny, tam było głęboko.

Oczywiście, nie dostrzegaliśmy szczegółów, odległość była znaczna, a widoczność wobec późnego, mrocznego popołudnia – słaba. Stefan szybko podjął decyzję, zrobił zwrot i zaczęliśmy iść w kierunku wywróconej łodzi. Płynęliśmy wolno i raczej nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że to my będziemy udzielać pomocy, spodziewaliśmy się raczej, że ktoś inny, będący w pobliżu, pospieszy na ratunek – choćby te łodzie jeszcze nie wywrócone. Z każdą chwilą stawało się jednak co raz bardziej oczywiste, że to jednak my będziemy udzielać pomocy, nie pojawiła się żadna jednostka, a myśleliśmy, że pojawi się ten biały statek, który braliśmy za patrolującą Mamry jednostkę ratunkową. Zbliżyliśmy się do przewróconej łodzi, ale najpierw Stefan rzucił kotwicę, na długiej szalowej linie, przy wpół opuszczonym grocie, popuszczając po trochu linę kotwiczną, zbliżaliśmy się bardziej do przewróconej łodzi. Oni, czwórka żeglarzy, trzymali się łodzi niewiadomo jak, bo krawędzie burty Omegi były pogrążone, by się ich trzymać, musieli też być pogrążeni – z wody wystawały tylko połówki głów. Stefan zapytał donośnie: Czy udzielić wam pomocy? Usłyszeli i potwierdzili. Pytanie można uważać za retoryczne, ale chodzi w nim o sprawdzenie stanu ratowanych, ich gotowości do współdziałania. Bo przecież należałoby podjąć akcję niezależnie od stanu ich przytomności. Rzuciliśmy im linę, chwycili ją i chyba zaknagowali, albo raczej – przerzuconą przez obły korpus łodzi - tylko trzymali. Rzuciliśmy dodatkową linę - cieńszą, polecając, by owiązała się nią mocno dziewczyna, bo dojrzeliliśmy, że tam jest dziewczyna, i że może słabnie. I wkrótce wyciągnęliśmy ją – ale nie tylko ona, chyba żaden z tych chłopaków nie zdołałby wdrapać się o własnych siłach na wysoką burtę Volkbota. Po kolei wyciągnęliśmy całą czwórkę – może tuż przed pogrążeniem się obalonej Omegi w ścianę trzin, wysoką falą przyboju. Chociaż, być może dryf obalonej łodzi w kierunku trzin mógł być jednak nieco spowalniany, hamowany przez maszt trący o dno jeziora. Ja wszedłem do kabiny i starałem się pomóc, najpierw podstawiłem wiadro, siedzieli w kucki wokół wiadra i bardzo drżąc, strasznie wymiotowali. Nie mogliśmy ich niczym ogrzać, wpadłem na pomysł, by dać im po kieliszku jarzębiaku, jarzębiak często nosiłem w torbie. Ale to tylko wzmogło wymioty. Na szczęście, Stefan z Michałem postawili grota i już szliśmy do zawietrznego brzegu Półwyspu Kal, tam czwórkę przekazaliśmy pod opiekę ich towarzyszy, którzy jakoś zdołali przejść z łodzi na brzeg. Wkrótce rozbili namioty, wspólnie z nami zaczęli szukać drewna, rozpaliliśmy ogniska, my i oni osobno, oba ogniska były raczej słabe, bo olszynowe gałęzie nie chciały się palić. Już zapadał gęsty mrok. Wszyscy rozmawiali cicho, skrepowani wydarzeniami, chociaż zadowoleni, że do najgorszego nie doszło. Dowiedzieliśmy się, że to był szkoleniowy obóz żeglarski AZS z Wrocławia, który się zwiżał, że pierwszą łódź prowadził świeżo upieczony sternik, który był też formalnie kierownikiem obozu, że na dno poszły dokumenty i kasa obozu. Dziewczyna, o którą dowiadywaliśmy się - ale wkrótce i my poszliśmy spać - w nocy gorączkowała, bredziła. My wstaliśmy rano, zapowiadał się piękny dzień. W pełnym świetle dojrzeliliśmy łosia – przepływał z Kalskich Łąk na Półwysep Kal. Ruszyliśmy i my.

### Środa, 25 października 2016 r.

Akurat, gdy piszę o wyprawach z Rucianego w kierunku Północnym, obejmując tą nazwą nie tylko Mamry i Węgorzewo, lecz również zatokę Mrówki, Skorupki i Ryn – Romowie, czyli Roma i Darek Szymański zdecydowali się – leniwce – przysłać swoje zdjęcia, z *Jaworem*, o którym już pisałem, jak to z nim było na Kaczerajnie. Więc zaistnieją, pokazuję ich niżej.

Składanie i stawianie masztów – jest konieczne przy przechodzeniu mostu w Rucianem



Roma przechodzi z Malca na Jawora



Jawor – dalej Malec



Imieniny Romy, Basia popija, Marek chyba nie

Co lato wyprawialiśmy się na „bliższą Północ”, co znaczy, że po minięciu Mikołajek, po wejściu na Jezioro Tałty, nie wpływało się w Kanał Tałcki, płynęliśmy dalej Tałtami – niedaleko, jeżeli chodziło o osiągnięcie dogodnych miejsc w zatokach za miejscowością Skorupki, lub nieco dalej, w wąskiej Zatoce Mrówki, za miejscowością o tej samej nazwie. Ale jeżeli „stado” uznało, po zatęsknieniu za miastem, że wpierw płyniemy do Rynu, a pogoda i wiatr były sprzyjające, no to płynęliśmy dalej, nawet sporo dalej, przez Jezioro Ryńskie – aż do mitycznego Rynu na końcu Jeziora. Tuż przed osiągnięciem Rynu, niecierpliwy Misiaszek początkowo skręcał w lewo, na zachodni brzeg Ryńskiego – chyba tuż za Zatoką Rominek, by zajrzeć do wspomianej, pamiętnej jodłowej plantacji z rydzami. Ale, że rydzów już nie znajdował, w późniejszych latach płynęliśmy prosto do Rynu – niemal na wyścigi. Bo Ryn lubiliśmy – już z odległości, od połowy Jeziora wabił nas ceglana masa Zamku górującego nad zabudową miasta, przeważnie również ceglana. Ryn z wody już z oddali, a z bliska tym bardziej, wyglądał jak kolisty amfiteatr. Witał gościnnie drewnianymi pomostami, od nich ku położonemu nieco wyżej miastu prowadziła droga, rozgałęziająca się w sieć sennych uliczek. Zamykało się łódki na klucz i szło się zwiedzać miasto oraz Zamek, ewentualnie łyknąwszy po drodze zimnego piwa, po obiedzie w dobrze położonej, przyjaznej gospodzie, z widokiem na Rynek. Ryn jest nieduży – cała Gmina Ryńska liczy około 7 tysięcy mieszkańców. Mieszkańcy długo opierali się germanizacji – z dokumentów wiadomo, że jeszcze w 1724 r. nabożeństwa w miejscowym kościele odbywały się wyłącznie w języku polskim, oraz, że w 1837 r. mieszkało w Rynie 891 Polaków i 497 Niemców.

Zamek krzyżacki, dawna siedziba Ryńskiego komtura, chociaż nie został w czasie wojny bardzo zniszczony, był ciągle remontowany, przebudowywany. Może wynikało to z zamiany Zamku w więzienie, w połowie XIX wieku. Wszędzie widziało się uzupełnianie ubytków murów. Zmieniano schody, kręcili się w nim – prawda, że nieco ospale – różni artyści, specjaliści od murów i sztukaterii. Początkowo można było wchodzić wysoko na piętra, by podziwiać panoramę okolicy – Zamek jest położony na przesmyku między jeziorami – Ryńskim i Ołw. W latach późniejszych wstęp nie był już tak „wolny”, bywało – zamykano bramę wejściową na wielką kłódkę. W związku z tym przeżyliśmy kiedyś – Basia i ja – chwile zwątpienia, czy wyjdziemy żywi z Zamku, a jeszcze bardziej wątpiąc w całość rzeczy pozostawionych na Malcu w przystani. Po upływie prawie dwóch godzin codziennej przerwy na obiad dla zatrudnionych w Zamku – otworzono bramę i wyszliśmy, cali i zdrowi, ciesząc się nawet z przygody. Wtedy odwiedzaliśmy Ryn sami.

W czasach „trudnych zakupów” nabyłem w Rynie na ulicznym targowisku spodnie „radzieckiego żołnierza”, takie zwykle, z zielonego drelchu. Odnaczały się niezmiernie płytkimi kieszeniami, kieszeni właściwie nie było. Później Ewa wszyła kieszenie przesadnie długie. Zachowałem te spodnie, chociaż ich nie noszę.



Żeglowna na Jeziorze Ryńskim jakoś na stałe skojarzyło mi się z korzystnymi wiatrami i z dobrą - słoneczną pogodą, chociaż oczywiście nie zawsze tak było. Innym kojarzyło się podobnie - i również jeszcze z pobytem w jednej z licznych zatok na bardzo rozwiniętych brzegach Jeziora. Najchętniej wchodziliśmy do długiej i szerokiej zatoki Mrówki, a jeżeli nie było i tam dogodnego miejsca, do podobnej, ale mniej cenionej sąsiedniej zatoki, nazywanej przez nas Skorupki. Ewentualnie przystawaliśmy przy szerokiej, jeszcze dalszej zatoce, na południowym jej brzegu, niedaleko miejscowości Skorupki, co było dogodne ze względu na nasłonecznienie, szeroki widok na Jezioro, i robienie zakupów. Ale i z zatoki Mrówek, do której w końcu udawało się wejść, niedaleko było do Skorupki. Czyniliśmy zresztą z równą ochotą piesze wyprawy skrajem pól do Skorupki, jak i leśne wyprawy – niekiedy nawet dość dalekie – w stronę pewnej leśniczówki i nawet dalej, w kierunku Rybikału, w poszukiwaniu malin. Wszędzie były wysokie i suche brzegi, ze starymi sosnami - wysokimi jak katedry. To były bardzo dogodne miejsca na obozowanie nawet w większym towarzystwie. Może dlatego tam, a nie na przykład na Nidzkim, nasze życie towarzyskie kwitło głównie na brzegu, chociaż łodzie były tuż, tuż. Często gościliśmy znajomych, a i mniej znajomych żeglarzy, bo Jezioro Ryńskie było jakby „deptakiem” – tu można było spotkać „wszystkich”.

Przyjmujemy gości, pojadamy jagody, maliny i co się da



Stefan już się wypała, wyjrzał – pogaduje sobie z pełnym zawsze spokojem, wyrozumiałym Witkiem





A my na Bombie – też nie próżnujemy



Leszek nie tylko przy bezach zadaje inteligentne pytania

A tak sprawuje się załoga Malca – Basia przy kotwicy



Ja - zawsze przy wiośle



Basia – dziś ma Urodziny



Po wycieczce do Rynu jednak zwykle wracaliśmy z „cywilizacji” znowu na ciche Nidzkie, do naszych łabędzi, na ogół w inne już miejsce – na przykład do „zatoki Misiaszka”, gdzie też bywały maliny.



Na tym zdjęciu – wykonanym zapewne przez Agnieszkę – poza Martkiem, Bombą i Malcem, oraz łabędziami – widać żadnego rozmów Leszka. Widać też silniki – żółty *Wietierok* Witka i ciemny korpus naszego *Suzuki*. Witek znalazł się na *Wietierokach*. Te silniki oprócz wad miały i zalety – poza sporą mocą. Mogły pobierać paliwo



bezpośrednio zasycając je z oddzielnego pojemnego zbiornika, co było ważne przy dalekich pływaniach. Miały też dodatkowe uzwojenie dostarczające prądu, np. do oświetlania łodzi płynącej w nocy. Tych możliwości nie dostarczał Suzuki, ze skromnym zbiornikiem paliwa umieszczonym bezpośrednio na korpusie silnika.

Skoro mowa o poręcznym, łatwym do uruchomienia silniku Suzuki, to najwyższa pora pochwalić się namiotem stawianym na łodzi – wysokim i pojemnym, łatwo i szybko rozpinanym na odpinanym i podnoszonym bomie. Wynałazłem na to sposób, gdy Basia postawiła na swoim. Zakupiła płachtę igielitową, mając dość moknięcia. Płachta początkowo wydawała się za długa – lecz zamiast obcięcia, zaginaliśmy jej końce tak, że od rufy namiot mógł być zamknięty, powstawało zacisze, i nawet przy kiepskiej pogodzie we wnętrzu wydawało się słonecznie. Konstrukcja namiotu była mocna, wbrew złym prorocstwom, namiot wytrzymał nawet duże wiatry.



Muszę zakończyć opisywanie długiego okresu mojego zajmowania się żeglarsstwem. Gdy na Cyplu Czerniakowskim, w gościnnym WTW, pojawiły się aż dwie Karetki Pogotowia, by mnie – usiłującego „szybko” wyporządzić Malca – zabrać do szpitala, co zapoczątkowało nowy cykl zabiegów kardiochirurgicznych, przyszła pora... Przekazaliśmy Malca, wraz z całym wyposażeniem, Ance Niepokulczyckiej, usportowionej, dzielnej dziewczynie, z którą razem z Dorotą, pływałem po Jeziorach Mazurskich, jeszcze na Piracie.



A mnie zostało wiele wspomnień – na przykład, jak to wyruszywszy z Warszawy, po przejechaniu mostu na Narwi, tuż za Wyszkiem rozbiłem namiot podróży, i pozostawiłem Basię z Malcem, by wracać po kruche ciasteczka, pieczone i gromadzone w ogromnym blaszanym pudełku przez dwa tygodnie, a pozostawione na stole. Wracałem już późną nocą – była burza i „oberwanie chmury”, i ogromna kałuża w znanym miejscu pod wiaduktem w Radzyminie. Mnie udało się przejechać bez zgaśnięcia silnika, kilka innych samochodów utknęło jednak w środku kałuży. Zastałem Basię w namiocie całą, żywą, i nie tkniętego Malca. Teraz – w obecnych czasach - na takie przydrożne noclegi bym się chyba nie ważył. A kiedyś, jeszcze wcześniej, mogłem w Wilkach pozostawić swoją Renówkę na parkingu AZS nawet na dwa tygodnie, bez specjalnego pilnowania.

**Dziś jest 30 października 2016 rok. Od Andrzeja Dobrzańskiego, zza Oceanu – otrzymałem wczoraj mail.**

**From:** Andrew Dobranski [mailto:andrewwivo@gmail.com]

**Sent:** Saturday, October 29, 2016 3:51 PM

**To:** JBaranowski

**Subject:** część 6

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem do końca części szóstej. szczególnie podobał mi się Twój Malec. Mający klasyczne linie kraftu wodnego prezentował się pięknie. Czy dobrze rozumiem, że go sam zbudowałeś? To by dla mnie było niejakim wyczynem. Aż nie mogę uwierzyć. Zbudowanie takiej pięknej i DUŻEJ łodzi własnymi rękoma wydaje mi się wyczynem ponad możliwości jednego człowieka.

W czasach kiedy pływałem na Mazurach i Wiśle notowaliśmy bardzo skąpą ilość jachtów kilowych, gdyż płytkość jezior i skały podwodne w niektórych czyniły je, te kilówki, bardzo niepraktycznymi. Toteż królowały jachty mieczowe i uczyliśmy się tak nimi żeglować aby unikać wywrotek.

Podziwiam Twoje zdolności zgrupowania paczki przyjaciół i pływania całymi flotyllami. To musiało być bardzo ciekawe. My biedacy żeglowaliśmy samotnie. Podziwiam też Twoją pamięć tak geografii jezior jak i sztuki. Alicja na fotografii w mojej książce trzyma szczupaki złapane na jeziorze Świącayty. To było moje ulubione miejsce do łapania szczupaków na błyszczkę. Okoni tam nigdy nie złapałem.

Dwa razy robiliśmy spływ z jezior do Warszawy. Rzeką z Pisu do Narwi, potem do Bugonarwi i Wisłą do Warszawy. A więc dzięki Ci za te wspomnienia, tak ciekawe i szczegółowe. Andrzej

**Dzięki za docenienie MALCA. Nie mogłem budować ciężkiej Gigi, poprzestałem na konstrukcji Foki.**

**Wszystkim kierowałem sam, pomagała Basia, ale przecież – poza tylko pewnymi drobiazgami – zasadnicze prace wykonywali inni, czasem z przyjaźni, więcej za pieniądze. Instynkty przywódcze i „charyzmę” żeglarską miał Stefan, ja – starszy – przyłgnałem do nich, część żeglarzy była wcześniej moimi studentami. Widocznie byłem dla nich jakąś wartością, poza-żeglarską. Ja przyłgnałem do nich, ale miałem swoją, dosyć odrębną tożsamość – czego jednak tak za bardzo nie ujawniałem, ale i nie kryłem. Bo nie trzeba. Żyje się z ludźmi szanując ich mentalność, poglądy – albo się cicho odchodzi. Dzięki za doczytanie „do końca”, ale to jeszcze nie koniec części 6. Z pewną udręką myślę, że trzeba jeszcze trochę napisać. Pozdrowienia, ściskam Cię, Żeglarzu międzykontynentalny – Jerzy.**

**PS Nie napisałem o wielu, wielu miejscach, i spotkaniach na Mazurach. bo nie piszę przewodnika po Mazurach – raczej coś na kształt przewodnika po moim życiu, zresztą – też częściowego.**



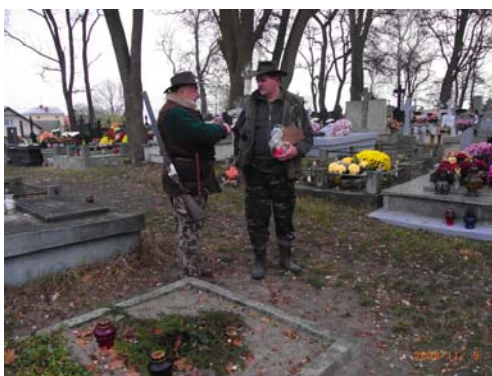


### Niedziela, 30 października 2016 r.

Pojutrze Wszystkich Świętych, nazajutrz Zaduszek, następny dzień to świętego Huberta, patrona Myśliwych. W Zaklikowie, jak już pisałem, każde doroczne polowanie Hubertowskie – w tym roku przewidziane na 6 listopada – zaczynają się wczesno-porannymi odwiedzinami na Cmentarzu, zapaleniem zniczy na grobach zmarłych Kolegów, choć nie tylko myśliwych. Starałem się w tym obyczaju uczestniczyć, nie tylko dlatego, że mam drugie imię – Hubert.



Wojtek Niezabitowski i Marian Oszust  
na Cmentarzu Zaklikowskim, w dniu  
św. Huberta, ze zniczami do zapalenia  
na grobach zmarłych myśliwych



W Zaklikowie uczestnictwo osób związanych z miejscową parafią, a i samych duchownych, we wszystkich przedsięwzięciach łowieckich, jest bardzo zakorzenione. Niektórzy księża, młodszy wiekiem, biorą nawet udział w zbiorowych polowaniach. W zakrystii parafialnego kościoła pod wezwaniem Trójcy Świętej jest piękny ornat przywdziewany na uroczyste Msze Święte, na przykład z okazji rozpoczęcia kolejnych sezonów łowieckich i częstych Świąt Myśliwskich. Bo Zaklików ma prastare tradycje myśliwskie, wokół miasta ogromne kompleksy leśne, są w nich rozległe stawy rybne, pełne ptactwa wodnego gnieźdzącego się w sitowiu. Są też w okolicy niezwykle piękne łąki i rozległe pola, pełne łownej zwierzyny. Istnienie łowiectwa jest tu w pełni uzasadnione.

Pamiętałem te nieprzebrane bory, rzekę Sannę i inne strumienie, gdyż kilka lat młodości, o czym już pisałem, spędziłem w Irenie i w Zaklikowie. Dobrze te lata wspominam, a i mnie co starsi przypomnieli sobie, i w 1997 r. zaprosili na 50lecie Gimnazjum, a później, mimo pewnych trudności i ociągania się, przyjęli do Łowieckiego Koła DZIK. Mnie wabiła możliwość polowania na zwierzynę grubszą, niż ta, na jaką polowałem w Warszawsko-Ciechanowskim Kole JAR. Jednak w końcu XX wieku już mi nie dopisywało zdrowie, szykowałem się też do przejścia na emeryturę, opiekowałem się wciąż jeszcze wydawanymi kilkutomowymi podręcznikami z dziedziny Elektroniki, których byłem autorem, bądź współautorem. Więc mój udział w polowaniach był niewielki, mimo starań kolegów – a zwłaszcza Łowczego Mariana Oszusta – bym „wreszcie coś strzelił”. Nawet specjalnie pokazywał i „usadzał” w sekretnych miejscach, gdzie chadzały dziki i jelenie. Chętnie siadywałem na ambonach – nawet na tej „koło Klimka”, na której pożyłkował mi sizerszenie. Ale i na innych, bo nie obawiałem się jeździć sam daleko, często pod Wólkę, gdzie był zagon z malinami, i gdzie obserwowałem zwierzynę, jej zachowanie – na przykład, walczące kozły. W końcu Marian rozeźlił się nawet trochę, bo od dawna już ryczały byki, a on „zachował” dla mnie w planie jednego byka i jednego kozła, już ostatniego, przy tym – termin na kozła upływał za dwa dni. Siadłem na ambonie – tej przy drodze na Szczecin, pod wieczór, jeszcze było wcześnie, nawet Słońce dopiero próbowało zachodzić, blask bił w oczy. I jak w bajce, pojawił się na polu wspaniały byk, zaganiający podniecone łanie do zagajnika, jakby do sypialni.

To nie był byk na strzał – był o wiele za dobry. Zresztą, w rękę miałem sztucer Winchester 243 – to trochę za mały kaliber na takiego byka. Może by pocisk Sako o energii ponad 2000 J by wystarczył, ale na mniejszą sztukę. A byk prowokacyjnie jeszcze się położył przed amboną, bardzo niedaleko, w zagłębieniu pod zagajnikiem – zapewne był zmęczony amorami. Zagłębienie było płytkie, więc wystawało i chwiało się nad nim ogromne wspaniałe jelenie poroże. Byłem nieco wściekły, ale krótko – kątem oka ujrzałem kozła wychodzącego ostrożnie z ładu badylastych zarośli. Odległość – po skosie na sąsiedni zagon, wydawała się duża, może ponad 170 m, chociaż później twierdzono, że najwyżej 150 m. Szybko się złożyłem – i popatrując jednak też na wciąż leżącego byka, jak się zachowa po bliskim strzale – wypaliłem do kozła. Padł, a ja od razu znowu spojrzałem w stronę byka – ku mojemu zdumieniu, ani drgnął, leżał nadal w zagłębieniu, ciągle chwiało się jego wspaniałe poroże. Ściągnąłem kozła, nie bez trudu, byłem zmęczony mimo zastosowania przezornie zabranej linki. Pomogli mi patroszyć Janusz Toczyski i Marian.



A ja myślałem o jutrzejszym dniu – że po tym moim strzale nic się przed tą amboną nie pojawi. Jednak nazajutrz poszedłem na tę samą ambonę, zaopatrzony tym razem w sztucer 30-06, z właściwą amunicją. Nie często brałem tę szlachetną, już jednak nieco przyciężką dla mnie broń. Miała dużą lunetę, szkoda mi było ją brać na zwykłe polowania, gdy wystarczała kniejówka, lub poręczny, lekki Winchester 243. I właśnie sztucer 30-06 przydał się – wbrew oczekiwaniom, pokazał się znowu byk, wprawdzie inny, trochę mniejszy – za to wyraźnie o cechach byka selekcyjnego. Pokazał się i stanął na sztych. Położył się w ogniu strzału. Po tego dużego zwierza musieli na pole przyjechać traktorem. Tak wypełniłem oczekiwania Łowczego. Ale były też i inne okazje.

W Zaklikowie rychło zabrałem się do opracowywania nowej książki o Balistyce, po wcześniejszej, bo w 1994 r. wydanej książce „Broń i balistyka myśliwska”. Zabrałem się do pisania nowego ujęcia, i głównie naświetlenia problemów „Balistyki”, a mniej „Broni”. Zabrałem się do pisania, chociaż długie lata zarzekałem się, że do tej tematyki nie wrócę. Ale cóż, były potrzeby, nadal podręcznika prawdziwego o balistyce nie było, społeczeństwo – skłonne do zbrojnych powstań - nadal było utrzymywane z dala od wiedzy o broni.

O ile na podjęcie opracowania „Broń i balistyka myśliwska” wpłynęła opinia myśliwych zainteresowanych moimi artykułami umieszczanymi w Łowcu Polskim, oraz zachęta Karola Wehnerta, polskojęzycznego Niemca, który zaczął mi przysyłać katalogi Kettnera, nawet zakupił i przysłał, bynajmniej nie taną, ważną dla mnie książkę „Jagdballistik” (Lampel/Seitz), to do podjęcia opracowania „Elementów Balistyki” zasadniczo zachęcił Andrzej Dobrzański, profesor i doktor chirurgii ręki z USA, doświadczony, zamiłowany strzelec i myśliwy. Przysłał mi mnóstwo materiałów, w tym szczególnie ważne dla mnie katalogi firmy Sierra-Bullets. No i praktycznie skończyły się polowania – siedziałem w Zaklikowie, lub w Warszawie, w dzień i do późna w nocy opracowywałem, rozdział po rozdziale, nowe ujęcia problemów Balistyki. Nie było to łatwe, nawet dlatego, że zaczął poważnie szwankować, mimo leczenia, wzrok. Ale stało się, wyszło całkiem ładne opracowanie „Balistyka Współczesna” – mam nadzieję, że bezbłędne. Bo w pośrednich ujęciach zdarzały się jednak tak zwane „literówki”. Szkoda tylko, że nasze społeczeństwo nie ma skłonności do przyswajania tekstów zawierających choćby odrobinę matematyki – a przecież bez Matematyki ani rusz.

W Zaklikowie początkowo bywałem na uroczych ogniskach myśliwskich, z poczęstunkiem, z tańcami – na ogniska przychodziły całe rodziny, z dziećmi, zabawy, tańce - trwały często do rana. Jedynym problemem były napastliwe komary. Występowałem w roli fotografa – miałem dobry aparat, robiłem i odbijałem na papierze mnóstwo zdjęć. Teraz już raczej nie fotografuję, pogorszył się wzrok, ponadto - po latach fotografowanie rozpowszechniło się i w Zaklikowie. A świętowanie rozpoczęcia sezonu, rocznic, i wszelkie inne okazje do zabaw – przeniosło się do nowo powstałego w Barakach, w lesie - dworku-pałacyku, własnymi siłami wzniesionego na dawnej opuszczonej zabudowie – wspaniale rozbudowanego i wyposażonego, nawet z własną kaplicą, przy której Mszą Świętą rozpoczynają się wszystkie ważne spotkania. Kończą się zaś – poczęstunkiem.

**Widok ogólny dworku Myśliwskiego na Barakach, prace wykończeniowe, wyposażanie – i wszystko inne – są pokazane niżej, na moich fotografiach**





**Tu władzę sprawuje DZIK**



**Uroczyste otwarcie zapoczątkowane Mszą Świętą 15 sierpnia 2015 roku**





**Na dworek oko mają duchowni, oraz paramilitarni z Borowa**



**Prezes, władze łowieckie i samorządowe – jak nigdy dotąd – wymieniają gorące komplementy**



**Dyplom od Prezesa i gorący pocałunek Męża-Łowczego – wyrazem podziękowania dla Pani Wiesławy**



**Popisy jeździeckiej grupy z Borowa, zaprzyjaźnionej z Kolem DZIK, młodzi jeźdźcy są braćmi, przewodzi im stryj 15 sierpnia – to dzień Święta Wojska Polskiego**





**Wędliny z dziczyzny, pieczenie – jak z rogu obfitości, jak zawsze**



**Już wieczór, zapalone pochodnie zwiastują – niedługo zaczną się tańce**



*Widziałem, miód pilem – po brodzie mi ciekło, w gębie nic nie było*

**Środa, 9 listopada 2016 r.**

Spadł śnieg, obfite opady dziś od rana w Warszawie, wczoraj już padał w Białymstoku. A w Zaklikowie – śnieg nie padał, tylko obfite deszcze. Polowania Hubertowskie, chociaż się odbyły, zostały poważnie zakłócone. Wiadomością dnia dzisiejszego jest niespodziewane i wysokie zwycięstwo wyborcze Donalda Trumpa w wyborach na Prezydenta USA. Jesteśmy zaskoczeni, bo spodziewane było nieznaczące, ale pewne zwycięstwo Hillary Clinton, o której programach wiedziało się dość wiele, była postacią znaną w polityce. A o Donaldzie Trumpie wiedziało się tylko tyle, że jest miliarderem, porywczym i nieogłędny w wypowiedziach.

**Piątek, 11 listopada, Święto Niepodległości, 2016 r.**

W nocy napadało dużo śniegu, zalepione śniegiem samochody, nadal prósz. Zdjęcia z Białegostoku ukazują drzewa obficie ośnieżone – w Zaklikowie +3 i śniegu nie ma. Już wiadomo, co nieco, o zamiarach prezydenta elekta Trumpa, ale są to raczej domysły. Ma być robiony „biznes”, a nie „polityka”, co niektórzy tłumaczą przewidywanym osłabieniem konfrontacji militarnej z Rosją, nałożeniem wysokich cł na towary wytwarzane poza USA, oraz osłabieniem zaangażowania NATO w krajach Bałtyckich, w Polsce. Podnosi się wysoką skuteczność gospodarki rolnej w Rosji, która może stać się największym exporterem pszenicy na świecie, podobne uwagi wypowiada się w stosunku do Chin i Indii, gdzie są wytwarzane liczne towary konkurujące coraz skuteczniej z wytwarzanymi w USA – polityka gospodarcza Trumpa ma być oparta na przeciwdziałaniu tym tendencjom. Poza tym, uważa się, że Trump nie będzie przykładał należytej wagi do spraw Unii Europejskiej oraz NATO.



### **Środa, 16 listopada 2016 r.**

Chciałbym już zakończyć pisanie Wspomnień, przestając na niektórych tylko uzupełnieniach z wydarzeń z życia w Politechnice Warszawskiej, pominiętych w relacji w części 4. Jedno z tych wydarzeń jest jednak szczególnie ważne. Wydarzyło się na samym początku moich studiów, gdy szczęśliwym zbiegiem okoliczności i udzielonej mi pomocy - przez zwolnienie z nakazu pracy w WAT – dostałem się na Politechnikę Warszawską, zostając studentem nowego Wydziału Łączności (o czym pisałem w części 4 WSPOMNIEN).

Pomimo, że nie byłem wówczas jeszcze zupełnie zdrowy, z nauką nie miałem najmniejszych trudności. Natomiast w tym czasie sytuacja wyższych uczelni była nadzwyczaj trudna. Wszystkie uczelnie były całkowicie podporządkowane bieżącej polityce, w praktyce bezpośrednio uzależnione od wszechwładnie rządzącej partii komunistycznej PZPR. Wpływy tej partii dosięgały wszystkich zatrudnionych: profesorów, wykładowców, młodszych pracowników naukowych, a nawet administrację i oczywiście - studentów. Krzywdząco oceniano pracę pracowników naukowych wszystkich stopni, i nawet najzdolniejszych, najbardziej wartościowych pozbywano się, jeżeli tylko zaistniało podejrzenie, że nie poddają się jedynie słusznej woli PZPR. Szczególnie to się objawiało w Uczelniach Technicznych, najbardziej zaś w Politechnice Warszawskiej, nazywanej często „Politechniką Czerwoną” – taką miała być z woli PZPR. Partia organizowała życie studentów, rekrutacja na studia zachodziła wyłącznie przez Związek Młodzieży Polskiej i z rekomendacji Partii.

W kwietniu 1952 r. nasz rocznik był świadkiem pozbywania się z Politechniki kilku Profesorów. Niestety, wśród nich wykładowcę nam Fizykę wybitnego, o głębokiej wiedzy, zamiłowanego dydaktyka, Profesora Franciszka Zienkowskiego, przyjętego do Politechniki w ramach połączenia w 1951 r. z Wyższą Szkołą Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Wawelberga i Rotwanda.

Pod naciskiem Egzekutywy Partii PZPR na Uczelni, grupa partyjnych asystentów i studentów zorganizowała na samym początku wykładu Fizyki profesora F.Zienkowskiego prowokacyjne wystąpienie, przedstawiając do podpisania pismo-apel potępiający Profesora, zawierający absurdalne zarzuty i domagający się usunięcia Go z Uczelni. Pismo to miało być podpisane przez wszystkich, jedyne drzwi z auli wykładowej były zastawione ławką z siedzącymi przy niej aktywistami pilnującymi podpisywania. Nie podpisanie mogło grozić poważnymi konsekwencjami, a przede wszystkim wydaleniem ze studiów. Z takimi wyreżyserowanymi akcjami spotkałem się przed rokiem, gdy pracowałem w WAT – wtedy chodziło o potępienie kolejnej grupy generałów - Kirchmayera, Tatara, Kuropieski, później wielu innych wysokiej rangi oficerów, oni już byli aresztowani, byli torturowani, a po sfingowanych procesach – wielu z nich straciło życie.

Tylko jeden z nas – Ryszard Miąg – odważył się zaprotestować. Ja się nie odważyłem, ale jakimś sposobem udało mi się wyjść z auli nie podpisując „apelu”. Na korytarzu spotkałem Jerzego Szewczyka – tego kolegę z Liceum Telekomunikacyjnego, o którym pisałem jako o „aktywiście” z Dzielnicy. I nawet on, ten aktywista, który w ogóle wystąpił jako pierwszy otwierając „mityng”, widocznie czuł, że popełnił czyn podły. Samorzutnie podszedł do mnie na korytarzu, i jakby usprawiedliwiając się z popełnienia niegodnego czynu, oznajmił cicho – „słuchaj, ja to musiałem zrobić, kazano mi”. A Rysia Miąga jednak nie wyrzucono z Politechniki. Po latach urządził mityngi Solidarnościowe w Zakładach produkcji lamp radiowych im. Róży Luksemburg na Woli.

W taki sposób szanowana wysoka uczelnia z dużą tradycją, moja wymarzona Politechnika, pozbywała się pod dyktando PZPR profesora oddanego uczeniu studentów, szanowanemu przez nich, wysoko ocenianemu przez wybitnych jego uczniów - profesorów: Janusza Groszkowskiego, Kazimierza Kuratowskiego, Tadeusza Trajdosa-Wróbla. Przy „załatwianiu” tej sprawy posługiwała się rękami młodych, niedoświadczonych studentów, łamiąc ich charaktery.

I na nic nie zdały się późniejsze studenckie protesty uchwalane spontanicznie na burzliwych zebraniach - aż do końca naszych studiów w 1954 r. W naszych kontaktach z władzami Uczelni pomagał prof. Trajdos-Wróbel – w jego gabinecie spotykałem się ja i Jerzy Drożdż – jako delegaci roku, z „reprezentacją” Egzekutywy PZPR – Andrzejem Karczmarewiczem i Krzysztofem Kowalskim, późniejszymi pracownikami Wydziału. Nie mogliśmy od tych dwóch – pewnych siebie, wypowiadających się niezwykle arogancko - „kolegów” nic uzyskać. Oni wiedzieli dobrze, że na Wydziale Łączności rządzi przewodniczący Wydziałowej Egzekutywy Partii mgr Jan Felicki. I że – mówiąc stylem ludu - „nikt im nie podskoczy”. Takie były czasy. Bieg wypadków relacjonowałem szczegółowo po 30 latach na specjalnym posiedzeniu Rady Wydziału Elektroniki w 1986 r. – w wielkiej ciszy, jakby makiem zasiał.

Partia miała ręce długie – w przestrzeni i w czasie. Gdy w 2010 r. zaproponowałem upamiętnienie profesora F.Zienkowskiego – była po temu okazja, przypadała okrągła 60 rocznica powstania Wydziału. Nie dostałem odpowiedzi, co samo w sobie jest niezwykle. Sprawa została skierowana do Komisji Historii Wydziału, obieg pism Komisji, jeżeli jakiś był, omijał moja osobę. Przypominam, że w swoim czasie (1956 r.) zorganizowanie specjalnej komisji zaproponował w czasie profesorskich narad w Dziekanacie mgr Felicki. Było oczywiste, że skoro wszedł do niej mgr Felicki i powolny względem wszelkich działań partyjnych prof. Malecki, sprawa nie mogła być załatwiona pozytywnie – profesorowie Groszkowski i Trajdos-Wróbel w swych argumentach byli „za mali” wobec Egzekutywy PZPR. Ale dlaczego teraz nie można było podjąć stosownych działań?

Sprawa była znana w środowisku i oceniana jako haniebna – profesor Szczepan Szczeniowski zgodził się objąć Katedrę Fizyki dopiero po śmierci Profesora F.Zienkowskiego.

Po przeszło tygodniowym zastanawianiu się, przeglądaniu teczki z napisem „Profesor Fr. Zienkowski”, zdecydowałem się przekazać drogą elektroniczną niniejszy list do Profesora Krzysztofa Zaremby, urzędującego Dziekana naszego Wydziału

Profesor Krzysztof Zaremba  
Dziekan Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej

Szanowny Panie Profesorze, zwracam się do Pana jako urzędującego Dziekana Wydziału, w sprawie znanej od lat 50-tych ub. wieku jako „sprawa profesora Zienkowskiego”. Byłem nie tylko świadkiem, lecz i uczestnikiem zajęć zapoczątkowujących ww. „sprawę”. Ponadto – jestem depozytariuszem zobowiązanym przez kolegów kończących studia magisterskie w 1954 r., do prowadzenia i ewentualnie dopilnowania zakończenia postulowanego procesu rehabilitacji prof. F.Zienkowskiego, obiecywanej w enuncjacjach kolejnych Dziekanów Wydziału

**Według mojej wiedzy, do ogłoszenia rehabilitacji ze strony Uczelni nigdy nie doszło.**

Przebieg manipulowanych, rzekomo spontanicznych wystąpień studentów przeciwko prof. Zienkowskiemu, przedstawiłem Radzie Wydziału w 1986r., na zaproszenie Rady, na specjalnej sesji Rady. Wniosek Rady Wydziału został przesłany do Senatu Uczelni, biegu spraw nie mogłem śledzić, bo nie byłem informowany.

Obecnie kończę pisać WSPOMNIENIA, relacje z wydarzeń ważnym w moim życiu, w tym wydarzenia z życia w Politechnice. Nie uniknę stwierdzenia we wspomnieniach niechęci władz Uczelni, zdominowanych przez czynniki polityczne, oraz braku woli – i może możliwości wyrażenia czci zasłużonemu pedagogowi, za którego moje pokolenie, a i pokolenia wcześniejsze, uczeni o głośnych nazwiskach – uważali profesora F.Zienkowskiego.

Działania zmierzające do rehabilitacji Prof. Zienkowskiego były ustawicznie odwlekane, chyba świadomie o Nim „zapominano”. Były różne możliwości po temu, szereg razy zwracałem się z przypomnieniem nasuwających się kolejnych rocznic. Moje pisma były „gubione”. Przedstawiam Panu w załączeniu naszkicowany przeze mnie (już bardzo dawno) życiorys Profesora, oraz pismo skierowane do Rady Wydziału i urzędującego Dziekana, z 28.10.2010 r., nawiązujące do możliwości wynikających z 60lecia Wydziału w roku następnym. Na to pismo nie zareagowano, nie dostałem żadnej odpowiedzi – co w naszym akademickim środowisku jest samo w sobie zadziwiające.

Kierując się poczuciem lojalności wobec Uczelni, przedstawiam Panu jako Dziekanowi nie załatwiony problem rehabilitacji, lub jakiejś innej formy wyrażenia uznania dla całokształtu obywatelskiej działalności dydaktycznej profesora Franciszka Zienkowskiego.

Nie chciałbym popełnić błędu przy przedstawianiu „sprawy prof. Zienkowskiego” we WSPOMNIENIACH, które zamierzam opublikować. Jeżeli jakieś działanie Władz Uczelni zostało przeze mnie przeoczone, lub niewłaściwie naświetlone, proszę o skomentowanie mojego widzenia poruszonych spraw, zwłaszcza omijania problemu zacierania choćby śladów po działalności profesora Zienkowskiego, tak wysoko ocenianej np. przez profesorów J.Groszkowskiego i K.Kuratowskiego.

Ze względów znanych Panu, przekazuję moje pismo drogą elektroniczną, prosząc o potwierdzenie. Mogę jednak stawić się osobiście.

Z poważaniem – Jerzy Hubert Baranowski.

Do listu dołączyłem: Życiorys prof. Fr.Zienkowskiego, oraz kopię pisma z 28.10.2010 r., (wraz z Materiałem uzupełniającym) skierowanego do Rady Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych naszej Politechniki, na ręce Dziekana Wydziału. Te pisma przedstawiają „sprawę prof. Zienkowskiego”, jako problem wciąż nie załatwiony przez Uczelnię. Są zamieszczone na stronach 59-63 niniejszego tekstu.

Ponieważ zorientowałem się już wczoraj, że prof. K.Zaremba jest zagranicą, nie mogąc zwlekać – mój czas się kończy - zwróciłem się do Sekretarki Dziekana Pani Anny Seredyn, by nawet w przypadku mojej choroby lub śmierci - dostarczyła Dziekanowi przekazaną osobno przesyłkę z ww. pismami.



„...grób Twój jeszcze odemkną powtórnie...” C.K.Norwid

**Profesor Franciszek Piotr Zienkowski (1880-1957)**

Urodził się 12 lutego 1880 r. w Pękowie koło Pułtusza. W 1888 r. ukończył (ze złotym medalem) gimnazjum filologiczne w Radomiu. Po złożeniu egzaminu konkursowego został przyjęty do Politechniki Warszawskiej. W marcu 1903 r. kończy studia na Wydziale Chemii, otrzymuje dyplom inżyniera technologa pierwszego stopnia. Wobec bardzo dobrych wyników studiów, Politechnika samorzutnie ofiaruje stypendium na dalsze studia. W tym czasie Politechnika Warszawska jako uczelnia dopiero się organizowała i Fr.Zienkowski był wśród pierwszych jej absolwentów. Podejmuje pracę i studia w laboratorium prof. J.Wagnera, a po jego śmierci, w końcu 1903 r. wyjeżdża do Getyngi, dla uzupełnienia studiów zakresie fizyki i chemii.

W styczniu 1905 r. po wykonaniu pracy dyplomowej i złożeniu egzaminów (*summa cum laude*) otrzymuje stopień doktora filozofii. Jeszcze jakiś czas przebywa na uniwersytecie w Getyndze. W kwietniu wraca do Warszawy zastając bardzo gorącą atmosferę. Był to czas strajku szkolnego i walki o szkołę polską. Na szerszą skalę organizowało się polskie szkolnictwo średnie. Fr.Zienkowski rozpoczyna pracę w szkołach średnich i na wyższych kursach, mających częściowo zastąpić młodzieży brak szkół wyższych. Następuje okres wyężonej pracy, trwający nieprzerwanie aż do 1939 r.

Fr.Zienkowski wcześnie ujawnia nieprzeciętny talent dydaktyczny i chętnie jest angażowany do różnych szkół męskich i żeńskich. Najdłużej był związany z Gimnazjum P.Chrzanowskiego (1910-1939), jednak wykłada równolegle w innych miejscach, m.in. fizykę i chemię na Wyższych Kursach Zrzeszenia Nauczycieli, na wyższych Kursach Leonii Rudzkiej, kursach zorganizowanych przez Towarzystwo Kursów Naukowych. W 1915 r. objął wykłady Fizyki po prof. W.Biernackim na Kursach Przemysłowo-Rolniczych. Kursy te zostały wkrótce przekształcone w Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego, w której Fr.Zienkowski jako docent etatowy wykłada do 1920 r. W tym roku otrzymuje zwolnienie na własną prośbę.

W czasie II Wojny Światowej Fr.Zienkowski od 1939 r. do Powstania Warszawskiego naucza w tajnych kompletach zorganizowanych wokół Szkoły Zgromadzenia Kupców, opiekując się jednocześnie ocalałą stworzoną przez siebie, zasobną pracownią fizyczną szkoły przy ul.Prostej 14. Na podstawie przepustki wydanej przez władze okupacyjne odwiedzał pracownię dwa razy tygodniowo, ostatni raz trzy dni przed jej rozgrabieniem i zniszczeniem.

W czasie okupacji wznowiono wykłady w Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Wawelberga i Rotwanda, gdzie Fr.Zienkowski prowadził wykłady aż do wybuchu Powstania Warszawskiego. Po wypędzeniu mieszkańców Warszawy przez jakiś czas przebywał w Mogile koło Krakowa, zajmując się nauczaniem młodzieży wiejskiej o różnych poziomach przygotowania, aż do jesieni 1945r., kiedy wznowił wykłady z fizyki w Szkole Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda, oraz w wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi.

Jego zamiłowanie do pracy laboratoryjnej i głęboka wiedza w zakresie fizycznych przyrządów pomiarowych w owym czasie były należycie oceniane, gdyż został mianowany członkiem Komisji Min. Oświaty do oceny przyrządów fizycznych.

Jako pedagog był Fr.Zienkowski postacią wybitną w środowisku warszawskich nauczycieli szkół średnich, a później szkół technicznych wyższych. Opracował podręcznik chemii do użytku szkół średnich wspólnie z S.Mucho.

Jednak główny jego wkład w rozwijanie dydaktyki w zakresie fizyki polegał na umiejętności znakomitego organizowania pracowni fizycznych i wdrażania umiejętności poprawnego prowadzenia eksperymentu i towarzyszących im obliczeń. Wiedza poparta sumiennością i obowiązkowością zjednywały jego słuchaczy i były źródłem głębokiego szacunku.

W 1951 r. nastąpiło przyłączenie Szkoły Inżynierskiej im. Wawelberga i Rotwanda do Politechniki Warszawskiej. W uznaniu dotychczasowych osiągnięć dydaktycznych, profesorowi Fr.Zienkowskiemu powierzono wykłady i kierownictwo Katedry Fizyki na świeżo powołanym Wydziale Łączności (obecnie Wydział Elektroniki). Zapowiedziano formalną stabilizację na stanowisku Zastępcy Profesora, po zakończeniu procesu reorganizacji obu Uczelni. To połączenie było i jest po dziś dzień żywo komentowane – również w sensie negatywnym, gdyż Szkoła Inżynierska im. W. i R. miała reputację szkoły przygotowującej bardzo dobrze inżyniera-praktyka do pracy zawodowej.

Połączenia Szkół dokonano wbrew poglądom kadry nauczającej Szkoły Inżynierskiej, która obawiała się zdominowania przez kadrę Politechniki Warszawskiej.

Ostatnie lata życia profesora Fr.Zienkowskiego były pełne gorzkości. Ten 72-letni człowiek po blisko 50-letniej pracy w szkolnictwie został nie słusznie oskarżony o działalność wrogą Polsce i w przyspieszonym trybie usunięty z Uczelni. Podstawą oskarżenia były pełne absurdalnych sformułowań zarzuty wysunięte wiosną 1952 r. przez grupę młodzieżowych działaczy, którym nie odpowiadała pełna godności, niezależna postawa starego profesora.

Sprawa profesora Fr.Zienkowskiego, oraz kilku innych profesorów usuniętych w tym czasie z różnych Uczelni, była niezmiernie głośna. Bardzo głęboko – w sensie negatywnym, zaważyła na kształtowaniu się umysłów i postaw młodzieży akademickiej.

Prof. Fr.Zienkowski po opuszczeniu Uczelni pracował jeszcze kilka lat w Państwowych Zakładach Pomocy Szkolnych. Zamknięty w sobie, zajmował się konstrukcjami przyrządów fizycznych, będąc blisko ulubionej Fizyki i Laboratorium Fizycznego. W trudnych warunkach materialnych opiekował się troskliwie swymi dwoma ciężko chorymi siostrami, z którymi mieszkał. Od 1954 r. trwały intensywne starania młodzieży i przyjaciół o rehabilitację i przywrócenie stanowiska profesora, chociażby symbolicznie. To postępowanie było zbyt powolne, w końcu znalazło jednak swój wyraz w Uchwale Rady Wydziału Łączności P.W. mającej charakter wniosku rehabilitacyjnego (z datą 16 stycznia 1957 r.) zaadresowanego do Ministra Szkolnictwa Wyższego i podpisanego przez Dziekana Wydziału doc. A.Kilińskiego. We wniosku uzasadniono potrzebę pełnej rehabilitacji prof. Fr.Zienkowskiego, zaś w innym piśmie (z 26 stycznia 1957 r.) Rada Wydziału zwróciła się do Prorektora Politechniki Warszawskiej o wyznaczenie referentów do merytorycznej oceny działalności profesora Fr.Zienkowskiego, sygnalizując zamiar wystąpienia z wnioskiem o nadanie tytułu profesora nadzwyczajnego.

Rektor Politechniki w piśmie z 29 stycznia 1957 r. powołał Fr.Zienkowskiego do pracy w charakterze Zastępcy Profesora.

Te działania były spóźnione, prof. Fr.Zienkowski zmarł 30 stycznia 1957 r. O ile wiadomo, rehabilitacja prof. Fr.Zienkowskiego nigdy nie została ogłoszona, ani nawet postanowiona.



Jerzy Hubert Baranowski, prof. emerytowany w ISE

Warszawa, 28.10.2010

Rada Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej,  
na ręce Dziekana Profesora Jana Szmidta

Wysoka Rado, Szanowny Panie Profesorze!

W perspektywie 60 lecia naszego Wydziału, przypadającego na rok przyszły, zwracam się do Rady i Dziekana Wydziału o podjęcie działań dla upamiętnienia postaci i zasług Profesora Franciszka Zienkowskiego, któremu wyrządzono w początkowych latach naszego wydziału ogromną krzywdę. Krzywdę wyrządzono wtedy całej społeczności akademickiej, tak studentom, jak i kadrze profesorskiej, bo do tej pory ciągnie się za środowiskiem akademickim ślad tchórzliwej potulności wobec poczynąń aktywistów, przedstawicieli jedynie słusznych poglądów etycznych. Krzywda ta nie została do tej pory właściwie skomentowana, ani wyprostowana choćby symbolicznie, mimo podejmowanych prób. Rozbijały się o złowrogą postawę panującego wszechwładnie establishmentu. Sędziwy Profesor Zienkowski, usunięty z Uczelni w połowie kwietnia 1952 r. na podstawie kłamliwych oskarżeń, zmarł w styczniu 1957 r.

Jestem z pierwszego rocznika naszego Wydziału, doskonale pamiętam znakomite wykłady Profesora Zienkowskiego, egzamin u Niego po pierwszym semestrze Fizyki, oraz otaczające Go uznanie i wielki szacunek słuchaczy.

Franciszka Zienkowskiego najlepiej charakteryzuje w swoim życiorysie jego uczeń, Janusz Groszkowski. Przywołując swego nauczyciela gimnazjalnego, przypisuje Mu istotną rolę w pogłębieniu zamiłowania do doświadczeń fizycznych, i we wzruszających słowach nazywa Go „najwspanialszym człowiekiem”. Ta opinia, zawarta na samym początku życiorysu Janusza Groszkowskiego, jest dostępna w Internecie. Jednak nawet starania Janusza Groszkowskiego o przywrócenie czci i stanowiska Prof. Fr. Zienkowskiemu nie dały rezultatu. Zabrakło czasu, a wkrótce zresztą sam Prof. J. Groszkowski, jak wiadomo, znalazł się w sytuacji konfliktowej wobec wyznawców jedynie słusznych poglądów etycznych. Starania studentów zdeorientowanych biegiem wydarzeń były wczesne i miały na celu przywrócenia Profesora na Uczelnię. Niestety, pod pilnym nadzorem lokalnych „aktywistów” nie mogły być skuteczne. Jednak w 1955 r. zostały zorganizowane wiece studenckie, o bardzo burzliwym przebiegu, na których powzięto uchwały domagające się powrotu Profesora Zienkowskiego na Uczelnię. Na wszelkie działania było już jednak za późno, zresztą opór lokalnych „aktywistów”, popieranych w górnych piętach władzy, był duży i decydujący. Z siłą tego oporu zmierzyłem się, gdy wraz z drugim upoważnionym kolegą z kończącego się już kursu magisterskiego prowadziłem z „aktywistami” rozmowy w gabinecie Profesora Wróbla-Trajdosa, który też był uczniem Profesora Zienkowskiego, i udostępniając nam swój gabinet na rozmowy, próbował życzliwej mediacji. Było to na rok przed tzw. Wypadkami Poznańskimi.

Panie Dziekanie, 30 lat temu na zaproszenie Rady Wydziału złożyłem szczegółowe sprawozdanie z biegu wydarzeń związanych z prowokacją wobec Prof. Zienkowskiego. Rada Wydziału wysłuchiwała relacji w głębokim skupieniu, i powzięła stosowne uchwały, które zapoczątkowały dyskusję i uchwały Senatu Politechniki. Jednak i tym razem bieg spraw zmierzających ku rehabilitacji nie był szybki. Ze swej strony, dysponując nader skąpych materiałami, opracowałem życiorys Profesora Fr. Zienkowskiego, który stał się podstawą publikacji w książce „Dorobek i historia Wydziału Elektroniki Politechniki Warszawskiej 1977-1986”, wydanej na 35 lecie. Opublikowany, a nie autoryzowany przeze mnie tekst w małym stopniu przypominał moje ujęcie, był pełen opuszczeń i przeinaczeń – tak, jakby komuś złośliwie nadal zależało na zamazywaniu zasług Profesora Franciszka Zienkowskiego.

Przykro to stwierdzić, ale historia się powtórzyła, i to w jeszcze gorszym wydaniu. Bo w opracowaniu „Profesorowie i docenci Wydziału elektroniki i technik informacyjnych Politechniki Warszawskiej 1951-2001”, wydanym okazale na 50 lecie Wydziału, osobę Profesora Zienkowskiego w ogóle pominięto. Przypadek to, czy opieszałość i krótka pamięć redaktorów? Czy też pamiętliwość i długie ręce „aktywistów”?

Uważam, że w perspektywie 60 lecia Rada Wydziału, chociaż składająca się z ludzi młodych, zapewne niepomniających, a może i nie znających wydarzeń z przed półwiecza, zechce zająć odpowiednie stanowisko, w imię ciągłości oceny historii Wydziału, w imię prawdy o Profesorze Franciszku Zienkowskim. Wyrażam nadzieję, że w opracowaniach rocznicowych osoba Profesora będzie przedstawiona kompetentnie i życzliwie. Istniejące w Internecie opracowanie Kazimierza Chmielowskiego oceniam jako niepełne, fałszywie interpretujące fakty, zwłaszcza zaś w zakresie określenia inicjatorów prowokacji.

Materiały uzupełniające (11.11.2010)

do pisma złożonego na ręce Dziekana prof. Jana Szmidta 4.11.2010, adresowanego do Rady Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych PW, w sprawie Profesora Franciszka Zienkowskiego, Kierownika Zakładu Fizyki w Szkole Inżynierskiej Im. Wawelberga I Rotwanda, połączonej w 1951 r. z Politechniką Warszawską (pismo nosi datę 28.10.2010).

1. Dziekanowi Wydziału, Profesorowi J. Szmidtowi, w czasie przekazywania i omawiania treści pisma kierowanego do Rady Wydziału został też przekazany egzemplarz książki „HISTORIA I DOROBEK Wydziału Elektroniki Politechniki Warszawskiej 1977-1986”, Warszawa 1986. W tej książce w rozdziale 5 pt.: PROFESOROWIE I DOCENCI WYDZIAŁU ELEKTRONIKI, w części poświęconej zmarłym profesorom i

docentom, jest zamieszczony życiorys Profesora Franciszka Zienkowskiego (1880-1957), str. 223-224. W życiorysie wyraźnie jest powiedziane, że Profesorowi F.Zienkowskiemu *powierzono wykłady i kierownictwo Katedry Fizyki na powołanym właśnie Wydziale Łączności. Zapowiedziano też formalną stabilizację na stanowisku zastępcy profesora, po zakończeniu reorganizacji.*

2. W księdze „WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO WYDZIAŁU ELEKTRONIKI I TECHNIK INFORMACYJNYCH POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ 1951-2001”, Warszawa 2001, zawierającej zbiór esejów pod redakcją Romana Z.Morawskiego, wydanych z okazji Jubileuszu Pięćdziesięciolecia Wydziału, znajduje się wzmianka o próbach rehabilitacji profesorów usuniętych w czasach stalinizmu, w tym profesora Franciszka Zienkowskiego, tuż po śmierci Bolesława Bieruta. Wzmianka jest przytoczona niżej. „Już na kwietniowym posiedzeniu Rada Wydziału Łączności podjęła delikatny temat rehabilitacji profesorów szykanowanych w latach stalinizmu. Świadczy o tym następujący zapis w protokole z 24 marca 1956 r.: *Prof. Ryżko omawia sprawę możliwości rehabilitacji prof. Zienkowskiego. Bardziej szczegółowo referuje to zagadnienie prof. Wróbel, który zajmuje się nim, jako były opiekun rocznika studenckiego, który przed kilku laty potępił prof. Zienkowskiego. Prof. Wróbel zaznaczył, że jest w trakcie badania sprawy i nie ma jeszcze sprecyzowanego poglądu. Po dyskusji (...) postanowiono na wniosek mgr Felickiego powołać komisję do zbadania możliwości rehabilitacji prof. Zienkowskiego. Do komisji obrano prof. Groszkowskiego, prof. Małeckiego, prof. Wróbla i mgr Felickiego. Zbliżał się czas, gdy przywrócono prawo nauczania wielu wybitnym humanistom polskim usuniętym z uniwersytetów: Romanowi Ingardenowi, Władysławowi Tatarkiewiczowi, Stanisławowi Ossowskiemu i Marii Ossowskiej.*”

Komentarz: Prof. Zienkowski nie doczekał się rehabilitacji, zmarł w styczniu 1957 r. W materiałach wydanych z okazji jubileuszu 50 lecia wydziału Elektroniki nie ma jakiegokolwiek wzmianki o dalszych staraniach rehabilitacyjnych, chociaż wiadomo, że Rada zajmowała się tym problemem, a ich wynikiem było właśnie m.in. opublikowanie życiorysu Profesora, w księdze wymienionej w p.1. Życiorys zredagowany przez J.H.Baranowskiego, opublikowano w ujęciu bardzo ograniczonym, z przeinaczeniami i błędami.

### Niedziela, 20 listopada 2016 r.

Oczekując na zajęcie stanowiska przez Dziekana Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej, w kwestii nie załatwionej – chociaż kilkakrotnie rozważanej rehabilitacji Profesora Franciszka Zienkowskiego, przedstawiam niżej pewne inne wydarzenia z przed kilkudziesięciu lat. Te wydarzenia miały charakter serii prowokacji wobec znanych profesorów, by przetestować i ewentualnie wymusić ich uległość wobec Partii.

Są znane konfliktowe posunięcia wobec profesora Janusza Groszkowskiego, który najpierw nastawił się na dobrą współpracę z władzami Uczelni, może nie zdając sobie sprawy z tego, że w istocie wszystkie działania wymuszają zewnętrzne czynniki partyjne. Ta „współpraca” załamała się, gdy zaczęto oczekiwać od Profesora akceptacji i niemal firmowania swym autorytetem wątpliwej jakości prac niby „naukowych” osób wytypowanych przez PZPR na awansowanie i sprawowanie funkcji kierowniczych w Uczelniach, i poza nimi.

Przebieg „współpracy”, i narastanie konfliktu między profesorem J.Groszkowskim i czynnikami partyjnymi nadal nie jest w pełni znany, ale z niektórymi szczegółami oszczerczych ataków na Profesora – dokonywanych i obecnie - można zapoznać się w Internecie. Mało są znane, lub wcale, prowokacje dokonywane wobec innych profesorów. O jednej takiej prowokacji, skierowanej głównie – tak mi się wydaje - wobec profesora Stanisława Ryżki, pamiętam, bo byłem jej świadkiem. Profesor Ryżko cieszył się uznaniem i oczekiwano, że obejmie funkcję Dziekana Wydziału. Wiedzano też, że był praktykującym katolikiem, i na tym oparta została prowokacja, głupio pomyślana, ale mająca na celu postawienie Go w trudnej sytuacji sprzeniewierzenia się wyznawanym zasadom religijnym. W tym celu natchnieni duchem demaskatorskim „aktywiści”, w porozumieniu z Egzekutywą Wydziałową PZPR, zaprosili Profesora Ryżkę na „spotkanie zapoznawcze”, z wieczorkiem tanecznym – w sam dzień Wielkiego Czwartku, przed Wielkanocą. Wśród zaproszonych było kilku innych wykładowców, a również niektórzy studenci wytypowani jako „przodownicy nauki” – wśród nich i ja. Moim bliskim kolegą na studiach był Janek Ryżko, bratanek Profesora, więc wiedziałem o rozterkach profesora Ryżki, wahaniach, czy przyjąć to

niegodziwe zaproszenie. Prowokacja była oczywista, odrzucenie zaproszenia wywołałoby pogłębienie toczonej właśnie dyskusji nad „szkodliwą”, wsteczną rolą religii w społeczeństwie. Pamiętam, jak na niedawnym zebraniu instruowano członków ZMP, jak toczyć walkę z religią, zapamiętałem też gest wykonany na zakończenie zebrania przez jednego z aktywistów. Ten osilek (zdaje się, że nosił nazwisko Połonski) wyciągnął przed siebie dłonie, obie jak bochny chleba, i pokazał, co należy i co może zrobić z „wierzącymi” (nie przeszkodziło mu to po dwóch latach uciec do Szwecji). Otóż, postanowiłem „uświecić” to spotkanie, zaproponowałem przeczytanie pewnego utworu Jana Lemańskiego, znanego przed wojną poety i bajkopisarza, odnowiciela bajki polskiej w stylu Ignacego Krasickiego. Dla uzyskania alibi pokazałem ten utwór do zatwierdzenia czołowemu aktywiście koledze Krzysztofowi Kowalskiemu, ten nie przewidując podstęp, zatwierdził mój występ. Dla pewności poinformowałem go, że bajka pt. „Ruch etyczny” została napisana grubo przed wojną, jeszcze w latach 20tych.

No i przeczytałem, niemal na samym początku „wieczorku” ową wierszowaną bajkę – zaczynającą się od słów:

W pewnej gminie  
naprawę swego bytu uraiły świnie.  
Na wygonie pod lasem stanął wiec.

Nie przytaczam całego dość długiego utworu Lemańskiego, ale jego ironiczny sens został w pełni zrozumiały, bo najpierw zapadła cisza pełna konsternacji. Przerwał ją rozpaczliwy okrzyk Kowalskiego, który dopiero wtedy się zorientował, co zaszło - ”koledzy, pamiętajcie, że to było napisane przed wojną!”

Tym okrzykiem oddalił odium ode mnie, wziął na siebie odpowiedzialność wobec partii – no i nieświadomie potwierdził adekwatność utworu Lemańskiego do obecnej sytuacji. Bajka opisywała uchwalenie wolności i ucieczkę trzody do lasu, ale i ułomność – niestałość natury „świńskiej”, która postanawia zrezygnować z wolności – ostatnia zwrotka bajki tak brzmi:

Tu dziejopis rzuca pióro,  
by załamać ręce nad słabą naturą świńską.  
Jakże niewytrwale dusze zlepią z ciałem przyrodzenie!  
Zaledwie pierwsze wpłynęły w bór zachodu cienie,  
Wszystkim jakoś łzawo patrzyły ślepią,  
a kiedy zorza ostatnim szkarłatem bluznęła po niebie,  
wróciła trzoda do chlewów - do siebie,  
wróciła tęskniąc za psem, za batem,  
za zwykłą strawą warzoną w saganie –  
wróciła – znowu mistyczne czekanie oblewać łzami,  
zgadując, kto też najprędzej będzie wędził się w śwędzie  
jałowca jutro na polędwicę albo salami?...

*Jan Lemański. Cytat wg.: Wybór bajek, PIW 1956*

Więc osiągnąłem, co chciałem, – ale mi to wystąpienie w kręgach partyjnych zapamiętano. Na długo.

**Czwartek, 24 listopada 2016 r.**

Opuściłem się w relacjonowaniu bieżących informacji – ale też nic ciekawego nie nadchodzi. Odchodzi Obama, a Trump powoli zmienia obietnice wyborcze. Beata Szydło jakby w teczce przywiozła z Waszyngtonu nowego wice-ministra MSW (lat 43) – pierwotne nazwisko Robert Piotr Grygielko, po wyjeździe do USA w wieku 13 lat zmienił na Robert Etan Grieg. 22 listopada minęła setna rocznica śmierci Jacka Londona. Żył tylko 40 lat, urodził się w tym samym 1876 roku, co mój Ojciec.

Bardziej konkretne wydarzenia: Andrzej po długim przymierzaniu się wyjechał wreszcie do lasu na polowanie - ale zamiast kozła wyszedł niedźwiedź – wyszedł i zaraz uciekł. Andrzej

zawziął się i rewitalizuje swoje 27 letnie Suburbaru – skorodował w tym aucie bak na paliwo. Ja zaś byłem z eskortującą Basią w Politechnice – są spore zmiany personalne, ale spotkałem się z „dziewczynami”, sekretarkami – Hanią Popławską, Basią Kozielską, Elą Styczek, Małgosią Wierzbicką – Basia Krawczyńska przeszła już na emeryturę. Byłem w Księgarni w Gmachu Głównym – moja „Balistyka współczesna” powoli „schodzi”. Dzwoniłem do Marka Rajwackiego – zwolniono go ze szpitala po pierwszej serii chemoterapii, czuje się dobrze, ale czekają go dalsze serie takich działań. Jest dobrej myśli.

Zanim wrócę do dalszego relacjonowania postanowień w sprawie rehabilitacji Prof. F. Zienkowskiego, co nastąpi nie wcześniej, niż po rozmowie z Dziekanem K. Zarembą po jego powrocie z Japonii, postaram się przedstawić przebieg wydarzeń związanych z moją habilitacją – przeprowadzoną przez Radę Wydziału w roku 1976, unieważnioną przez CKK i ponownie przeprowadzoną, na podstawie innej monografii, dopiero w 1985 r.

Chciałbym przy okazji przedstawić, choćby krótko, główną ideę habilitacji – metodę sekcji ładunkowych w zastosowaniu do modelowania elementów półprzewodnikowych bipolarnych. Powinienem sprawy habilitacji i modelowania rozważać równolegle – ale może to być niełatwe do zrelacjonowania, bo jest i wątek emocjonalno-polityczny.

Najpierw o pierwotnej habilitacji, na podstawie książki „Półprzewodnikowe układy impulsowe i cyfrowe”, WNT 1976, 827 stron, wydanie drugie – znacznie rozszerzone w stosunku do pierwszego wydania tej książki z 1970 r., opartego na wcześniejszych dwóch moich monografiach „Półprzewodnikowe elementy układów impulsowych”, WNT 1969, 268 stron, oraz „Półprzewodnikowe układy impulsowe”, WNT 1970, 313 stron. Pomysł, by książkę przedstawić jako rozprawę habilitacyjną bez pisania oddzielnej rozprawy, wysunął profesor Jerzy Osowski, po naradach w gronie profesorów Wydziału. Sam o tym nie myślałem, ale w końcu tak się stało, że Rada Wydziału Łączności przegłosowała pozytywnie ten projekt i postanowiła olbrzymią większością głosów nadać mi tytuł doktora habilitowanego. Pewną przesłanką do tego stało się być może awansowanie mnie już w 1972 r. na stanowisko docenta uprawniające do doktoryzowania – bez habilitacji, i z tego uprawnienia już zaczynałem korzystać, rozwijając prace w dziedzinie elektronicznych układów impulsowych.

Odmowa uznania mojej habilitacji przez CKK nie była poparta żadnym uzasadnieniem, jej podstawą była dodatkowa recenzja moich prac zamówiona przez CKK, treść recenzji i sama osoba recenzenta były tajne. Jednak, chociaż nie starałem się, wkrótce poznałem osobę recenzenta i treść jego opinii. Recenzentem był Cezary Ambroziak, były student z rocznika na którym ongiś jako początkujący asystent prowadziłem zajęcia, który stał się po studiach w szybkim tempie profesorem. Znałem go, oczywiście, był bardzo ambitny i zdolny, ale nie rozumiałem, dlaczego formułuje absurdalne zarzuty pod moim adresem, przy tym w stylu robiącym wrażenie, że recenzję napisano szybko, byle jak, może pod dyktando i na kolanie.

A przecież z kierowanego przez prof. Ambroziaka Inst. Technologii Elektronowej, należącego do CEMI, otrzymywałem zlecenia na zaprojektowanie układów scalonych UL 940, UL 1261, UL 12 62 przeznaczonych do synchronizacji odchylania poziomego i pionowego odbiorników TV, oraz bardzo złożonego układu UL 1540 będącego kontrolerem i sterownikiem zasilacza impulsowego. Te układy, odznaczające się najwyższym stopniem scalenia, zostały w moim Zespole Naukowym zaprojektowane starannie i ich produkcja wkrótce ruszyła z niezwykle wysokim uzyskiem. Projekty zaopatrzyliśmy w opracowane dodatkowo układy kontrolno-pomiarowe, opracowaliśmy też kilka Raportów Naukowych opisujących zarówno zasady działania układów, jak i obliczenia ułatwiające optymalizację procesu technologicznego. Więc trudno mi zrozumieć, jakie względy zdecydowały, że zostałem poprzez Ambroziaka - za sprawą jego tajnej recenzji – uderzony tak skutecznie?

Wiem, że stanowisko CKK wywołało wzburzenie wśród członków Rady Wydziału, odgłosy tego wzburzenia – chyba istotnie znacznego – docierały do mnie. Prof. A. Smoliński, który miał pewien wgląd w obrady CKK, powiedział mi, że nie chodziło o mnie, a tylko o to, by rozprawy habilitacyjne były pisane jako osobne prace, jak dawniej. Trudno mi było uwierzyć, ale może istotnie tak było? Przeczyła temu paskudna treść recenzji – tak była napisana, jakby komuś zależało na rzuceniu mi kłody pod nogi. To działanie mogło wychodzić z Politechniki, od jej Organizacji Partyjnej. Bo, na przykład, Organizacja Partyjna Dzielnicy Wola, bardzo dobrze oceniała moją współpracę z Zakładami Radiowymi im. Kasprzaka na Woli. A od Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego dostałem nagrodę za tę samą książkę, ponadto, w 1975 r. zostałem mianowany – dość niespodziewanie – na stanowisko Kierownika Zakładu Układów Elektronicznych, zapewne nie bez akceptacji PZPR.

Problemy rozszyfrowywania tajnych działań w sprawie utraty mojej habilitacji nie bardzo mnie absorbowały w tym czasie, czułem sam, że ciągle jestem na wznoszącej się jeszcze fali uznania mnie, jako wykładowcy, i jako kierownika dużego zespołu Techniki Impulsowej, który wokół mnie się utworzył samorzutnie, ze zdolnych, może najzdolniejszych studentów kierunku aparatury pomiarowej. Generatory impulsowe, oraz oscyloskopy próbujące o paśmie 1 GHz – robiły nam reklamę, w kraju i za granicą. Prowadziłem prace doktorskie, sam pisałem i innych namawiałem do opisywania swoich pomysłów i osiągnięć.

Więc z habilitacją – nie wiedząc z której strony przeszedł cios - postanowiłem jeszcze poczekać. Zwłaszcza, że zacząłem wtedy poznawać zasady dopiero rodzącej się techniki analizy komputerowej układów elektronicznych i fascynowały mnie poznawane nowe możliwości. Taka była treść mego życia.



Niemniej, sporą satysfakcję sprawiły mi słowa uznania przekazane dla mnie ze strony „środowiska” przez Panią Helenę Biegańską, wieloletnią Kierowniczkę Dziekanatu Wydziału. Była Osobą wielce zasłużoną w wojennej konspiracji – bardzo Ją szanowano i z jej zdaniem starano się liczyć, nie tylko w sprawach administracyjnych. To były słowa otuchy i uznania, że nie załamalem się, po odmowie uznania habilitacji przez CKK. Helena Biegańska, konspiracyjna „Agnieszka”, była dyskretnym emisariuszem po-powstaniowych kręgów naszego środowiska. Jej życiorys, opisujący pobyt na Szucha i na Pawiaku, oraz działania wobec osób tam uwięzionych, starannie przechowuję.

Moje sprawy toczyły się tak – byłem kierownikiem dużego Zakładu Naukowo- Dydaktycznego, chyba największego na Wydziale, o obciążeniu dydaktycznym z reguły przekraczającym 10 000 godzin rocznie. Byłem też kierownikiem sporego Zespołu Impulsowego, z którego co jakiś czas wydzielalem oddzielne Zespoły, mające ambicje funkcjonowania samodzielnego, chociaż formalnie pod moim kierownictwem. Uważałem za naturalne takie „pączkowanie”. Tylko trochę było mi przykro, że to dlatego, że ja zostałem w awansowaniu zastopowany, moi wybitni współpracownicy nie mając wizji dobrej przyszłości, przebijają nogami i myślą o przejściu do innych instytucji, a nawet o wyjeździe z Kraju. I te myśli rzeczywiście z czasem zaczęły się spełniać, zamieniać w fakty, choć nie od razu.

Moje sprawy po latach jednak ruszyły z miejsca. Przyczynił się do tego Dziekan profesor Jan Ebert, zapraszając mnie z nagłą na rozmowę w sprawie habilitacji, zaznaczając, że na rozmowę zaprasza również profesora Alfreda Świta. Na tę zapowiedź zjeżyły mi się nieco włosy, bo Alfred Świt należał do partyjnych „jastrzębi” i uważano, że to on mógł stać za utraceniem mojej habilitacji. Na rozmowę u Dziekana poszedłem więc nastawiony mocno nieufnie, i początkowo rozmowa się nie kleiła. Jednak, gdy w zagajeniu rozmowy Dziekan otwarcie stwierdził, że przyszedł czas na uładzenie całej sprawy i poprosił o wypowiedź prof. Świta jako przedstawiciela Partii, ze strony prof. Świta nieoczekiwanie usłyszałem łagodne i wyraźnie zachęcające wypowiedzi, skierowane do mnie. Na takie dictum i ja złagodniałem. W rezultacie rozeszliśmy się w znacznie lepszej atmosferze, przynajmniej tak mi się zdawało. Ocenilem tę rozmowę jako dobrą zachętę do działania na rzecz powtórzenia procesu habilitacji, z przekonaniem, prawie z gwarancją, że nikt mi świństw tym razem czynić już nie będzie. A temat rozprawy mógłby być w zasadzie ten sam, tylko zmieniony o tyle, o ile w ciągu kilku lat uzupełniłem i zmodyfikowałem swoje poglądy w dziedzinie modelowania elementów przełącznikowych. Zdecydowałem też napisać oddzielną pracę, i o ograniczonej objętości, zamierzając wprowadzić w niej nową metodę modelowania przez zastosowanie sekcji ładunkowych, przydatną w zastosowaniu do cyfrowych analiz komputerowych.

Muszę wyznać, że prof. Świt jeszcze kilka razy przy spotkaniu ze mną zatrzymywał się i podnosił potrzebę zdobycia się na wysiłek habilitowania się, przy tym wyrażał swoje rady znowu życzliwie, tonem niezwykle jak na niego łagodnym. Bo był znany z wypowiedzi dość ostrych, zdradzając inteligencję typu ironicznego. On był człowiekiem właściwie młodym, tylko o dwa lata starszym ode mnie, jego ironia i pewna gorzkość wypowiedzi mogła wynikać z tego, że był ciężko chory, na gruźlicę, tak jak i ja, tylko on dużo ciężiej (zmarł w 1999 r.).

Mimo zachęcających wypowiedzi, nauczony doświadczeniem postępowałem ostrożnie, swoją nową metodę modelowania elementów bipolarnych przez zastosowanie sekcji ładunkowych chciałem przedstawić jako dobrze opracowaną, i przydatną do analizy komputerowej. Chociaż mogła być zastosowana do tranzystorów i diod różnego typu, postanowiłem przedstawić jej walory w modelu diody ładunkowej – elementu o unikalnych właściwościach, bardzo już wtedy szeroko używanego w technice powielania częstotliwości mikrofalowych, oraz w technice impulsowej, szczególnie do wytwarzania wąskich impulsów próbkujących zakresu sub-nanosekundowego. Właściwości diod ładunkowych, nazywanych też diodami *pin*, a nieco później diodami SRD (*step recovery diode*), zostały najpierw opisane przez zespół badaczy: Boff A.F., Moll J.L., Shen R., Krakauer S., Kotzebue K.L. (zob. spis literatury przy końcu cz. 4) którzy wykryli niezwykle właściwości pewnych rodzajów diod ze złącem p-n, próbowali wyjaśnić te właściwości – i od razu określili zakres możliwych zastosowań do generacji wyższych harmonicznych w zakresie mikrofal.

Jednakże liczne próby zbudowania modelu diod SRD przydatnego do obliczeń, a choćby tylko wyjaśniającego poprawnie ich właściwości, podejmowane w ciągu ponad 20 lat, były nieudane. Zresztą, nawet technologia takich diod zmieniała się, najpierw często wykrywano specyficzne zjawiska charakterystyczne dla diod SRD w elementach produkowanych dla innych celów, my np. wykryliśmy je w zwykłych diodach prostowniczych produkowanych przez pewną zachodnią firmę. Te specyficzne zjawiska, to: wydłużony czas wstępnego wyłączania diody SRD, oraz niezwykle szybki przebieg drugiej fazy wyłączania, gdy tylko rozpocznie się proces zmiany napięcia w zakresie nazywanym napięciem polaryzacji zaporowej. Dlatego do diod SRD nie może być zastosowany używany dotychczas zwykły model diody konwencjonalnej, składający się z nieliniowej rezystancji i związanej z nią pojemności, reprezentujących jedną stałą czasową diody. O ile diodę konwencjonalną można nazwać diodą szybką (charakteryzując ją jedną i małą wartością stałej czasowej), to taka nazwa nie jest właściwa dla SRD. Dioda SRD wyłącza się na początku bardzo wolno, więc jest rodzajem wyłącznika opóźnionego, ale po tym opóźnieniu - wyłączającego się bardzo szybko – znacznie szybciej, niż podobna dioda zwykła. I właśnie ten bardzo szybki fragment procesu wyłączania jest najbardziej użyteczny zarówno w układach wytwarzania harmonicznych wysokiego rzędu w powielaczach częstotliwości, jak i w układach impulsowych do wytwarzania impulsów szpilkowych, poprzez różniczkowanie szybko zmieniającego się zbocza przebiegu wyłączającego.

W latach 1959-1985 powstawały zarówno nowe koncepcje technologiczne wytwarzania diod ładunkowych, jak i coraz to nowsze koncepcje wyjaśniania zachodzących w nich procesów, oraz powiązane z nimi propozycje budowy modeli SRD przydatnych do rozpowszechniających się numerycznych analiz układów elektronicznych. Ten długi – ponad 20 letni okres - z obecnej perspektywy podzieliłbym na dwie części.

W pierwszym okresie, zastanawiając się nad uzasadnieniem długiego wstępnego etapu wyłączania SRD (nazywanej wtedy częściej – nawiązując do struktury – diodą *pin*, lub diodą *pnp*<sup>+</sup>), długi proces wyłączania uzasadniano prawidłowo gromadzeniem się dużego ładunku w części środkowej diody (zwanej bazą, tak samo, jak w warstwowym tranzystorach bipolarnych). Przyjmowano przy tym, że przeważająca część ładunku wprowadzanego z emitera typu *p* gromadzi się w bazie tuż przy złączu *pn*, z tego wyprowadzano dwa wnioski – pierwszy uzasadniający nierównomierne gromadzenie się ładunku w bazie, jako wynikające z istnienia pola hamującego ruch nośników w bazie, i drugi wniosek, uzasadniający szybkość drugiego etapu wyłączania małą wartością ładunku pozostałego do usunięcia. Taką wizję procesów transportu nośników ładunku w bazie głosiły ówczesne publikacje, i taką przedstawiłem w swojej monografii „Elementy półprzewodnikowe układów impulsowych”, WNT 1969, str. 111-119. Na analizę diod ładunkowych ukierunkowałem wtedy Andrzeja Ruska, który w 1972 r. obronił rozprawę doktorską „Analiza procesów przełączania diody ładunkowej w zastosowaniu do kształtowania impulsów”, przeprowadzenia przewodu podjął się prof. W.Golde. Niemal jednocześnie wdrożyłem dwa inne tematy związane z diodami ładunkowymi. Pierwszy temat podjęła Janina Ceremugowa-Mazierska, zakończył się w 1979 r. rozprawą doktorską „Analiza procesów przejściowych w diodach ładunkowych *p-n-p*<sup>+</sup> i w układach impulsowych z diodami ładunkowymi”. Drugi temat podjął Ludwik Ciołczyk, w 1982 r. obronił rozprawę doktorską „Analiza numeryczna struktur półprzewodnikowych na podstawie równań transportu”. Oba tematy prowadziłem już sam, korzystając z uprawnień stanowiska docenta.

Pierwsze koncepcje tłumaczenia działania diod SRD występowaniem w bazie pola hamującego nie prowadziły do dobrego pojmowania diod nowego typu, z krótką bazą, szczególnie szybkich, a zwłaszcza nie prowadziły ku dobremu – przydatnym do analizy numerycznej - modelom tych elementów. Ujawniły się wtedy podstawowe, wręcz szkolne braki w kształceniu wiedzy o działaniu różnego rodzaju diod ze złączem *pn*, a zwłaszcza rozumienia roli tak zwanego *styku tylnego* diody, nazywanego wcześniej zwykle *kontaktem omowym*, bez względu na rodzaj diody. A właśnie szczególnie rodzaj przejścia między bazą typu *i* (tak od słowa *intrinsic* oznaczano obszar bardzo słabo domieszkowany typu *n*), a obszarem *n*<sup>+</sup>, przesądzał o tak wyrazistych cechach nowszych typów diod SRD o krótkiej bazie. W latach 60tych właściwości fizyczne połączeń typu *i-n*<sup>+</sup> były dopiero rozpoznawane. Pojmowanie roli złącza między obszarem bazy *i*, a obszarem *n* stało się dla mnie przy budowie modelu diody SRD pojmowaniem zasadniczym.

Oba obszary styku tylnego są w zasadzie typu *n*, ale przez bardzo różne domieszkowania, ich połączenie bywa nazywane złączem *lh* (od *low-high*). Zasadnicze znaczenie złącza *lh* jako styku tylnego SRD polega na tym, że – w zasadzie – nie przepuszcza nośników dodatniego ładunku (zwanych *dziurami*), wprowadzanych do bazy przez złącze *pn*. Złącze *lh*, pełniące rolę styku tylnego, może natomiast przepuszczać - z obszaru *n* do bazy *i* - elektrony, nośniki ładunku ujemnego. Uświadomienie tych zjawisk zapoczątkowało drugi etap rozumienia działania diod SRD.

Uświadomiłem sobie bardzo wyraźnie, że przepływ prądu przez strukturę SRD odbywa się na tej zasadzie, że nośniki ładunków dodatnich (dziury), wprowadzane do bazy przez złącze *pn*, nie mogą podążać dalej, przyciągają do bazy przez złącze *l-h* identyczną kwotę elektronów. Między tymi dwoma rodzajami nośników zachodzą ustawicznie procesy rekombinacji, w których wyniku ustala się zrównoważony stan liczby ogólnej dziur i elektronów. Nadmiarowy ładunek dziur  $Q_p$  jest równoważony nadmiarowym ładunkiem elektronów  $Q_n$ , co wyraża się równaniem  $Q_p = Q_n = Q$ . Wartość  $Q$  w stanie ustalonym wyraża iloczyn prądu  $I$  i stałej rekombinacji  $\tau$ , nazywanej też *czasem życia nośników*.

Ten obraz prowadzi do wniosku, że gromadzony w diodzie SRD ładunek  $Q$  nie zależy od długości obszaru bazy (oznaczanej przez  $W$ ), zależy tylko od natężenia prądu  $I$ , i od czasu życia  $\tau$  – stałej materiałowej charakterystycznej dla obszaru bazy. Nie wyjaśnia jednak zupełnie procesów zachodzących przy wyłączaniu diody, czyli zjawisk towarzyszących usuwaniu nagromadzonych ładunków. A bez znajomości tych procesów nie można zbudować modelu SRD przydatnego do analizy układowej. Mimo to, pojawiło się w ciągu dwóch dekad wiele modeli SRD, z elementami nieliniowymi dobieranymi heurystycznie tak, by jakoś mogły ilustrować przebieg dokonywanych analiz. Wśród tych modeli pewną rolę odegrało podejście Varshneya-Roulstone'a, polegające na wbudowaniu do modelu SRD źródła prądu o zaprogramowanym *a priori* przebiegu.

W tym czasie były już opublikowane wyniki komputerowych analiz procesów zachodzących w różnych typach diod ze złączami *pn*. Będąc wprowadzony w analizę złączy *pn* i złączy *lh*, w oparciu o prace własne oraz prace A. de Mari, oraz M.Kuraty, dostrzegłem możliwość opracowania prostego i fizycznie uzasadnionego modelu SRD, przy użyciu znanych zależności opisujących transport nośników ładunku i prawa dotyczące złączy *pn*.

Metodę sekcyjnego modelowania dynamicznych zjawisk występujących w elementach bipolarnych – diodach i tranzystorach – ująłem w publikacji: „Sekcyjne modele ładunkowe diod i tranzystorów bipolarnych”, Wydawnictwa Politechniki Warszawskiej, z. 71, 1985. Przedstawiona Radzie Wydziału Elektroniki PW została uznana za rozprawę habilitacyjną, przy 100% pozytywnych głosów Członków Rady Wydziału (co bardzo mnie

usatysfakcjonowało, wobec dotychczasowych wydarzeń). W publikacji oparłem się na przykładach obliczeń, jakie dokonałem przy zastosowaniu programów komputerowych STRESS i MINIOPTAN, opracowanych przez dr Tomasza Kaźmierskiego. Niżej zamieszczam spis treści rozdziału 5 rozprawy habilitacyjnej [38], najbardziej wartościowego, oznaczającego kres ponad 20-letnich bezowocnych starań plejady czołówek światowych elektroników nad uzyskaniem modelu SRD przydatnego do układowych obliczeń komputerowych – na co zwracam uwagę, bez nadmiernej chępliwości.

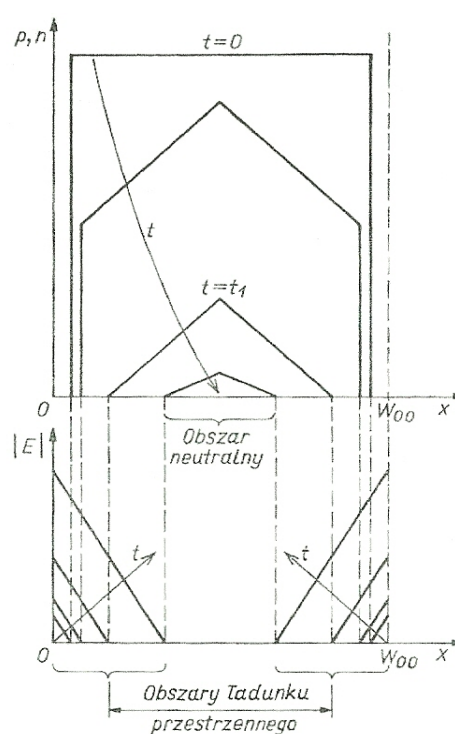
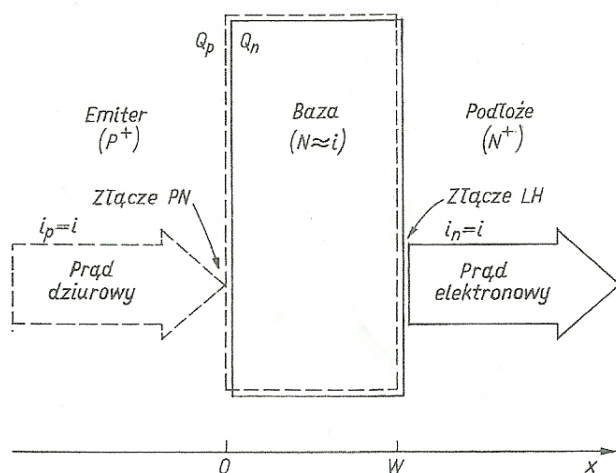
<b>5. Modele diody ładunkowej .....</b>	<b>96</b>
5.1. Wprowadzenie. Koncepcja ogólna modelu uwzględniająca modulację i przebiecie skrośne bazy .....	96
5.2. Przykład modelu sekcijnego diody ładunkowej .....	101
5.3. Przykłady analiz komputerowych .....	106
5.3.1. Przełączanie diody sygnałem impulsowym .....	106
5.3.2. Kształtowanie impulsu szpilkowego .....	109
5.3.3. Generacja harmonicznych .....	111
5.3.4. Admitancja małosygnałowa diody .....	113
5.4. Podsumowanie .....	115

Treść tego rozdziału wyraża bardzo dobrze koncepcję modelu SRD, opracowanego i wypróbowanego przeze mnie jeszcze w 1981 r., a wkrótce po publikacjach włączonego do programu OPTIMA, nieco później do programów PSPICE (zob. pozycje [20,21,22,23,24,25,33,34,35,36,37,38,39,40] literatury przedstawionej w części 4 WSPOMNIEN). Mój model SRD szczególnie korzystnie ocenił i nagłośnił dr Marek Faber, współautor książki „Microwave and Millimeter-Wave Diode Frequency Multipliers [23]. Podobnie – Jarosław Tworog, po przeglądzie [37] różnych modeli SRD - zastosował model restoratorowy, jako wyłącznie spełniający warunki prawidłowej analizy komputerowej układów powielaczy częstotliwości mikrofalowych (w rozprawie doktorskiej „Analiza i badania warunków pracy diod ładunkowych”, 1988), Rozprawa była poświęcona analizie wysokosprawnych filtrujących powielaczy częstotliwości, w zakresie do 6x1800 MHz. Zastosowano model SRD z parametrami dobranymi do właściwości diody BXDP83 produkcji polskiej.

Niżej przedstawiam szkice rysunków przedstawiających tok mojego rozumowania przy budowie modelu elementu półprzewodnikowego wtedy bodaj najtrudniejszego pojęciowo, modelu SRD. Zostały zaczerpnięte z wymienionej wyżej rozprawy habilitacyjnej z 1985 r. oraz z podręcznika akademickiego Układy Elektroniczne cz. II, J.Baranowski, G.Czajkowski, „Układy analogowe nieliniowe i impulsowe”, WNT 1993, 1994, 1998, w którym mój model SRD wprowadzałem stopniowo, wykorzystując programy NAP2 i SPICE – o czym już wzmiankowałem w 4 części WSPOMNIEN.

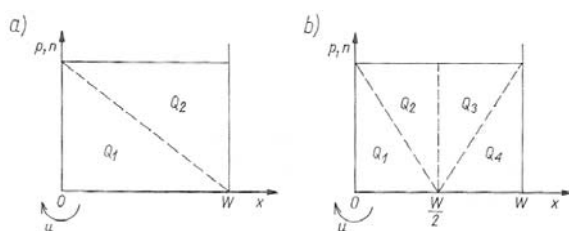
Rysunek na dole ilustruje zasadę kumulowania się w bazie ładunków  $Q_p$  i  $Q_n$  wzajemnie neutralizujących się i rekombinujących, by zapewnić przepływ prądu  $i$ .

Rysunek boczny przedstawia szkieletowo rozkłady ładunków w bazie przy wyłączeniu SRD. Poczynając od czasu  $t=0$ , poziom ładunków obniża się, zaczynają formować się zbocza rozkładów, przy czym od chwili  $t=t_1$ , na skutek zaczynającej się polaryzacji zaporowej złącza  $pn$ , obszar neutralny bazy zwęża się, gdyż od stron obu złączy „wdzierają się” obszary nieneutralne, z silnym polem elektrycznym  $E$ .

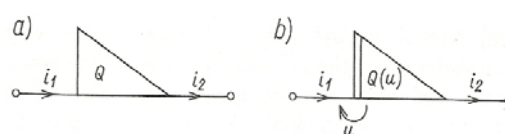


Przy obszarze neutralnym bazy zwężającym się, aż do całkowitego zaniku, co nazywam *przebieciem skrośnym bazy*, czas przelotu nośników przez zanikający obszar neutralny szybko maleje i stopniowo przestaje się liczyć w ogólnym bilansie czasu wyłączenia. W końcowej fazie pozostaje uwzględnić tylko czas przelotu nośników porywanych przez obszary silnego pola – który jest tak bardzo mały, że można go nawet nie uwzględniać, chociaż uwzględnić go wypada – choćby niedokładnie. Dioda SRD w końcowej fazie staje się więc

wewnętrznie niby „nieskończenie szybka”, trzeba jednak uwzględnić występowanie pojemności złączej, a praktycznie - nawet parametry rozproszone samej „oprawki” diody – indukcyjność i pojemność doprowadzeń. Proces zanikania ładunków  $Q_p$  i  $Q_n$  należało jednak przy budowie modelu SRD rozważyć i właściwie opisać. W pierwszej fazie można było zastosować opis oparty na uwzględnieniu tylko rekombinacji, ale to by było podejście trywialne. W dotychczasowej dydaktyce szkolnej nie wykształcił się jednak żaden opis usuwania ładunku z bazy diody, jaki szkicowo przedstawiłem w przybliżonej postaci rozkładu trójkątnego o ruchomych granicach. Należało przy tym uwzględnić zmiany długość efektywnej – neutralnej części bazy, modulowanej zmianami napięcia, ze wzrostem napięcia zanikającej całkowicie. Te trudności najwyraźniej wykraczały poza wyobraźnię autorów kolejnych modeli, z nieliniowymi elementami wymyślanymi *ad hoc*, na doraźne potrzeby. W budowie modeli miałem jednak wspaniałych poprzedników – Ebersa i Molla, oraz Linvilla, więc ruszyłem i „stałem na ramionach olbrzymów”, jak powiedział w innym czasie Newton. Uznałem, że dwuboczowy charakter rozkładu ładunków w bazie wynika z usuwania nośników ładunku dodatniego (dziur) w stronę złącza  $pn$ , a elektronów, nośników ładunku ujemnego – w stronę złącza  $lh$ . I że oba te procesy można modelować sprzężonymi identycznymi sekcjami ładunkowymi, co przedstawiam niżej, razem z rysunkami symboli sekcji.



Liczba sekcji jest parzysta, mogą być dwie, cztery, sześć, lub większa liczba sekcji ładunkowych. Wystarczająco dobre i sprawne w obliczeniach są modele dwu- i cztero-sekcyjny diody SRD.



Symbolem sekcji, nazywanej też *restororem*, jest trójkąt z określeniem prądów wejściowego  $i_1$ , i wyjściowego  $i_2$ . Sekcja o ładunku  $Q$  uzależnionym od napięcia (zwykle od napięcia złączej  $u$ ) jest oznaczana osobno.

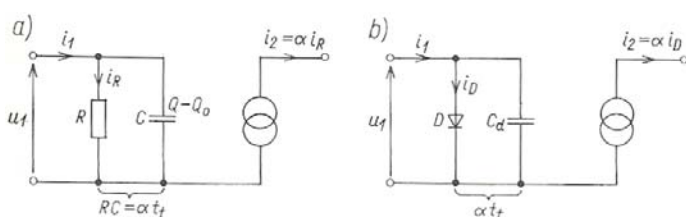
$$i_1 = \frac{d(Q - Q_0)}{dt} + \frac{Q - Q_0}{\tau} + i_2$$

$$i_2 = \frac{Q - Q_0}{t_t}$$

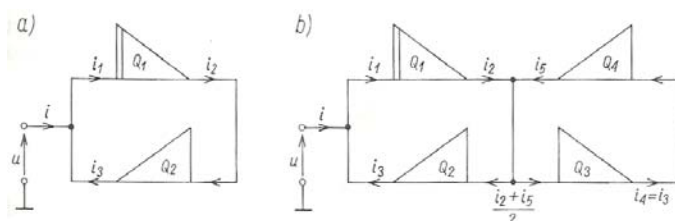
Właściwości każdej sekcji ładunkowej opisują podane obok równania, dobrze znane, ponieważ są to równania podstawowe, zaczerpnięte z teorii tranzystora bipolarnego. Zazwyczaj uzupełnia się je wykładniczą zależnością ładunku  $Q$  od napięcia na złączu  $u$ .

$$Q = Q_0 \exp \frac{u}{\phi_T}$$

$Q_0$  – ładunek zrównoważony termodynamicznie,  $\tau$  – czas życia,  $\phi_T$  – potencjał dyfuzyjny złącza  $pn$ ,  $t_t$  – czas przelotu.



Model sekcijny SRD można przedstawić jako złożony z sekcji liniowych - schemat a), i z jednej sekcji nieliniowej - schemat b), przy tym stosuje się współczynnik transportu  $\alpha = \tau / (\tau + t_t)$ .

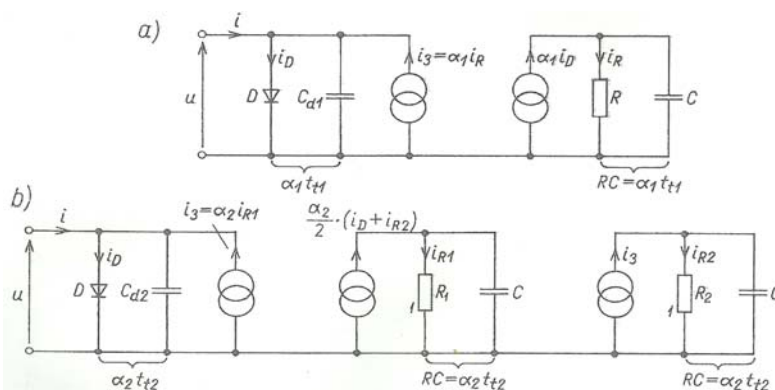
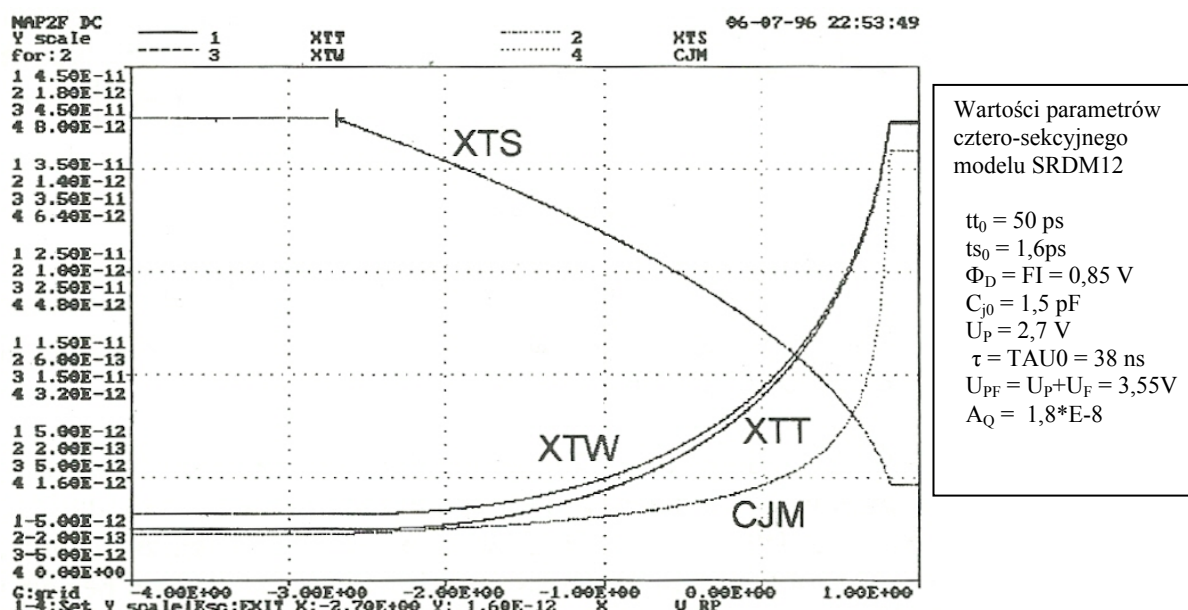


Połączenia sekcji ładunkowych opisujące podział i przepływ ładunków przy modelu SRD dwusekcyjnym a), i przy modelu czterosekcyjnym b).

Opracowany przeze mnie model restoratorowy SRD bywa nazywany modelem uzasadnionym fizycznie, ale to określenie należy rozumieć niestandardowo. Wprawdzie tak jak w zwykłej diodzie przyjmuje się, że występuje tzw. „metalurgiczna” długość bazy  $W_{00}$ , ale nie uwzględnia się jej jawnie, lecz poprzez parametr  $t_t$  wyrażający czas przelotu nośników przez długość obszaru neutralnego bazy  $W_0$  przy zerowej polaryzacji złącza. Wiadomo też, że wartość czasu przelotu w obszarze neutralnym zależy kwadratowo od długości pokonywanej drogi.



Swoją wizję działania SRD i budowę modelu tego niezwykle elementu oparłem na przekonaniu, że przy wyłączaniu diody ładunkowej następuje rozszerzanie się przyłączonego obszaru ładunku przestrzennego d, kosztem obszaru neutralnego. Proces całkowitego zaniku obszaru neutralnego, nazywany przebiegiem skrośnym obszaru neutralnego bazy, następuje przy pewnym napięciu  $-U_p$ , tj. gdy  $d(-U_p) = W_{00}$ . Po wystąpieniu przebiecia skrośnego zanika oczywiście i czas przelotu nośników przez obszar neutralny, tj.  $t_t = 0$ . W określeniu wartości całkowitego czasu przelotu  $t_{tw}$ , będącego sumą czasów  $t_t + t_s$ , pozostaje zatem po wystąpieniu przebiecia skrośnego bazy tylko wartość czasu przelotu  $t_s$ , zwykle bardzo mała. Wartość czasu przelotu  $t_s$  przez obszar ładunku przestrzennego jest prawie zawsze znikomo mała dlatego, że ruch nośników w silnym polu elektrycznym zachodzi z dużą prędkością, bliską prędkości nasycenia unoszenia (dla Si  $v_s = 10^5$  m/s).  
Niżej – wykresy parametrów  $X_{TT}=t_t$ ,  $X_{TS}=t_s$ ,  $X_{TW}=X_{TT} + X_{TS}$  modelu diody przyjętej do dalszych obliczeń, oparte na wykorzystaniu opisu pojemności złączeniowej  $C_{JM}=C_{jm}$  złącza skokowego według ujęcia Schottky'ego, z potencjałem dyfuzyjnym  $\Phi_D$  (oznaczanym przez FI). Zastosowałem ograniczenia dla  $u > .95 \cdot FI$ , i dla  $u < -U_p$ .



Reprezentacje schematów modelu SRD:

- a) dwusekcyjnego;  
b) cztero-sekcyjnego.

W modelu cztero-sekcyjnym można było uprościć schemat elektryczny, przyjmując, że dwie sekcje,  $Q_2$  i  $Q_3$ , są identyczne.

Wszystko, co tu opowiedziałem dla przypomnienia samemu sobie, oraz Czytelnikom, krystalizuje się we wniosku, że tajemnica restoratorowego modelu diody SRD zawiera się głównie w określeniu współczynnika transportu  $\alpha = ALPHA$ , i uwzględnieniu zmienności  $\alpha$  przy numerycznym całkowaniu równań opisujących badany układ elektroniczny z przełączaną diodą ładunkową.

$$\alpha = \tau / (\tau + t_{tw}) = ALPHA = TAU / (TAU + X_{TW}) = TAU / (TAU + X_{TT} + X_{TS})$$

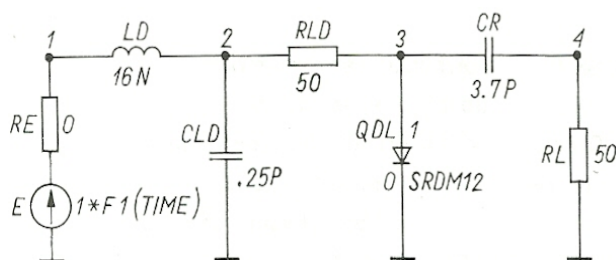
Przy obliczaniu ALPHA można stosować stałą wartość czasu życia  $\tau = TAU0$ , lub wielkość uzależnioną, zależnie od potrzeby, od nagromadzonego ładunku. Stosowałem w badaniach następujący wymyślony ad hoc wzór wyrażający zależność  $\tau$  od sumy ładunków QC (np. w czterech sekcjach modelu restoratorowego):

$$TAU = TAU0 / \{1 + (QC/AQ)^4\}^{0.25}$$

Ale – na przykład, dr J.Tworog uznał [37], że w jego obliczeniach analitycznych powielaczy częstotliwości mikrofalowych wysokiego rzędu uwzględnianie zmienności TAU nie jest konieczne.

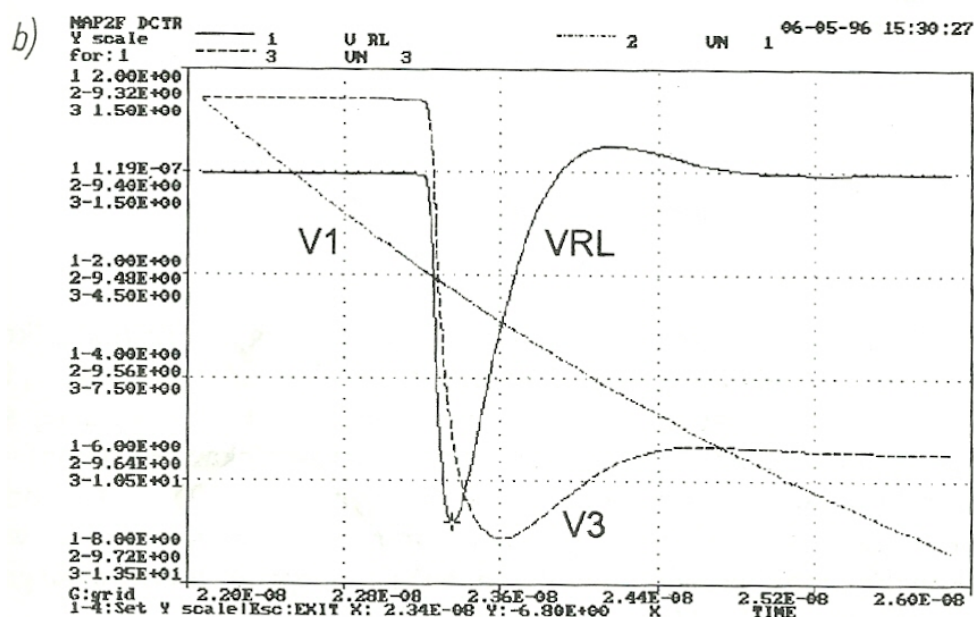
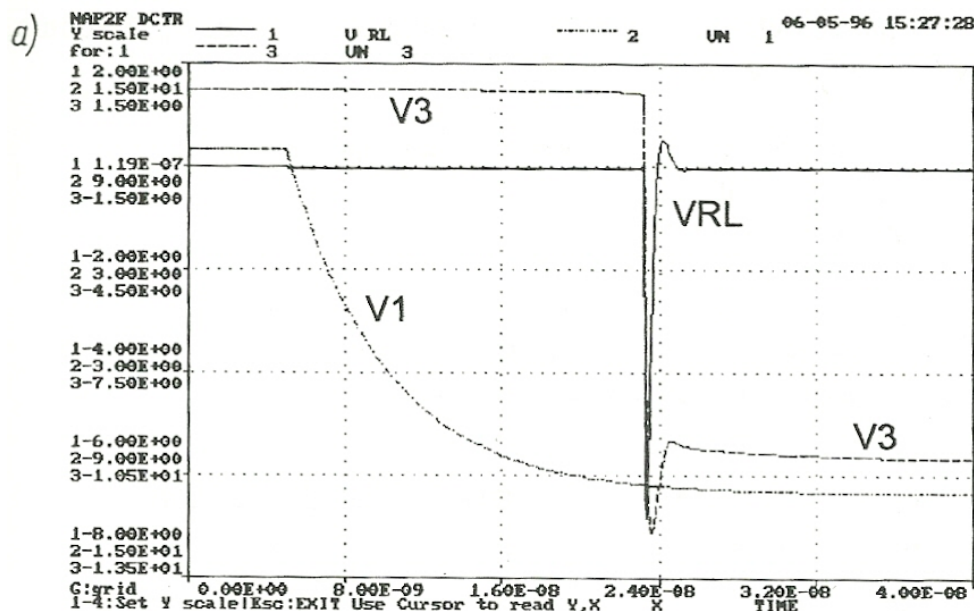
## Przykłady zastosowania sekcynjo-ladunkowego modelu SRD do analizy numerycznej

### Analiza układu kształtującego impuls szpilkowy, przy użyciu modelu SRDM12 i programu NAP2



Model diody SRD o numerze M12, „wpięty” do węzła 3 układu, jest wywoływany z biblioteki programu NAP2. Niektóre parametry M12: 4 sekcje, TAU0= 38ns, TT0= 50ps, FI= 0,85 V, UP= 2,7V (nap. przebicia skośnego), CJO= 1,5pF. Realizując obliczenia wg załączonego schematu, należy uwzględnić potrzebę uzgodnienia tożsamości zewnętrznego węzła 3 sieci, z wewnętrznym węzłem 1 modelu SRD (vide podręcznik akademicki Układy elektroniczne cz. II, J.Baranowski, G.Czajkowski, „Układy analogowe nieliniowe i impulsowe”, WNT 1993, 1994, 1998.

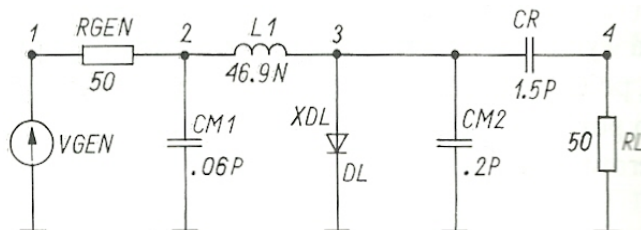
Wyniki analizy: a) widok ogólny przebiegów wyłączania SRDM12 przebiegiem napięcia zmieniającego się wykładniczo ze stałą czasową 5 ns; b) powiększenie skali czasowej uwypuklające impuls szpilkowy o amplitudzie ok. 6,8 V i szerokości ok. 50 ps, wygenerowany po ok. 18 ns od rozpoczęcia wyłączania.



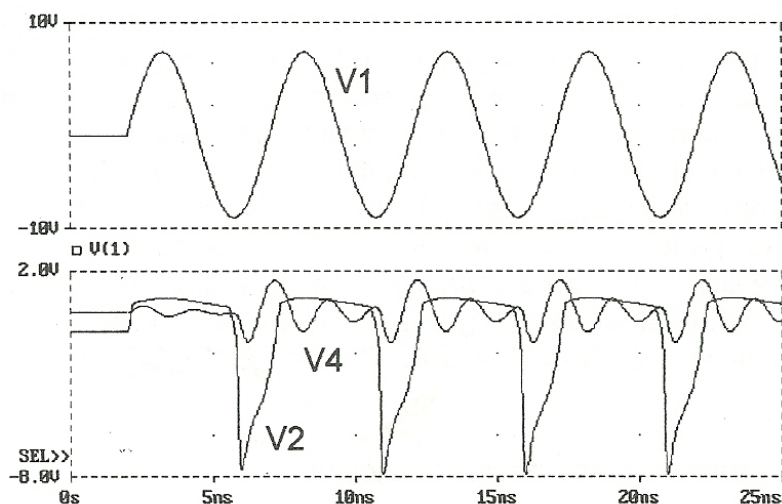
```
*LIB1 RYBNER
*LIB1 SRDM12+
: (model SRD czterosekcyjny, z przebicciem skrosnym bazy,
: i z czasem przelotu ts0, ktory oblicza sie nastepujaco
: ts0=.5*SQRT(D*tt0)/VS, gdzie D=.002m^2/s, VS=1E5m/s)
: Czas zycia zmienny (tau=tau0/(1+(Qc/Aq)^4)^.25)
CJ0=1.5P; FI=.85V; UP=2.7V; UPF=3.55 : Uwaga, UPF=UP+FI
TT0=50P; TS0=1.6P; TAU0=38N; AQ=1.8E-9
FC1// B 1*CJ0 C 1*FI D -1*FI E -.5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : funkcja opisujaca pojemnosc CJM
FT1// A 1 B -2 C 1*FI D -1*UPF E .5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : pierwsza czesc funkcji opisujacej tt
FT2// C 1*FI D -1*UPF L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : druga czesc funkcji opisujacej tt
FS1// C 1*FI D -1*UPF E .5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : funkcja opisujaca ts
D1/DIODE/ IS 4E-12 VT .026 GS 1000 : dioda glowna modelu
D2/DIODE/ IS 2E-12 VT .078 GS 10 : dioda nieidealna
RP 1 0 100MEG;RA 2 0 1;RB 3 0 1
TDM 1 0 D1;TDN 1 0 D2 : diody - glowna i nieidealna
CJM 1 0 1*FC1(VRP) : pojemnosc zlaczowa CJ
FT3// A 1*FT1(VRP) B 1*FT2(VRP) E 0
XT// B 1*FT3(VRP);XTT=1*XT(TT0) : XTT= czas przelotu tt
XS// B 1*FS1(VRP);XTS=1*XS(TS0) : XTS= czas przelotu ts
FL1// A 1*XTT B 1*XTS E 0;XTW=1*FL1(VRP)
: XTW= laczny czas przelotu (tt+ts)
SUM// 2*IRA 1*IRB;XPC=1*SUM(ITDM)
XQC=1*XPC*XTW : ladunek calkowity
FQC// A 1 D 1*AQ E 4;XTAU1=1*FQC(XQC)
FTAU// B 1*TAU0 E -.25;XTAU=1*FTAU(XTAU1)
: XTAU= czas zycia tau (uzmienniony)
FL2// A 1*XTAU B 1*XTW E 0 : suma [tau + (tt+ts)]
XLX=1*FL2(VRP);ALPHA=1*XTAU/XLX : alfa=tau/(tau+tt+ts)
XDX=1*XTW*TDM;CDM 1 0 1*ALPHA*XDX;XCX=1*ALPHA*XTW
: (tt+ts)*gdm, alfa*(tt+ts)*gdm, alfa*(tt+ts)
IGAD 0 2 .5*ALPHA ITDM;CA 2 0 1*XCX
IGM 0 1 1*ALPHA IRA
IGB 0 3 1*ALPHA IRA;CB 3 0 1*XCX
IGAB 0 2 .5*ALPHA IRB
```

Zapis modelu diody SRD w konwencji języka NAP2, w ujęciu czterosekcyjnym, którym posługiwałem się często, dotychczas może najczęściej. Ujęcie czterosekcyjne modelu oznacza podział bazy na dwie części, z czego wynika, że podany czas przelotu TT0, zależny kwadratowo od długości drogi, wyraża czas przelotu dla sekcji pojedynczej, czyli jest 4-krotnie mniejszy od czasu przelotu przez całą długość bazy. Czas przelotu przez warstwę ładunku przestrzennego TS0 (silnego pola elektrycznego) jest natomiast proporcjonalny do drogi, zatem jest równy połowie wartości czasu przelotu pod wpływem unoszenia określonego dla pełnej długości bazy. Te uwagi czynią dlatego, że zamierzam przejść do częstszego użytkowania prostszego w zapisie, a równie dokładnego modelu SRD dwusekcyjnego.

#### Analiza układu powielacza 200 MHz/600 MHz, przy zastosowaniu modelu SRD M8 i programu PSPICE



Ten przykład analizy układu powielacza częstotliwości z diodą ładunkową DL jest również – jak i poprzedni przykład – zaczerpnięty z podręcznika akademickiego Układy elektroniczne cz. II, J.Baranowski, G.Czajkowski, „Układy analogowe nieliniowe i impulsowe”, WNT 1993, 1994, 1998.



Wyniki analizy ujawniają drgania o częstotliwości 600 MHz, czyli trzeciej harmonicznej względem częstotliwości 200 MHz źródła sterującego VGEN. Drgania wzbudzają się w dostrojonym obwodzie rezonansowym złożonym z indukcyjności L1 i pojemności układu. Sprawność energetyczna układu powielacza w dużym stopniu zależy od doboru składowej stałej polaryzacji w źródle sterującym.

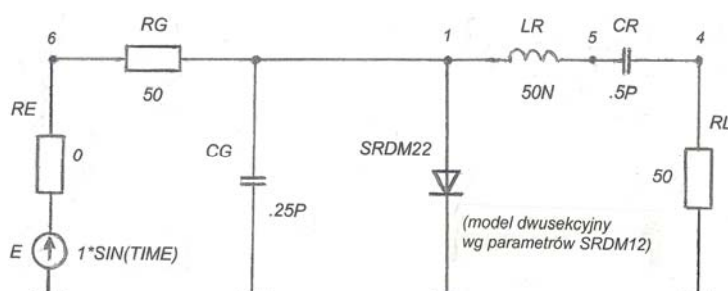


## Ewolucja modeli restoratorowych diody ładunkowej

Utworzone przeze mnie sekcyjne modele ładunkowe SRD, kompletnie opracowane i opublikowane drukiem wraz z przykładami zastosowań w 1981 r., były początkowo zapisane w programach STRESS i NAP2. Zostały później wprowadzone do grupy programów PSPICE, co w pełnym porozumieniu ze mną uczyniła Pani Katarzyna Opalska, która również w swej rozprawie doktorskiej "Komputerowo-pomiarowa weryfikacja modelu diody ładunkowej" obronionej w 1998 r., przy zastosowaniu oryginalnej metody dekompozycji parametrów wykazała poprawność i przydatność modelu sekcyjno-ładunkowego diody SRD do analiz komputerowych. Bardzo proste założenia przyjęte przy budowie modelu, i ich równie nieskomplikowany opis matematyczny oparty na zwykłej podręcznikowej wiedzy, umożliwiają świadome korzystanie z różnych wersji modeli, oraz ich modyfikowanie. Ostatnio, na przykład, obok modelu cztero restoratorowego, stosuję często - i zalecam innym - podstawowy model dwu restoratorowy. Jego wpisanie jest łatwe, model jest sprawny i dokładny.

```
*CIRCUIT:CA27BKT2 (powielacz czestotliwosci 200MHz/1GHz)
: Model SRD dwusekcyjny, z przebicciem skrosnym bazy, oraz
: z czasem przelotu ts0, ktory oblicza sie nastepujaco:
: ts0=.5*SQRT(D*tt0)/VS, gdzie D=.002m^2/s, VS=1E5m/s)
: Czas zycia zmienny (tau=tau0/(1+(Qc/Aq)^4)^.25).
*O CA27BKT2.OUT
SIN/SIN/ A -.8V B 8 D 7.96E-10
RE 6 0 0 E 1*SIN(TIME)
RG 6 1 50;CG 1 0 .25P;LR 1 5 50N;CR 5 4 .5P;RL 4 0 50
: Nizej wpisany model diody SRDM12 (dwusekcyjny)
CJ0=1.5P;FI=.85;UP=2.7;UPF=3.55 : Uwaga, UPF=UP+FI
TT0=200P;TS0=3.2P;TAU0=38N;AQ=1E-9
FC1// B 1*FCJ0 C 1*FI D -1*FI E -.5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : funkcja opisujaca pojemnosc CJM
FT1// A 1 B -2 C 1*FI D -1*UPF E .5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : pierwsza czesc funkcji opisujacej tt
FT2// C 1*FI D -1*UPF L -1*UP U .95*FI SL 1E-30 SU 1E-30
: druga czesc funkcji opisujacej tt
FS1// C 1*FI D -1*UPF E .5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30
D1/DIODE/ IS 5E-10 VT .026 GS 1000 : dioda glowna modelu
D2/DIODE/ IS 2E-12 VT .078 GS 10 : dioda nieidealna
RA 2 0 1;;RP 1 0 100MEG
TDM 1 0 D1;TDN 1 0 D2 : diody - glowna i nieidealna
CJM 1 0 1*FC1(VTDM) : pojemnosc zlaczowa CJ
FT3// A 1*FT1(VTDM) B 1*FT2(VTDM) E 0
XT// B 1*FT3(VTDM);XTT=1*XT(TT0) : XTT= czas przelotu tt
XS// B 1*FS1(VTDM);XTS=1*XS(TS0) : XTS= czas przelotu ts
FL1// A 1*XTT B 1*XTS E 0;XTW=1*FL1(VTDM)
: XTW= lacznny czas przelotu (tt+ts)
SUM// 1*IRA;XPC=1*SUM(ITDM)
XQC=1*XPC*XTW : ladunek calkowity
FQC// A 1 D 1*AQ E 4; XTAU1=1*FQC(XQC)
FTAU// B 1*TAU0 E -.25;XTAU=1*FTAU(XTAU1)
: XTAU= czas zycia tau (uzmienniony)
FL2// A 1*XTAU B 1*XTW E 0 : suma [tau + (tt+ts)]
XLX=1*FL2(VTDM);ALPHA=1*XTAU/XLX : alfa=tau/(tau+tt+ts)
XDX=1*XTW*TDM;CDM 1 0 1*ALPHA*XDX;XCX=1*ALPHA*XTW
: (tt+ts)*gdm, alfa*(tt+ts)*gdm, alfa*(tt+ts)
IGAD 0 2 1*ALPHA ITDM;CA 2 0 1*XCX
IGM 0 1 1*ALPHA IRA: Koniec zapisu modelu diody SRDM12

*TIME 0 20N
*DCTR *GRAPH V6 V1 VRL XTAU
*RUN MAXSTEP 250P
*DCTR *GRAPH V6 XTT XTS XTW
*RUN MAXSTEP 250P
*DCTR *GRAPH(TIME 2.5N 15N) V6 V1 VRL ALPHA
*RUN MAXSTEP 250P
```

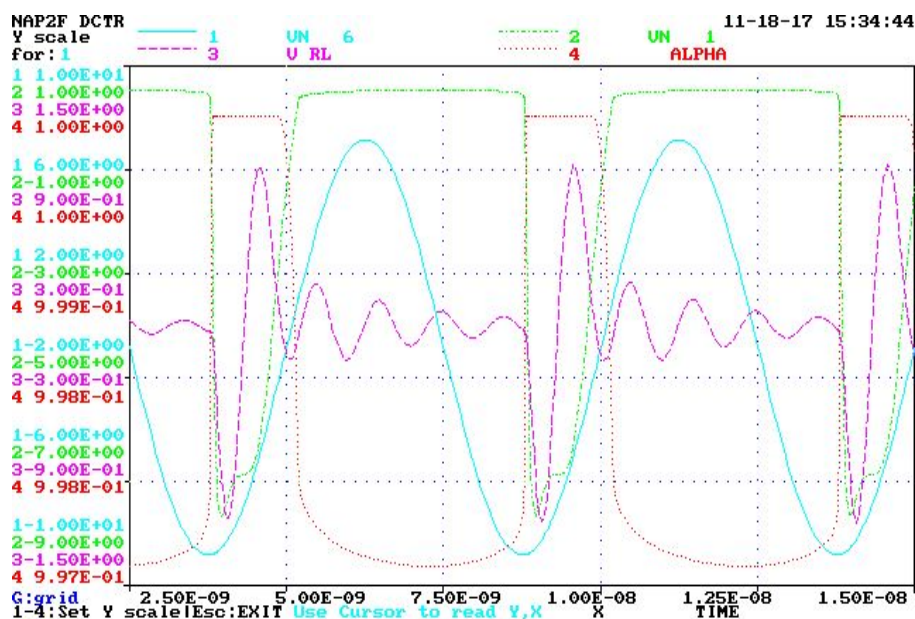


Obok – owoc dokonanej przeze mnie „evolucji wstecznej” modelu sekcyjnego SRD – przekształcenie opisu tej samej diody ładunkowej, znanej z ujęcia czterosekcyjnego, w ujęcie dwusekcyjne. Model ma dwa własne węzły (1 i 2), w całości jest wpisany („wtopiony”) w strukturę przedstawionego niżej powielacza częstotliwości. Jest więc jego inherentną częścią. Mnie takie ujęcie bardzo odpowiada, bo ułatwia wejście we wnętrze modelu diody, niemal we wnętrze samej diody – bo każda z sekcji modelu reprezentuje całą długość bazy  $M_{00}$ , a nie jej połowę, jak to jest w modelu czterosekcyjnym. Model dwusekcyjny jest więc niejako bardziej „fizyczny”. Model opisuje tę samą diodę SRD, co model M12. Jedynie należało 4-krotnie powiększyć wartość czasu przelotu  $TT_0$ , do 200 ps, z takiego powiększenia wynika dwukrotne tylko powiększenie czasu przelotu  $TS_0$ , do wartości 3,2 ps. Poza usunięciem jednej sekcji, nie trzeba było czynić innych zmian, jeżeli opis ma dotyczyć tej samej diody. Obok są załączone propozycje analiz wspomagające rozumienie działania modelu diody w toku jej przełączania, przez obserwację dynamicznych zmian wartości parametrów wewnętrznych, na przykład ALPHA. Oczywiście, można dołączyć propozycje obliczania i wykreślenia zmian innych parametrów modelu.

Układ elementarny powielacza częstotliwości 200MHz/1GHz, ujęty w Zadaniu CA27BKT2 wykonywanym przez program NAP2. Wyniki jednej ze zleconych w Zadaniu analiz są przedstawione w postaci wykresów, na następnej, końcowej stronie WSPOMNIEN.

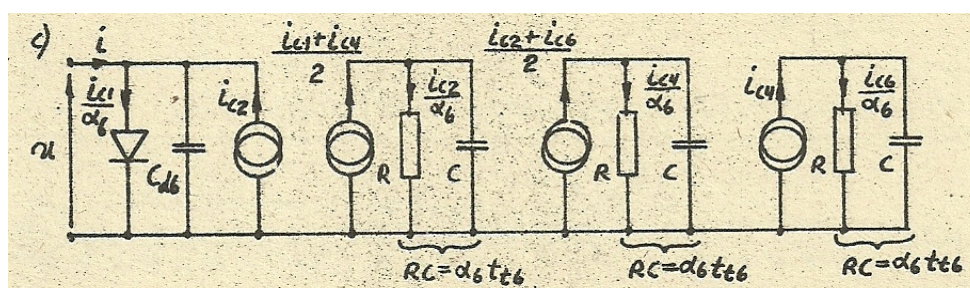


Wykresy wykonane wg zlecenia analizy powielacza częstotliwości 200 MHz/1GHz, w Zadaniu CA27BKT2.



Kończąc pisać ostatnie strony części 6 WSPOMNIENI nieco w stylu podręcznikowym, wypełniając je Zadaniem CA27BKT2 propagującym wykorzystanie najprostszego, dwusekcyjnego modelu diody ładunkowej. Jest to bowiem dobry przykład wykorzystania modelu dwusekcyjnego SRD.

Dla Czytelników pragnących jednak wypróbować – z jakichś względów - właściwości modeli wielosekcyjnych SRD, i mających chęć zmierzenia się z problemem tworzenia i wpisywania do programów służących analizie numerycznej modeli restoratorowych bardziej złożonych, proponuję, na przykład, utworzyć schemat układowy modelu 6-sekcyjnego z podanego niżej pierwotnego zapisu ideowego tego modelu (przedstawionego w postaci zredukowanej o dwie identyczne sekcje). Gdyby się to „nie udało”, proszę zajrzeć do innych moich publikacji, na przykład do *RESTORATOROWE MODELE DIODY ŁADUNKOWEJ*, w MATERIAŁACH IV KRAJOWEJ KONFERENCJI „Teoria Obwodów i Układy Elektroniczne”, Drzonków 1981 (strony 289-300), bądź do nieco wcześniejszej i obszerniejszej pracy *Modele restoratorowe diody ładunkowej*, Elektronika 9/81 (strony 13-19). Przedstawione w tej drugiej publikacji zależności fizyko-matematyczne mogą być przydatne przy „pojmowaniu” i zapisywaniu modelu SRD w innych programach, niż używany przeze mnie najczęściej program NAP2.



Zaręczam jednak, że jeżeli przyjmuje się – jak dotychczas przyjmowałem – że sekcje są jednakowe, to większa liczba sekcji nie przełoży się na zwiększenie dokładności, spowoduje raczej tylko powiększenie czasu obliczeń.

Dla rozszerzenia przykładów stosowania modeli dwusekcyjnych SRD, na następnej stronie przedstawiam zapis modelu dwusekcyjnego diody ładunkowej 5-krotnie szybszej od SRD M12, zawartego w opisie 4-krotnego powielacza częstotliwości mikrofalowych CA15P2. Ten model utworzyłem, by odpowiadał SRD M15 w ujęciu 4-sekcyjnym z poprzedniej edycji WSPOMNIENI, z kilkoma korektami wartości parametrów. Dobierając wartości parametrów obu modeli, wzorowałem się na wynikach z publikacji: „12ps double heterostructure step recovery diode”, M.R.Wang, D.E.Mars, J.L.Moll.: Electronic Letters, 26 March, 1992. Model sprawuje się dobrze zarówno przy analizie powielacza częstotliwości, jak i w analizie układów wytwarzających wąskie impulsy, jakie mają zastosowanie w systemach szybkiej oscylografii próbkującej.

```
*CIRCUIT:CA15P41G (powielacz czestotliwosci 10GHz/40GHz)
: Model SRD dwusekcyjny, z przebiegiem skrośnym bazy, oraz
: z czasem przelotu ts0, który wyznacza sie nastepujaco:
: ts0=.5*SQRT(D*tt0)/VS, gdzie D=.002m^2/s, VS=1E5m/s)
: Czas zycia zmienny (tau=tau0/(1+(Qc/Aq)^4)^.25).
*O CA15P41G.OUT
SIN/SIN/ A -1.4V B 8 D 15.92E-12
RE 6 0 0 E 1*SIN(TIME)
RG 6 1 50;CG 1 0 .015P;LR 1 5 1N;CR 5 4 .019P;RL 4 0 25
: Nizej wpisany model diody SRDM15 (dwusekcyjny)
CJ0=.156P;FI=.85;UP=2.7;UPF=3.55 : Uwaga, UPF=UP+FI
TT0=42P;TS0=1.5P;TAU0=.54N;AQ=2.1E-12
FC1// B 1*CJ0 C 1*FI D -1*FI E -.5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : funkcja opisujaca pojemnosc CJM
FT1// A 1 B -2 C 1*FI D -1*UPF E .5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30 : pierwsza czesc funkcji opisujacej tt
FT2// C 1*FI D -1*UPF L -1*UP U .95*FI SL 1E-30 SU 1E-30
: druga czesc funkcji opisujacej tt
FS1// C 1*FI D -1*UPF E .5 L -1*UP U .95*FI >
SL 1E-30 SU 1E-30
D1/DIODE/ IS 5E-12 VT .026 GS 1000 : dioda glowna modelu
D2/DIODE/ IS 2E-14 VT .078 GS 10 : dioda nieidealna
RA 2 0 1
TDM 1 0 D1;TDN 1 0 D2 : diody - glowna i nieidealna
CJM 1 0 1*FC1(VTDM) : pojemnosc zlaczowa CJ
FT3// A 1*FT1(VTDM) B 1*FT2(VTDM) E 0
XT// B 1*FT3(VTDM);XTT=1*XT(TT0) : XTT= czas przelotu tt
XS// B 1*FS1(VTDM);XTS=1*XS(TS0) : XTS= czas przelotu ts
FL1// A 1*XTT B 1*XTS E 0;XTW=1*FL1(VTDM)
: XTW= lacznny czas przelotu (tt+ts)
SUM// 1*IRA;XPC=1*SUM(ITDM)
XQC=1*XPC*XTW : ladunek calkowity
FQC// A 1 D 1*AQ E 4; XTAU1=1*FQC(XQC)
FTAU// B 1*TAU0 E -.25;XTAU=1*FTAU(XTAU1)
: XTAU= czas zycia tau (uzmienniony)
FL2// A 1*XTAU B 1*XTW E 0 : suma [tau + (tt+ts)]
XLX=1*FL2(VTDM);ALPHA=1*XTAU/XLX : alfa=tau/(tau+tt+ts)
XDX=1*XTW*XTM;CDM 1 0 1*ALPHA*XDX;XCX=1*ALPHA*XTW
: (tt+ts)*gdm, alfa*(tt+ts)*gdm, alfa*(tt+ts)
IGAD 0 2 1*ALPHA ITDM;CA 2 0 1*XCX
IGM 0 1 1*ALPHA IRA: Koniec zapisu modelu diody SRDM15

*TIME 0 400P
*DCTR *GRAPH V6 V1 VRL XTAU
*RUN MAXSTEP 2.5P
*DCTR *GRAPH V6 XTT XTS XTW
*RUN MAXSTEP 2.5P
*DCTR *GRAPH(TIME 50P 300P) V6 V1 VRL ALPHA
*RUN MAXSTEP 2.5P
```

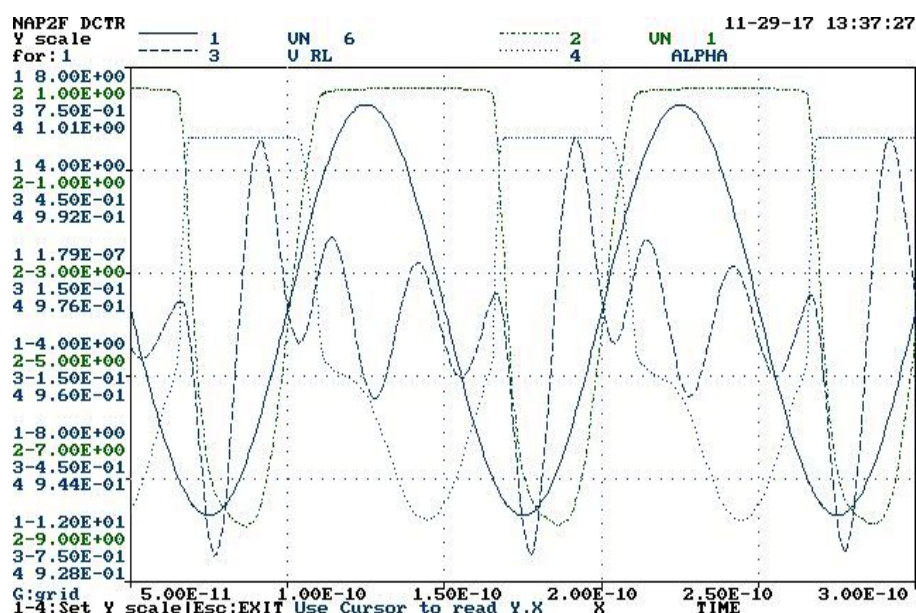
Parametry dwusekcyjnego modelu SRDM15 zostały przeze mnie dobrane w przybliżeniu, na podstawie wartości niektórych wielkości fizycznych diody SRD podanych w pracy M.R.Wanga, D.E.Marsa i J.L.Molla z 1992 roku.

Analiza czterokrotnego powielacza częstotliwości 10 GHz/40 GHz została przeprowadzona w oparciu o strukturę układu o stałych skupionych, z konieczności, chociaż układy o tak dużych częstotliwościach są z reguły wykonywane z obwodów o stałych rozłożonych, często są to konstrukcje monolityczne.

Struktura zastosowanego układu i jego parametry zostały wpisane do Zadania CA15P41G, łatwo je odczytać.

Analiza numeryczna układu powielacza częstotliwości z dwusekcyjnym modelem restoratorowym SRD nie nastręcza trudności. Identyczne wyniki otrzymuje się przy zastosowaniu np. modelu czterorestoratorowego. Oczywiście, przy zmianie liczby sekcji modelu należy dokonać odpowiedniego przeliczenia parametrów TT0 i TS0.

Wśród parametrów modelu SRDM15 zwraca uwagę mała wartość czasu życia TAU0= 540 ps, oraz zmienność czasu życia, uwidoczniająca się na wykresie zmianami wartości parametru ALPHA, uzależnionego od bieżących wartości czasu życia TAU i czasu przelotu TW.



Wykresy wykonane wg zlecenia analizy powielacza częstotliwości 10 GHz/40 GHz, w Zadaniu CA15P41G.



Po latach badań uważam, że stosowanie do obliczeń modeli SRD złożonych z czterech, sześciu - lub większej liczby sekcji ładunkowych obecnie jest mało uzasadnione. Nie przynosi korzyści, a zwiększa objętość obliczeń, co samo w sobie jest niepożądane, a może nawet przyczyniać się do mniejszej dokładności obliczeń.

Zastosowanie modeli SRD wielosekcyjnych byłoby racjonalnie uzasadnione wtedy, gdyby objawiła się potrzeba i możliwość uwzględniania znacznej niejednorodności domieszkowania obszaru bazy. Być może byłoby wtedy konieczne reprezentowanie bazy jako obszaru transportu modelem linii sekcjonowanej, przy indywidualizacji parametrów oddzielnych sekcji takiego modelu.

Uwzględnienie niejednorodności domieszkowania bazy jest oczywiście teoretycznie możliwe, i z tym się od początku liczyłem, tworząc modele wielosekcyjne trochę tak - „na wszelki przypadek”. Pamiętałem bowiem, że we wczesnym etapie rozwoju diod ładunkowych ich właściwości próbowano wyjaśniać jako wynikające z dość długich baz i bardzo częstej z tego powodu niejednorodności ich domieszkowania.

Tymczasem jednak na uwzględnianie i na możliwość wykrywania niejednorodności domieszkowania krótkich baz współczesnych diod ładunkowych jeszcze się nie zanoś. Uważam też, że typowe modele dwu-restoratorowe SRD mogą być z powodzeniem używane do analizowania układów powielaczy częstotliwości w szerokim zakresie częstotliwości mikrofalowych, oraz w analizie szybkich układów impulsowych, na przykład - występujących w systemach próbkowania sygnałów.

Te refleksje zamieściłem na przedostatniej stronie moich WSPOMNIENI w grudniu 2016 roku, uzupełnienia wniosłem w listopadzie 2017 roku. Dopełniam je informacjami o niektórych innych wydarzeniach bieżących.

### Co się ostatnio i dawniej wydarzyło, o czym czytałem w periodykach i w Internecie?

Listopad - Grudzień 2017 r.

Najważniejszą, dla mnie, stała się informacja, że w pewnym warszawskim Antykwariacie ukazały się i są oferowane do kupna materiały przedstawiające twórczość Felicji Głowackiej, o której wzmiankowałem w końcu części 4 WSPOMNIENI, przy omawianiu twórczości Jej męża, Edwarda Głowackiego. Wśród tych materiałów jest też list - sygnowany moim imieniem i nazwiskiem - wyrażający opinię z pośmiertnej wystawy prac Felicji Głowackiej w czerwcu-lipcu 1957 r. Kopię elektryzującego mnie listu zamieszczam niżej. List ten jest dla mnie zagadką, chociaż dobrze pamiętam Wystawę, wręcz wstrząsająco silne wrażenia, jakie wystawione prace Głowackiej na mnie wywarły - zwłaszcza „bukiety”, przez nikogo tak nie malowane. Widziałem je w pełni tylko wtedy, na Wystawie, wcześniej tylko niektóre. Panią Felicję Głowacką poznałem u Państwa Samotyhów - była zakwefiona woalką przy kapeluszu z dużym rondem - chyba dla pewnego zamaskowania oczu - temu służył też makijaż. Była w tym maskującym kapeluszu przy stole, był już wieczór. Mimo odczuwanego początkowo pewnego skrupowania, rozmawiałem z Panią Felicją coraz swobodniej, między innymi o lekturach. Umówiłem się na odwiedziny, bo obiecałem wypożyczyć i dostarczyć wydanie rosyjskie dzieła Cichy Don, Szołochowa. Do tego nie doszło, gdyż Pani Felicja wkrótce zmarła. Możliwe, że wizyta u Samotyhów była wizytą pożegnalną. Dwutomowy Cichy Don stoi do dziś u mnie na półce.

Szanowny Panie Edwardze!  
Jestem swobodny po wystawie - wrażenia tłumnie cisną się do wypowiedzi. Dlatego zacząłem pisać rzeczowo. Zaczętem zwiedzać wystawę od M. Żulawskiego - analizowałem wszystkie „za” i „przeciw” w stosunku do tego artysty. Nawet co nieco oglądałem dzieł, z nawrotami. Później przeszedłem do wystawy właściwej (inaczej tego nie mogę sformułować). Zaczęty się ze mną dzieć dziwne rzeczy, jak gdybym wszedł do ogrodu baśni zaczarowanego. Potykatem przestrzeń coraz szybciej, rozbudzita się we mnie żądza widzenia coraz więcej i zacząłem się gonać. To naprawdę rzecz bardzo rzadko u mnie spotykana. Niech mi Pan wierzy - ja naprawdę uciekłem z tej wystawy w dostojnym tego słowa znaczeniu. Białem się że nie przyjmę należycie tego ładunku emocjonalnego, że sprostałę tę sztukę, jeżeli obejrzę wszystko na raz. Pozatym działato coś podobnego do bólu fizycznego, co

wibrowato i czego mi mogłem znieść - ta sztuka zmusza do wysiłku. To dziwne, jest przecież beztreściowa, biorąc rzecz powierzchownie. Z przenajmniej śledziłem kroki pewnej pary w średnim wieku - jedyni, którzy przeszli własnym krokiem obojętnie. To też dziwne, jak można być tak obojętnym. Dla mnie ta wystawa była wprost objawieniem - to stożko, jest na swoim miejscu.  
Ściskam dłoń Pana powielekroć  
Jerzy (Baranowski).

30. 6. 57. Warszawa.

Ks. Wolff, malarz-mystyk, o poznaniu którego marzyłem, był – jak się okazuje – Wujem mojej żony. Za późno się o tym dowiedziałem. Mieszkał długo w Laskach, w osobnym domku, tam malował. Rzadko wystawiał - jego obrazy świadczyły o poszukiwaniu nowych dróg malarstwa, o zainteresowaniu obrazami o pogłębionej gamie kolorystyki. Był chyba pochłonięty rozwiązywaniem tych samych zagadnień - w pewnym sensie - co samotniczy Cezanne. Bardzo pięknie, ze zrozumieniem i wielkim przejęciem charakteryzował twórczość Felicji Głowackiej, w poświęconym Jej eseju. Ale równie dobrze, i bardzo ciepło pisał o malarstwie innych twórców, nawet tych będących względem jego twórczości na antypodach – na przykład – o Matejce, i o Arturze Grotgerze. Jego opinii można ufać.

Niżej dwa urywki z eseju Wolffa o Głowackiej.

Skoro malarstwo jest jednym ze sposobów wyrażania siebie - tym, którzy siebie wyrażają, najlepiej opowiadając o innych, często się wydaje, że zadaniem malarstwa jest opowiadać o świecie tak sugestywnie, byśmy poprzez nie i dzięki niemu piękno świata lepiej się nauczyli poznawać. I nie tylko piękno, gdyż bywała i była również taka "sztuka", która ilustruje historię, zwykły czasami *fait divers*, lub zachód słońca po prostu, czy wschód, czy też znojne południe w obrazkach, o których by można słowami Picassa powiedzieć, że w nich widać doskonale pogodę, wcale jednak nie widać malarstwa.

Są również i tacy malarze, co z opowiadaniem i z przedmiotem nawet całkowicie zerwali, ukazując jedynie plamę barwną i kreskę, i których malarstwo nic nie ilustruje, a mimo to bywa również, zupełnie jak tamto, artystyczną pomyłką.

Gdyż to dobre, prawdziwe - figuratywne czy niefiguratywne - promienieje i oczy raduje zawsze tym, co przekracza granice przedmiotu, a stanowi istotną treść sztuki - harmonią i grą różnych elementów.

Jak to bardzo dziwne malarstwo Felicji Głowackiej, które pierwszy raz widziałem niecały rok temu w Zachętowych salach i od którego bije luna chromatycznej radości, najautentyczniejszej, najczystszej radości tworzenia. Jakże bardzo krótkiego okresu potrzebowała ta twórczość, aby dojść do pełni - dwu lat zaledwie, w których się zamknęły: artystyczne dzieciństwo, młodość i wiek dojrzały tej starszej już pani, dentystki z zawodu, która całkiem raptem, koło pięćdziesiątki, wzięła się do pędzla, do patyka, do kredki. I, jak mówią Francuzi, dosłownie *en brulant les etapes*, doszła do mistrzostwa, zadziwiającego mistrzostwa w operowaniu plamą barwną i kreską.

A po wojnie w Krakowie, jako żona malarza, stykała się bardzo często z kolegami męża, o własnym malowaniu z początku zapewne zupełnie nie myśląc, ale chłonąc tak wiele, że kiedyś w Kudowie do kogoś z moich znajomych mówiła o sztuce z takim zrozumieniem, taką świadomością, że osoba ta, uderzona, stwierdziła, że ktoś taki powinien malować.

Czy to było owo przysłowiowe ziarno, nie wiedzieć, dość że w drugiej połowie roku 1949 Głowacka zaczyna malować poczynając od kredek, i to z takim zapalem, że po trzech miesiącach ściany jej pokoju są już obwieszone i jeszcze tego pod ścianami pełno w ramach stoi.

Potem przyszły "bukiety".

Malowała je kładąc papier na podłodze, obstawiona całą baterią słoików, w których rozpuszczała akwarele z guzików (czasem na podłogę wylewając farbę). A pracowała na klucz w pokoju zamknięta, bo choć miała poczucie wartości swej pracy, jednak pokazywanie innym nawet rzeczy skończonych było dla niej przeżyciem, niby obnażanie się, jakieś publiczne.

*A teraz – niezbyt ciekawy wybór wiadomości z „rzeczywistości”.*

W Krakowie na cmentarzu Salwatorskim 14 listopada odbył się pogrzeb chemika Piotra Szczęsnego, który samospaleniem 17 października na Placu Defilad w Warszawie wyraził protest obywatelski wobec łamania prawa i zasad demokracji w Polsce.

Ks. Adam Boniecki, wieloletni redaktor-senior katolickiego pisma Tygodnik Powszechny, po 6-letnim zakazie wypowiedziania się publicznego, po 3 miesiącach otrzymał ponowny nakaz milczenia, od Zgromadzenia Ojców Marianów, którego jest członkiem.

Papież Franciszek wyraził zamiar skorygowania modlitwy „Ojcze nasz”, przez zamianę słów „I nie wódz nas na pokuszenie”, na inne.

Papież przeniósł Abp. Henryka Hosera w stan spoczynku, w związku z upływem lat.

Nie będzie końca świata, przynajmniej nie tutaj się zacznie. Jesteśmy prowincjonalnym krajem. To będzie nasz koniec. Nie świata. Mam dług u Piotra Szczęsnego – oświadczył Adam Zagajewski.

Gazeta Wyborcza i inne media donoszą o desygnowaniu Mateusza Morawieckiego na Premiera. Politycy z Polski „powiatowej” go nie znoszą – najwyraźniej „wołą krajowe rosółki od ośmiorniczek”. Lecz Morawiecki wie, jak się zachować. Zdążył - złożył hołdowniczą wizytę u o. Rydzyka, już przemawiał w Toruńskim Radiu. Mimo to, nie jest pewne, że obejmując Urząd Premiera, będzie miał swobodę w doborze ministrów.

Na tym kończę swoje WSPOMNIENIA – jakże nie pełne.

Jerzy Hubert Baranowski

Warszawa, 9 Grudnia 2017  
Uzupełnienia 1 czerwca 2018